

Tel. 708 966 5731

II/723

WSPOMNIENIA DRAGONA

napisał

Stanisław J. Kowalski

ce, 1672 2 dn 8.09.94

Wydanie II - uzupełnione

Prawa Autorskie 1994

5531 W. Oakton Street

Morton Grove, IL 60053

## II. MŁODE LATA NA PODOLU.

W małym, wojną zniszczonym miasteczku Jazłowca, w połowie 1920 roku po raz pierwszy ujrzałem świat ludzki okiem niemowlęcia, w krótkiej przerwie między krwawymi rządami Ukraińców, a najazdem bolszewickim, kiedy Jazłowiec był wolny i prawdziwie polski. W tym miasteczku również przyszli na świat - w niemal równych trzyletnich odstępach czasu - moi dwaj młodsi bracia Franciszek i Tadeusz. Na tej polskiej i podolskiej ziemi stawialiśmy swoje pierwsze kroki i poznawaliśmy, każdy w swoim okresie, mniej lub bardziej zrozumiałe aspekty życia w głębokiej a spokojnej dolinie, niemal odizolowanej od reszty współ-obywateli świata.

W białym domku na zboczu doliny, który tylko cudem uniknął zniszczeń Iszej Wojny Światowej, odkrywałem cuda stworzone przez Boga i człowieka, poznawałem ludzi z najbliższego otoczenia i bez przerwy obcowałem z historią starą i wielką, ale wówczas o nieznannej dla mnie treści. Tak daleko wstecz, jak mogła sięgać moja dziecienna pamięć, widziałem przez okno górujące nad miastem potężne mury zamczyska, białe mury klasztoru niemal całkowicie zakryte przede mną zielenią dębów i świerków, pod kątem docierał do mnie widok masywnego polskiego kościoła, a w mojej najbliższej okolicy rozpościerały się ruiny spalonych żydowskich domów oraz ratusza. Przyj-  
mowałem wszystko wizualnie, jak dziecko, nie mając głębszego

S P I S   T R E S C I

Wstęp .....	str. 2.
I. Jazłowiec - moje rodzinne miasto .....	5
II. Młode Lata na Podolu .....	28
Młodość w Jazłowcu i gimnazjum buczackim.	
III. Nowa Szkoła Życia.....	84
Podchorążówka w Tarnopolu, wybuch wojny i ucieczka z sowieckiej niewoli.	
IV. Sowiecki Raj .....	115
Życie na Podolu pod sowiecką okupacją.	
V. Więzienia i Łagry .....	152
Więzienia w Czortkowie, Starobielsku, Buchta Nachodka i Kołyma.	
VI. Magdan - karny łagier.....	213
VII. Od Magadanu do Pahlevi .....	242
Zwolnienie z łagru, podróż do rodziców w Kazakstanie, wstąpienie do Polskiego Wojska w Ługowaja.	
VIII. Przez obce Kraje i Morza .....	270
Iran, Irak, Palestyna, Podróż do Anglii, Storpedowanie okrętu "Empress of Canada".	
IX. Na Gościnnej Wyspie Albionu.....	314
Blackpool, 300 Dywizjon Bombowy, Szkocja, Hrabstwo York i Wymarsz z Dragonami do Akcji w Normandii.	
X. Z Dragonami we Francji i Belgii .....	350
Normandia, Chambois, St. Omer, Belgia, Kanał Axel-Huilst.	
XI. W Przyjaznej Holandii .....	399
Breda, Akcja na Mozie, Bitwa pod Emmen i Borsum, Szpital, Zakończenie Wojny.	

W S T E P

Młode lata pierwszego pokolenia, urodzonego w wolnej Polsce, były piękne i radosne niczym wiosna w pełni swego rozkwitu, niczym świeża zieleni powstająca z ziemi, niczym młody las ustrojony budzącym się życiem nowej natury. W tej wiosnie Narodu każde polskie serce było przyspieszonym tentnem, dając równocześnie z siebie maksymalny wysiłek dla dobra nowo-powstałej Ojczyzny. Kierunek ten, zapoczątkowany przez myśl odrodzenia i wyrabiany w młodzieży przez rodzinę, szkołę i społeczeństwo, przygotowywał młode pokolenie do budowania głębokich wartości narodowych i odbudowania Polski pięknej i wspaniałej. Kiedy Marszałek Józef Piłsudski wołał, "dzisiaj jest wyścig pracy, jak kiedyś był wyścig żelaza, jak kiedyś był wyścig krwi", jego słowa wypowiedziały wielką myśl zadania, jakie leżało przed dorastającym pokoleniem.

Hasło Wiekiego Przewódcy znajdowało zrozumienie w każdej części kraju, lecz treść jego najsilniej przemawiała do do duszy Polaka-kresowianina na południowo-wschodniej stronie Polski. Tam wspomnienie narodowych bohaterów, Chodkiewiczów, Żółkiewskich, Sobieskich, Jazłowieckich oraz historia przeszło stu zamków, stanowiło zdrowy fundament do wprowadzania tego hasła w życie. Perspektywa nowej wolności w kontekście bogatej tradycji historycznej budowała młode charaktery, żyjące myślą wielkiego i pięknego jutra.



Druga Wojna Światowa przekreśliła brutalnie wiele wspaniałych planów i strąciła w głąbię przepaści wielkie nadzieje polskie, wprowadzając w zamian twardą rzeczywistość zniszczenia i niewoli. Kiedy czołgi najeźdźców, ze wschodu i zachodu, zniewoliły kraj do poddania się obcej władzy, w wielu Polakach obudziła się nowa myśl - myśl walki o wolność Polski. Indywidualne drogi do tego celu były różne. Jedni przekraczali granice obcych krajów, inni rozpoczęli wędrówkę po więzieniach, łagrach i obozach koncentracyjnych, jeszcze inni podjęli czynną walkę z najeźdźcą w lasach i na ulicach miast. Wielu z nich w drodze do tego celu złożyło ofiarę życia w publicznych egzekucjach, obozach śmierci, łagrach Sybiru i na polach niezliczonych bitew na lądzie, morzu i powietrzu.

Miedzy innymi był szlak polskiego dragona - szlak długi i trudny, zaczynający się w stalinowskich więzieniach i wiodący w pośredniej fazie do kopalni złota na zamarzłej Kołymie. Szczęśliwy zbieg okoliczności skierował go na drogę do Ziemi Świętej i do gościnnych wysp brytyjskich. W zimnej ale przyjaznej ziemi szkockiej, 1. Dywizja Pancerna, a w jej ramach 10ty Pułk Dragonów - to początek ostatniego odcinka jego szlaku. Krwawe walki w Noemandii - bitwy pod Jort, Trun, Chambois i na Wzgórzu Mont Ormel - to szczyt chwały polskiego oręża. Wyzwolenie północnej Francji, Belgii i Holandii to spełnienie obowiązku żołnierskiego wobec Kraju i świata.

"Wspomnienie Dragona" to obraz młodego podolskiego życia, ubrany w nędzę więziennej i łagiernej niedoli, w zgrozę wojny widzianą okiem frontowego żołnierza, w bolesny widok śmierci i w chwałę polskiego zwycięstwa. Przewrotna polityka Wschodu i Zachodu nie pozwoliła mu dojść do upragnionego celu - do wolnej

Polski. Ale na polach walki i w scianach wyzwolonych miast powstała pamięć polskiego oręża w formie grobów, znaczących białymi krzyżami, pamiątkowe tablice na murach ratuszów oraz pomniki na rynkach wielu zachodnich miast. W Polsce powojennej myśl pamięci o żołnierzu tułaczku nie znalazła większego oddźwięku. Tam razem z jego niespełnionym celem została pogrzebana i zarzucona mchem starości pamięć o jego służbie i walce o Polskę.

Może w przyszłości wspomnienie o nim obudzi pamięć o nim z szarzyzny zapomnienia i może w oparciu o nią przyszłe pokolenia polskie doszukają symbolu wielkiej idei, jaką jest służba dla Kraju i Narodu.

Autor.

## I. JAZŁOWIEC - MOJE RODZINNE MIASTO.

"Stare i historyczne miasto" - tak pisali dawni kronikarze i historycy polskich kresów, świadomi wielkiej przeszłości mojej rodzinnej miejscowości.

"Mała i nędzna mieścina" - tak powiadali przygodni turyści i nawet lokalna ludność z przed 2giej Wojny Swiatowej, dla których ruiny domów i zniszczenia wojenne były jedyną miarą oceny podolskiego miasta, przykrytego pyłem zapomnienia.

Zarówno w jednej jak i w drugiej wypowiedzi było wiele prawdy. Ale najwięcej historycznej treści kryło się pod gruzami zniszczonych budowli, pod grubą warstwą czarnej i żyznej ziemi podolskiej oraz w mrokach wieków, zapomnianym przez ludzkość. Była to nieznana prawda, której najstarsze kroniki nie zapisały, tradycja ludzka nie zanotowała w baśni i legendzie, a nowoczesna nauka nie zdołała jej jeszcze odkryć. Tylko przyszłe badania archeologów mogą dać nam pewne wiadomości o początkach pierwszego osiedla, kiedy pierwotny człowiek w pogoni za dzikim zwierzem znaczył swoje pierwsze kroki w malowniczej dolinie rzeczki Olchowca; tylko historycy mogą doszukać się czasu, kiedy pierwszy pług przewrócił urodzajną ziemię jaru; tylko wyobraźnia ludzka może wskrzesić życie ludów, które tamtę przeszły, tam zamieszkiwały i drogą wojny oraz zniszczenia znaczyły tam swoją obecność.

Zapomniane wieki nie raz jeden uchylały rąbka swojej tajemnicy człowiekowi, niemal wpychając mu do ręki świadectwo swego istnienia. Dzięki tym nikłym przesłankom jest nam wiadome, że pierwotny człowiek żył w tej dolinie w epoce kamiennej, że miał tam swoje osiedle w epoce brązu i był tam solidnie zadomowiony w początkach ery żelaznej. W trakcie swego rozwoju on tworzył na tej ziemi współczesne jemu kultury, które my znamy pod nazwą kultury grobów skrzynkowych, waz globularnych i chrześcijańskiej ery.

Tradycja człowieka, przekazywana z pokolenia na pokolenie, dała wyraz tej odległej historii drogą przekazów i legend, które przemawiają bogatą treścią do ludzkiej wyobraźni, żyją wiecznym życiem wśród mieszkańców doliny. Głęboki i piękny jar Olchowczyka przemawia do nas wielu legendami, tak pięknymi w swojej treści jak otaczające go okolice i tak bogatymi jak żyzną jest ziemia podolskiego kraju.

Jedna z nich mówi o Jasiu Łowcu, o jego drewnianym grodzie na wysokim wzgórzu i o pierwszym osiedlu w dolinie bystrej rzeczki. Inna opowiada o pasterkim ludzie nomadów, który w zielonej dolinie znalazł dogodne miejsce do wypasu trzody i nazwał ją "Jasłem Owiec". Każda z tych legend może zawierać dozę istotnej prawdy, ale też każda może być tylko tworem wyobraźni człowieka, szukającego za historią swej rodzinnej ziemi.

W ukryciu przed nami może istnieć inna prawda, która może nam rzucić światło na bardziej logiczną genezę tego podolskiego miasteczka. Czasem można ją wygrzebać drogą geograficznej etymologii i nomenklatury, czasem można się doszukać wiele znaczącej przesłanki w treści naukowej książki. Wiedza, nauka i logika rozumowania może otworzyć podwoje do starożytności i pozwolić nam na wgląd do wieków przesypanych pyłem zapomnienia. Ta droga zawiera w sobie najwięcej prawdopodo-



bienstwa odkrycia historii jaka kryje się pod nazwą "Jazłowca"; ta droga może zaprowadzić nas do początków życia ludzkiego w zielonej dolinie i pozwolić nam na odkrycie bogatej treści zamierzchłych czasów.

Stare i rozległe stepy Pontyjskie, znane nam obecnie jako płyta czarnomorska, wzbudziły wiele zainteresowania wśród ludzi nauki, którzy niejednokrotnie podjęli się zadania odtworzenia ich głębokiej przeszłości. W ich historycznych pracach czytamy o ludach Antów, Alanów I Jazygów, wchodzących w skład starego ludu Sarmatów, którzy zamieszkiwali tamtejsze tereny i nawet zarządzili słowiańskimi plemionami. W opracowaniach rosyjskich polskich i nawet amerykańskich znajdujemy informacje o kulturze i historii tych ludów. Jeden z rosyjskich historyków może zaintrygować każdego mieszkańca Jazłowca świętym słowem "Jaz", którego znaczenia my nie znamy, ale wiemy, że ono było w wielkim poszanowaniu sarmackich ludów.

Słowo to nabiera pełnego znaczenia w kontekście nazwy "Jazłowiec". Z tym wiążą się pewne tradycje zamierzchłych ludów, które zachowały się w przekazach w rejonie Kaukazu i które podał nam do wiadomości jeden z rosyjskich historyków.

Kiedy sarmaccy Antowie, zamieszkujący Wołyń, zarządzili plemionami słowiańskimi na Podolu, prawdopodobnie Dulebami, wiele spraw natury politycznej rozwiązywano drogą małżeństw między młodymi ludźmi wyższej klasy. Często dla utrzymania dobrych stosunków z tym czy innym plemieniem syn antowskiego władcy wchodził w związki małżeńskie z córką słowiańskiego księcia. Wówczas młody żonkoś, jako przyszły władca połączonych terenów, przyjmował imię, składające się ze świętego słowa "Jaz" oraz z przydomku nadanego mu przez przyszłych słowiańskich podwładnych. Cóż może być bardziej dobitnym przykładem

tej antyjsko-słowiańskiej tradycji niż nazwa JAZ-ŁOWIEC. Historycy oceniają istnienie państwa antyjskiego na czasy między 5tym a 7mym wiekiem naszej ery. Na podstawie tego możemy określić w przybliżeniu czas powstania tej nazwy na 6ty wiek. Również w oparciu o te informacje możemy przyjąć, że już przed tym czasem Dulebianie zamieszkiwali malowniczą dolinę Olchowczyka.

Znowu z historycznych prac o słowiańskiej starożytności możemy odtworzyć krótką historię ludu Dulebów. Nazwa tego słowiańskiego plemienia datuje się wstecz do 3go wieku t.zn. do czasów przesunięcia się germańskich Gotów z rejonów Morza Bałtyckiego na Krym. Według historyka, Henryka Paszkiewicza, podbite przez nich słowiańskie plemię przezwane zostało ludem Dietlieba od imienia przewódcy Gotów. Nazwa ta została później zesłowiańszczona na Dietlebów i Dulebów. Za czasów antyjskich oni wciąż byli w stadjum organizacji plemiennej. Ich rozwój był hamowany przez najazd Hunów i podporządkowanie się sarmackim ludom. W początkach 7go wieku Dulebowie reprezentowali dość poważną siłę polityczną w rejonie zachodniego Podola i dla tej przyczyny stali się głównym przedmiotem najazdu turko-irańskich Awarów. W myśl ruskich litopisów lud ten został całkowicie zniszczony a niedobitki uprowadzone do doliny Cisy w dzisiejszych Węgrzech. Nieliczne grupy uchowały się w głębokich i niedostępnych jarach podolskich rzek i po nich pozostały geograficzne nazwy, Duleby, na przestrzeni od Lwowa do Stryja.

W historycznej mozaice wędrujących ludów wyłoniła się nazwa sarmackich Chorwatów, którzy później od imienia swego wodza przyjęli nazwę Lechitów, Lachów a tereny ich zamieszkania zostały nazwane Lechistanem. Ruski Nestor i Kijowskie Litopisy wymieniają ten lud jako sąsiadów Rusi Kijowskiej; kupcy arabscy zanotowali, że kraj



Lechistanu sięgał do Morza Czarnego; nawet Ormianie, którzy przybyli na ziemię podolską w 12ym wieku używali nazwę Lachistan w odniesieniu do Polski i Polaków. Historyk N. Mołczanowski, zamieszkały w Kijowie, podaje w swojej monografii, opracowanej na podstawie ruskich litopisów, że rejony lechickie obejmowały Poboże /ujście rzeki Boh/, Podniestrze Górne i Dolne /później przezwane Podolem/ i Podkarpacie, począwszy od Pokucia na zachód. W świetle tego rejon Jazłowca należał do terenów zamieszkałych przez ludność lechicką, która nadała miastu typowo polski charakter.

Obecność ludów lechickich na Podolu można również uzasadnić istniejącą dotychczas nomenklaturą geograficzną, a zwłaszcza tą, która wiąże się z najazdem mongolskiego ludu Połowców. Po długich walkach z Rusią Kijowską lud ten ostatecznie osiedlił się na ziemi podolskiej. Z tego okresu /11ty i 12ty wiek/ pozostały nazwy geograficzne, których etymologia wyraźnie wskazuje na lechicko-połowiecko powiązania językowe. Biorąc pod uwagę nazwy miejscowości jak Trybuchowce, Koszyłowce, Ułaszkwowce i wiele innych nie trudno jest doszukać się polskich wpływów w ich kompozycji. W języku polskim tłumaczymy je na owce Trybucha, owce Koszyła i owce Ułasza. Te same nazwy w ukraińskim wydaniu - Trybuchiwci, Koszyliwci i Ułaszkivci - niezwłocznie tracą na swoim logicznym znaczeniu. To samo w sobie dowodzi, że tylko ludność polska czy lechicka mogła tworzyć taką geograficzną nomenklaturę. Podobnie ma się sprawa z nazwą miejscowości Rusiłów. W niej czytamy, że na terenach polskich podbitych przez władców kijowskich nowi zarządcy przyznali sobie specjalne tereny łowieckie. Znowu znaczenie tego słowa w języku polskim jest definitywne i niezaprzeczalne, w języku ruskim czy ukraińskim nazwa "Rusyliw" niema żadnego znaczenia.

Prawdę ludnościową tych terenów również potwierdza historyczna wzmianka o najeździe kijowskiego władcy Włodzimierza na ziemię zamieszkałe przez Lachów. Polskość tych ziem nie zniknęła w czasie ich dominacji przez książąt ruskich. Przynależność językowa tych rejonów do polskiego narodu była niewątpliwie powodem przyłączenia ich do Polski przez Bolesława Chrobrego i Bolesława Śmiałego. Taką samą pobudką musiał kierować się Bolesław Krzywousty, kiedy po zdobyciu Trembowli podporządkował sobie tamtejsze ziemie w formie lenniczego księstwa.

Również ówczesną polskość tych rejonów potwierdzają źródła Kościoła rzymsko-katolickiego. Już w początkach 13go wieku zakon Dominikanów miał swoje klasztory w Haliczu i Kamieńcu Podolskim, a z końcem tego wieku św. Jacek Odrowąż założył kościoły we Lwowie i Kijowie. Znowu drogą tych faktów możemy rozumować, że religia katolicka znachodziła swoją ostoję w ludności polskiej jeszcze nie wynarodowionej przez agresywną politykę książąt ruskich oraz Kościoła prawosławnego.

Dalszym dowodem tego jest okres króla Kazimierza Wielkiego. Kiedy król ten przyłączył Ziemię Czerwieńską do Polski, natychmiast podolski przewodca, Michał /Mużyło/ Buczacki i jego bojarzy prosili Najjaśniejszego Pana o przyjęcie ich grodów do Korony Polskiej. Po śmierci Kazimierza w odpowiedzi na zakusy węgierskie i litewskie tamtejsza szlachta, pod wodzą Michała i Teodoryka, walczyła z najeźdzcami, aż ostatecznie kraj ten został na zawsze przyłączony do Polski za czasów Władysława Jagiełły.

Jazłowiec wówczas był już wielkim i prosperującym miastem, leżącym na ważnym szlaku handlowym wschód-zachód, zwanym szlakiem bursztynowym. Ormianie, zdomowieni w jego murach od 12go wieku, znaleźli

w dolinie Olchowczyka drugą swoją ojczyznę. Ludzie przemysłu i handlu, mający połączenia handlowe i narodowe z grupami ormiańskimi na Krymie i w Kamieńcu Podolskim, stworzyli w Jazłowcu nowy punkt przemysłowo-handlowy, który zaspokajał potrzeby okolicznych rejonów i sięgał aż po nowo-zbudowany Lwów.

Za pośrednictwem ich placówek handlowych cenny towar ze wschodu - jedwabne tkaniny, dywany, wschodnie korzenie i owoce - docierały do polskich dworów i do krajów zachodnio-europejskich. Odwrotnie, zboże, srebro i bursztyny szły na rynki wołoskie /rumunskie/, greckie i tureckie. Miasto, które wówczas posiadało już murowany zamek i mury obronne, dawało im dostateczną ochronę przed tatarskimi najazdami, a przyjazne stosunki z tubylczą ludnością pozwoliły im na stworzenie prosperującej społeczności.

W 14tym wieku, "moje nędzne miasteczko" musiało być miastem o wielkim znaczeniu skoro dorównywało Lwowowi, a jego zamek nazywano twierdzą równą Kamieńcowi Podolskiemu. Ormianie mieli tam swoje biskupstwo, katolicy zbudowali wielki kościół prafialny na rynku, Dominkanie mieli swój klasztor, na cele którego Teodoryk Buczacki zapisał wioskę Niźbrody /Znibrody/ po wieczne czasy. Były tam też mury i wały, bramy i wieże, które chroniły ludność miejscową od niepożądanych gości ze wschodu. Wielki i zasłużony Polsce ród Buczackich, herbu Abdank, mający gród jazłowiecki pod swoją kontrolą, z czasem dał początek nowemu rodowi Jazłowieckich, który wkrótce zasłynął sławą na Podolu i w całym kraju. Ten ród przysporzył Koronie Polskiej hetmanów, wojewodów, starostów, statystów i słynnych rycerzy, stając się tym samym obrońcą polskich Kresów.

Kiedy wielki hetman koronny, Jerzy Jazłowiecki, baczny okiem i szablą nad granicami kraju czuwał, żaden chan tatarski nie ważył

się zapuszczać swoich zagonów w głąb ziemi Lechistanu. Raz chan Asłan chciał go przechytrzyć, ale hetman dopadł go pod Oczakowem i jego ordeę niemal w pień wyciął. Od tego czasu zamiast szukać za jassyrem w Polsce, kierował swoje nieczne zamiary w kierunku dalekiej Moskwy. Słuchy o tym doszły do Jerzego drogą ruskich wysłaników, że Asłan złupił i spalił Moskwę i ze zdobyczą wraca do swoich leży na Krymie. Hetman pośpiesznie zebrał swoje wojska i puścił się w pogon za nim. Lecz nim go dognał nagła wiadomość o najeździe Wołochów na ziemię Pokucia odwołała go do pilniejszych polskich potrzeb.

Godnym wielkiego imienia Jazłowieckich był również syn Jerzego, Mikołaj - człowiek zarówno słynny z męstwa jak mądrości politycznej. W uznaniu zasług dla ojczyzny król Stefan Batory niejednokrotnie zapraszał go do swego dworu. Nawet skierował do niego zaproszenie na swój ślub z Anną Jagiellonką, aby w czasie koronacji mieć go w swojej przybocznej świcie. Mikołaj rozumiał służbę dla kraju jako służbę dla narodu polskiego, a szczególnie dla mieszkańców swego miasta. Jako oświecony człowiek kazał księżom założyć szkołę przy parafii, dla swego ludu zbudował szpital oraz dom dla kalek i starców, a Dominikanom postawił z własnych funduszy wspaniały kościół i klasztor.

Przed swoją śmiercią, pragnąc przysłużyć się swemu narodowi po wieczne czasy, zebrał swoje wojska i ruszył z nimi na Krym, aby raz na zawsze uciąć głowę tatarskiej hydrze. W tym dalekosiężnym przedsięwzięciu, zdradzonym przez kozaków i księcia Siedmiogrodu Mikołaj ostatecznie musiał zaniechać swego wielkiego planu. Dla człowieka jego pokroju był to wielki zawód. Wkrótce po powrocie z wyprawy zachorował ze zmartwienia i ziemię podolską na zawsze pożegnał.



Brat bezdzietnego Mikołaja, Hieronim, który fortunę jazłowiecką odziedziczył, nie był wielkim politykiem i na królewskich dworach nie bywał, ale jako człowiek rycerskiego rzemiosła swojemu krajowi nie raz jeden się przysłużył. Ludzie powiadali o nim, że obóz wojskowy był mu domem, zbroja jego codzienną odzieżą, a bitwa z Tatarami tańcem i zabawą. Mając na uwadze wiek słynnego rycerza Wołodyjowskiego oraz bliskość jego Nowosiółki Kościułkowskiej wobec Jazłowca, można snuć mniemanie, że Hieronim służył mu przykładem jako rycerz kresów oraz obrońca granic Korony Polskiej.

Podczas gdy Hieronim spędzał czas na rubieżach, jego żona Eleonora, Ogstrogaska z domu, mądrze posesją jazłowiecką rządziła, a w wolnych chwilach przyjmowała na swoim dworze mistrza Gomułkę, pierwszego kompozytora Polski, i słuchała jego "sprośne" /nie religijne/ piosenki. Podczas jednej z jego wizyt mistrz Gomułka zachorował i zmarł w jazłowieckim zamku. Jego doczesne szczątki zostały pochowane na cmentarzu przy dominikanskim kościele. Eleonora, od czasu do czasu, prawowała się z Dominikanami, którzy testament Mikołaja tłumaczyli na jej niekorzyść. Po śmierci Hieronima ona wyszła zamąż za księcia Radziwiłła, który nie bardzo przykładał się do spraw jazłowieckich.

Na Hieronimie wygasł ród Jazłowieckich. Spadkobiercy jego żony, Eleonory, sprzedali "klucz jazłowiecki", składający się z czternastu wiosek, słynnej już wówczas w Polsce rodzinie Koniecpolskich. Historia miasta wiąże się z tą rodziną na szereg lat, niestety nie najpiękniejszych w dziejach Polski.

Pierwszy z nich, Stanisław, zdobył już sobie sławę nim nową własność przyjął w posiadanie. W słynnej a niefortunnej bitwie pod Cecorą, walcząc przy boku hetmana Żółkiewskiego, dostał się

do tureckiej niewoli. Wykupiony od Turków za wstawiennictwem samego króla, wiernie służył Polsce, broniąc jej wschodnich granic przed najazdami tatarskimi. W czasie pierwszego najazdu Szwedów, w bitwie pod Trzcianą pobił wojska króla szwedzkiego i z wdzięczności Bogu za odniesione zwycięstwo 37 zdobytych chorągwi złożył jako votum w kościele św. Jana w Warszawie.

Za jego czasów Jazłowiec wciąż był znanym i bogatym ormiańskim miastem. Tam kupcy ze wschodu ciągle się zjeżdżali na doroczne targi. Kiedy bynty kozackie i najazdy tatarskie odcięły kupcom dostęp do Lwowa, Jazłowiec jeszcze bardziej nabrał na znaczeniu. Niewątpliwie, były to czasy kiedy miasto doszło do szczytu swego handlowego znaczenia a tym samym do szczytowego punktu swojej wielkości.

Stanisław Koniecpolski, zdając sobie sprawę z sytuacji w kraju, dołożył wiele starań, aby taką wschodnią twierdzę, jak zamek jazłowiecki, umocnić i przygotować na wszelki wypadek. Wewnątrz warownych murów stało trzy tysiące załogi pod dowództwem komendanta, która zapewniała skuteczną obronę dla mieszkańców miasta. Zaś w mieście Imć Pan Sefarowicz, ormiańskiego rodu, na czele swojej drużyny jak sokół czuwał, aby żadnego kozackiego czy tatarskiego zagonu do miasta nie dopuścić. Istotnie tak długo, jak ci dwaj rycerze stali na straży żaden oddział kozaków czy Tatarów nie śmiał zbliżyć się do murów miasta.

W mieście było wiele bogactwa do strzeżenia. Wewnątrz murów stały trzy wspaniałe świątynie na trzech oddzielnych wzgórzach. Największa z nich na rynku, służąca wiernym jako kościół katolicki strzelała ku niebu wysokimi wieżami, aby w myśl zwyczaju Ormianom, Dominikanom i Żydom dorównać. Bogate domy z rzeźbionymi wjazdami okiennicami



zdobiły kamieniem wykładane ulice; skarbcze ormiańskie były pełne złota, klejnotów i cennych kamieni; w lochach pod ulicą ormiańską trzymano olbrzymie zapasy towaru, a w składnicy na Olchowcu przyjezdni kupcy, ze wschodu i zachodu, różnego rodzaju towar między sobą wymieniali.

Syn Stanisława, Aleksander, chowany na zagranicznych dworach, aby się uczyć sztuki rycerskiej i dworskiej ogłady, rozpoczął służbę dla kraju w bitwie z Tatarami pod Ochmatowem, jeszcze pod bacznym okiem ojca. Z chwilą objęcia przez niego twierdzy jazłowieckiej w mieście wciąż panował ład i porządek, chociaż w innych częściach Polski sprawy miały się inaczej. Krymscy Tatarzy razem z kozakami, pod wodzą Bohdana Chmielnickiego, najechali ziemie ruskie i czerwieńskie niszcząc i paląc miasta i wioski, a ludzi biorąc w niewolę. Aleksander, powierzywszy dowództwo nad załogą jazłowiecką komendantowi Chrzanowskiemu, sam poszedł w pole, aby walczyć z najeźdźcą.

Jazłowiec wyszedł bez szwanku i bez zniszczenia w ciągu długich wojen kozackich. Pozycja miasta i jego ludności zmieniła się radykalnie na niekorzyść, kiedy w 1671 roku potężna armia turecka, pod wodzą sułtana, Mahometa IV, najechała ziemię podolską. Pod uderzeniem jego wojsk padła twierdza kamieniecka, padła Jezierna, padł Tarnopol i padło wiele zamków, stojących na jego drodze do opanowania Lwowa. Tylko Jazłowiec, Buczacz i Trembowla nie uległy jego przemocy.

Kilka lat później wojska tureckie, tym razem pod wodzą wezyra Szejtana, ponownie najechały polskie rubieże z myślą podboju świata chrześcijańskiego. Polskie twierdze, jedna po drugiej, padały przed jego potęgą. Tym razem Jazłowiec, Buczacz i Trembowla podzieliły los poprzednio zniszczonych zamków. Jazłowiecki zamek nie został jednak zniszczony. Turcy zachowali go dla swojej załogi.

Piękne i bogate miasto w dolinie Olchowczyka legło w gruzach. Zamożniejsza część ludności, Ormianie, dla bezpieczeństwa uszli z majątkami do Lwowa, aby do swojej jazłowieckiej własności nigdy nie powrócić. Pozostała część pozostałej ludności została wzięta do niewoli przez okupantów i sprzedana na rynkach mołdawskich. Zaś zwycięski basza turecki, rozkoszując się władzą, popijał wino z jazłowieckich winiarni i w opustoszałym mieście kazał sadzić drzewa owocowe, aby z dalekiej Turcji nie musiał sprowadzać południowych owoców.

Okupacja turecka trwała tylko osiem lat. Bitwa pod Wiedniem gwałtownie zahamowała ich postęp w kierunku Europy. Równocześnie w południowej Polsce okupowane przez nich tereny zaczęły powracać pod polską władzę. Król Jan Sobieski po zwycięskiej bitwie pod murami stolicy austriackiej natychmiast skierował część swoich wojsk ku polskim ziemiom południowo-wschodnim. Po przejściu przez rzekę Dniestr, król na czele armii stanął na wzgórzu przed Jazłowcem i kazał ogień swojej artylerii skierować na zamek. Przestraszony basza wnet posłał posłów z propozycją poddania zamku i miasta. Przy wyjściu z miasta dowódca tureckiej załogi stanął przed królem i zapłakał nad swoim losem, wiedząc że za poddanie twierdzy sułtan ukarze go śmiercią. Królowa Marysienka, zdjeta litością, przyjęła go pod swoją opiekę i osadziła na swoich dobrach w centralnej Polsce.

Po tej wojennej nawałnicy pokój ponownie wrócił do Jazłowca. Jednak poważne zniszczenia przez nią spowodowane, nie pozwoliły miastu podnieść się z upadku. Pewna ilość mieszkańców powróciła do swoich pustkami świecących domów, ale odbudowanie miasta do dawnej wspaniałości było poza ich fizycznymi i materialnymi

możliwościami. Narbardziej przedsiębiorcza i najzamożniejsza grupa przedwojennego społeczeństwa, Ormianie, tylko w nielicznej części powróciła do swego dawnego miasta. Większość ich kamienic stała pusta, przedsiębiorstwa handlowe i rzemieślnicze, raz zapoczątkowane we Lwowie, nigdy nie wróciły do Jazłowca. Tylko mała grupa żydowskiej ludności wzięła się do handlu, ale ona była ilościowo za mała, aby Jazłowiec podnieść z upadku. Społeczeństwo na nowo stworzone mogło się ledwie zdobyć na skalę życia małego prowincjonalnego miasteczka.

W zapiskach z tego okresu znalazła się mała notatka w dokumentach miejskich o Bartłomieju Kowalskim, tkaczu z podmiejskiej miejscowości, Browary. Człowiek ten, może jeden z moich dalekich przodków, dla jakiejś przyczyny pobił miejskiego policjanta, za co został osadzony w areszcie. Jego cech /tkacki/, uznany za współwinnym przestępstwa, musiał publicznie przeprosić urząd gminny za tak niecny uczynek swego członka. Uczynek ten, wprawdzie niecy, ale niezbyt haniebny, miał tą dobrą stronę, że dał mi świadectwo istnienia mego nazwiska w Jazłowcu już w początkach 18go wieku.

Upadek miasta nie zmniejszył jednak znaczenia zamku, jako potężnej twierdzy kresowej. Używany przez Turków, jako ich baza wojskowa, wyszedł z tej wojny nietknięty. Dlatego po ustąpieniu Turków nadal spełniał obronne zadanie wobec kraju. Ponownie obsadzony załogą przez Aleksandra Koniecpolskiego przyjął swoją dawną rolę, ale już w mniejszym zakresie.

Spadkobiercy Koniecpolskiego sprzedali klucz jazłowieckiej znanej i zamożnej rodzinie Lubomirskich. Później, prawdopodobnie drogą małżeństwa majątek ten przeszedł w ręce Stanisława Ciołkosza Poniatońskiego.

Z chwilą przejścia Jazłowca na własność Poniatowskich część polskiej historii znowu otarła się o jego mury. Nowy właściciel już wcześniej stał się osobistością polityczną w całym kraju. W czasach ogólnej niestabilności w państwie i wielu krzyżujących się prądów Stanisław Ciołkosz zaangażował się aktywnie po stronie stronnictwa piastowego, którego głównym reprezentantem był późniejszy król Stanisław Leszczyński. Głównym celem tego stronnictwa był wybór króla narodowości polskiej oraz usunięcie wpływów obcych narodów, sąsiadujących z Polską, od wewnętrznych spraw kraju. Dla tej przyczyny Poniatowski stanął po stronie Karola XII, króla Szwecji, gdy ten interweniował w Polsce na rzecz Leszczyńskiego. W dalszej konsekwencji tego brał udział w randze szwedzkiego generała w bitwie pod Połtawą przeciwko armii rosyjskiej. Niestety wyprawa króla szwedzkiego w głąb Rosji zakończyła się niepowodzeniem, w wyniku czego król niemal dostał się w ręce rosyjskiego cara. Wprawdzie Poniatowski ocalił go od niewoli, ale wielkie plany polskie obalenia wpływów cara w kraju spełzły na niczym.

Po powrocie z nieudanej wyprawy Stanisław Ciołkosz zamieszkał w Jazłowcu, w nowo-wybudowanym pałacu, skąd wdalszym ciągu prowadził działalność polityczną dla ccalenia kraju od zbliżającej się katastrofy. Tutaj pisał i stąd rozsyłał manifesty do szlachty, nawołując ją do opamiętania się w nierealnym pędzie do rozkładu państwa i narodu. Niejednokrotnie zabierał głos przy różnych okazjach, ostrzegając rodaków przed tragicznymi skutkami ich swawoli. Jego rady i wołanie niestety trafiały na zamknięte uszy

Jego majątek jazłowiecki również potrzebował dużo wkładu jego energii oraz materialnych środków, aby podnieść się ze stanu ogólnej stagnacji. Pierwszym celem nowego właściciela było ożywienie



handlu i rzemiosła, które spoczywały głównie w rękach żydowskiej grupy ludnościowej. Sprawę tą starał się przeprowadzić przez udzielenie Żydom subsydiów i pomoc w organizowaniu przedsiębiorstw powyższej natury. Jego działalność szła również w kierunku podniesienia standardu życiowego wśród pozostałej ludności. Dlatego biednym i potrzebującym rozdawał zapasy zboża i odbudowywał urządzenia miejskie, leżące w gruzach od czasów wojny tureckiej. Ten raczej niezwykle człowiek, jak na ówczesne czasy, zmarł w wieku 84 lat, pozostawiając w spadku dobra jazłowieckie swemu najstarszemu synowi, Stanisławowi Augustowi, przyszłemu królowi Polski.

Pan na Jazłowcu - królem Rzeczypospolitej Polski - to nawet dla zubożałego mieszczanina zniszczonego miasteczka musiało wyglądać imponująco. Prawdopodobnie tak było na początku, ale w miarę zwiększania się ciężarów podatkowych celem utrzymania królewskich wojsk, pierwszy zachwyt musiał ustąpić miejsca rozczarowaniu. Jeszcze większym rozczarowaniem był każdy z kolejnych rozbiorów Polski oraz ostateczne zrzeczenie się korony przez króla.

W tym tragicznym rozwiązaniu problemu narodowego nie było zaszczytu dla Pana na Jazłowcu i radości dla jego poddanych. Dla mieszkańców miasta był to początek autryjackiej okupacji oraz okres długotrwałych sporów między Potockimi, nowymi właścicielami Jazłowca, oraz mieszczaństwem, starającym się utrzymać swoje dawne przywileje, nadane im przez dawnych królów Polski. Potoccy, mając na względzie stronę materialną swojej posiadłości i związanych z tym dochodów, starali się sprowadzić mieszkańców miasta do stanu poddanego chłopu. Szereg rozpraw sądowych oraz apelacje do władz autryjackich nie odnosiły pożądanego skutku. Notatki gminne tego okresu nie zanotowały ostatecznego rozwiązania tej sprawy.

Na domiar tego, władze autryjackie, które dążyły do ukrócenia wpływów Kościoła katolickiego w nowo-nabytych terytoriach oraz ukrócenia polskości, zamknęły szereg kościołów i klasztorów.

Z tej racji w Jazłowcu zamknięto kościół parafialny i kaplicę paulinów w zamku oraz zamieniono kościół dominikański na magazyn wojskowy. Ludność polska, pozbawiona swoich świątyń, była zdana na łaskę cerkwi grecko-katolickiej, na Browarach. Rezultatem tego było wynarodowienie się pewnej grupy katolików, zwłaszcza tych mieszkających w pobliżu cerkwi.

W stosunkowo krótkim czasie przynależności do rodziny Potockich /1777-1800/, w mieście zaszło wiele zmian na niekorzyść jego oraz jego ludności. Stan mieszkańców wybitnie się zmniejszył; niestrzeżony zamek zamienił się w ruinę; wspaniały pałac Poniatowskich został zaniedbany; a centrum miasta, niegdyś pełne kupców i kupujących, przedstawiało obraz całkowitego pustkowsia. Ponadto dodatkowe ciężary i obowiązki zrównały przeciętnego obywatela w uprawnieniach do stanu poddańczego ludu wiejskiego. Polskie tradycje o podłożu religijnym nie pozwoliły jednak na zniknięcie poczucia narodowego z murów tego starego miasta.

Sytuacja poprawiła się wybitnie za następnymi właścicielami Jazłowca. Za Grudnickich władze austriackie pozwoliły na otwarcie kościoła katolickiego, co było wielką zdobyczą moralną. Za Głazewskich Jazłowiec zaczął dzwigać się z upadku.

Reaktywizacja życia rozpoczęła się od przywrócenia miastu prawa samorządu, obrania rady miejskiej z burmistrzem na czele, oraz powstania dawnych cechów rzemieślniczych. W niedługim czasie potem zbudowano szkołę, założono resort kuracyjny, otworzono pierwszą aptekę i wprowadzono dawne jarmarki wtorkowe. Za staraniem Głazewskich



władze austrijackie zbudowały szosę o twardej nawierzchni, łączącą Buczacz z miasteczkiem Tłuste, która przebiegała przez Jazłowiec. To otworzyło możliwości komunikacyjne Jazłowca w stronę południową i północną. Głazewscy również zbudowali nowy masywny ratusz z ciosanego kamienia oraz przyległy do niego hotel-gospodę dla przyjezdnych. W tym czasie wikary parafii jazłowieckiej, ks. Sadok Barącz, napisał pierwszą książkę o Jazłowcu "Pamiętki Jazłowieckie", ujmując w niej w niej wszystkie osiągalne dla niego wiadomości o dziejach tego starego polskiego grodu.

Stary, rozpadający się pałac Poniatowskich również dźwignął się z ruiny. Z inicjatywy siostry Darowskiej, założycielki zakonu Niepokalanek, pałac został odnowiony i stał się siedzibą jej zakonu. Tym samym ta stara wspianiała budowla stała się ośrodkiem religijno-naukowym. W założonym tam gimnazjum młode panny zamożnych domów szukały wykształcenia, ogłady i przygotowania do życia, jakie przed nimi stało otworem.

Z chwilą rozpoczęcia działalności nowego zakonu, w Jazłowcu zrodził się kult jego nowej patronki, Matki Boskiej Niepokalanego Poczęcia. Z czasem, dzięki otrzymanym łaskom za jej pośrednictwem, kult ten rozprzestrzenił się daleko poza granice miasta, nie tylko na zabór austrijacki, ale też na całą Polskę.

Wiek XX miał się już ku koncowi, kiedy dwóch przyjaciół, znanych miejscowej ludności jako dwaj "mali Janowie", weszło na arenę życia politycznego i społecznego w murach Jazłowca. Dzięki ich współpracy w samorządzie miejskim i w zakresie odbudowy miasta w społeczeństwie nastąpił jakgdyby nowy okres odrodzenia. Jeden z wizytujących turystów opisał ówczesny stan miasta następującymi słowami: -  
"Wiele starych domów z podniesieniami na słupach i wiele innych

o przepięknie rzeźbionych odrzwiach i okiennych obramowaniach znowu przybrało swój wspaniały wygląd z XVI i XVII wieku."

Mniej więcej w tym samym czasie /1888 r./ w jednym z takich domów, w dzielnicy żydowskiej, przyszedł na świat syn w rodzinie Czaczkiesów. Rodzice nadali jemu imię Samuel, Józef. Nikt wtedy nie przypuszczał, że młody żydowski chłopak, Szmul czy Szlomko, jak go nieżydowcy sąsiedzi mogli nazywać, osiągnie światową sławę, jako laureat nagrody Nobla w dziedzinie literatury. Nawet współcześni mu Żydzi jazłowieccy nie mieli podstaw do przewidywania, że ten chłopak stanie się jednym z największych pisarzy narodu Izraela pod przybranym nazwiskiem - Amuel Joseph Agnon.

Dalszy rozwój tego podolskiego miasteczka został gwałtownie zahamowany przez następny kataklizm dziejowy, jakim była Iśza Wojna Światowa.

Już w pierwszych miesiącach akcji militarnej zawierucha wojenna zebrała swój bogaty plon w zielonej dolinie podolskiego miasteczka. Stara, historyczna miejscowość, odbudowana tak wielkim wysiłkiem społeczeństwa, zamieniła się w ciągu jednego dnia w kompletną ruinę. Wojska rosyjskie, stacjonujące w domach żydowskich, przez nieostrożność lub rozmyślnie, wzniciły pożar, który naskutek silnego wiatru szybko się rozprzestrzenił i pochłonął centralną część miasta razem z ratuszem oraz zabytkową synagogą.

To nagłe i niespodziewane zniszczenie miasta stało się przyczyną masowej emigracji ludności żydowskiej do krajów Zachodu, a przede wszystkim do Stanów Zjednoczonych. Po wojnie rejon zamieszkały przez Żydów świecił ruiną murów, sterczącymi kominami i ogólnymi pustkami. Tak żywotne miasto z przed kilku laty stanęło u progu swojej całkowitej zagłady.

Wojna, chociaż długa i okrutna, w konkretnych skutkach okazała się dobroczynną dla polskiego narodu. Traktat pokojowy w Wersalu /1918 r./ przyniósł Polsce upragnioną wolność po niemal półtora-wiekowej niewoli. W starym historycznie polskim zamku w Jazłowcu po raz pierwszy od wielu lat pojawiła się biało-czerwona flaga. Polskie barwy również zawisły na wieży kościelnej i na szczycie klasztornego dachu z herbem Poniatowskich poniżej. Wolność i niepodległość stały się rzeczywistością, chociaż na rubieżach nowo-powstałego państwa jego granice wciąż były problematyczną sprawą. Ustalenie ich na wschodzie i zachodzie wymagało zbrojnej interwencji ze strony polskiej ludności i ochotniczej polskiej armii, co we wschodniej Galicji przybrało charakter lokalnej wojny.

Ukraińskie bandy nacjonalistyczne, uzbrojone przez wycofujących się Austryjaków, rozpoczęły akcję terrorystyczną przeciw polskiej ludności, kierując się ich starym hasłem "Smert Lacham". Polskie oddziały wojskowe, zaangażowane wówczas w innych częściach Polski nie mogły stanąć w obronie południowo-wschodnich Polaków. Wielu z nich padło ofiarą akcji ukraińskiej, wielu z nich chwyciło za broń i stworzyli własną samobronę, jak młodzi chłopcy we Lwowie. Jazłowiec też poniósł ofiary. Wielu Polaków zostało aresztowanych przez Ukraińców, wielu zmalretowano do krwi, a dwaj młodzi Piwowarscy ponieśli śmierć na oczach swoich rodziców. Bardziej przezorni uszli do Stanisławowa, aby szukać bezpieczeństwa w szeregach Armii Halera, przybyłej z Francji.

Pomoc dla ludności polskiej w Jazłowcu była dwojakiego rodzaju. Porucznik Stanisław Maczek, późniejszy dowódca 1szej Dywizji Pancerniej na Zachodzie, zajął ze swoim plutonem pozycje na Księżynie i stamtąd czuwał nad bezpieczeństwem klasztoru i przebywających

sióstr zakonnych i młodych panien pod ich opieką. Poważniejsza pomoc przyszła od strony południowej. Polski pułk kawalerii, zorganizowany na dalekim Kubaniu, przeszedł granicę rumuńską w Besarabii i atakując po północnej stronie Dniestru, rozpoczął akcję przeciwko Ukraińcom w kierunku na rzekę Zbrucz. Do największej i decydującej bitwy doszło pod wioską Kadłubiska, odległej o kilka kilometrów od Jazłowca.

W bitwie tej polski pułk w brawurowej szarży rozbił w proszek dobrze uzbrojoną brygadę ukraińską. Tego samego dnia zwycięski oddział wkroczył do Jazłowca, entuzjastycznie witany przez polską ludność i siostry zakonu Niepokalanek. Z racji tej zwycięskiej bitwy pułk przyjął nazwę 14go Pułku Ułanów Jazłowieckich, a datę zwycięstwa uznano za dzień święta pułkowego. Jazłowiec znowu stał się częścią polskiej historii, jakby dla podkreślenia polskości tego starożytnego miasta.

Po wkroczeniu wojsk polskich pokój ostatecznie ustalił się w dolinie podolskiego miasteczka. Przed ludnością i jej nowo-obranym zarządem pod kierownictwem burmistrza Władysława Kuriańskiego stało olbrzymie zadanie dźwignięcia miasta z wojennej ruiny. Kresowy patriotyzm, inicjatywa administracji i prywatna oraz wspólny wysiłek całego społeczeństwa w pewnych granicach zdołały sprostać temu zadaniu.

W ciągu dwudziestu lat niepodległości miasto mogło poszczycić się nowym ratuszem, nowym Polskim Domem, nową siedmio-klasową szkołą, nowymi chodnikami i światłami ulicznymi. W zakresie handlu i rzemiosła odbudowano rynek, otworzono wiele nowych sklepów, zorganizowano okręgową mleczarnię i centralny zakup zboża. W ramach prywatnej inicjatywy powstało wiele dwu-piętrowych domów, na ruinach w centrum miasta zbudowano szereg kamienic a kahał żydowski odbudował swoją



starożytną synagogę. W dziedzinie szkolnictwa, poza wyżej wspomnianą szkołą, siostry Niepokalanki otworzyły szkołę powszechną dla lokalnych dziewcząt, a chętnym udostępniły gimnazjalne wykształcenie w ramach istniejącej już szkoły gospodarczej.

Jazłowiec powoli zamieniał się w prosperującą i żywotną miejscowość podolską z wielkimi planami dalszej rozbudowy, przewidywanymi przez radę miejską i burmistrza. W chwili nowych osiągnięć i nowych nadziei ponowna zawierucha wojenna przerwała dalszy rozwój miasta i znowu zamieniła go w ruinę. Dla zatarcia jego polskiej przeszłości nawet wymazała jego nazwę z mapy Europy aż do czasu upadku komunizmu w rejonach sowieckich

Wczesnym rankiem, dnia 1go września 1939 r., połączny dźwięk dzwonu kościelnego odezwał się przenikliwym głosem trwogi i brzmiał niekończącym się echem w spokojnej dolinie Jazłowca. Proboszcz jazłowieckiej parafii, ks. Andrzej Kraśnicki, wybiegł z probostwa szukając za przyczyną dźwięku kościelnych dzwonów. "Chyba pożar" - pomyślał i w lekkiej narzutce pobiegł w kierunku dzwonnicy. Jego bystre oczy, spoglądając ze wzniesienia kościelnego na miasto, nie dojrzały niczego, co mogłoby uzasadnić ten nagły alarm o tak wczesnej godzinie. Jego twarz przyjęła wyraz zgorzenia, kiedy w osobie ciągnącej za sznury rozpoznał burmistrza miasta.

"Panie burmistrzu," proboszcz zawołał zdaleka - " jak pan może używać bez pozwolenia kościelnej własności?"

Zadyszany burmistrz, nie przerywając swojej czynności, zakrzyknął odwrotnie:

"Księżę proboszczu, kiedy ojczyzna w niebezpieczeństwie, wtedy niema kościelnej własności!"

"Co pan powiada - jakie niebezpieczeństwo?" ksiądz zapytał.

"Jak to, ksiądz nie wie? Dzisiaj rano Niemcy zaatakowali nasze zachodnie granice."

" To być nie może - to być nie może..." ksiądz Kraśnicki powtarzał w osłupieniu.

Po chwili też uczeplił się rękami sznura i razem z burmistrzem targał go całą siłą, aż rozhuśtany dzwon podnosił ich obu na nogach.

"Może wystarczy?" szepnął zadyszany burmistrz.

"Może tak..." zawtórował proboszcz.

Obaj poważani i szanowani obywatele miasta podali sobie dłoń przed rozstaniem się. Podczas tego uścisku nikomu z nich nawet nie przyszło na myśl, że ten poranny dźwięk dzwonu był ostatnim głosem trwogi w wolnym Jazłowcu. Również żaden z nich nie wzbudził w sobie najmniejszego podejrzenia, że nowa zawierucha wojenna zabierze ich ze sobą i stanie się przyczyną ich przedwczesnej i tragicznej śmierci. W żadnym z nich nie powstała nawet najbardziej znikoma myśl, że razem z nimi stara i historyczna nazwa ich miasta zniknie na długi czas z mapy Europy.

W tej krótko-trwałej wojnie Jazłowiec złożył bogatą ofiarę życia swoich obywateli na wielu polach bitew. Na zachodnich rubieżach - może na Śląsku, może pod Kutnem, a może pod Warszawą - zginęli młodzi ludzie, moi towarzysze zabaw i koledzy z ławy szkolnej. W nieznanym miejscu i może w nieznanym grobie spoczęli moi rówieśnicy i przyjaciele - Kazimierz Kowalski, Władysław Krajewski, Kazimierz Kurjański, Stanisław Kuriański i Jan Rola. Ich poświęcenie życia było tylko początkiem długiej serii ofiar polskiej ludności mojego rodzinnego miasteczka. Jazłowiec, jak w wielu poprzednich zawieruchach wojennych skrwawił się boleśnie życiem polskiego i żydowskiego obywatela.



Po krwawych dniach września, 1939 roku, wojna z czasem zażądała więcej ofiar od polskiego narodu. Wielu oddało życie na odległych polach bitew, wielu zginęło bez śladu w więzieniach, obozach koncentracyjnych i sowieckich łagrach, lecz najczęściej obywateli miasta Jazłowca poniosło śmierć od zdradzieckiej kuli ukraińskiego nacjonalisty. Żadnemu z tych ludzi nie postawiono pomnika czy nagrobka, nikt ich grobów nie ubiera w kwiaty, a ich rodziny nawet nie wiedzą gdzie spoczywają doczesne szczątki ich najbliższych. Może jednak mury starego zamczyska i ruiny miasta zachowają na wieczność wspomnienia o nich, jako dowód pamięci o wielkich a zapomnianych bohaterach Jazłowca.

## II. MŁODE LATA NA PODOLU.

W małym, wojną zniszczonym miasteczku Jazłowca, w połowie 1920 roku po raz pierwszy ujrzałem świat ludzki okiem niemowlęcia, w krótkiej przerwie między krwawymi rządami Ukraińców, a najazdem bolszewickim, kiedy Jazłowiec był wolny i prawdziwie polski. W tym miasteczku również przyszli na świat - w niemal równych trzyletnich odstępach czasu - moi dwaj młodsi bracia Franciszek i Tadeusz. Na tej polskiej i podolskiej ziemi stawialiśmy swoje pierwsze kroki i poznawaliśmy, każdy w swoim okresie, mniej lub bardziej zrozumiałe aspekty życia w głębokiej a spokojnej dolinie, niemal odizolowanej od reszty współ-obywateli świata.

W białym domku na zboczu doliny, który tylko cudem uniknął zniszczenia I-szej Wojny Światowej, odkrywałem cuda stworzone przez Boga i człowieka, poznawałem ludzi z najbliższego otoczenia i bez przerwy obcowałem z historią starą i wielką, ale wówczas o nieznannej dla mnie treści. Tak daleko wstecz, jak mogła sięgać moja dziecienna pamięć, widziałem przez okno górujące nad miastem potężne mury zamczyska, białe mury klasztoru niemal całkowicie zakryte przedemną zielenią dębów i świerków, pod kątem docierał do mnie widok masywnego polskiego kościoła, a w mojej najbliższej okolicy rozpościerały się ruiny spalonych żydowskich domów oraz ratusza. Przyj-  
mowałem wszystko wizualnie, jak dziecko, nie mając głębszego

rozeznania wielkiej przeszłości, jaka się w tym kryła, nie mając najmniejszego zrozumienia dla dziejów, przysypanym gruzem i mchem zapomnienia. W moim dzieciennym rozumieniu świat wokół mnie urodził się w takim stanie w jakim go widziałem i w takim stanie miał dotrwać do swego tragicznego końca.

Następne dziesięć młodych lat pozwoliło mi na rozszerzenie moich wizualnych i myślowych horyzontów. Moja rozwijająca się świadomość otoczenia zaczęła rejestrować w pamięci dalsze odkrycia poza murami zamku jak ruiny ormiańskiego kościoła, ormiańską "kiernicę" czyli studnię, gdzie w źródlanej wodzie gosposie prały bieliznę, mury synagogi, stojącej dumnie na wzgórzu ponad domami wyznawców Jehowy, oraz masywny kościół katolicki, dokąd co niedzielę chodziłem z rodzicami na Mszę Świętą.

Świat moich dzieciennych lat rósł razem ze mną i stopniowo wychodził poza granice doliny, rozprzestrzeniając się w każdą stronę daleko iszeroko. Mój wzrok z jednej strony sięgał po żyzne pola, latem przystrojone bławatem i kąkolem, a z drugiej strony błąkał się po zielonym lesie, zamkniętym następną doliną, którą płynęła błyskotliwa wstęga rzeki Strypy. Nie raz jeden w towarzystwie moich rówieśników biegłem krętymi dróżkami do tej rzeki, by się ochłodzić w orzeźwiającej a przeźroczystej wodzie. Nie raz jeden razem z moimi młodszymi braćmi krążyłem ze dzbanuszkami lub koszykami w ręku, aby zbierać słodkie i aromatyczne poziomki, albo zdrowe, czerstwe i bronzowe prawdziwki. Bogata ziemia podolska raczyła nas obficie swoimi darami, a my korzystaliśmy z każdej okazji, aby doznać jej dobrodziejstw.

Dla mnie ten mały świat był krainą szczęścia i radości życia, gdzie sąsiedzkie współżycie, wzajemny szacunek między ludźmi

i miłość bliźniego stworzyły metamorfozę Shang-ri-la, piękne, cudowne i jedyne na świecie.

W tym głębokim jarze elementy natury i charakter człowieka połączyły się razem w jeden urok piękna i dobrej woli, aby nadać mojemu rodzinnemu miasteczku wyraz szczęścia i spokoju dla mnie, dla mojej rodziny i krewnych oraz dla moich sąsiadów bez względu na różnice religijne czy narodowościowe.

W takim układzie elementów życia, człowiek -pan i właściciel wszystkiego, co go otaczało - koordynował ludzkie plany i zamiary ze schematem otaczających go cudów natury, aby zlać wszystko w mozaikę kolorów, w chóralny śpiew ptaków i w pięknie krajobrazów, aby żyć w tym zakątku świata według praw bożych i ludzkich.

Cokolwiek było pożądanym pięknem dla oka, było też pożywieniem dla duszy i umysłu.

Cokolwiek byli cudem natury, było, było też szczęściem życia dla człowieka.

Cokolwiek było harmonią dźwięków, było też czarowną melodią dla młodego serca.

W tym dzieciennym świecie widziałem i znałem wielu ludzi. Każdy miał swoje znaczenie dla mnie i miał bliższe lub dalsze powiązania ze mną. Moi kuzynowie , Kowalscy i Kuriańscy, byli moimi krewnymi oraz towarzyszami zabaw. Dubasowie, Sawczukowie i Helerowie byli sąsiadami moich rodziców. Burmistrz, kierownik szkoły, naczelnik poczty, księża i siostry zakonne byli ludźmi wyższej klasy i większego autorytetu dla których miałem wiele poważania i szacunku. Wreszcie byli inni ludzie, którzy ze względu na swoje specyficzne cechy zwracali na siebie moją uwagę. Wśród nich trudno byłoby pominąć Durną Franję, mieszkającą w chatynce pod lasem, dokąd nikt z nas



młodych i małych nie odważył się podejść w obawie przed jej siekierą. Na miejskiej paczce ze śmieciem w pogodne dni lata przesiadywał Durny Josio, który z wysokości tego sanitarnego urzędu groził laską każdemu przechodzącemu człowiekowi. Byli też inni, mniej widoczni, ale nie mniej dziwaczeni i nie mniej zasługujący na ludzką litość.

Już wtedy byłem zdania, że oni wszyscy, tak jak ja, są ulepiani z tej samej gliny, aczkolwiek nie wszyscy byli świadomi tego. Nigdy nie brałem za złe ludziom odmiennych poglądów, ponieważ oni tak jak ja mieli przywilej samodzielnego myślenia. W tym czasie moje rozumowanie opierało się na bardzo prostej idei - co jest dobre dla mnie powinno być również dobre dla mego sąsiada. Takie myślenie również zawierało w sobie pewne zastrzeżenie - nikt z nas nie ma prawa zabraniać jeden drugiemu wyznawanie takich zasadniczych wartości jak miłość, przyjaźń i dobra wola. Poza tymi granicami nie widziałem przyczyny poniżania kogoś za wyznawanie swoich bogów.

W późniejszych latach życia kwestionowałem swoje dziecinne poglądy i wtedy zadawałem sobie pytanie: "czy mój mały światek był istotnie realną rzeczywistością, czy też był tworem mojej dziecinnej wyobraźni?" W owym czasie i ówczesnych warunkach musiał to być świat rzeczywisty, bo żyłem według jego zasad i w nim znalazłem pewne prawdy, które poszły ze mną do dalekich krajów. Dzięki takiemu przekonaniu zabrałem je z sobą do każdego miejsca, dokąd poniósł mnie los-szarlatan. Te prawdy świeciły niczym niczym przewodnia gwiazda na niebie, które w okresie niebezpiecznych doświadczeń prowadziły mnie do bezpiecznej przystani. W nich szukałem odbicia moich krewnych i sąsiadów, aby na odległość dzielić się z nimi moim smutkiem i moją radością. W nich widziałem szare mury zamku, aby w nich złożyć moje bóle i cierpienia.

Moje lata cierpień i bólów były jeszcze daleko przede mną, kiedy rodzice podjęli decyzję posłania mnie do buczackiego gimnazjum, aby tam w murach szkoły pod nadzorem profesorów odkrywać tajemnice wiedzy. Rozstanie się z zaciszem domowym i beztroskim życiem w dolinie mego miasta było dla mnie olbrzymią i przerażającą zmianą. Ale życzenie rodziców i zachęta nauczycielki Selzerowej miały silniejszy wpływ na mnie niż moje skryte obawy. Wtedy nie rozumiałem, że bez przezwy-  
ciężenia obaw człowiek nie zrobiłby postępu, ale to przyszło do mnie naturalnie bez większego bólu.

Ledwie pierwszych dziesięć lat mego życia minęło, kiedy na furmance, wyładowanej po brzegi siennikami, tobołkami i kuferkami, dwaj moi kuzyni, Julek Kuriański i Kazio Kowalski, i ja opuściliśmy cichy i spokojny Jazłowiec, może z żalem w sercu ale z nadzieją w duszy poznania większego i lepszego świata. Różne wówczas myśli chodziły mi po głowie wśród których przeważała obawa, że pozostawiam za sobą coś mi znanego w zamian za obietnice, które mogą okazać się pustką, zagrażająca memu dalszemu istnieniu. Ostatecznie po zrobieniu pierwszego kroku w kierunku odkrywania nowych tajemnic za dalekim horyzontem cofnięcie się wstecz nie miałoby wielkiego poparcia w mojej naturze.

Pierwsze tajemnice obcego świata otworzyły drzwi przedemną, kiedy zjeżdżając wdół serpentyną od strony Trybuchowiec zobaczyłem przed sobą miasto Buczacz, szeroko rozprzestrzenione w jarze rzeki Strypy, znanej mi w innym miejscu z wcześniejszych jazłowieckich wycieczek. Moje ciekawe oczy śledziły odkrywające się przede mną aspekty innego świata w większym wydaniu niż ich jazłowieckie odpowiedniki. Może nie wszystkie były większe, bo ruiny zamku, sterczącego niebezpiecznie nad przepaścią jaru, nie były tak imponujące, aby wzbudzić we mnie

natychmiastowy zachwył. Niewątpliwie mury te reprezentowały daleką historię, ale w tym czasie moja ciekawość w tym kierunku była minimalna, a zwłaszcza tendecje poznania lokalnych zabytków.

Gdybym wtedy miał okazję wglądnięcia w ich przeszłość może patrzyłbym na to zabytkowe miasto terminami rodu Buczackich, herbu Abdank i szukałbym ich rodowych powiązań z Jazłowieckimi. Może też doszukiwałbym się w pamięci wzmianki o dwóch słynnych kresowych rycerzach buczackiego rodu, Michałem i Teodorykiem, którzy w nieustannych walkach z Litwinami, Tatarami i Wołochami sławę sobie w Polsce przysporzyli, a od polskich królów wiele łask otrzymali.

W swojej wyobraźni odtworzyłbym rycerską postać tureckiego sułtana, Mahometa IV, który z wysokości serpentyny mierząc okiem mury wysokiego zamku, patrzył na nie jako na swoją następną zdobycz. Prawdopodobnie on nie zdawał sobie sprawy z tego, że murów pod nieobecność męża broniła Maria Potocka, wprawdzie białogłowa, ale osoba rycerskiego ducha. Gdy wiadomość o tym dotarła do sułtana, ten niepokonany dotychczas wojsk muzułmańskich odstąpił od murów twierdzy, bo jemu nie godziło się walczyć z osobą w niewieścich szatach.

Możebym wtedy snuł porównania z dowódcą następnej wyprawy tureckiej na Polskę, Szejtanem, który w kilka lat później też stanął pod murami zamku, bronionego tym razem przez samego Potockiego. Tym razem twierdza nie zdołała się oprzeć tureckiej potędze. Po krótkiej walce załoga się poddała, a zamek został rozebrany do fundamentów. Gdzieś z tyłu za zamkiem polska szlachta podpisała haniebný traktat, oddając bogate ziemie podolskie pod panowanie tureckiego władcy.

Gdybym był śledził wówczas dalszą historię miasta, byłbym się zaklinał na wszystkie cnoty ludzkie, że król Jan III Sobieski, po zdobyciu Jazłowca, stanął w otoczeniu licznej świty na tej samej

serpentyńie i patrzył na miasto u jego stóp, czekające na wyzwolenie. Słynna wówczas rodzina Potockich wprawdzie nie mogła go przyjmować w komnatach zburzonego zamku, ale zato studnia na głównej ulicy uraczyła go czystą i orzeźwiająca wodą. Z tą chwilą haniebnny traktat został raz na zawsze przekreślony szablą polskiego rycerstwa, a ziemia podolska wróciła do Polskiej Korony.

Z wysokości tej serpentyny także ja patrzyłem na miasto i też wjeżdżałem w jego mury, lecz nie jako zwycięski wódz-oswobodziciel, ale mały niepozorny chłopak, nie bardzo rozumiejący zadania jakie tam na niego czekały. Szkoła i tylko szkoła - to było wszystko co brzmiało mi w uszach, leżało mi na sercu i wypełniało moją młodą wyobraźnię.

Faktycznie budynek gimnazjalny już się ukazał przede mną po drugiej stronie miasta, wciśnięty głęboko w strome zbocze jaru i jaśniejący w letnim słońcu bielą scian oraz światłem promieni słonecznych, odbijających się od jego okien. Budynek ten widziałem już poprzednio, kiedy zdawałem wstępny egzamin do gimnazjum. Dlatego z łatwością mogłem doszukać się popiersi trzech polskich wieszczów na frontowej ścianie. Cokolwiek one symbolizowały, było dla mnie jeszcze zakrytą tajemnicą, ale zdawałem sobie sprawę z tego, że one miały jakieś specjalne znaczenie dla wszystkich studentów szkoły i takie mogły mieć dla mnie.

Gimnazjum nie było jedynym budynkiem w mieście godnym mojej uwagi. Wkrótce przede mną ukazały się barokowe kształty miejskiego ratusza, rzeźbionego w kamieniu i wciąż strzeżonego przez cztery postacie pracującego Herkulesa. Ja rozumowałem wtedy, że był to starożytny pomnik dla upiększenia miasta i odwrócenia uwagi człowieka od otaczającej go szarzyzny rynkowej, otoczonej szeregiem



kamienic i żydowskich sklepów. Widok ten ożywiała ludzka masa, poruszająca się w każdym kierunku, sprzedająca i kupująca różne artykuły, albo tak jak ja, przyglądająca się ratuszowi i rynkowemu widowisku.

Tutaj mu młodzi zeszliśmy z furmanki i w towarzystwie naszych ojców zaczęliśmy się wspinać uliczkami po stromych chodnikach i niezliczonych kamiennych schodach, aby skrócić sobie drogę do bursy, naszego przyszłego miejsca zamieszkania. Ta krótsza droga wiodła obok starych zabytków, które dla swojej wielkości i swego wyglądu nie uszły mojej uwagi. Znowu to co się przede mną ukazało było tylko zewnętrzną oprawą ukrytego symbolu dalekiej przeszłości. Pierwszym z tych zabytków na mojej drodze była synagoga, która z przyczyny swego niskiego położenia niemal uszła mojej uwagi. Tylko przelotnie moje oczy uchwyciły nieznane dla mnie hebrajskie znaki, wykute w kamieniu nad głównymi drzwiami. To było dla mnie dostatecznym świadectwem, że budynek ten mieścił w sobie świątynię ludu Izraela.

Gdybym był wtedy o wiele lat starszy i miał za sobą życiowe doświadczenie, zaglądnąłbym wtedy wyobraźnią do tej starej świątyni Jehowy, aby wewnątrz doszukać się schylonej postaci Szmula Czaczkiesa, który w piśmie hebrajskim doszukiwał się wielkości swego narodu. Może już wtedy byłbym się zapoznał z dziwnie dla mnie brzmiącym nazwiskiem Samuela J. Agnona, jednego ze słynnych żydowskich pisarzy i laureata nagrody Nobla, które symbolizowało młodego Szmula. Głębsza treść historyczna tego zabytku była nieosiągalną dla mnie, ale wrodzona ciekawość nie pozwoliła mi przejść obok tego zabytku z obojętnością historycznego agnosty. Wtedy nie bardzo zastanawiałem się nad tym, bo mój kierunek myśli został przejęty przez następną zabytkową budowlę.

Kilkanaście schodów wyżej znalazłem się na wysokości starych murów cerkwi sw. Mikołaja, starej budowli kamiennej, zbudowanej z inicjatywy prawosławnej Marii Mohylanki, żony Mikołaja Potockiego. Wtedy nie byłem jeszcze świadomy historii tej świątyni. Później wyczytałem w jednej książek, że kobieta, która wniosła do rodziny poważne skarby z Mohylova, kazała kobietom z Nagórzanki modlić się o zwolnienie jej męża z niewoli tureckiej. Mąż ostatecznie powrócił do domu, dzięki przyjaciołom, którzy złożyli się na okup, podczas gdy skarby jego żony leżały w bezpiecznych skarbcach w Potoku Złotym.

Od pierwszego wejrzenia ten ten dom boży, obmurowany wysokimi murami i obrośnięty starymi drzewami nie miałem wielkiego przekonania do tej świątyni. Nic nie ciągnęło mnie do jej wnętrza. Ponury, szary wygląd tego starego miejsca, zamkniętego w sobie, nie budził we mnie chęci poznania jego wnętrza.

Jeśli coś w religijnym zakresie przemawiałoby do mnie to przede wszystkim ruiny nieznanego mi jeszcze Monasterku, ukrytego w lesie za miastem. Tam ruiny starego klasztoru, prawdopodobnie prawosławnego, już przy pierwszej mojej wizycie kilka miesięcy później przemawiały do mnie głosem starej legendy. Patrząc na zmurszałe mury i słuchając melodii szemrzącego strumyka, słyszałem monotony śpiew mnichów, których dusze wciąż błąkały się wśród leśnego zacisza, aby głosić ludziom tragedię ich śmierci z ręki okrutnego Tatara. Tam pozostała ich krew męczeńska, ukryta w małej roślinie, która ujawniała czerwień swoich soków, gdy ktoś ją rozmyślnie ułamał. Tam też miało się kryć złoto, zagrzebane w ziemi, odkrywane od czasu do czasu przez szczęśliwców w formie drobnych cząstek albo pyłu.

Jeszcze jedna seria kamiennych schodów, figura sw. Anny na rogu przy zamożnym domu i dalej przy końcu chodnika furтка do podwórka bursy Towarzystwa Szkoły Ludowej, czyli miejsce mego przyszłego zamieszkania. Z tej odległości tylko część białej sciany budynku była dla mnie widoczna. Resztę domu i zabudowań zakrywała bogata kurtyna zielonych i wysokich drzew.

Na podwórku było dużo wrzawy i ruchu. Kilka furmanek stało na tylnym wjeździe, jedne już rozładowane z swojej poprzednie zawartości, inne wciąż czekając na rozładowanie. Mali ludzie, jak ja, kręcili się po podwórku sami lub w towarzystwie swoich rodziców. Nieco na uboczu stali starsi studenci, już zaznajomieni z trybem życia w bursie z poprzednich lat. Byli też tacy, którzy wiekiem sięgali lat dojrzałości, przed którymi młodszy i mniejszy okazali należyty im respekt.

Najbardziej aktywną osobą w tym podwórkowym zgromadzeniu był niewątpliwie dozorca Jóźko. Co chwila ten szczupły i mały człowieczek wyskakiwał z głównych drzwi i każdemu z nowo-przybyłych służył siłą swoich mięśni. Na jego barkach wiele sienników i kufrów powędrowało do wnętrza budynku i znalazło się na zgóry przeznaczonym miejscu w mniejszej lub większej sali. Być może, że dzwiganie gratów należało do jego służbowych obowiązków, a może też liczył na to, że jakaś hojna ręka wsadzi mu kilka groszy do kieszeni.

Również na podwórku, od czasu do czasu, ukazywał się główny prefekt Semkowicz. Koło niego gromadzili się rodzice nowo-przybyłych, aby uregulować należności płatnicze i poinformować przyszłego wychowawcę ich dzieci o tych czy innych nawykach młodej latorośli. Najczęściej każdy z nich odchodził od prefekta z widocznym zadowoleniem, że ktoś przejął od nich obowiązki wychowawcy.

Popołudniu przyszedł przykry moment pożegnania się z ojcem i pogodzić się z myślą bardziej samodzielnego istnienia. Moja samodzielność miała jednak swoje granice. Jeszcze tego samego dnia dowiedziałem się, że bezpośredni nadzór nad nami sprawowała osoba prefekta wychowawczego. Podczas zebrania w uczelni, specjalnie zwołanego dla zapoznania się z procedurą życia w bursie, na sali zjawił się młody szczupły brunet, który przedstawił siebie, swoją funkcję i jego zadania. Tą osobą był Prof. Edward Pelc, nauczyciel matematyki i fizyki w gimnazjum oraz opiekun harcerstwa.

Moja bezpośrednia znajomość z tym wychowawcą miała miejsce dopiero następnego ranka. Mając na uwadze zalecenia matki, aby być grzecznym i uprzejmym wobec przełożonych, przy każdym spotkaniu Prof. Pelca nisko skłaniałem głowę i stukałem obcasami. Po kilku występach tego rodzaju profesor przystąpił do mnie, położył rękę na ramieniu i powiedział spokojnym głosem: "Tylko jeden raz dziennie". Ten mały i nie wiele znaczący incydent dał mi do zrozumienia, że w tej osobie znalazłem wychowawcę, który obserwuje, dba i kieruje.

Rejon bursy był dość rozległy i wymagał rozpoznania przez każdego z t.zw. pierwszaków, czyli nowicjuszy. Same mury budynku, we wewnętrzne sale, łazienka i ubikacja były tylko skromną częścią integralnej całości tej instytucji. W następnym dniu zdobyłem się na rozeznanie boiska siatkówki, dużego ogrodu jarzynowego ze ścieżkami biegnącymi wzdłuż w szerz, kuchnię i obszerną salę jadalni. Również nie odmówiłem sobie przyjemności poznania t.zw. "sztreki", czyli toru kolejowego, który przebiegał wzdłuż granicy posiadłości bursackiej. Fakrycznie tor był jedną z większych atrakcji dla nas najmłodszych. Ilekroć daleki gwizd parowozu dawał znać o sobie, z miejsca zrywaliliśmy się na nogi i biegliśmy, aby oglądać to widowisko.



Już w pierwszych dniach mój słownik nazwisk wybitnie się powiększył. Z konieczności i przyzwoitości musiałem się zapoznać z wyglądem i nazwiskami conajmniej sześćdziesięciu starszych i młodszych kolegów. W mojej pamięci utrwaliły się twarze oraz nazwiska Staszka Schmidta, Zbysia Starczewskiego, Kazia Mazepy, Stasia Sołtyńskiego, Jurka i Zdzisia Cepaków, Gucia i Mariana Flamandzkich, Tuśka Leszczuka, Franka Łozinskiego, Kazia Koryzny, Jana Wujdy i wielu innych z którymi obcowałem codziennie, ale których nazwiska z biegiem czasu przeszły w niepamięć.

Następna okazja do poznania nowych nazwisk powstała z chwilą mego wejścia do jednej z klas w budynku gimnazjalnym. Z tym łączyła się uroczystość rozpoczęcia nowego roku szkolnego. Głównym jej punktem była wspólna Msza Sw. w cerkwi Bazyliańców. Według ustalonej tradycji buczackiej dwustu studentów i studentek, dziewczęta z przodu, maszerowało w parach do cerkwi, by tam modlitwą rozpocząć nowy rok szkolny. Na zakończenie roku taka sama procesja studentów szła do parafialnego kościoła rzymsko-katolickiego, aby z Bogiem rozstać się z nauką na okres wakacji.

Wyż demograficzny po Iszej Wojnie Światowej przyczynił się do tego, że w roku mego wstąpienia do gimnazjum napływ studentów w porównaniu z poprzednimi latami niemal się podwoił. Z tego powodu władze szkolne otworzyły po raz pierwsze dwie równoległe klasy "A" i "B", każda po trzydziestu uczennic i uczniów. W ramach tego podziału ja oraz wszyscy inni bursacy mego rocznika znaleźliśmy się w klasie "A", której opiekunką była młoda polonistka Bańkiewiczówna. Tutaj znalazłem się w otoczeniu studentów i studentek rzech narodowości - polskiej, żydowskiej i ukraińskiej - o mniej więcej w takim samym stanie liczbowym.

Poznawanie kolegów i koleżanek oraz ich nazwisk następowało stopniowo w miarę przyswajania sobie ich twarzy. Począwszy od najbliżej mnie siedzących kolegów przyswoiłem sobie nazwiska Jasia Rosenbergera, Janka Pawłowskiego, Leszka Galińskiego, Staszka Magnowskiego, Romka Wolańskiego, Kazia Switalskiego, Jana /Chaska/ Schandlera, Stasia Zeromskiego, Romana Ptasznika, Józia Andermana, Wołoszyna, Kahanego, Straubera i resztę tych, który uzupełniały rejestr do 16 czy 17 chłopców.

Po drugiej stronie klasy lista nazwisk obejmowała płci lepszej i piękniejszej. Po tej lepszej stronie widziało się wiele miłych i ładnych twarzyczek z którymi łączyły się nazwiska Marysi Janowskiej, Stasi Vidakówny, Heli Wójcickiej, Zosi Czekanowskiej, Myszki Walzerówny, Hryniówny, Strauberówny, Rosenówny, Hellerówny, Duhlówny, Wachtelówny i kilka innych, zamykających kilkunastu osobową listę aspirantek do gimnazjalnego wykształcenia.

Wzajemne poznawanie się nie nastąpiło natychmiast, a osobiste zbliżanie się trwało jeszcze dłużej. Ja, jako jeden najniższy wzrostem, znalazłem się w pierwszej ławce między Żydem Andermanem i Jasiem Rosenbergerem. Gdzieś niedaleko mnie ulokował się Janek Pawłowski - chłopak niezbyt wysoki i równie szczupły jak ja. Między nami zbliżenie nastąpiło dość szybko - to zbliżenie jakie określa się mianem "przyjaźni z ławy szkolnej". My wszyscy byliśmy wówczas malcami, ale będąc malcem wśród nieco wyższych i tęższych, czułem się bardzo małą i niepokądną istotą. Z tej racji zazdrościłem innym wzrostu i siły, ale ostatecznie nauczyłem się z tym żyć.

Równolegle z zapoznaniem się z koleżankami i kolegami zapoznałem się z gronem profesorskim, a zwłaszcza tymi, którzy byli moimi nauczycielami i wychowawcami. Większość z nich byli to ludzie

ludzie starsi, jeszcze z przedwojennego wychowania austriackiego. W związku z tym ludzie ci w swojej praktyce nauczania stosowali dawne sposoby, tak przestarzałe, że w niektórych wypadkach były przedmiotem żartów i kpinek wśród ich podopiecznych.

Najstarszy wiekiem i najbardziej dziwaczny był prof. Szpakowski, nauczyciel przyrody. Człowiek ten, ponury i niełostępny dla uczniów nie cieszył się zbyt dużą sympatią i z racji swego nazwiska nosił przezwisko Szpaka. Zawsze w pośpiechu i z głową opuszczoną wpadał do klasy, wyciągał z kieszeni denerwujący nas notesik i na wrywki rzucał przestraszające nas pytania. Z reguły jego lekcje były denerwujące i dlatego dla nikogo z nas przyroda była ulubionym przedmiotem.

Innym profesorem dawnego pokroju był prof. Niesiołowski, nauczyciel języka niemieckiego. Notesik był też jego zwyczajem, ale jego żartobliwe podejście do studentów i przedmiotu stworzyło mu mit ogólnie lubianego profesora. Niewątpliwie z tej racji nie nadano mu przezwiska i odnoszono się do niego z szacunkiem.

Do starszej grupy profesorów należał prof. Petrykiewicz, nauczyciel języka ukraińskiego. Człowiek wysoki, masywny i zamknięty w sobie, prawdopodobnie dla swoich fizycznych cech otrzymał przezwisko "Ursus". Wśród uczniów profesor ten nie był zbyt popularny i niewątpliwie dlatego robiono mu w czasie lekcji złośliwe studenckie kawały. Prawie żadna lekcja nie mogła odbyć się bez awantury i wyrzucania studentów za drzwi. "Ursus" trzymał się niewolniczo swego notesika, z którego przepytывał studentów według ustalonego przez niego porządku. Czasami studenci na których przychodziła kolejka przepytывania nie zjawiali się w klasie, co nie psuło mu systemu, bo nigdy do nich nie wracał, aż przyszła na nich następna kolejka.

Następnym przykładem starej austrijackiej generacji był prof. Szczurowski. Nie wiem czy był przynajmniej jeden student w całym gimnazjum, który darzył go szacunkiem i sympatią. Przyczyną ku temu było kilka. Jedną z nich była jego skłonność do alkoholu, co nas nie bardzo tyczyło, ale o czym wszyscy wiedzieli. Jego dziwaczny sposób zachowania się w klasie miał z tym również wiele wspólnego. Jako nauczyciel historii, często opowiadał w czasie lekcji rzeczy nie związane z tematem, które potem stawały się najważniejszym punktem w czasie przepytывania uczniów. Dlatego często zdarzało się, że cała klasa dwukrotnie albo trzykrotnie otrzymywała złe stopnie w ciągu lekcji, co on skrętnie zapisywał w notesiku. Za to dosłużył się przezwiska "Szczur", które wędrowało z nim po wszystkich klasach gimnazjum.

Przedstawicielem nowego pokolenia profesorów, już wychowanych w wolnej Polsce, był prof. Edward Pelc, znany mi już jako mój wychowawca w bursie. Młody człowiek, w wieku około trzydziestki, nauczyciel matematyki, łatwo komunikował się z młodzieżą w klasie i poza klasą. Jego angażowanie się w sprawy wykształcenia oraz w polskie sprawy społeczne zjednało mu wiele sympatii i szacunku wśród studentów. Jego poświęcenie się sprawie polskiej nadało mu wśród nas, Polaków, miano ideowego wychowawcy-społecznika, który był dla nas przykładem nauczyciela, nawet wtedy, gdy był wymagający i dawał złe stopnie. Ja osobiście uważałem go za wielkiego polskiego patriotę i byłem mu zawsze wdzięczny za jego rady i wskazówki, które w latach późniejszych stały się dla mnie myślą przewodnią w moich poczynaniach życiowych.

Jednym z młodszych nauczycieli był też prof. Julian Erdstein, tragiczna ofiara późniejszego "holocaustu", wykładowca geografii.



Człowiek ten, żydowskiego pochodzenia i o wybitnie semickich rysach, byłby dla mnie wzorowym nauczycielem, gdyby nie to, że dla jakichś nieuzasadnionych przyczyn dawał mi niezbyt dobre stopnie. Widziałem w tym mało uzasadnienia, ponieważ jego dwa przedmioty, geografia i historia, były dla mnie raczej bardziej interesującymi tematami. Przyczyna tego nigdy nie została mi ujawniona, nawet przy ukończeniu gimnazjum, kiedy przy maturze ustnej historia była jedynym przedmiotem na który musiałem odpowiedzieć i na który odpowiedziałem bez zająknięcia.

Nauczycielka rysunków, robót ręcznych i śpiewu, prof. Przewirska, nie była wprawdzie młodą osobą, ale ona potrafiła wyrobić sobie respekt i szacunek wśród młodzieży. Osoba szczupła, średniego wzrostu, o regularnych rysach twarzy, a wobec nas wymagająca, sprawiedliwa i wyrozumiała, dla swoich walorów definitywnie należała do młodszego pokolenia profesorów. Nasz wzajemny stosunek w klasie układał się w sposób raczej przyjemny i wzorowy. Będąc dobrym uczniem w rysunkach i robotach ręcznych, byłem traktowany przez nią z pewną wyrozumiałością, gdy chodziło o lekcje muzyki i śpiewu. Bóg odmówił mi tego artystycznego daru, co ona rozumiała i na czas lekcji często dawała mi wolną godzinę. Moje końcowe świadectwo nigdy nie ucierpiało na tym, bo ona wspaniałomyślnie dawała mi dobre stopnie z wszystkich jej przedmiotów.

Nasze gimnazjum, jak każde inne w Polsce, miało też religijnych wychowawców. Ksiądz Tereszkun, kapelan studentów wyznania grecko-katolickiego, nie był dla mnie zbyt znaną osobą z racji mego rzymsko-katolickiego wyznania. Ale w moim przekonaniu był to człowiek poważany wśród swoich studentów i studentów innych wyznań, jak również wśród grona profesorskiego.

Wiele mam do powiedzenia o profesorze, który pełnił w gimnazjum obowiązki rzymsko-katolickiego kapelana. On nazywał się ks. Józef Dziurzycki. Dla mnie, raczej religijnego studenta, on był przede wszystkim księdzem, a tym samym rzecznikiem praw bożych. Z racji jego sutanny religja była zasadniczym kierunkiem jego zainteresowań i gimnazjalnej działalności. Ale jego poczynania wykazywały drugi kierunek, który w wielu wypadkach dorównywał jego religijnym przekonaniom. Tym drugim kierunkiem były sprawy polskie i ludzkie. Przykładem pierwszego był wiele znaczący przypadek z jego wcześniejszych lat, kiedy jako młody kapłan pozbierał złote wota z parafialnego ołtarza i przesłał je na skarb narodowy tuż po powstaniu Polski w 1918 r. Dla niego, jako księdza, musiało to być raczej ryzykowne pociągnięcie, ale nie mniej odważne i patriotyczne.

Inny przykład, charakteryzujący jego poglądy społeczno-narodowe, miał miejsce w późniejszych latach, kiedy w zastępstwie polonistki on wdał się z nami w dyskusję na temat "Anielki" Prusa. W trakcie tej dyskusji ksiądz rzucił klasie pytanie: "Co właściciel majątku powinien być zrobić dla wioski?" Wszystkie nasze odpowiedzi utrzymywały się w wąskich granicach spraw religijnych, jak kościółek, kaplica, krzyż przydożny itp. Na każdą z nich on odpowiadał: "Nie, nie, nie". W końcu zdenerwowany brakiem naszej wyobraźni on głośno zawołał: "Szkole, szkole, szkole". Od tej pory ks. Dziurzycki przesła być dla mnie osobą wyłącznie religijną. Wtedy poznałem w nim człowieka, który czuł i rozumował po linii dobra swojego bliźniego. Spokrewniona z tym była jego wypowiedź, że każda osoba, bez względu na jego wyznanie, ma prawo do nieba, jeśli żyje według zasad boskich. Dla mnie katolika, który przyznawał takie prawo wyłącznie katolikom, było to rewolucyjne wyznanie praw człowieka.

W klasie, rutyna studencka zaczęła się układać według reguł szkoły, wskazówek profesorów oraz wzajemnych sympatii lub uprzedzeń poszczególnych kolegów i koleżanek. Wśród grupy młodych ludzi zaczęły ujawniać się różne charaktery, wyłaniać się umysły bardziej lub mniej zdolne, tworzyć się przyjaźnie oraz ukazywać się złe duchy, które psuły porządek w klasie. Wzajemne poznawanie się również pozwoliło na wyłonienie się przewódców. Pierwszą osobą, która zakwalifikowała się do tego miana był mój przyjaciel, Janek Pawłowski. W myśl demokratycznych zwyczajów, panujących w gimnazjum, jego obrano wójtem klasy. Razem z nim do zarządu weszło kilku innych studentów i studentek, ale wśród nich nie było nikogo z t.zw. "bursaków". Przyczyny tego należało doszukiwać się w tym, że my jako pozamiejscowi nie byliśmy dostatecznie znani lokalnej młodzieży, aby uzyskać ich zaufanie.

Moja pierwsza przyjaźń szkolna wynikła z mego sąsiedztwa na ławie szkolnej z Jankiem Pawłowskim. Nasz wzajemny stosunek szybko ułożył się na poziomie dobrego koleżeństwa i przyjaźni. Nasza zażyłość doszła do tego stopnia, że nawzajem podpowiadaliśmy sobie, mimo wyraźnych zakazów ze strony profesorów. Z tym łączyło się moje zbliżenie do Heli Jurczakównej, naszej wspólnej koleżanki, a jego kuzynki. Oboje mieszkali u swego wuja ks. Stauffera i wydawali się być nierozłączną parą, jak brat i siostra.

Pewnego razu, z racji tej przyjaźni, zostałem zaproszony przez ich ciotkę, siostrę księdza, do ich domu na obiad. Z zaproszenia tego nie skorzystałem z przyczyny mojej dziecinnej nieśmiałości. Początkowo Janek czuł się tym dotknięty i ukazywał do mnie żal z tego powodu. Jednak po czasie incydent ten poszedł w zapomnienie i znowu staliśmy się dobrymi przyjaciółmi.

Równocześnie z rozwojem życia w klasie wśród płci nadobnej wyłoniły się klasowe piękności. Wszystkie z nich miały swoje zalety i każdą z nich można było zakwalifikować do miłych i ładnych dziewczynek. Pod tym względem na czoło wysunęła się Marysia Janowska, której spokojna twarz oraz regularne rysy nawet imponowały młodszym profesorom. Inne panny zdecydowanie konkurowały z nią pod tym względem. Myszka Walzerówna, Zosia Czekanowska czy Hela Wójcicka też zachwycały swoich kolegów osobistymi walorami.

W bursie życie układało się według nieco innych reguł. Tam w wyłącznie męskim towarzystwie sprawy męskie miały pierwszeństwo. Nauka zawsze była na pierwszym planie - od tego nie można było się uchylić. Były jednak wolne chwile, które dawały nam okazję na wyładowanie fizycznej energii. Gra w siatkówkę, raczej zarezerwowana dla starszych, była jednym z większych wyczynów rozrywkowych. Dla nas młodszych była t.zw. "kiczka", albo w wyjątkowych wypadkach gra w piłkę nożną na placu koło "sztreki", jeśli jeden z blisko mieszkających kolegów, Tadzio Warszylewicz, zawitał do nas ze swoją piłką.

Czasem nasze zabawy zakrawały na dziecinną bezmyślność i brak zrozumienia dla innego kolegi. Jedna z nich zakończyła się niemal tragicznie dla Zbyszka Semkowicza, syna głównego prefekta. Jeden z moich kolegów, trzymając ręce w tyle, zawołał do niego "zamknij oczy, otwórz gębę, coś ci wleci między zęby". W takich wypadkach słodki cukierek wpadał do ust wybranego chłopaka ku jego zadowoleniu. W tym wypadku zamiast cukierka kawałek patyczka wpadł do ust Zbyszka. Przedmiot ten utkwiał jemu w gardle i chłopak zaczął się dusić. Szczęśliwie w domu prefekta gościł jego przyjaciel - lekarz, który udzielił pomocy jego synowi. Winowajca miał dwie długie sesje z prefektami z których wyszedł z wypiekami na twarzy.



Czasami niektórzy ze studentów zdobywali na złośliwe kawały, jak minowanie łóżek. Żart ten polegał na tym, że kawalarz rozluźniał haczyki utrzymujące łóżko w pozycji stojącej i przykrywał je kocem. Jego kolega, nieświadomy tego, przy siadaniu leciał razem z łóżkiem na podłogę. Innym żartem było zawieszanie kubka wody nad drzwiami, co przy ich otwarciu oblewało wchodzącego zimnym tuszem. Czasami też podkładano żabę lub inne małe stworzenie pod poduszkę kolegi.

Jedną z bardziej cywilizowanych zabaw była zabawa w wojsko. Organizatorem tego był zawsze Staszek Schmidt. Z kolorowych papierów robiliśmy dekoracyjne kapelusze i w ciągu nocy potajemnie robiliśmy ćwiczenia. Nasze głośne zachowanie się budziło czasami starszych kolegów, śpiących w przyległym pokoju, co kończyło się ich natychmiastową interwencją.

Pierwszy rok minął szybko, prawie niespostrzeżenie. W ostatnim dniu nauki wydano nam świadectwa i z nimi w kieszeni opuściliśmy mury szkoły na przeciąg dwóch letnich miesięcy. Pierwszą klasę ukończyłem z dobrym wynikiem i z wielkim zadowoleniem powróciłem w towarzystwie ojca do cichego i spokojnego Jazłowca. Moi kuzyni Julek Kuriański i Kazio Kowalski też przeszli do następnej klasy. Tak samo poszczęściło się naszym starszym kolegom - Tuškowi Leszczukowi oraz Frankowi Łozińskiemu. Z pięciu jazłowieckich studentów, nas trzech młodszych stanowiło nierozłączną grupę, która uczestniczyła w chłopięcych zabawach oraz w wycieczkach na Strypę i do lasu. Miłe i beztroskie miesiące wakacyjne przeszły szybko, pozostawiając po sobie miłe wspomnienia wolnego życia na łonie natury, w ciepłym rodzinnym domu, w obliczu murów zamkowych i pod troskliwą opieką rodziców.

Rozpoczęcie drugiego roku już nie budziło we mnie tyle wrażeń jak rok poprzedni. Przedewszystkim znikły wszystkie obawy i niepewności, związane z wejściem w nowy tryb życia. Po jednorocznym doświadczeniu weszliśmy już w rutynę życia gimnazjalnego i prawie każde wydarzenie drugiego roku mieściło się w ramach utartej tradycji. Z zeszłorocznej grupy w klasie ubyło kilka kolegów i koleżanek z racji niedostatecznych stopni, a w ich miejsce przybyli nowi, jako pozostałość z wyższej klasy. Większym i niespodziewanym wydarzeniem była zmiana na stanowisku gospodarza klasy. Nasza wychowawczyni z poprzedniego roku, prof. Bańkiewiczówna, wyszła zamąż za polonistę prof. Magierę i zrezygnowała z dalszego nauczania w szkole. Miejsce jej przejęła prof. Przewirska, osoba wymagająca ale rozsądna i sprawiedliwa wobec swoich podopiecznych. Janek Pawłowski został ponownie obrany wójtem, a nasz wzajemny przyjacielski stosunek utrzymywał się na poprzednich serdecznych stosunkach.

W moim zastępczym domu, w bursie, zmiany były minimalne i utrzymywały się w granicach przyjętej tradycji. W miejsce tych, którzy zdali maturę, przyszła młoda noworośl do pierwszej klasy i w związku z tym mój słownik nazwisk powiększył się o kilka pozycji. W rejestrze nowych bursaków pojawiły się takie nazwiska jak Nowosad, Pasławski, Fąfara i inni. Komendę nad nimi Staszek Schmidt, chłopak o wrodzonych zdolnościach przewodcy, który w niedługim czasie dostosował ich charaktery do życia bursackiego.

Wielkim wydarzeniem w moim młodym życiu było wstąpienie do harcerstwa. Jak każdy z nowicjuszy w tej organizacji nosiłem najniższy stopień wilczka, ale zielony mundurek z krawatem miał swój urok, bo stałem się widoczny na gimnazjalnej widowni. Pozatym stałem się częścią grupy do której należeli Janek Pawłowski, Leszek Galiński,

Staszek Schmidt, Sławek Sawicki i inni równi mnie wiekiem. Naszym drużynowym był H.O. Władysław Staszek, nasz starszy kolega z bursy i gimnazjum. Zbiórki odbywały się raz lub dwa razy w tygodniu na które uczęszczaliśmy z chęcią. Gry harcerskie, zabawy, krótkie wycieczki połączone z poznawaniem okolicy i zabytków historycznych, i czasami wieczorynki w domu kolegów były tym urozmaiceniem, którego nasze młode charaktery potrzebowały. Czasami mieliśmy okazję spotkać się z większą przygodą. Taką okazję stwarzali nam wyższe władze harcerstwa pod przewodnictwem prof. Pelca. Dzięki ich staraniom i wysiłkom wybieraliśmy się na kilku dniowe biwakuowanie w namiotach i doświadczaliśmy trudów prostego życia na łonie natury. Z takich wycieczek wracaliśmy zmęczeni, zgłodniali, ale zawsze zadowoleni z przeżytej przygody.

W czasie trwania roku szkolnego nastąpiła jedna pozytywna zmiana w gronie naszej grupy nauczycielskiej. Stary i dziwaczny prof. Szpakowski przeszedł na emeryturę, a jego miejsce przejął prof. Schingera, człowiek młody i również przyrodnik. Jego podejście do studentów było zupełnie odmienne i absolutnie pozytywne. W niedługim czasie młody profesor pozyskał sobie nasz szacunek, ale też naszą sympatię.

Drugi rok minął szybko i w moim przekonaniu szybciej niż poprzedni. Podobnie, jak w zeszłym roku, ukończyłem klasę z wynikiem dobrym. Mój kuzyn Kazio Kowalski też przeszedł do następnej klasy, ale Julkowi Kuriańskiemu tym razem się nie poszczęściło. Prawdopodobnie dla tej przyczyny nasze koleżeńskie i rodzinne stosunki nieco ochłodziły i utrzymywały się na tym poziomie przez szereg następnych lat. Faktycznie z biegiem czasu nasze różnice nawet się spotęgowały, niewątpliwie dlatego, że jego rodzice, a moi wujostwo, często stawiali mnie jako przykład.

Początek trzeciego roku obfitował w większe i poważniejsze zmiany w klasie i dla mnie. Przykrą dla mnie sprawą było odejście Janka Pawłowskiego do gimnazjum w Stanisławowie. Tą pustkę szczęśliwie uzupełnił Staszek Schmidt, aczkolwiek niezupełnie, ponieważ jego żywy charakter nie bardzo zgadzał się z moim. Znowu do naszej klasy przybyły pozostałości z poprzedniego roku i ubyło kilku ze względu na złe stopnie.

W tym roku, podobnie jak w poprzednim, nastąpiła zmiana na funkcji gospodarza klasy. Na miejsce prof. Przewirskiej wyznaczono młodego profesora Selzera, nauczyciela nowego dla nas przedmiotu, fizyki. Człowiek szczupły i raczej wysoki, o semickiej twarzy, nieco rudawy i piegowaty, ale bardzo aktywny i energiczny, odrazu wyrobił sobie posłuszeństwo w klasie. Lekcje jego wyglądały różnie. Czasem miały przebieg spokojny, czasami nierówny. Nie ulegało wątpliwości, że nauczyciel ten zadawał sobie wiele trudu, aby w nasze mózgi wbić znajomość tajemnic przedmiotu. W takich wypadkach, kiedy jego nauka nie trafiała do nas, kazał nam uczyć się całych paragrafów na pamięć. Jego ujemną stroną było to, że był raczej wybuchowym człowiekiem i trzymał się starego zwyczaju wpisywania not do notesika.

Ważnym wydarzeniem dla mnie było moje osobiste wyróżnienie przez klasę. Na miejsce mego dawnego przyjaciela Janka, mnie obrano wójtem. Początkowo stosunki między mną i gospodarzem klasy układały się zgodnie. Jednak, gdy pewnego razu nie dopilnowałem przygotowania tablicy do lekcji, profesor zdenerwował się i tego samego dnia nakazał nowe wybory. Nowym wójtem został Staszek Magnowski. On jednak nie cieszył się długo tą pozycją. Dla jakiejś błażej przyczyny on został zastąpiony przez Romka Wójcickiego, który pozostał na tej funkcji do końca roku.



W okresie karnawału nasza klasa po raz pierwszy urządziła zabawę taneczną w której nawet ja, jeden z najbardziej nieśmiałych uczniów, uczestniczyłem. Mimo swojej nieśmiałości zatańczyłem swój pierwszy taniec w życiu z Irką Semkowicz. Gdyby nie jej ojciec prawdopodobnie nigdyby do tego nie doszło. On widząc mnie stojącego na boku podszedł do mnie, wziął mnie za rękę i kazał tańczyć z jego córką. Nie wiem jak ona czuła się po tym tańcu, bo kilkakrotnie czułem jej stopę pod moim butem.

Wielką atrakcją dla mnie była nowo-stworzona orkiestra dęta w gimnazjum. Wielu ze studentów różnych klas uległo tej pokusie, a ja między nimi. Początkowo byłem zachwycony swoją trąbką-altem i razem z kolegą Pawiakiem z zapalem wygrywałem takt do melodii granej przez inne instrumenty. Niedługo potem zacząłem żałować mojej dość pochopnej decyzji, ale wtedy nie mogłem już wycofać się ze swego zobowiązania, chociażby ze względu na prof. Pelca, który był opiekunem orkiestry. Lekcje były częste, pochłaniały wiele czasu, a pozatym długi spacer z bursy do gimnazjum był męczący.

Również, aby nie być innym od kolegów i koleżanek, zapisałem się w tym roku do Sodalicji Mariańskiej. Duży wpływ na moją decyzję miał ks. Dziurzycki, który zachęcał mnie do wstąpienia do organizacji, której on był opiekunem. Mając na moim rozkładzie wszystkie dodatkowe zobowiązania, jak zbiórki harcerskie, posiedzenia zarządu klasy, lekcje orkiestry i spotkania w Sodalicji, miałem niewiele czasu do swojej dyspozycji. Mimo to należałem do lepszych ucni w klasie, a w niektórych przedmiotach osiągnąłem lepsze stopnie niż w poprzednim roku.

Bez większego trudu przeszedłem do następnej klasy i na wakacje znowu wróciłem do domu w Jazłowcu. W tym roku niebardzo powiodło się

mojemu kuzynowi, Kazikowi Kowalskiemu, i dlatego stryj zatrzymał go jeden rok w domu, gdzie odrabiał lekcje pod kierownictwem swojej kuzynki, nauczycielki. Tusiek Leszczuk też miał pewne trudności w szkole i dlatego na następny rok odszedł do gimnazjum w Tłumaczu. Inny jazłowczanin, Franek Łoziński, wprawdzie ukończył klasę, ale w następnym roku nie powrócił do gimnazjum. Jego matka, po powrocie z Ameryki z pewnym zasobem dolarów, zakupiła kawał ziemi, założyła gospodarstwo i zatrzymała syna w domu do pracy na roli.

Następny rok szkolny obfitował w wiele zmian, niektóre z nich o zasadniczym znaczeniu dla całej szkoły. Reforma szkolna, od dawna dyskutowana na wyższych szczeblach spraw edukacyjnych, w 1934 roku weszła ostatecznie w życie. My, jako ostatnia klasa starego systemu odczuliśmy ją najbardziej. W nas zamknęły się wszystkie usterki oraz niedociągnięcia przeszłości. Według nowego systemu, okres nauczania w gimnazjum skrócono do czterech lat. Ostatnie dwa lata zamieniono na liceum, jako okres przygotowawczy do dalszych studiów w obranych kierunkach.

W tym roku również umożliwiono wszystkim tym, którzy ukończyli siedem klas szkoły powszechnej, wstąpienie do gimnazjum, zaczynając klasę czwartą, czyli ostatnią według starego systemu. Wielu chętnych nauki skorzystało z tego. Budynek szkolny napełnił się nowymi studentami i dla pomieszczenia ich stworzono trzecią równoległą klasę, która nosiła literę "C".

Równocześnie wprowadzono nowe przepisy odnośnie jednolitego umundurowania studentów w całym kraju. Rodzice każdego z nich musieli zdobyć się na dodatkowy wydatek dla synów i córek. Mundury były granatowego koloru z niebieskimi i czerwonymi wypustkami i numerami na ramieniu. Nasze gimnazjum otrzymało numer 605. W przeciągu tego

roku wygląd studentów i studentek zmienił się całkowicie oraz się ujednostajnił. Patrząc na to z estetycznego punktu widzenia gimnazjum przyjęło charakter przyjemnie reprezentującej się szkoły.

Największym wydarzeniem tego roku była zmiana na stanowisku dyrektora szkoły. Funkcję tą objął młody człowiek a przytym energiczny, znany nam jako dyrektor Poźniak. Od początku się nowego roku szkolnego dało się wyczuwać nową rękę. W ciągu jego stosunkowo krótkich rządów, bo tylko dwa lata, wiele nowych innowacji zostało przeprowadzonych wewnątrz budynku szkolnego. Dwie klasy na parterze połączono razem i stworzono z nich salę gimnastyczną, z dwóch innych klas zrobiono pracownię robót ręcznych i rysunków, a w klasach w miejsce dawnych ławek pojawiły się stoliki i krzesła. Wprowadzenie nowego systemu też było wielkim wyczynem, któremu on musiał nadać kierunek i nadzorować przeprowadzenie inwacji.

W czwartej klasie program gimnazjalny nie przewidywał przedmiotu fizyki, dlatego w miejsce prof. Selzera dostaliśmy nowego opiekuna, którym został prof. Pelc. W tym roku zostałem ponownie obrany wójtem klasy i pozostałem na tej pozycji do końca roku. W miejsce takich przedmiotów jak fizyka i rysunki przyszły dwa nowe przedmioty - łacina i biologia. Na początku roku łaciny uczył nas stary profesor Kankofer, a w ciągu roku obowiązki te przejął prof. Niesiołowski. Biologię natomiast objął ogólnie lubiany prof. Schingera.

Moja przynależność do harcerstwa wpłynęła na to, że zbliżyłem się do dwóch kolegów-harcerzy. Jednym z nich był Zbyszek Warszyłowicz, nowo-przybyły uczeń z innej klasy. Drugim był Leszek Galiński, mój kolega już od pierwszej klasy. Leszek mieszkał w pobliżu bursy i dlatego nasze kontakty były dość częste, ponieważ od czasu do czasu on odwiedzał nas bursaków. Ponadto Staszek Schmidt i ja byliśmy

zaproszeni do jego domu na herbatkę. Z końcem roku Leszek zrobił mi prawdziwą frajdę. Pewnej niedzieli on wpadł do bursy i zaproponował mi przejażdżkę samochodem do mojego rodzinnego Jazłowca. Takiej pokusie trudno było się oprzeć. Piętnasto-kilometrową przestrzeń zrobiliśmy w krótkich piętnastu minutach. Rodziców nie zastałem w domu, ale w małym miasteczku szybko się ich doszukałem. Moje niespodziewane zjawienie się w jazłowcu było dla nich całkowitym zaskoczeniem. Dla nich spotkanie się z synem było przyjemną niespodzianką. Kilka godzin później zrobiłem podróż powrotną w takim samym krótkim czasie.

Rok ten dla bursy nie był najlepszy. Na tym terenie zaszły większe zmiany i nie zawsze we właściwym kierunku. Do budynku przybyło kilka nowych twarzy w osobach Bronka Hostyńskiego, Staszka i Zbyszka Flintów, Tadeusza Noworola i Leona Wasiutynskiego. Z drugiej strony ubyło wielu studentów i naskutek tego nasz stan w bursie zmniejszył się do 18 osób.

Dawny prefekt gospodarczy Semkowicz z osobistych względów zrezygnował ze swojej funkcji. Prof. Pelc wszedł w związki małżeńskie podczas letnich ferii i przeniósł się do prywatnego mieszkania. Miejsce obu przejął profesor wychowania fizycznego, Krzewiński - człowiek absolutnie nie nadający się na tą funkcję. Wybuchowy charakter, brak zainteresowania się młodzieżą oraz nawyki alkoholowe z miejsca stały się przyczyną rozluźnienia dyscypliny, a tym samym stopni poszczególnych bursaków. Uczniowie nie mając żadnego nadzoru nad sobą dopuszczali się wielu przekroczeń wobec przepisów. Młodszy dla zabawy tłukli szyby i lampy oraz łamali stoły i krzesła. Starsi na wzór swego opiekuna rzucyli się alkoholem i sprawdzali panienki do swoich pokoi. Przez cały rok bursa była jednym wielkim bałaganem,



a z końcem roku obrazem nędzy i rozpacz. Szczęśliwie z końcem roku prof. Krzewiński odszedł z gimnazjum i bursy i pozostawił drugim ten bałagan do odrobienia.

Wielkim i przyjemnym wydarzeniem tego roku była wycieczka grupy studentów i studentek gimnazjalnych do Lwowa. Mimo trudnych warunków materialnych, związanych z chorobą matki oraz ogólnym kryzysem, ojciec nie odmówił mi tej przyjemności. Z wycieczką tą wiązała się moja pierwsza podróż pociągiem. Z torbą w ręku i w towarzystwie kolegów wdrapałem się po schodach do wagonu i z szeroko otwartymi oczyma rozpocząłem tę niezapomnianą podróż. Jazda przez nieznane mi dotychczas tereny miała swój urok, ale zwiedzanie stołecznego miasta południowo-wschodnich Kresów było czymś wspaniałym, nadzwyczajnym i niezapomnianym.

Miasto większe niż moja wyobraźnia otworzyło przedemną wszystkie swoje cuda, pozwalając mi rozkoszować się tym, co nasi przodkowie stworzyli dla nas i wszystkich przyszłych pokoleń. Dla wielu z naszej grupy było to pierwsze spotkanie z tym miastem i oni tak jak ja chłonęli wszystkie niezwykle widoki z ciekawością młodego podróżnika przed którym otworzył się nowy świat.

W miarę jak nasze młode umysły wędrowały po bruku starej stolicy, przed nami przewijała się nieskończona taśma wspaniałych pamiątek polskiej historii, kultury i sztuki. Każdy obraz jego zabytków, każdy kształt wielkiego gmachu i każdy zarys pomników polskiej wiedzy, nauki i sztuki był dla nas dokumentacją wielkiej przeszłości Lwowa oraz jego polskości niemal od czasów jego poczęcia się na tej ziemi lechickiej.

Dworzec Centralny w momencie naszego wyjścia z wagonów zajaśniał tęczą słonecznych promieni radośnie przebijających przez jego szklany

dach. Góra Wysokiego Zamku z każdym spojrzeniem rosła wyżej i wyżej ku niebu. Kopiec Unii Lubelskiej rozszerzał się w naszych oczach do nieznanej nam dotychczas wielkości. Wreszcie katedra katolicka, ormiańska i wołoska łączyły się razem z cerkwią św. Jura w jeden religijny różaniec naszych osobistych wrażeń.

Wiedza, nauka i sztuka, zawarte w murach miasta też dawały nam znać o sobie. One przemawiały do nas widokiem Politechniki, murami Uniwersytetu Jana Kazimierza, eksponatami muzeum Przemysłu i Handlu, muzeum Dzieduszyckich i słynnego Ossolineum. Przewijająca się przed nami taśma cudów odsłoniła przed nami pomniki Sobieskiego, Mickiewicza, Kilińskiego oraz tak czczony przez nas cmentarz Orłąt Lwowskich. Przepiękny świat sztuki odsłonił przed nami świetność Wielkiego Teatru, piękno Galerii obrazów oraz wprost oszałamiający artyzm Panoramy Racławickiej. W nabożnej ciszy, niczym w świątyni artystycznego bóstwa, wstąpiłem na środkową platformę i stałem w bezruchu, oszołomiony niezwykłym widokiem.

Odległa przeszłość, symbolicznie ujętego konfliktu ludzi i narodowych idei, już w pierwszym rzucie oka przeniosła moją wyobraźnię do czasu i miejsca kościuszkowskiego zwycięstwa. Patrząc na całość i na każdy szczegół przeżywałem każdy epizod bitwy, szukając w mojej małej znajomości jej historii uzasadnienie dla każdego ruchu każdej postaci ujętej pędzlem przez mistrzów sztuki. Ten obraz wyszedł razem ze mną na ulice miasta i jak przyjemny a niewidoczny cień towarzyszył mi przez pozostałe dni wycieczki.

Nasza trasa sięgała dalej, aż po mury zamku w Olesku oraz przybytku historii rodziny Sobieskich w Podhorcach. Tutaj historia naszych kresów ponownie dała znać o sobie. Potężne i dobrze zachowane mury przemawiały do nas wielkością zwycięstw naszych przodków, chorągwie

i namioty tureckich sułtanów świadczyły o ich zdobyczach, a zadbane trawniki i żywopłoty dodawały wspaniałości starym pomnikom polskiej sławy. Ktoś kto kochał swoją historię mógł stamtąd wynieść głębokie uczucie dumy z przeszłych osiągnięć narodu.

Ten rok kontrastów - dzikiej swawoli w bursie i wspaniałości lwowskich wspomnień - zakończył się dla mnie pomyślnie. Znowu przeszedłem do następnej klasy i znowu spędziłem dwa miłe miesiące w moim zielonym i rozkosznym Jazłowcu, rozkoszując się jak dawniej widokami jarów, ciepłem słonecznym na brzegach Strypy i w towarzystwie znajomych i krewnych wśród których żyłem i wyrosłem z dzieciństwa do młodzieńczych lat.

Rok następny, klasa piąta, nie zanotował poważniejszych zmian w gimnazjum, ale bursa przeszła kompletną rewindykację. Funkcję prefekta gospodarczego przyjął nauczyciel szkoły powszechnej, Grabowski. Prefektem wychowawczym został znany nam i szanowany przez nas prof. Schingera. Życie powoli powróciło do dawnej normy, ale opinia z poprzedniego roku poważnie zaciążyła na renomie naszej instytucji. Liczba wychowanków wzrosła ledwie do dwódziestu i utrzymywała się na tym poziomie przez długi czas mimo starań i wysiłku obu prefektów, aby polepszyć sytuację.

W samym gimnazjum życie studenckie płynęło normalnym trybem. Wykłady, ćwiczenia, zbiórki harcerskie, orkiestra i inne zajęcia poza klasowe, unormowały się już w moim programie i tylko rzadko odbiegały od ustalonej rutyny. Nie mniej od czasu do czasu zdarzało się coś nowego i niezwykłego. Jednym z takich wydarzeń była wycieczka do historycznego miasta Trembowli.

Bogata wyżyna podolska miała w swojej przeszłości daleką i wielką historię wielu ludów i narodów. Najdłuższa i najbogatsza chyba była

jej polska część. Trembowla musiała należeć do jej najwcześniejszych zabytków, nam znanych. Starożytność naszych kresów sięgała tysiące lat wstecz, ale ona rzadko ujawniała się w historycznej dokumentacji. Kumeroni, wzmianki o których znajduje się u Greków i Rzymian, dla naszego pokolenia byli nieznanym terminem. Scytowie również należeli do zapomnianych ludów. Dopiero Sarmaci wyłaniali się w naszych mitach i legendach, ale nigdy w historii. A ci ostatni, wmyśl badań polskich historyków i archeologów, prof. Sulimirskiego i prof. Kozłowskiego, pozostawili po sobie ślady na naszej części kraju. Trembowla była tym zabytkowym miejscem, gdzie odkryto sarmackie znaki "tamga", które później weszły do naszej heraldyki

Ale, ówczesne nasze zainteresowania nie sięgały tak głęboki w odległe czasy. Najważniejszym dla nas obiektem historycznym były ruiny potężnego zamku, wznoszące się dumnie nad miastem. Z tym zamkiem łączył się jeden epizod z wojen polsko-tureckich, który dla bohaterstwa jednej Polki zachował się w lokalnym folklorze jako mit rycerskiego ducha. Widok pomnika Zofii Chrzanowskiej, żony komendanta zamku, która pod groźbą popełnienia samobójstwa zmusiła męża do obrony trembowelskiej twierdzy, przemawiał do mnie takim mitem. Wówczas nie wiedziałem, że oboje przebywali w murach zamku jazłowieckiego, gdy Koniecpolski powierzył Chrzanowskiemu dowództwo nad swoim zamkiem.

Moje wakacje między czwartą a piątą klasą zawierały w sobie niezwykle urozmaicenie. Po raz pierwszy moi rodzice pozwolili mi na wyjazd do obozu harcerskiego razem z buczacką drużyną. Tego lata prof. Pelc zorganizował obóz we wiosce Niskołyzy, położonej nad rzeką Złota Lipa i odległej o kilkadziesiąt kilometrów od Buczacza. Obóz rozbiliśmy w małym wgłębieniu zbocza jaru



naprzeciw pastwiska dla koni po drugiej stronie rzeki. Mieszkaliśmy grupowo w trzech namiotach, jedliśmy z tego samego kotła, cokolwiek znawcy sztuki kulinarnej upietrasili, chodziliśmy na wycieczki krajoznawcze i wieczorem słuchaliśmy pogadań oraz śpiewaliśmy piosenki. Wszystko to zbliżało nas razem i w końcowym efekcie pozostawiło piękne wspomnienia wakacyjne. Tutaj też spotykaliśmy się codziennie z naszymi przełożonymi, ks. Dziurzyckim i prof. Pelcem, którzy w bliższym obcowaniu z nami przyjmowali rolę starszych i bardziej doświadczonych towarzyszy letniej przygody.

Obóz harcerski był zamierzony i trwał cały miesiąc, co dla kolegów mieszkających w domu cały okrągły rok było prawdziwą frajdą, ale dla mnie sprawa ta wyglądała nieco inaczej. Dziesięć miesięcy w szkole poza domem, a na dodatek pozbawienia siebie jednego miesiąca obcowania z rodziną nie bardzo zgadzało się z moją naturą. Dlatego z tęsknoty za domem i rodziną po dwóch tygodniach wróciłem do swego Jazłowca.

W klasie szóstej zgodnie z przyjętym gimnazjalnym zwyczajem, uważałem siebie za bardziej dojrzałą i odpowiedzialną osobę. Tego samego zdania musieli być moi przełożeni, bo dzięki ich poleceniom otrzymałem oferty udzielania lekcji studentom niższych klas. Jednym z nich był Julek Fąfara, a drugim Lolek Wasiutyński - obaj wychowankowie bursy. Prof. Pelc również zaproponował mi udzielanie lekcji gimnazjalnej piękności, Krzysi Turkówniej. Moja wrodzona nieśmiałość nie pozwoliła mi na przełamanie moich obaw i uprzedzeń i dlatego odpowiedziałem odmownie na tą ofertę. Moje wynagrodzenie za udzielanie lekcji sięgało od 20 do 30 złotych miesięcznie, co w moich studenckich warunkach było poważną kwotą. Dodatkowo udzielałem lekcji swemu koledze z mojej klasy, Zbyszkowi Warszylewiczowi, ale w jego wypadku

swiadczenia materialne za otrzymane usługi zamykały się w ramach dobrego koleżeństwa.

W tym roku nastąpiła niefortunna dla mnie i może dla innych zmiana na pozycji historyka w naszej klasie. Na miejsce prof. Erdsteina przyszedł do nas, znany już nam poprzednio, prof. Szczurowski. Znowu zaczął się notesik, przepytывania z historyjek niezwiązanych z przedmiotem i seria złych stopni w czasie jednej godziny. Nie wiem dlaczego człowiek ten miał do mnie jakieś nieuzasadnione uprzedzenia i pretensje. Już na samym początku roku nakazał mnie i Żydowi Kahanemu przenieść się do ostatniej ławki dla tylko sobie znanego powodu. Na kwartalnych konferencjach, czy świadectwach nigdy nie otrzymywałem złego stopnia, ale też nigdy nie wyszedłem powyżej dostatecznej oceny. Jednak w czasie okresowych wizytacji przez osoby nadrzędne z reguły byłem jednym z tych, którym profesor zadawał pytania. Niezwykłą lekcją w jego klasie był dzień jego patrona św. Alfonsa. W takim dniu on otrzymywał życzenia, kwiaty i prezenty i wtedy nie było notesika i złych stopni.

Największym wydarzeniem w gimnazjum w tym roku było rozwiązanie oddziału "C". Uczniowie i uczennice tego oddziału zostali podzieleni między klasę "A" i "B". Stan naszej klasy powiększył się do 40 uczniów i uczennic i już do końca gimnazjum nie schodził poniżej tej cyfry. Do nas napłynęły nowe nazwiska żeńskie jak Janka Radłowska, Junka Suchecka, Zofia Marakówna i inne, a wśród nich Żydóweczka z Jazłowca, Regina Ebert. Lista męska powiększyła się o Cesia Gajczaka, Staszka Mikusza, Hawryłyszyna, Korczyńskiego oraz kilka innych osób żydowskiej i ukraińskiej narodowości.

Podobnie jak w latach poprzednich, w tym roku też obrano mnie wójtem klasy. Pozycja ta była dla mnie niewątpliwym wyróżnieniem,

ale z drugiej strony z tym wiązały się dodatkowe obowiązki. Mając wiele innej pracy poza-szkolnej to wyróżnienie nie zawsze było mi na rękę. Harcerstwo, w którym pełniłem funkcję drużynowego, Sodaliczka Mariańska, orkiestra oraz lekcje udzielane kolegom i koleżankom pochłaniały cały mój wolny czas poza-klasowy. Codziennie wychodziłem z bursy około trzeciej popołudniu i wracałem o siódmej lub ósmej wieczorem. Niemal każdego dnia zastawałem w mojej sali kilku czekających o pomoc w odrobianiu domowych zadań.

Moją osobistą stratą w tym roku było odejście Staszka Schmidta a bursy i gimnazjum. Pięc lat wspólnego pożycia w bursie i na ławie szkolnej wpłynęło na wzajemne zbliżenie się i na zawiązanie bliskiej przyjaźni. Wprawdzie różniliśmy się co do osobistych charakterów, ale to nie przeszkadzało nam być dobrymi przyjaciółmi. O jego odejściu wiedziałem już wcześniej. Przeniesienie się jego rodziców do Tarnopola, gdzie mieli swój dom, nie było dla mnie tajemnicą. Po tym rozstaniu spotkałem się z nim raz jeszcze w czasie wakacji, kiedy on wstąpił do Jazłowca, aby mnie odwiedzić. Potem wymienialiśmy między sobą listy, aż do ukończenia gimnazjum.

Jego listy do mnie mogły mieć także inny cel. W naszym wieku zaczęły budzić się sympatie do płci pięknej, niektóre jawne z udziałem obu stron, inne ukryte i jednostronne. Staszek miał swoją ukrytą sympatię wśród młodszych uczennic gimnazjum. Osobą tą była Władzia Dudzikówna. Jego plany zbliżenia się do niej nie doszły do skutku, ale młode uczucia kołatały w jego sercu przez dłuższy czas. W każdym ze swoich listów zapytywał o Władzię, o której zasadniczo niewiele wiedziałem, bo moje zainteresowania panienkami nie dojrzały jeszcze do tego stopnia, abym poświęcał im swoją niepodzielną uwagę i wszystkie wolne chwile.

Do mnie, wychowanka bursy, doszła inna historyjka miłosna dotycząca jednego z moich kolegów. W tym czasie przydzielono do naszego gimnazjum nowego polonistę, prof. Więckowskiego. Razem z nim przyjechał jego młodszy brat, który rozpoczął studia w gimnazjum o jeden rok wyżej odemnie. Temu chłopakowi wpadła w oko jedna z najładniejszych dziewczynek w naszej szkole, nazwiskiem Jadzia Kozarska. Marian Więckowski, jak się nazywał mój starszy kolega, pewnego dnia przyszedł do swego brata i zażądał od brata pozwolenia na zawarcie związku małżeńskiego z Jadzia. Prawdopodobnie Jadzia nie wiedziała o zamiarach swego konkurenta, a gdyby nawet wiedziała wiekiem ona była za młoda po powzięcia takiego kroku. Kiedy profesor tłumaczył bratu niedorzeczność takiego postanowienia, Marian powiedział, że popełni samobójstwo, jeżeli nie otrzyma takiego pozwolenia. Starszy brat kazał mu natychmiast spakować walizki i najbliższym pociągiem posłał go do rodziców w Kołomyży. Jadzia, napewno nie wiedząc o tym, nadal uczęszczała do szkoły w stanie absolutnie "niezamężnym".

Jako uczeń szóstej klasy, czyli szóstak, już nie mieszkałem na ogólnej sali w bursie. Nam, starszym studentom, przysługiwało prawo mieszkania w mniejszych pokojach we dwójkę lub trójkę. Taki pokój służył nam równocześnie jako sypialnia i jako uczelnia. Moimi współtowarzyszami na sali byli Julek Kurianski i Bronek Hostynski. Nasze wzajemne stosunki współlokatorskie nie zawsze układały się właściwie. Julek i Bronek zawsze zabierali się do nauki po moim wieczornym powrocie do bursy i potem siedzieli nad odrabianiem zadań do północy. Dlaczego oni układali swój dzienny program w taki nierealny sposób trudno mi było na to znaleźć właściwą odpowiedź. Takie przesiedawynie było przyczyną wielu nieporozumień między. Sama nauka nie byłaby mi przeszkodą w spaniu, ale moi koledzy często zachowywali się głośno.



Podczas ferii letnich, między szóstą a siódmą klasą, znowu wyjechałem na letni obóz harcerski. Tym razem miejscem naszego obozowania była wioska Suchodół w okolicy Stryja. Obóz rozbiliśmy na leśnej polanie, przy bystrym i zimnym strumyku i u podóży jednego z pasm górskich Beskidów Wschodnich. Dla mnie przebywanie w górach było czymś nowym i nadzwyczajnym. Całomiesięczny pobyt w tych malowniczych, górskiej okolicy miałby dużo więcej uroku, gdyby nie mokra deszczowa pogoda, której nie było widać końca. Jednym z większych i bardzo przyjemnych punktów naszego programu były wycieczki w góry. Raz wybraliśmy się na szczyt Arszy, 1140 metrów powyżej poziomu morza, będącym najwyższym szczytem w tej części Beskidów. Po długim wspinaniu się około drugiej popołudniu dotarliśmy do szczytu. Byliśmy wprawdzie zmęczeni i głodni, ale zato mieliśmy okazję podziwiać wspaniałe widoki na dole przed nami. Rzędy niekończących się szczytów, zbocza pokryte masą zielonych świerków i u podnóży gór cieniutkie nitki rzeczek i strumyków, odbijających się od otaczającej ich zieleni. Również w dolinach widziało się małe górskie wioski, widziane na odległość kilkunastu kilometrów. Panorama była wspaniała, której można było przyglądać się bez końca. Jednak ten obraz szybko znikł z naszych oczu, kiedy wiatr przyniósł warstwę chmur do rejonów, poniżej nas. Przed nami była jedna szeroka przestrzeń bieli, zakrywająca cały ludzki świat.

Po zniknięciu górskiego krajobrazu pod chmurami zabraliśmy się do przygotowania obiadu. Kilku z nas zrobiło ognisko a kilku bardziej doświadczonych w sztuce kucharskiej zakrzątnęło się koło jedzenia. Cokolwiek on spreparowali było najlepszym smakołykiem, jaki kiedykolwiek jadłem. Dla nas wygłodniałych harcerzy nawet proste jedzenie miało smak rarytasów.

W powrotnej drodze spotkaliśmy się z Hucułami, lokalną ludnością zamieszkującą tamtejsze okolice górskie. Byli to tylko mężczyźni powracający z połoniny, czyli łąki górskiej, gdzie pasł się ich trzody. Każdy z nich był ubrany w huculski strój - koronne białe spodnie, taka sama długa koszula, szeroki skórzany pas oraz buty, przypominające pantofle. Ludzi, podobnie ubranych, widziałem na rynku jazłowieckim, którzy przyjeżdżali tam z glinianymi garnkami oraz bryndzą, aby sprzedawać na wtorkowym jarmarku.

Między nami szybko nawiązała się rozmowa na temat górskiego życia. Oni chętnie dzielili się z nami opowiadaniem na ten temat. Ich gwara wprawdzie różniła się od mowy polskiej, ale my nie mieliśmy trudności w porozumiewaniu się z nimi. Obcując z naturą ich tematem była natura. Najbardziej interesującym opowiadaniem dla nas była leśnia zwierzyna, a zwłaszcza rzadko spotykana i przez nas jeszcze nie widziana. Od nich dowiedzieliśmy się o niedźwiedziach żyjących w okolicznych lasach, które stanowiły niebezpieczeństwo dla ich bydła. Czasami zdarzało się, że one napadły na stado bydła, powywały najlepszą sztukę i zaciągały ją dla pożarcia do najbardziej niedostępnych zakątków górskich. Reztę drogo odbyliśmy w ich towarzystwie, będąc przekonani, że ich obecność ochroni nas od napaści niebezpiecznych napastników górskich. Rozstaliśmy się z nimi w wiosce, skąd do obozu nie było już daleko.

Obóz ze względu na złą pogodę zakończył się kilka dni wcześniej przed jego planowanym zakończeniem. Deszcze padały codziennie, co zmuszało nas do siedzenia w namiotach i chodzenia w mokrej odzieży. Nasze słomiane barłogi też nie wyglądały lepiej. Woda dostawała się wszędzie i trudno było przed nią się uchronić. W czasie tego obozowania otrzymałem stopień ćwika, co otwierało mi drogę do wyższej

funkcji takiej, jak zastępca drużynowego. Na tą funkcję wyznaczono mnie z początkiem następnego roku. Drużynowym naszej drużyny był Jurek Cepak, kolega z bursy starszy odemnie o jeden rok.

W siódmej klasie przybyło mi jeszcze jedno dodatkowe zajęcie, które ochotniczo przyjąłem na siebie. Ktoś z poza gimnazjum zorganizował dla studentów kurs modelarstwa samolotowego. Chętnych nie było zbyt wielu, ale na początku każdy stół wydawał się być zajęty. Jednym ze współuczestników tego kursu był Staszek Żeromski z mojej klasy. Jego interesował temat lotniczy, czego ten kurs był praktycznym początkiem. Podobne zainteresowanie zbliżyło nas do siebie, aczkolwiek moim najbliższym przyjacielem w tym czasie był Leszek Galiński, kolega dzielący ze mną szkolny stolik.

Inne moje sprawy szkolne pozostały bez zmian, przynajmniej na początku roku. Ponownie obrano mnie wójtem klasy, lekcje udzielałem jak dawniej, a harcerstwo, sodalicja i orkiestra nadal należały do moich nadprogramowych obowiązków. Po drugiej konferencji w moim trybie życia zaszła pewna zmiana z czego byłem nawet zadowolony. Po powrocie z zimowych wakacji wójtem klasy obrano Leszka Galińskiego, co zwolniło mnie od obowiązków klasowych.

Z końcem roku, natomiast, nastąpiło wiele zmian. Kiedy ósma klasa zdała maturę i abiturjenci opuścili mury szkolne przyszła na mnie kolejka objęcia pewnych funkcji. W harcerstwie zostałem drużynowym 1szej Drużyny im. Stefana Czarnieckiego, w Sodalicji zostałem jej prezesem, a w Zarządzie Gmin Klasowych powołano mnie na funkcję prezesa Komisji Rewizyjnej. Tak więc moje obowiązki na następny rok ułożyły się dla mnie jeszcze przed zakończeniem poprzedniego.

Podczas wakacji letnich nasza drużyna urządziła dwu-tygodniowy obóz w niedalekiej, małej wiosce Zrębówka, koło Monasterzysk.

Organizatorem obozu i jego początkowym kierownikiem był jeszcze Jurek Cepak. W połowie obozu on dla jakichś przyczyn obozu musiał nas opuścić. Tak więc w czasie trwania tego obozu ja przejąłem zarówno komendę na obozem jak i na drużyną. Z konieczności musiałem zdobyć się na wiele samodzielności, aby podołać stronie wychowawczej i gospodarczej obozu. Początkowo nie przychodziło mi to łatwo, ale ostatecznie dałem sobie radę z moimi podrzędnymi i obowiązkami, jakie nowa funkcja na mnie nałożyła. Szczególnym urozmaiceniem naszego programu obozowego były wieczorne wizyty dzierżawców majątku, pp. Acłanów oraz jego właścicieli pp. Duninów. Ostatni mieszkali w sąsiedniej wiosce do ktorej chodziliśmy na niedzielne nabożeństwa. Obie rodziny były dla nas niezwykle uprzejme i w wielu wypadkach pomocne jak zaopatrzeniu, transportacji i w dobrych radach. Kilka razy w tygodniu chodziliśmy na zakupy do Monasterzysk. Tam za każdym razem spotykaliśmy się z uprzejmością lokalnych pań, które chętnie doradzały nam w wyborze żywnościowych produktów.

Tuż po powrocie do domu z powyższego obozu przedmną był jeszcze jeden obowiązek do spełnienia. Obowiązek ten wymagał mego wyjazdu z domu. Po pierwszym roku służby w t.zw. Przystosowaniu Wojskowym każdy z nas musiał odbyć służbę w specjalnym obozie przygotowania do do wojska. Dla naszego gimnazjum wyznaczono w tym roku obóz na Wileńszczyźnie, na drugim końcu kraju, nad jeziorem Drywiaty w Rackim Borze /granica łotewska/. Dla mnie była to pierwsza długa podróż pociągiem, która pokrywała przestrzeń od najbardziej na południe do najbardziej na północ położonych części Polski. Dla nas uczestników tego obozu była to również wycieczka krajoznawcza. Faktycznie jej krajoznawczy aspekt miał miejsce dopiero w powrotnej drodze, kiedy każdy na własną rękę wracał do domu.



Program obozu był oparty na regulaminie wojskowym i był kierowany przez zawodowy personel wojskowy. Cwiczenia, marsze, zapoznanie się z bronią i niezawodna musztra. Dla nas Polaków takie przygotowanie wydawało się być konieczne ze względu na trudne geograficzne położenie naszego kraju. Obóz ten był faktycznie kulminacyjnym punktem naszej dwuletniej służby w Przysposobieniu Wojskowym. Tam musieliśmy wykazać swoje sprawności i zdawać z tego egzamin. Na egzaminie poszło mi gładko i otrzymałem wysoki stopień, aczkolwiek nie należałem do grupy tych, którzy myśleli o wojskowej karierze.

W drodze powrotnej spotkałem się z pierwszymi trudnościami samodzielnego życia. Moje fundusze z domu dobiegały końca, a będąc w całkowicie obcym mi terenie nie mogłem liczyć na czyjąś pomoc. Mimo to brak pieniędzy nie przeszkodził mi w poznawaniu szczególnych punktów w wycieczce krajoznawczej.

Pierwszym naszym przystankiem w powrotnej drodze było piękne i niezapomniane Wilno, z Ostrą Bramą, Wilejką i z niezliczoną ilością kościołów. W ciągu jednego dnia, jaki mieliśmy do dyspozycji, nie mogliśmy zwiedzić wszystkiego, ale nikt z nas nie odmówił sobie odmówienia modlitwy przed obrazem Matki Boskiej Ostrobramskiej i odwiedzenia przynajmniej jednej ze świątyń. W moim wypadku był to kościół sw. Jana. Konieczność też wymagała, aby zaglądnąć przynajmniej do jednej wileńskiej restauracji. W jednej z nich spotkaliśmy się z pierwszym kulinarnym nieporozumieniem. Zupełnie niespodziewanie dla nas wyszły na jaw różnice dzielnicowe w jadłospicie. Ci, którzy zamówili sznycle dostali kotlety, a ci którzy żądali kotletów dostali sznycle. To nieporozumienie, czego my nie byliśmy świadomi,, pokutowało w Polsce od czasów połączenia się rozbiorowych dzielnic w jeden kraj, ale do nas na Podole to jeszcze nie doszło.

W Wilnie nasza grupa buczacka rozleciała się na mniejsze grupki, które ułożyły się według indywidualnych upodobań. Moim towarzyszem podróży został Staszek Żeromski. W tym okresie czasów gimnazjalnych przyłączyliśmy do siebie z racji wspólnego uczęszczania na kurs modelarski. Obaj rozporządzaliśmy ograniczonymi zasobami pieniężnymi i dlatego planowaliśmy wspólnie nasze wydatki, głównie żywnościowe. Do stacji Brody, pod Lwowem, jeszcze zdołaliśmy się utrzymać w naszym budżecie. Kilka groszy, które jeszcze posiadaliśmy w kieszeniach według naszych obliczeń powinny nam być wystarczyc do Buczacza. Niestety ze stacji Brody tylko jeden pociąg dziennie odchodził do Tarnopola. Na następny pociąg, po naszym przyjeździe musieliśmy czekać 18 godzin. Za wspólne fundusze kupiliśmy garnek kwaśnego mleka i kawałek czarnego chleba i na tym przeżyliśmy długie godziny czekania. Po przybyciu do Buczacza udałem się do domu mojej żydowskiej nauczycielki, Selzerowej, gdzie dostałem jedzenie, przespałem się i odpocząłem, aż do odjazdu wozu pocztowego do Jazłowca.

Na pozór ostatni rok szkolny zaczął się dla mnie niepomyślnie. Przyczyną tego były dwie zmiany profesorów, nauczyciela matematyki i polonistyki. Przedmiot matematyki przejął nowo przybyły nauczyciel prof. Makarski, a poprzedniego naszego polonistę prof. Więckowskiego zastąpił również nowo przybyły prof. Grzybowski. Żaden z nich nie był uprzedzony wobec mnie i nigdy nie wykazywał złej woli, ale na początku dla mnie wszystko układało się niedobrze. W obu wypadkach na pierwsze ich pytania nie mogłem zdobyć się na właściwą odpowiedź. Ztej racji straciłem zaufanie do siebie. Nie mogłem pogodzić się z tym, że jako dobry uczeń w obu przedmiotach, nagle stałem się jednym z gorszych uczniów w ich klasach. Szczęśliwie był to tylko krótko-

trwały okres przejściowy zarówno w jednym jak i drugim wypadku. Obaj z nich, znając psychologię studenta, podeszli do mnie w mniej więcej podobny sposób. Przez dłuższy czas zostawili mnie w spokoju i omijali moje nazwisko w zadawaniu pytań. Po pewnym czasie inicjatywa wyszła ode mnie. W odpowiedzi na pytania rzucone klasie podniosłem rękę, dałem właściwą odpowiedź i od tego dnia stałem się ponownie dobrym uczniem w obu przedmiotach. Tym samym odzyskałem zaufanie do siebie i pozyskałem zaufanie obu profesorów.

W początkach roku otrzymałem dwie niespodziewane propozycje. Obie wyszły wyszły od moich koleżanek i obie dotyczyły udzielania im lekcji. Jedną z nich dostałem od Oleńki Kardaszównej, która na przeciąg ostatniego roku w szkole przeniosła się na prywatną stancję w Buczaczu i widocznie potrzebowała czyjejś pomocy, aby polepszyć stopnie w pewnych przedmiotach. Drugą propozycję otrzymałem od mojej długo letniej koleżanki, Marysi Janowskiej. W wypadku drugiej byłem raczej zaskoczony jej zwróceniem się do mnie. W mojej opinii Marysia należała do lepszych uczennic w klasie i nie przypuszczałem, że ona potrzebowała korepetytora w matematyce.

Prawdopodobnie dla jej ładnej twarzy wielu z moich kolegów byłby się podjęło tego zadania z wielką chęcią ,gdyby ta nasza wspólna koleżanka zwróciła się do któregośkolwiek z nich. Mimo swojej wrodzonej nieśmiałości przełamałem ukryte obawy w sobie i zgodziłem się na udzielanie jej lekcji. Nawet jej miejsce zamieszkania na drugim końcu miasta i dlatego niezbyt wygodne dla mnie nie powstrzymało mnie od tej dodatkowej pracy. Ładna twarz Marysi była wtedy tylko obrazkiem dla mnie, któremu się ktoś przygląda i podziwia. Większe i innego rodzaju zainteresowanie w niej wykazywał Tusiek Iskrzyński, były uczeń gimnazjum starszy od niej i ode mnie o kila lat. Po

Buczaczu nawet krążyły pogłoski, że na jej widok spacerującej z innym mężczyzną on groził popełnieniem samobójstwa. Nawet wtedy, w moim dorastającym wieku, wydawało mi się, że młoda miłość tworzy nierealne i niebezpieczne sytuacje.

Podczas, gdy Marysia była osobą spokojnego usposobienia, co jak najbardziej odbijało się w jej atrakcyjnych i regularnych rysach, Oleńka była raczej agresywną młodą panią, nawet wobec mnie młodego studenta, jeszcze niedoświadczonego w sprawach bliższych stosunków między płcią żeńską i męską. Czasami, przychodząc do jej mieszkania dla odrabiania lekcji, zastawałem ją w łóżku i wtedy z twarzą czerwoną jak burak podziwiałem jej nagie kolanko. Czasem siedząc z nią przy stole, czułem to samo kolanko przywierające do mojej nogi. Wtedy krew uderzała mi do głowy, a tętno biło przyspieszonym tempem. Te ciche prowokacje podświadomie przemawiały do mnie, ale widocznie wtedy fizycznie i mentalnie jeszcze nie dorosłem do reagowania na pokusy świata. Tego rodzaju sprawy życiowe były wciąż przede mną, a ja jeszcze się do nich nie śpieszyłem.

Wokół mnie tworzyły się bliższe sympatie między koleżankami i kolegami. Słyszało się o zakochanych chodzących na spacer, o ich potajemnych spotkaniach na Czarnym Moście i Fedorze, na slizgawce i innym ogólnie znanych, ale tylko skrycie wymienianych miejscach. Wszyscy słyszeli o romansach Staszka Magnowskiego, o bliższych powiązaniach między Tadzkiem Warszylewiczem i Janką Urbańską, między Helą Wójcicką i Pawełkiem Januszewskim, o tym, że Stasia Vidakówna i Julek Kuriański mieli się ku sobie i o innych cichych sympatiach o których słyszało się przypadkiem. Wprawdzie bez trudności komunikowałem się w sprawach szkolnych ze Staszka Vidakówną, Janką Radłowską czy Junką Suchecką i z uczuciem amatora podziwiałem urodę Marysi



Janowskiej, Zosi Marakównej, czy Jadzi Kozarskiej, ale moja wyobraźnia oraz moje ambicje nie wychodziły daleko poza granice niesprecyzowanych uczuć młodego człowieka.

W listopadzie tego roku miałem możliwość po raz pierwszy wykazać się moimi osiągnięciami w dziedzinie modelarstwa. Na zakończenie kursu jego kierownictwo urządziło zawody modeli w czym ja, jako jeden z lepszych uczniów też wziąłem udział. W ostatniej próbie mój model okazał się najlepszym i w wyniku tego przyznano mi pierwszą nagrodę w wysokości 10 złotych, złożonych na książeczkę oszczędnościowej PKO. W pierwszych dwóch próbach mój model ledwie przeleciał kilkanaście metrów, ponieważ źle zbalansowane skrzydła ciążyły ku przodowi. W drugiej próbie wypadło nieco lepiej. Za trzecim razem, po usunięciu usterki, mój model przeleciał całe boisko sportowe na Fedorze i wylądował daleko za parkanem. Tego samego dnia wybrałem się do Jazłowca, aby pochwalić się przed moją rodziną niezwykłym dla wszystkich osiągnięciem. Przy pierwszym pokazie model runął na ziemię i roztrzaskał się w kawałeczki. Po tym osiągnięciu zrezygnowałem z kursu, nie dla braku zainteresowania lecz z braku czasu, który w tym ostatnim roku był dla mnie cennym i którego nigdy nie miałem za dużo.

Dla nas maturzystów rok szkolny zakończył się już w kwietniu. Kierownictwo gimnazjum dało nam kilka tygodni do przygotowania się do egzaminów pisemnych i ustnych. Jak zwykle z końcem roku wydano nam świadectwo ukończenia ósmej klasy, ale to nie było równoznaczne z osiągnięciem oficjalnego stopnia dojrzałości.

Pisemne egzaminy zaczęły się w początkach maja. Każdy z nas miał do wyboru pewne przedmioty; w tym trzy podlegało egzaminowi pisemnemu, a co najmniej jeden ustnemu. Ilość przedmiotów do ustnego egzaminu była uzależniona od wyników egzaminu pisemnego. Cztery

przedmioty, które wybrałem były - język polski, łacina, matematyka i historia. Z trzech pierwszych siadałem do egzaminu pisemnego, a ostatni z natury rzeczy miał być ustnym. Tak się złożyło, że zdawałem wszystkie pisamne trzy dni pod rząd.

Pierwszym z nich był język polski. Temat opracowania opiewał: "Wpływ Powstania Styczniowego na literaturę XIX wieku." Opracowanie tego tematu nie przedstawiało dla mnie większych trudności, ponieważ pytanie tego rodzaju uprzednio dyskutowaliśmy w klasie. Łacina też poszła mi łatwo. Do tłumaczenia dostaliśmy prosty i nieskomplikowany tekst o Octawianie Auguście, a polska część opracowania pokrywała się z tematem o tej samej treści. Matematyka, chociaż była moim najlepszym przedmiotem, na egzaminie była dla mnie trudnym orzechem do zgryzienia. Długo głowiłem się nad problemami nim doszedłem do wątku rozwiązania. Nawet wtedy zrobiłem pomyłkę, o której zdałem sobie sprawę dopiero po wyjściu ze sali.

To wprowadziło mnie w minorowy nastrój, ponieważ byłem przekonany, że z powodu złego stopnia będę musiał zdawać z tego przedmiotu również ustny egzamin. Jednak bardziej martwiło mnie to, że w czasie egzaminu posłałem bibułę z moim rozwiązaniem do Marysi Janowskiej przez najbliższą sąsiadkę, Malcię Strauberówną. Byłem pewien, że obie z nich zkopiowały moje błędy i obie poniosą podobne konsekwencje jak ja. Szczęśliwie moje obawy okazały się płonne. Nie tylko zdałem egzamin z dobrym wynikiem, ale moje obie koleżanki zdały go z wynikiem pomyślnym. Malcia Strauber była mi bardzo wdzięczna z tego powodu i w późniejszym czasie kilkakrotnie wyraziła mnie swoje szczerze podziękowania.

Tuż po złożeniu pisemnych egzaminów, jako jeden z lepszych graczy w siatkówkę, wyjechałem z reprezentacją gimnazjalną na okręgowe

zawody do Lwowa. Mimo, że prezentowaliśmy gimnazjum koszt przejazdu i utrzymania musieliśmy pokryć sami. Początkowo miałem zastrzeżenia, czy powinienem był wziąć udział w tym wielkim dla nas studentów sportowym wydarzeniu. Logicznie mówiąc, pozostanie na miejscu celem przygotowania się do egzaminu ustnego było bardziej rozsądne. Jednak nauczyciel wychowania fizycznego i organizator wyjazdu do Lwowa, prof. Bober, przekonał mnie, że mój wyjazd i związane z tym oderwanie się od nauki będzie dla mnie odpoczynkiem i wyjdzie mi na dobre. Na oczekaniu zebrana drużyna, w skład której, poza mną, weszli Romek Wójcicki, Tadzik Warszylewicz, Pawełek Januszewski, Romek Juchim, Oleg Haftkowicz i Staszek Zeromski, jako zapasowy gracz, najbliższym pociągiem wyjechała do Lwowa.

Pewne trudności zdarzyły się już w pierwszym dniu zawodów. Dla jakiejś przyczyny nie zastosowaliśmy się do przepisów i z tej racji groziło nam niedopuszczenie do zawodów. Nasz kierownik, prof. Bober, zdołał tą sprawę uregulować i w następnym dniu spotkaliśmy swego pierwszego przeciwnika. Pierwszy mecz wygraliśmy z drużyną Kadetów, ogólnie uważaną za jedną z lepszych. Następne gry też zakończyły się dla nas zwycięsko. W rezultacie tego weszliśmy do pół-finałów. Rozgrywki dalsze nie były dla nas łatwe. Przegraliśmy kilka gier w rezultacie odpadliśmy w półfinałach. Jednak osiągnęliśmy czwarte miejsce w zawodach, co dla nas nowicjuszy nie było złą pozycją. Biorąc pod uwagę, że zawody pokrywały cały okręg lwowski, a tym samym wiele rejonów gimnazjalnych, nasz wynik był bardziej niż zadawalający. We Lwowie pozostaliśmy jeden dzień dłużej. Jedni dla zwiedzania zabytków, inni dla spotkania się ze swymi znajomymi i rodzinami. Dla mnie stopniowe zapoznawanie się z miastem miało duże znaczenie. W myśl moich planów, w mieście tym miałem spędzić kilka

dobrych lat, aby na uniwersytecie kontynuować studia po uprzednim spełnieniu moich obowiązków wojskowych.

Po powrocie ze Lwowa pojechałem wprost do rodziców, gdzie wziąłem się solidnie do studiowania historii. W czasie tego otrzymałem list od Staszka Żeromskiego w którym podał mi moje wyniki egzaminów pisemnych oraz termin egzaminu ustnego. Okazało się, że moje stopnie opracowań pisemnych były wysokie i dlatego przedmiot historii był jedynym z którego miałem zdawać egzamin ustny.

Do Buczacza wróciłem kilka dni przed rozpoczęciem egzaminów, gdzie nadal pilnie studiowałem historię. Codziennie szukałem za zaciszny miejscem w bursackim ogrodzie i siadywałem tam godzinami z podręcznikiem w rękę. Pewnego dnia, Prefekt Grabowski, widząc mnie siedzącego cały czas nad książką, zabrał mi ją z rąk i kazał pozostawić naukę w spokoju. W jego opinii zdanie matury nie powinno było mi sprawić trudności, a odpoczynek przed egzaminem był bardzo wskazany.

Moja kolejka do zdawania egzaminu przed komisją maturalną przyszła dopiero w piątym dniu. W dzień wcześniej, dyr. Szajter, widząc mnie na korytarzu, zaproponował, abym w tym dniu siadł do stołu konferencyjnego. Mając na uwadze, że po całodziennym studiowaniu mój umysł był zmęczony, dałem mu negatywną odpowiedź.

Dzień następny, 22go maja 1938 r., był moim ostatnim i najważniejszym dniem moich studiów w buczańskim gimnazjum. Słuchając rad starszych i doświadczonych ludzi oddałem się tego dnia błogiemu i rozkosznemu próżnowaniu. Po śniadaniu położyłem się na łóżku i obudziłem się dość późno po obiedzie. Potem znowu położyłem się na godzinę lub dwie. Wieczorem poszedłem do gimnazjum, ale wcześniej przed wyznaczoną godziną. Moi koledzy i koleżanki, wyznaczeni na ten dzień już czekali na korytarzu przed salą konferencyjną. Egzaminy zaczęły się dopiero



o szóstej godzinie wieczorem. Dokładnie o tym czasie wezwano nas do sali konferencyjnej, gdzie po odmówieniu wspólnej modlitwy zapoznano nas z obowiązującymi przepisami w czasie egzaminu. Równocześnie ustalono porządek i kolejność studentek i studentów. Ja, jako jedyny mający tylko jeden przedmiot do zdawania, zostałem wyznaczony na pierwszego w kolejce.

Po wyjściu innych ze sali zająłem wskazane mi miejsce przy olbrzymim stole konferencyjnym naprzeciw mego wykładowcy historii, prof. Erdsteina. Według ustalonej rutyny sięgnąłem ręką do wazy i wyciągnąłem z niej kawałek papieru z pytaniami na które miałem odpowiedzieć. Po otwarciu przeczytałem trzy pytania o następującej treści:

- Miasta polskie za czasów średniowiecznych.
- Rywalizacja francusko-habsburska na terenie Polski.
- Państwo i społeczeństwo.

Profesor dał mi dziesięć minut do przestudjowania tematów. W tym czasie napisałem krótkie dyspozycje i po ich napisaniu powiedziałem mu, że jestem gotów. Zacząłem opisywać strukturę i organizację polskich miast i ich podobieństwo do miast zachodnich krajów. W połowie odpowiedzi profesor przerwał moje wywody. Rozpocząłem następny temat. Zacząłem od Henryka Walezego i przez Batorego, Jana Kazimierza i Sobieskiego doszedłem do Stanisława Augusta. W tym punkcie profesor powiedział "dziękuję". Odpowiedź na ostatnie pytanie ograniczyła się do defincji terminów państwa i społeczeństwa. Kiedy usłyszałem jego słowa "dziękuję dość", wstałem od stołu i poszedłem do poczekalni. Po drodze zatrzymał mnie prof. Nazarkiewicz z propozycją, abym podniósł swój stopień z łaciny na bardzo dobrze. Mimo jego zapewnienia, że odpowiem na pytania bez trudu, odpowiedziałem mu odmownie.

Po wyjściu z sali odrazu zostałem zasypany pytaniami przez czekających na korytarzu kolegów i koleżanki "jak mi poszło", "jak to wygląda" i "jak się czuję". Nie zdążyłem dać im odpowiedzi, gdy zostałem ponownie wezwany do sali konferencyjnej. Stałem na wskazanym miejscu we środku pokoju i spokojnie słuchałem, co mówił dyrektor. Z jego wypowiedzi rozumiałem, że komisja egzaminacyjna uznała mnie za dojrzałego człowieka. Po tej urzędowej procedurze każdy z obecnych profesorów złożył mi gratulacje.

Wychodząc z budynku czułem się wolny i swobodny oraz szczęśliwy i zadowolony z życia. Za mną pozostał młodzieńczy okres mego rozwoju fizycznego i mentalnego, a przede mną otworzył się inny, wprawdzie nieznany, ale pełen nadziei i jeszcze nieskrystalizowanych zadań. Szedłem tymi samymi ulicami miasta, jakimi chodziłem niezliczone razy, z pełną świadomością, że jestem wolnym człowiekiem z widokiem na osiągnięciem pełnej niezależności. To co było przede mną, tego jeszcze nie byłem w stanie przewidzieć, ale w duszy swojej czułem, że podołam wszystkim przewidzianym i nieprzewidzianym trudnościom. W tej chwili w świecie otwartym przede mną niewidziałem nic takiego, co nie pozwoliłoby mi sięgnąć po moje lepsze jutro.

Godzina była jeszcze wczesna. Ludzie akurat wychodzili z kościoła z wieczornego nabożeństwa. Między nimi spotkałem kilka moich koleżanek i kilku kolegów. Widząc mnie na ulicy o tej porze pytali dlaczego nie jestem w gimnazjum, przecież w tym czasie miałem zdawać maturę. Jedni dziwili się, że tak szybko załatwiłem się z egzaminem, a drudzy zazdrościli mi przejścia już przez to przerażające doświadczenie.

W tym dniu było już za późno, aby wybrać się do domu w Jazłowcu i podzielić się z rodzicami dobrą nowiną. Natępnego dnia rano udałem się jeszcze do gimnazjum, ponieważ w tym dniu egzamin zdawała Janka

Radłowska, z którą utrzymywałem przyjazne stosunki koleżeńskie, aby złożyć jej gratulacje z racji zdania matury. Podobno jak ja ona była pierwszą osobą z grupy i która również po godzinie była już wolna. Janka była dobrą uczennicą i nikt nie miał wątpliwości, że zda egzamin, ale moja ciekawość nie pozwoliła mi opuścić Buczacza aż się upewniłem co do wyniku.

Z góry Fedoru, w drodze do domu, oglądałem się kilkakrotnie do tyłu, aby raz jeszcze spojrzeć na mury starego miasta w których spędziłem osiem lat swego życia. W sercu czułem żal za tym ,co pozostało za mną - żal za życiem studenckim i za tymi młodymi ludźmi z którymi dzieliłem ławę szkolną. Myśli te ustąpiły miejsce lepszym, kiedy w miarę zbliżania się do Jazłowca i myślałem coraz częściej o dobrej nowinie jaką miałem dla rodziny w Jazłowcu.

Rodzice byli akurat w domu, gdy wszedłem do kuchni. Widząc uśmiech na mojej twarzy od razu domyślili się, że mój egzamin wypadł pomyślnie. Oni byli nie mniej szczęśliwi niż ja. Dla nich też zakończył się trudny okres życia, wymagający od nich dużo poświęcenia dla dobra ich syna. Podczas obiadu, dla okazania swego uznania dla mego nowo nabytego wieku dojrzałości, ojciec zaoferował mi papierosa, mówiąc równocześnie, że od tego dnia wolno mi jest palić i pić wódkę. Kiedy odmówiłem, widziałem zadowolenie w jego oczach z mojej decyzji. Widocznie był przekonany, że moja dotychczasowa wstrzemięźliwość nie była dyktowana szkolnymi przepisami, lecz wynikała z moich własnych przekonań.

T tą chwilą rozpocząłem długie cztero-miesięczne wakacje, które nie były kompletnie dla mnie wolnym czasem. Przedemną czekały pewne obowiązki osobiste i obywatelskie a szczególnie załatwienie spraw związanych z moją służbą w Podchorążówce w Tarnopolu.

Tylko raz jeden jeszcze, my niedawni uczniowie i uczennice gimnazjum, zeszedliśmy się razem. Okazją tą była zabawa abiturjencka, aby w pogodzie ducha symbolicznie pożegnać się ze sobą. Zabawa miała miejsce w najbardziej eleganckim lokalu w Buczaczu, w budynku Sokoła. Moje koleżanki, ubrane w długie suknie balowe, i my świeżo-dojrzałe mężczyźni, w cywilnych ciemnych ubraniach, przy dźwiękach orkiestry dawaliśmy wyraz uczuciom nostalgii za minionymi latami. Niektóre z naszych koleżanek przyszły na zabawę ze swoimi wybranymi mężczyznami, niektórzy z moich kolegów przyprowadzili swoje damskie towarzystwo z poza szkoły. Inni, jak ja, niezwiązani niezwiązani specjalnymi uczuciami z poza szkolnym towarzystwem, bawiliśmy się z paniami jeszcze nie związanymi z mężczyznami zwego wyboru. Na tej zabawie tańczyła po raz pierwszy z wielu koleżankami z klasy. Pod koniec zabawy przystąpiła do mnie Marysia Janowska i dopiero wtedy zdobyłem się na odwagę zaprosić ją do tańca. Na zakończenie, trzymając się za ręce, odspiewaliśmy tradycyjną nastrojową piosenkę: "Za rok, za dzień, za chwilę, razem nie będzie nas".

Z melodią tej piosenki rozeszedliśmy się w świat, każdy w swoją stronę, na krótszy lub dłuższy czas, a z niektórymi może na zawsze. W chwili tego rozstania nikt nie był w stanie przewidzieć naszej najbliższej przyszłości, wprawdzie już dającej znać o sobie zdaleka, ale jej sygnały były za słabe, aby nasza świadomość mogła je sobie przyswoić. Dla niektórych z nas najbliższa przyszłość nie była rozstaniem się na zawsze. Większość mężczyzn z naszej klasy anowu spotkało się razem, ale w innej szkole i w innym celu. Tym celem było spełnienie obowiązku wobec kraju w mundurze polskiego żołnierza. Myśmy już o tym wiedzieli przed rozstaniem się z gimnazjum i byliśmy przygotowani na oddanie jednego roku służbie wojskowej.



Nasz rocznik, jako jeden z pierwszych urodzonych i wychowanych w wolnej Polsce, z reguły podlegał nowo-wprowadzonym przepisom i z tej razji był podporządkowany różnym zmianom i reformom. Tak się rzecz miała w czasie naszych lat gimnazjalnych i tak się zaczęła nowa droga naszego życia. Na mocy nowych zarządzeń tuż po maturze musieliśmy wypełnić obowiązek obywatelski wobec kraju i narodu, którym było odbycie rocznej służby, poczynając od szkolenia w podchorążówce. Dla nas młodych, wychowanych w poczuciu głębokiego patriotyzmu przez naszych przełożonych i przez obcowanie z otaczającą nas historię kresów, , sprawa tego rodzaju była sprawą naszych narodowych przekonań. Dlatego Obóz Pracy i szkolenie w Podchorążówce, już zaprogramowane dla nas wcześniej, były dla nas moralnym prawem od którego wielu z nas nie chciało się uchylić.

Celem spełnienia jednego z tych obowiązków, już w pierwszych tygodniach moich wakacji stawiłem się przed komisją poborową w Buczaczu. Po przejściu lekarskich badań otrzymałem kategorię "A", co automatycznie kwalifikowało mnie do służby wojskowej. W tej wczesnej służbie było pewne logiczne rozwiązanie moich przyszłych planów. Odbycie służby żołnierskiej przed rozpoczęciem wyższych studiów pozwalało mi na odbycie ich bez przerywania obowiązkami natury wojskowej. W ten sposób rozumowała większość moich kolegów i dlatego niemal wszyscy spotkaliśmy się w poczekalni biura poborowego.

W sierpniu tego roku zostałem powołany do odbycia obowiązku służby pracy w jednym z obozów koło Worochty, na pograniczu ówczesnej Czechosłowacji. Był to rejon górski, położony w najbardziej na południe wysuniętym kąciku Polski. Praca w górach przy budowie drogi była dla nas raczej urozmaiceniem niż ciężką pracą ziemną. Nikt z nas nie przykładał się zbytnio do kopania i wożenia taczkami ziemi, chociaż

z reguły wypełnialiśmy normy dla nas przewidziane. Jednym z utrudnień była deszczowa pogoda. Deszcze padały często, a woda przeciekająca przez nieszczelne dachy baraków nie jednemu z nas psuła życie. Cztery tygodnie pracy przeminęło szybko. Z uczuciem spełnionego obowiązku, a tym samym z uczuciem ulgi opuściliśmy mokre baraki i powróciliśmy do niższych a słonecznych rejonów.

Wielką niespodzianką dla mnie było spotkanie się w tym obozie z moim dawnym przyjacielem, Jankiem Pawłowskim. Obaj byliśmy zadowoleni ze spotkania, ale po sześciu latach rozłąki dawne uczucia bliskiej przyjaźni już się ulotniły. Żyliśmy zbyt długo w innych środowiskach, aby zachować w duszy to, co nas kiedyś łączyło. Spotkałiśmy się tylko raz jeden przy jakiejś okazji i nasze drogi już nigdy razem się nie zeszły.

Mój brat Franciszek, uprzedzony listownie o moim przyjeździe, przyjechał po mnie rowerem na stację kolejową Pyszkowce. Rower ten był moim prezentem od rodziców za zdanie matury. Dzięki ich szczodrości stałem się właścicielem rzadkiego wówczas środka lokomocji - szybszego od własnych nóg czy konnej furmanki. To stawiało mnie w uprzywilejowanej pozycji młodych ludzi w Jazłowcu. Poza mną posiadaczami rowerów byli tylko Genek Kuliczkowski oraz Snihurowicz, syn ruskiego księdza.

W początkach wakacji, jeszcze przed wyjazdem na obóz pracy i kiedy uczennice gimnazjum w jazłowieckim klasztorze wciąż uczęszczały do szkoły, poznałem miłą i ładną studentkę, Zosię Swidzińską z Monasterzysk. Do naszego spotkania doszło za pośrednictwem mojej kuzynki, Kazi Kuriańskiej. Począwszy od tego wiosennego dnia widywałem je obie niemal codziennie. Razem tworzyliśmy trójkę młodych ludzi, którzy znaleźli dużo zadowolenia w obcowaniu z sobą. Pewnego razu wybraliśmy

na spacer w pole. Podczas, gdy ja szedłem drogą, one zbierały kwiaty, wiły je w wianuszki i zakładały jako korony na głowie. Obie wówczas wyglądały uroczo, a zwłaszcza Zosia. Jej kwiecista korona, uśmiechnięte buzia i oczy oraz żywe młode ruchy ładnej paniąki nastroiły mnie uczuciowo wobec niej. Do dalszego zbliżenia się jednak nie doszło. Zanim zdołaliśmy przełamać lody wzajemnej nieśmiałości, rok szkolny się zakończył i młoda panna wyjechała do domu.

Tuż po jej wyjeździe i po moim zdaniu matury zainteresowałem się jazłowiecką drużyną harcerzy. Członkami jej młodzi chłopcy w wieku mego młodszego brata, których znałem od dzieciństwa i których co niedzieli spotykałem się na ulicy. Organizatorem jej był młody ogrodnik z dworu w Nowosiółce. Nie wiem kto podsunął myśl zorganizowania dla nich obozu w jednej z wiosek buczackiego powiatu. Prawdopodobnie inicjatywa wyszła od prof. Pelca, pełniącego funkcję hufcowego w tym rejonie. Logicznym kandydatem za zorganizowanie takiego obozu byłem ja. Zadanie nie było łatwe ze względu na brak funuszy, a od kandydatów na obóz trudno było żądać jakiego pieniężnego wkładu, ponieważ ich rodzice nie byli ludźmi zamożnymi.

Udałem się do urzędu Gmin Zbiorowych z prośbą o jakąś donację pieniężną, ale tam spotkałem się z odmowną odpowiedzią. Poszedłem też do urzędu gminnego, gdzie wskórałem furmankę na przewiezienie sprzętu z Buczacza do Zrębówki, miejsca proponowanego obozu. Od hufca w Buczaczu dostałem dziesięć złotych i tyle samo wyciągnąłem ze swojej książeczki oszczędnościowej. Młodzi chłopcy dołożyli do tego artykuły żywnościowe, darowane przez rodziców. Mimo różnych mniejszych trudności ostatecznie kilkunastu chłopaków ze mną na czele wymaszerowało na obóz do Zrębówki.

Znowu wycieczki, zabawy, gotowanie na ogniu, wieczorne ognisko i wizyty pp. Asłanów i Duninów. To małe a wspólne życie na łonie przyrody było małym i nieistotnym wydarzeniem zarówno dla młodych chłopaków jak i dla mnie. Znaczenie tego dało sobie znać o sobie wiele lat później, kiedy ci chłopcy w czasie ukraińskich rzezi stali się obrońcami polskiej ludności w Jazłowcu. Owcześnie mała organizacja harcerska dała podstawy do bardziej znaczącej organizacji samoobrony w trudniejszych i groźniejszych czasach.

Po powrocie z obozu pracy reszta moich wakacji upłynęła raczej spokojnie. Dzielne wycieczki do Strypy, spacerowanie w towarzystwie młodych ludzi do zamku i zpowrotem czy okazyjne zbieranie w tym czy innym domu było ustaloną rutyną, która wynikała z mało-miasteczkowego życia. Jednym z zasadniczym urozmaiceniem dla mnie w tym trybie ludzkiej egzystencji było uczenie się lekcji języka francuskiego pod dyktando mojej kuzynki Jadwigi. Moje zdolności językowe nie były najlepszą stroną mego zdobywania nauki, ale przy jej pomocy poznałem nieco gramatyki i pewien zasób słów, niewątpliwie za mały, aby porozumieć się z Francuzem nawet w najprostszycich sprawach. W zamian za udzieloną mi usługę byłem niejako pośrednikiem między Jadwigą i Jólkiem Smulskim, jej sympatią, którego jej rodzice nie aprobowali.

Innym urozmaiceniem były wycieczki rowerowe po innych miejscowości dla odwiedzania krewnych i znajomych. Czasami wyjeżdżałem w towarzystwie Genka Kuliczewskiego i Jólka Smólskiego do kina do Buczacza. Żyłem jakgdyby w zawieszaniu, czekając na jeden mały papierek, który miał mnie powołać do służby wojskowej.

Papierek ten w końcu przyszedł i został doręczony mi przez mego kuzyna Julka Kuriańskiego, który był w takiej samej sytuacji jak ja. W myśl zawartej w nim instrukcji obaj mieliśmy stawić się w Tarnopolu



i zgłosić się w kancelarii Szkoły Podchorążych Rezerwy przy 54tym Pułku Piechoty. Tarnopola jeszcze nie widziałem. Dla mnie było to jedno z polskich historycznych miast, które sobie różnie wyobrażałem, ale dla mnie pociągające chociażby dla swojej wielkiej przeszłości.

Wkrótce przyszedł dzień, kiedy musiałem pożegnać rodzinę i z kuferkiem w rękę wyjechać na stację kolejową. Dzień jesienny był piękny i słoneczny, ale rozstanie się z najbliższymi i rodzinnym miasteczkiem wywołało u mnie uczucie żalu za nimi. Kiedy żegnałem się z matką, widziałem, łzy w jej oczach. Oczywiście były to matczyne łzy, spowodowane uczuciem, ale w tym może też była intuicja o głębszym podłożu, czego ani ja ani ona nie mogliśmy być świadomi.

### III. NOWA SZKOŁA ŻYCIA

Była to niedziela, piękna i pogodna, jeden z tych dni, który przypadkiem się trafia w październikową porę babiego lata. Dla nas rekrutów, skoszarowanych na dużej sali kompleksu wojskowych budynków, był to dzień niezwykły, bo na dalekim krańcu Polski tworzyła się historia. Myśmy nie brali w niej udziału, ale niemniej byliśmy świadkami wielkiego wydarzenia, które upajało nasze dusze wielkim patriotycznym uczuciem. Być może, że ktoś w późniejszych latach patrząc na to wydarzenie w perspektywie politycznych konsekwencji, mógł kwestionować nasz entuzjazm, ale w w tym czasie, kiedy radio całą siłą głośnika hypnotyzowało nas uczuciem wielkiego zwycięstwa, my w ogólnej ekstazie chwili powtarzaliśmy za naszymi przewodcami upajające słowo "Marsz!"

Poza tym słowem i sprawozdaniem korespondenta radiowego o powiększeniu się granic naszego kraju o skrawek Zaolzia nic większego i nic ważniejszego dla nas nie istniało. Gdyby nas wtedy ubrano w zielony mundur i dano broń do ręki, bylibyśmy poszli razem z innymi do tego zakątka świata, chociażby dla dzielenia się bohaterstwem czynu i sławą polskiego oręża. W tym dniu byliśmy jeszcze cywilami, chociaż zdążyliśmy już doświadczyć niewygód żołnierskiego siennika i niewyraźnego smaku żołnierskiej strawy. To jednak było małym poświęceniem z naszej strony, nawet nie godnym wzmianki.

Byliśmy natomiast dumni z tego, że już byliśmy częścią armii, która w innej części kraju dokonała wielkiego historycznego czynu.

Dla nas i prawdopodobnie dla wszystkich Polaków był to silny zastrzyk propagandowy w chwili niewyraźnej sytuacji politycznej, która jeszcze nie ujawniła przez nami wielkości budującego się kryzysu.

Współczena nam historia, wprawdzie przyjemna i tak kojąca nasze polskie uczucia, nie była jedyną, jaka towarzyszyła nam w owym czasie. Wokół nas, zamknięta w starych murach, była inna i starsza historia, pozostawiona nam w spóściźnie przez naszych przodków. My widzieliśmy ją przed sobą w masywnych murach tanopolskiego zamku, które w najbliższej przyszłości miały nam służyć jako miejsce naszego zakwaterowania.

Kiedy patrzyłem na nie przyszły mi na myśl ich stare dzieje. Pamięć przywołała postać hetmana Tarnopolskiego, założyciela zamku i miasta oraz wspomnienia o walkach z Tatarami i kozakami, którzy nie raz jeden zapuszczali swoje zagony aż po mury w nadzieji zdobycia łupu i jasyru. Przypomniało mi się także oblężenie zamku przez potężną armię turecką oraz kompletne zniszczenie tej obronnej budowli na rozkaz sułtana, Mahometa IV. Po długiej i zwycięskiej wojnie polsko-tureckiej właściciele podnieśli starą twierdzę z upadku, by znowu służyły krajowi i nieszczęśliwie, po zaborach, austrijackim oddziałom jako koszary. Teraz one były znowu polskie i to w danej chwili miało zasadnicze dla nas znaczenie.

Sala, czy żołnierska świetlica była szeroka i obszerna, ale wciąż niezbyt rozległa, aby pomieścić nowy narybek wojskowy. Między sobą narybek ten był najczęściej obcy. W skład jego wschodzili młodzi mężczyźni ze Lwowa, Krakowa i różnych części Podola. Tutaj spotkałem się znowu z kolegami ze szkolnej ławy i ich nazwiska znowu stały się stałym zjawiskiem mego nowego życia. Znowu na liście moich współtowarzyszy znalazł się Leszek Galiński, Julek Kuriański, Romek

i Stefan Juchim, Cesio Gajczak, Broniek Hostyński, Zbyszek Flinta, Mundek Schandler i inni. Przeznaczenie, jakie kierowało światem, znowu starało się utrzymać nas razem przez najbliższe koleje losu.

"Słodocze" żołnierskiego życia ukazały się w pełni przed nami w następnym dniu po porannej pobudce. Umundurowanie, wcale nie podobne do gloryfikowanego ubioru piechura, było tylko małym rozczarowaniem. Zaduże spodnie, za ciasna marynarka niezbyt pasujące buty były ostatecznie do zniesienia. Siennikowi, wypchanemu słomą na twardo, który należało przenieść o własnych siłach na łóżko, też można było podołać. Trudniej było pogodzić się z podejściem podoficerów do nowo-przybyłych podwładnych. W tym nie było przyjemności dla nas oraz dumy z noszenia munduru. W tym była twarda konieczność pogodzenia się z wolą a nawet szykanami człowieka, nie rozumiejącego psychologii podporządkowanego sobie rekruta.

Po wprowadzeniu się na salę sypialną spotkaliśmy się twarz w twarz z jej komendantem, kpr. Pawęskim. Już pierwsze zetknięcie się z nim obfitowało w drażliwe wydarzenia, niezbyt licujące z godnością dojrzałego człowieka. Dla okazania swej władzy Pawęski rozpoczął z nami ćwiczenia skoków ze stołkami w rękę, krycie się pod łóżkami i mel-dowanie się z siennikami na drugim końcu zamkowego podwórka. Początkowo przyjmowaliśmy to z humorem, jako dziecinne podejście nadrzędnej osoby do swego podwładnego. Jednak, gdy tego rodzaju traktowanie zaczęło powtarzać się często, jako kara za takie czy inne niedociągnięcie w rutynie wojskowej, nasz początkowy humor zamienił się w niechęć i antypatię do danego instruktora.

Szcześliwie władza Pawęskiego w wypadku naszej drużyny ograniczyła się tylko do porządków na sali. Naszym drużynowym i zastępcą dowódcy plutonu był sierż. Faliński, przezwany przez nas "tata" dla swego



tatusiowego wyglądu jedynie. Jako osoba był łatwiejszym w współżyciu, a jako instruktor wojskowy był wymagającym ale zrównoważonym i sprawiedliwym. W swoim podejściu do podwładnych był bardziej wyrozumiałym dla żołnierzy, których intencją było kontynuowanie kariery wojskowej.

Dowódcą kursu był mjr. Bauer o którym nigdy nie miałem wiele dobrego do powiedzenia. Człowiek surowy, nieprzystępny i szorstki, nie miał w sobie nic takiego co mogłoby zjednać jemu sympatię wśród podwładnych. Z natury był zamknięty w sobie, nigdy z nikim nie wdawał się w rozmowę, nawet z oficerami. Jego słowo można było słyszeć tylko w czasie wykładów, których miał kilka w ciągu roku, albo przy raporcie karnym. Jego stosunek do podwładnych niewątpliwie wyleczył wielu z nich z entuzjazmu do służby wojskowej.

Pojęcie dyscypliny u niego polegało na udzielaniu kar, zakrawających na szykany. Prawdopodobnie to było przyczyną, że wielu z nas już w początkach zaczęło szukać za sposobem wydostania się ze szkoły przez symulowanie niedomagań zdrowotnych. Wielu z żołnierzy podchorążówki ostatecznie osiągnęło swój cel - prawdopodobnie za pomocą wpływowych znajomych i przyjaciół. W takich warunkach morale przeciętnego żołnierza było na niskim poziomie. W krótkim zdaniu można go było określić jako człowieka, którego nikt nie lubił, a którego każdy się bał. Na kimkolwiek jego wzrok zatrzymał się w czasie porannego przeglądu ten z miejsca drżał. Za najmniejsze uchybienie w umundurowaniu czy zachowaniu się przestępca dostawał karę stójki w pełnym ekwipunku lub areszt na noc. Tej przyjemności nasz dowódca nikomu nie szczędził.

Moje osobiste zdanie o tym najwyższym moim przełożonym było jak najbardziej negatywne. Często we mnie budził się bunt i gdybym nie

wyrobionego w sobie poczucia obowiązku, może nawet zdobyłbym się na tak drastyczny krok jak dezercja. Czasami zastanawiałem się nad przyczyną, która kierowała nim w podejściu do drugiego człowieka. Może takie było jego zrozumienie dyscypliny wojskowej - może takie były jego wrodzone tendencje.

Podobny jemu typem był dowódca naszego plutonu /pierwszego/, por. Frankow. Już w pierwszych dnia jego postępowanie wyrobiło we mnie takie same uprzedzenie jak do dowódcy kursu. Wysoki, szczupły, lekko pochylony w plecach, o ostrych rysach twarzy robił na mnie wrażenie kozaka z dalekich stepów, który żył poto, aby utrudnić życie innym. Człowiek wybuchowy i nieopanowany nigdy nie mówił do nas spokojnie z godnością oficera. Krzyk był dla niego jedynym sposobem komunikowania się z podwładnymi. Jeśli nie otrzymywał zadawalających odpowiedzi na zadawane przez niego pytania, wówczas popadał w szał i oddawał nas pod komendę Pawęskiego, który nigdy nie omieszkiał wykorzystać tej sytuacji do wyładowania swoich sadystycznych inklinacji. W takich sytuacjach padanie w błoto, czołganie się w kałużach, bieg w pełnym obciążeniu, pogotowie gazowe i inne szykany trwały naprzemian aż do dojścia do miasta. W mieście natomiast kazał ćwiczyć krok na "baczność" tak długo aż zabawa jemu się znudziła. Takie traktowanie wprowadzało na wisielczy humor i dlatego oprócz kilku myślących o karierze wojskowej wszyscy inni życzyli sobie jak najwcześniejszej wymiany munduru na cywilne ubranie.

W innych plutonach było inaczej i lepiej. Może w drugim plutonie pod komendą por. Mauthego sprawy nie wyglądały zbyt lepiej, ale metody karania nie sięgały tak radykalnego stopnia. Natomiast w plutonach trzecim i czwartym, dowodzonych przez por. Radoniewicza oraz kpt. Kudlińskiego, szykanowanie żołnierzy było prawie nieznanne.

Przez pierwsze trzy miesiące byliśmy tak zwanymi rekrutami. Był to okres obostrzonych przepisów w zakres czego wchodził zakaz opuszczania koszar w godzinach poza-służbowych. Nawet pójście do żołnierskiej kantyny, przez drogę od głównej bramy, wymagało zezwolenia komandanta sali lub drużynowego. Przy każdej prośbie tego rodzaju odbywał się osobisty przegląd apelanta. W wypadku zauważenia najmniejszej usterki w umundurowaniu pozwolenie na wyjście było odmawiane. Natomiast wyjście na miasto nawet nie mieściło się w programie szkoły.

Czas był tak wypełniony obowiązkami, że tylko pół dnia w niedzielę mogliśmy poświęcić sprawom natury osobistej, w szczególności pisanie listów do rodzin. Resztę pozornie wolnego czasu musieliśmy poświęcić "nauce własnej" /czytanie regulaminu/, co było ściśle dozorowane przez oficera i podoficera służbowego. Ktokolwiek był przyłapany na innej czynności niż siedzenie z książką automatycznie stawał się kandydatem do karnego raportu. Wszystko to miało za zadanie wyrabianie dyscypliny, co w zasadzie było dyscypliną zewnętrzną, a tym samym pozorną.

Do wyrabiania tej dyscypliny służyło wiele metod. Ich lista zaczynała się od tak małych rzeczy jak naczynie do jedzenia. Jako rekruci musieliśmy jeść z metalowych menażek, które nieustannie rdzewiały. Jeśli u kogoś zauważono pyłek rdzy przy przeglądzie u wejścia do jadalnie, zamiast posiłku otrzymywał raport karny. Najbardziej uciążliwe i deprymujące były raporty wieczorowe. Pierwszy z nich, przeprowadzany przez porządkowego, zaczynał się od wyrzucania butów i rozrzucania bielizny ułożonej w kostkę. Potem komendant sali przeprowadzał swoją kontrolę, zawsze dodając swoje uwagi. Z kolei przychodził podoficer kontrolny, później podoficer i oficer służbowy,

a czasami nawet oficer służbowy pułku. Przy każdej kontroli ktos "podpadał" i wtedy nadsza osoba lub cała sala musiała biec do umywalni, aby umyć nogi, lub na kocu wynosić "belkę" /słomkę/ nazewnątrz. Największą bolączką były gwoździe w butach, które często były luźno osadzone, często wypadały i w szparach między którymi zawsze gromadziło się błoto. Jeśli ktos z kontrolerów wyciągał szpilkę wiadomo było, że czyjeś nazwisko znajdzie się w książce służbowego a buty powędrują na kurytarz. Do tego dochodziło sprawdzanie kurzu pod siennikiem przy użyciu białych rękawic, sprawdzanie porządku w szafkach i najgorsze sprawdzanie czystości broni. Za przekroczenie w ostatnim wypadku kara była nieunikniona.

Będąc podporządkowany podobnym metodom, zdawałem sobie sprawę, że nikt tego nie może uniknąć, ale z drugiej strony zastanawiałem się czy w tym była jakaś głębsza i uzasadniona myśl. W szykanach niema żadnej realnej myśli - tam tylko można doszukać się ludzkiej złośliwości. Jednak niektórzy z podoficerów nazywali to nauką myślenia i dla potwierdzenia tego stworzyli nielogiczny frazes, który często bezmyślnie powtarzali. Każdy winny "przewinienia" zawsze słyszał najwyższą mądrość przeszkolenia wojskowego - "podchorążówka to nie uniwersytet - tutaj trzeba myśleć".

Ten sposób wychowania miał ujemny wpływ na wzajemne współżycie między kolegami. Będąc wyższego wzrostu należałem do pierwszej drużyny w której było wielu moich kolegów z gimnazjum, ale w nowych warunkach życia myśmy nie tworzyli zwartej koleżeńskiej grupy. Szykany szkolne raczej wyrabiały indywidualne egoizmy - w wielu wypadkach bardziej ambitni starali się wybić kosztem drugiego. W takich warunkach można było mówić o koleżeństwie, ale nigdy o przyjaźni. Może inni przyjęli to jako rzecz naturalną, ale mnie to raziło.



Wielkim wydarzeniem w podchorążówce była defilada w Dzień Niepodległości t.zn. 11go listopada. W związku z tym szereg tygodni naprzód rozpoczęły się musztry, czyli przygotowanie to tej tradycyjnej defilady. Ambicją dowódcy szkoły było, aby Podchorążówka zaprezentowała się jak najlepiej wobec wyższych dowódców i cywilnych osobistości. Dlatego dzień po dniu biliśmy podeszwami o bruk ulicy, aby dźwięk był silny i równoczesny. Nie wiem jaka była ostateczna ocena defilady, ale my byliśmy zadowoleni, że to doświadczenie było już za nami.

Święto Niepodległości było dla mnie wielką demonstracją uczuć narodowych od kiedy zrozumiałem jego znaczenie dla nas wszystkich. W buczackim gimnazjum rok rocznie brałem udział w defiladzie jako harcerz oraz jako członek orkiestry i Przynależności Wojskowej. Patriotyczne mowy i wieczorny marsz z pochodniami były pełne nastroju i entuzjazmu. Nasi wychowawcy, prof. Pelc, ks. Dziurzycki i inni, wszczepili w nas uczucia narodowe i my staraliśmy się wykazać je w takiej formie, jaka była nam udostępniona. Jednak w tym roku, kiedy ubrałem mundur wojskowy, moje uczucia przygasły a dawny entuzjazm zmienił się w rozczarowanie. Ktoś u góry nadał niewłaściwy kierunek, a ktoś u dołu jeszcze gorzej naciskał guziczek. W rezultacie tego wszystko stało się formą opartą na zewnętrznej dyscyplinie.

Z końcem tego miesiąca też wypadło nasze święto podchorążackie, które łączyło się z rocznicą Powstania Styczniowego. Znowu zaczęły się musztry i przygotowania do następnej defilady i najważniejsze do żołnierskiej przysięgi. Tradycyjnie pierwsza czwórka maszerowała w historycznych strojach, dla podkreślenia symbolu naszego powiązania z rolą dawnych podchorążych. Do tej czwórki wybrano mnie, chyba dlatego, że mundury były zrobione na ludzi mojej miary.

Dla mnie było to niewątpliwe wyróżnienie, ale za tym kryło się mniej widoczne dobrodziejstwo. Podczas gdy moi koledzy bezustannie bili butami o bruk jezdni tarnopolskiej, nasz czterech pod komendą plut. Bieniasza ćwiczyło krok defiladowy na oboczu bez szykan i w spokoju ducha. Oficjalna część uroczystości miała miejsce na placu przed dowództwem pułku. Po przemowie tam odbyła się defilada i przysięga. Nieoficjalna jej część odbyła się na tej sali na której w pierwszym dniu naszego pobytu w wojsku słuchaliśmy reportazu o zajęciu Zaolzia. Nieoficjalną częścią był wspólny obiad oraz zabawa żołnierska w której nie brałem udziału.

W dniu tym wyjątkowo odstąpiono od obowiązujących przesów, które zabraniały nam wyjście na miasto. Po raz pierwszy od dwóch miesięcy przekroczyłem bramę zamkową i razem z Leszkiem Galińskich udałem się do kina na byle jaki film, aby tylko odetchnąć świeżym i niewojсковym powietrzem. Niestety był to tylko jednorazowy wypadek. Według przepisów zakaz wychodzenia na miasto obowiązywał do Bożego Narodzenia, kiedy upływał termin naszego rekruckiego szkolenia.

Wprawdzie pojedyncze dni wlokły się bardzo wolno, jednak tygodnie zdawały się mijać dość szybko. Liczyliśmy dni i godziny do Bożego Narodzenia, którego data wiązała się z naszym pierwszym urlopem. Według pogłosek, powtarzanych przez instruktorów, nie wszyscy z nas będą w możliwości skorzystania z tego przywileju. Przyznanie go danej osobie było uzależnione od wyniku egzaminu. Ja nieomal pozostałem w koszarach na ten okres, nie z przyczyny złego wyniku lecz z powodu zdrowotnego niedomagania. Na kilka dni przed urlopem zachorowałem na gripę. Rano wstając z łóżka poczułem silny zawrót głowy i straciłem przytomność. Podczas upadku uderzyłem też głową o żelazną część łóżka. O tym zameldowano do oficera kontrolnego, który

odkomenderował mnie do pułkowej izby chorych. Lekarz zatrzymał mnie w lokalnym szpitalu. W drugim dniu pobytu w tym miejscu odwiedził mnie kpr. Pawęski i zawiadomił, że jeśli nie powrócę do oddziału nazajutrz, stracę prawo do urlopu. Zwróciłem się do lekarza z prośbą o zwolnienie mnie z izby. Moja prośba została załatwiona odmownie. Udałem się wówczas do pielęgniarki - za jej wstawiennictwem moja sprawa została załatwiona pozytywnie. Zdążyłem wrócić do oddziału akurat na czas, aby załatwić sprawę urłopową i złożyć pieniądze na bilet kolejowy.

Wyjazd z koszar nastąpił 22go grudnia popołudniu. Już wcześniej napisałem do rodziców o moim przyjeździe i prosiłem o wysłanie furmanki na stację kolejową. Będąc pewien, że ojciec wyśle podwózkę zaoferowałem memu kuzynowi Julkowi skorzystanie z tej furmanki. On jednak wolał pozostać w Buczaczu, czego przyczynę przypisywałem jego bliższych stosunków ze Stasią Vidakówną. Zamiast niego w ostatniej fazie podróży towarzyszył mi Bolek Janeczko, kolega z podchorążówki, który mieszkał w Nowosiółce Jazłowieckiej, odległej ledwie dwa kilometry od mego rodzinnego miasteczka.

Dla moich rodziców przyjazd syna musiał być wielkim wydarzeniem. Mimo późnej pory moje rodzeństwo czekało na mój przyjazd, nawet mój najmłodszy brat. Siedzieliśmy przy stole do późnej godziny w nocy i rozmawialiśmy o wszystkim co mnie i ich interesowało. Siedząc razem z nimi i opowiadając swoje małe przeżycia nie czułem żadnego zmęczenia. Przeciwnie czułem się dobrze i wesoło, bo znów byłem wśród swoich.

Święta spędziłem podobnie jak w poprzednich latach. Wigilię mieliśmy w domu, w pierwszy dzień świąt byliśmy u wujostwa Kuriańskich, a w drugim oni przyszli do nas. Mój kuzyn Julek był obecny

na obu przyjęciach, ale nie wiem czy wymieniliśmy przynajmniej jedno zdanie między sobą. Nasze wspólne lata w gimnazjum oraz ostatnie miesiące w podchorążówce raczej odpychały niż zbliżały nas do siebie.

Mój dziewięć-dniowy urlop zahaczył o Sylwestra i dzień Nowego Roku. Sylweter był polską tradycją w Jazłowcu. W tym roku kierownictwo nad jego przygotowaniem objął Julek Smólski, młody człowiek zalecający się do mojej kuzynki Wisi. Przez niego zostałem wciągnięty do pracy nad przygotowaniem imprezy, a w trakcie tego poznałem jego tajemnicę spraw uczuciowych. Od niego dowiedziałem się o istnieniu trójkąta, którego trzecią osobą był Tusiek Leszczuk, pchorąży drugiego rocznika podchorążówki zawodowej, mile widziany przez rodziców Wisi. Konflikt ten doszedł do zenitu w czasie zabawy, czego wynikiem było to, że żadna ze stron nie była z tego zadowolona.

Tuż po Nowym Roku, kiedy śnieg pokrył ziemię grubą warstwą, na saniach zacząłem moją powrotną drogę do koszar w Tarnopolu. W czasie podróży nosiłem się z nadzieją, że następny okres będzie łatwiejszy i że stosunki w oddziale ułożą się nieco lepiej.

Drugi okres naszego szkolenia przywidywał przygotowanie nas na dowódców plutonów i drużyn. Wkrótce po powrocie z urlopu otrzymaliśmy od naszych instruktorów t. zw. "szimle", czyli szczegółowe instrukcje komend jakie należało stosować podczas ćwiczeń. Instrukcje te należało nauczyć się na pamięć i odpowiadać na pytania bez zająknięcia. W innym wypadku dany strzelec z cenzusem stawał się wątpliwym kandydatem na dowódcę plutonu. Ja tak wbiłem w głowę jej treść, że o każdej porze dnia i nocy mogłem wyrecytować ją bez najmniejszej pomyłki. To jednak nie świadczyło, że mogłem ubiegać o prawo pierwszeństwa.



- 93 -

W lutym, w najgorszym okresie zimy, urządzono nam manewry zimowe, w których brała udział cała tarnopolska dywizja. Kompanię pochorążacką wyznaczono na szpicę i skierowano na szosę Tarnopol-Zborów. Nasz marsz miał trwać aż do spotkania się ze stroną nieprzyjacielską. Na czele naszej kompanii szła nasza drużyna, jako szpica. Dla nas, członków drużyny, to miało tą dobrą stronę, że w czasie natarcia rozwijaliśmy blisko szosy, podczas gdy inne grupy musiały gonić po śniegu daleko w pole.

Po osiągnięciu zachodniego brzegu Strypy zatrzymaliśmy się w jakiejś chłopskiej chałupince przy moście na nocleg, skąd w następnym dniu mieliśmy pójść do natarcia. Natarcie uznano za nieudane, wobec czego musieliśmy się wycofać i przejść "szimel" zakończenia ćwiczeń. Ganiecie po głębokim śniegu było bardzo męczące. Po ćwiczeniach czuliśmy się zupełnie wyczerpani. Naszym marzeniem był odpoczynek, byle gdzie, aby tylko dać ulgę naszym zbolałym mięśniom. Nasz dowódca, por Frankow, był innego zdania. Zaraz po ćwiczeniach kazał nam ustawić się na szosie, pokrytej wilgotnym śniegiem, i maszerować do Tarnopola.

Moje luźne buty były dla mnie przekleństwem. Na stopach zrobiły się otwarte pęcherze, które za każdym krokiem sprawiały mi szalony ból. W połowie drogi zrobiono nam odpoczynek, pierwszy i jedyny w drodze powrotnej. W odległości kilkunastu kilometrów od Tarnopola w kompanii odezwały się głosy "odpoczynek", "my chcemy odpoczynku". Franków wpadł w ścikłość, przejechał się koniem wzdłuż kompanii i nazywał nas każdym słowem swego niezbyt przyzwoitego słownika. Za karę nie dał nam żadnego odpoczynku i na zakończenie kazał defilować na rynku. Każdy miał dość tego, a ja chyba najwięcej. Kompletne wyczerpanie fizyczne, obolałe nogi i do tego karabin maszynowy, który

dano mi w ostatniej fazie marszu zupełnie mnie dobiło. Tylko ostatnim wysiłkiem woli dotrwałem do koszar.

Po wejściu na salę nie wolno nam było położyć się na łożku, aby chociaż na chwilę odpocząć. Kpr. Pawęski dopilnował tego, abyśmy wpierw wyczyścili broń, doprowadzili mokre mundury do porządku i wyczyścili buty do wzorowej czystości. W tym prawdzie nie było kary, ale to w tych warunkach było bardzo uciążliwym obowiązkiem.

Następnego dnia rano, w drodze wyjątku zrobiono nam pobudkę o godzinę później. Następne dwa dni były stosunkowo łatwe. Oba były poświęcone czyszczeniu broni i oporządzenia. W tym wreszcie zobaczyłem trochę dobrej woli ze strony dowódców, którzy wreszcie zrozumieli, że po długim manewrowym wysiłku należy się nam odpoczynek.

W czasie manewrów miałem jedno małe, ale przykre i bolesne doświadczenie. Mój kolega z drużyny, Stefam Juchim, strzelając ślepymi nabojami, strzelił mi z karabinu tuż koło ucha. Przez następne parę tygodni chodziłem na wpół głuchy. Następnie naskutek przeziębienia wywiązało się zapalenie wewnętrzne tego ucha. Poszedłem z tym do lekarza z nadzieją w sercu, że zatrzyma mnie na izbie chorych. Stało się jednak inaczej. Lekarz przemył mi ucho gliceryną i codziennie po zajęciach kazał mi przychodzić na opatrunki. Po pewnym czasie ucho zaczęło funkcjonować normalnie.

W ostatnich dniach zimy usilnie ćwiczyliśmy musztrę luźną na Zagrobeli, tarnopolskim rejonie ćwiczeń. Drugi pluton, pod dowództwem por. Mauthego, miał szczególnego pecha Pewnego dnia trzech ludzi z jego plutonu dostało ataku serca, albo ulegli jakiemuś innemu niedomaganiu zdrowotnemu. Dla nas wszystkich był to wielki szok. Taka rzecz nie zdarzyła się nigdy poprzednio. Widocznie instruktorzy przeholowali.

Z trójki tej dwie osoby nie powróciły do podchorążówki ze szpitala. Dla ludzi słabszych fizycznie intensywne ćwiczenia na polu ćwiczeń okazały się zabójcze. Ta rzecz okazała się widoczna tuż po powrocie z zimowych manewrów. Kilku mniej wytrzymałych kolegów też opuściło nasze szeregi. Wymówką tego było orzeczenie lekarskie, ale pozatym niewątpliwie kryła się niewidoczna ręka tajemniczych wpływów z zewnątrz.

Zima miała się ku końcowi, Zagrobela zaczęła się zielenić a teren ćwiczeń stawał się suchy i twardy. Liczyliśmy na to, że w miarę poprawy warunków klimatycznych nasze życie będzie też łatwiejsze. Z poprawą pogody humory i nastawienie naszych bezpośrednich przełożonych nie zawsze szły w parze. Ja wyczuwałem te humory bardziej niż inni. Dla jakichś nieznanych mi przyczyn ja nie byłem pupilkiem dowódcy plutonu.

Pewnego dnia, przed powrotem do koszar, por. Frankow zdecydował się na sprawdzenie znajomości "szimla" natarcia. Ja byłem pierwszy, któremu on rzucił pytanie. Całą instrukcję, od A do Z, wyśpiewałem jednym tchem. W odpowiedzi na to usłyszałem głośny i chrapliwy głos swego przełożonego. Na dodatek wysłuchałem krótką serię słów z jego nieoficjalnego słownika. Następnie on rzucił to samo pytanie jednemu z kandydatów na zawodówkę. Odpowiedź jego nie była lepsza od mojej, ale przez Frankowa została przyjęta jako wzorowa. Niestety tej sprawy nie mogłem kwestionować wobec niego. To napewno doprowadziłoby go do szału w rezultacie czego stałbym się podwójną ofiarą.

Z końcem marca miały odbyć się egzaminy, które miały być podstawą do tradycyjnej segregacji wychowanków szkoły. Najlepsi mieli awansować do stopnia st.strzelca a najgorsi mieli być wyrzuceni do pułku. Według moich przewidywań w oparciu o ustosunkowanie się Frankowa

do mojej osoby nie zaliczałem siebie do wybranej klasy jego wychowanków. Moja opinia o nim też nie była najlepsza, którą podzielało wielu ludzi i może nawet jego przełożeni. Jak słuchy chodziły człowiek ten był karciarzem i nałogowym alkoholikiem, a do tego jego wybuchowy temperament napewno nie zjednywał mu przyjaciół.

W tym krytycznym dla mnie momencie nastąpiła niespodziewana zmiana na stanowisku dowódcy Igo plutonu. Franków został nagle przeniesiony na jakąś placówkę w górach, a na jego miejsce przyszedł ppor. Duszyński. Chyba nikt w plutonie nie żałował tej zmiany, a ja chyba najmniej z wszystkich. Nasz nowy dowódca był absolutną odwrotnością swego poprzednika. Człowiek wprawdzie młody, ale opanowany, rzeczowy i przede wszystkim sprawiedliwy. Ja to szybko odczułem na własnej skórze.

Franków wprawdzie odszedł, ale po nim pozostała spóścizna w formie złej opinii o mnie. Byłem pewien, że nowy dowódca będzie się nią kierował, na co ja nie mogłem mieć najmniejszego wpływu. Duszyński jednak musiał powodować się własnym zdaniem. Wkrótce zauważyłem, że jego oraz sierż. Falińskiego stosunek do mnie przybierał inną i lepszą formę. Zmiana zdania u nowego dowódcy zaczęła się od przeprowadzenia krótkiego egzaminu ze mną. Byłem wtedy pewien, że gdyby zmiana nastąpiła wcześniej byłbym należał do grupy lepszych uczniów. Prawdopodobnie także Dembicki nie poleciałby do pułku, jeszcze za Frankowa, gdyby decyzja należała do człowieka o wyższych wymiarach. Przystępstwem tego człowieka było to, że wystąpił wobec dowódcy przeciwko poniżaniu jego osobistej godności.

Od tego czasu czas płynął szybciej, a moje samopoczucie powoli zmieniało się ku lepszemu. Rozmyślając nad tym, zacząłem sobie zdawać sprawę, że nie sama podchorążacka instytucja, lecz jej urzędnicy



tworzą znośne lub nieznośne warunki żołnierskiej egzystencji. Człowiek inteligentny, rozsądny i wyrozumiały wniknął w duszę podwładnego my człowieka i kształtował jego charakter i poglądy w kierunku wyższych i szlachetniejszych idei, sam przytym służąc przykładem dla ludzi jemu podporządkowanym. Frankow, jako kontrast jego - człowiek kierujący się impulsem, tylko deprawował materiał ludzki, który został mu powierzony do kształcenia i wychowania.

Z nastaniem wiosny zbliżał się czas Świąt Wielkanocnych - okres wielkiej rodzinnej tradycji, kiedy wspólny stół i obiad, dzielenie się jajkiem i składanie życzeń łączyło nas razem w jedną, blisko związaną grupę. Myśl ta napajała nas nadzieją następnego urlopu i możliwości spędzenia conajmniej jednego tygodnia w gronie rodziny. Okoliczności zewnętrzne, w tym wypadku natury politycznej państwa, nie układały się po naszej myśli. W świecie dalekim i bliskim odczuwało się napięcie, które budowało się z dnia na dzień i groziło jakąś katastrofą. Jednym z przyczyn tego napięcia w kraju było ultimatum Hitlera wystosowane do Polski w sprawie Gdańska i Pomorza. Droga pantoflową dochodziły nas słuchy o utarczkach polsko-niemieckich na pograniczu Śląska. Nikt tego niemógł sprawdzić, ale większość w to wierzyła. W związku z tą niepewną sytuacją polityczną nasze świąteczne urlopy zostały wstrzymane. Pogłoski na temat możliwego konfliktu między Polską i Niemcami były niepokojące i niezbyt miłe dla ucha, ale pozbawienie nas urlopu było w naszym pojęciu przykre i bezpodstawne.

Konsekwencją tego było wyznaczenie plutonu na wartowniczą służbę w pierwszy dzień świąt. Akurat w tym wielkim religijnym dniu wypadła na mnie kolejka strzeżenia wojskowych magazynów na stacji kolejowej. Stojąc z karabinem na ramieniu w pobliżu peronu i obserwując ludzi

ubrani odświętnie i spacerujących beztrąsko w jedną i drugą stronę, szczerze zazdrościłem im tej cywilnej swobody. Kierując się tym, że były to moje pierwsze Święta Wielkanocne, spędzone poza domem i w dodatku na służbie, miałem pretensje do losu, że tak niefortunnie pokierował moimi sprawami. Nie wszystko jednak było stracone. Matka przysłała mi paczkę ze smakołykami, co siłą rzeczy nastroiło mnie świątecznie. Po zdaniu służby w godzinach popołudniowych Leszek Galiński i ja udaliśmy się do kina.

Drugi dzień świąt przygotował Leszkowi i mnie wielką niespodziankę. Staszek Schmidt, nasz dawny kolega z gimnazjum buczackiego, a w owym czasie student na Akademii Handlu Zagranicznego, zaprosił nas do domu swoich rodziców. Pół dnia gościnnego przyjęcia w prywatnym a przyjaznym domu, dzielenie się jajkami oraz tradycyjny obiad świąteczny w gronie rodzinnym w dużym stopniu powetowały nasze moralne straty z racji nie widzenia się z rodziną.

Końcowe tygodnie drugiego okresu wyszkoleniowego należały do najlepszych, jakie doświadczyłem w podchorążówce. Wprawdzie ćwiczenia na Zagrobeli, musztra, porządki i niespodziewane kontrole wciąż były główną częścią naszego dziennego programu, ale odkuczliwy element presji, napięcia i szykan z ustosunkowania się podoficerów do nas. W wypadku naszego plutonu taką zmianę na korzyść należało w dużym stopniu przypisać naszemu nowemu dowódcy. W porównaniu z Frankowem on przedstawiał odwrotny typ charakteru. Jego ludzkie podejście do podwładnych zjednywało mu sympatię wśród nas i uznanie u podoficerów.

Stosunek instruktorów również uległ wybitnej zmianie na korzyść. W ich podejściu do nas wyczuwało się zrozumienie naszej pozycji oraz tolerancję w wypadku małych przekroczeń. Pewnego wieczoru

ubranych odświętnie i spacerujących beztrąsko w jedną i drugą stronę, szczerze zazdrościłem im tej cywilnej swobody. Kierując się tym, że były to moje pierwsze Święta Wielkanocne, spędzone poza domem i w dodatku na służbie, miałem pretensje do losu, że tak niefortunnie pokierował moimi sprawami. Nie wszystko jednak było stracone. Matka przysłała mi paczkę ze smakołykami, co siłą rzeczy nastroiło mnie świątecznie. Po zdaniu służby w godzinach popołudniowych Leszek Galiński i ja udaliśmy się do kina.

Drugi dzień świąt przygotował Leszkowi i mnie wielką niespodziankę. Staszek Schmidt, nasz dawny kolega z gimnazjum buczackiego, a w owym czasie student na Akademii Handlu Zagranicznego, zaprosił nas do domu swoich rodziców. Pół dnia gościnnego przyjęcia w prywatnym a przyjaznym domu, dzielenie się jajkami oraz tradycyjny obiad świąteczny w gronie rodzinnym w dużym stopniu powetowały nasze moralne straty z racji nie widzenia się z rodziną.

Końcowe tygodnie drugiego okresu wyszkoleniowego należały do najlepszych, jakie doświadczyłem w podchorążówce. Wprawdzie ćwiczenia na Zagrobeli, musztra, porządki i niespodziewane kontrole wciąż były główną częścią naszego dziennego programu, ale odkuczliwy element presji, napięcia i szykan z ustosunkowania się podoficerów do nas. W wypadku naszego plutonu taką zmianę na korzyść należało w dużym stopniu przypisać naszemu nowemu dowódcy. W porównaniu z Frankowem on przedstawiał odwrotny typ charakteru. Jego ludzkie podejście do podwładnych zjednywało mu sympatię wśród nas i uznanie u podoficerów.

Stosunek instruktorów również uległ wybitnej zmianie na korzyść. W ich podejściu do nas wyczuwało się zrozumienie naszej pozycji oraz tolerancję w wypadku małych przekroczeń. Pewnego wieczoru

plut. Bieniasz złapał mnie na czyszczeniu butów na sali, za co powinien był być wpisany do książki podoficera służbowego i przedstawiony do karnego raportu. Ku memu zdziwieniu cały incydent przeszedł bez echa. Na poziomie wyższych dowódców sprawy tego rodzaju utrzymywały się na poprzednim poziomie, z czym przypadkowo zapoznałem się w dniu kiedy pełniłem funkcję podoficera służbowego.

Do jednych z moich obowiązków należało nadzorowanie kolegów, którzy po rannym badaniu lekarskim wrócili do koszar. Według przepisów każdy z nich powinien był być zatrudniony przy sprzątanii koszar i podwórka. Szef kompanii, sierż. Wolasek, z dobrego serca pozwolił im na próżnowanie na słońcu poza murem. Akurat w tym dniu płk. Pfeifer przyszedł na inspekcję koszar i przypadkowo natknął się na próżnującą grupę. Do odpowiedzialności za to zostałem pociągnięty ja - osoba nie mająca nic wspólnego z tym przekroczeniem. Kilka dni potem stawałem do raportu i dostałem trzy dni aresztu, co później zostało zamienione na trzy dni stójki w pełnym oporządzeniu.

Po 3-cim Maja wzięliśmy w następny okres przeszkolenia, czyli okres praktycznego zastosowania tego, czego nauczyliśmy się w szkole. Na pozostałe miesiące przeszkolenia wyjechaliśmy w góry do miejscowości Pacyków, koło miasteczka Dolina. Do nas dołączyły trzy kompanie strzelców z poszczególnych pułków Dywizji. Dowódcą kompanii brzeżańskiej, 51go Pułku Piechoty, był por. Kaczorowski, mój starszy kolega z buczańskiej bursy. Spodziewałem się, że człowiek ten przyzna się do mnie i innych kolegów z naszej szkoły. Moje nadzieje w tym wypadku okazały się płonne. Przez czas jednego miesiąca, który jego kompania spędziła w obozie, Kaczorowski poza sprawami służbowymi nie przemówił do nas do nikogo z nas ani słowa. Zarozumiałość, spotęgowana stopniem oficerskim była jedyną pobudką, jaka nim kierowała.



W pierwszej turze obozowania pogoda absolutnie nam nie dopisywała. Z powodu nieustających deszczów rozlokowano nas po wiejskich kwaterach razem z żołnierzami wspomnianych kompanii. Każdego z nas /z podchorążówki/ wyznaczono na jakąś pomniejszą funkcję w drużynach żołnierskich. Mimo złej pogody ćwiczenia odbywały się normalnie, w terenach górskich. Nasi instruktorzy z podchorążówki wciąż byli z nami, ale ich angażowanie się w sprawy wyszkolenia były minimalne.

Po kilku tygodniach kwaterowania po szopach i stodołach pogoda na tyle się poprawiła, że mogliśmy przenieść się pod namioty. Teren obozowiska mieścił się na łące u stóp góry. Naszym terenem ćwiczeń były jej zbocza. Namioty, stare prawdopodobnie austrijackie, przeciekały w wielu miejscach. W każdym namiocie mieszkało czterech lub sześciu ludzi, co nie było zbyt wygodne. Wygodniej mieszkało się wtedy, gdy kompanie żołnierskie wyjeżdżały do pułków, a my czekaliśmy na przyjazd innych. Wtedy okresowo spało nas po dwóch w namiocie.

Tuż po przyjeździe drugiej zmiany, zostałem wyznaczony na funkcję drużynowego, co było pewnego rodzaju wyróżnieniem. Mniej więcej w tym czasie nasi koledzy, kandydaci na zawodowych oficerów, wyjechali na obóz manewrowy do centralnej Polski. Z ich wyjazdem znikła niezdrowa komptycja między nami. To dało podstawy do tworzenia się bliższych znajomości i przyjaźni. Do grupy moich przyjaciół, poza Leszkiem Galińskim, zaliczałem wówczas Staszka Gandurskiego i Romka Wiącka. Obaj wprawdzie byli w innej drużynie, ale należeliśmy do tego samego plutonu. Stosunek podoficerów do nas ulegał stałej poprawie ku lepszemu - ich łagodne i wyrozumiałe odnoszenie się do nas było czymś nowym, a tym samym budującym. Prawie nigdy nie spotkaliśmy z ich naganą a w czasie ćwiczeń krytyka a ich strony była rzadkim zjawiskiem. Sierż. Paliński nawet zaczął nazywać mnie po imieniu.

W czasie jednych z ćwiczeń powierzono mi po raz pierwszy dowództwo nad plutonem. Według zdania rozjemców z zadania wywiązałem się bardzo dobrze. Od tego czasu dowodzenie plutonem było jednym z moich częstych zadań. W opinii por. Duszyńskiego należałem do jednego z lepszych jego uczniów. Pewnego dnia podczas inspekcji komendanta szkoły wyznaczono mnie na tą samą funkcję. Ogólne zdanie było takie, że znowu wywiązałem się dobrze ze swego zadania. W trzecim turnusie zostałem wyznaczony na stałego dowódcę plutonu, czego odznaką była niebieska wstążka na lewym ramieniu. Taką nominację dostało tylko sześciu uczniów w plutonie. Będąc w tej szóstce uważałem, że od czasu odejścia Frankowa zrobiłem poważny poważny postęp w nauce dowodzenia.

Oficjalne zakończenie kursu nastąpiło 22go lipca 1939r. Z wyjątkiem dwóch kolegów wszyscy zostali promowani na podchorążych i otrzymali awans o jeden stopień wyżej. Ja ukończyłem podchorążówkę z wynikiem dobrym i trzydziestą ósmą lokatą na 101 podchorążych.

Tego samego dnia wyjechaliśmy z powrotem do Tarnopola, jedynie po to, aby zdać sorty mundurowe i broń. W dwa dni później wyjechaliśmy do naszych macierzystych pułków. Cały nas pluton w którym byłem ja, Leszek Galiński, Staszek Gandurski, Kazik Klakla i inni dostaliśmy przydział do 51go Pułku Piechoty w Brzeżanach.

Dzień był słoneczny i ciepły, kiedy z tobołkami w ręku zameldowaliśmy się w koszarach pułku. Procedura rozprowadzenia nas po kompaniach była szybka i efektywna. Wszystko odbyło się sprawnie i zgodnie z porządkiem wojskowym. Mnie przydzielono do 8-mej kompanii, której dowódcą był oficer rezerwy i której istnienie miało ograniczyć się tylko do czasu trwania manewrów. Z miejsca zostałem mianowany drużynowym drugiej drużyny, która jak reszta kompanii składała się z samych rezerwistów. Moim zastępcą był kapral rezerwy z którego nie miałem

wiele pociechy. Celowniczym był młody przystojny a przytym energiczny Żyd ze Lwowa. Dzięki niemu karabin maszynowy mojej drużyny był zawsze utrzymywany w idealnej czystości.

Stare podolskie miasto Brzeżany było mi znane z historii, ale ze względu na bardzo krótki pobyt nie zdążyłem oglądnąć miejscowości nawet z grubsza. Miałem wielką chęć oglądnąć dawny gród starego polskiego rodu Sieniawskich, jego warowny zamek, kościoły i inne zabytki, ale czas nie pozwolił mi na zapoznanie się z nimi. W pierwszą niedzielę po przybyciu do pułku opuściliśmy brzeżańskie koszary.

Jeszcze za dnia wymaszerowaliśmy w kierunku wioski Kupczyńce, położonej około czterdziestu kilometrów na wschód od Brzeżan. Marsz, jaki odbyśmy był niezwykle męczący. Główną przyczyną tego był deszcz, który lał niemal całą noc. Maszerując polnymi drogami, nasze buty grzęzły w błocie, co wybitnie zwolniło tempo marszu. Ponadto noc była ciemna, ludzie wymieszali się w kompanii i nie mogłem doszukać się ludzi mojej drużyny. Z tego powodu razem z celowniczym musieliśmy wspólnie dźwigać karabin maszynowy aż do świtu.

Dopiero rankiem dotarliśmy do wioski, gdzie natychmiast ulokowano nas w chłopskich stodołach, uprzednio zarekwirowanych dla nas przez kwatermistrzów. Mimo zmęczenia nie wolno nam było położyć się dla odpoczynku na słomie dopóki broń, sprzęt i kwatera nie były w porządku. W czasie dnia też nie było wiele spania czy odpoczynku, bo zawsze było coś do zrobienia.

W wiosce tej staliśmy przeszło trzy tygodnie, przechodząc różnego rodzaju ćwiczenia w okolicznych terenach. W ciągu tego czasu spotkałem kuzyna, Julka Kuriańskiego, który powrócił z obozu manewrowego i który między jednym a drugim przydziałem zdążył wstąpić do Jazłowca. Matka dała dla mnie przesyłkę i to chyba było jedyną przyczyną, że

doszło do naszego spotkania. Rzadko też widywałem się z innymi kolegami z podchorążówki. Będąc przydzielani do różnych kompanii, które kwaterowały po różnych końcach wioski, tylko przypadkowo mogliśmy się natknąć jeden na drugiego.

W czasie postojów w Kupczyńcach kilkakrotnie dano mi zadanie wykonania kartograficznych szkiców terenowych. Wykonywanie tego było zadaniem jednego człowieka i w takich okolicznościach byłem sam na sam z przyrodą i w otoczeniu wspaniałej panoramy podolskiego krajobrazu. Zboże było już zebrane z pola i tylko złote ścierniska kąpały się w promieniach letniego słońca. Od czasu do czasu jednolitość koloru przerywały wstęgi dojrzewającej kukurydzy i zielony pasy pól ziemniaczanych. Wokół mnie panowała cisza i spokój, przerywana tylko śpiewem polnych koników. W tym zakątku polskiej ziemi świat jak gdyby zamarł w swoim prostym i spokojnym życiu, oferując mi podobny spokój uczuć i myśli.

Do tego ustronia nawet nie dochodziły niespokojne głosy z zachodu, tutaj nie było strachu i obawy przed złowrogimi głosami ludzi siły i władzy i tutaj nikt nie spieszył się w szukaniu sposobu zapobieżenia zakusom ludzi złej woli. Ta nastrojowa cisza odbijała się na moim samopoczuciu, pozwalając mi w pogodzie ducha stapać po prochu drogi polnej, jak po usłanym przede mną puchu. Tutaj rozkoszując się sielsko-anielską ciszą kreśliłem kreski i znaki na kawałku papieru, tworząc symboliczny obraz terenu.

Koncową fazą mego zadania była mała wioska na uboczu, zaznaczona na mapie nazwą Józefówka. Widziałem ją z daleka jako odosobnioną kępkę zieleni na szerokiej płaszczyźnie złotych ściernisk.. Ku tej kępce skierowałem swoje kroki w nadzieji, że w białych chatkach znajdę świeżą chłodną wodę dla zaspokojenia mego pragnienia. Ku memu



zdziwieniu w tym odosobnionym miejscu znalazłem sklepik w którym sprzedawano piwo - nie lodowato zimne, ale conajmniej tak chłodne jak źródłana woda ze studni na podwórku. Sprzedawca podał mi kufel ubrany białym czepkiem szumy. Piłem je z rozkoszą starego piwosza, czując przytym jak gorzki chłód stopniowo gasił moje pragnienie.

Wewnątrz sklepu było kilka osób. Wszyscy, razem ze sklepikarzem, byli ubrani w wiejskie stroje - wszyscy wydawali się być przyjaźnie ustosunkowani do mnie. Ludzie ci w tym zacisznym i odizolowanym od świata miejscu wydawali się żyć błogim spokojem otaczającej ich natury, tak jak ich przodkowie żyli od wielu lat. Tak przynajmniej czytałem ich myśli w ich spojrzeniach, aczkolwiek domyślając się ich ukraińską narodowość, nie mogłem być absolutnie pewny czy moje pobieżne spostrzeżenia odpowiadały prawdzie.

Nasz postój w Kupczyńcach zakończył się nagle w ostatnim tygodniu sierpnia. Pewnego dnia kazano nam przygotować się do ćwiczeń nocnych, do czego jednak nie doszło. Zamiast ćwiczeń ogłoszono alarm. Jeszcze przed nocą wyruszyliśmy w długi powrotny marsz do Brzeżan. Dopiero pónym rankiem dotarliśmy do miasta. Zarówno w mieście jak koszarach można było wyczuć podniecenie i ciłą obawę przed dniem jutrzjszym.

W koszarach przed kancelariami stały grupy cywilów, pośpiesznie powołanych do służby wojskowej. Byli to ludzie młodzi, z których wielu musiało pozostawić żony i dzieci w domu, aby spełnić obowiązek wobec kraju. Na wielu twarzach widać było zaniepokojenie spowodowane nagłym powołaniem do służby - niewątpliwie uzasadnione, bo oni mogli mieć niewiele do zyskania a wiele do stracenia. Żony niektórych odprowadziły swych mężów do koszar i teraz stały na uboczu, przyglądając się z niepokojem na kolejkę mężczyzn, zmieniających cywilne ubrania na mundur wojskowy.

Oficjalna mobilizacja zaczęła się dopiero w następną niedzielę po naszym powrocie do Brzeżan. Głos trąbki pułkowej wezwał żołnierzy w mieście do koszar. Natychmiast zaczęto wydawać specjalne rozkazy i niezwykle ruch zapanował w komendzie pułku. W myśl jednego z pierwszych rozkazów nas, młodych podchorążych, przydzielono do Oddziału Zbierającego Nadwyżki. W tym oddziale mieliśmy pomagać przy umundurowaniu i uzbrojeniu nowo-powołanych do służby. Pracowaliśmy nieustannie długie godziny, starając się podołać nowym obowiązkom, jakie narzuciły nam okoliczności.

Ten niezwykle ruch i ogólne podniecenie trwały aż do wymarszu pułku z Brzeżan. Wojna z Niemcami już się rozpoczęła. Nikomu z nas nie było wiadomym w jakim kierunku nasz pułk wyjechał i jakie były jego zadania. Byliśmy jednak dobrej myśli i przekonani, że nasza armia podoła niemieckim czołgom, piechocie i lotnictwu. Wprawdzie nikt nie zachwycał się wojną, ale ogólnie byliśmy przekonani, że konflikt między Polską a Niemcami zakończy się naszym zwycięstwem.

Wkrótce zaczęły przychodzić pierwsze komunikaty z frontu. Ich treść nie była zbyt pocieszająca. To jednak nie odbierało nam wiary w ostateczne rozwiązanie konfliktu będzie pomyślne dla nas. Po naszej stronie były dwie potęgi światowe, Anglia i Francja, których potencjał militarny i ekonomiczny mógł bez większego podołać niemieckim siłom zbrojnym. Kiedy ogłoszono na radiu ich przystąpienie do wojny, my optymistycznie nastroszeni patrioci, byliśmy pewni, że klęska Niemiec nastąpi jeszcze przed upływem roku.

Tuż po wymarszu pułku na front nasza początkowa organizacja PZN została przemianowana na Oddział Zapasowy z którego niezwłocznie wydzielono Batalion Marszowy, będący w stanie ciągłego pogotowia do wymarszu na front. Ja pozostałem nadal w Ośrodku Zapasowym, jako

kancelista w drugiej kompanii, której dowódcą był por. Monasterski, znany mi już z podchorążackiego obozu w Pacykowie. Szefem kompanii był stary legionista, sierż. Kaleta, będący już na emeryturze, ale w związku z wybuchem wojny znowu powołano go do służby wojskowej. Naszym zadaniem było przygotowywanie żołnierzy do ewentualnego wymarszu na front. We wszystkich poczynaniach dawało się wyczuwać podświadome zdenerwowanie i niepewność naszej pozycji. Jednak nawet najbardziej deprymujące komunikaty o walkach w zachodniej części kraju nie odbierały nam nadziei przetrwania tego kataklizmu.

We wszystkich rozkazach i pociągnięciach widać było niepewność oraz brak skoordynowania naszych działań z jakąś wyższą przewodnią myślą. Wkrótce po stworzeniu nowej organizacji przerzucono nas do Złoczowa. Po kilku dniach wymaszerowaliśmy stamtąd do jakiejś wioski, gdzie staliśmy beczynni około dwóch tygodni. Nikt nie wiedział jakie było nasze zadanie, co mieliśmy robić w wypadku nieprzewidzianych okoliczności i jakie było nasze ostateczne przeznaczenie.

Tutaj po raz pierwszy spotkaliśmy się z tłumami uciekinierów, szukających bezpiecznego miejsca na wschodnich rubieżach Polski. Od nich dowiedzieliśmy się o okropnościach wojny, które nie tyle nas przerażały, jak budziły żądzę odwetu na wrogu. Ich widok wywołał pewną reakcję wśród naszych przełożonych. Ktoś poddał myśl, że tych "panikarzy" należało zatrzymać i osadzić w obozach, ale ich było za wielu, aby taką myśl przeprowadzić.

Wkrótce staliśmy się świadkami pierwszej akcji wojennej w naszym najbliższym rejonie. Na czystym niebie ukazały się niemieckie bombowce typu Dornier, które zaatakowały stację kolejową w Złoczowie. Na ich widok otworzyliśmy do nich ogień z karabinów, co okazało się nieskuteczne i bezcelowe. Dlatego zakazano nam używania broni w wypadkach

następnych nalotów. To dawało nam do zrozumienia, że nasza sytuacja wobec lepiej uzbrojonego wroga jest trudna, a nasze ogólne położenie ulega radykalnej zmianie na naszą niekorzyść.

W kilka dni później, przydzielono do obrony miasta kilka działek przeciwlotniczych. Powtarzające się naloty niemieckie, czasem dwa lub trzy razy dziennie, wymagały jakiejś akcji z naszej strony. Nasza obrona była jednak niedostateczna i nieskuteczna. W wielu pojedynkach nasze działka mogły poszczycić się zestrzeleniem tylko jednego Dorniera. Nie obeszło się przytym bez pomyłki i własnej straty. W szarzyźnie wieczoru zniszczono jeden samochód cywilny, który wzięto za niemiecki czołg.

W radou nie słyszeliśmy nic pocieszającego. Polski front był stale przesuwany na nowe "pozycje obronne" w bardziej dogodnym terenie i coraz bardziej w głębi kraju. Natomiast najbardziej upragniona wiadomość z zachodu o podjęciu działań przez aliantów nie znajdowała miejsca w głośnikach. Pewnego dnia nasze minorowe uczucia zamieniły się w radosną euforię jak gdyby pod działaniem czrodziejskiej różdżki . Radio wreszcie podało, że niemiecka linia Zygfryda została przełamana w kilku miejscach i że armie alianckie maszerują w głąb Niemiec. Nikt z nas wtedy nie przypuszczał, że był to tylko trick propagandy dla podniesienia nas na duchu.

Wieczorem 15go września dostaliśmy rozkaz opuszczenia wioski i maszerowania w kierunku Brzeżan. Nasz marsz był powolny, ponieważ wszystkie drogi były zawałone uciekinierami. Dlatego często musieliśmy korzystać z polnych dróg. Następnego dnia doszliśmy do małej wioski Murman i tam dla odpoczynku zeszliśmy do przydrożnego lasku. Jeszcze nie wszyscy zdołali zejść ze szosy, kiedy z poza wzgórze wyleciał niemiecki samolot i posiał serię z karabinu maszynowego po końcu



kolumny. W wyniku tego ataku zapaliło się kilka chat we wiosce, a kilku żołnierzy i kilka koni odniosło rany.

W lasku tym pozostaliśmy do zmroku. W czasie tego postoju zawodowi oficerowie powierzyli dowodzenie nad oddziałami oficerom rezerwy, a sami razem z bronią zebraną od nas wyjechali furmankami w kierunku południowych. Akcję tą tłumaczono rozkazem jakiegoś generała, który organizował linię obrony na południowym wybrzeżu Dniestru.

O zmroku wymaszerowaliśmy do Brzeżan. W ciągu nocy przeszliśmy przez miasto i dopiero rano zatrzymaliśmy w jakiejś wiosce, gdzie odpoczywaliśmy cały dzień. Tu po raz pierwszy od wymarszu ze Złoczowa otrzymaliśmy ciepłą strawę oraz porcję czarnego chleba. Nieoficjalnie ja i Romek Wiącek postaraliśmy się u chłopów o prywatne zaopatrzenie, wiedząc, że nie zawsze można polegać na zaopatrzeniu wojskowym.

Znowu o zmierzchu dnia opuściliśmy miejsce odpoczynku i ruszyliśmy w dalszą drogę w tym samym kierunku - ku Dniestrowi. Znowu z uwagi na ruch cywilny na szosach musieliśmy korzystać z dróg polnych. Znowu powtórzyła się stara historia z Kupczyniec. Po raz pierwszy od rozpoczęcia się działań wojennych upadł ulewny deszcz. Drogi polne zamieniły się w ciężkie mokre błoto. Marsz z tej przyczyny był bardzo męczący i uciążliwy. Dlatego po wejściu nad rankiem do Podhajec zajmowaliśmy byle miejsce w każdej stodole, aby tylko dać odpoczynek naszym nogom.

Położyłem się na słomie i natychmiast usnąłem. Musiałem spać bardzo mocno, bo nawet nie słyszałem jak moi towarzysze opuścili stodołę. Nie wiem co obudziło mnie. Kiedy przetarłem oczy, ze zdziwieniem spostrzegłem, że oprócz mnie niema nikogo w stodole. Wziąłem swoje rzeczy i szybko wyszedłem na szosę. Dołączyłem do jakiejś kolumny taborowej i marzerowałem razem z nią, czsami korzystając

z podwózki na wozie. Na pewnym odcinku szosy jakiś cywil powiedział mi, że podobno bolszewicy wkroczyli do Polski, ale nie wiedział czy w charakterze wrogów czy przyjaciół. Po drodze spotkałem kolegę, Jasia Kukurydzą, który też niczego nie wiedział o wspomnianym wydarzeniu na wschodniej granicy Polski.

Maszerując razem doszliśmy do wioski Dobrowody. Przy pierwszych domach natknęliśmy się na właściciela tamtejszego majątku ziemskiego. Człowiek ten na widok naszych szczerbiałych, zarośniętych i zmęczonych twarzy zaprosił nas obojgu na obiad do dworu. Wizyta trwała krótko - tylko tyle, aby pożywić się i ochłonać przez chwilę z trudów wielodniowego marszu. Ważną częścią tego spotkania była rozmowa na temat sytuacji na froncie zachodnim oraz inwazji sowieckiej. Ani my ani gospodarze nie mogli wypowiedzieć definitywnego zdania na ten temat. Rozumieliśmy tylko tyle, że nasz kraj znalazł się w tragicznym położeniu, z którego jedynie cud mógł go wybawić.

W niecałą godzinę potem znaleźliśmy się znowu na szosie wśród masy zmęczonych i przygnębionych żołnierzy. Mimo pogłosek myśmy szli dalej, niewątpliwie kierowani niczym innym tylko siłą nadrzędnej woli. Tłum ludzi, wozów i koni, nie mający końca ni początku, zdążał w apatycznym nastroju do nieznanego mu miejsca ostatecznego przeznaczenia. Prawdopodobnie tak wyglądała napoleońska armia, wycofująca się z pod Moskwy i tak chyba wyglądały wszystkie pokonane armie, pragnące uniknąć ostatecznej a krwawej konfrontacji ze zwycięskim wrogiem.

Wyciągnięta linia wyczerpanych i zdeprymowanych żołnierzy pochłonięta myślą nieustannego marszu, nie zdawała się zwracać uwagi na nikogo i na nic, co mogło ją oderwać od tego zasadniczego dla niej zadania. Porzucone armaty, rozbite podwozy, nieczynne kuchnie polowe

i towarzysze broni na boku szosy, którzy doszli do kresu swego wysiłku fizycznego, nie miały dla nich najmniejszego znaczenia. Wojenne prawo strat i zniszczeń znalazło tutaj swój najlepszy przykład. Przedsięwzięcie takich rozmiarów jak zbrojny konflikt między dwoma narodami wymagało poświęcenia życia i materiału - inaczej nie stałoby się zadość tej ludzkiej tragedii. Ale to poświęcenie, jakie widziałem na swojej trasie, było tylko kroplą w morzu z wielkością ofiar ludzkich i zniszczeń w porównaniu z całością kampanii wrześniowej.

Z uczuciem niepewności sytuacji i przygnębieni pogłoskami o wejściu bolszewików na tereny polskie dotarliśmy do pierwszych domów miasta Monasterzysk, znanego mi z dawnych obozów harcerskich w jego okolicy. W tym miejscu mój towarzysz spotkał się ze swoją kompanią. Moja kompania, według zdania tamtego oddziału, musiała być gdzieś w przodzie. W towarzystwie innych niedobitków maszerowałem dalej. Nasza droga prowadziła do centrum miasta. Po bokach ulicy widziałem tłumy ludzi, których twarze wyrażały dezorientowanie, przygnębienie i obawę przed zbliżającą się rzeczywistością. Niektórzy dzielili się z nami żywnością, inni żegnali nas ze łzami w oczach, a jeszcze inni szukali u nas wiadomości o lepszej treści.

Wkrótce znalazłem się w środku miasta. Tam spotkałem wóz kancelaryjny naszej kompanii. To dawało mi do zrozumienia, że moja kompania musi być niedaleko w przodzie. Konie tego wozu wyglądały bardziej zbiedzone niż ludzie. Wobec tego kazałem woźnicy wjechać na plac przed kościołem, aby odpoczęły. W tym centralnym punkcie miasta spotkałem kilka koleżanek i kolegów z buczackiego gimnazjum. Każdy z nich hojnie obdarowali mnie papierosami. Palenie wprawdzie nie było w moim zwyczaju, ale przyjąłem tą darowiznę z myślą, że rozdám je wśród moich żołnierzy.

W czasie rozmowy z moimi kolegami ktoś przyniósł wiadomość, że czołgi sowieckie już zajęły Buczacz. Na ludzkich twarzach widać było konsternację. Każdy już słyszał o inwazji ze wschodu, ale konkretna wiadomość o obecności sowietów tylko o kilkanaście kilometrów od robiła silne na nas wrażenie. Przedewszystkim nikt z nas nie wiedział co można oczekiwać od obcych żołnierzy, którzy tradycyjnie nigdy nie byli przychylni Polakom.

Główną ulicą miasta wciąż maszerowały zwarte kolumny polskiego wojska. Niektóre grupy wyglądały jako luźne i nieskoordynowane oddziały. Mimo wszystko wszyscy dążyli w tym samym kierunku i wciąż podporządkowani swojemu dowódcy. Ich cel niewątpliwie była rzeka Dniestr. Woźnica i ja staliśmy przy wozie, nie wiedząc jak powinniśmy postąpić. Rozwiązanie naszego problemu wkrótce ukazało się przed nami na głównej drodze prowadzącej od Buczacza. To rozwiązanie stało się początkiem wielu pojedynczych i grupowych wydarzeń, które wzięły nas ze sobą w długą i nieznaną drogę.



#### IV. SOWIECKI RAJ.

Na głównej szosie, od strony Buczacza, było słyhać głuchy warkot motorów. Nikt nie miał wątpliwości co było przyczyny tych dalekich głosów. Z tego kierunku posuwała się nasza najbliższa przyszłość na sowieckich czołgach. Nikt prawdopodobnie nie zdawał sobie sprawy, że ta przyszłość może być długa i ciężka. W każdym razie w danej chwili nic nas przed nią nie mogło uchronić - nawet nasi zachodni alianci.

Z za rogu ulicy wyjechały trzy sowieckie czołgi. Za chwilę one znalazły się na mojej wysokości. Jeden z nich zatrzymał się tuż przede mną. Jego dowódca wychylił głowę i zawołał do nas po polsku "Niech żyje Polska". To patriotyczne polskie hasło utwierdziło mnie w przekonaniu, że sowieci przyszli do nas jako sprzymierzeńcy. Logicznym wyjaśnieniem było to, że Niemcy również przedstawiali niebezpieczeństwo dla nich. Przez zajęcie polskich terenów oni odsuwali groźbę ataku o tyle kilometrów na zachód od swoich granic.

Czołgi minęły nas i pojechały w tym samym kierunku w jakim maszerowały nasz oddziały. Kazałem wtedy memu woźnicy dołączyć do jednego z maszerujących oddziałów. Na to otrzymałem odpowiedź od niego, że on woli wracać do domu. Ten prosty człowiek musiał już zorientować się w sytuacji i dlatego dom i rodzina stały się dla niego zasadniczym celem danej chwili. Nie pozostało mi nic innego do zrobienia jak zdjąć moje rzeczy z wozu, oddać je na przechowanie w najbliższym

domu i samemu dołączyć do najbliższego oddziału. Rzeczy zostawiłem u jakiegoś cywila i wstąpiłem do szeregu, aby nadal kontynuować swój marsz.

Kilkaset kroków dalej wśród stojącego tłumu po bokach ulicy spostrzegłem ładną twarzyczkę, wprawdzie smutną ale znajomą. W drugim czy trzecim rzędzie stała Zosia Swidzińska i jej matka, obie z zapłakanyimi oczyma. Każda z nich co chwila wyciągała ręce do przodu i obdarowywały żołnierzy owocami. Na ich widok natychmiast się zatrzymałem, aby zamienić z nimi parę słów. Zosia oprócz owoców chciała zaopatrzyć mnie w coś solidniejszego do jedzenia. W danej chwili to zdawało mi się zbyt wiele. Natomiast owocami wypełniłem każde wolne miejsce. Pożegnałem obie zapłakane panie i wstąpiłem do najbliższego szeregu.

Droga zakręcała w prawo i za zakrętem wznosiła się lekko ku górze. Po obu bokach szosy ścieliły się łąki. Tu i ówdzie widziało się kawałki pola zarośniętego krzewami. Przede mną, tak daleko jak sięgało moje oko, ciągnął się jednolity wąż zielonych mundurów. Drogą tą nie uszedłem daleko. Ledwie przeszliśmy pierwsze wzgórze za miastem i znaleźliśmy się w dolinie, od przodu i tyłu odezwały się sowieckie karabiny maszynowe. Na wzgórzach przed nami i za nami stały czołgi, próbując swoje ognie na żywym celu.

Tłum polskich żołnierzy natychmiast zniknął z szosy. Ogień karabinów skoncentrował się wówczas na koniach, których po kilka wlokło się za każdą maszerującą grupą. Strzelanina trwała conajmniej godzinę mimo, że z naszej strony pokazywano białe chorągiewki. Dla nas bez broni nie było wyboru. Poddanie się było jedynym wyjściem z sytuacji.

Dla mnie, osobiście, był to przysłowiowy chrzest ogniowy. Mówiłbym nieprawdę, gdybym w ciągu tego ognia nie odczuwał bojaźni przed odniesieniem rany lub stratą życia. Siedziałem cicho w krzakach i modliłem

się, by Bóg ochronił mnie przed jakąś zabłąkaną kulą. Kiedy zauważyłem, że ani ja ani nikt koło mnie nie był tknięty jakimś pociskiem, zacząłem zastanawiać się jak z tej opresji wyjść cało. Pierwszą reakcją było zagrzebanie w piasku dwóch granatów, jedynej broni jaką posiadałem. Następnie czekałem aż się sytuacja wyklaruje.

Po ustaniu strzelaniny do nas podjechał sowiecki czołg, którego dowódca powiedział nam, aby powiewać czerwonymi a nie białymi szmatami. Nie wiem skąd, ale jakieś szmaty tego koloru gdzieś się znalazły i jego życzeniu stało się zadość. Z uwagi na to, że od czasu do czasu serie karabinów maszynowych wciąż się odzywały, jeden z oficerów naszej strony, w randze kapitana, wystąpił na szosę i poprosił o zaprzestanie ognia.

Mój samozachowawczy instynkt podszeptał mi myśl, że w podobnej sytuacji, a zwłaszcza w wypadku Sowietów, najbezpieczniej jest być żołnierzem najniższej rangi. Szybko paznokciami pozrywałem swoje naszywki podchorążackie z drelicha. Zrobiłem to bardzo dokładnie, aby nie została najmniejsza nitka, która mogła mnie wydać.

Zgodnie z oświadczeniem polskiego kapitana nasi żołnierze zaczęli wychodzić na szosę. Wkrótce na naszą wysokość przybyła sowiecka ciężarówka z plutonem piechoty. Na ich żądanie ustawiliśmy się czwórkami w kolejności - oficerowie, podchorążowie i podoficerowie na przodzie, a szeregowi z tyłu. Ja postanowiłem grać swoją grę do końca. Ustawiłem się wśród szeregowych i razem z nimi pomaszerowałem do miasta pod eskortą bojców. Ulice były już zupełnie puste, a miasto wyglądało jak wymarłe. Zmierzch zaczął już zapadać i niewiele można było widzieć w szarzyźnie wieczoru.

Zaimprovizowanym obozem jeńców dla nas stała się lokalna fabryka tytoniu, posiadająca dużo przestrzeni, aby nas pomieścić, oraz

otoczona wysokim płotem z drutu. Początkowo pozostawiono nas na podwórku, gdzie pozostaliśmy aż do północy. Jesienne zimno już dawało się odczuwać. Mimo, że należałem do szczęśliwców, którym bojcy nie zabrali płaszców, zmarzłem do kości. Szczerze współczułem tym, których sowieci ogołocili z cieplejszej odzieży. Za czyjś wstawiennictwem około północy wpuszczono nas do środka głównego budynku fanryki.

Leżałem na podłodze koło maszyny, ale usnąć nie mogłem. Przeżycia tego dnia były za głębokie, aby po nich nie pozostały gnębiące refleksje. Podobne myśli gnębiły też innych. Obok mnie, na podłodze, leżał jakiś młody człowiek, prawdopodobnie oficer rezerwy, która jak ja pozbył się wcześniej swoich wojskowych dystynkcji. On przeżywał tragedię własną i Polski głębiej niż ja. Patrząc uporczywie w sufit, sklinał wszystkich piłsudczyków, przypisując im winę za upadek Polski. W tym trudnym momencie życia prawdopodobnie każdy z nas szukał za winowajcą, aby pozbyć się zbiorowego poczucia winy. Stan depresji każdego z nas stan depresji szukał za możliwością rozładowania swego bólu, żalu i rozczarowania.

W takich chwili przyszła mi myśl do głowy, aby przy pierwszej nadarzającej się okazji przekazać list do rodziców. Wpierw trzeba było mieć list gotowy. Na jakimś stole znalazłem kawałek papieru, ołówek miałem w kieszeni i napisałem najdłuższy list do rodziców w swoim dotychczasowym życiu. Podświadomie znalazłem swój własny sposób rozładowania swoich uczuć.

Rano nam, żołnierzom bez stopni, pozwolono na wyjść na podwórko i przyjmować żywność od polskich kobiet przez druty parkanu. Dodatkowo lokalny Czerwony Krzyż przez główną bramę dostarczył dla nas pewną ilość pożywienia. Ktoś z Polaków w Monasterzyskach kierował się zarówno zdrowym rozsądkiem jak i polskim uczuciem, aby swoim rodakom w niewoli zapewnić możliwość przetrwania ich najtrudniejszych dni.



W jednej z młodych pań, zajmujących się podziałem żywności, rozpoznałem koleżankę z ławy szkolnej - Zosię Marakównę. Jej szczupła, przystojna postać oraz ładna twarzyczka brunetki w zgrupowaniu żołnierskim natychmiast zwrócała na siebie uwagę. To też ściągnęło moją uwagę ku niej. Przystąpiłem do niej, wymieniliśmy kilka zdań i umówiliśmy się, że popołudniu przyniesie mi trochę żywności z domu. Istotnie we wczesnych godzinach popołudniowych przyniosła mi kilka kanapek, ciepłą herbatę oraz kawałek ciemnej czekolady. Przy rozstaniu przyrzekła przynosić mi jedzenie tak długo, jak długo pozostanę w fabryce. Słuchając jej słów wyczuwałem w nich dużo troski i zrozumienia dla kogoś, którego losy wojny rzuciły na dno zniewolonego narodu.

Zosia nie wiedziała wówczas, że już wtedy budziła się we mnie myśl buntu - myśl wydostania się z zamkniętego kojca. Moja polska i podolska natura nie mogła pogodzić się z tym, aby podporządkować się woli naszych zaborców. Dla mnie niewola była czymś strasznym, czymś krępującym i nawet czymś poniżającym. Od chwili rozstania się z nią myśl ta nie schodziła mi z głowy. Coś zmuszało mnie do tego, aby działać natychmiast i szukać drogi wydostania się z drutów zamkniętego rejonu fabryki.

Zacząłem przyglądać się wewnętrznym zabudowaniom fabryki i otaczającym ją parkanów. W pierwszym rzędzie stwierdziłem, że polscy oficerowie, podchorążowie i podoficerowie zostali odseparowani i umieszczeni pod strażą w jednym ze środkowych budynków. Moja intuicja, jaką kierowałem się dnia poprzedniego, uchowała mnie od tego losu. Wprawdzie nie byłem wolny, ale miałem więcej swobody poruszania się a tym samym więcej możliwości wydostania się z niewoli. Nie wiedziałem wówczas jaki oczekiwał ich los, ale już wtedy nie zmieniłbym swojej sytuacji z ich pozycją.

Moje rozpoznanie rejonu fabryki ograniczało się tylko do pewnej jego części. Południowa jego część była dla mnie zupełnie niedostępna. Zachodnia strona, przylegająca do głównej ulicy, też nie mogła być brana pod uwagę w moich jeszcze nie skryształizowanych planach. Do mego wglądu pozostawała mi tylko strona północna i część wschodniej. Te dwie ostatnie dawały mi najwięcej możliwości ucieczki. Byłem niemal pewny, że w ich granicach znajdę jakiś słaby punkt przez który zdołam wydostać się nazewnątrz.

Przechodząc wzdłuż północnej granicy, zauważyłem jak jeden polski żołnierz wszedł do drewnianej budki przy parkanie. Nie widziałem, aby on stamtąd wyszedł na fabryczne podwórko, ani nie widziałem jego postaci na ulicy, nazewnątrz drutów. Chciałem pójść jego śladem, ale zauważyłem, że na końcu drogi stał sowiecki strażnik, który napewno byłby mnie przyłapał, gdybym próbował uciec w tamtą stronę.

Postanowiłem więc szukać za innym miejscem, bardziej dogodnym moim planom. W drugim rogu podwórka fabrycznego /północno-wschodnim/ stał inny sowiecki wartownik, bardziej zajęty rozmową z cywilami przez druty, niż pilnowaniem swego rejonu. Podszedłem bliżej do niego i przez kilka minut przysłuchiwałem się jego propagandowej mowie na temat wspaniałego życia w Związku Sowieckim. Cywile prawdopodobnie nie bardzo mu wierzyli, ale co chwila, któryś z nich zadawał mi pytania, jak gdyby dla wysondowania prawdy. W międzyczasie moje oczy wędrowały wzdłuż drutów i urządzeń tego kąta. W ostatniej fazie tego przyglądania się zauważyłem małą drewnianą furtkę, która prowadziła poza długi barak - widocznie magazyn tytoniowy.

Zbliżyłem się do tej futki i zaglądnąłem do przejścia poza nią. Tam, między ścianą baraku i drucianym parkanem była wąska przestrzeń trawnika. Mniej więcej w połowie baraku, po drugiej stronie, widziałem

ładny sad owocowy, obładowany czerwonymi jabłkami. Wtedy przyszła mi konkretna myśl do głowy: "gdybym mógł się tam dostać i przeskoczyć druty, mój problem ucieczki byłby rozwiązany". Podszedłem bliżej do furtki, odwróciłem się do niej tyłem i obserwując strażnika lekko spróbowałem klamkę. Klamka poddała się, a furтка nieco się uchyliła. Gdyby było ciemno, mógłbym natychmiast spróbować swego szczęścia. Południowa pora słonecznego dnia absolutnie nie sprzyjała wykonaniu tego planu. Postanowiłem powrócić do przeprowadzenia mego planu w późniejszej porze wieczoru.

W międzyczasie usiadłem na podwórku pod ścianą jednego z baraków i delektowałem się kanapkami, które przyniosła mi Zosia Marakówna. Jedząc te kanapki widziałem ją w pełni przed sobą, przystojną, szczułą i ładną, taką samą jaką widziałem ją w gimnazjum. W tej chwili ona już nie była moją koleżanką, lecz dobroczyńcą o wielkim i szlachetnym sercu. Pomyślałem wówczas, że jeśli więcej nie ujrzę jej w życiu, to ten obraz na zawsze pozostanie w mojej pamięci. A z tym pozostanie ciepłe uczucie wdzięczności na cały okres mojej ludzkiej egzystencji.

Od czasu do czasu spoglądałem na furtkę i z każdym spojrzeniem coraz bardziej wiązałem ją z udaniem się mojej ucieczki. Również przypomniałem sobie swego stryja Ignacego, człowieka, który znał życie oraz dużą połąć świata, od St.Louis w Ameryce do dalekich stepów Wielkorusi. Często przysłuchując się jego rozmowom, chwytałem jego złote myśli, własne i zapożyczone, które w danej sytuacji zaczęły mi się przypominać. "Odważnym szczęście sprzyja" albo "do odważnych świat należy" stały się częścią mego repertuaru wielkich myśli.

Siedząc w tym miejscu i spacerując po podwórku od czasu do czasu wreszcie doczekałem się wieczoru. Podszedłem do swego upatrzonego miejsca i obserwując strażnika, stanąłem tyłem do furtki i czekałem

odpowiedniej chwili. Tym razem był tam inny strażnik, ale nie mniej rozmowny niż jego poprzednik. Robiło się ciemno, tylko światła elektryczne jaśniały w pewnych odstępach wzdłuż ogrodzenia fabryki, co było wybitnym dla mnie utrudnieniem.

Postanowiłem jednak działać. Wciąż mając na myśli słowa swego stryja, uchyliłem lekko furtkę, wszedłem na wąską przestrzeń trawnika między barakiem i parkanem i powoli zacząłem posuwać się w kierunku owocowego sadu. Popatrzyłem raz jeszcze do tyłu dla sprawdzenia sytuacji. Bojec był nadal zajęty rozmową, a ludzie z drugiej strony zachowywali się dość głośno. Być może, że ktoś z nich widział mnie znikającego za furtką i chciał odwrócić uwagę strażnika od rejonu w którym się znajdowałem.

Posuwałem się w kierunku upatrzonego miejsca jak najszybciej, ale czas wydawał się wlec grubo za wolno dla mnie. Wreszcie dotarłem na wysokość sadu. Stałem tam i znowu popatrzyłem do tyłu. Sytuacja koło strażnika nie uległa żadnej zmianie. Nie namyślając się dłużej zacząłem wspinać się po drutach. Bardzo pomocne w tym były gwoździe nabite w podeszwy, na które kiedyś tak bardzo narzekałem. Również te gwoździe narobiły dużo hałasu, ale teraz sprawy poszły za daleko, aby nad tym się zastanawiać. U szczytu parkanu spotkałem się z trzema liniami rozciągniętych kolczastych drutów, skierowanych na zewnątrz. Na górze z trudnością zdołałem utrzymać równowagę. Zdołałem jednak odbić się i skoczyć na drugą stronę. Przez sekundę zawisłem w powietrzu, zahaczny chlebakiem o drut. Szarpnąłem się całym ciężarem własnej wagi - drut się poddał i wylądowałem na trawie po zewnętrznej stronie parkanu.

Bez najmniejszego zastanawiania się pobiegłem w kierunku światła, widniejącego u końca rzędu drzew. Dobięgam do ich końca, przeskoczyłem



przez drogę i zapukałem do pierwszego domu. Na moje pukanie drzwi się otworzyły i jakaś młoda kobieta wychyliła głowę. Nie pytając ją o pozwolenie wskoczyłem do wnętrza mieszkania. Prócz niej w domu byli dwaj dorośli mężczyźni. W krótkich słowach wyjaśniłem im moją sytuację i prosiłem o zamienienie mego wojskowego drelicha na stare cywilne ubranie oraz o wskazanie mi drogi do Jazłowca. Młodszy z nich zszedł nadół do piwnicy i po chwili powrócił ze strasznymi łałachami, które natychmiast nałożyłem na siebie. Ten sam człowiek zaofiarował się przeprowadzić mnie przez jego część miasta i wyprowadzić na polną drogę w kierunku na Jazłowiec.

Przy kładce na strumyku rozstałem się z moim przewodnikiem, dziękując mu szczerze za tak wielką przysługę. Stąd rozpocząłem nocną wędrowkę samodzielnie, kierując się w stronę wschodu. Mimo niewyraźnej i może niebezpiecznej sytuacji czułem w sobie olbrzymią radość, która przynajmniej czasowo przygłuszyła obawy przed wędrowką w nieznanym mi terenie.

Noc była ciemna, tylko od czasu do czasu księżyc wychylał się z poza chmur i przez krótki czas oświetlał mi drogę. Nie bardzo zdawałem sobie sprawę z tego gdzie się znajdowałem, ale w przybliżeniu wiedziałem, że byłem po północnej stronie szosy, wiodącej z Monasterzysk do Buczacza. Posuwałem się wzdłuż niej ostrożnie, idąc na przełaj polami i lasami. Uszedłem kawał drogi, kiedy po przejściu szczytu jakiegoś wzgórza ujrzałem przed sobą światła jaśniejące w oknach. Domysliłem się, że musiałem być w pobliżu jakiejś małej wioski. To przedstawiało dla mnie pewien problem odnośnie narodowości jej mieszkańców. Jeśli byłaby to polska wioska, napewno mógłbym być liczyć na ich pomoc; wieś była zamieszкана przez ludność ukraińską, wówczas należało postępować ostrożnie.

Skrajnie nacjonalistyczna propaganda kościoła grecko-katolickiego wyrobiła w wielu z nich niechęć ku Polakom, a w niektórych wypadkach nawet otwartą nienawiść. Ostrożnie podszedłem do jednej z chat. Z daleka zaglądnąłem przez okno. Na ścianie zobaczyłem typowe obrazy ukraińskich świętych. To mi wystarczyło, aby zaniechać próby szukania tam noclegu.

Dla pewności ominąłem wioskę i wszedłem do jakiegoś lasu. Na jego brzegu wyczułem ścieżkę, którą doszedłem do jakiego strumyka i do szosy po przeciwnej jego stronie. Przeszedłem jedno i drugie. Znowu znalazłem się na jakimś uprawnym polu. Wydawało mi się, że zbłądziłem i zamiast na Jazłowiec szedłem w kierunku Buczacza. Skręciłem w prawo z myślą, że znowu przejdę szosę i nad ranem dotrę do wioski, Barysz. Wiedziałem o tym, że miejscowość ta była zamieszкана przez czysto polską ludność. Uszedłem dość daleko, ale nie natknąłem się na spodziewaną szosę. Natomiast w lewo, w odległości kilometra, zobaczyłem światła reflektorów i usłyszałem warkot motorów. Domyśliłem się z tego, że tam musiała być szosa prowadząca do Buczacza.

Mniej więcej w tym samym czasie doszedł do mnie odgłos broni maszynowej i ręcznej z tamtego kierunku. Położyłem się w kartoflisku i czekałem aż strzelanina i warkot motorów ustały. Poczułem się wtedy bardzo zmęczony i głodny. Wyciągnąłem z chlebaka resztę prowiantu darowanego mi przez Zosię - zjadłem wszystko z apetytem głodnego wilka. Znowu moja koleżanka zasłużyła na szczerą wdzięczność za kanapkę i kawał grubej gorzko-słodkawej czekolady.

Po krótkim odpoczynku wybrałem się w dalszą drogę. Na szosie była już kompletna cisza, natomiast w lewo odemnie słychać było ujadanie psów. Nie wiedziałem jaka mogła być to miejscowość, ale postanowiłem udać się w tamtym kierunku w nadziei, że jakaś poczciwa dusza pozwoli

mi przemocować na słomie w stodole. Po kilkunastu minutach marszu zobaczyłem na tle nieba kontury wiejskiego gospodarstwa. Podeszedłem do stodoły, gdzie spotkałem wściekle ujadającego psa. Zdołałem go obejść i wziąłem się do układania legowiska. Nagle drzwi domu otworzyły się i w świetle lampy naftowej ukazała się jakaś kobieta.

Usłyszałem jej głos pytający po polsku kto ja jestem. Odpowiedziałem na to, że wracam z wojska i szukam miejsca na nocleg. W odpowiedzi na to kobieta zaprosiła mnie do wnętrza domu. Z miejsca zapytała mnie czy jestem głodny. Kiedy odpowiedziałem przecząco kobieta, widocznie gospodyni domu, kazała młodej dziewczynie ustąpić mi miejsca na tapczanie. Natychmiast skorzystałem z tej propozycji i niemal natychmiast zasnąłem kamiennym snem. Faktycznie, była to moja pierwsza noc od wielu z nich podczas której mogłem spać na posłaniu i wreszcie dać odpoczynek mojemu ciału.

Obudziłem się późnym rankiem i chciałem wybrać się natychmiast w dalszą drogę. Gospodyni sprzeciwiła się temu i kazała mi usiąść przy stole i czekać aż przygotuje śniadanie. Podczas jej krzątania się koło kuchni do mieszkania weszło dwóch mężczyzn, niewątpliwie jej najbliżsi sąsiedzi. Między nimi natychmiast wywiązała się rozmowa na temat ostatnich wydarzeń. W visoce, która okazała się być poszukiwanym przeze mnie Baryszem, krążyły już niesamowite niedorzeczności. Czyjaś bogata wyobraźnia zaczęła tworzyć swój własny obraz międzynarodowej sytuacji, który był pozbawiony najmniejszej logicznej myśli. Mimo ich zapewnień, że wszystko co mówili jest prawdą, nie mogłem uwierzyć temu, aby Anglia i Francja leżały w gruzach, a Ameryka była zajęta przez Japonię.

Po śniadaniu jeden z nich zaoferował się w wyprowadzeniu mnie poza wioskę i wskazanie drogi do Jazłowca. Chętnie skorzystałem z jego

dobrej woli. Po drodze człowiek ten uprzedził mnie o ukraińskich wioskach, w których nastawienie do Polaków nie było zbyt przyjazne, a przede wszystkim przed wioską Zubrzec, gdzie już zaatakowano kolonię polską. Z jego pomocą wyszedłem poza wioskę i znalazłem się na skraju lasu, którym miałem iść do następnego punktu na mojej trasie do Jazłowca.

Po drugiej stronie lasu spotkałem się z grupą kilku kobiet, stojących przy odosobnionym domku w lesie. W mojej ocenie mógł to być domek lokalnego gajowego. Kobiety natychmiast mnie obstały. Po zorientowaniu się kim ja jestem, zaczęły zadawać mi pytania czy przypadkiem nie spotkałem ich mężów, synów czy braci. Również prosiły mnie o wstąpienie do mieszkania, na co z uwagi na chęć kontynuowania drogi do domu, odpowiedziałem odmownie. Jedna z nich szybko podbiegła do najbliższej jabłoni, narwała jabłka w podołek i napchała je do mego chlebaka.

Idąc na przełaj po polach, kilka kilometrów dalej, spotkałem ukraińskiego chłopca, orzącego pole. Początkowo człowiek ten odniósł się do mnie podejrzliwie i zaczął wypytywać co tam robię i gdzie idę, patrząc cały czas na mnie jak na osobę, której nie należy ufać. Kiedy powiedziałem mu, że pochodzę z niedalekiego Jazłowca i wracam z wojny do domu, nabrał do mnie nieco zaufania. Mimo woli spojrzałem na tabliczkę na jego wozie i wyczytałem na niej czysto polskie nazwisko. To jednak nie świadczyło, że człowiek ten był Polakiem. Musiało jendak być w nim coś ludzkiego, a może nawet polskiego, bo obiecał mi, że po zoraniu kawałka pola przewiezie mnie przez wioskę Zubrzec. Tma już urzędowała ukraińsko-sowiecka milicja, która miała prawo aresztować każdego podejrzanego człowieka. W międzyczasie dał mi kawałek razowego chleba i poradził mi przespać się pod stogiem suchej kukurydzianki.



Po skonczeniu orania człowiek ten, jak przyrzekł, wziął mnie na swoją furmankę i przewiózł mnie przez wioskę. Po drodze dowiedziałem się od niego, że po lszej wojnie światowej powrócił do Polski z Ameryki i za zarobione tam pieniądze kupił sobie zasobne gospodarstwo. Teraz po przyjsciu sowietów, obawiał się, że jego wieloletni trud zakończy się zabranieniem mu pola na kołchoz czy sowchoz. O tych sprawach on musiał być lepiej uświadomiony niż ja.

Przez wioskę przejechaliśmy bez wypadku. Nawet nie widziałem tam żadnego milicjanta. Po pożegnaniu ukraińskiego chłopca, przeszedłem jeszcze kilka kilometrów we wskazanym kierunku i dopiero tam zorientowałem się w terenie. Dochodziłem do wioski Leszczańce, której lasy sąsiadowały bezpośrednio z lasami jazłowieckimi. Wiedziałem jednak, że była to wioska ukraińska i dlatego należało ją ominąć. To nie było dla mnie trudnym zadaniem, bo okolica była mi już znana. Okrążyłem wioskę od południa, zszedłem po zboczu jaru rzeki Strypy, przeszedłem ją w bród i znalazłem się w jazłowieckich lasach. Stałmiałem tylko pół godziny drogi do domu.

Dla ostrożności postanowiłem nie pokazywać się w mieście w jasny dzień. Tam mogła już urzędować lokalna komunistyczna milicja, która mogła być anty-polskich przekonań. Dlatego powziąłem decyzję udać się wpierw do wuja Leona, którego sad stykał się bezpośrednio z lasem. To pozwalało mi na wejście do jego domu niespostrzeżenie i bez wiedzy nowych lokalnych władz.

Zaraz przy wejściu do sadu wpadłem wprost na niego. Wuj siedział na drabinie i zrywał jabłka. Widząc go na wysokości drzewa zawołałem do niego "dzień dobry wuju!". On spojrział na mnie z drabiny i wcale mnie nie poznał. Moje podarte ubranie i zarośnięta twarz widocznie tak zmieniły mój wygląd, że na pierwszy rzut oka byłem nieznaną mu

osobą. Kiedy upewnił się, że jestem jego siostrzeńcem, zszedł z drabiny, wziął mnie w objęcia i rozplakał się.

Ze sadu odrazu udaliśmy się do jego domu, gdzie w podobny sposób witała mnie jego. Ciotka natychmiast wysłała najstarszą swoją córkę do domu moich rodziców, która miała poprosić jego o przyjscie do wujostwa bez podania przyczyny. Ojciec ledwie wszedł do mieszkania i gorąco przywitał się ze mną do domu przybiegła zadyszana matka. Mimo, że nikt jej nie powiedział o wyjściu ojca i nie wiedziała o moim powrocie, matka intyicyjnie musiała wyczuć, że wizyta młodej córki jej brata wiązała się z moją osobą. U wujostwa przesiedzieliśmy do wieczora i dopierow w szarzyźnie nocy poszliśmy do domu.

Po długiej nieobecności w moim rodzinnym miasteczku i po wielu przejściach w czasie tego znalazłem się z powrotem w czterech ścianach swego domu i doznać przynajmniej tymczasowo trochę jego ciepła oraz bezpieczeństwa. Dom- drogi dom, to przystań człowieka, gdzie w każdym okresie swego życia on znajduje rodzinny spokój, osobiste szczęście i zadowolenie życia. Nawet w tak niepewnych czasach jak wojna i okupacja sowiecka czułem się w jego ścianach bezpieczniej niż gdziekolwiek indziej. Tam też spodziewałem się przetrwać rozpętaną przed kilku tygodniami burzę wojenną.

Powoli inni jazłowczanie też zaczęli powracać do swoich domów. W kilka dni po mnie przyszedł do domu mój kuzyn Julek Kuriański, a po nim dwaj inni krewni, Dziunek Kołodziej i Kazio Uruski. Kilku innych młodych ludzi, nie spokrewnionych ze mną, po długiej wędrówce też znalazło się wśród swoich najbliższych. Byli też tacy, którzy nie wrócili z wojny. Ich żony i matki zaglądały do domów szczęśliwców i nieśmiało zapytywały o wiadomości o swoich najbliższych. Najczęściej nikt nie miał dla nich jakiejś pozytywnej i obiecującej wiadomości.

W tych trudnych i niepewnych czasach każdy z Polaków obawiał się, że po ustabilizowaniu się rządów sowieckich, a przede wszystkim ich lokalnych organów, złożonych z młodych Ukraińców i Żydów, polska ludność może stać się przedmiotem politycznych represji. Pierwszymi ofiarami ich teroru padłaby przede wszystkim polska inteligencja oraz urzędnicy polskiej administracji państwowej. Mając to na uwadze, nie śpieszyłem się z ujawnieniem siebie na forum miejskim, aczkolwiek większość lokalnych ludzi musiała wiedzieć o moim powrocie. Przez pierwsze dwa tygodnie siedziałem cicho w domu i nawet wieczorami nie pokazywałem się nazewnątrz.

Za tym moim tajemniczym istnieniem kryła się też inna przyczyna. Podczas wałęsania się po różnych kwaterach, szopach i stodołach nabiłem się wstrętnego świerzba, który rozprzestrzenił się po całym ciele w ostatnich dniach mojej wędrówki. Zaraz następnego wieczora po powrocie rodzice wezwali lekarza Polaka, który niezwłocznie przepisał mi odpowiednie środki i kurację. Zapisane lekarstwo okazało się jak najbardziej skuteczne. Jeszcze przed upływem dwóch tygodni pozbyłem się tego nieprzyjemnego pasorzyta.

Jeszcze w czasie trwania działań wojennych Jazłowiec stał się przytułkiem dla wielu uciekinierów z zachodniej części kraju. Zanim ja wyszedłem z mego tajemniczego istnienia ich liczba zmniejszyła się poważnie. Wielu z nich zebrało się na odwagę powrotu do swoich domów na zachodzie, inni szukali bezpiecznego miejsca we większych miastach. Wśród pozostałych zacząłem nawiązywać znajomości. Do pierwszych moich znajomości tej klasy ludzi należały dwie młode panie, które zajmowały mój dawny pokój w domu rodziców.

Młodsza z nich imieniem Zosia znalazła się w Jazłowcu jeszcze przed wybuchem wojny, gdzie pracowała jako pielęgniarka w powszechnej

szkole. Osoba ta o miłej powierzchowności i widocznie o dobrym sercu wzięła do siebie na mieszkanie nieco starszą od siebie, ale niezwykle przystojną panią, Halszkę z Warszawy. Mieszkając w tym samym domu dowiedziałem się o ich istnieniu już w pierwszych dniach. Do spotkania z nimi doszło dopiero po moim wyleczeniu. Po kilku przypadkowych spotkaniach i okazyjnej wymianie grzecznościowych zdań, Zosia, jako gospodyni, za prosiła mnie do ich pokoju. Od tego dnia często spędzałem wieczory w ich towarzystwie. Częstym gościem przy takich spotkaniach był dr. Goldstaub, który był czwartym partnerem do gry w karty.

Pewnego wieczoru dr. Goldstaub przyniósł butelkę wina. Po kilku kieliszkach staliśmy się bardziej swobodni wobec siebie. Halszka przysiadła się do mnie, zaczęliśmy mówić do siebie po imieniu i prawie sobie wzajemne komplementy. Odtąd nawiązały się między nami bliższe stosunki. Często spotykaliśmy się w pokoju jej partnerki, lub korzystając z ciemności wieczoru spacerowaliśmy drogą do klasztoru. Prawdopodobnie sielanka ta trwałaby długo, gdyby matka nie przeszkodziła temu. Wpierw miała rozmowę ze mną a potem musiała rozmawiać z Halszką, bo odtąd ona stała się bardziej ostrożna. Niedługo potem przyjechał do niej jakiś brunet ze Lwowa i razem z nim opuściła Jazłowiec. Jej wyjazd był spowodowany chęcią ucieczki na Węgry, bo zagranicą przebywał jej mąż. Do mnie pisała kilkakrotnie. Ostatni list przyszedł ze Stryja. W każdym z nich pisała oględnie, ale pewne zdania zawierały bardziej mnie interesującą treść.

Po jej wyjeździe życie w małym Jazłowcu wydawało się małe i puste. Dla urozmaicenia zacząłem coraz częściej zaglądać do moich kuzynek Wisi i Kazi Kuriańskich. Tam co wieczora gromadziła się młodzież w moim wieku dla typowej nam rozrywki gry w karty.



Do stałych bywalców w tym domu należała Marysia Krasna, ich koleżanka ze szkoły, oraz inna towarzyszka szkolna, Basia Jostówna. Razem tworzyliśmy zgraną grupę dla przyjemnego spędzenia ciemnych wieczorów jesiennych. W tym czasie wieczorne spacerowanie, gra w karty i rozmowy były granicą moich osobistych zainteresowań. Jedyny bliższy stosunek, jaki wynikał z tego przypadkowo, było zbliżenie się kuzyna Julka do Basi. Ich spoglądanie na siebie i trzymanie się za ręce wcale nie przeszkadzało innym panom oraz mnie oraz memu kuzynowi Kaziowi Kowalskiemu.

W trakcie tego towarzyskiego życia powstała cicha myśl pracy konspiracyjnej. Myśl ta wyszła od Julka Smólskiego, który pewnego dnia zjawił się w Jazłowcu i w zaufaniu zwierzył się z jego przynależności do podziemnej organizacji. Po rozmowie z nim przyjąłem na siebie zadanie zorganizowanie tajnej komórki w Jazłowcu. Naszym bezpośrednim zadaniem było zdobycie broni, o którą w Jazłowcu nie było łatwo. Przed wojną nie stacjonował tam żaden oddział wojskowy, a cokolwiek było tam w tym zakresie, polska policja zabrała ze sobą, uciekając za granicę.

Na moją propozycję cała nasza towarzyska grupa zgodziła się wejść do tej komórki. Zaczęliśmy od poszukiwania za bronią. Od sióstr Niepokalanek dowiedzieliśmy się, że w rzeczce za zamkiem ktoś kiedyś zatopił dubeltówkę. Kilka wieczorów pod rząd spędziliśmy na poszukiwaniu za tą jedyną znaną nam bronią palną. Przez długi czas brodziiliśmy po wodzie, ale bez skutku. Wreszcie pewnego wieczoru nastąpiłem na jakiś pakunek. W pakunku tym znaleźliśmy rozebraną starą dubeltówkę ze srebrnymi okuciami. Niestety była to jedyna i tylko symboliczna zdobycz tego rodzaju. Osiągnięcie było jednak za małe, aby na tym budować jakiegokolwiek większe plany konspiracyjne.

Po tym małym wyczynie konspiracyjnym nasza dalsza praca w tym kierunku stała na martwym punkcie. Nasz łącznik dla jakichś przyczyn już się więcej nie zjawił. Pewnego dnia udałem się do Buczacza, aby tam wśród kolegów zasięgnąć informacji na ten temat. Spotkałem się tylko ze Zbyszkim Warszylewiczem, który należał do jakiejś tajnej organizacji, ale z pewnych względów nie mógł mnie skontaktować z jej przewodcą. Liczyłem na to, że kiedy sprawa stanie się bardziej aktualną nasza grupa zostanie wciągnięta do niej.

Tymczasem życie w Jazłowcu płynęło spokojnie, bez większych i niespodziewanych wstrząsów. Ludzie przywykli już do nowych okoliczności i do pewnego stopnia przyzwyczaili się do sowieckiego sposobu myślenia. Nikogo zbytnio nie zaskoczyło aresztowanie Michała Kuliczkowskiego i Kazimierza Staneckiego, dwóch przedwojennych policjantów. Obywatele miasta przyjęli, że wśród nas znajdowali się ludzie winni jakiegoś politycznego przestępstwa, za które powinni ponieść słuszną czy niesłuszną karę. Przy tym każdy uważał siebie za niewinnego, aczkolwiek podświadomie wielu z nas obawiało się, że innych też może dosięgnąć ręka stalinowskiego teroru.

Ja sam uważałem się za kandydata do ewentualnych represji ze strony władz sowieckich. Potwierdzeniem tego była tajemnicza wizyta jednego z lokalnych komunistów, który ostrzegł ojca, że moje nazwisko znajduje się na liście NKWD. Na poczekaniu trudno było doszukać się sposobu, który zapobiegłby takiej ewentualności. Jedynym krótkoterminowym i niezbyt efektywnym sposobem było spanie poza domem. Aresztowania zawsze odbywały się nocą, co w wypadku mojej nieobecności w domu dawało mi krótki oddech na szukanie lepszej kryjówki lub ucieczki za granicę. Odtąd wszystkie noce spędzałem u wuja Leona pod lasem, w jednym z jego nieopalanых pokoi.

Lepsza strona mego ówczesnego życia miała w sobie więcej pogodnej treści. W zasadzie zabawy karciane były ośrodkiem naszego życia towarzyskiego z którego wywiązywały się bardziej osobiste sprawy. Przez poznanie Basi zbliżyłem się do jej rodziny, składającej się z jej matki i dwóch młodszych sióstr, Krysi i Jagi. W konsekwencji tego zostałem zaproszony do nich na andrzejki, jako pierwszą moją wizytę w ich domu. Później wizyty te stały się coraz częstsze. W czasie tego poznałem kilka szczegółów z ich rodzinnego życia. Najbardziej bolesnym z nich dla rodziny była sprawa tajemniczego zniknięcia ich ojca. W ostatnich dniach wojny on odwiedził rodzinę w Jazłowcu i potem udał się w kierunku granicy rumuńskiej.

Pewnego dnia zagadka ta nieco się wyjaśniła. Z dalekiej Rosji, z nieznannej mi miejscowości Kozielsk, przyszła od niego kartka pocztowa, zawiadamiająca Jostów, że ich mąż i ojciec jest w obozie jenieckim. W tym samym czasie do mojej ciotki przyszła kartka pocztowa od jej brata, Jana Kuliczkowskiego, z obozu jenieckiego w Starobielsku. Dla mnie obie nazwy były obce i wtedy nie miały dla mnie specjalnego znaczenia. Treść kartek była jedyną sprawą, która interesowała obie rodziny.

Zbliżenie się do Jostów wpłynęło na moje bliższe zapoznanie się z Basią, której uroda niewątpliwie ściągała na nią uwagę wielu mężczyzn. Dla niezanej mi przyczyny jej dobre stosunki z Julkiem nagle ochłodziły. Od tej pory jej zainteresowania ciążyły w kierunku mojej osoby. Początkowo miałem pewne skrupuły co do zawierania bliższych z nią stosunków niż przyjaźń. Jednak z czasem pokusa przewyciężyła wszystkie rodzinne i towarzyskie hamulce. Basia była zbyt przystojną, aby delikatne uśmiešky, przeciągłe spojrzenia jej niebieskich oczu oraz znaczące uściski rączek nie robiły wrażenia na młodym i uczuciowo

nie zaangażowanym człowieku. Powoli zacząłem poddawać się uczuciom młodości i ostateczni staliśmy się sobie bardzo bliscy. Poza karcianymi spotkaniami, wieczornymi spacerami z pierwszym śniegiem doszły do tego wycieczki na nartach. Wszystko to razem coraz bardziej zbliżało nas do siebie.

Zima w tym roku /1939-1940/ była niezwykle niezwykle zimna i mroźna, co ja, jako osoba spędzająca noce w nieopalanym pokoju, odczuwałem bardziej niż inni. W sytuacji, jaka wówczas istniała, innego wyjścia nie miałem. Czekałem wiosny i rozwiązania się wojny na zachodzie, oczywiście na korzyść Francji i Anglii, łącząc z tym również rozwiązanie moich osobistych problemów.

Moje niewygody w porównaniu z wydarzeniami, jakie były już przygotowywane przez sowieckiego okupanta były tylko małym problemem. W ciągu jednej z zimnych nocy, w początkach lutego, wiele polskich rodzin t.zw. kolonistów zabrano z domów i w towarowych wagonach wywieziono ich na daleką Syberię. Dla lokalnych komunistów, ukraińskiej narodowości, wydalenie z ich miejscowości polskich sąsiadów, było spełnieniem ich "patriotycznego" obowiązku, dla władz sowieckich była to skuteczna metoda sterroryzowania i podporządkowania sobie polskiej ludności.

W okolicy Jazłowca ofiarą tej metody padli koloniści z pobliskiej wioski Zaleszczyki Małe. Według kryteriów, znanych tylko komunistom, z pośród wielu wybrano kilkanaście rodzin i użyto ich los jako przestrożę dla pozostałych Polaków. Ten nieludzki akt spotkał się z potępieniem ze strony polskiej ludności, ale nikt nie wypowiedział swoich uczuć otwarcie, w obawie przed podobną represją wobec niego i całej jego rodziny. Stalinowski terror nie przebierał w środkach i nikt z Polaków nie chciał stać się jego ofiarą.



Oznaką anty-sowieckiego nastawienia do nowych władców naszych kresów były polskie tajne organizacje. Ich istnienie mogło być tajne dla ogółu, ale tajna policja sobie znanymi środkami wcześniej rozpoznała ich istnienie. Z tą chwilą one przestały być tajnymi dla mieszkańców naszych rejonów. Taki los spotkał podziemny związek Polaków w Buczaczu, do którego należało wielu z moich kolegów. W ciągu jednej nocy organizacja przestała istnieć - sowieci przeprowadzili aresztowania wśród jej członków. Pewną winę za to ponosili członkowie organizacji, którzy nie potrafili zachować środków ostrożności jakie w takich wypadkach należało zachować. Jak mi później opowiadała koleżanka-Żydówka, Malcia Strauber, ta podziemna organizacja nie była tajną dla władz NKWD. Oni mieli na swojej liście wszystkie nazwiska członków i sprawa aresztowania "winowajców" była kwestią zastania ich nocą w domu. Tej nocy sześciu z nich, dwóch Urbańskich, dwóch Osostowiczów, Iskrzyński i Halkiewicz, znaleźli się pod kluczem w buczackim więzieniu. Inni w panice zaczęło opuszczać miasto z których sześciu zawadziło następnego dnia o nasz dom.

Dwóch Schandlerów, dwóch Dancewiczów, Iwachów i Zbyszek Warszylewicz w porze popołudniowej zjawili się u nas na nartach. Celem uniknięcia aresztowania grupa zdecydowała się na przejście rumuńskiej granicy. Szanse udania się ich przedsięwzięcia były minimalne. Zarówno pora zimowa jak i zwiększone straże na granicy absolutnie nie sprzyjały ich zamiarom. Moi rodzice udzielili im noclegu i dali im pożywienie na drogę. Do nich dołączył mój kuzyn Julek. Następnego dnia cała siódemka na oczach całego miasta wyjechała na nartach w kierunku Dniestru. W tym wypadku zdecydowałem się na zachowanie ostrożności, tembardziej że moje istnienie w Jazłowcu nie wydawało się jeszcze być zagrożone. Ponadto czekałem na wiadomość ze Lwowa od Staszka

Schmidta o możliwościach przekroczenia granicy węgierskiej. Jedną z przyczyn była osoba Basi z którą byłem za silnie związany, aby ją pozostawić. Niewątpliwie pewną rolę odgrywała w tym moja intuicja, która wstrzymywała mnie od zrobienia nieostrożnego kroku.

W ciągu tej zimy w okolicy zaczęły krążyć pogłoski o powstaniu w Czortkowie. Trudno mi było w to uwierzyć, bo skromna polska organizacja nie byłaby w stanie podołać silnemu garnizonowi sowieckiemu w tym mieście. Sprawa miała się podobnie jak w Buczaczu. Polska podziemna organizacja została wykryta przez tajną policję NKWD i wielu jej członków znalazło się w więzieniu. Wypadki tego rodzaju wskazywały na to, że wśród młodego polskiego społeczeństwa tworzył się pewien opór przeciwko najeźdźcy, ale jego przewodcy dla braku doświadczenia narażali siebie i innych na aresztowania i inne represje.

Do tych obaw natury ogólnej dołączyły się moje osobiste sprawy. Matka mojej panny za pośrednictwem jednego z jej znajomych znalazła pracę dla córki w jednym z lwowskich szpitali. Przyczyną tego miała być obawa przed wywiezieniem do Rosji, której ofiarą tym razem miała być polska niepracująca młodzież. Dla niej umieszczenie córki w bezpiecznym miejscu miało dużo uzasadnienia - dla mnie było to trudne i bolesne przeżycie. Na życzenie Basi odwiozłem ją do jej znajomych w Buczaczu, skąd następnego dnia miała wyjechać pociągiem do Lwowa.

Wokół mnie powstała pustka, której nie było czym i kim wypełnić. Podjęcie pracy dla Sowietów było ogólnie uważane za czyn niegodny Polaka. Brak aktywności wpływał też negatywnie na moje samopoczucie. Ponadto, spiąc w ciągu zimy w zimnych pomieszczeniach nabawiłem się złośliwego wrzodu na lewym policzku, który mimo leczenia przez lekarza nie chciał się goić. Mimo wszystko zdobyłem się na krótki wypad do Stanisławowa celem nabycia tak rzadkich a cennych artykułów jak cukier,

ocet i nawet wódka na zbliżające się święta Wielkanocne. Święta spędziłem w domu w otoczeniu rodziny i z Kuriańskimi, z którymi tradycyjnie wymieniliśmy wizyty.

Rodzina wujostwa była zmartwiona losem syna Julka, który w lutym poszedł na granicę rumuńską. Do Jazłowca doszły wiadomości, że jeden z tej grupy, Zbyszek Warszylewicz, przysłał kartkę z zagranicy. Od Julka dotychczas nie było żadnej wiadomości. Postanowiłem pojechać razem z jego siostrą Wisią do Buczacza, aby zasięgnąć bliższych informacji. Kilka dni potem odwiedziliśmy rodziców Zbyszka i dowiedzieliśmy się, że on istotnie przysłał wiadomość do domu, ale w niej nie było żadnej wzmianki o Julku i innych uczestnikach tej wyprawy. Na tym można było budować przypuszczenie, że skoro Zbyszek dostał się do Rumunii reszta z nich musiała też znaleźć się zagranicą.

Mniej więcej w tym samym czasie znowu seria aresztowań dotknęła Polaków. Tym razem nie dotknęło to polskiej grupy w Jazłowcu. To sowieckie pociągnięcie tłumaczono ogólnie jako dalszy krok w kierunku sterroryzowania ludności do głosowania za przyłączeniem naszych ziem do Rosji Sowieckiej pod nazwą Zachodniej Ukrainy. Z sowieckiego punktu widzenia impreza wyborcza była absolutnie udana. Prawie sto procent głosowało za projektem rządowym. Kilka pustych kartek wrzucanych do urny wyborczej były jedynym głosem sprzeciwu.

Dla nas Polaków, będących oficjalnie obywatelami Związku Sowieckiego, życie stał się bardzo niepewne. Nikt nie był pewny jutra i każdy żył w obawie przed aresztowaniem i wywiezieniem na Sybir. Jedyna nadzieja, jaka utrzymywała nas przy lepszej myśli, była spodziewana ofenzywa aliantów na zachodzie, która w naszej ocenie nie mogła się zakończyć inaczej niż alianckim zwycięstwem. Jednak w tej nadzieji nie było wiele uzasadnienia.

Wiadomości z zewnątrz dochodziły rzadko. To też było jednym z elementów który utrudniał życie. Do pewnego czasu pewne wiadomości z zachodu przenikały do polskiego społeczeństwa za pośrednictwem jedyne radio w mieście, będącego w posiadaniu rodziny Piwowarskich. Po wyczerpaniu się baterii przestało być czynne. Jedyne wiadomości ze świata, jakie dochodziły do nas, otrzymywaliśmy za pośrednictwem ludzi, którzy przywozili je ze Lwowa lub Stanisławowa. Najczęściej informacje te, pochodzące z drugiej czy trzeciej ręki, ulegały po drodze modyfikacji, najczęściej na naszą korzyść, których jedyną wartością było utrzymanie nas na duchu.

Życie w niepewności było małą tragedią w porównaniu z tym, co sowiecka administracja przygotowywała i ostatecznie przygotowała dla wielu Polaków na kresach. Wszystko odbyło się cicho, podstępnie i niespodziewanie. We wczesnych godzinach 13go kwietnia 1940 roku można było wyczuć niezwykle ożywienie wśród kadry lokalnych komunistów. Zwołanie specjalnego meetingu w rejonowym mieście, wyjazd orkiestry na niezbyt jasną imprezę oraz szeptanie wśród ludności żydowskiej zaczęły budzić podejrzenia wśród Polaków. Tego wieczoru zawitał do nas jeden z dalekich krewnych matki, który w tajemnicy oświadczył ojcu, że nasza rodzina jest na liście przeznaczonych na wywóz do sowieckiej Rosji.

Początkowo matka potraktowała tą wiadomość żartobliwie. Zapakowała wszystkie swoje lekarstwa do torebki i powiedziała, że jest gotowa do wyjazdu. Był to niewątpliwie wewnętrzny odruch, który starał się nie dopuścić do jej świadomości myśli twardej i trudnej rzeczywistości. Nieco później zapukała do drzwi gospodyni ks. Kraśnickiego, proboszcza jazłowieckiego, która przyniosła wiadomość, że proboszcz chciał się zobaczyć z ojcem.



To było jakgdyby potwierdzeniem pierwszej wiadomości o zsyłce naszej rodziny na Sybir. Zebraliśmy się wszyscy w kuchni i po krótkiej naradzie zdecydowaliśmy, że mój młodszy brat Franek tej nocy nie będziemy spać w domu. Zarzuciliśmy na siebie kurtki i w ciemności nocy udaliśmy się do domu dalekiej krewnej Strzeleckiej. Według naszego rozumowania żadne sowieckie szykany jej nie groziły z racji jej wieku oraz materialnej sytuacji. Można było liczyć, że do jej domku pod lasem sowieci nie zagładną.

Nad ranem obudził nas turkot furmanek na głównej szosie. Franek razem z synem stryja Stanisława, Józkiem oraz kuzynem Kaziem, obawiając się, że furmanki te jadą po ich rodziny w pierwszym odruchu uciekli do lasu. Ja postanowiłem pozostać w pobliżu miasta, aby upewnić się czy moi rodzice byli istotnie ofiarami tej sowieckiej perfidii. Ciotka Strzelecka w międzyczasie pobiegła na górę Księżynę i po pewnym czasie wróciła zdyszana mówiąc, że przed naszym domem stoi furmanka z komunistycznymi strażnikami. Niewiadomo jednak było, czy oni czekali na moją rodzinę, czy na naszych lokatorów, uciekinierów z zachodniej części Polski.

Dla sprawdzenia sam pobiegłem na Księżynę. Stałem się wówczas naocznym świadkiem bardzo przykrego i bolesnego dla mnie widoku. Matka ładowała worki i tobołki razem z bratem Tadeuszem, a ojciec stał na boku pod strażą sowieckiego bojca. Gdybym wtedy miał broń w rękę napewno pobiegłbym w tamtym kierunku i strzelał wszystkim bojców po drodze. Kierowany impulsem chwili obiegłem miastp dookoła i przez szanice dostałem się na górę naprzeciw naszego domu. Widząc wtedy matkę, ojca i brata na furmance, niemal gotowych do wyjazdu, zacząłem głośno wymyślać wszystkim komunistom, całemu systemowi i Stalinowi.

Oprzytomniałem dopiero wtedy, kiedy ktoś z przyglądających się sąsiadów odciągnął mnie na bok i radził uciekać. Chęć otwartego protestu nadal zmuszała mnie do dalszej reakcji, przynajmniej słowem. Pierwszą myśl, jaka się we mnie obudziła, była chęć ujżenia raz jeszcze mojej rodziny. Obiegnąłem miastp z drugiej strony i przez Browary dostałem się na cmentarz przy szosie na Buczacz. Kilka pierwszych furmanek z wywożonymi Polakami przejechało obok, ale w żadnej z nich nie było mojej rodziny. Wreszcie na piątej czy szóstej zobaczyłem ich skulone postacie i bojca siedzącymi za nimi z tyłu. Wołałem do nich, spodziewając się, że na dźwięk mego głosu przynajmniej odwrócą głowy. Nie widziałem w nich żadnej reakcji - widocznie oni mnie nie słyszeli. Na następnych furmankach jechały rodziny wuja Kuriańskiego i stryja Ignacego Kowalskiego. Oni też nie zwracali uwagi na moje wołanie. Stałem tam bez ruchu, aż ostatnia furmanka zniknęła za grzbietem wzgórza.

Potem wyszedłem na szosę i stałem bezradnie w pośrodku, nie wiedząc gdzie się udać i co ze sobą zrobić. W mojej głowie kołatały się pytania - czy udać się do Buczacza za rodzicami, czy wrócić z powrotem do Jazłowca. Ktoś z moich dalekich krewnych podszedł do mnie i zapraszał mnie do swego domu. Rozumiałem ich dobrą wolę, ale nie skorzystałem z ich zaproszenia. Zdecydowałem się udać do jednego z moich wujów na Olchowcu. Pierwszego z nich, Leona, nie zastałem w domu. Udałem się do drugiego, gdzie przesiedziałem do wieczora.

W ciągu dnia mój brat Franek i kuzyn Kazik powrócili z lasu i przyszl do tego samego domu. Inni członkowie najbliższej rodziny już pracowali nad tym, aby znaleźć dla nas trzech jakieś bezpieczne miejsca, przynajmniej tymczasowo. Wieczorem przyszedł do nas mój kolega i przyjaciel Janek Kołodziej. Z nim najpierw udaliśmy się do stryja Stani-

sława, jedyne Kowalskiego z naszej rodziny, który pozostał na miejscu. On już umówił dla nas miejsce u Łoguszków, mających gospodarstwo daleko za miastem. Ludzie ci byli już uprzedzeni o naszym przyjeździe -obiad był już na stole i łóżka w drugim pokoju były przygotowane.

Mieszkaliśmy tam przez tydzień. W pierwszym dniu zaczęły budzić się w nas wątpliwości, czy postąpiliśmy właściwie. Obaj moi towarzysze skłonni byli dołączyć do rodzin, jeszcze siedzących w wagonach towarowych na stacji w Buczaczu. Ja byłem przeciwnego zdania, co ostatecznie zadecydowało o ich pozostaniu na miejscu. Nasi krewni, zwłaszcza ci z młodszej generacji odwiedzali nas nocami, aby pokrzepić nas na duchu. Moja ciotka Wiktoria postarała się o lekarstwo na mój wrzód na twarzy, które okazało się wybitnie skuteczne. W przeciągu jednego tygodnia twarz się zupełnie oczyściła. W końcu musieliśmy jednak odejść od Łoguszków w obawie przed najbliższym ich sąsiadem, o którym wiadomo było, że współpracował z sowietami.

Odtąd zaczęła się nasza wędrówka od krewnych do krewnych, od znajomych do znajomych i od miejscowości do miejscowości. Brat Franek ustabilizował się dość szybko i stosunkowo łatwo. Jako kilkunastoletni chłopak, bez żadnej "politycznej" przeszłości, ulokował się u stryja Stanisława i po pewnym czasie pokazał się na mieście. Nikt z komunistycznej władzy nie pociągnął go do odpowiedzialności za ucieczkę z domu w czasie wywożenia rodziców i cała sprawa ucichła. Natomiast kuzynowi Kazikowi oraz mnie życzliwi nas ludzie doradzali pozostać w ukryciu. W myśl ogólnego zdania, my jako dorośli i z wykształceniem średnim, bylibyśmy z miejsca aresztowani, gdybyśmy się ujawnili. Wobec tego naszą najbliższą przyszłością było życie na łasce ludzi dobrej woli.

Czasami byliśmy razem, czasami rozstawaliśmy się na krótszy lub dłuższy okres czasu. Jednym z najbardziej udanych kryjówek była leśniczówka we wiosce Duliby, gdzie stryj Stanisław ulokował nas u dawnego mego kolegi z gimnazjum, Franka Cygańczuka. Wioska wydawała się najbezpieczniejszym miejscem w okolicy ze względu na swoją czysto polską ludzność. Moim niemal stałym mieszkaniem stał się jeden z czterech pokoi w leśniczówce. Moimi współ-lokatorami w tym domu był mój dobroczyńca, młoda dziewczyna Jaga, która zajmowała się gotowaniem i sprzątnieniem oraz od czasu do czasu mój kuzyn Kazimierz.

Podczas jednej z jego wizyt postanowiliśmy rozglądnąć się po znanych nam miejscowościach w nadziei znalezienia jakichś konkretnych możliwości rozwiązania naszej niepewnej sytuacji, czego maksymalną myślą było znalezienia okazji na ucieczkę zagranicę. W związku z tym w oparciu o podrobioną przepustkę z gminną pieczęcią, zrobioną z kartofli, on udał się do Tłumacza, gdzie chodził do gimnazjum, a ja do Lwowa z myślą odnalezienia Staszka Schmidta w sprawie ucieczki na Węgry, oraz spotkania się z Basią.

Byłem tam dwa dni. Staszka tam nie znalazłem, a z Basią widziałem się dwukrotnie. Nasze dawne bliskie stosunki uległy ochłodzeniu, co zadecydowało o moim szybkim wyjeździe ze Lwowa. W drodze powrotnej chciałem wstąpić do Tarnopola, aby spotkać się ze Staszkiem. Tam mieszkała jego rodzina i tam spodziewałem się go zastać. Rozebrane tory, przerabiane na szerokość rosyjską, nie pozwoliły mi dojechać do Tarnopola. W wiosce pod miastem, gdzie zatrzymałem się na noc i gdzie na podstawie mojej fałszowanej przepustki dostałem nocleg of lokalnych władz, dowiedziałem się, że mego kolegi nie było już a domu i że prawdopodobnie był już zagranicą. Moja wyprawa faktycznie zakończyła się fiaskiem pod każdym względem.



W tej mojej trudnej sytuacji postanowiłem szukać szczęścia na innym znajomym mi terenie. Tą miejscowością były Monasterzyska, gdzie miałem wielu kolegów i koleżanek z gimnazjum i gdzie w ciągu nocy uciekłem z obozu jeńców. Jedynym znanym mi adresem był do Zosi Swidzińskiej. W domu rodzice jej przyjęli mnie serdecznie i gościnnie. Pozostałem u nich dwa dni, w którym to czasie spotkałem się z Zosią Marakówną, Aleksandrą Kardasiewicz i Janką Radłowską. Dwie pierwsze pracowały w fabryce, co w moim pojęciu było bardzo rozsądne z ich strony. Janka natomiast, jako osoba o silnych uczuciach patriotycznych, nie chciała przyjąć żadnej pracy od sowieckich pracodawców. Za moją poradą jeszcze w tym samym dniu udała się do fabryki i podjęła pracę w biurze. Przez nią próbowałem też dostać tam pracę, ale jako obca osoba bez osobistych dokumentów i do tego pochodząca z pobliskiego Jazłowca, nie mogłem liczyć na znalezienie tam trwałego locum na niewiadomo na jak długi czas. Czas mógł być bardzo długi, ponieważ upadek Francji nie rokował na szybkie zakończenie wojny.

Nie pozostawało mi nic innego do zrobienia jak ruszyć w dalszą drogę z myślą zaczepienia się gdzieś przynajmniej czasowo. Moim następnym etapem był Buczacz, z którym nie łączyłem wielkich nadziei. Na ulicy spotkałem się z prof. Pelcem z którym zamieniłem kilka zdań na temat mojej sytuacji. On na oczekaniu nie mógł udzielić mi żadnych sugestii. Za jego poradą udałem się do ks. Dziurzyckiego, który zamieszkiwał wówczas na buczackiej plebanii. Znowu rozmawiałem z życzliwym mi człowiekiem o wszystkim co nas obu mogło interesować, ale odnośnie mojej osobistej sprawy on nie miał żadnej konkretnej propozycji.

Moim następnym przystankiem była wioska Trybuchowce, gdzie chciałem odwiedzić kolegę Kazia Switalskiego. Jego nie zastałem w domu.

Jego rodzice przyjęli mnie gościnnie, ale tam nie było mowy o zamieszkaniu nawet na krótki okres czasu, ponieważ oni sami byli w trudnej i niepewnej sytuacji. Podobna historia miała miejsce u Zbyszka Starczewskiego, którego rodzina mieszkała w pobliskiej Cwitowie. Po tym wszystkim zdałem sobie sprawę z tego, że mój status uciekiniera z pod prawa zamienił mnie w osobę "non grata" i że jedynym sposobem istnienia było zdanie się na własne siły. Akurat w tym czasie jakaś procesja wracała z odpustu. Na drodze dołączyłem się do niej i późnym wieczorem doszedłem do Jazłowca.

Z chwilą powrotu do mego rodzinnego miasteczka znowu zaczęła się dla mnie wędrówka od domu do domu, od rodziny do rodziny. Jedną noc u krewnej Strzeleckiej, drugą u Uruskich, trzecią u Jasia Kołodzieja, nie będąc pewnym, gdzie jestem większym a gdzie mniejszym ciężarem. Ostatecznie po pewnej ilości takich zmian postanowiłem szukać schronienia w miejscowościach bardziej odległych od Jazłowca. Jako pierwszy punkt zaczepienia obrałem dom mojej kuzynki Mynci w Jagielnicy. Jak w każdym z poprzednich domów przez kilka dni byłem tam przyjmowany gościnnie, ale z upływem czasu stałem się dla nich ciężarem, jako niezbyt bezpieczny lokator i współnik do ich niewielkiej racji żywnościowej. W następnym miejscu u ciotki Stefanii w Tłustem, sprawa przedstawiała się podobnie. Po tygodniu musiałem opuścić miejsce i z braku innej możliwości powrócić nocą do Jazłowca.

Poruszanie się w terenie poza Jazłowcem było było sprawą ryzykowną. Władze sowieckie zabroniły wychodzenia poza miejscowość zamieszkania bez przepustki urzędu gminnego. Wprawdzie już wcześniej zrobiłem w kartofli a potem w drzewie miejską pieczętkę miasta i przez szkło odrysowywałem pismo lokalnego sekretarza na papierze, ale to samo w sobie było przestępstwem za co można było dostać się do więzienia.

Pozornie moje poruszanie się było zlegalizowane, tylko tak długo dopóki ktoś mądrzejszy z urzędników nie zacznie wnikać w sedno sprawy. Przepustkę taką pokazywałem przy zakupie biletów kolejowych i przy okazjnych kontrolach w pociągach, często dostając dodatkowe i tym razem legalne pieczęcie na fałszywym papierku.

W Jazłowcu nie pozostałem długo. Ostatecznie wróciłem do wioski Duliby i zdomowiłem się w leśniczówce. Do leśniczówki w międzyczasie wprowadziła się rodzina leśniczego z Potoka Złotego oraz żona naczelnika poczty. Leśniczy zdołał ujsć za granicę tuż przed przyjściem sowietów, pozostawiając żonę i dzieci w domu. Tak więc obie rodziny żyły pod opieką jednego mężczyzny z pomocą Franka Cygańczuka. Dom się bardzo zaludnił, co było pewnym urozmaiceniem życia. Pewnego dnia panie urządziły potańcówkę, co było niezwykłą rozrywką w nieustalonym trybie mego życia.

Już za poprzedniej bytności w Dulibach zapoznałem się z młodym człowiekiem po maturze, Józefem Kulczykiem, z którym szybko się zaprzyjaźniłem. On był posiadaczem jedynego radia w wiosce, wparwdzie kryształowego, ale dostatecznie silnego, aby przyłapywać wiadomości z Zachodu. Już wcześniej wiedziałem od niego, że niemiecka ofenzywa robiła szybkie postępy na froncie francuskim, co dla nas wszystkich Polaków było niezwykle deprymującą wiadomością. Ja odczuwałem to najbardziej, ponieważ z tym wiązały się moje losy na najbliższą przyszłość. Każde niepowodzenie armii alianckich pozbawiało mnie nadziei przetrwania w ukryciu aż do ewentualnego wyzwolenia Polski. Z chwilą upadku Francji wszystkie moje nadzieje zamieniły się w proszek. W tej rozterce ducha błąkałem się myślą w nieznanym, szukając jakiejś drogi wyjścia. Pierwszą koniecznością było zlegalizowanie swego istnienia u władz sowieckich.

Takie rozwiązanie wymagało wejścia w kontakt z lokalnymi władzami i szukania u nich zrozumienia dla mojej sytuacji i możliwości rozwiązania mego problemu. Z trzech możliwości - ujawnienie się i podjęcie ryzyka aresztowania, deportacja do rodziny w Kazakastanie - to trzecie było najbardziej korzystne dla mnie, jeśli nawiązanie kontaktu z władzami nie pozbawiłoby mnie wolności. Sprawę tą rozważałem długo i dyskutowałem często z Frankiem Cygańczukiem.

Czętym miejscem moich rozważań był stary duży las, tylko przez drogę od domu. Tam wśród starych, wieloletnich drzew, pod olbrzymią kopułą zieleni, znalazłem sanktuarium dla moich myśli i moich trosk. Urok starego lasu, jego wspaniała przyroda i tajemnicza cisza stwarzały nastrój kojącego zapomnienia. Błąkając się po leśnych dróżkach lub siedząc na leśnej polanie, oddawałem się innym myślom, które przenosiły mnie w świat wyobraźni - do świata, gdzie spokojne i bezpieczne życie było treścią ludzkiego istnienia. Jednak złośliwy chochlik wracał z powrotem, kiedy wracałem do domu na noc czy na posiłki.

Często przy śniadaniu rozmawiałem z Frankiem na temat moich rozmyślań i planów. On doskonale rozumiał moją sytuację i w pewnym zakresie przyjął na siebie rolę mego doradcy. W jego ocenie dalsze ukrywanie się wobec niepowodzenia aliantów na zachodzie stawało się coraz bardziej problematyczne dla mnie i moich dobroczyńców. Im dłużej zwlekałbym z podjęciem jakiejś kompromisowej akcji, tym bardziej drastyczne mogłyby być represje wobec mnie i życzliwych mi ludzi w wypadku ich aresztowania w ich domu. Ta ostatnia strona była dla mnie szczególnie przykra, bo nie chciałem być przyczyną aresztowania lub wywozu na Sybir ludzi dobrej woli.

Ostateczną konkluzją naszych narad była konieczność zgłoszenia się do urzędu NKWD w Potoku Złotym z prośbą o wydanie mi dowodu



osobistego, celem podjęcia jakiejś pracy zarobkowej. Kiedy nasze myśli doszły wspólnie do takiej konkluzji, Franek zaoferował się udzielenia mi pomocy w tej sprawie. Jako głowa /przewodniczący/ rady wiejskiej, jego bezpośrednie kontakty z władzami sowieckimi były dość częste. To dawało mu możliwość zasięgnięcia informacji i wysondowania ich intencji w wypadku mego zgłoszenia się u nich. Po jednej z wizyt w Potoku Złotym on przywiózł mi pocieszającą wiadomość, że moja sytuacja nie przedstawia się zbyt tragicznie. Według zdania znanych mu urzędników istniała duża możliwość otrzymania pracy lokalnie, aż do następnej deportacji, kiedy odstawionoby mnie do rodziców. Takie rozwiązanie wydawało mi się lepsze niż moja dotychczasowa niepewna sytuacja.

Pewnego popołudnia czytałem książkę w swoim pokoju, kiedy do moich uszu doszedł niezwykle ruch na podwórku. Popatrzyłem przez okno, przed moimi oczyma ukazała się postać oficera NKWD wysiadającego z powozu. Jedyna myśl, jaka przyszła mi do głowy, była natychmiastowa ucieczka z domu. Zaczekałem chwilę, aż nieoczekiwany gość razem z gospodarzem wejda do kuchni. Wtedy drugimi drzwiami wyszedłem na podwórko, przeszedłem przez drogę i ukryłem się w podszyciu lasu. To nie był jednak najlepszy punkt obserwacji dla mnie. Poszedłem nieco dalej wzdłuż drogi, wszedłem do szopy i wydrapałem się po słomie niemal pod szczyt dachu. Siedziałem tam aż do wyjścia gościa, obserwując przez dziurę w desce wydarzenia na podwórku.

Po wyjeździe oficera NKWD podszedłem do Franka i zapytałem jaki był cel wizyty tej najmniej pożądaney osoby. Jego wyjaśnienie nie było zbyt jasne dla mnie. Zrozumiałem tyle, że w jego planach było zapoznanie mnie z oficerem, co mogło być pomocne w rozwiązaniu mojej sprawy w przychylny dla mnie sposób. Wyciągnąłem z tego wniosek, że mojej osobie nie zagrażało większe niebezpieczeństwo.

W tym przekonaniu nadal korzystałem z gościnności Franka, towarzysztwa moich współlokatorów oraz obcowania z moim przyjacielem, Józkiem Kulczykiem. Akurat w tym czasie jedna z sióstr Józka wychodziła zamąż i jego rodzice byli w przygotowaniu hucznego wesela. Ja zostałem zaproszony na tą rodzinną imprezę, nawet w roli honorowego gościa. Takie wyróżnienie w innych wypadkach byłoby wpłynęło pozytywnie na moje samopoczucie, ale w moich okolicznościach wszystko wyglądało inaczej. Widok innych ludzi, bawiących się, pijących i tańczących, było jakgdyby bodźcem, który drażnił moje sumienie i uczucia. Ten stan rzeczy nie trwał zbyt długo. Ktoś z gości zmusił mnie do wypicia wódki ze szklanki musztardowej wielkości, co mnie z miejsca wyeliminowało z weselnej grupy. Pod działaniem tak silnej dawki samogonu straciłem przytomność i znalazłem się na słomie w stodole, jako pierwsza ofiara zabawy.

Wieczorem poczułem, że ktoś targał mnie za ramię i starał się głośnym głosem przekazać mi jakąś wiadomość. Kiedy zorientowałem się w sytuacji, zobaczyłem przed sobą miłą postać Krysi Jostówny, siostry Basi. Dziewczyna zrobiła na piechotę conajmniej osiem kilometrów, aby zobaczyć się ze mną. Wpierw udała się do mojej kryjówki w leśniczówce, skąd ktoś skierował ją na wesele, gdzie ona zastała mnie nawpół przytomnego w stodole, na słomie.

Porozmawialiśmy chwilę na jazłowieckie tematy - godzina stawała się dość późna. Dla niej była to najwyższa pora powrotu do domu. Zaoferowałem się odprowadzić ją do granic Jazłowca. Podczas długiego spaceru wśród zielonych łąk i pól, wśród kwitnących sadów i wiejskich chat rozmawialiśmy ze sobą szczerze o różnych sprawach. Najważniejszą dla mnie była kwestia mojej najbliższej przyszłości. Przedstawiłem jej wówczas moją decyzję wynikłą z rozmowy z Cygańczukiem. Kiedy mówiłem jej o tym widziałem przerażenie w jej oczach. Ona natychmiast

starala się mnie odmówić od planowanego kroku. Moje uparte tłumaczenie o racjonalności szukania kompromisu z sowietami wywołało łzy w jej oczach. Widziałem, że ona to bardzo przeżywała i była jak najgorszej myśli. Rozstaliśmy się blisko miasta w nadzieji, że w najbliższym czasie spotkamy się znowu i nieco lepszych okolicznościach

Od rodziców w międzyczasie przyszło już kilka listów, adresowanych do naszych krewnych. W treści ich przebijała wyraźna troska o ich dwóch synów, mego brata Franka i mnie. Przytym uskarżali się na trudne warunki życia w sowieckim sowchozie. W odpowiedzi na to, niektórzy z krewnych zdobyli się na posłanie im paczek żywnościowych. Moja osobista sytuacja nie pozwalała mi na udzielenie im pomocy. Mój brat natomiast, mając swobodę ruchu i dostęp do majątku pozostawionego przez rodziców, był bardziej pomocny w tej sprawie. Jedyną moją możliwością otwartą dla mnie było pisanie listów. Pisałem dość często podpisując się obcym nazwiskiem. Od nich otrzymywałem odpowiedzi drogą moich krewnych, w których było wiele pytań o nas, ale moje nazwisko i imię nigdy nie było w nich wymieniane. To też miało pewien wpływ na moją decyzję zgłoszenia się u sowietów, ponieważ obawiałem się, że moje nagłe i niespodziewanie aresztowanie byłby przykrą wiadomością dla nich. W moim rozumowaniu miałem uniknąć tej ewentualności w wypadku dobrowolnego zameldowania się w NKWD.

Moje dni na wolności były już policzone...

Pewnego dnia Cygańczuk powiadomił mnie, że moją sprawę już przedyskutował z oficerem NKWD, który spodziewał się widzieć mnie w najbliższym czasie w swojej kancelarii. W myśl umowy między nimi moja sprawa miała być załatwiona pomyślnie dla mnie. To utwierdziło mnie w przekonaniu, że areszt i więzienie nie wchodzi tutaj w grę. Wszystko wydawało się układać dobrze dla mnie.

Kilka dni potem, pięknego czerwcowego poranka, wsiadłem razem z Cygańczukiem na furmankę i razem wyjechaliśmy z leśniczówki. Już od pierwszej chwili przeczucie uprzedzało mnie, że mogę nie powrócić do tego małego domku w lesie. Jednak zmiana decyzji już była poza granicą racjonalnej możliwości. Z żalem w sercu przejeżdżałem obok starego lasu, ze smutkiem patrzyłem na szemrzącą wodę Strypy, kiedy przejeżdżałem przez most, i z uczuciem obawy patrzyłem na zielone pola, że ich już nigdy nie zobaczę. Też bez radości oglądałem krajobraz po drugiej stronie rzeki, który tak przypominał mi okolice Jazłowca. Moje minorowe uczucia musiały też udzielić się Cygańczukowi, bo rzadko rzucał do mnie jakieś słowo i z obojętnym okiem patrzył na okoliczne widoki. On też musiał mieć wątpliwości co do intencji sowieckich urzędników, może nawet większe niż ja, ponieważ on znał ich lepiej ode mnie.

Jeszcze przed południem furmanka wyjechała na zwirowane ulice Złotego Potoka, jadąc główną ulicą do miejsca mojego przeznaczenia. Zatrzymaliśmy się na rynku - budynek NKWD już nie był daleko ode mnie. Cygańczuk mi go wskazał, a sam poszedł w inną stronę załatwiać swoje sprawy służbowe. Po jego odejściu, wciąż miałem wątpliwości, czy należał pójść w stronę tego budynku. Przypomniałem sobie wówczas, że w mieście tym mieszkała moja gimnazjalna koleżanka, Malcia Strauberówna, aby zasięgnąć u niej zdania. W domu zastałem tylko jej matkę i młodszą siostrę. Przesiedziałem tam kilkanaście minut w czasie czego przedstawiłem im moją sytuację. Matka miała wątpliwości co do dobrych intencji urzędników NKWD. Ale jej zdanie nie rozwiązywało mego problemu. Okoliczności już doszły do tego punktu, że chcąc czy nie chcąc musiałem podjąć ryzyko. Przeznaczenie widocznie kierowało mnie w kierunku celu, jakiego nie mogłem uniknąć.



Wkrótce stanąłem przed biurkiem pomniejszego umundurowanego urzędnika i prosiłem o skierowanie mnie do jego przełożonego, którego nazwisko miałem na papierku, danym mi poprzednio przez Cygańczuka. Upłynęło trochę czasu zanim w drzwiach ukazał się szczupły wysoki oficer, w którym rozpoznałem osobę widzianą na podwórku leśniczówki tydzień temu wstecz. Usiadłem naprzeciw niego na krześle. Rozpoczęliśmy rozmowę w spokojnym towarzyskim tonie.

Takie podejście do mnie wpłynęło na lepsze moje samopoczucie. Byłem pewien, że za godzinę znajdę się z powrotem na ulicy z kawałkiem papierku w ręce, upoważniającego mnie do swobodnego poruszania się w dozwolonym dla mnie rejonie. Dziwiło mnie jednak to, że ociągał się z wydaniem tego papierka i na moje pytania dawał wymijające odpowiedzi. W końcu kazał mi udać się do pobliskiego budynku milicji i tam czekać aż mnie wezwie ponownie.

Idąc ulicą w nakazanym kierunku, byłem już niemal pewny, że dostałem się w ręce moich prześladowców. Patrzyłem w lewo i prawo z myślą możliwej ucieczki. Ale naprzeciw mnie, w niedalekiej odległości, już stał milicjant z karabinem w ręku i czekał aż ja do niego podejść. Chcąc nie chcąc musiałem się z nim spotkać. Gdy znalazłem się kilka kroków od niego usłyszałem typowe sowieckie wezwanie w języku ukraińskim: "Chodź ze mną...!"

## V. WIEZIENIA I ŁAGRY

Frontowe drzwi budynku milicji zamknęły się z trzaskiem za mną i moim konwojentem. Ich suchy dźwięk odbił się tysiącrotnie głuchym echem w mojej świadomości zniewolonego człowieka. Tak musiały zamykać się bramy piekła za grzesznymi duszami. Ale rzeczywistość kazała mi zwrócić uwagę na rzeczy bardziej realne niż dalekie piekło w otchłani ludzkiego grzechu.

Przedemną był areszt miejski w Złotym Potoku, może prosty w swoich szykanach, ale w swoim istnieniu pierwszą maszyną w serii systemu ludzkich prześladowań. Z chwilą wejścia w jego mury wszedłem też w jego procedurę wzorowaną na sowieckim szablonie. Na wstępie pokój kancelaryjny, duże podobizny Lenina i Stalina na frontowej ścianie, obszerny stół na środku pomieszczenia i kilka krzeseł za nim. Do tego dwóch milicjantów z czerwoną opaską na ramieniu jako pierwszy widok mego najnowszego doświadczenia. Z miejsca spotkałem się z arogancją ludzi, którzy już mieli albo wyrobili w sobie charakter policjanta, okazującego swoją wyższość wobec osoby nagle pozbawionej wolności.

Proces przyjęcia mnie pod opiekę prawa był prosty i krótki, ale w każdym stopniu nieprzyjemny i ubliżający. Kilka ustalonych pytań, osobista rewizja, konfiskacja dokumentów, pieniędzy, paska i nawet sznurowadeł do butów i na zakończenie mój podpis na kawałku drukowanego papieru. Potem szorstki rozkaz do wyjścia i krótka droga wzdłuż

wzdłuż korytarza do ciemnych drzwi z okienkiem na wysokości ludzkiego oka. To co było poza drzwiami było dla mnie niewiadomą do rozpoznania, aczkolwiek nie było dla mnie tajemnicą, że tam mieściła się cela lokalnego aresztu.

Kiedy ciemne drzwi otwarły się przede mną z przenikliwym zgrzytem zawiasów, ciche echo moich długich obaw potwierdziło koszmar pierwszego spotkania z wnętrzem więzienia. Pierwszy widok to ciemne pomieszczenie z małym zakratowanym okienkiem, które w myśl moich przedwojennych przekonań służyło jako miejsce kary dla pospolitych przestępców. Od czasu, kiedy pierwsi Polacy zaczęli wypełniać mury sowieckich więzień moje pojęcie tego zmieniło się na pojęcie karni za niepopelnione grzechy. Przechodząc przez próg zrobiłem pierwszy krok w kierunku mojej karni życiowej.

W ciemnej, dusznej i niewyraźniej przestrzeni powitały mnie dwie pary oczu, świecące w półmroku niczym dwa tłące się ogarki. Moja uwaga na chwilę powróciła do drzwi, gdy usłyszałem twardy dźwięk klucza przekręcanego w zamku. Z tą chwilą stałem się członkiem innego świata, który powoli zaczynał uchylać przede mną swoje tajemnice. Z szarego tła wyłoniły się ludzkie postacie i zarysy wewnętrznych urządzeń. Moi przyszli towarzysze stali w milczeniu, przyglądając się przybyszowi. W pośrodku pomieszczenia ujrzałem duże żelazne łożo z siennikiem, oświetlone nikłym promieniem światła z malenkiego okienka w ścianie. Pozatym brudne ściany, opadający tynk z sufitu oraz chwiejące się pod nogą deski podłogi.

Dwie ludzkie postacie to bardziej żywy obraz. Do moich uszu dochodzą dźwięki ukraińskiej mowy - oderwane słowa od jednego i drugiego wyraźnie kierują się w moim kierunku. Czuję się jakgdyby odurzony - chwytam ich słowa, ale niebardzo rozumiem co mówią. Zdaję sobie sprawę

z tego, że obaj mężczyźni są ukraińskiej narodowości, ale równocześnie budzi się pytanie "dlaczego oni?" W moim rozumowaniu nie mogę powiązać ich obecności w więzieniu z ich niewolniczym wysługiwaniem się swoim sowieckim pobratymcom. Chyba, że to pospolici przestępcy, chociaż na takich oni nie wyglądają. W tej chwili nie odczuwam potrzeby rozwiązywania tej zagadki. Zresztą bezpośrednie okoliczności nie pozwalają mi na wdawanie się w dyskurs myślowy.

Niemal tuż po moim oswojeniu się z widokiem celi, drzwi celi otworzyły się ponownie. W odrzwiach ukazała się postać milicjanta. Jego oczy były skierowane na mnie.

"Wychody wsiej czas!" on głośno woła po wcześniejszym wywołaniu mego imienia.

Przez otwarte główne drzwi budynku każą mi wyjść nazewnątrz. "Może zdecydowali się wypuścić mnie na wolność," budzie się we mnie myśl nadziei. Nadzieja gwałtownie znika, kiedy wchodzę ponownie do białego budynku NKWD, ozdobionego czerwoną flagą. Znowu pokój kancelaryjny - większy i lepiej urządzone. Znowu biurko i fotel oraz portrety Lenina i Stalina, dominujące urządzenia pokoju. Przed biurkiem jest nawet krzeselko dla mnie. "Sadiś!" słyszę głos oficera za biurkiem. Poznaje jego twarz - ten sam enkawudzista, który przyjmował mnie rano. Człowiek uśmiecha się do mnie i nawet częstuje mnie papierosem.

Pada kilka szybkich pytań. Moje odpowiedzi są skrzętnie notowane na kawałku papieru. Nagle po jednej z moich przeczących odpowiedzi nastawienie oficera w stosunku do mnie zmienia się radykalnie. Jego podniesiony głos rzuca następne pytania ostro i szybko. Między pytaniami słyszę słowa przekleństw i gróźby. Za sobą słyszę cichy szmer otwieranych drzwi i kroki wchodzących ludzi. Odwracam głowę lekko do tyłu. Z ukosa widzę kontury dwóch osób w zielonych mundurach. Zdaję sobie



sprawę z tego, że do kancelarii weszło dwóch oficerów NKWD. Na razie stoją spokojnie i słuchają.

Jak przez sen słyszę zarzuty posiadania broni, należenia do podziemnej organizacji i szpiegowania na rzecz zachodniej burżuazji. Na dowód ostatniego oskarżenia pokazują mi świstek papieru znalezionego w mojej kieszonce w czasie rewizji. Wyjańiam im, że są to zapiski odnośnie wiadomości wziętych z sowieckiego radia. Oni mnie nie słyszą, albo nie chcą słyszeć. Cały czas wołają "Mów prawdę, mów prawdę!"

Po jednej z moich przeczących odpowiedzi czuję silne uderzenie pięścią w twarz. Przewracam się razem z krzesłem na podłogę. Jeden z nich każe mi stanąć na nogi. Ledwie podniosłem się z podłogi z obu stron znowu padają uderzenia. Staram się ochronić rękami głowę przed uderzeniami. To nie wiele pomaga, od czasu do czasu ich pięści czuję na mojej twarzy. Na moich rękach widzę ślady krwi oraz czuję ból w okolicy ust. Niespodziewanie kończy rozprawa ze mną - każą milicjantowi odprowadzić mnie na celę.

Kilka minut później jestem znów na celi i siadam na krawężniku barłogu. Nawet nie patrzę na moich współtowarzyszy. Dla mnie oni w tej chwili nie istnieją. Słyszę z daleka ich ciche szepty między sobą. Po kilkunastu minutach starszy z nich odzywa się do mnie. Ona stara się mnie pocieszyć, że tego rodzaju traktowanie przez enkawudzistów trwa tylko przez okres przesłuchiwań. W czasie tego przyglądam się jemu bliżej. Człowiek ten musi być w wieku czterdziestu do pięćdziesięciu lat. Patrzę na drugiego - ten jest młodszy. Prawdopodobnie wiek jego nie przekroczył jeszcze dwudziestu lat.

Po moim krótkim wyjaśnieniu "przestępstwa" wobec systemu sowieckiego ich języka zaczęły się rozwiązywać. Oni też czuli się niewinni, ale ich wypowiedzi nie były na tyle jasne, abym mógł całkowicie

podzielać ich zdanie. Nawet z tego co powiedzieli zdołałem wysondować, że obu zarzucano przynależność do ukraińskiej-najcjonalistycznej, podziemnej organizacji. Za czasów polskich przestępstwo tego rodzaju nie podlegało karze, chyba że ktoś prowadził akcję niszczenia polskiego mienia lub dopuścił się zbrodni morderstwa polskich urzędników. Natomiast w systemie komunistycznym każda akcja, nawet bierna, była przestępstwem podlegającym surowej karze. Obaj zrozumieli to nieco za późno, a zwłaszcza starszy z nich.

Tuż po wejściu Sowietów na polskie wschodnie tereny, mój starszy współtowarzysz poczuł się w obowiązku służenia osowbidzicielom Zachodniej Ukrainy. Nowi władcy przyjęli go z otwartymi rękami i nawet dali mu odpowiedzialną funkcję komendanta milicji. Jego początkowa współpracująca i wysługiwanie się NKWD niewiele mu pomogły, gdy ktoś doniósł do sowieckiej policji o jego uprzednich nacjonalistycznych przekonaniach. Pewnego dnia kazano mu wypowiadać się z całej jego przeszłości. Za wyznane czy za podejrzane winy wsadzono go do aresztu i niemal każdą noc wzywali go na przesłuchiwanie, aby wyłowić od niego zatajone informacje.

Następnego dnia rano milicjant znowu wywołał moje nazwisko i znowu poprowadził mnie, znaną mi trasą do białego budynku z czerwoną flagą. Tym razem kazano mi wejść do innej kancelarii. Przy biurku siedział oficer znany mi z poprzednich dwóch posiedzeń. Od moich współtowarzyszy zdążyłem już dowiedzieć się, że był to sam naczelnik NKWD, nazwiskiem Soroka. Skinieniem ręki kazał mi usiąść na krześle, przed biurkiem. Po doświadczeniu z dnia poprzedniego spodziewałem się następnej serii wyzywań i bicia. Podczas tego stosunkowo łagodnego przesłuchiwania odezwał się dzwonek telefoniczny. Z urywków rozmowy zrozumiałem, że oficer został nagle wezwany przez kogoś do innej sprawy.

Po odłożeniu słuchawki oficer skinął na milicjanta i kazał mu odprowadzić mnie z powrotem na celę. To bardzo krótkie i bezbolesne przesłuchanie było moim ostatnim spotkaniem z oficerami służby bezpieczeństwa w Potoku Złotym. W tym czasie jednak nie wiedziałem, że ich zainteresowanie moją sprawą zmalało do zera. Dlatego, kiedykolwiek lucz zazgrzytał w drzwiach budziła się we mnie obawa, że znowu będę zmuszony do wycieczki do białego budynku.

Sytuacja moich towarzyszy wyglądała inaczej i o wiele gorzej. Oni mieli przesłuchiwać po uszy. Z reguły noce były dla nich ciężką przeprawą. Często wracali dopiero nad ranem z sińcami na twarzy i ze śladami krwi. Ich niedawni sprzymierzeńcy i oswobodziciele wcale nie kierowali się uczuciem pobratymstwa, gdy w grę wchodziły sprawy polityczne. Tego rodzaju przesłuchiwanie doprowadziły starszego do psychicznego załamania. W dnia chodził dookoła łoża na celi i płaczącym głosem wołał "szczo ja zrobyw, szczo ja zrobyw". Czasami zatrzymywał się przy mnie i pytał o sposoby popełnienia samobójstwa. W takich chwilach groził roztrzaskaniem własnej głowy o ścianę. Do takiej skrajnej ewentualności jednak nie doszło.

Dzięki swojej wcześniejszej służbie w komendzie milicji, wszyscy milicjanci byli jego dobrymi znajomymi. Przez nich on kontaktował się z zewnętrznym światem, a w szczególności ze swoją rodziną. Za ich pośrednictwem otrzymywał wiadomości, bieżną i żywność z domu. Korzystając z tej nieoficjalnej poczty, posłałem wiadomość o sobie tostryja Stanisława, prosząc go równocześnie i o odzież i żywność. Również nad moim zaopatrzeniem żywnościowym czuwała matka mojej gimnazjalnej koleżanki, Malci Strauberówny. Co pewien czas otrzymywałem od niej gorącą strawę i chleb. Wprawdzie w tym czasie nie byłem jeszcze wygłodzony, ale za ciepłe strawy gotowane w domu czułem dla tej, ledwie

znanej mi osoby, głęboką wdzięczność. Mogłem też podejrzewać, że za tym kryła się dobra wola mojej koleżanki.

Każdy więzień ma swój własny świat ukrytych myśli, którymi wypełnia długie godziny fizycznej bezczynności. W moim wypadku świat ten towarzyszył mi stale i wszędzie. On był też ze mną kiedy spacerowałem po więziennym podwórku i kiedy patrzyłem na kawałek otwartego nieba przez zakratowane okno. Często nachodziły mnie myśli rozwiązania mego problemu - myśli najczęściej nierealne. W czasie spacerów pod nadzorem strażnika, kiedy z daleka mogłem obserwować otaczającą mnie zieleni, prześladowała mnie myśl ucieczki. Szukałem wtedy za możliwością przeskoczenia przez parkan i biec naprzeciąj do lasu, gdzie czekała na mnie utracona wolność. Jednak zdrowy rozsądek powstrzymywał mnie od tego ryzykownego kroku. Pozatym nawet w wypadku udanej ucieczki powstawało pytanie "a co potem?"

Pewnego dnia klucz zazgrzytał w zamku, drzwi otworzyły się gwałtownie i na celę wleciał jakiś mało rozgarnięty człowieczek. Wkrótce dowiedzieliśmy się, że był to istotnie pospolity przestępca z jakiejś zapadłej, ukraińskiej wioski. Człowiek chudy, zarośnięty, z nieuczesanymi włosami i niespokojnymi oczyma z miejsca usiadł sobie w ciemnym kącie celi. Moi towarzysze wnet się z nim dogadali. Ze słówek dochodzących do mnie dowiedziałem się, że ten człowiek w brudnej płóciennej koszuli i porwanych portkach zdobył się na niesamowicie ryzykowne przedsięwzięcie. W tym czasie dostarczono do kooperatywy taki rzadki artykuł jak sól. On i jego bliski koleżka nocą wkradli się przez dach do sklepu z myślą zaopatrzenia się w ten artykuł na dłuższy czas. W chwili transportowania worka do góry zrobili tyle hałasu, że ktoś z sąsiadów obudził się i zaalarmował milicję. Jego współnik zdołał zbiec, a jego złapano w sklepie na gorącym uczynku.



Od czasu przyjscia nowego lokatora nasza szara brudna cela stala sie stalym locum, a smierdzący siennik wspólnym łozem dla przypadkowej czwórki ofiar nowego systemu. czasami wrzucano do nas jakiegoś nieszczęśliwca na godzinę lub dwie, a czasami nawet na całą noc. Byli to czasowo przetrzymywani mężczyźni, których po przepytaniu i po sprawdzeniu dokumentów, wypuszczano z aresztu. Ludzie ci potrafili na tyle zabezpieczyć swoje istnienie, że narazie nie groziła im kara pozbawienia wolności. Taki stan rzeczy utrzymywał się aż do czasu mego opuszczenia celi.

Rankiem, pewnego dnia, wywołano starego Ukraińca, pospolitego złodzieja i mnie i kazano nam zabrać ze sobą osobiste rzeczy. Tuż przed wyjściem z budynku jeden z milicjantów wręczył mi bochenek chleba i kilkadziesiąt rubli. Przekaz ten, jak się później dowiedziałem, pochodził od mojej koleżanki gimnazjalnej, Malci Strauberówny. Osoba ta widocznie poczuwała się do obowiązku czuwania nade mną i udzielania mi pomocy w miarę jej możliwości. Na przejeździe między budynkami czekała na nas furmanka, a przy niej dwóch uzbrojonych milicjantów.

Dzień był szary i ponury zgadzający się w pełni z moim minorowym nastrojem. Trudno było być dobrej i pogodnej myśli skoro przede mną otwierała się droga prowadząca do sowieckiej tiumy. We trójkę wsiedliśmy na wóz. Nędzne wiejskie koniki z trudem ciągnęły ludzki ciężar po szutrowanej drodze, często uginając swoje grzbiety, aby podołać swemu zadaniu. Jak każda nasza podolska droga, szosa czasami wznosiła się do góry, a czasami spadała na do jaru. Po drodze mijaliśmy rzędy rzędy chat pokrytych słomą, a między jedną wioską a drugą raczyłem się ostatnimi dla mnie widokami zielonych lasów i pól. Na widok zboża i leśnej zieleni we mnie znowu budziła się dzika chęć,

aby wyrwać milicjantowi karabin z ręki i uciec w ciemny, liściasty las. Ale bardziej rozsądna myśl odradzała mnie od tego kroku, powtarzając moje dawne pytanie: "A co potem?"

W końcowej fazie mojej podróży zacząłem rozpoznawać znajome mi okolice Buczacza. Pałac Potockich, na pewno zamieszkały już przez nowych panów, wysoki kamienny most nad strumykiem i długa ulica Kolejowa były dla mnie pamiętnymi widokami, o które ocierałem się wielokrotnie w moim dotychczasowym życiu. Jadąc główną ulicą patrzyłem na ludzi w nadziei, że rozpoznam jakąś znajomą twarz. Na jej całej przeszło kilometrowej długości nie poznałem żadną twarz znajomą mi z gimnazjalnych czasów. Objechaliśmy rynek i jego słynny ratusz, przejechaliśmy gimnazjalny most na Strypie i znaną mi ulicą na Fedor wiejskie koniki zawiozły nas do bramy buczackiego więzienia.

Obok budynku więzienia przechodziłem wielokrotnie, ale nigdy nie zdawałem sobie sprawy z tego, że za jego fasadą mieścił się cały kompleks małych, zakratowanych pomieszczeń, z małymi okienkami wychodzącymi na stronę rzeki. Nim dostałem się do jednego z takich pomieszczeń, wpierw musiałem przejść ponowną osobistą rewizję i potem pod nadzorem strażnika przejść niemal cały kurytarz. Przechodząc obok zakratowanych ścian poszczególnych cel, nie widziałem nikogo w ich wnętrzu. Wyglądało na to, że więzienie było zupełnie puste.

Niemal jak gość w hotelu dostałem dla siebie całą i względnie czystą celę. W rogu stał pojedynczy barłóg wyłącznie do mego użytku, w bocznej ścianie było zakratowane okno, które dawało mi szeroki wgląd w najbliższą okolicę. W zasięgu mego wzroku był kościół parafialny, ruiny zamku, rzeka Strypa oraz plac, gdzie niejednokrotnie oglądałem przedstawienia przyjezdnych cyrków. Następnego dnia po moim przyjeździe był dniem odpustu kościelnego w Buczaczu. To dało mi

okazję wysłuchania Mszy Świętej odprawianej na dworze oraz kazania znanego mi księdza Staufera. Słyszałem wyraźnie każde jego słowo, jakgdybym był bezpośrednim uczestnikiem tego nabożeństwa. Na ten widok obudziły się we mnie refleksje i żal za tymi studenckimi czasami, kiedy niemal codziennie byłem w kościele i codziennie oglądałem widoki, na które teraz patrzyłem z poza kraty więziennej.

Mój pobyt w tej raczej wygodnej celi trwał bardzo krótko. Już w następnym dniu rozpocząłem dalszą wędrówkę w kierunku mego przeznaczenia. W porannych godzinach nocnych mieszkańców więzienia wyprowadzono nazewnątrz budynku. Ku mojemu zdziwieniu liczba więźniów powiększyła się do pięciu - dwóch dodatkowych musiało kryć się w jakimś niewidocznym dla mnie zakątku. Tym razem środkiem lokomocji była czarna zakratowana karetka z oddzielnym przedziałem dla konwojenta i kierowcy. Podróż trwała krótko - może tylko pół godziny. W zaduchu i ciasnocie pojazd zawiózł nas w gorący dzień lipca do czortkowskiego więzienia, o którym słyszałem, ale nigdy nie widziałem. Po drodze, przez okno kierowcy, chwytałem okiem przydrożne widoki absolutnie nie rozpoznawalne dla mnie.

Karetka zatrzymała się przed żelazną bramą, widzianą przeze mnie tylko w małych fragmentach. Po chwili dotarła do mnie rozmowa między konwojentem i strażnikami więzienia. Po krótkiej konferencji pojazd wjechał na podwórko wewnątrz więziennych murów. Zaraz po wyładowaniu nas z karetki rozpoczęła się procedura przyjęcia nas do tego przybytku krzywdy i niewoli. W wypadku moich współtowarzyszy proces przyjęcia odbył się bez żadnych problemów. Wyczytano ich nazwiska, sprawdzono osobiste dane i potwierdzono wszystko znanym mi już słowem "da". Moja sprawa nie przeszła tak łatwo. Ktoś z urzędników w Potoku Złotym w moich papierach zrobił mnie dwa lata młodszym. Na miejscu chciałem

sprostować tą nieściskość. W odpowiedzi na to spotkałem się z zarzutem strażnika, że mówię nieprawdę. Potem w ostrych słowach kazał mi przyjąć nową datę mego urodzenia jako jedyną i właściwą. Wobec takiej jego postawy nie pozostało mi nic innego do zrobienia jak pogodzić się z nowym faktem mojego młodszego wieku.

Całą piątkę nowo-przyjętych więźniów wrzucono do małej, wąskiej celi, gdzieś w podziemiach budynku, oświetlonej słabą, ledwie zarzającą się żarówką. W ciągu dnia dorzucano innych więźniów. Ostatecznie na noc znalazło się w tym pomieszczeniu jedenaście osób. W ciągu dnia podano nam rzadką, uchnącą zupę, której nie mogłem przyjąć. Wypiłem tylko zabarwiony płyn, który miał uchodzić za herbatę, i zjadłem kawałek swojej porcji chleba. W celi było ciasno i duszno. Powoli zaczęliśmy zdejmować ze siebie części naszej garderoby. W końcu wszyscy rozebraliśmy się do bielizny.

Rano dyżurny strażnik powiadomił nas, że przed dalszym zadysponowaniem nami, przejdziemy obowiązującą kąpiel. Z powodu braku wody w łaźni zamiar ten zaniechano. Wobec tego rozpoczęto dzień od rozprawiania nas po celach. Z workiem i ze strachem na plecach, ale uzbrojony w cierpliwość, maszerowałem długim, ledwie oświetlonym korytarzem. Po drodze mijałem szereg czarnych drzwi po obu stronach, każde posiadające mały otwór na wysokości oczu człowieka. Uderzenia butów o kamienną podłogę odbijało się głuchym echem w głębokiej i ciemnej przestrzeni niewidocznego końca. Wreszcie rozkaz strażnika kazał mi stanąć. Przed sobą zobaczyłem numer 23 na czarnych blaszanych drzwiach.

Zdałem sobie sprawę z tego, że stanąłem przed celą mego więziennego przeznaczenia. Zgrzyt klucza w zamku, wolno otwierające się drzwi i przerażający widok ziemskich czeluści. Nagle poczułem jak jakaś niewidoczna ręka popchnęła mnie do szarego dusznego pomieszczenia.



Niemal natychmiast klucz znowu zazgrzytał w zamku i drzwi z trzaskiem zamknęły się za mną. Przez chwilę stałem oniemiały i przerażony widokiem ludzkiej masy, leżącej na podłodze u moich nóg. Błede, niemal wapienne twarze, głębokie oczodoły i powiększone źrenice, wlepione we mnie jak w jakąś nadziemską zjawę, to obraz nędzarzy sowieckiego świata. W tej krótkiej chwili milczącego stania nie wiedziałem co należało zrobić ze sobą.

Ktoś z leżących nędzarzy musiał zauważyć mój niezdecydowany wyraz twarzy.

Jedna z białych postaci uniosła się z podłogi i podeszła do mnie. Usłyszałem jej męski głos, który kazał mi zająć odrobinę wolnego miejsca na podłodze, blisko czarnych drzwi. Popatrzyłem dookoła, aby znaleźć nieco więcej przestrzeni. Niczego się nie doszukałem. Kucnąłem na tym samym miejscu, gdzie stałem. Po chwili jakiś pan w bieliźnie o bladej ale inteligentnej twarzy powstał ze swego miejsca pod ścianą i podeszedł do mnie. Czułem jak wziął mnie za rękę i przez leżące ciała prowadził mnie do swego miejsca.

Przykucnąłem na rogu jego siennika. Człowiek ten spokojnym głosem i najlepszą polszczyzną zaczął wypytywać mnie o wiadomości ze świata. To co przyniosłem ze sobą było conajmniej trzy tygodnie przestarzałe, ale dla niego wydawało się być nowością. W pewnym momencie swoich zwierzań Poczulem lekkie uderzenie łokciem w plecy. Obejrzałem się do tyłu i zobaczyłem wpatrzoną we mnie twarz człowieka o ciemnym zarostcie i czarnych włosach, który mrugał do mnie okiem. Od razu zorientowałem się, że on stara się mnie ostrzec - widocznie radził mnie, aby być ostrożnym w rozmowie. Jak się później dowiedziałem, przepytujący mnie człowiek nazywał się Matiaszek, był z zawodu lekarzem i przed aresztowaniem pełnił funkcję ukraińskiego posła w kijowskim sejmie.

Znowu przez przypadek stałem się świadkiem nieudanej współpracy sowiecko-ukraińskiej. Już przed wojną nie było dla nas tajemnicą, że ukraińska grupa etniczna ciążyła ku naszym wschodnim i zachodnim wrogom. Ich podziemna konspiracja z sowietami wyszła na jaw natychmiast po wkroczeniu wojsk radzieckich na tereny polskie. Ujawnienie się tej konspiracji odbywało się na moich oczach. Natomiast prowadzenie podwójnej gry wobec sprzymierzeńców było dla mnie tajemnicą. Spotkanie się z Ukraińcami w więzieniu przedstawiło tą sprawę w innym świetle.

Sowiecki "oswobodziciel" dał Ukraińcom nominalnie wolną Ukrainę, ale w ramach Sowieckiego Związku. To wymagało absolutnego podporządkowania się "oswobodzonego" narodu systemowi sowieckiemu. Wielu działaczy ukraińskich poszło na taką współpracę i w niektórych wypadkach doszli do wysokich stanowisk w administracji. Podporządkowanie się było tylko jedną stroną sowieckich warunków. Drugim warunkiem była czysta karta, sięgająca wstecz aż do daty urodzenia. Tego rodzaju kartą tylko niewielu z aktywnych Ukraińców mogło się poszczycić. W tej sytuacji wcześniejsze sprzyjanie nacjonalizmowi wspomaganemu przez Niemców stało się grzechem nie do wybaczenia. Rezultatem tego była ich obecność w sowieckich więzieniach.

Ledwie odstąpiłem od mojej pierwszej znajomości na celi, gdy dwóch innych panów zaprosiło mnie do siebie. Omijając ludzkie ciała na podłodze, skierowałem swoje kroki do nich. Miejsca zajmowane przez nich na celi należały do najlepszych. Trudno byłoby wyobrazić sobie coś lepszego niż siennik pod ścianą między dwoma oknami. Już po pierwszych słowach wyczułem, że rozmawiam z prawdziwymi Polakami.

Obaj z nich pochodzili z powiatu zaleszczyckiego. Pierwszy z nicj, inż. Pocztar, był urzędnikiem w tamtejszym urzędzie powiatowym; drugi nazwiskiem Wojciech Makowski był kierownikiem szkoły powszechnej

w jednej z małych wiosek niedaleko Tłustego. Rozmowa z nimi była szczerą, otwartą i przyjazną, co utwierdziło mnie w przekonaniu, że żaden z nich nie wdawał się w donosicielstwo, uprawiane przez niektórych więźniów na celi. W niedługim czasie nawiązaliśmy bliższą znajomość. Wśród niemal czterdziestu więźniów, z czego większość stanowili Polacy też porobiłem większe lub mniejsze znajomości. Już w pierwszym dniu z kilkoma z nich na interesujące ich tematy z zewnętrznego świata. Po odbyciu pierwszej tury stałem się na tyle znaną osobą na celi, że przy poparciu kilku osób dostałem miejsce na środku podłogi, niedaleko Pocztara i Makowskiego. Było to raczej duże osiągnięcie jak dla nowo-przybyłego więźnia, bo w mniej sprzyjających okolicznościach musiałbym się zadowolić miejscem przy drzwiach lub w kącie pod klozetem.

Mój mały kawałek podłogi naogół wydawał się być bezpiecznym miejscem. Jednak już pierwszej nocy stałem się ofiarą ludzkiej nieuczciwości. W czasie mego snu cały i nietknięty bochenek chleba, jaki przyniosłem ze sobą, znikł całkowicie ze szczelnie zawiązanego worka. Tylko drobne okruchy zostały na jego dnie. Ktoś z moich współtowarzyszy musiał wykorzystać swoje złodziejskie skłonności i wykorzystał je w stosunku do mnie. Rano wszyscy mi współczuli, ale nikt nie starał wchodzić głębiej w tą sprawę. Ja natomiast zdawałem sobie sprawę z tego, że gdyby nawet wykryto sprawcę, mojej straty nie byłbym w stanie powetować.

Moje stosunki z moimi bezpośrednimi sąsiadami od strony głowy, Pocztarem i Makowskim, układały się przyjaźnie. Jednak dla pewnych przyczyn Iгнаłem raczej ku Pocztarowi. Człowiek ten o dużym zasobie wiadomości i o jeszcze większym wyrobieniu życiowym mógł istotnie za imponować tak młodej osobie jak ja. Dyrektor Makowski, jak go ogólnie nazywano na celi, był w pewnym stopniu dziwakiem na punkcie religijnym.

od czasu przybycia do celi on uznał siebie za przewodcę duchowego. Codziennie rano i wieczorem prowadził wspólne modlitwy, a w niedzielę improwizował obrzęd religijny, przypominający Mszę Świętą. Większość z nas, będąc katolickiego wyznania, dla przyzwoitości łączyliśmy się z nim w jego modlitwach. Jego z trudniejszych jego stron były plotkarskie tendencje i stałe użalanie się nad losem jego rodziny wywiezionej na Syberię. Naogół wszyscy go tolerowali, ponieważ w małym zamkniętym pomieszczeniu trzeba było kompromisować za miast prowadzić do niepotrzebnych i irytujących konfliktów.

Z każdym dniem moje znajomości więzienne stopniowo się poszerzały. Prawie wszystkie ograniczały się do grupy polskiej z tej prostej przyczyny, że ona składała się z ludzi wykształconych i inteligentnych. Adler, zarządca majątku koło Zaleszczyk, czy Wilk, student prawa na uniwersytecie lwowskim, czy Kulczycki, nauczyciel z czortkowskiego rejonu, wszyscy reprezentowali wyższy poziom umysłowy, który imponował zarówno mnie jak innym więźniom na celi.

Ukraińska grupa była zdecydowanie mniejsza. Oprócz dr. Matiaszka i jego przyjaciela Gila, kleryka grecko-katolickiego, reszta reprezentowała pospolitych przestępców albo zawiedzionych współpracowników z komunistami. Wśród nich nie widziało się wielkiego współżycia czy przyjaźni. Prawdopodobnie dwóm inteligentom trudno było znaleźć wspólny język z niższą i niezbyt moralną klasą.

Żydowska grupa była reprezentowana tylko przez dwie osoby. Jedną z nich był adwokat z Zaleszczyk Wielkich, którego przestępstwem było to, że w polskim sądzie przegrał sprawę jednego z komunistów. Przy zmianie systemu przegrane sprawy zostało uznane za wykazanie złej woli i w rezultacie on musiał ponieść konsekwencje tego. Drugim w tej grupie był komunistyczny aktywista, którego oskarżono o sprzeniewierzenie



partyjnych funduszków. W myśl jego wypowiedzie oskarżenie było nieuzasadnione i dlatego spodziewał się, że w najbliższym czasie wyjdzie na wolność. Dla zabicia czasu człowiek ten często trudnił się wróżeniem snów, które czasami nawet się sprawdzały.

Na celi było również kilku Rumunów, uciekinierów ze swego kraju. Ludzie ci, ulegając błędnej propagandzie, przeszli przez granicę w nadziei otrzymania ziemi z parcelowanych "latyfundiów" po polskich panach. Zawiedzeni w swoich planach najczęściej siedzieli razem w kupce i rozmyślali nad swoim losem. Byli też ludzie bez konkretnej przynależności do jakiegokolwiek z grup i nierozpoznawalni jeśli chodziło o ich rodzaj przestępstwa. Jednym z nich był niejaki Wołk, który miał wygląd niedorozwiniętej osoby - przez cały dzień siedział pod brudnym kocem i nie odzywał się do nikogo. Podobno zatrzymano go na drodze bez żadnych dokumentów i oskarżono go o szpiegostwo.

Pospolici przestępcy nie czuli się dobrze i pewnie w grupie więźniów, złożonej przeważnie z inteligencji. Wprawdzie nigdy nie tworzyli zwartej grupy, ale w codziennym życiu raczej ciążyli ku sobie. Oni tylko czasami ukazywali się na widowni i wtedy stawali się uciążliwymi towarzyszami więziennej niedoli. Za prowodyra tej klasy ludzi uważano Ukraińca Mikitę, pochodzącego z Ułaszkwieć. Życie w kryminale było już mu znane z przed wojny. Po wkroczeniu Sowietów został zwolniony z więzienia i jako prześladowany przez kapitalizm natychmiast dostał funkcję komendanta milicji. On przyjął to jako okazję do przysporzenia sobie majątku. Jeden z jego niezadowolonych współników wsypał go przed władzami sowieckimi i w wyniku tego powędrował do kryminału. Pragnąc zaskarbić sobie względy u władz więziennych, przyjął na siebie obowiązki kapusia i donosił zwierzchnikom więzienia o wszystkim co się działo na celi.

Najbardziej uciążliwą stroną życia była beczynność i monotonia więziennego istnienia. Każdy z nas szukał za dozwolonym i niedozwolonym zajęciem, byleby tylko zabić dłużyący się czas. Nasze zachowanie się na celi było często sprawdzane przez strażnika, który co pewien czas spoglął na celę przez okienko, czyli judasza. Wiele spraw na celi jednak uchodziło jego uwagi.

Nasze zajęcia były różnego rodzaju. Najbardziej popularnym było szycie drobiazgów kończących się już części garderoby. Do szycia służyły igły niewiadomego pochodzenia oraz nici wyciągane ze szmat. Szycie przyszło do mnie szybko i naturalnie. Korzystając z pożyczonej igły uszyłem sobie pantofle z moich już rozlatających się spodni narciarskich. Inni kręcili sznurki z wyciąganych nici, lepili cygarniczki z chleba, kleili szachy z tego samego cennego materiału oraz cięli pudełka z zapalek i malowali na nich karty do gry. Naśladując bardziej przedsiębiorczych ludzi wkrótce stałem się właścicielem kart i szachów.

Regulamin więzienny nie pozwalał na tego rodzaju rozrywkowe zajęcia. Dlatego urozmaicenia życia musiało odbywać się ukradkiem. Z reguły gry tego rodzaju nie dotyczyły pospolitych przestępców. Oni mieli swoje zabawy, z reguły proste i czasami nieprzyjemne. Zabawy tego rodzaju zachowały się wśród nich jeszcze z czasów przedwojennych. Jedną z nich dotyczyła nowo-przybyłych na celę, co w ich mniemaniu uchodziło za chrzest. Dla przejścia przez ten obrządek niektórzy z nowo-przybyłych musieli poddać się obskurnej zabawie ku uciesze tej klasy więźniów. Mnie to szczęśliwie ominęło, prawdopodobnie z tej racji, że z miejsca zostałem uznany za politycznego przestępcę.

Celem utrzymania porządku na celi z biegiem czasu ustalili się system dyżyrów, pełnionych przez każdego z nas według pewnej kolejności.

Od tego obowiązku nikt nie był zwolniony, nawet ludzie starsi wiekiem. Czasami ochotniczo wyręczali ich w tym młodszy więźniowie. Do obowiązków dyżurnego należało zmywanie podłogi wodą z klozetu, przestrzeganie porządku na celi, odliczanie pobieranych porcji i odpowiedzialność za należyte zachowanie się więźniów.

Wielkim i koniecznym zwyczajem, jaki zastałem na celi, było bicie małych a dokuczliwych stworzonek, znanych w popularnym języku jako wszy. Czynność ta odbywała się dwa razy dziennie, rano i popołudniu. Przyjęty sposób osobistej dyżurności polegał na szczegółowym przeglądaniu szwów bielizny i niszczenie paznokciem dokuczliwych pasożytów. Mimo stałej i nieustającej wojny z nimi tych stworzonek nigdy nie brakło w naszych ubraniach.

Do przyjemniejszych wydarzeń naszej więziennej rutyny były półgodzinne spacerunki, którymi raczono nas kilka razy na miesiąc. Najczęściej wyprowadzano nas w porze popołudniowej na małe, murem otoczone podwórko, gdzie pod okiem strażnika chodziliśmy w kółko przez określony czas. W czasie tego musieliśmy trzymać ręce założone do tyłu i nie wolno nam było spoglądać na górne okna więzienia. Czasami podobne spacerunki, w mniejszym wydaniu, urządzaliśmy na celi. Wtedy podsuwaliśmy sienniki do środka i kolejno małymi grupkami maszerowaliśmy w kółko na stworzonym w ten sposób przejściu. Jeśli było za dużo hałasu, strażnik natychmiast interweniował i zabraniał nam tej przyjemności.

Niezwykłym urozmaiceniem naszego życia było niespodziewane wywoływanie więźniów razem z osobistymi rzeczami, najczęściej w ciągu nocy. Na celę wpadał urzędnik więzienny w obecności strażnika i wyczytywał nazwiska z przygotowanej listy. Zwykle po takim czytaniu kilku ludzi ubywało z naszej celi. Wtedy wiadomym nam było, że w więzieniu zanoszono na transport ludzi w głąb terenów sowieckich. W związku z tym stan celi obniżał się na dzień lub dwa. Po jednej

z takich okazji ilość więźniów na celi obniżyła się do 25 ludzi. Dotworzyło przed nami możliwości zmiany miejsc na lepsze. Do grupy wywołanych więźniów należał inż. Pocztar. Natychmiast skorzystałem z tego i zająłem jego prestiżowe miejsce pod ścianą między dwoma oknami.

Powstałe w ten sposób luki szybko wypełniły się nowo-przybyłymi - zapas kandydatów wydawał się być niewyczerpany. Razem z nimi przybwały świeże wiadomości ze świata. Dla nas Polaków one nigdy nie były pocieszające. Cała Zachodnia Europa była pod dominacją niemiecką, z wyjątkiem Anglii, która nie przejawiała większych intencji natychmiastowej akcji militarnej przeciwko Hitlerowi. Jej stanowisko wobec Związku Sowieckiego nie miało żadnego wyrazu politycznego.

W listopadzie 1940 ro., dostaliśmy uzupełnienie z innego źródła. Na naszym piętrze rozwiązano jedną celę, a jej mieszkańców porozrzucano po innych. Do nas przybyła dość duża grupa nowych ludzi, wyłącznie Polaków. Dla mnie ten przybytek na celi miał szczególne znaczenie. W grupie tej znalazło się kilka osób, z którymi szybko zaprzyjaźniłem się i przez okres naszego pobytu na celi utrzymywałem z nimi bliskie stosunki. Szczególnie odnosiło się to do dwóch Polaków o nazwiskach Snarski i Bałandiuk. - obaj z zawodu byli kierownikami szkół powszechnych w powiecie zaleszczyckim.

Dyrektor Snarski, jak go ogólnie tytułowano, był człowiekiem starszym, blisko sześćdziesiątki i przytym nie najlepszego zdrowia. Już w pierwszym dniu po jego przybyciu byłem u niego w odwiedzinach. Cała podróż do niego na odległość wynosiła ledwie kilka kroków. Z tym człowiekiem rozmawiało się bardzo łatwo na rozmaite tematy. Najczęściej w rozmowach z jego strony przebijała troska o rodzinę wywiezioną na Sybir. Do rozmowy często włączał się jego sąsiad Skawiński, człowiek



pochodzący z tej samej miejscowości co Snarski. Przed wojną był komendantem miejscowego oddziału Strzelca, co niewątpliwie przyczyniło się do jego aresztowania.

Moim drugim nowo-przybyłym a bliskim towarzyszem był dyr. Bałandiuk. Był to człowiek młodszy, ledwie 38 lat, raczej niskiego wzrostu, ale dla swoich wielu wybitnych cech cieszący się ogólnym poważaniem na celi. Poza niezwykłym stopnie inteligencji i zdrowym poglądem na otaczające nas okoliczności miał w sobie niezwykły dar zjednywania sobie ludzi. Dla nas Polaków, jako były legionista, człowiek ten był przykładem Polaka-patrioty. Bardzo często siadałem przy nim na podłodze i bez końca wsłuchiwałem się w jego wojenne opowiadania. Dla mnie młodego i jeszcze niedoświadczonego człowieka mit walk legionowych był szczytem fantazji nie mającej nic równego w świecie. Innym tematem, który nas zbliżał, były nasze sprawy rodzinne. Zarówno jego jak i moja rodzina znalazły się naskutek wywózek na dalekiej Syberii.

Zbliżenie między mną i dyr. Bałandiukiem również wynikało z naszych podobnych zainteresowań rozrywkowych. Często razem spędzaliśmy czas na potajemnym graniu w karty, a jeszcze częściej w szachy. Popularną grą w karty była gra w brydża. Do pełnej partii dobieraliśmy Żyda adwokata, nauczyciela Kulczyckiego i czsami na piątego Adlera, zarządcę majątku ziemskiego w zaleszczyckim. Ten ostatni partner był trudnym, wybuchowym graczem, co ostatecznie przyczyniło się do tego, że zrezygnowaliśmy z jego towarzystwa.

Zarząd więzienia przysparzał nam swego rodzaju rozrywki w najmniej spodziewanej porze dnia i nocy. Co pewien czas, zawsze w nocy, na celę wpadało kilku strażników i robiło szczegółową rewizję. W czasie tego wszystkie nasze rzeczy, łącznie z siennikami, latały w powietrzu. Po takiej złośliwej procedurze musieliśmy zbierać się conajmniej

przez pół godziny zanim doprowadziliśmy siebie i celę do porządku. Komiczną stroną tej rozrywki było to, że w czasie osobistej rewizji musieliśmy pokazywać strażnikom tylną część naszego ciała, co zawsze było powodem późniejszych żartów i śmiechu.

Podczas jednej z takich rewizji u Kulczyckiego znaleziono kawałek blachy, przypominającej kształtem prymitywny nóż. Nikt z więźniów nie przyznawał się do jego posiadania. Za karę wstrzymano nam wydawanie ciepłej strawy, oraz obniżono rację chleba. Po kilku dniach głodówki Kulczycki przyznał się do winy, za co odsiedział pięć dni karczeru. Po jego przyznaniu się my niezwłocznie powróciliśmy do naszej normalnej racji żywnościowej.

Njważniejszym i niecierpliwie oczekiwanym przez nas wydarzeniem był t.zw. dzień "peredaczy". W polskim języku był to dzień otrzymywania przesyłek z domu. W myśl przepisów więziennych mieliśmy prawo do otrzymywania świeżej bielizny, oraz takich artykułów żywnościowych jak tłuszcz, cukier i cebula i bardzo przydatną rzecz jak mydło. Przesyłki były przyjmowane według liter alfabetu w połączeniu z ustaloną datą kalendarza. Każdy z nas był uprawniony tylko do jednej przesyłki miesięcznie.

W pierwszym miesiącu pobytu w więzieniu czortkowskim nie otrzymałem niczego z zewnątrz. To było zresztą do przewidzenia, ponieważ moja najbliższa rodzina była na Syberii. W drugim miesiącu, ku memu zdziwieniu, strażnik przyniósł mi torbę z czystą bielizną. Potem każdy dziesiąty dzień miesiąca był dla mnie wielkim dniem. Wtedy otrzymałem czystą bieliznę i dozwolone artykuły żywnościowe. Później dowiedziałem się, że moim dobroczyńcą była moja chrestna matka, ciocia Kołodziejowa. Ona napewno wówczas nie zdawała sobie sprawę z tego, jak wdzięczny byłem jej za jej dobre serce.

Kilka razy w czasie mego pobytu w czortkowskim więzieniu zdarzyły się specjalne okazje, które pozwoliły mi na zakup artykułów żywnościowych. Przywilej tego rodzaju był dostępny tylko dla tych osób, które posiadały pewien depozyt pieniężny na koncie wieziennym. Dzięki Malci Strauberówniej należałem do grupy wybranych szczęśliwców. Korzystając z kwoty kontowej zakupiłem trzykrotnie w kantine więziennej chleb, kiełbasę, cukier i świeże jarzyny, niestety w bardzo ograniczonej ilości. Pieniędzy tych nie było jednak dużo i przy dalszych okazjach zakupów one mogły się wyczerpać. Dlatego kilkakrotnie przekazywałem wiadomość do krewnych przez tych, którzy opuszczali więzienie z prośbą o przysłanie mi więcej rubli. Prawdopodobnie żadna z nich do nich nie dotarła, bo nie otrzymałem tego o co prosiłem.

Porozumiewanie się przez trzecie osoby lub pisanie listów do rodziny było z zasady niedozwolone. Przemycanie wiadomości w bieliźnie było zarówno ryzykowne jak nie efektywne. Jeśli w bieliźnie znaleziono ukrytą wiadomość, danej osobie groziła kara wstrzymania prawa do przesyłek. Mimo to niektórzy zaszywali małe świstki papieru w rąbki bielizny lub pod zaimprovizowaną łątą. Prawie w każdym wypadku dany srtykuł wracał z wypranym papierkiem w nietkniętym miejscu. Pewnego miesiące zrobiłem to samo z takim samym skutkiem.

W ciągu zimy, po długiej przerwie, wezwano mnie na przesłuchanie. Dla mnie było to wielkim zaskoczeniem. Uważałem bowiem, że moja sprawa została zamknięta równocześnie z moim wyjazdem z Potoka Złotego. W kancelarii więziennej zastałem znanego mi już enkawudzistę Derkacza, jednego z trzech którzy przesłuchiwali mnie tuż po moim aresztowaniu. Jego widok przypominał mi o krzykach, groźbach i biciu, jakie wynikły w trakcie przesłuchiwania. W przeciwieństwie do naszego pierwszego spotkania, człowiek ten odniósł do mnie grzecznie, spokojnie i z

niespotykanym wyrozumieniem - nawet zdobył się na poczęstowanie mnie papierosem. Całe przesłuchanie ograniczyło się wyłącznie do sprawdzenia moich osobistych danych.

Niedługo potem moje więzienne życie uległo radykalnej zmianie.

Wczesnym rankiem dnia 20go lutego 1941 roku na celę wpadło dwóch strażników i zaczęło wyczytywać nazwiska. Tym razem posypało się ich wiele. Poza mną w wyczytanej grupie znalazły się nazwiska Makowskiego, Bałandiuka, Snarskiego, Dziubińskiego i wielu innych. Widocznym było, że zanoszą się na większy transport w głąb Rosji. Wszystko odbywało się według pewnej procedury ustalonej przez władze więzienia. Najpierw zaprowadzono nas do łaźni, gdzie czekaliśmy długo na dalsze zadysponowanie nami. W ciągu nocy zrobiono nam szczegółową rewizję, po której kazano nam wejść do innej i dość obszernej sali. Pomieszczenie to wyglądało na punkt zborny przed ostateczną wysyłką ludzi z murów więziennych.

Przez resztę nocy w sali tej wywoływano nazwiska więźniów. Wywołani znikali za drzwiami, prowadzącymi nazewnątrz. Ilość ludzi na sali jednak nie wydawała się ulegać większym zmianom. W miejsce tych, którzy odeszli, przybywali inni z tobołkami w ręku. Nie miałem najmniejszej wątpliwości, że przygotowywany transport składał się wyłącznie z Polaków, ponieważ polska mowa była jedyną jaką słyszałem dookoła siebie. Widocznie celem władz było opróżnienie więzienia z polskiej grupy narodowościowej.

Od zewnątrz dochodziły do nas warkoty motorów i głos kół samochodów ciężarowych na brukowanej jezdni. Moim domysłem było to, że celem ciężarówek było odstawianie więźniów do stacji kolejowej poza miastem. Mimo pośpiechu i całonocnego wozenia, wozy nie mogły podołać swemu zadaniu. Masa ludzi wciąż czekała na sali i wciąż przybywali



nowi więźniowie z więziennych cel. Wydawało się, że więzienie było tym przysłowiowym workiem, który zawierał niekończącą się ilość ludzi.

Nad ranem przyśpieszono operację. Nazwiska zaczęto wyczytywać szybciej, a wyczytanym kazano ustawiać się w piątki na więziennym podwórku. Po zebraniu pewnej grupy, strażnicy natychmiast wyprowadzali ją za bramę. Wreszcie przyszła kolejka na mnie i moich najbliższych współtowarzyszy. W odpowiedzi na wywołanie mego nazwiska zabrałem swoją torbę i szybko wyskoczyłem nazewnątrz na mroźnie, ale świeże poranne powietrze.

Po tak długim przebywaniu w zamkniętym pomieszczeniu świeże powietrze było czymś czymś cudnym i odradzającym. Za każdym oddechem czułem jego orzeźwiający wpływ. Moje płuca otwierały się do granic ich pojemności, a moje mięśnie nabrały odrazu rzeźwości ruchów. Również z młodzieńczym zadowoleniem patrzyłem na parę wychodzącą z moich ust i z prawdziwą radością patrzyłem na biel śniegu, mimo że jego widok raził moje oczy. Po ośmiu miesiącach ciemnej i zadusznej celi pierwsze zetknięcie się z dobrodziejstwami otaczającej mnie natury czułem się jak nowo-narodzony.

Dzień ten szczęśliwie nie był typowym dniem najzimniejszego miesiąca roku. Temperatura była zupełnie znośna, zupełnie niezgodna z tradycją miesiąca lutego. Nawet wiatr, który w tej porze zimy dawał się ludziom we znaki, gdzieś zagubił się w szerokich stepach rosyjskich i pozostawił ziemie polskie w spokoju. W moich warunkach wszystko co mnie otaczało miało pozytywny wpływ na moje samopoczucie. Snieżna biel na dachach, na polach i ogrodach, skrzyp brudnego śniegu pod nogami były raczej urozmaiceniem życia niż jego utrudnieniem. Tak było przynajmniej na pozór. Nawet szare mury domów miasta, nagie

konary drzew i ponure niebo były dla mnie miłym, przyjemnym i nawet czarującym widokiem.

Po drodze towarzyszyły nam wrzaski strażników i dzikie szczekanie psów, dla których system sowiecki znalazł inne zajęcie niż pilnowanie podwórka. Jednak największe wrażenie na mnie robiła długa kolumna więźniów, uginająca się pod tobołkami, której początku ani końca nie mogłem dojrzeć. Przypomniał mi się wówczas obraz Grottgera przedstawiający marsz polskich zesłańców na Sybir, oraz nieco inny widok murzyńskich niewolników, prowadzonych pod strażą do czekającego na nich okrętu. Przymniało mi się powiedzenie, że historia się powtarza - w tym wypadku ona powtórzyła się w stosunku do mnie.

Mimo długiego pobytu w więzieniu, złego odżywiania i utraty wagi czułem się na tyle silny, że bez większego trudu mogłem podołać wysiłkowi marszu. Świeże powietrze musiało mieć wiele z tym wspólnego. Niewątpliwie ono wpłynęło na moje fizyczne i mentalne odrodzenie się. Nie wszyscy jednak byli w konducji podobnej do mojej. Ludzie starsi, a zwłaszcza ci, którzy spędzili więcej niż rok w więzieniu, mieli pewne trudności z dotrzymaniem nam kroku. Dla nich był to absolutnie za duży wysiłek. Dla ulżenia sobie niektórzy z nich wyzbywali się częściowo swoich osobistych rzeczy, które wcześniej na celi strzegli jak najcenniejszy skarb. Wielu też pozostawało z tyłu, nie reagując na krzyki, uwagi i ponaglanie strażników.

Pociąg towarowy złożony z czerwonych wagonów wreszcie ukazał się przed nami w całej swojej pełni. W pewnym punkcie jego długości we wnętrzu jego zniknął początek ludzkiej kolumny. Pokolei za każdą grupą zamyskały się zasuwane drzwi i następnie otwierały się następne. Po dojściu na wysokość wagonów kazano nam przykucnąć na śniegu. Strażnik odliczył 40 osób i na jego skinienie wpuszczono nas do ciemnego

wnętrza wagonu. Będąc jednym z ostatnich w odliczonej czterdziestce dostałem raczej niewygodne miejsce na dolnej pryczy. Na początku tłok w wagonie wydawał się niemożliwym do zniesienia. Po rozlokowaniu się po pryczach w wagonie zrobiło się dość luźno, a zwłaszcza w jego środkowej części.

W tej środkowej części mieścił się żelazny piecyk, ale nic wokół niego nie wskazywało, aby kiedykolwiek był w użyciu. Też nic nie wskazywało na to aby w naszej przewidywanej podróży mogliśmy zrobić z niego właściwy i pożądanym użytek. W jego pobliżu nie było ani szczypty drzewa lub kawałka węgla. Drugim urządzeniem w tej części wagonu była improwizowana wygodka w pobliżu drzwi. Ten prymitywny środek sanitarny składał się z kawałka blachy skręconej w lejek, włożony do otworu w podłodze. Pozatym przy ścianach w jednym i drugim jego końcu były tylko prycze, na których mieliśmy spać ściśnięci jak śledzie.

Nastroje w wagonie naogół nie były najgorsze i rzadko pesymistyczne. Poza nieco niedorozwiniętym Jaworskim, który tuż po wejściu do wagonu wsunął się na podłogę pod pryczę, reszta towarzystwa prowadziła ożywioną rozmowę na temat najbliższej przyszłości. Samo opuszczenie murów więziennych napawało nas nadzieją, że przed nami otwiera się droga do lepszego jutra. Długie miesiące czekania i przesłuchiwań były już za nami. Natomiast przed nami, według naszych oczekiwań, była możliwość pracy na otwartym powietrzu, lepsza racja żywnościowa i dużo swobodnego ruchu. Niektórzy nawet snuli domysły, że było prawdopodobieństwo połączenia nas z wywiezionymi rodzinami na Syberii. Każdy śnił i marzył, że przed nami otwiera się następny okres sowieckiej niewoli, może trudny i nieprzyjemny, ale niewątpliwie lepszy od poprzedniego.

Długi transport kolejowy, złożony z niewiadomej ilości czerwonych towarowych wagonów opuścił stację kolejową w Czortkowie. Niewątpliwie każdy z tych wagonów był załadowany po brzegi polskimi więźniami. W początkach pociąg włókł się wolno, często zatrzymując się w otwartym polu i na małych przystankach. Jego szybkość nie mogła zwiększyć się wiele w ciągu nocy. W początkowej fazie naszej podróży byliśmy w stanie rozpoznawać nasze polskie okolice. Z chwilą nastania nocy trudno było zorientować się jaka była trasa naszej podróży. Dopiero rano po zatrzymaniu się, stwierdziliśmy, że znaleźliśmy się w znanym mi mieście Tarnopolu. Przypomniały mi się wówczas podchorążackie czasy - przez górne okienko starałem się rozpoznać okolicę miasta. Niestety, miejsce gdzie staliśmy, nie było mi znane.

W ciągu dnia do transportu dołączyło więcej więźniów z więzienia tranopolskiego. Przez okienko przyglądaliśmy się kolumnie Polaków maszerującej w kierunku tylnej części pociągu. Sam proces załadowywania ich nie był dla nas widoczny - dla obserwowania tego musielibyśmy wychylić głowę na co kraty okienne nie pozwalały. Pamiętając własne niedawne doświadczenie mogliśmy sobie wyobrazić jak wyglądało ulokowanie przybyłych więźniów w dalszych wagonach.

Pociąg opuścił stację dopiero w nocy. Musiałem wtedy spać, bo nie czułem jego początkowego ruchu. Przy świetle rannym zorientowałem się, że jesteśmy w drodze i że pociąg pędzi pełną parą. Przejeżdżaliśmy szybko przez wioski, miasta i miasteczka, zatrzymując się tylko dla nabrania wody i wydania więźniom żywności. Dzienna racja chleba była stosunkowo duża, bo aż 800 gramów na człowieka, nieco słonej ryby i miarka wody. Problemem była woda do picia, ponieważ jedno wiaderko dziennie było absolutnie za mało na czterdziestu ludzi. Często na postojach pukaliśmy do drzwi, prosząc o dodatkowe wiaderko wody.



W większości wypadków nasze prośby nie odnosiły skutku. Tylko czasami znalazł się jakiś wyrozumiały strażnik i ukradkiem wepchał do wagonu dodatkową rację wody.

Nikt z nas nie zauważył momentu przekroczenia granicy polsko-sowieckiej. Prawdopodobnie przejechaliśmy przez punkt graniczny w ciągu nocy. Bez trudności natomiast zorientowaliśmy się, kiedy pociąg znalazł się po stronie sowieckiej. Dobrze utrzymane miejscowości po stronie polskiej znikły z widoku, a w ich miejsce ukazały się obrazki biedy i zaniedbania. Ktoś na górnej pryczy udzielił mi trochę miejsca, dzięki czemu mogłem odcyfrować zarówno nazwy miejscowości jak i tajemnicę sowieckiego życia. Nawet powłoka śniegu nie mogła ukryć niski stopień ludzkiej egzystencji. Wiejskie domy wyglądały bardzo biednie, szaro i obskurnie, miasta i miasteczka nie przedstawiały się lepiej. Zaś ludzie, przeważnie kobiety, nosiły na sobie żebrackie łachy. Szukałem za kochozami, o których tyle słyszałem, ale w okresie zimy one nie były bardzo widoczne.

Nasza podróż trwała dwanaście dni. Wiem, że podczas jej trwania przejechaliśmy Kijów oraz rzekę Dniepr. Chociaż nateżaliśmy nasze oczy i trzymaliśmy głowy tuż przy kratkach, niewiele mogliśmy zobaczyć z tego starego historycznego miasta Rusi. Dniepr, przez który przejeżdżaliśmy wolno, zaimponował mnie swoją szerokością, ale też nie odsłonił przed nami nic szczególnego do widzenia. Wszystko co mi pozostało w pamięci to świadomość tego, że przejechaliśmy przez stolicę Rusi i jej główną rzekę Dniepr.

Dwunastego dnia dobrnęliśmy wreszcie do naszej docelowej stacji nam jeszcze nieznaney z nazwy. Tablica kolejowa pozwoliła nam na zapoznanie się z nazwą miejscowości Starobielsk. Na jej widok przypomniał mi się stempel pocztowy na kartce, jaką moja ciotka otrzymała

od swego brata, Jana Kuliczkowskiego, polskiego jeńca wojennego. To mi dało powód do snucia przypuszczeń, że w obozie jeńców, czy obozie pracy spotkam się z osobą ze mną blisko spokrewnioną. Mój pozytywny sposób myślenia starał się doszukać lepszej strony mego ówczesnego życia i skierować moje nadzieje w tamtym kierunku.

W Starobielsku znaleźliśmy się w pierwszych dniach marca. Tutaj zima miała się już ku końcowi. Śniegi już prawie znikły, ziemia była rozmokła, a szczególnie ulice, które poprostu płynęły błotem. W ciągu dnia wyładowano nas z wagonów i poprowadzono główną ulicą do nieznanego nam celu. Tym celem okazał się stary klasztor prawosławny otoczony wysokim murem i z wielką, żelazną bramą, mniej więcej na wysokości głównej cerkwi. Zanim dotarliśmy do tego punktu, musieliśmy wprawdzie przebrnąć przez miasteczko. W mojej wcześniejszej ocenie spodziewałem się ujrzeć większych rozmiarów miasto. W rzeczywistości było to małe wielkoruskie miasteczko, składające się z kilku zabudowanych ulic, których domy w wielu wypadkach były zbudowane z drzewa a wiele dachów pokrytych słomą. Główna ulica była imponująco szeroka, aczkolwiek nie posiadała twardej nawierzchni. Mieszkańcy miasta wyglądali jeszcze biedniej niż ich miejscowość. Wybiedzeni, wychudzeni i ubrani w łachy snuli się jak cienie po na wpół wymarłych ulicach.

Mniej więcej w pośrodku wysokiego muru, otaczającego klasztor przed nami ukazała się brama. Z chwilą przejścia przez nią staliśmy się częścią olbrzymiego kompleksu więziennego - większego niż sobie wcześniej wyobrażałem. Mała cerkiewka do której wpuszczono nas na samym początku i główna cerkiew z cebulastą kopułą, gdzie nas ostatecznie ulokowano, były tylko małą częścią zespołu budynków wchodzących w skład obozu. Poza kilku frontowymi budynkami były też inne tylne zabudowania i cała seria nowopobudowanych baraków. Łącznie, jak ogólnie mówiono,

obóz ten, czy więzienie mogło jednorazowo pomieścić 20,000 ludzi. Ilu więźniów było tam w chwili naszego przybycia należało do ścisłych tajemnic karnego sowieckiego systemu.

Zasadniczym zadaniem tego więziennego kompleksu było odizolowanie niewygodnego państwu elementu od reszty społeczeństwa. Pod tym względem utrzymywanie tak olbrzymiej masy ludzkiej w odosobnieniu i bezczynności mogło mieć swoje polityczne uzasadnienie. Inaczej to wyglądało ze strony moralnej, etycznej i humanitarnej - ten pogląd w systemie stalinowskim nie wchodził w rachubę. W tym nieludzkim przedsięwzięciu była też strona ekonomiczna, która zawierała jak najbardziej uzasadniony cel dla rządców kraju. Pełna istota rzeczy doszła do mojej świadomości nieco później. W moim późniejszym zrozumieniu obóz starobielski był niejako olbrzymim magazynem siły roboczej, skąd zniewolonych robotników rozsyłano po całym kraju w zależności od potrzeb różnych ośrodków produkcji. Powyższe sprawy należały do mojej niedalekiej przyszłości.

W danej chwili byłem więźniem w murach cerkiewnych, które mimo swojej religijnej przeszłości służyły nieludzkiej i niegodnej sprawie. Budynek głównej cerkwi, podzielony na dwa poziomy, stał się moim locum na wyższym piętrze. Według praktykowanej rutyny wpuszczano nas do wnętrza grupami po piędziesiąt osób, co w terminie więziennym oznaczało brygadę. Administracyjne funkcje bloku starostów i brygadierów powierzono więźniom o niezbyt wyraźnych przestępstwach politycznych, jak np. legalne i nielegalne przekroczenie granicy sowieckiej. Pierwszym starostą górnej części cerkwi był Polak-komunista, uprzednio żołnierz międzynarodowej brygady, walczącej przeciwko gen.Franco w hiszpańskiej wojnie domowej. Po upadku rządu komunistycznego człowiek ten uciekł do Francji, gdzie przebywał do czasu wejścia wojsk niemieckich.

Korzystając z dobrych stosunków, jakie istniały między Sowietami i Niemcami, postarał się w Paryżu o wizę sowiecką celem powrotu do rodzinnego Przemyśla. Na granicy z miejsca go aresztowano i osadzono w więzieniu za sprzeniewierzenie się wzniosłej komunistycznej myśli, że dobry komunista nie opuszcza swego posterunku. Po jego odejściu, niewątpliwie wywiezieniu do obozu pracy, na funkcję starosty wyznaczono innego komunistę z pochodzenia Słowaka.

Człowiek ten, jako sekretarz lokalnej partii komunistycznej w Czechosłowacji pod okupacją niemiecką, szukał za bezpiecznym dla siebie miejscem na terenie Sowietów. Jego przstępstwo było podobnej kategorii jak jego poprzednika, z tym że dodatkowo oskarżono go o szpiegostwo. Za jego rządów funkcje brygadierów zostały obsadzone przez jego rodaków, którzy podobnie jak on szukali opieki u swoich domniemanych protektorów. W zasadzie to nie miało żadnego znaczenia dla nas, polskich więźniów, ponieważ ich władza i obowiązki ograniczały się do podziału dziennych racji żywnościowych.

Niemal natychmiast po usadowieniu się na górnej pryczy między Makowskim i Bałandiukiem wziąłem się do odszukania śladów po moim dalekim krewnym, Janie Kuliczkowskim. Myśl taką zasugerowały mi wyryte lub napisane polskie nazwiska na bocznych deskach prycz. Razem ze mną wielu innych chodziło od pryczy do pryczy w poszukiwaniu za znajomymi nazwiskami. Niektórzy doszukali się śladów swoich krewnych i znajomych - ja natomiast nie znalazłem poszukiwanego nazwiska.

W tym czasie polscy oficerowie byli już tylko mitem w obozie starobielskim. Niepełne wiadomości, jakie do nas dotarły, były niedostateczne, aby na nich budować historii naszych rodaków. Jedną z większych była informacja o buncie polskich oficerów, co miało być przyczyną ich wywiezienia z obozu w niewiadomym kierunku. Wiadomość



ta doszła do nas za pośrednictwem obozowego personelu, starostów i brygadierów, którzy z kolei musieli otrzymać ją od strażników.

Podobnym mitem w obozie były dzieci i uchodźcy hiszpańscy, którym Stalin udzielił azylu w czasie trwania wojny domowej w ich kraju. Według wiadomości, jakie do nas dotarły, oni byli bezpośrednimi poprzednikami polskich oficerów w tym obozie. Ich dalsze losy nie były nikomu znane, a w późniejszym czasie też o nich nie słyszałem żadnej wzmianki.

Podczas rzadkich i krótkich spacerów na więziennym podwórku miałem okazję częściowego zapoznania się z układem obozu i jego zewnętrznych urządzeń. Sama cerkiew, w której zamieszkiwała nasza grupa, była niejako na uboczu kompleksu. W niedálkiej odległości od niej i wzdłuż zewnętrznych murów było kilka murowanych budynków, a na dalszym planie pewna ilość baraków. Cały rejon obozu był otoczony kilku rzędami kolczastych drutów, między którymi biegały luźno puszczony psy. Na rogach sterczały wysokie wieże strażnicze, zaopatrzone w silne reflektory. Ponadto nazewnątrz miał być szeroki rów z wodą, jako ostatnia przeszkoda w wypadku ucieczki więźnia. Przy zastosowaniu takich środków izolacji nie było mowy, aby ktokolwiek z nas mógł zdobyć się na ucieczkę. Ktokolwiek znalazł się wewnątrz tych drutów musiał zdać się całkowicie na łaskę i niełaskę swoich "opiekunów".

Będąc ulokowani blisko budynku administracyjnego i głównej bramy, mieliśmy możliwość śledzenia pewnych czynności obozowych, a przede wszystkim każdorazowe ruchy więźniów do wnętrza i na zewnątrz obozu. Ilekroć słyszeliśmy ruch przed cerkwią wiedzieliśmy, że coś nowego się dzieje. W takich wypadkach na naszą celę przybywała nowa grupa więźniów. Jedną z takich grup przydzielono do nas w początkach lub w środku maja.

Tym razem na celę przybyło kilku moich znajomych z czasów przedwojennych. Jednym z nich był Kazimierz Stanecki, posterunkowy z Jazłowca. Dla obu z nas była to miła niespodzianka. Z miejsca podzieliłem się z nim wiadomościami o jego rodzinie w Kazakstanie i podałem mu ich adres. Drugim był mój starszy kolega z buczackiego gimnazjum i bursy, Zbyszek Waruszyński, pochodzący z Monasterzysk i znany mi w swoim czasie jako wybitny gracz piłki nożnej. Trzecim i ostatnim był instruktor z podchorążówki tarnopolskiej, Bieniowski, z którym łączyła mnie przejściowa znajomość z oficerskiej szkoły.

Współżycie więzienne między mną, a moimi współtowarzyszami układało się różnie. Z jednymi łączyły mnie bliższe stosunki i nawet przyjaźń, a z innymi dochodziło do małych i nieistotnych nieporozumień. Pewnego dnia dla błahego powodu doszło do scysji słownej między mną a Makowskim, ale szczęśliwie sprawa poszła szybko w zapomnienie. Moje dobre stosunki jeszcze z więzienia czortkowskiego z dyr. Bałandiukiem zachowały się w tej samej formie w Starobielsku. Naszym wspólnym upodobaniem a nawet pasją była gra w szachy. W wolnym czasie, którego mieliśmy za wiele, bez końca przekładaliśmy figury po szachownicy ze zmiennym szczęściem, ale zawsze z osobistym zadowoleniem.

Pewnego dnia starosta bloku, Słowak, ogłosił, że istnieje możliwość wysłania kartek pocztowych do swoich rodzin. Na 500 osób przyznano tylko dwadzieścia kartek. W takiej sytuacji tylko szczęśliwcy mogli skorzystać z tego przywileju. Pozatym w tej ofercie kryła się inna trudność. Kartki te można było zakupić tylko za pieniądze, a posiadanie pieniędzy na celi było zabronione. Oficjalna cena kartki wynosiła 20 kopiejek, co nazewnątrz nie miało żadnej wartości, ale w naszych okolicznościach kwota ta nagle stała się wielkim i nieosiągalnym skarbem.

Najcenniejszym artykułem na celi był chleb. Tylko za ten artykuł, ktoś kto przemycił pieniądze na cele, był skłonny zrzec się tego nagle odkrytego skarbu. Na celi powstał handel. Mając dwie zaoszczędzone porcje chleba zdecydowałem się na ich sprzedanie za marne 20 kopiejek. Nabywca znalazł się bez trudności, a ja z monetą w rękę natychmiast pobiegłem do starosy i wpłaciłem mu żadaną kwotę.

Kiedy strażnik dostarczył kartki do do strosty, ja byłem pierwszy u niego, aby dostać to co mi się słusznie należało. Słowak bez zastanowienia od razu wręczył mi jedną. To szybkie załatwienie mojej sprawy musiało odbyć się ze szkodą jednej z brygad na celi. Na każdą z nich przeznaczono dwie kartki, w naszej brygadzie było trzy - dwie oficjalne i moja. Starosta wprawdzie poznał się na tym i przyszedł w tej sprawie do brygady, ale nie robił większej kwestii. Kartkę natychmiast wysłałem do stryja Stanisława w Jazłowcu, podając mu krótkie wiadomości o sobie i prosząc o przysłanie paczki żywnościowej oraz kilku rubli. Odpowiedzi od niego ani żadnej przesyłki od niego nie otrzymałem. Obawiałem się, że moja cenna kartka nigdy do niego nie doszła.

Wiadomości ze świata dochodziły do nas rzadko i zawsze z dużym opóźnieniem. Jedna z największych i najważniejszych dotarła do nas z końcem marca. W myśl interpretowanych przesłanek stosunki sowiecko-niemieckie zaczynały się psuć. Jeśli w tym było trochę prawdy to należało liczyć się z tym, że ich dotychczasowa przyjaźń została dla jakichś powodów zakłucana. Na ten temat zaczęły powstawać domysły idące tak daleko jak zbrojny konflikt między mocarstwami. Jakby dla potwierdzenia tego na celę dostał się urywek z sowieckiej gazety, w którym była wyraźna wzmianka o wizycie Mołotowa w Londynie. Dyr. Bałandiuk po przeanalizowaniu tej wiadomości pochylił się do mnie

i ściszym głosem powiedział: "Panie kolego, może pan być pewny; że w krótkim czasie znajdziemy się w szeregach Polskiej Armii".

Prawdopodobnie na celi on był pierwszym zwiastunem nowej polskiej myśli politycznej, która kilka miesięcy wstecz byłaby absolutnym absurdem. Krótka wiadomość na papierku nadała jej realne kształty, które stały się nadzieją wielkiej zmiany na naszą korzyść. Też musieliśmy wziąć pod rozwagę element czasu, bo wypadki na arenie politycznej mogły się potoczyć do przodu w większym tempie niż spóźnione informacje mogły na to wskazywać.

Tryb życia więziennego w zasadzie się nie zmieniał, ale ożywiona aktywność urzędników wskazywało, że coś niezwykłego musiało dziać się na świecie. Wzmógł się ruch na podwórku przed cerkwią świadczący wyraźnie o przyjmowaniu i odprowadzaniu transportów. Każdy z nas liczył się z tym, że na niego w najbliższym czasie przyjdzie też kolejka. W tym wypadku nie byliśmy w błędzie.

Dnia 15go czerwca 1941 roku, rano na celę weszło kilku urzędników z listami w rękach i zaczęli wyczytywać nazwiska. Każdy z wyczytanych zabierał swoje osobiste rzeczy i wychodził na zewnątrz. Moje nazwisko zostało również wyczytane. Przez całe popołudnie przesiadeliśmy na podwórku, przechodząc ponownie stereotypową rewizję osobistą. Wieczorem kazano nam ustawić się w piątki i pod strażą bojców oraz psów opuściliśmy bramę więzienia. Znowu maszerowaliśmy przez miasto, ale tym razem ono ze względu na ciemności nie było dla nas widoczne.

Nasza grupa cerkiewna została niemal całkowicie rozbita. W nowej grupie razem ze mną znalazł się tylko Makowski oraz niedorozwinięty Jaworski. Nocą wagony też były dla nas ledwie widoczne. Przy świetle elektrycznym skierowano nas do wnętrza, po czterdziestu ludzi jak poprzednio. Tym razem miałem więcej szczęścia i zdołałem ulokować się



na górnej pryczy w pobliżu okna. Doświadczenie nauczyło mnie, że jeśli mam wybrać się w daleką "wycieczkę krajoznawczą" to należało postarać się o odpowiednie miejsce. Musiałem spać dobrze tej nocy, bo nawet nie słyszałem kiedy pociąg ruszył. Gdy obudziłem się pociąg był już w pełnym biegu.

Przy nieustannym stukaniu kół o kolejowe szyny, przy wahadłowym kołysaniu się wagonów i przy gwiżdżeniu lokomotywy pociąg pełną parą niósł nas w nieznane. W zakratowanym okienku przewijała się taśma stepowego krajobrazu, ubranego pełną zielenią rozbujałej wiosny. Bezbrzeżny płaskowyż Wielkorusi, szeroki i otwarty, Wołga wielka, majestatyczna i szeroka jak morze i urozmaicone tereny podgórze ural- skiego były pierwszymi widokami panoramy rosyjskiej, jaka syciła nasze oczy. Czasami na bezgranicznej przestrzeni zielonego kraju ukazywało się osiedle - wioska lub miasteczko - najczęściej zbyt odległe, aby poznać je w szczegółach lub zobaczyć jego mieszkańców.

Stepowa równina powoli zaczęła ustępować miejsca bardziej urozmai- conemu krajobrazowi. Pociąg stale stukając kołami o szyny rozpoczął swoją górską wspinaczkę. Zwolniona szybkość pozwoliła nam na bliższe oglądanie wspaniałych widoków górskiej panoramy. Zielone szczyty gór, głębokie wąwozy i doliny, bogate lasy na zboczach i wśród tego wijąca się linia kolejowa, znikająca od czasu w ciemnościach tunelu wykutego w skale - to obraz ural- skiego krajobrazu. Przy linii toru tu i ówdzie stacyjka kolejowa, kilka drewnianych domów i czasami mniej przyjemny widok baraków otoczonych drutami oraz więźniowie pra- cujący przy wyrębie lasu. W jakiejś kotlinie nawet mała szkółka i bawiące się koło niej dzieci. To mały obrazek jakby dla odsłonięcia przed nami czegoś innego i może lepszego. Jeszcze kilka szczytów, pagórków oraz głębokich dolin i widoki wysokich gór ural- skich pozostały za nami.

Z kolei przed nami ponownie ukazał się widok bezbrzeżnej równiny, z lekka urozmaiconej samotnymi drzewkami białej brzozy. Rozległe tereny syberyjskie, związane razem żelaznym torem, jakby w obawie, aby płaska monotonna ziemia nie rozplynęła się w przestrzeni. Kraj obraz nizinny, smutny i tak pojedynczy jak żywot więźnia niema granic w swojej monotonii. Czasami równinny widok zamieniał się nagle w ciemną masę budynków uprzemysłowionych miast jak Tomsk, Omsk i Nowosybirsk, aby szarzyzną i dymem kominów pozbawić naturę jej zielonego uroku. Widok niezbyt budujący - brudne budynki, szczerniałe kominy, małe drewniane domki i biednie wyglądający ludzie - wszystko stworzone przez cywilizację, aby wypełnić pustkowie syberyjskie bogatszą treścią ludzkiego postępu.

Gdy ktoś powiedział swoją opinię, że Rosja to bogaty kraj ale durny, w tym nie było złej woli wobec przeciętnego obywatela sowieckiego raju - było to poprostu jego zdanie o tych, którzy tym krajem rządzą. Przez wieki car i jego arystokracja trzymali kraj i lud w biedzie i głupocie; przez wieki rosyjski lud żył nadzieją lepszego jutra. Hasła rewolucyjne miały przynieść zmianę na lepsze, ale one okazały się tylko pustym słowem radykała i polityka. Zamiast poprawy stosunków i warunków życia nowi rządcy pchnęli cały kraj w otchłań przśladowań, tworząc dno biedy i nędzy dla narodu. W tym nie było mądrości i zrozumienia dla podwładnego im człowieka, nie było ludzkich uczuć dla mniejszego człowieka, lecz prosta bezmyślność i nieuczciwość nowych władców.

Na wschód od Nowosybirsk dalszamonotnia zielonej przestrzeni, gdzie znowu tylko pojedyncze brzożki urozmaicały smutny krajobraz. Znowu kilka większych miast, jak Krasnojarsk, Tajga, Irkuck a z tym szarzyzna murów i dymy wysokich kominów. W Irkucku zatrzymaliśmy się

na cały dzień, aby wykąpać się pod zimnym tuszem i wydezynfekować nasze zawszone ubrania. Przez okres dwóch tygodni, mimo tępienia ich własnym przemysłem, weszki rozpowszechniły się i stały się przekleństwem życia. W tym mieście po raz pierwszy spotkaliśmy się z takim sanitarnym urządzeniem jak "weszobojka". Działanie jego polegało na niszczeniu pasożytów w gorących parowych kotłach. Wykąpani, oczyszczeni i odświeżeni rozpoczęliśmy dalszą podróż na wschód w tych samych niewygodach i ciasnocie. Razem z tym zachowaliśmy przywilej oglądania syberyjskich krajobrazów, które znaliśmy tylko z książek historycznych i geograficznych.

Za szarym i niezbyt imponującym Irkuckiem ujrzeliśmy malownicze okolice jeziora Bajkał, które nawet dla nas, ludzi pozbawionych wolności były czymś niezwykłym i uroczym, czymś co porywa oczy i o czym nigdy się nie zapomina. Skaliste szczyty Gór Jabłonnych, sięgające aż po błękit nieba, niekończąca się przestrzeń bogatych lasów i srebrzyste lustro jeziora to wspaniały cud natury. Widok dziwicznych lasów napajał nas zachwytem, świeże powietrze górskie rozpierało nasze piersi, a silny zapach żywicy durzył nas swoją wonią. Dla urozmaicenia tego conajmniej pięćdziesiąt tuneli bawiło się z nami w chowanego, raz chowając nas w głębi ich ciemności, to znowu na chwilę odsłaniając przed nami górskie widoki.

Po przejechaniu tego dziewiczego piękna przed nami ukazała się nieduża połać żyznego kraju, nazywanego przez Rosjan Zielonym Klinem. Tu według ich relacji życie miało być wygodne, syte i wolne - to był kraj utopii o którym marzył każdy obywatel pogrążony w biedzie i nędzy. Piękno natury było tam obfite, ale bogactwo musiało się kryć w jakichś niewidocznych kątach. Mongolskie twarze, które od czasu do czasu ukazywały się na taśmie naszych widoków nie zdradzały wielkiego szczęścia, dostatku i radości.

Widok tego zielonego kraju budził w nas skryte życzenia, aby tam nas wysadzono i tam dano nam możliwość egzystencji, aż do czasu rozwiązania się konfliktu na Zachodzie. Z tą bujną zielenią łączyły się nadzieje lepszego życia nawet przy łopacie, kilofie i siekierze, ale na świeżym powietrzu i przy lepszym wyżywieniu. Niestety zadyszany pociąg wiózł nas dalej przez tereny górzyste i pagórkowate, przez miejscowości Ułan-Ude, Czita, Birabejdżan i Chabarowsk - do docelowej stacji Buchta Nachodka. Tam się zakończyła nasza trans-syberyjska podróż.. W tym miejscu dotarliśmy do brzegów azjatyckiego kontynentu w pobliżu słynnego rosyjskiego portu Władywostok.

Jednak w czasie drogi za niewygody podróży, za ciasnotę na pryczach, za głodowe racje jedzenia oraz za dokuczliwy brak wody zostaliśmy hojnie nagrodzeni pocieszającymi wiadomościami ze świata, które jakimś sposobem dotarły do nas w wagonach. Wielkim wydarzeniem dla całego świata i chyba jeszcze większym dla nas było wypowiedzenie wojny Sowiecom przez Trzecią Rzeszę. Szybkie postępy armii niemieckiej w głąb terenów sowieckich budziły w nas nadzieję, że wkrótce mogliśmy stać się sowieckimi sojusznikami. W takim rozwiązaniu rzeczy przywróconoby nam wolność i pozwolono na stworzenie polskiej Armii na terenach rosyjskich. Niespodziewana wiadomość o przybyciu delegacji polskiej do Kujbyszewa jeszcze bardziej spotęgowały nasze nadzieje.

Pociąg wtoczył się wolno do olbrzymiego kompleksu baraków, podzielonego na bloki wysokimi kolczastymi drutami i strzeżonymi wysokimi wieżyczkami strażniczymi. Znowu znaleźliśmy się w zawoszonych i zapluskwionych barakach, żywieni głodową racją zupy i chleba, ale pełni nadziei, że nasze życie więzienne ma się już ku końcowi. Ostatni przystanek na brzegach Pacyfiku w naszym rozumowaniu miał być granicą "krajoznawczej wycieczki" po sowieckich terenach. Tu byliśmy zdania,



że nasza dalsza podróż przyjmie odwrotny kierunek. Zachowanie się władz sowieckich nie wskazywało na to, że nasze nadzieje pokrywały się z ich planowaniem naszej przyszłości.

Losy człowieka nie zawsze są zależne od jego woli, co doświadczyliśmy na sobie od chwili kiedy dostaliśmy się w ręce sowieckiego systemu sprawiedliwości. W barakach Buchty Nachodki rzecz miała się podobnie. Tutaj spotkałem się z niespodziankami różnego rodzaju. Jedną z lepszych było spotkanie się z moim kolegą gimnazjalnym, Tadzikiem Warszyłowiczem. W tej olbrzymiej masie ludzkiej niespodziewanie jego i moje nazwisko zostały wyczytane w tej samej grupie. Jakaś tajemnicza ewidencja połączyła nasze kartki razem i w tym miejscu, oddzielonym drutami od świata, fizycznie zbliżyła nas ku sobie. Trudno było doszukać się logicznego rozwiązania, ponieważ obaj byliśmy w innych więzieniach, obaj przyjechaliśmy innymi transportami i w kategorii przestępstwa należeliśmy do innych grup.

Odnawianie dawnych znajomości gimnazjalnych i poza-gimnazjalnych nie ograniczyło się tylko do tego jednego wypadku. W ciągu czekania w obozie pewnego dnia wyznaczono naszą grupę do przyniesienia drewnianej belki do wnętrza naszego bloku. Podczas tego krótkiego pobytu poza drutami spotkałem się twarz w twarz z Pawełkiem Januszewskim. Od niego dowiedziałem się, że na jego bloku było kilku innych Buczaców, których ewidencja wiezienna też połączyła razem.

W tym miejscu, gdzie liczyliśmy na rozpoczęcie odwrotnej drogi w kierunku wolności i polskiej armii, spotkaliśmy się z wprost odwrotnym zarządzeniem sowieckich władz. Po tygodniu czekania kazano nam zabrać swoje tobołki i przygotować się do dalszej podróży - tym razem morskiej. Z workami na plecach i pod strażą bojców odbyliśmy krótki marsz do portu. Po drodze oglądaliśmy przybrzeżne widoki, które nie

miały nic imponującego do zaoferowania. Sama Buchta Nachodka i jej port wyglądały na małą przystań rybacką - kilka chat i budynków, małe drewniane molo i ani śladu cywilnej ludności.

Duży czarny okręt stał w pewnej odległości od brzegu. Między nim a molo stale krążyły małe barki, a na brzegu czekała masa więźniów na kolejkę załadowania. Naszą pięćdziesiątkę wtłoczono do jednej z barek razem ze strażnikiem i w kilkanaście minut później wdrapywaliśmy się po drabinie sznurowej na pokład okrętu. Nieszczęśliwie nasza grupa była jedną z ostatnich. Wobec czego w luce okrętowej, już wypełnionej po brzegi, dostaliśmy najgorsze miejsca. W szarzyźnie miejsca przywitały nas ludzkie twarze rozrzucone po wszystkich kątach luki. Jaśniejące bielą ludzkie twarze widziało się wszędzie - w każdym przedziale pięcio-piętrowych prycz, w każdym przejściu między pryczami i wiele innych krążących w poszukiwaniu za wolnym miejscem. Tadzio Warszylewicz i ja rozpoczęliśmy mozolną wędrówkę, przeskakując przez leżące ciała i wieszając się na pryczach, aby znaleźć kawałek wolnej podłogi. W końcu w półmroku luki dojrzałem szary jej kawałek, który natychmiast wzięłem w posiadanie. Tuż obok pod pryczami znalazło się też miejsce dla Tadzia. Nasze miejsca nie należały do najlepszych, ale bezwzględnie lepsze od tych, które przylegały do t.zw. "paraszy" po drugiej stronie luki. O miejsce mego przyjaciela musieliśmy stoczyć słowną walkę z jednym z współwięźniów, który uważał, że jego działka mogła pomieścić tylko czterech ludzi. Ostatecznie przy dobrej woli obu stron sprawę miejsca załatwiliśmy polubownie.

W luce było niezwykle ciasno. Tak samo musiało być w innych lukach. Nikt poza władzami okrętowymi nie mógł wiedzieć dokładnej ilości więźniów, jaki okręt zawierał w swoim wnętrzu. Na oko oceniłem, że w naszej luce stłoczono około 800 lub więcej ludzi. Cała grupa musiała

być wyłącznie polska, ponieważ poza polską żadnej innej mowy się nie słyszało. Naskutek takiego zagęszczenia ludzi zaduch i gorąco były wprost nie do zniesienia. Dlatego każdy rozbierał się do bielizny, aby ulżyć sobie w tym piekle.

Cała organizacja pomieszczenia szła po linii utrudnienia życia człowieka. Najgorzej przedstawiała się strona sanitarna. Do zewnętrznego ustępu trzba było ustawiać się w kolejce i czekać conajmniej dwie godziny, wisząc w przejściach między pryzkami nad głowami innych. Do wewnętrznej parazy czekało się nieco krócej. Wprawdzie też trzeba było wisieć w powietrzu, ale do każdej z beczek załatwiała się równocześnie kilka osób, co wybitnie przyspieszało proces zaspakajania naturalnych potrzeb.

Natępnego dnia rano usłyszeliśmy przyspieszony ruch śruby okrętowej i poczuliśmy kołysanie się okrętu. Około południa wypłynęliśmy na morze. Dla mnie była to pierwsza podróż morską. Będąc absolutnym "szczurem lądowym" obawiałem się, że wcześniej czy później stanę się ofiarą morskiej choroby. Pierwszy dzień podróży minął spokojnie, utwierdzając mnie w przekonaniu, że jestem odporny na tego rodzaju morskie zjawisko. W południowej części Morze Japońskie było raczej spokojne. Nikt z nas nie miał definitywnego pojęcia, gdzie się znajdujemy. Sam widok morza był tylko dotępny dla tych, którzy doczekali się swojej kolejki do zewnętrznego ustępu. Ja należałem do jednych z tych, którym ten widok był udostępniony. Widziałem wówczas drewniane urządzenie, zawieszone nad burta i odrutowane kolczastym drutem dla pewności, aby ktoś nie skoczył do morza.

Kiedy znaleźliśmy się na pełnym morzu otworzono szerzej pokrywy luki, co pozwoliło na lepszą wentylację miejsca i na większy dopływ świeżego powietrza. Ten racjonalny zabieg pozwolił na ulotnienie

się nieprzyzwoitych zapachów oraz na obniżenie się wewnętrznej temperatury. Mimo to w luce było gorąco i dlatego zasadniczym ubraniem każdego była bielizna, a najczęściej tylko jej dolna część.

Na pełnym morzu wydano nam pierwsze racje żywnościowe, które składały się z kawałka chleba i z garści kwaśnej kapusty. Dla ugaszenia pragnienia wydawano jedno wiaderko wody na każdą grupę dwudziestu ludzi. Wewnątrz luki zorganizowano podział tak, aby każdy miał zapewnioną część swojej należności. Brygadierem naszej grupy został młody człowiek, Żukowski, student na lwowskim uniwersytecie. Ten energiczny i przedsiębiorczy człowiek miał w sobie prawdziwe cechy przywódcy, uczciwego, solidnego i dbającego o swoich ludzi.

Już w Buchcie Nachodce doszła do moich uszu nazwa Kołymy, kraju podbiegunowego, gdzie znajdowały się bogate pokłady złota. Pierwsze informacje, jakie do nas docierały przyjmowaliśmy z rezerwą, bo w istniejących warunkach nie sądziliśmy, że ten mógł kiedykolwiek być następnym miejscem naszego przeznaczenia. Kiedy wpakowano nas na okręt zdaliśmy sobie sprawę z tego, że znaleźliśmy się w transporcie przeznaczonym do kraju z którego nikt nie wraca. Nam, Polakom, było trudno pogodzić się z taką myślą. Transportowanie więźniów rosyjskich w tamtym kierunku mogło mieć swoje uzasadnienie, ale skierowanie nas do kraju złota i śmierci już po rozmowach polsko-sowieckich nie mieściło się w logice naszego rozumowania.

Łagodna pogoda pierwszego dnia podróży nagle ustąpiła miejsce niespodziewanej morskiej burzy. Wpierw rozpoznaliśmy ją po gwałtownym kołysaniu się statku, a potem doszły do nas informacje od strażników, że "bolszja kaczką" rozszalała na wodach Morza Japońskiego. Nikt z nas nie miał tyle doświadczenia morskiego, aby zdawać sobie sprawę jakie mogą być skutki tej burzy. Opierając się na naszych szkolnych wiadomościach w dziedzinie geografii, niektórzy z nas doszli do zdania,



że rozszalały tajfun na Oceanie Pacyfiku dotarł do rejonu naszej podróży i nie zaoszczędzi nam niespodzianek oraz nowych doświadczeń życiowych.

Gwałtowne kołysanie się okrętu miało nieunikniony wpływ na moje samopoczucie. Żołądek, mimo małej zawartości odżywienia, dawał znać o sobie. Ponadto ostre bóle głowy spowodowały nagłe zawroty. Czułem, że wcześniej czy później pozbędę tak cennego jedzenia. Skutki podróży stały się widoczne, kiedy co pewien czas ktoś powyżej albo obok poddał się morskiej chorobie. Z nas dwóch Tadzio był pierwszym uległ tej chorobie. Ja niedługo potem poszedłem za jego przykładem.

Siła wiatru coraz bardziej się zwiększała, a tym samym okręt zwiększał swoje wahadłowe ruchy. Co pewien czas czułem, jak przód statku podnosił się do góry, a później gwałtownie spadał jakdyby w pustą przestrzeń. Za każdym razem środkowe prycze w swoich powiązaniach odzywały się skrzypiącym głosem, jakdyby chciały nas ostrzec przed zbliżającym się niebezpieczeństwem. Nagle razem z gwałtownym ruchem okrętu do przodu środkowe prycze runęły w tym samym kierunku. Uczułem silne uderzenie deską po udzie i szybko skoczyłem na nogi. Na moich oczach splot desek i nagich ciał zaczął się ruszać i mieszać przy głośnym i rozpaczliwym wołaniu ludzi przygniecionych ich ciężarem. W luce powstała panika.

Moją pierwszą reakcją było spojrzenie skierowane w kierunku Tadzia. On leżał na podłodze przygnieciony deską, starając się wydostać z tej trudnej i niebezpiecznej sytuacji. Chwyciłem za koniec deski i lekko podniosłem ją do góry. Tadzio ostatecznie wydostał się z pod tego rumowiska. Będąc na przejściu, w pewnej chwili zostałem porwany przez ludzką falę, która poniosła mnie w kierunku schodów. Pod ciężarem uciekających schody nagle runęły tuż przede mną. Więźniowie, którzy

wcześniej wydostali się nazewnątrz, zaczęli rękoma wyciągać innych na pokład. W pewnym momencie kilka par rąk chwyciło mnie i znalazłem się w piekle szalejącego morza.

Ubrany tylko w kalesony, poczułem na sobie nawałę zimnej morskiej wody, uderzającą o mnie, jakgdyby z chęcią wrzucenia mnie do morza. Natychmiast chwyciłem się jakiegoś sznura, aby utrzymać równowagę. Obok mnie moi współtowarzysze też trzymali się kurczowo sznurów, albo innych trwałych części pokładu. Ciężki okręt co pewien czas zanurzał swój przód w wodzie, a następnie podnosił się na wysokiej fali, jakgdyby chciał otrząść się z wody. Szczęśliwie w ostatniej chwili przed porwaniem mnie przez ludzką falę chwyciłem za koc i kurtkę, które w odpowiednim momencie narzuciłem na siebie. Podczas gdy inni dygotali z zimna, jak miałem pewną ochronę zimnem i wodą. Koc oddałem jednej z najbliższej mnie osobie, a sam trzymałem się zwoju lin całą siłą moich rąk, aby nie być zmytym do morza.

W przerwach między uderzeniami fal ludzie biegali tam i z powrotem na wprost obłąkani ze strachu i zimna. Niektórzy modlili głośno, inni płakali a jeszcze inni prosili strażników w budce przy wejściu, aby wpuścili ich do środka. Dwaj strażnicy kolbą odpychali każdego kto się tylko do nich zbliżył. Kilku wdarło się siłą, kiedy bojcy odpychali pchających się z boku. Widząc to, wczekałem odpowiedniego momentu i skoczyłem do środka luki. Pręczy stały już w pozycji pionowej.

Natychmiast rozglądałem się za Tadziem. Chodząc po przejściu niespodziewanie usłyszałem jego głos z góry. On zdążył już zająć miejsce na najwyższym poziomie przycz, tuż pod samym otworem do luki. Dla mnie też tam znalazło się trochę wolnego miejsca, za co byłem mu bardzo wdzięczny. W tej sytuacji otworzyły się przed nami lepsze perspektywy dalszej podróży - świeże powietrze, większa swoboda ruchów i bliskość

miejsca przez które wydawno żywność i wodę. Tadzio też zasłużył sobie na moją głęboką wdzięczność za przechowanie moich osobistych rzeczy, które nie zdołałem zabrać ze sobą.

Kiedy burza nieco się uspokoiła i kiedy rozejrzałem po pryczach dokoła mnie, odniosłem wrażenie, że w luce przybyło nieco wolnej przestrzeni. Oczywisty wniosek był taki, że pewna ilość więźniów ubyła z luki. W czasie runięcia prycz musieli być ranni i zabici, których w jakiś sposób usunięto nazewnątrz. Chyba tylko dla tej przyczyny Tadzio i ja dostaliśmy lepsze miejsca na pozostałą część naszej podróży.

Siedząc na najwyższym poziomie pryczy, z widokiem nazewnątrz przez otwór luki, zdołałem zapoznać się z pewnymi drobnymi szczegółami okrętu. Już wcześniej wiedziałem, że towarowy statek, jaki wiózł nas na Kołymę, nosił nazwę "Dżurma". Od kogoś nawet dowiedziałem się, że jego wyporność wynosi od 8-10 tysięcy ton. Przez otwór zdołałem wyczytać dodatkowe informacje, zanotowane na dolnej części masztu. Tam wyczytałem nazwę Antwrpia, co wskazywało, że okręt był zbudowany w dokach Schilde i może nawet przez pewien czas należał do jakiejś belgijskiej kompanii okrętowej. Obok tego były inne odciski w maszcie, ale tego nie zapamiętałem.

Po ośmio-dniowej podróży morskiej zawinęliśmy do portu Nagajewo na wybrzeżu Morza Ochockiego. Faktycznie ten malutki port był częścią stolicy Kołymy, Magadanu. Nazwa ta była już nam znana, ale dopiero w najbliższej przyszłości mieliśmy się zapoznać z tym podbiegunowym miastem.

Kiedy wyszliśmy z ciemnych i dusznych luk okrętu zostaliśmy przywitani pięknym letnim a jasnym słońkiem. Przed naszymi oczyma ukazał się krajobraz cichej i spokojnej zatoki, ledwie tkniętej przez

cywilizację człowieka. Na dalszym planie, przez wodę, ukazały się szczyty wysokich gór, lekko przyprószone zielenią u dołu i pokryte czepkiem czystego białego śniegu u góry. W innych okolicznościach byłoby wiele pięknych widoków do oglądania. Czyste niebieskie niebo, cudne szaro-zielone morze i orzeźwiający powietrze - to niezapomniane wrażenie, jakie odniosłem po wyjściu ze zgniłej, cuchnącej i przepelnionej luki okrętowej. Niestety była to tylko krótka chwila miłego wrażenia, jakim Kołyma nas przyjęła.

Widok oficerów NKWD na poziomie portu, krzyk strażników i szara masa więźniów na portowym podwórku - to był obraz twardej rzeczywistości. Wkrótce my też zajęliśmy siedzące miejsca za żwirowanej przestrzeni portu. Podczas tego czekania ujrzałem znajomą mi twarz Romka Wójcickiego. Powitaliśmy się kiwaniem ręki na odległość. Szukałem za innymi znajomymi mi twarzami z wolnej przyszłości, ale w olbrzymiej masie ludzkiej rozpoznanie pojedynczego człowieka było szukaniem za szpilką w stogu siana.

Wkrótce rozpoczęliśmy sześć-kilometrowy marsz do Magadanu. Kolumna więźniów rozciągnęła się na długość całej drogi, okrążającej część zatoki. Tadzio i ja stale trzymaliśmy się razem, uważając na to, aby nikt nas nie rozdzielił. Po drodze ukazał się przed nami przykry widok szarych drewnianych baraków, zawieszonych na stromej ścianie wybrzeża, wznoszącego się gwałtownie od morza ku niebu. Kolczaste druty i strażnicze wieżyczki wyraźnie wskazywało na to jakie było przeznaczenie tych marnych budynków. Kilka kilometrów dalej ukazał się następny kompleks baraków o nieco innej konstrukcji. Jak później dowiedziałem się były to olbrzymie składy zaopatrzeniowe na całą Kołymę. Dookoła nich wieżyczki, baraki strażników i szeroka brama - wszystko otoczone kolczastym drutem, jakby w obawie, aby ten zestaw



przypadkowo się nie rozleciał. Po drodze kilka innych zestawów podobnego rodzaju, ale mniejszych w wymiarze i na uboczu inny rodzaj baraków, a przed nimi masa więźniów, czekających na swoją kolejkę do następnej procedury powitania nas na lodowatej ziemi. Bojcy powiedzieli nam "eto bania". Z doświadczenia wiedzieliśmy jej, że w zakres działalności tej sanitarnej instytucji wchodziły odwszenie naszych ubrań i umycie się pod prysznicą małym kawałeczkiem szarego mydła.

W końcu przyszła kolejka na nas. Na wstępie otrzymaliśmy rozkaz pozostawienia osobistych rzeczy na miejscu, z wyjątkiem ręczników, chustek do nosa i osobistych drobiazgów. Nie wszyscy byliśmy chętni podporządkowania się temu zarządzeniu. Niektórzy darli swoje ubrania i buty, inni starali się przemycić je w zawiniętych ręcznikach. Tadzio i ja wyciągnęliśmy swoje lepsze ubrania z worków, zawinęliśmy je w ręczniki i bezboleśnie przeszliśmy kontrolę przy drzwiach do "bani".

Po godzinie wyszliśmy nazewnątrz z tego budynku, ogoleni z każdej części naszego uwłosienia, umyjni w zimnej wodzie ledwie funkcjonującego tuszu i w nowo-wydanym nam ubraniu więziennym. Twarz byliśmy wszyscy równi i jednakowi, ubrani w kufajki, buszłaki i granatowe czapki. Dziwnym zbiegiem okoliczności na podwórku spotkaliśmy się z całą grupą Buczaczan. Romek Wójcicki, Paweł Januszewski, Kazimierz Vidak , młody Urbański, Siwak z Podzameczka, Tadzio Warszylewicz i ja znaleźliśmy się w tej samej grupie maszerującej do następnego celu - do tranzytki magadańskiej.

W czasie marszu przyglądaliśmy się bliżej stolicy Kołymy. Widok był niewielki - kilka murowanych budynków, szereg małych drewnianych domków i boisko sportowe, gdzie kilkunastu komsomolców grało w siatkówkę. Wówczas przypomniały się nam zawody tego sportu we Lwowie. Z naszej gimnazjalnej drużyny nas czterech maszerowało po żwirowanej

ulicy, życząc sobie, aby nam wolno było uprawiać tą gałąź sportu ponownie. Ale zamiast tego przed nami stała otwarta naościęż brama tranzytki, gdzie mieliśmy rozpocząć podróż do nieznanym nam terenów Północy - do osławionych łagrów przy kopalniach złota, gdzie zima trwała tylko dziewięć miesięcy, a potem piękne lato trwające w nieskończoność. Tak mawiali rosyjscy więźniowie, aby drogą paradoksu ubrać Kołymę w szaty niewinnego żartu.

Przy bramie powitał nas strażnik wydaniem kartek na zupę. Z kuponem w rękę udaliśmy się w stronę kuchni i otwartej jadalni. Na każde osiem osób wydano miskę zupy - szarej wodnistej zrobionej na owsie i rybie. Do jedzenia trzeba było ustawić się w kółko przy urządzeniu przypominających mały i wysoki stolik i kolejno czerpać łyżką swoją należność strawy. Do spania wyznaczono nam jeden z długich baraków o dwu-poziomych pryczach, oczywiście solidnie zawszonych i zapluskwionych. Jednak w porównaniu z okrętem wolnej przestrzeni było tu dużo. To był pewnego rodzaju komfort, jakiego nie znaleźliśmy od długiego czasu. Tadzio i ja odszukaliśmy resztę Buczaczan i razem ułożyliśmy się na jednej pryczy.

Następnego dnia, od wczesnego ranka i po wydaniu takiej samej zupy oraz porcji chleba, aparat obozowy rozpoczął pracę nad rozlokowaniem nowo-przybyłych niewolników do nieznanym nam miejsc w północnej części kraju. Widok urzędnika, list w jego rękę, wyczytywanie nazwisk i ładowanie po pięćdziesięciu ludzi na ciężarówkę powtarzało się co kilka godzin w miarę przybywania środków transportowych. Z naszej buczańskiej grupy przez dłuższy czas nie wywołano nikogo. Pierwszym, który nas opóścił był Pawełek Januszewski, szczęśliwie nie do obozu pracy. Naskutej ropiejących nóg z powodu skorbutu skierowano go do szpitala. Wśród pozostałych Siwak, Urbański i Vidak też mieli swoje

zdrowotne niedomagania. Każdy z nich cierpiał na kurzą ślepotę - o zmroku i nocą oni niczego nie widzieli. Ich niedomagania nie były uznawane za chorobę wymagającą szpitalnego leczenia. Przez kilka dni wywoływano więźniów do transportu, ale nas Buczaczan jakoś nie tykano.

Na kilka dni pewną grupę Polaków przeniesiono do dolnego obozu No.4 po drugiej stronie rzeczki, a nas między nimi. Tutaj używano nas do robót przy nowo-budowanych barakach i przy kopaniu rówów w porcie. Przez ten krótki okres Tadzio i ja wciąż trzymaliśmy się razem. Tutaj też udało się nam sprzedać nasze ubrania Rosjanom za mało wartościowe ruble. Posiadając pieniądze zakupiliśmy po bochenku chleba w obozowym sklepiku. To stworzyło w nas fałszywe przekonanie, że sklepiki i chleb w obozach są naturalnym zwyczajem. Niestety możliwość nabycia tak cennego artykułu jak chleb zdarzyła się tylko raz i nigdy już się nie powtórzyła.

Po powrocie na tranzytkę byliśmy znowu wysyłani do różnych robót na terenie miasta. Te roboty głównie odnosiły się do mnie, bo Tadzio i Romek zostali wyczytani wcześniej i i wyjechali w głąb kraju jednym z czekających przed bramą wozów ciężarowych. W czasie tego czytania moje nazwisko było też wymienione, ale ktoś inny się odezwał i on wsiadł do wozu. Byłem zawsze przekonany, że w tym miejscu zaszła pomyłka naskutek nieuwagi urzędnika i że ktoś inny, o moim nazwisku, wyjechał z tą grupą do której długo należałem.

Kolejka na następne wywołanie mego nazwiska przyszła dopiero 4go sierpnia rano. Całą grupę ludzi, składającą się z różnych narodowości, w tym pięciu Polaków, załadowano na wóz i pod strażą bojców wysłano w głąb kraju. Podróż w ścisiku, podczas której jeden drugiego stałe stukał kolanami, była niezwykle uciążliwa i męcząca. Jechaliśmy

przez kraj niemal zupełnie pusty, górzysty i o ubogiej roślinności. W dolinach często widziało się całe połacie wyschniętych lasów, widocznie wymarzętych, czasami rzeczki wciąż pokryte lodem, i zawsze skaliste zbocza gór, których szczyty były pokryte płatami białego śniegu. Jednym z większych urozmaiceń krajobrazu były łagry pracy, spotykane co kilkadziesiąt kilometrów. Jadąc dzień i noc, w ciągu doby przejechaliśmy ponad 400 kilometrów w kierunku północno-zachodnim od Magadanu. Rankiem dotarliśmy do jakiejś rzeki, gdzie kończyła się droga i gdzie tylko prowizoryczna kładka prowadziła na drugą stronę. Od tego miejsca resztę drogi do łagru musieliśmy odbyć na piechotę.

Na rozmokłej ziemi po drugiej stronie rzeki widać było ślady traktora, które służyły nam jako wskaźniki kierunku naszej drogi. Niewątpliwie ten ciężki pojazd pozostawił tam swoje ślady, kiedy ziemia była jeszcze nawpół zamarznięta. Jedyne bojec, jaki nas konwojował, wydawał się być wyrozumiałym wobec nas człowiekiem. Wiedząc o tym, że nie dostaliśmy żadnej racji żywnościowej od wyjazdu z Magadanu, pozwalał nam na zrywanie borówek z krzaków rosnących nad rzeką. W porze południowej nawet pozwolił nam na kąpiel w czystej wodzie rzeki. Wskoczyłem do niej z entuzjazmem młodego człowieka, ale jeszcze szybciej z niej wyskoczyłem. Woda była lodowato zimna. Pod koniec marszu zabłądziliśmy w tajdze. Tylko dzięki jakiemuś więźniowi z komanderówki weszliśmy z powrotem na właściwą trasę.

Do łagru dotarliśmy dopiero o zmierzchu. Zaraz po przyjsciu uraczono nas kolacją, która składała się z kawałka chleba i miski wodnistej owsiane zupy. Na nasze wygłodniałe żołądki było to absolutnie za mało, ale przepisy obozowe nie przewidywały specjalnych racji dla głodnych. Do spania wyznaczono nam barak bez dachu, który w czasie dnia służył za stołówkę. Szczęśliwie przybyliśmy do obozu w okresie



lata, kiedy deszcze prawie się nie zdarzały. W czasie podróży zaprzyjaźniłem się z Jankiem Kubasem z Jagielnicy, młodym kapralem z jednego z pułków piechoty. Tej nocy, przykładem innych, dzieliliśmy wspólne łoże na twardych deskach podłogi. Jedną z kurtek /buszłaków/ użyliśmy jako materac, a drugim przykryliśmy się jakgdyby kocem. Dla zachowania ciepła spaliśmy plecami do siebie.

Następny dzień z łaski komendanta obozu był dla nas dniem odpoczynku. Wykorzystałem ten czas do zapoznania się z obozem. W pierwszym rzędzie dowiedziałem się, że ten obóz pracy na syberyjskim pustkowiu nazywał się PRYISK PIONIER. Słowo "PRYISK" w moim zrozumieniu oznaczało skrót wyrażenia określającego kopalnię złota. W czasie tej inspekcji zauważyłem, że żaden z baraków nie posiadał solidnego dachu. Dwa z nich były pokryte korą, co było pewną ochroną przed deszczem i śniegiem. Niedociągnięcia te tłumaczono tym, że obóz istniał dopiero dwa lata i na wykończenie nie było jeszcze czasu. W pośrodku dwóch zamieszkałych baraków stały piecyki blaszane, a po obu stronach stały dwupiętrowe prycze. My nowo-przybyli niestety nie byliśmy uprawnieni do korzystania z tych "wygód". Naszym mieszkaniem pozostała nadal stłówka bez dachu.

Zewnątrz obóz był otoczony rzędem kolczastych drutów i przepisowo na każdym rogu stały strażnicze wieżyczki. Gdzieś w kącie był karczer dla "niepoprawnych" i obok niego składnica trupów, którą wykorzystywano w ciągu zimy, kiedy nie można było kopać dołów w zamrzniętej ziemi. Od strony kopalni prowadziła do obozu szeroka brama z napisem u góry "Ojczyzna potrzebuje metalu". Obok niej po stronie obozu były dwa mniejsze pomieszczenia na strażnicę i kancelarię obozową. Obóz i kopalnia mieściły się w dolinie małej rzeczki, rozlewającej się po płaskim terenie kopalni. Po jej obu stronach wznosiły się wysokie

góry, u podóża których rosły drzewa szpilkowe. Nieco wyżej rozpoczęła się pasmo krzewów, następnie stroma przestrzeń szarych skał i na samej górze bielity się płaty śniegu. Na zboczach zwróconych ku północy roślinność była bardzo uboga. Tu widziało się wiele uschniętych drzew, które prawdopodobnie ginęły kiedy ich korzenie doszły do głębokości wiecznie zamarzniętej warstwy ziemi.

Między zboczami ciągnęła się płaska przestrzeń na szerokość 300-400 metrów. Przednia jej część była oczyszczona z drzew i stanowiła główny rejon kopalni, reszta w górę rzeczki była jeszcze zarośnięta lasem. Na zewnątrz obozu było kilka specjalnych zabudowań. Na górze tuż przy drutach mieścił się barak z przeznaczeniem dla strażników. W dolnej części, blisko kopalni, stało kilka ziemianek-szałasów, w których mieszkali tzw. "wolniaszki". Byli to ludzie, którzy odbyli swoją karę, ale nie mieli pozwolenia na powrót do swoich domów. Jeśli ktoś upierał się i żądał odesłania go do jego rodzinnej miejscowości, wtedy wyszukiwano dla niego inny paragraf i szedł z powrotem do obozu. Takich, którzy odsiedzieli karę, było ledwie kilku. Większość więźniów wymierała z głodu, zimna i choroby w ciągu zimy. W ciągu lata, gdy morze było otwarte, przychodziły uzupełnienia, tak samo przeznaczone na wymarcie.

W pierwszym dniu też zapoznałem się z tak ważnym punktem mego istnienia jak racja żywnościowa. Wielkość racji była różna i uzależniona od wydajności danego więźnia. Ten kto wyrabiał pełną normę na kopalni dostawał 800 gramów chleba, kto osiągał przeciętną otrzymywał 600 gramów, a pozostali musieli zadowolić się 400 gramami. Te racje odnosiły się tylko do letniego okresu, w zimie wszystkie były obniżone do 200 gramów. Zmiany w obniżaniu racji uzasadniano tym, że wykonywanie lekkiej pracy jak odrzucanie śniegu i rabanie drzewa nie wymaga

lepszego odżywiania. Przy tak głodowych racjach i przy mrozach sięgających 70 stopni Celsjusza poniżej zera, człowiek nie mógł utrzymać się przy życiu. Opowiadano mi, że w zimie ludzie zamarziali siedząc przy ogniu, wielu zaś odmrażało kończyny, co kończyło się z reguły radykalnym obcinaniem zamarzniętych części ciała. Jak się później dowiedziałem, co roku zbierano w Magadanie około tysiąca takich inwalidów i odsyłano ich do południowej Syberii dla odbycia dalszej kary. W okresie letnim również wydawano trzy gorące posiłki dziennie, składające się z miski z rzadkiej owsianej zupy i kawałka śledzia. Zimą wydawano tylko dwa i wybitnie zmniejszone posiłki.

Pierwszą pracą do jakiej wyznaczono nowo-przybyłych było gaszenie pożaru w tajdze. Pożary takie zdarzały się w ciągu lata, naskutek niestrożności ludzkiej. Więźniowie przydzieleni do komanderówek w lesie dla specjalnych zadań rozpalali ognie i nie gasili ich przed odejściem. Od ogniska zapalał się torf, a następnie drzewa i krzewy. Jeśli pożar nie zagrażał żadnemu obiektowi, zbudowanemu przez człowieka, nikt się i niego nie troszczył. Po dojściu do rzeki lub bagna, ogień wygasał siłą rzeczy. W naszym wypadku wiatr wiał w kierunku obozu i trzeba było pożar zahamować. Łopatami zrywaliśmy torf na szerokość jednego do dwóch metrów i wyrąbywać drzewa w nakazanym pasie. Po stworzeniu takiej zapory ogień poszedł w innym kierunku, a my wróciliśmy do obozu.

Następnego dnia rano przydzielono nas do brygad pracy na kopalni złota. Każdy z nas dostał przydział do "zwienia", najmniejszej komórki pracy, złożonej z pięciu ludzi. Normą dzienną dla "zwienia" było wykopanie 10 metrów kubicznych ziemi i przewiezienie jej taczkami po wąskiej kładce do płuczkarki /butary/. Praca była niezwykle ciężka i dla mnie absolutnie niemożliwa do wykonania. Wpierw wziąłem się do

taczek, ale już z pierwszą przewróciłem się po zrobieniu ledwie kilku kroków. Z konieczności wziąłem się do kopania iłu. To też nie szło mi zbyt składnie. Kopanie było tym trudniejsze, że ziemia rozbita kilofem szybko ponownie tężała. W tym dniu prawdopodobnie nie wyrobiłem więcej niż ćwierć normy. Moja najbliższa przyszłość na kopalni zapowiadała się bardzo minorowo.

Przy okazji zapoznałem się z metodą wydobywania złota. Sposób był raczej prymitywny i polegał na pracy ludzkiej i wyczerpaniu naturalnej siły wody spływającej z lodowca. Kopanie ziemi kilofem, ładowanie jej na taczki i przewożenie do pasa transmisyjnego należało do zadań więźnia niewolnika. Pas przenosił ją do rynny z szybko biegnącą wodą, która w swoim biegu dzieliła ją na złoto i brud. Brudna woda i kamienie spadały dalej od końcowego urządzenia, zwanego butarą, a złoto, jako cięższe w wadze, usadowiało się bliżej pod zasłoniętą jej częścią. Według zdania moich współpracowników dwie zmiany, dzienna i nocna, dziennie wydobywano około 4 kilogramów złota.

Innym sposobem wydobywania złota była bardziej prymitywna, ale bardziej wydajna metoda. Praca ta zarezerwowana wyłącznie dla kilku "wolniaszków" polegała na wypłukiwaniu samorodków w małej rynience nieco powyżej biegu strumyka. Samorodki podobno dochodziły do wielkości 25 gramów, za które pracownik otrzymywał po 25 rubli za gram. W myśl obozowych pogłosek największy samorodek znaleziony w tej kopalni ważył 80 gramów. Znalezionego złota nie wolno było zatrzymywać dla siebie - za to groziła kara śmierci, co z reguły zamieniano na dożywotnie roboty.

Po kilkudziennym borykaniu się z łopata i trudną do rozbicia ziemią, skorzystałem z pierwszej nadarżającej się okazji, aby zmienić rodzaj zajęcia. Kiedy kierownik zapotrzebował kogoś do odrzucania kamieni



z pod butary, na ochotnika zgłosiłem się do tej pracy. Zadanie nie było łatwe i absolutnie za duże jak na moje siły. Na tej pracy nie pozostałem długo. Przy następnej nadarzającej się okazji zgłosiłem się na ochotnika do czerpania wody z dołu do rynny. Tym razem zadanie było łatwiejsze. Jego dobrą stroną było to, że mogłem odpoczywać, kiedy strażnik miał oczy zwrócone w inną stronę.

Jednego w ciągu moich pierwszych dni na kopalni władze obozowe oficjalnie podały nam, Polakom, do wiadomości o umowie jaką Rząd Polski w Londynie zawarł z Władzami Sowieckimi. Mocą tej umowy my szczęśliwcy mieliśmy być zwolnieni z łagrów i więzień. Kilka dni potem, jakby na dowód tego trzech z nas - Siwaką, Milera i mnie przydzielono do wyrąbu lasu, co w ocenie obozowej należało do lżejszej pracy. W grupie tej znalazło się trzech Polaków - Siwak, Miller i ja. Mimo, że byłem najmłodszy wśród nich, mnie wyznaczono na przywódcę grupy, czyli tzw. "zwienowego".

Praca przy drzewie była istotnie lżejsza niż w kopalni. Norma jednak była za wysoka na nasze siły - 15 metrów kubicznych drzewa na nas trzech dziennie. Tej normy wprawdzie nigdy nie wyrobiliśmy, ale nasze osiągnięcia były wyższe od innych grup, co wyrobiło nam dobrą markę u brygadiera Suworowa. Często uciekaliśmy się do oszustwa przez zaliczanie do dziennej pracy stosów z dnia poprzedniego przez odcinanie znaków robionych przez brygadiera.

Nasze obowiązki przy drzewie co pewien czas ulegały zmianie w zależności od potrzeb obozowych. Przez kilka dni ścinaliśmy drzewo na budulec i deski, cięte w tartaku, który mieścił się w lesie w górę biegu rzeczki. Deski te następnie nosiliśmy do kopalni lub do baraku strażników. Po wykonaniu specjalnego zadania wracaliśmy ponownie do wyrąbu lasu.

Podczas tej pracy zapoznałem się bliżej z osobą dawnego carskiego a później rewolucyjnego oficera, Kuźniecowa. Jego stałym i stosunkowo łatwym zajęciem było ostrzenie pił i siekier. Kiedy dowiedział się, że ukończyłem szkołę oficerską od razu nabrał do mnie szacunku i często wdawał się w rozmowę ze mną, kiedy przychodziłem do niego ze sprzętem do ostrzenia.

Podczas moich dni, jeszcze z przed przydzieleniem do wyrębu lasu, wezwano mnie do lekarskiego badania. Lekarzem była młoda kobieta, która co pewien czas objeżdżała podległe jej obozy. Po zbadaniu mego stanu zdrowia ta młoda osoba do szkalnej miarki dozę tranu i dała mi do wypicia. Kiedyś w dzieciństwie nikt nie mógł mnie zmusić do picia tego wstrętnego płynu. Natomiast w obozie, kiedy moje ciało było pozabawione właściwego pokarmu, połknąłem dawkę z dziką przyjemnością i od razu poczułem odżywcze jej działanie.

Jeszcze inną osobą, którą poznałem w tym obozie, był grubo starszy ode mnie wiekiem kucharz Iwan, pochodzący z rosyjskiej Ukrainy. Pewnego wieczoru on zwrócił się do mnie z propozycją narąbania mu drzewa do kuchni. Na współnika wziąłem Janka Kubasa i narąbaliśmy tyle ile kucharz potrzebował. Za to dostaliśmy po misce owsianej zupy, nie rzadkiej i wodnistej, ale tej gęstej z samego dnia kotła. To samo powtórzyło się się dnia następnego, co dla nas wygłodniałych było niezwykłą gratką. Trzeciego dnia kucharz wciągnął mnie do kuchni do mycia garnków i kotłów. Odtąd w godzinach wieczornych pracowałem w kuchni, co nie było zbyt męczące i co dawało mi okazję do napełnienia mego żołądka gęstą zupą. Równocześnie przy nadarzających się okazjach kradłem sledge i rano wynosiłem je do pracy, gdzie dzieliłem się nimi z moimi kolegami.

Niedługo mną i Iwanem, po pewnym czasie, zawiązały się przyjazne

stosunki. Często wieczorami, po zamknięciu kuchni, siadaliśmy na progu i prowadziliśmy pogawendki - najczęściej na temat stosunków w Polsce oraz jego osobistych przeżyć podczas wielkiego głodu na Ukrainie. Rozmowy tego rodzaju prowadziliśmy tylko wtedy, kiedy wokół nas nie było świadków. Iwan musiał mieć zaufanie do mnie, bo zwierzał się przede mną z wielu ze swoich przeżyć, które napewno nie zwerzyłyby swoich rosyjskim współ-więźniom.

Pewnego razu ktoś doniósł starszemu kucharzowi, że ja wynoszę śledzie z kuchni. Ten z miejsca chciał mnie wyrzucić z tej dodatkowej i tak ważnej dla mnie pracy. Iwan stanął w mojej obronie i tylko dzięki niemu pozostałem na miejscu. Nieoficjalnie mój przyjaciel dał mi do zrozumienia, że powinienem być bardziej ostrożny w wyciąganiu śledzi z beczki. Urządziłem się więc w ten sposób, że po opłukaniu śledzi pozostawiłem kilka na dnie naczynia z brudną wodą. Wanienkę tą wynosiłem za barak, gdzie on zabierał tą cenną zdobycz ode mnie. Czasami kradzione śledzie chowałem za rogiem baraku i zabierałem je dopiero wtedy, kiedy po pracy szedłem spać do baraku bez dachu.

W połowie sierpnia rozpoczęła się pora deszczowa. Drobny, dokuczliwy deszcz mżył bez ustanku przez całe osiem dni. Był to chyba najgorszy okres mego pobytu w kopalni. W pierwszych dniach wciąż mieszkaliśmy w stołówce bez dachu - mokliśmy więc w ciągu dnia i nocy. Pierwszej nocy zrobiłem mały daszek z kory, który umocowałem do ściany nad sobą. To niewiele pomagałem - siedziałem skurczony pod korą i życzyłem sobie, aby dzień jak najszybciej przyszedł. Moim marzeniem było rozpaść ogień i przynajmniej częściowo wysuszyć ubranie. Rano mokry do nitki poszedłem do pracy. Pod rozłożystym drzewem rozpaliliśmy duże ognisko, przy którym odrazu się przysiadłem. Siedząc tam niemal wlałem w ogień i w rezultacie wypaliłem dziury w kurtce i butach.

Następne dwie doby były podobne do pierwszej. Dopiero na czwartą noc pozwolono nam wnieść się do dwóch baraków pokrytych korą i zająć tam miejsca tych, którzy pracowali na nocnej zmianie. Wprawdzie tutaj woda też przenikała do środka, ale kora, prycze i sienniki dawały nam przynajmniej częściową ochronę przed deszczem. Ulokowałem się razem z Kubasem na dolnej pryczy i tam przetrwaliśmy resztę okresu deszczowego.

Po nieustannej osmio-dniowej słocie dowództwo obozu wreszcie zdecydowało się na pokrycie dachów deskami. W związku z tym przybyła nam jedna dodatkowa robota. Wieczorami, po pracy, musieliśmy wędrować conajmniej jeden kilometr w górę rzeczki, do tartaku napędzanej wodą, i na barkach nieść deski do obozu. Pokrywanie dachów rozpoczęło się od starych baraków, które my dzieliliśmy z nocną zmianą. Kolejka na stołówkę miała przyjść później.

Wkrótce zaczęły się mrozy i z tą chwilą zaczęto palić w piecykach barakowych. To pozwoliło nam na powolne wysuszenie naszych ubrań. Mróz miał też drugą dodatnią dla nas stronę. Przed deszczem przekleństwem naszego życia była drobna muszka, która pchała się do oczu. Ci, którzy nie mieli albo nie dostali ochronnych siatek chodzili z opuchniętymi oczyma i prawie z tej przyczyny niewidomi. Wkrótce siatki te stały się cennym przedmiotem w obozie i dlatego kradzieże tych przedmiotów były na porządku dziennym. Groźny mróz, który był zapowiedzią zbliżającej się zimy zniszczył wszystkie muszki i komary. Życie było zimne i chłodne ale wolne od dokuczliwych pasorzytów.

Podczas mego długiego obcowania z lasem zauważyłem niemal kompletny brak dzikiej zwierzyny i ptaków. Jedynym stworzeniem, jakie od czasu do czasu ukazywało się na drzewie była ciemno-brązowa wiewiórka, którą nazywano "burunduk". Podczas zimy, jak mi mówiono, do obozu podchodziły



niedźwiedzie, na które strażnicy urządzali polowania. Prawdopodobnie chodziło tu o początki zimy, ponieważ w zimie niedźwiedzie śpią w swoich norach. Również słyszało się opowiadania o wilkach i białych królikach, które musiały ukazywać się po spadnięciu śniegu. Z opowiadań starszych więźniów słyszałem o łowieniu ryb w rzekach w czasie lata przez wbijanie w grzbiet żelaznego pręta i wyciąganie ich z wody. Nasza rzeczka była jednak za mała i płytka, aby pomieścić ryby. Prawdopodobnie ten rodzaj zdobywania dodatkowej żywności był przywilejem bojców i więźniów odkomenderowanych do specjalnych prac w tajdze. My zwykli więźniowie nie mielibyśmy takich uprawnień nawet gdyby ryba ukazała się w naszej rzeczce.

Zimny i mroźny dzień 3go września 1941 r. stał się jednym z najbar dziej pamiętnych dat w moim życiu. W godzinach popołudniowych jeden z funkcjonariuszy obozowych przyszedł do lasu i oznajmił nam, że pewna grupa Polaków zostanie zwolniona w najbliższym czasie. Moje nazwisko miało być na liście szczęśliwców. Wiadomość ta została potwierdzona wieczorem przez samego naczelnika, który wyczytał z listy pięć nazwisk: Kubasa, Radziszewskiego, Siwaka, Milera i moje. Równocześnie urzędnik ten kazał nam przygotować się do wyjazdu w następnym dniu. Słyszając te słowa czułem się jak nowo narodzony. Co za wspaniałe uczucie szczęścia i radości, kiedy człowiek skazany na zagładę dowiaduje się o swoim ułaskawieniu.

Na pożegnanie kucharz Iwan przygotował mi wspaniałą ucztę. Kiedy pracownicy opuścili kuchnię, on zaprosił mnie do wnętrza i uraczył mnie wspaniałą potrawą - makaron z roślinnym olejem. Za tym kryła się przyczyna, która wyszła na jaw dopiero w czasie mego delektowania się potrawą. Ten człowiek, wiekiem grubo starszy ode mnie, który tylko cudem jeszcze zachował się przy życiu, prosił mnie, abym przekazał wiadomość od niego do żony, kiedy opuszczę Kołymę. Powtarzałem jej

adres szereg razy, aby dobrze utrwalić go w pamięci. Zapisanie adresu na kawałku papieru było ryzykowne, ponieważ przy często stosowanych rewizjach taki zapisek mógł się stać wielkim problemem dla mnie.

Następnego dnia rano śnieg padał wielkimi płatami. Wszystko wokół pbozu wyglądało czysto i biało. Przed bramą obozową czekał na nas wóz ciężarowy, a w kancelarii naczelnik żegnał nas przyszłych "wolniaszków" krótką mową i uściskiem dłoni. Za chwilę byliśmy już na wozie i szczęśliwi jak dzieci rozpoczęliśmy powrotną drogę do cywilizacji. Przejeżdżając obok kopalni widzieliśmy po raz ostatni niewolników systemu sowieckiego kopiących ziemię. Wśród nich mogło być jeszcze kilku Polaków, którym życzyliśmy z całego serca, aby w najbliższym czasie los do nich też się uśmiechnął.

Znowu jechaliśmy tą samą trasą, którą wcześniej odbyliśmy na piechotę, ale która teraz stwardniała naskutek mrozu i uzupełniona nowowypudwanym mostkiem na rzece nadawała się do ruchu kołowego. Wóz ciężarowy dowiózł nas do dowództwa okręgu. Tu spotkały mnie dwie wielkie nieprzyjemności. Makaron z olejem, którym mnie Iwan uraczył, przyprawił mnie o krwawą biegunkę. Mój wycieńczony organizm nie mógł przyjąć ciężko strawnego pożywienia i zareagował na swój sposób w najmniej dla mnie odpowiednim czasie i miejscu. Ponadto przy wyczytywaniu mego nazwiska okazało się, że moje papiery odnoszą się do innej osoby o tym samym nazwisku. Po długich ceregielach, ktoś z urzędników postanowił wystawić mi nowe papiery i mimo wszystko wysłać mnie do Magadanu. Musiałem składać nowe zeznania, podpisywać oświadczenia i odbijać palce, ale ostatecznie opuściłem to miejsce z uczuciem wielkiej ulgi. Przypomniałem sobie wówczas mały epizod na tranzytce magadańskiej, kiedy moje nazwisko zostało wyczytane razem z nazwiskiem Tadzia Warszylewicz, ale ktoś inne na nie odpowiedział.

Dalsza podróż do Magadanu była powolna, zimna i uciążliwa. W czasie naszej jazdy upadł duży śnieg, który wcale nie ułatwiał nam życia. Przykryci kawałkiem worka tłukliśmy się na ciężarówce po nierównej drodze, ale wciąż szczęśliwi, że opuszczamy tajgę i kopalnię złota. Po dwóch dniach jazdy dotarliśmy do Magadanu i zawitaliśmy do znajomej nam bramy madagańskiej tranzytki. Tu zastaliśmy dużą grupę rozczarowanych Polaków. Transporty do Władywostoka odchodziły rzadko i ilościowo nie przekraczały stu ludzi. Zanosiło się więc na długie czekanie. Rozładowanie grupy pięciuset Polaków w tych okolicznościach mogło przeciągnąć się w nieskończoność. W związku ze zbliżającą się zimą i przewidywanym zamarznięciem Morza Ochockiego, przynajmniej niektórzy z nas mogli pozostać w Magadanie na zimę. Biorąc pod uwagę zmienność decyzji sowieckich władz, obawialiśmy się, że nasz wyjazd z Kołymy mógł się stać sprawą problematyczną. Jako więźniowie, wciąż w ich rękach, nie mogliśmy być pewni ich intencji, dopóki nie dostalibyśmy właściwych dokumentów i nie znaleźlibyśmy się na pokładzie okrętu odchodzącego do Władywostoku.

## VI. MAGADAN - KARNY LAGIER

Stolica Kołymy, Magadan, wciąż kąpała się w jesiennym słońcu, kiedy znalazłem się ponownie poza drutami magadanskiej tranzytki. Miejscowość ta dzięki swemu geograficznemu położeniu na wybrzeżu Morza Ochockiego przez cały wrzesień delektowała się ciepłem kończącego się kołymskiego lata. W takich warunkach klimatycznych siedzieliśmy na tranzytce i cierpliwie czekaliśmy sygnału od władz sowieckich, który zapoczątkowałby naszą powrotną podróż do zasadniczej części syberyjskiego lądu, którego wschodnią granicą był port Władywostoku.

Nasze bezczynne siedzenie, wprawdzie na zmniejszonej racji żywnościowej, musiało irytować władców Kołymy, bo pewnego dnia naczelnik obozu zaproponował nam pracę przy różnych robotach miejskich. Propozycja ta została przyjęta przez grupę chętnych Polaków, którzy w pracy poza drutami dopatrywali się pewnych korzyści, zwłaszcza w dziedzinie żywnościowej. Z grupy tej utworzono brygady i posłano do pracy w porcie i niedalekich magazynach żywnościowej. Istotnie ludzie ci wracali do obozu z dodatkową żywnością zdobytą różnymi sposobami. Po kilku dniach ja dołączyłem do nich. Wykonywany rodzaj pracy nie był zbyt ciężki. Wobec nas nie stosowano żadnej normy roboczej, a strażnik stał nad nami tylko dla pozorów, bo patrzył przez palce, jeśli ktoś oddalał się z miejsca pracy i kradł wytłoki soji z magazynu.



Pewnego dnia zapotrzebowano grupę ludzi, wielkości brygady, do niedalekiego od Magadanu obozu na zbieranie jagód i szyszek kosodrzewiny. Chętnie zgłosiłem się do tej pracy z myślą, że przy tej okazji będę używał sobie na jagodach i na nasionach z szyszek, które mogły być jedynym osiągalnym dla mnie źródłem witamin i roślinnego tłuszczu. Poprowadzono nas sześć kilometrów za miasto do obozu, zwanego farmą, i tam puszczono nas wolno w góry i do lasów z workami i wiaderkami w rękę. Szyszki wprawdzie zbierało się łatwo, bo było ich pełno na krzakach, ale w grę wchodziło też noszenie pełnych worków po górach. Dlatego zdecydowałem się na wiaderko i jagody. W zbieraniu jagód mnie wybitnie się poszczęściło. Często wracałem z pełnym wiaderkiem, co upoważniało mnie do lepszej racji żywnościowej. Przytym dowoli korzystałem z jagód, wprawdzie niesamowicie kwaśnych, ale cudowne w skutkach dla mego organizmu.

Pod koniec września zaczęły się dość silne mrozy i to było przyczyną, że nas z powrotem zaprowadzono do Magadanu. Na tranzytce zastaliśmy sytuację bez zmian. Wprawdzie podczas naszej nieobecności odszedł do Władywostoku transport wielkości około 125 ludzi, ale to nie wpłynęło wybitnie na zmniejszenie się stanu czekających Polaków. Dla nas było rzeczą jasną, że władze sowieckie nie spieszyły się zbytnio z odstawieniem nas do bardziej cywilizowanej części ich imperium.

Tego rodzaju postępowanie władz powodowało wiele niezadowolenia wśród niecierpliwie czekających wyjazdu Polaków. Ukryte uczucia ludzi wyszły na jaw, kiedy naczelnik obozu zwrócił się z apelem, abyśmy wszyscy poszli do pracy i w ten sposób pomagali Związkowi Sowieckiemu w jego zmaganiach się z Niemcami. Podczas burzliwego zebrania na podwórku w jego obecności, wielu zebranych sprzeciwiło się jego żądaniom. Takie zachowanie się więźniów nie mieściło się w mentalności

urzędnika sowieckiego systemu karnego. Naczelnik jednak zachował spokój i przyrzekł, że w swoim czasie będziemy zwolnieni, ale do tego czasu musimy pracować. Podobnie wyglądało następne spotkanie na podwórku obozowym z dwoma innymi oficerami NKWD, którzy w rozmowie z naszymi przedstawicielami przyrzekli zająć się naszą sprawą.

Tego dnia pewna grupa więźniów wyszła ochotniczo do pracy, a pewną ilość strażnicy zmusili do wyjścia. Obie grupy wróciły do obozu wcześniej. Po ich przyjściu ogłoszono w obozie, że w następnym dniu nikt nie pojdzie do pracy. Tego rodzaju zarządzenie można było różnie tłumaczyć. My polscy marzyciele przyjęliśmy to jako zapowiedź zmiany stanowiska władz magadańskich na naszą korzyść. W mniemaniu wielu był to wstęp do przygotowania nas do wyjazdu z Kołymy.

Nasze nadzieje okazały się jednak bezpodstawne. Rano, pierwszego dnia października, przed bramą tranzytki zjawił się oddział strażników, conajmniej w sile kompanii, oraz szczekające psy na uwięzi. Część bojców z krzykiem i hałasem wpadła do obozu, powypędzała więźniów z baraków i kazała im ustawiać się piątkami przed wyjściem. Każdą skompletowaną pięćdziesiątkę ludzi inni strażnicy przyjmowali pod swoją opiekę. Po bokach każdej grupy ustawiało się dwóch strażników z karabinami, a dwóch z psem na uwięzi ustawiało się z tyłu jako tylna straż. Grupa za grupą opuszczała rejon tranzytki, formując na żwirowanej ulicy długi orszak szarych nędzarzy. Znowu wspólny mianownik łagiernika wchłonał nas jako siłę roboczą w zakres tego więziennego terminu...a może nawet jako ludzki materiał przeznaczony na zniszczenie.

Na rozkaz oficera NKWD kolumna ruszyła do przodu przy krzykach bojców i przy ujadaniu psów. Będąc niemal przy końcu kolumny doliczyłem się dziesięciu grup, co łącznie zamykało się cyfrą 500 ludzi.

Podczas marszu doszukiwałem się w myśli o miejscu naszego nowego przeznaczenia. Zasadniczo były dwie możliwości - inny obóz w Magadanie albo ponowna podróż do kopalni złota, czyli miejsca kaźni zimna, głodu i śmierci. Kiedy czoło kolumny na przeciwległym zboczu doliny skręciło w lewo, w kierunku bramy największego kompleksu baraków w Magadanie, cel naszego marszu nie mógł być bardziej oczywisty.

Przed nami, na pagórku, stał czworokątny obóz, otoczony kolczastymi drutami i udekorowany strażniczymi wieżyczkami na rogach. Niektórym z nas jego nazwa była już znana. Był to 10 OŁP /Otdielnyj Łagiernyj Punkt/, który w bliższym określeniu oznaczał specjalny obóz pracy obsługujący potrzeby miasta. W dalszej interpretacji tej nazwy należało spodziewać się, że naczelnik obozu, pan życia i śmierci, nie będzie kierował się wobec nas specjalnie ludzkimi względami. Widok drutów i łagru znowu rzucił na nas cień niewolniczego życia, gdzie nasi przyszli władcy kierować się mogli żądzą wykorzystania naszego wysiłku do skrajnych możliwości człowieka.

Martwa natura tej podbiegunowej miejscowości w pełni uzupełniła szary i ponury widok odrutowanych zabudowań, widniejących na szczycie pagórka. Szara zamarznęta ziemia z lekka przypruszona śniegiem, nagie konary drzew luźno rzuconych po zboczu wzgórza, i głązy wystające ponad suche badyle jeszcze bardziej nadawały cechy martwoty ponuremu krajobrazowi północy. Na tle tego kolumna ludzkich szkieletów maszerująca w szrzyźnie pochmurnego dnia nastrajała widok kołymskiego pejzażu koszmarem łagrów i niewoli.

Pierwsze dni pobytu w lagrze nie należały do najgorszych i najbardziej tragicznych. W porównaniu z tranzytką 10ty OŁP należał do wyższej klasy obozów. Baraki niewątpliwie były lepiej zagospodarowane i posiadały lepsze urządzenia wewnętrzne, co z miejsca stwarzały perspektywy wygodniej-

szego życia. W każdym z nich posiadała dwu-pietrowe prycze, które pokryte były siennikami, wprowadzie cuchnącymi stechlizną mokrych wiór, ale zawsze wygodniejsze niż twarda deska. W przybudówce mieściły się umywalki, nie spotykane dotychczas przez nas umywalki z lodowato zimną wodą w zbiornikach, ale nadające się do użytku. Od tylnych drzwi prowadził chodnik do zewnętrznej wygódki - jeszcze jedno dotychczas nie znane nam urządzenie sanitarne.

Wielką, niezwykłą i bardzo przez nas cenioną niespodzianką było wydanie nam nowego zestawu więziennej odzieży. To niezwykle potraktowanie nas trudno było połączyć z realną sytuacją naszego niejasnego położenia. Prawdopodobnie najmniej racji w tym miały w tym przypuszczeni o naszym wyjeździe z Kołomy. W każdym razie w danej chwili najważniejszą sprawą dla nas był nowy i ciepły ubiór, składający się z kufajki, buszłaka i watowanych butów. Dla nas było to błogosławieństwem, a szczególnie dla tych, których stare i podarte łachy były w stanie kompletnego rozkładu. Ja szczególnie uważałem się za szczęśliwca, ponieważ wreszcie mogłem zastąpić wypalony buszłak i buty z dziurami na coś całego i ciepłego. Również byliśmy mile zaskoczeni przyznaniem nam najwyższych racji żywnościowych. Z chwilą nastania zimy racje z reguły były obniżane ale w naszym wypadku rzecz miała się odwrotnie. Z drugiej strony władze obozowe nie stawiały żadnych żądań pracy. Tylko sporadycznie wysyłano nas na zbocza wzgórz, aby nazbierać drzewa na opał do kuchni i baraków.

Podczas jednej z wypraw po drzewo, niespodziewanie spotkałem się twarz w twarz z Pawełkiem Januszewskim, moim kolegą gimnazjalnym. Dla mnie było to niezwykle miłe spotkanie, bo była to jedyna dusza wśród 500 więźniów pochodząca z moich rodzinnych stron. Pawełek wprowadzi nie był z nami na tranzytce, ale dostawiono go nieco później ze szpitala



Szpital więzienny w Magadanie nie bardzo mu pomógł. Szkorbut, zwany cyngą na Kołymie, jaki toczył jego ciało jeszcze przed moim wyjazdem na kopalnię, jeszcze bardziej teraz mu dokuczał. Codziennie widziałem jego opuchnięte i ropiejące nogi, które zmywał i opatrywał brudnymi szmatami.

Już w następnym dniu Pawełek postarał się o przeniesienie go do mego baraku. Ktoś odstąpił mu miejsce na górnej pryczy i odtąd staliśmy się bliskimi współtowarzyszami niedoli i dobrymi przyjaciółmi. Kiedy w jednym z następnych dni spisywano specjalności każdego z nas, namawiałem go, aby podał znajomość stolarstwa, aby być w grupie razem ze mną. Pawełek był jednak za uczciwy, aby kłamać nawet wobec swoich prześladowców.

Nasza sytuacja zmieniła się radykalnie tuż po spisaniu naszych specjalności zawodowych. Nasze początkowo wysokie racje żywnościowe zostały zmniejszone do 350 gramów chleba, dwóch misek zupy z wodorostów morskich i ćwiartki słonego śledzia. Następnie podzielono nas na robocze brygady i wysłano na roboty do miasta. Podczas naszego przebywania w obozie i względnej tolerancji władz wobec nas w Magadanie spadły dość duże śniegi i temperatura raptownie obniżyła się. To oczywiście stworzyło dla nas trudne warunki pracy, zwłaszcza dla brygad pracujących nazewnątrz.

Jako więzień znający się na stolarstwie zostałem przydzielony do brygady stolarskiej, której zadaniem była praca przy wykańczaniu nowo-zbudowanych domów mieszkalnych. Praca polegała na wstawianiu drzwi i okien i układaniu podłóg. Nie wielu z nas znało się na tej pracy i dlatego raczej udawaliśmy przed strażnikiem, że wykonywujemy powierzone nam zadanie. Kiedy bojec chował się do ciepłej budy nazewnątrz budynku, my najczęściej siedzieliśmy beczynnici.

Do mojego zwiena należał młody Żyd z Borysławia, który był niesamowicie wychudzony i wyglądał przestraszająco nędznie. W czasie bezczynnego siedzenia na deskach podpatrzyłem jak jakiś Rosjanin pobiegł za budkę na podwórku z workiem pociętego drzewa na plecach. Po kilkunastu minutach człowiek ten powrócił tą samą drogą z porcją chleba pod buszłakiem. To podsunęło mi myśl, aby też spróbować szczęścia. Razem z Żydem nabierałem worek odżynek z desek, wsadziłem go na ramiona i śladem Rosjanina poszedłem szukać za odbiorcą

Pobiegłem poza budkę, przeskoczyłem ulicę i wszedłem do drzwi najbliższego budynku. Zapukałem do pierwszych drzwi na dolnym piętrze - nikt nie odpowiedział. Zapukałem na górnym piętrze - dopiero w drugich drzwiach ktoś odpowiedział na moje pukanie. Była to starsza Rosjanka. Za drzewo dostałem od niej słoik gotowanej kaszy. Był to nasz pierwszy zarobek, którym podzieliliśmy się równo i uczciwie. To samo robiliśmy w następnych dniach, często tnąc dobre deski na kawałki i ładując je do worka, aby za nie dostać jakieś jedzenie. W tych zimnych i głodnych czasach każdy kawałek chleba czy odrobina żywności były dla nas dużą pomocą.

Były dni, kiedy przynosiłem chleb ze sobą, którym dzieliłem się z pawelkiem. On natomiast kradł mąkę i kaszę z magazynów obok których pracował i dzielił się ze mną swoją zdobyczą.

Moim głównym odbiorcą drzewa była stara Rosjanka, do której trafiłem podczas mojej pierwszej wyprawy. Po kilku wizytach staliśmy się dobrymi znajomymi i często wdawaliśmy się w dłuższe rozmowy. Dla mnie była to gratka, ponieważ mogłem przesiedzieć kwadrans lub pół godziny przy kubku czaju w ciepłym mieszkaniu. Jej dobra wola w stosunku do mnie wynikała z tego, że jeszcze za czasów carskich przebywała w Grodnie jako żona urzędnika. Tam poznała Polaków i nabrała sympatii do nas.

Moje odwiedziny w jej domu urwały się raptownie, kiedy naszą brygadę przeniesiono na inne miejsce pracy.

Nowe miejsce, będące otoczone parkanem, nie pozwalało mi na robienie wypadów do miasta oraz na szukanie za żywnością. Szczęśliwie w piwnicy jednego z budynków zmagazynowano kartofle. Początkowo mój współnik żyd i ja kradliśmy po kilka kartofli do kieszeni i gotowaliśmy je w kotłowni do której mieliśmy dostęp. Po kilku wypadach postanowiliśmy zdobyć się na większą kradzież, ponieważ nasze krążenie tam i z powrotem mogło budzić podejrzenia u strażnika. Pod jego nieobecność ukradliśmy kilka pak i zakopaliśmy je w piasku nazewnątrz. Takie zmagazynowanie żywności pozwoliłoby nam na dożywianie się przez okres pracy w tym budynku. Niestety, ktoś wykrył naszą kryjówkę i następnego dnia rano już nie doszukaliśmy się kartofli. Również piwnica została zabita deskami i nie było mowy, aby sięgnąć ponownie po ukryte dobrodziejstwa.

Praca w tym miejscu polegała na noszeniu desek na górę i zakładaniu podłóg oraz pokrywaniu dachów. Naszym brygadzistą był Polak, policjant z zawodu, który jak my nie miał wielkiego pojęcia o robotach stolarskich. Wydajność brygady była bardzo niska ku ubolewaniu naszych rosyjskich przełożonych. Oczywiście, po pewnym czasie ktoś doszedł do wniosku, że zatrudnianie nas przy takiej pracy nie przynosi pożądaných skutków. Wobec tego brygadę rozwiązano i zostaliśmy rozrzućeni po zwykłych brygadach roboczych.

W połowie października miasto było już solidnie zasypane śniegiem. Równocześnie mrozy zaczęły przybierać na sile. Moja nowa brygada została wyznaczona do odrzucania śniegu z ulic. Praca nazewnątrz była ciężka a przytym trudna ze względu na zimno. Zimno też dokuczało strażnikowi. Aby uchronić się przed nim on często chował się w zacisznym miejscu, co dawało mi możliwość uciekania z pracy.

Przy jednej z niewielu nadarzających się okazji, kiedy kostniałem z zimna na ulicy, uciekłem do znajomej mi staruszki Rosjanki. W czasie mojej wizyty do domu powróciła jej córka lekarka. Osoba ta kierując się dobrym sercem uraczyła mnie talerzem grochowej zupy oraz kilku plasterkami salami. Dla mnie była to wspaniała uczta. Po tym poczęstunku siedziałem u nich conajmniej godzinę, rozmawiając z młodą kobietą na temat życia w Polsce. Najbardziej interesowało ją to, jak żyją ludzie na Zachodzie, w Polsce i Niemczech. Na jej pytania odpowiadałem ostrożnie, ponieważ wiedziałem już od struski, że jej zięć był oficerem NKWD. Do brygady wróciłem tuż przed jej odejściem na inne miejsce pracy. Mimo, że znikłem na przeszło godzinę nikt nie zauważył mojej nieobecności, a zwłaszcza strażnik.

Chodzenie z łopataą po ulicach Magadanu na mrozie i zimnym wietrze nie należało do najłatwiejszych prac, ale trudniejsze i bardziej ciężkie wyciąganie z pod sniegu dwu-metrowych kawałków drzewa i układanie ich w sągi na podwórku tartaku. W jednym z pierwszych dni pracy w przestrzeni ogrodzonej drutami przypadkowo natrafiłem na dziurę w płocie, co natychmiast wykorzystałem do swoich celów. Wydeptana w śniegu ścieżka zaprowadziła mnie do małego ubogiego domu. Na moje pukanie drzwi otworzyła starsza osoba, która bez pytania poco przychodzę dała mi kilka kartofli do kieszeni. Byłem u niej kilka razy - za każdym razem otrzymując od niej małe kawałki chleba, które jej córka, pracująca w stołowni dla bojców, przynosiła do domu. Staruszka suszyła ten chleb i rozdawała więźniom, którzy pukali do jej drzwi. Dziura w parkanie świadczyła o tym, że do jej domu zachodziło wielu głodnych przede mną i napewno wielu po mnie.

Raz dostałem od niej kawałek białego chleba - artykuł niespotykany w obozie i rzadko na wolności. Z tym kawałkiem chleba przyszedłem do



obozu z zamiarem spożycia go razem z wieczorną zupą z morskich wodorostów. Kiedy z miską zupy siadłem przy stole i położyłem chleb przed sobą, jakaś obca ręka chwyciła za chleb, rzuciła jeden czerwieniec na stół i uciekła w stronę grupy więźniów rosyjskich, wołając "bułka, bułka". Ktoś inny puścił się w pogon za nim, ale chleba nie odzyskał. Później dowiedziałem się, że człowiek, który gonił złoczyńcę był lotnikiem, wziętym przez Finlandczyków do niewoli w czasie wojny sowiecko-fińskiej w 1939 r., za co teraz odsiadywał karę.

Życie na pracy nie było łatwe, a w samym obozie też nie było łatwe. Sam program obozowy zawierał w sobie wiele szykan, które były zamierzone jedynie w tym celu, aby więźniowi utrudnić jego nędzne istnienie. Już od piątej rano dniewalny / barakowy/ biegał z pałką w rękę po baraku i stukał każdego, który nie podnosił się natychmiast z cuchnącego barłogu. W pośpiechu trzeba było narzucać na siebie łachy i wdziewać wiecznie mokre lub zamarznięte szmaciane buty i stać w ogonku po kawałek gliniastego chleba oraz talon /kupon/ na zupę, wydawane przez dniewalnego. Następnie w takim samym pośpiechu trzeba było gonić do jadalni, aby dostać miskę zupy i zdążyć na miarkę gorącej wody /kipiatku/ wydawanego na łagiernym podwórku. Tego napoju nigdy nie starczało dla wszystkich - wielu odchodziło z pustym naczyniem. Stąd trzeba było gonić do bramy obozowej i czekać, aż zjawią się bojcy i zabiorą brygady do pracy. Czekanie na zimnie było męką. Nie było miejsca, aby się przed nim schronić, nawet we własnym baraku, ponieważ po jego opuszczeniu nie wolno było do niego powrócić.

Inne szykany dotyczyły pory wieczornej. Pierwszą z nich, zawsze prakrykowaną, było wygaszanie pieców. Władze obozowe uważały, że ciało człowieka produkuje ciepło i przy większej ilości ludzi w pomieszczeniu palenie w piecykach było zbyteczne. Do snu nie wolno było układać

się przed tzw. perwierką /wieczornym apelu, który odbywał się o jedenastej godzinie w nocy/. Kiedy strażnicy sprawdzili obecność wszystkich więźniów w baraku, wtedy można było rozciągnąć się na sienniku i spać pod przykryciem własnego buszłaka. Co kilka dni odbywały się nocne kontrole. Ich celem było szukanie za niedozwolonymi artykułami, jak noże i ukryta żywność. W ciągu nocy wpadało kilku strażników, kazali więźniom zejść z prycz i rozbierać się do naga. Podczas gdy jedni przetrząsali ubrania i bieliznę, inni przeszukiwali sienniki. W wypadku znalezienia niedozwoleń rzeczy, nieszczęśliwiec szedł na pięć dni do karceru, z którego z reguły nie wracał.

Według przepisów obozowych każdy więzień był uprawniony do opieki zdrowotnej. Personel tej służby składał się z lekarza i sanitariusza. Codziennie rano miejsce przyjęć było zapełnione chorymi. Z tych według zarządzenia naczelnika tylko pięciu mogło pozostać w obozie - inni chorzy czy nie chorzy musieli iść do pracy. Niewątpliwie byli tacy, którzy doszli do końca swoich sił i ci byli dysponowani w inny sposób.

Przepisy obozowe też przewidywały też pewnego rodzaju przywilej, jak kąpiel, która należała się więźniowi raz na dziesięć dni. Łaźnia publiczna była położona w mieście, conajmniej cztery kilometry od obozu. Z łaźni tej można było korzystać tylko w czasie nocnej pory. W wyznaczonym dniu, tuż po kolacji, rozpoczynano odprowadzanie grup do łaźni. Każdy chciał być pierwszym, ponieważ po powrocie mogło mu pozostać jeszcze kilka godzin do spania. Jeśli był ostatnim wówczas po powrocie miał tylko tyle czasu, aby wypić zupę przed pójściem do pracy. Procedura nocnej kąpieli zaczynała się od oddania ubrań do odwszenia w parowych kotłach. Następnie trzeba było przejść proces strzyżenia wszystkich owłosionych części ciała. Po tej operacji

przechodziło się do pomieszczenia z prysznicami. Nie wszystkie z nich działały i nie zawsze była w nich ciepła woda. Bardzo często namydlone ciało trzeba było zmywać w rynsztoku, bo była to jedyna osiągalna woda. Odbieranie odwzzonego ubrania nie zawsze szło gładko i składnie. Czasami rzeczy zawieruszyły się w kotle i trzeba czekać do rana nim się odnalazły.

Każda kąpiel była okazją do zapoznania się z wyglądem wynędzniałych ludzkich postaci. Zapadnięte oczodoły, wychudłe policzki, kości sterczące z pod skóry, zmarniałe ciała i często nogi pokryte ropiejącymi ranami, to był wygląd ludzi z którymi mieszkałem w baraku i pracowałem na zimnie w głodzie i nędzy. Wtedy rozpoznawałem twarze osób znanych mi z wcześniejszych lagiernych czasów jak kpt. Czechowicza, Rysia Łopackiego, Jurka Bojkę, nauczyciela Makowskiego i mniej znanych jak Słuckiego i Asłanowicza. Również przy takich okazjach dostrzegałem ubytek niektórych z dawnych znajomych. Z początkowej grupy, znanej mi w teanzytce znikł wysoki i szczupły policjant, inz. Makowski i jego przyjaciel ze Lwowa, chory i zmarniały major i wielu innych, których nie zachowałem w pamięci.

Z każdym dniem przebywania w tej kaźni nasze życie coraz bardziej traciło na swojej wartości. Istnienie było nędzne i krótkie bez nadziei i przyszłości, za którym kryło się nieuniknione przeznaczenie śmierci. Człowiek stał się małą niewiele znaczącą osobą, żyjącą z dnia na dzień, ograniczającą swoje zainteresowania do miski zupy i kawałka gliniastego chleba, jako jedyne go utrzymującego przy życiu. Pojęcie dawnych wartości zamierało w człowieku, a w miejsce tego tworzyły się małe i proste, idące po linii utrzymania nędznego ciała przy życiu. Niektórzy w tej degeneracji myśli i ciała doszli do dolnej granicy i oni znikali z pośród nas.

Znikanie tych ludzi powodowało zmniejszanie się stanów brygad roboczych, co w konsekwencji prowadziło do stałej ich reorganizacji. Jedne znikaly a inne otrzymywały uzupełnienia z pozostałości pierwszych. W ten sposób rozwiązałem się z grupą odrzucającą śnieg na ulicach miasta i przyłączyłem do brygady pracującej przy kopaniu rowów w magazynach żywnościowych. Brygadierem tej grupy był jakiś skomunizowany Polak, który podawał się za polskiego lotnika, czego dowodem miała być czarna skórzana kurtka, jaką nosił. Praca w nowym miejscu była nie mniej ciężka i przytym absolutnie niewydajna. Rozbijanie zamrożonej na kamień ziemi przechodziło nasze fizyczne możliwości. Dlatego, siedząc w rowach, wykopanych jeszcze w ciągu lata, nie robiliśmy niczego. Od czasu do czasu staraliśmy się rozgrzać nasze skostniałe członki ciała stupaniem nóg i biciem rąk. Oczywiście niektórzy z nas zawsze wyczekiwali na okazji, aby skoczyć do baraku i przynieść w woreczku trochę mąki lub wytlóków z soji. Ja należałem do tej grupy ryzykantów, widząc w tym jedyną możliwość zdobycia żywności o którą mój żołądek stale się dopominał.

Mój pierwszy udany wypad przyspożył mi trochę wytlóków z soji, które żułem pokryjomu przed strażnikiem. Mój plan polegał na tym, że w czasie nieuwagi bojca przeszedłem wzdłuż rowu na wysokość baraku, gdzie mieściła się soja, skoczyłem po śniegu do środka, przeszedłem po workach do ciemnego kąta baraku i tam nabrałem soji do kieszeni. Czasami wpuszczałem ją do nogawek spodni, a czasami nabierałem do małego płóciennego woreczka. Tą samą drogą wracałem do swojej grupy. Następnie starałem się przemycić zawartość nogawek i woreczka przez rewizję przy bramie, aby na górnej pryczy wieczorem jeść na surowo lub jako rozmoczoną papkę. Pewnego dnia zdecydowałem się na zbadanie zawartości magazynu, będącego na wysokości pracy mojej grupy. Podczas,



gdy strażnik schował się przed zinnem do jakiegoś kąta, skoczyłem do środka magazynu. Z zawartości kilku worków wywnioskowałem, że był to skład kaszy różnego rodzaju. Ktoś musiał już być tam przede mną, bo na podłodze znalazłem nawpół pusty worek soi. Podniosłem go z podłogi i z nim wróciłem do swego zwiena. Zdobyczą tą podzieliłem się ze swoimi współ-towarzyszami. Zawartość tego worka wystarczyła nam na kilka dni przy bardzo oszczędnym racjonowaniu.

To nasunęło nam myśl, aby postarać się o cały worek z soją czy mąką, aby zapewnić sobie dodatkową żywność na dłuższy czas. W odpowiedni momencie, kiedy bojec poszedł w przeciwną stronę, dwóch z nas skoczyło do magazynu i przyciągnęliśmy cały worek mąki. Z tego zapasu cała brygada korzystała przez kilka dni. Kiedy mąka była już na wykończeniu ktoś rozpalił małe ognisko, co zwróciło na nas uwagę strażnika. Ten natychmiast przyszedł do naszego rowu i zrobił rewizję, ale nie znalazł niczego. Przy wyjściu z rowu, zupełnie przypadkowo nadepnął na worek przykryty śniegiem.

Natychmiast zaczęły się pytania co, gdzie, kiedy i jak. Nikt nie przyznawał się do niczego i nikt o niczym nie wiedział. Bojec widząc, że niczego od nas się nie dowie, wskazał palcem na mnie, kazał zarzucić worek na plecy i pójść z nim na wartownię przy bramie. W czasie drogi ten człowiek z tatarską twarzą stuknął mnie parę razy w plecy. W odpowiedzi na to nazwałem go Tatarem i natychmiast zacząłem uciekać. On gonił za mną z podniesioną kolbą i razem wpadliśmy na wartownię. Tam inny strażnik zrobił mi osobistą rewizję i w czasie tego groził mi rozbiciem głowy porcelanową gałką na drucie, że rozbije mi głowę, jeśli nie powiem kto ukradł worek mąki z magazynu. W międzyczasie do kancelarii wprowadzono młodego Słowaka, którego przyłapano na kradzieży soi. Inny znowu urzędnik wywołał kancelistę nazewnątrz i przez kilka

pozostawił nas samych w kancelarii. Młody chłopak płakał w obawie przed karą karceru - conajmniej pięciu dni na lodzie o zimnej wodzie i kawałeczku chleba. Woreczek z ukradzioną przez niego soją leżał przed nami na stole i aż się prosił, aby zużytkować jego zawartość. Przystąpiłem do stolika i zacząłem jeść wytloki, wsadzając je całą garścią do ust. Młody Słowak poszedł za moim przykładem. Kiedy urzędnik powrócił do kancelarii woreczek był prawie pusty. On popatrzył na nas, zaklął i zaczął się śmiać.

Na zewnątrz czekał na nas inny strażnik. Urzędnik kazał nam iść razem z nim. Po wyjściu z wartowni, zamiast odprowadzić nas na miejsce pracy, bojec wyprowadził nas poza rejon magazynów i krętymi ścieżkami prowadził nas po śniegu w kierunku lasu na niedalekim horyzoncie. W mojej myśli powstała obawa, że prowadzi nas na rozstrzelanie. Myśl ta miała swoje uzasadnienie, ponieważ kilka dni wstecz za ucieczkę z pracy zastrzelono młodego Żyda, który kiedyś kradł ze mną drzewo dla staruszki Rosjanki. Odetchnąłem z ulgą, kiedy przeszliśmy las - miejsce mojej domniemanej egzekucji.

Po drugiej stronie lasu mieścił się drewniany budynek, który służył jako mieszkanie dla bojców. Po przyjsciu do tego budynku nasz strażnik oddał nas w ręce innego. Nasz nowy opiekun okazał się ludzki i wyrozumiałym człowiekiem. Niemal proszącym głosem polecił nam urąbać trochę drzewa i zaznaczył przytym, abyśmy się nie przemęczali. Z przychówką wyciągnął piłę i siekierę i pozostawił nas samych przy stągu drzewa. Po pół godzinie wyszedł z budynku i dziękując nam za narąbanie drzewa dał nam po porcji chleba. Wprawdzie nie narąbaliśmy wiele, ale robiło się już późno i nas poprzedni strażnik poprowadził nas z powrotem do pracy. Moi współtowarzysze witali mnie ze zdziwieniem, ponieważ byli pewni, że powędruję do karceru.

Następnego dnia w brygadzie był głód. Strażnicy tak nas pilnowali, że nie było mowy o zrobieniu wypadu do magazynu. My jednak nie daliśmy za wygraną. Dwóch z nas, z uprzednim doświadczeniem, postanowiło pozostać w rowie po zejściu brygady z pracy i w ciemnościach wieczoru ściągnąć worek do rowu i później, tłumacząc się spóźnieniem, dołączyć do naszej grupy. Postąpiliśmy według naszego planu, ale w chwili kiedy byliśmy w połowie drogi do rowu jakiś przypadkowy strażnik złapał nas na gorącym uczynku. Mój współnik płaczem i prośbą wybłagał przebaczenie i bez kary odszedł do brygady. Natomiast mnie, więźnia z workiem na plecach, strażnik zatrzymał, odprowadził do wartowni i kazał czekać przy drzwiach pod opieką bojca zajętego rewidowaniem ludzi przechodzących przez bramę. W tym czasie, jakaś rosyjska brygada przechodziła bez rewizji przez bramę. Korzystając z tego, wskoczyłem między nich i razem z nimi wyszedłem za bramę. Słyszałem tylko za sobą podniesiony głos strażnika, który pytał gdzie się jego więzień.

Podobny wypadek zdarzył się kilka dni wstecz, kiedy byliśmy jeszcze w posiadaniu worka mąki. Jednego z tych niezwykle zimnych dni magdańskich starałem się przemyścić trochę mąki do obozu. Taką kontrabandę mogłem wynieść nazewnątrz tylko w ubraniu. Palcami skostniałymi od zimna napchałem nogawki mąką, ale zrobiłem to bardzo niezdarnie. Strażnik przy bramie natychmiast wyczuł nierówności w moich spodniach. Natychmiast odstawił mnie do wartowni o krok od niego, gdzie w kolejce miałem czekać na osobistą rewizję do naga. Stałem w przedsionku i zwlekałem z podejściem do drzwi drugiego pokoju. W międzyczasie do wnętrza wrzucono kilku dodatkowych "przestępców". Przy wejściu ostatniego, przez uchylone drzwi, zauważyłem, że jakaś brygada przechodziła równoległe do zewnętrznej ściany wartowni. Lekko uchylłem drzwi, wysunąłem się nazewnątrz i wcisnąłem się do rzędu maszerujących

łagierników. Po chwili byłem z powrotem w brygadzie z nietkniętą zawartością moich nogawek.

Nie zawsze mnie czy innym udawało się uniknąć konsekwencji przyłapania któregoś z nas na gorącym uczynku. Taki przypadek zdarzył się memu przyjacielowi, wówczas tylko znajomemu, Ryszardowi Łopackiemu. Pewnego razu on przyszedł do mnie i prosił, abym towarzyszył mu w wypadzie do magazynu, jako osoba bardziej doświadczona w tego rodzaju łagiernych wyczynach. Dzień był bardzo zimny, co zmuszało bojca do chowania się w bardziej zacisznym miejscu. Korzystając z tego przebiegliśmy przekopem śnieżnym do magazynu, napełniliśmy woreczki mąką i niezauważeni przez strażnika wróciliśmy do rowu. Rysiek natychmiast wziął się do preparowania placków. W okolicy naszego rowu znalazł kilka kawałków drzewa, rozпалиło małe ognisko i potem mąkę zmieszaną ze śniegiem kładł na łopate. Strażnik zauważył dym, przyszedł do naszego rowu i po mąką przypruszonych dłoniach rozpoznał złoczyńcę. Worek z mąką został skonfiskowany, a Rysiek z miejsca otrzymał karę odleżenia dwóch godzin na śniegu. W porównaniu z karcerem był to mały wyrok i widocznie bez poważniejszych skutków, ponieważ po odleżeniu kary Rysiek wstał ze śniegu i pobiegł do swojej grupy.

W połowie października, jeszcze za czasów mojej pracy w brygadzie stolarskiej, zdarzyła się rzecz zupełnie niespodziewana i nieprzewidziana. Pewnego dnia w obozie odczytano nazwiska 60 Polaków, wśród których znalazło się nazwisko Pawełka Januszewskiego. Następnego dnia wszyscy opuścili obóz i w myśl pogłosek, jakie do nas doszły wszyscy wyjechali do Władywostoku. Z jednej strony ten wypadek obudził w nas nadzieję, że sprawa zwolnienia wciąż była aktualna, a z drugiej powstały wątpliwości czy my, którzy pozostaliśmy nie, nie zostaliśmy przeznaczeni na ostateczną likwidację.



Po odejściu Pawełka, pozostałem w obozie sam jeden z grupy buczackiej. Przez kilka dni czułem się osamotniony. Brak mi było jego towarzysztwa, naszych wieczornych rozmów i wspólnych wspomnień o rodzinnych stronach. Jednak ciągły głód i praca na mrozie powoli zabijały we mnie wszystkie inne uczucia, a szczególnie te bardzo odległe w czasie. Głód istotnie może zabić w człowieku wszelkie zainteresowania poza jednym - żądza jedzenia. Były chwile, kiedy czułem się bardzo samotny, przygnębiony i zawsze głodny. W takich chwilach nawet traciłem nadzieję czy kiedykolwiek zobaczę rodziców, braci i swój rodzinny Jazłowiec. W ciągu nocy czasami śniłem o nich, ale w ciągu dnia myśl o nich gubiła się w pracy, zimnie i głodzie.

W początkach listopada duże opady śnieżne zasypały miasto i zamknęły jego przelotowe ulice. Równocześnie zaczęły się silne, trwające po kilka dni burze śnieżne. Rosjanie określali je terminem "purga". Wiatry wiały z taką siłą, że człowiek nie mógł utrzymać się na drodze. Jednego ranka, kiedy prowadzono nas do pracy, cała brygada łącznie z bojcem znalazła się w przydrożnym rowie. Również temperatura spadła do 40 stopni poniżej zera, co jeszcze bardziej utrudniało nam pracę nazewnątrz. W takich klimatycznych warunkach oczyszczanie ulic stało się dla władz łagiernych i dla nas najważniejszym zadaniem. Z konieczności całe dnie borykaliśmy się ze śniegiem, ale wykonywaliśmy naszą pracę w bardzo zwolnionym tempie. Przy marnym odżywianiu, przy zimnie i przy niedostatecznym ubraniu nikt z nas nie mógł się zdobyć na wymagany od nas wysiłek. Najczęściej staliśmy nieruchomo, oparci o łopaty i patrzyliśmy, czy nie obserwuje nas strażnik. Był to poprostu jedyny nam osiągalny sposób konserwacji energii. Taką teorię głosił kpt. Czechowicz, a my w miarę możliwości ją stosowaliśmy. Zimno jednak nie miało nad nami litości i pochłaniało wszystko co zaoszczędziliśmy.

Jeden obrazek z tego rodzaju pracy zachował się w mojej pamięci, kiedy skierowano nas do oczyszczania drogi prowadzącej do cmentarza i rybnego zakładu. Temperatura była bardzo niska, a zimny wiatr z północy, niosący z sobą pył wiatru, mroził nas do szpiku kości. Nawet opaski ze szmat, jakimi chroniliśmy nasze twarze, zamarzały wokół ust, a zimne powietrze zamykało oddech. Tutaj marzło się nieustannie od rana do nocy. Stojąc, oparty na łopacie, przez szczeliny opaski rzucałem spojrzenia na moich współtowarzyszy. Każdy z nich, jak ja, stał nieruchomo, a przypruszony pyłem śnieżnym wyglądał jak biały słupek wystający ponad powierzchnię snującego się pyłu. Te ludzkie słupki stały jak duchy, zamarzniete w trakcie swojej pracy i czekające na zbawienie ich od cierpień białego piekła.

Przenikliwie zimno w podobnym stopniu dokuczało naszych strażnikom. Na tym wydmuchowisku nie było nie było budki do ukrycia się przed zimnem lub jakiegoś budynku z zacisznym kątem w odrzwiach czy za ścianą. Jedynym, chociaż nieznacznym źródłem ciepła było ognisko rozniecone przez więźniów, raczej dla dobra bojców niż ich własnego. Na otwartej przestrzeni pod miastem rosło wiele krzaków kosodrzewiny, której gałęzie paliły się łatwo i przy silnym wietrze buchały wysokim płomieniem. Za zgodą bojca brygadier wysyłał kilka nieruchomych postaci do krzaków, które po pewnym czasie wracały z naręczem zielonego paliwa. Wkrótce potem płomienie ognia strzelały długimi czerwonymi językami ku górze, wyglądając pięknie, ciepło i imponująco. Jednak w tym ciepło było wiele pozorów i ułudy - czerwone języki rwały się w strzępy w mroźnym i wietrznym powietrzu, a razem z nimi ciepło szybko znikało, nie dając wiele korzyści starającym się ogrzać więźniom.

Po pewnym czasie przyszła też na mnie kolejka ogrzania się przy ogniu. Na skinienie brygadiera podszedłem do ogniska i stanąłem niemal

w jego rwących się płomieniach, aby doznać przynajmniej odrobinę jego ciepłego efektu. Przez rwące się języki ognia popatrzyłem w dalszą przestrzeń przede mną i tam na górze ujrzałem zarysy budynku szpitalnego, kilka rzędów mieszkalnych domów i szereg kominów ozdobionych pióropuszcami dymów, niesonych w górę przez wiatr. Widok ten był niezwykle kuszący - tam w tych domach było ciepło i może kawałek chleba, który możnaby było zdobyć w zamianę za pracę. Postanowiłem wykorzystać tę okoliczność.

Pod pozorem zbierania gałęzi do ognia poszedłem przez krzaki koso-drzewiny w kierunku dymiących się domów. Kiedy krzewy przesłoniły widok strażnika i moich współ-pracowników, rzuciłem zebrane gałęzie na śnieg i udałem się do pierwszego rzędu domów. Na moje pukanie do drzwi odpowiedziała kobieta w średnim wieku i zapytała czego ja sobie życzę. W kilku zdaniach wyjaśniłem jej moją przyczynę pukania do jej drzwi. W odpowiedzi na to kobieta wręczyła mi dwa wiaderka i prosiła o przyniesienie wody ze wskazanego przez nią miejsca. W zamian za to dostałem kawałek cennego chleba, który pozwolił mi na chwilowe zaspokojenie głodu.

W innym dniu pracy na tym miejscu byłem świadkiem innego i raczej przygnębiającego widoku. Na drodze prowadzącej od szpitala do cmentarza ukazały się sanie ciągnięte przez jednego burego długą sierścią owłosionego konia, a obok nich brodziła po śniegu postać ośnieżonego człowieka, trzymające lejce w brudnych szmacianych rękawicach. W zimowej aurze srktycznego pejzażu oszroniony koń, skulona postać woźnicy i sanie przykryte plandeką posuwały się ku nam niczym zjawa w lodowatej krainie ginącego życia. W bliskiej odległości za tym ukazały się drugie o tym samym widoku sanie. Posuwając się wolno w pyle śniegu niesionego przez wiatr, korowód ten po pewnym czasie znalazł się na

na naszej wysokości. Dopiero wtedy ujawniła się przed nami zawartość po brzegi załadowanych sań. Spod zasłony brudnej i podartej ukazał się koszmar nagich ciał, splątanych razem w makabrycznym uścisku podczas swojej ostatniej podróży na ziemi. Korowód przejechał obok nas w milczeniu jak dziwna, niepokojąca i sugerująca zjawą. Po nim pozostała tylko myśl o nicości człowieka i jego ostatecznym przeznaczeniu.

Nasze ciała nie wyglądały lepiej niż zamarznięte ciała przeszłych już ludzi. My też byliśmy widmem zamarzniętej północy, chociaż jeszcze żywi i jeszcze ubrani w więzienne łachy. Różnica między nimi a nami była ta, że oni już znikli z kartoteki więziennej, a my wciąż każdego rana, bez względu na zimno i śnieżycę, wychodziliśmy na zewnątrz łagiernej bramy, aby zniknąć jak duchy w śnieżej zamieci. Ośnieżeni i zmarznięci szliśmy jak upiory w kierunku miasta, jak duchy systemu opętane obłudą pracy. Za nami kroczył strażnik w baraniej kurtce, jako symbol władzy nad więźniem-niewolnikiem. Przez zamarznięte okna mieszkalnych domów każdego szregu ranka i każdego bardziej szarego wieczoru przebijały ku nam jasne światła, kuszące nas ułudą wygody, spokoju i ciepła. Z kominów rwały się ku górze białe kłęby dymów, które jeszcze bardziej potęgowały naszą potrzebę doznania nieosiągalnego ciepła. Czsami na tle szyb ukazywały się ludzkie kontury jakgdyby pragnące swoim widokiem obudzić w nas zazdrość domowego szczęścia. Dla nas oni byli wybrańcami losu - oni mieli prawo do wygód, ciepła i jedzenia. My, natomiast, byliśmy skazańcami, przeznaczonymi na wykreślenie z kartoteki żywych tego świata.

W ciągu okresu zamicy śnieżnych i spadającej temperatury naszą brygadę wyznaczono do oczyszczania toru łyżwiarskiego, mieszczącego się w miejskim parku. Zimno było okropne. Do samego lodowiska dostaliśmy



się bez trudu, ponieważ nasi poprzednicy zdążyli już zrobić przekopy w śniegu po linii głównego przejścia. Już w czasie marszu każdy z nas był zamarznięty do kości. W takich warunkach nikt z nas nie był w stanie zdobyć na efektywny wysiłek odrzucania śniegu. Znowu staliśmy bez ruchu, jak zamarznięte słupki, czekając aż z nastaniem wieczoru skończy się cierpienie powolnego zamarzania. Nasz strażnik był dużo lepszym położeniu. Obok lodowiska była mała budka zaopatrzona w żelazny piecyk, gdzie on razem z brygadierem znaleźli ciepłe i wygodne schronienie. Przy lodowisku była też zewnętrzna wygodka nawpół zasypana śniegiem. Za pozwoleniem bojca można było z niej koczystać, co robiliśmy często celem ukrycia się na kilka chwil przed przenikliwym wiatrem. Zamarznięty jak bryła lodu poprosiłem bojca, by pozwolił mi na odwiedzenie tego przybytku.

Będąc w wygodce postanowiłem dostać się do pobliskich domów, wśród których znajdowało się mieszkani rosyjskiej staruszki u której wymieniałem drzewo za jedzenie. Niedaleki przekop w śniegu pozwolił mi dostać się niespotrzeżenie do do parkanu całkowicie zasypanego śniegiem. W rejonie domów zobaczyłem jakiegoś bojca siedzącego przy wejściu do jednego z nich. Skoczyłem do głównej sieni najbliższego domu i przez lekko uchylone drzwi obserwowałem strażnika w nadzieji, że on usunie się z miejsca, co pozwoliłoby mnie na dostanie się do mieszkania staruszki. Po pewnym czasie on istotnie się usunął z mego widoku. Opuściłem swoją skrytkę i wysunąłem się za róg domu. Tutaj spotkaliśmy się twarz w twarz. On wziął mnie pod swoją opiekę i pod bagnetem zaprowadził mnie na lodowisko. Tutaj dwaj bojcy zamknęli się ze mną w budce i na przemian okładali mnie kolbami. Po tej operacji kazano mi iść z powrotem na lodowisko. Tej porażki nie mogłem im jednak podarować. Postanowiłem raz jeszcze spróbować szczęścia.

Kiedy bojec ponownie schował się w budce skoczyłem do tego samego przekopu śnieżnego i prawie dobiegłem do parkanu, gdy za sobą usłyszałem głośne wołanie tego samego strażnika, który poprzednio złapał mnie między domami: "pastoj, kuź idiosz?". Pod bagnetem on znowu poprowadził mnie do budki w parku. Tam obaj strażnicy zamknęli się ze mną i tak pobili mnie kolbami, że nie mogłem podnieść się na nogi. Strażnik naszej brygady widocznie kierował się wyrzutami sumienia, bo pozostawił mnie na podłodze koło piecyka aż do końca pracy. Z jego polecenia dwóch młodszych i silniejszych więźniów wzięło mnie pod rękę i zaprowadziło do obozu. Po powrocie znalazłem w sobie na tyle siły, aby dojść do jadalni, zjeść należną mi porcję zupy i wdrapać się na pryczę.

Następnego dnia rano powlokłem się do lekarza w nadziei, że dostanę dzień lub dwa zwolnienia od pracy. Niestety, dzienna lista pięciu chorych była już zamknięta i ja chcąc nie chcąc posłusznie powlokłem się do bramy. Strażnik rozpoznał mnie i kazał dwóm innym więźniom zaprowadzić mnie na to samo miejsce pracy. Za jego pozwoleniem przeleżałem cały dzień w budce przy piecyku. Moje nieudane przedsięwzięcie z dnia poprzedniego miało ten pozytywny skutek, że zamiast stać i marznąć na lodowisku leżałem w ciepłym pomieszczeniu.

To przejście miało też negatywny skutek - przestałem myśleć o zachowaniu życia. Wszystko mi zubożyło i popadłem w stan głębokiego przygnębienia. Prosto załamane się psychicznie i powoli zamieniałem się w "dochodiagę", czyli osobę czekającą na nieunikniony koniec. Następnego dnia wysłano brygadę na nocną zmianę układania beczek z bemzyną. Ja nie miałem sił do tego. Znalazłem jakiś cichy kąt w rejonie pracy i tam na śniegu przeleżałem całą noc, zamarzając powoli na mrozie. Było mi wtedy zupełnie obojętne, czy wstanę, czy

zamarzną i czy ktoś się mną zajmie czy też nie. Nad ranem ktoś podszedł do mnie, stwierdził, że żyję i z pomocą drugiego człowieka zaprowadził mnie do łagru.

W dzień później przerzucono nas z powrotem na dzienną zmianę. To pozwoliło mi na ciągły dwudziesto-czterogodzinny odpoczynek. W czasie tego poczułem się lepiej fizycznie i chyba dla tej przyczyny wyszedłem ze stany psychicznego załamania. Dnia tego do pracy poszedłem już o własnych siłach i utrzymałem się na nogach mimo lodowatego zimna. Życie weszło z powrotem we mnie.

Był to już początek grudnia i trzeci z kolei miesiąc mego pobytu w karnym łagrze. Już w listopadzie już w pełni panowała w Magadanie, ale z przyjściem grudnia zimno bardzo się spotęgowało. Dnia 7go tego miesiąca temperatura musiała spaść bardzo nisko, bo poza jedną brygadą nikogo nie posłano do pracy. Według przepisów obozowych ten przywilej stosowano według więźniów kiedy temperatura spadała poniżej 50 stopni Celjusza poniżej zera. Brygada, która wyszła do pracy w tym dniu była brygada nie moja, ale mając na uwadze to, że dzień wolny od pracy oznaczał chodzenie po wzgórzu i wyciąganie z pod śniegu kawałków drzewa na opał w kuchni i barakach, przyłączyłem się do tej wyjątkowej grupy.

Wyprowadzono nas poza miasto do oczyszczania ze śniegu linii wąskotorowej, prowadzącej dwadzieścia kilometrów w głąb łądu. Na początku tej trasy stała budka kolejowa w której strażnik ulokował się, pozostawiając nas pod opieką brygadiera. Zimno było okrutne, nie mniejsze niż to jakie doświadczyłem w pracy na drodze do cmentarza. Czując jak zimno przenika do mego ciała, zacząłem żałować swojej decyzji wyjścia na pracę. Przez cały ranek stałem nieruchomo oparty na łopacie, lub siedziałem przy ognisku, cały czas myśląc o możliwości ucieczki

do niedalekich domów. Ktoś inny musiał nosić się z takim samym planem. W pewnym momencie człowiek ten odłączył się od grupy i na widoku całej brygady szedł prosto do krzaków kosodrzewiny. Widoczny celem tego manewru było obejście budki, gdzie przebywał strażnik. Widząc to poszedłem w jego ślady.

Idąc po otwartej śnieżnej przestrzeni też dostałem się do linii kosodrzewiny. To było moją ostłoną do dalszego działania. Za krzakami zmieniłem kierunek i poszedłem w stronę domów widniejących na pobliskim wzgórzu. Rejon też był już mi znany z mojej pracy przy układaniu drzewa i z moich wypadów do rosyjskiej staruszki, która dawała mi chleb. Przy pierwszym domu spotkałem się z moim poprzednikiem. Po kilku słowach zdecydowaliśmy się działać wspólnie. Pierwszym celem miał być dom znajomej mi Rosjanki a potem mieliśmy się udać do stołówki strażników, gdzie za pomycie naczyń można było dostać kawałki chleba pozostawionego na stole.

Na moje pukanie do domu staruszki drzwi uchyliły się lekko i wyciągnięta ręka dała mi kawałek chleba. Mój współnik wyrwał mi tą porcję chleba z ręki i zaczął połykać całymi kęsami. Jedząc chleb przyrzekał mi, że następna zdobycz będzie wyłącznie moja. Droga do stołówki nie była jednak łatwa o tej porze dnia. W tym czasie strażnicy wracali do koszar z nocnej zmiany i można było przypadkowo na nich się natknąć. Ledwie uszliśmy kilkadziesiąt metrów, kiedy na drodze ukazali się bojcy. Jedynym schronieniem dla nas były okoliczne domy. Skoczyliśmy za róg jednego, aby przeczekać paradę strażników. Niemal natychmiast usłyszeliśmy nad nami ostrzeżenie: "postoj, bo budu strela!" Jak się okazało, przez nieostrożność weszliśmy do rejonu przylegającego do kobiecego łagru. W odpowiedzi na jego sygnał gwizdkiem przybyło dwóch bojców z wachty obozowej i zabrało nas do kancelarii.



Tam czekaliśmy dość długo na decyzję naczelnika obozu. Po pewnym czasie przyszedł strażnik i poprowadził nas znajomymi ulicami miasta do jednego z większych murowanych budynków.

Bojec pozostawił nas w poczekalni, gdzie znowu czekaliśmy dość długo /w cieple/ na wezwanie do kancelarii jednego z urzędników. Po kilkunastu minutach w drzwiach ukazał się oficer NKWD i kazał nam wejść do środka. Kancelaria była duża i obszerna, z biurkiem i fotelem w pośrodku i obwieszona różnymi portretami, wśród których górowały portrety Lenina i Stalina. Przed stołem stały dwa krzesła na których kazano nam usiąść. Nasza wizyta zaczęła się od długiego patriotycznego przemówienia oficera na temat walki ze wspólnym wrogiem i o braterstwie broni między Polakami i Sowiecami. W czasie tego często podnosił do nas głos i nazywał nas sabotażnikami z racji naszej ucieczki z pracy. W końcu pokazał nam gazetę, w której była wiadomość o przyjeździe Gen. Sikorskiego do Moskwy. Gazeta nosiła datę 5go grudnia 1941 r. Taka wiadomość dawała mi wiele do zrozumienia, ponieważ wizyta polskiego przywódcy mogła mieć decydujący wpływ na zwolnienie nas z łagrów.

Po zakończeniu swego monologu wezwał czekającego na nas bojca i kazał odprowadzić nas na miejsce pracy. Strażnik naszej brygady widział nas z daleka maszerujących pod strażą w jego kierunku. Kiedy doszliśmy na jego wysokość on zaczął wywijać kolbą. Ja, będąc pierwszym, skoczyłem w głęboki śnieg przy torze i patrzyłem jak on rozprawiał się z moim współnikiem. Kiedy bojec nieco się uspokoił wyszedłem na tor ale nie dostałem bicia. Podczas mego wychodzenia ze śniegu zamachnął się kolbką - mnie jednak nie dosięgnął i tymczasowo cała sprawa skończyła się na krzyku i groźbach. Bezpośrednią karą dla mnie był zakaz podchodzenia do ogniska.

Wieczorem, kiedy wróciliśmy z pracy i stanęliśmy przy bramie, bojec odstawił nas dwóch na bok i oddał pod opiekę strażnikowi na wartowni. Tego dnia rano pożyczyłem rękawice od Polaka Słuckiego, który nie wyszedł na pracę. Kiedy stałem w przejściu wartowni on przybiegł do mnie i przez uchylone drzwi robił mnie wymówki, że jako człowiek wyczytany na wolność nie powinienem zabierać z sobą jego rękawic. "Jaka wolność?" zapytałem z miejsca. "Dzisiaj po południu wyczytano twoje nazwisko," on odpowiedział. Słyszając to zdecydowałem się na ucieczkę z wartowni. Drzwi do kancelarii były zamknięte, a strażnik tylko od czasu do czasu spoglądał na nas przez szybę. W chwili, kiedy jego oczy były odwrócone od nas, otworzyłem zewnętrzne drzwi i wyskoczyłem na podwórko. Bojec skoczył za mną, ale nie mógł mnie schwytać, bo byłem już za rogiem baraku. Przy tym sprzyjała mi ciemność pory wieczornej. Wpierw poszedłem do jadalni po miskę zupy z wodorostów morskich, a następnie udałem się do komendanta baraku z zapytaniem, czy istotnie moje nazwisko zostało wcześniej wyczytane. Ten przegladnął listę i znalazł na niej moje nazwisko.

Obawiałem się jednak, że moja ucieczka z wartowni zostanie wykryta i zamiast na wolność pójdę do karceru. W czasie wieczornego apelu ukryłem się nazewnątrz baraku i czekałem aż strażnicy skończą przeliczanie więźniów. Powróciłem do wnętrza i na cuchnącym sienniku, śpiąc i budząc się, czekałem nieciepliwie ranka. Kiedy rano udałem się do barakowego po należną mi porcję chleba, on początkowo nie chciał mi jej wydać. Po moim wyjaśnieniu, że moja nieobecność na apelu była związana ze sprawami zwolnienia, barakowy wydał mi chleb według drugiej kategorii, a nie trzeciej na której normalnie byłem. Oczywiście nie omieszkałem wykorzystać mojej porannej miski zupy zanim wyszedłem z obozu.

Około jedenastej rano wezwano nas do kancelarii naczelnika obozu, gdzie inny oficer NKWD wydał nam nasze legitymacje /udostwierenia/ i z tą chwilą staliśmy wolnymi ludźmi. Przechodząc przez wartownię przy bramie odwróciłem głowę w drugą stronę w obawie, aby dyżurny bojec przypadkiem mnie nie rozpoznał. Bez żadnych kłopotów tego rodzaju przeszedłem wartownię i bramę i znalazłem się za drutami obozu bez nadzoru nieodstępного strażnika.

Razem ze mną wyszło około 60 innych Polaków. Według danych nam instrukcji wszyscy udaliśmy się do znanej nam tranzytki. Popatrzyłem kilka razy do tyłu, aby spojrzeć na baraki, druty i strażnice, jakby dla upewnienia się, że z mora łagierna jest już poza mną.

Był to dzień 8go grudnia - dzień Matki Boskiej Jazłowieckiej, patronki mego rodzinnego miasta i 14go Pułku Ułanów Jazłowieckich. Wtedy przypomniałem sobie, że z chwilą wybuchu wojny matka oddała swoich trzech synów pod opiekę Patronki miasta. Moje zwolnienie z łagru w dniu jej święta było niejako spełnieniem się prośby moich rodziców. Może dla innych osób okoliczność ta była tylko kwestią przypadku, ale dla mnie był to cud, który spełnił się w chwili, kiedy byłem u kresu swoich fizycznej i mentalnej wytrzymałości.

## VII. OD MAGADANU DO PAHLEVI

Tym razem magadańska tranzytka nie była już dla nas więzieniem czy łagrem. Jej brama była naoścież otwarta, a my mogliśmy dowolnie korzystać z prawa wychodzenia na miasto. Wolno nam było wychodzić o każdej porze dnia, odwiedzać niektóre sklepy i kontaktować się z cywilną ludnością. Wprawdzie nadal mieszkaliśmy w baraku, ale pomieszczenie było opalane piecykiem, a żywność nam wydawana należała do pierwszej klasy, czyli 600 gramów chleba dziennie i trzy gorące potrawy w postaci zupy z owsa.

Już od pierwszego dnia zacząłem szukać za dorywczą pracę, aby tą drogą zdobyć dodatkową żywność, której mój organizm bardzo się domagał. Najczęściej znajdowałem taką pracę jak rąbanie drzewa lub noszenie wody ze studni do mieszkalnych domów. W zamian za to dostawałem chleb, kaszę, rybę i inne artykuły żywnościowe. To pozwoliło mi na dożywianie się i nabrania sił.

Jednego dnia znalazłem kupę świeżo przywiezionego drzewa przed jakimś mieszkaniem. Osoba tam mieszkająca, z zawodu aptekarka, prosiła mnie o porąbanie tego drzewa i wniesienie na górę do jej mieszkania. Pracowałem ciężko całe popołudnie, za co zostałem obdarzony hojnie chlebem, rybą, cukrem, tytoniem, konfiturami i pieniędzmi.



Razem z nią mieszkał jeden z lekarzy z lokalnego szpitala oraz jej córka, dorastający podłotek, może w wieku 17tu latek. Po porąbaniu drzewa rozmawialiśmy przez pewien czas o moim polskim pochodzeniu, rodzinie i życiu w Polsce. W czasie tego aptekarka prosiła mnie, abym wstępował do nich, kiedykolwiek tylko będę miał czas na to.

Byłem w tym domu kilkakrotnie. Za każdym razem byłem przyjmowany obiadem lub kolacją. Podczas takich wizyt obie kobiety wypytywały mnie szczegółowo o życie w Polsce. Opowiadałem im prawdę, co dla nich żyjących w innych warunkach, wydawało się cudem. Młoda dziewczyna chłoneęła słuchem i duszą wszystko co mówiłem, a zwłaszcza moje opowiadania o tradycjach religijnych związanych z Bożem Narodzeniem. Kiedy mówiłem o tym przy stole, ona siedziała naprzeciw wpatrzone we mnie jak w obrazek. Dla niej musiała to być bajka z cudownego kraju i z innej a dalekiej dla jej matki przeszłości. Za każdym razem przed moim wyjściem z ich domu dziewczyna biegła do przyległego pokoju z moją czapką w rękę i zwracała mi ją pełną słodkich sucharków i innych smakołyków. Oprócz tej rodziny zrobiłem inne, ale mniej znaczące znajomości. Raz próbowałem odwiedzić staruszkę z którą handlowałem drzewem, ale zastałem drzwi zamknięte. Prawdopodobnie była w domu, ale bała się przyjmować obcych ludzi w czasie nieobecności jej córki oraz zięcia.

Dwa tygodnie po naszym zwolnieniu, następna grupa Polaków w ilości około 60ciu ludzi wyszła z 10go OŁPu. W grupie tej był mój przyjaciel, Rysiek Łopacki oraz dobry znajomy z łagru kpt. Czechowicz. Wprawdzie w czasie pobytu w łagrze moje stosunki z Rysiem nie były zbyt bliskie, ale po przyjsciu na tranzytkę, ja byłem pierwszym, do którego zwrócił się o pożyczkę kilku rubli. Od tej pory zaprzyjaźniliśmy się i staliśmy się towarzyszami lepszej doli na wolności. Raz zapronowałem

mu, aby poszedł ze mną na zarobki w mieście. On odmówił, ponieważ fizycznie czuł się za słaby, aby podołać ciężkiej robocie. Jego sposób zdobywania żywności polegał na kupowaniu pewnych artykułów w sklepikach dla sowieckich urzędników, do których jakimś cudem pozwalano mu wejść. Wieczorami z artykułów, przyniesionych przez nas, wspólnie gotowaliśmy potrawy. Spaliśmy na tej samej pryczy obok siebie i przed spaniem dzieliliśmy się wrażeniami dnia. Przez pewien czas do naszego kółka należał Janek Lisica, który później odłączył się od nas. Na baraku też był mój dawny znajomy z więzienia czortkowskiego i ze Starobielska, Wojciech Makowski, ale on będąc starszy ode mnie żył swoim własnym trybem życia.

Przed Świętami Bożego Narodzenia zdarzył się pewien wypadek, który dla kilkunastu z nas był przykry i nieprzyjemny w skutkach. Sprawa ta wiązała się z naszym wyjazdem do Władywostoku. Codziennie ktoś z obozu chodził do portu i sprawdzał, czy do portu nie zawinął jakiś statek. Na kilka dni przed świętami ktoś przyniósł wiadomość, że w ciągu następnych kilku dni do Władywostoku miał odejść okręt "Sowieckaja Łotwa". Oficjalnie nie dostaliśmy żadnego zawiadomienia, czy okręt ten zabierze nas ze sobą na powrotną podróż.

W tym dniu poszedłem do domu znajomej aptekarki, gdzie spędziłem kilka godzin na rozmowie, głównie o nadchodzących świętach. Przed wyjściem młoda dziewczyna znowu uraczyła mnie słodkimi sucharkami, które przed wyjściem włożyła mi do kieszeni buszłaka. Kiedy wróciłem do obozu zastałem barak pusty. Od jednego z Polaków, który jeszcze nie miał wyrobionych papierów, dowiedziałem się, że w ciągu dnia zabrano całą grupę do portu.

Spakowałem swój woreczek, zarzuciłem go na plecy i na piechotę udałem się w kierunku portu. Droga była zasypana głębokim śniegiem

i można było iść tylko koleinami, zrobionymi przez jakiś samochód ciężarowy. Szczęśliwie do portu jechało na saniach, jedno-konkę, dwóch sowieckich oficerów. Oni zabrali mnie ze sobą i podwieźli do zabudowań portowych. Przy bramie sprawdzono moje papiery i kazano mi iść do okrętu, stojącego jakie osiem kilometrów w lodzie. Było już szaro, kiedy doszedłem do tego miejsca. Przed okrętem stało kilkunastu spóźnionych Polaków, takich jak ja, którzy błagali marynarzy, aby pozwolili im wejść na pokład. Z góry odpowiadano im, że kapitan nie pozwolił im na przyjmowanie dodatkowych pasażerów. Ktoś ze stojących Polaków starał się wdrapać po linie na pokład, ale marynarze strzasnęli go na lód. Jeden polski Żyd długo błagał i prosił o przyjęcie go na okręt, ale to też nie odniosło skutku.

W międzyczasie zrobiło się już ciemno. Ponadto coraz silniejszy i zimniejszy wiatr zaczął wiać od lądu. Niektorzy z nas zdecydowali się na powrót. Inni poszli za nami. Janek Lisica i ja, widząc wlokącego się starszego człowieka, Siedleckiego, wzięliśmy go pod ramiona i prowadziliśmy go do portu. W czasie drogi wyciągałem słodkie sucharki z kieszeni i nimi karmiłem tego człowieka. Przyprowadziliśmy go do portu i oddaliśmy w ręce urzędników na wartowni. Jak później słyszałem Siedlecki przy sciąganiu butów stracił palce u nóg wskutek zamarznięcia. Inni powoli ściągali do portu, wszyscy zamarznięci do kości. Dla ratowania niedobitków ktoś z władz portu wysłał jedno-konkę na lód, aby zebrać tych, którzy wskutek zimna i braku sił nie mogli dojść do zabudowań o własnych siłach.

Janek Lisica i ja zdecydowaliśmy się wracać na tranzytkę jeszcze tej samej nocy mimo zimna i śniegu. Tym razem szczęście mi też sprzyjało. Ledwie uszliśmy kilkaset metrów, kiedy od portu nadjechał wóz ciężarowy. Na nasz znak ręką wóz się zatrzymał i strażnik przy

kierowcy pozwolił nam wsiąść na tył samochodu. Na wozie znaleźliśmy się w towarzystwie rosyjskich więźniów, których wieziono do miasta na nocną pracę. Kiedy znaleźliśmy się w niedalekiej odległości od obozu Janek i ja zeskoczyliśmy z wozu w czasie jazdy i wróciliśmy na tranzytkę w niebardzo wesołych nastrojach. Jeśli "Sowieckaja Łotwa" miała być ostatnim okrętem, który w tym sezonie opuszczał Kołymę, my bylibyśmy skazani na pozostanie w tym podbiegunowym miejscu aż do następnej wiosny.

Z naszej pozostałej grupy niektórzy ponownie chodzili do portu i sprawdzali czy statek odszedł. Następnie dowiedzieliśmy się od władz sowieckich, że wszyscy Polacy z okrętu wrócą z powrotem do obozu. Istotnie jednego z następnych dni cała grupa polska znalazła się znowu na tranzytce. Wśród nich zabrakło czterech osób, które naskutek wycieńczenia czy choroby zmarły na pokładzie. Ci, którzy wrócili, przeżyli cztery dni na statku w bardzo trudnych warunkach. Oprócz kawałka chleba i wody nic innego nie dawano im do jedzenia. Wielu z nich pozatym nie miało ciepłej odzieży i ci z trudem znosili zimno w luce okrętowej. Ten stan rzeczy musiał być wzięty pod uwagę władz sowieckich, bo bezpośrednio po rozładowaniu ich z okrętu wszystkim nam wydano nowe i cieplejsze zestawy odzieżowe.

Święta Bożego Narodzenia nie zapowiadały się jako wielka i huczna uroczystość polsko-narodowa mimo, że byliśmy już na wolności. Nic nie wskazywało na to, że poza symbolicznymi życzeniami, grupa nasza zdobędzie się na bogatszy sposób uczczenia tych świąt. My wciąż liczyliśmy się z tym, że za publiczne wyznawanie wiary mogliśmy z powrotem powędrować do łagru. Sprawy jednak ułożyły się inaczej. Późnym wieczorem, w noc wigilijną, do baraku weszło trzech sowieckich oficerów. Po wstępnej wymianie grzecznościowych słówek i po patrio-



tycznej mowie jednego z gości na temat Stalina i komunizmu, spotkanie to radykalnie zmieniło swój charakter, kiedy ktoś z Polaków pojawił się przy piecyku z butelką wódki w ręku.

W myśl polskiej tradycji gości poczęstowano wpierw. Po kilku kieliszkach języki się rozwiązały i powoli głównym tematem rozmowy stały się święta. Na sugestię jednego z oficerów ktoś zanucił kolędę, inni podchwycili słowa i melodię i zaraz potem cały barak brzmiał nutą polskich religijnych i patriotycznych piosenek. Czysto polski nastrój też udzielił się naszym gościom. Ten wybuch polsko-religijnych uczuć musiał dać im wiele do myślenia. Prawdopodobnie oni zadawali sobie pytanie dlaczego ich przewódca i komunistyczny system zabranili im obchodzić podobne tradycje, które ich przodkowie praktykowali przez wiele wieków.

Dnia 30go grudnia kazano nam pozostać w obozie i przygotować się do wyjazdu. Tym razem organizacja naszego wyjazdu wyglądała lepiej. Po południu do tranzytki przybyły ciężarówki, które przewiozły nas po lodzie do okrętu, stojącego 18 kilometrów od portu. Powierznia lodu była nierówna, ale traktory zdołały już przetrzeć drogę i dlatego dojazd do okrętu był możliwy. Okręt nosił nazwę "Dalstroj". Wielu z nas już o nim słyszało, a niektórzy na nim przybyli do Magadanu. Ogólnie w tym nowo-zorganizowanym transporcie znalazło się około 130 Polaków.

Do dyspozycji naszej grupy oddano jedną lukę z dwu-piętrowymi pryczami i z żelaznym piecykiem w pośrodku. Przy nim znajdował się dość duży zapas drzewa do palenia. Wyżywienie było też znacznie lepsze niż na "Sowieckiej Łatwie". Dostawaliśmy aż 750 gramów chleba, dwie ryby, kilku cukierków zamiast cukru i dwa razy dziennie gorącą zupę. Również mieliśmy stale do dyspozycji tzw "kipiatok", który zabarwialiśmy

cukierkami i piliśmy jako herbatę. Niektórzy z nas przyniesli ze sobą swoje własne zapasy żywnościowe, które mimo wysokiej racji żywnościowej dla nas wygłodzonych ludzi były bardzo przydatne.

W czasie podróży morskiej Rysiek i ja stałe trzymaliśmy się razem. Rysiek, który musiał być głodniejszy ode mnie, zaczął szperać po okręcie i szukać za dodatkową żywnością. Już w jednym z pierwszych dni podróży ten młody człowiek dostał się do dolnej luki, gdzie znalazł kilka zgniłych i nienadających się do jedzenia buraków, Innym razem znalazł dziurę w ścianie magazynu z chlebem, co wspólnie wykorzystaliśmy do wyciągania zamrożonych chleba z poza ściany. Biorąc to wsztsko pod uwagę, straszny głód, jaki doświadczyliśmy w obozach, już nam tak bardzo nie dokuczał.

Tuż po załadowaniu się na okręt przez całą noc słyszeliśmy głośne detonacje nazewnątrz. Jak się następnego dnia dowiedziałem, dookoła okrętu lód wysadzano dynamitem, aby pozwolić okrętowi na opuszczenie zamrożonej zatoki. Rano istotnie okręt przybrał właściwy kierunek i ruszył do przodu. Płynęliśmy bardzo wolno. Okręt musiał łamać lód przed sobą własną siłą. Dlatego, gdy lód nie pozwalał mu ruszać się dalej ku przodowi, okręt cofał się do tyłu, nabierał rozpędu i znowu łamał pewną przestrzeń zamrożonej powierzchni morza. Tak podróżowaliśmy przez trzy dni przy ciągłym huku łamanego lodu, którego głos wewnątrz okrętu potęgował się niezmiernie. Czasami wydawało się, że statek pęka w swoich wiązaniach i rozlatuje się w kawałki.

Na pełnym morzu powłoka lodu była coraz cieńsza i coraz łatwiejsza do przełamania. Bardziej na południe lód znikł zupełnie i okręt płynął do przodu pełną szybkością. W cieśninie La Perusa lód znowu zablokował nam drogę. Okręt ponownie cofał się, nabierał rozpędu i łamał lód przed sobą. Morze Japońskie, natomiast, było zupełnie

wolne od lodu. Morze naogół były spokojne i żadne niespodziewane burze nie dokuczyły nam w ciągu tej części podróży.

Po dwunasto-dniowym kołataniu się po Morzu Ochockim i Japońskim, dobrnęliśmy wreszcie dnia 12go stycznia 1942 roku do Buchty Nachodki. Wprawdzie byliśmy jeszcze daleko do naszego ostatecznego celu, jakim była Polska Armia, ale pod nogami już czuliśmy ten ład, miały się urzeczywistnić nasze marzenia. Z portu maszerowaliśmy do znanego nam już obozu, ale tym razem pod nadzorem już nieuzbrojonego przewodnika. W czasie tego marszu, mimo białej zimy dookoła, czułem się gorąco. Moim współ-towarzyszom też musiało być za ciepło, bo po drodze rozpinali kufajki i buszłaki i nawet zdejmowali rękawice. W tej części świata zima wciąż dawała się ludziom we znaki, ale dla nas nie była to kołymska zima.

Przy wejściu do obozu odebrano nam "udostwierenia" i ulokowano w barakach obozu. Byliśmy wprawdzie traktowani lepiej niż więźniowie, ale nie mieliśmy tych samych swobód jak w Magadanie. To nieco inne traktowanie nas polegało na tym, że nie wolno nam było wychodzić poza bramę obozu. Przesiedzieliśmy tam dwa dni. Następnie zaopatrzone nas w bochenek chleba i kilka śledzi i specjalnym pociągiem wysłano do Nowosybirska. Jednak skromna racja żywności nie wystarczyła nam na długo. Po dwóch dniach podróży ludzie zaczęli wychodzić na stacjach w poszukiwaniu za żywnością i po drodze gubić się z transportu.

Gubienie się ludzi zaczęło się już w Chabarowsku. Rysiek Łopacki i ja wysiedliśmy z pociągu dopiero w Birabejdżanie w nadzieji, że w restauracji kolejowej dostaniemy trochę ciepłej stawy. Dostaliśmy się wprawdzie do środka i kupiliśmy po porcji zupy, ale pociąg uciekł nam nim zdążyliśmy do niego powrócić. Udaliśmy się więc po pomoc do lokalnego Wojenmatu /Urzędu od Spraw Wojskowych/. Tam przyjęto nas

życzliwie i zaopiekowano się nami tak jak sowieckimi rekrutami jadącymi do wojska. Ulokowano nas w świetlicy komsomolców i nawet pokazano nam dwa propagandowe filmy na temat przebiegu akcji wojennej na zachodniej części kraju. W czasie tego czekania dano nam pełny obiad, a na drogę dostaliśmy trochę chleba, kawałek kiełbasy i nieco cukru. Również załatwiono nam sprawę dalszej podróży w kierunku na zachód. Z Birabejdżanu wyjechaliśmy w wygodnym przedziale w ciągu nocy. Podróż była więc wygodna, ale krótkotrwała, bo na wydany nam prowiancie dojechaliśmy tylko do Ułan-Ude. W miejscowości tej znowu udaliśmy się do urzędu Wojenkomat po pomoc. Tam dostaliśmy po dwa bochenki chleba oraz ułatwiono nam zakup dodatkowej żywności w ich sklepiku. Również postarano się dla nas o miejsce w wagonie. Niestety pociąg ten szedł tylko do Irkutska. My nie bardzo tym martwiliśmy się, ponieważ po dotychczasowych doświadczeniach byliśmy pewni, że w tym miejscu też znajdziemy pomoc w wojskowym urzędzie. Po dwóch dniach podróży dotraliśmy do tej typowo syberyjskiej miejscowości.

Na następnym miejscu zatrzymania nasze nadzieje jednak się nie spełniły. Tam zainteresowanie nami nie istniało, wobec czego nie było mowy o uzyskaniu pomocy od tamtejszych władz. Prawdopodobnie oni mieli za dużo takich klientów jak my, zarówno polskich jak rosyjskich, i dlatego lokalni urzędnicy nie mogli podołać obowiązkowi, jakie na nich nałożyła wojna. Stacja była przepełniona czekającymi ludźmi, a do pociągów idących na zachód dostać się było trudno. Pozatym proces otrzymania prawa do dalszej podróży był był niezwykle skomplikowany, długi i trudny. Wpierw trzeba było czekać na ostemplowanie biletu, następnie stać kilka dni w kolejce przed wejściem na peron, a nawet będąc na peronie nie zawsze można było dostać się do wagonu. Na to trzeba było poświęcić conajmniej tydzień czasu, co przy naszych



skromnych zasobach żywnościowych stawiało nas w obliczu wielkiego problemu. Postanowiliśmy więc szukać za innym sposobem, aby dostać się do wagonu.

Przed powzięciem jakiegokolwiek planu musieliśmy wpierw rozpoznać rejon stacji. Obeszliśmy ją dokoła i stwierdziliśmy, że inne i nieznane wejście na staję prowadziło wzdłuż szyn kolejowych. Wkrótce przeszedł pociąg idący na zachód. Dobiegliśmy do miejsca, gdzie się kończył peron i gdzie przez parkan można było dostać się na tor kolejowy. Przeszkoczyliśmy przez ogrodzenie i znaleźliśmy się na torze. Idąc po odwrotnej stronie peronu, próbowaliśmy po kolei waszytkie drzwi wagonów - niestety wszystkie były zamknięte. Już niemal przy końcu pociągu nacisnąłem klamkę i drzwi się otworzyły. Wskoczyliśmy do środka poza plecami dyżurnego, który w tym czasie odpychał tłum pchający się do wagonu od strony peronu. W jednym z przedziałów znaleźliśmy dwie ławeczki pod oknem, które natychmiast zajęliśmy.

W naszym przedziale podróżowała, oprócz nas, rosyjska kobieta z dziewczynką, kilku Polaków z naszej magadańskiej grupy i kilku sowieckich żołnierzy. Podróż była ciasna i niezbyt wygodna. Jednak po ostatnich doświadczeniach nie mieliśmy zamiaru wysiadać na stacjach, nawet dla zakupu żywności. Podróżowaliśmy na tych ławeczkach, siedząc w ciągu dnia i śpiąc w cigu nocy, wyciągnięty jeden obok drugiego. Na stacjach wyskakiwaliśmy ostrożnie, aby nabyć coś do zjedzenia i na krótko, aby nie stracić pociągu. Czasami można było kupić kubek mleka, czasami placki kartoflane, czasami zupę z kawałkiem chleba, a czasami musieliśmy się zadowolić gorącą wodą. W czasie drogi wcisnęło się więcej podróżujących i w przedziale zrobiła się niemożliwa ciasnota. Tłok ten sprzyjał żulikom, których ofiarą stał się mój towarzysz. W ciągu nocy Rysiek zdejmował buty i kładł je pod ławkę. Jakiś złodziej

ukradł je w ciągu nocy i w zamian pozostawił swoje brudne, stare o podarte łachmany.

W ciągu drogi zaczęło brakować mi pieniędzy, wobec czego na jednej ze stacji sprzedałem jedną ze swoich kufajek.

Po kilku dniach podróży dostaliśmy się wreszcie do Nowosybirska i zaraz zameldowaliśmy się do polskiego delegata, który urzędował na stacji. Tam spotkaliśmy się z kpt. Czechowiczem, naszym współ-towarzyszem z Kołomy, którego z miejsca zatrudniono w tym urzędzie. Od niego dowiedzieliśmy się, że w danej chwili rekrutacja do polskiego wojska została wstrzymana i należy starać się o pracę, aby przetrwać aż do powołania. W takiej sytuacji zdecydowałem się na wyjazd do Semipałatyńska, aby odszukać moich rodziców. Za pośrednictwem kpt. Czechowicza dostaliśmy bilety do Barnaułu, ponieważ dla jakiejś przyczyny nie można było dostać ich do Semipałatyńska. Rysiek pojechał ze mną w nadziei, że w Barnaule spotka znajomych z jego stron rodzinnych.

Podróż do Barnaułu odbyła się bez przygód i specjalnych wrażeń. Po przybyciu do tego miasta zgłosiliśmy się natychmiast do polskiej delegatury, gdzie dano nam po kilkadziesiąt rubli, kartkę na chleb oraz przepustkę do publicznej łaźni. Również mnie wydano zaświadczenie, upoważniające mnie do dalszej podróży. Po południu tego dnia pożegnałem się z Ryśkiem i sam udałem się na stację. Przyszedłem tam nieco wcześniej, aby załatwić formalności związane z wydaniem biletu oraz otrzymaniem miejsca w wagonie.

Przy drzwiach do stacji natychmiast pokazałem in zaświadczenie z polskiej delegatury, ale to niewiele pomogło. Korzystając z chwilowego zamieszania dostałem się do środka na siłę. Przy okienku biletowym powstały nowe trudności i w rezultacie biletu nie dostałem. Wyszedłem więc nazewnątrz i podobnie jak w Irkucku zacząłem szukać sposobu

dostania się na peron. W odległości około stu metrów od stacji stał mały domek z przejściem między drogą i torem. Przeszedłem przez ganek i znalazłem się na torach na wysokości ostatnich wagonów czekającego pociągu. Od strony peronu stali dyżurni wagonów i nie chcieli wpuścić mnie do środka. W ostatniej chwili, kiedy pociąg już ruszał, wskoczyłem na przejście między wagonami. Na przejściu stało kilka innych osób, które podobnie jak ja nie miały biletów. Jednemu z nich udało się otworzyć drzwi do małego kurytarzyka, do którego weszliśmy wszyscy. Ta część wagonu wprawdzie nie była ogrzewana, ale chroniła nas od wiatru i przeciągu.

Po przejechaniu kilku stacji, zostaliśmy przechwyceni przez kontrolę pociągu w osobach konduktora i umundurowanego policjanta. Moi towarzysze, będąc Rosjanami, w jakiś sposób się wykręcili od odpowiedzialności za oczywiste przestępstwo. Mnie natomiast zabrano do jednego z przedziałów i oddano pod opiekę jednego z konduktorów. W czasie jazdy wdałem się z nim w rozmowę i powiedziałem, że byłem więźniem na Kołymie. To widocznie podziałało na niego, bo na następnej stacji pozwolił mi wysiąść, aby kupić bilet do Łokietnaja, gdzie miałem przesiąść się na pociąg idący do Szemanajchy - ostatniej stacji przed miejscem zamieszkania moich rodziców. Bilet sprzedano mi bez trudności, ale kiedy powróciłem do wagonu, zastałem jego drzwi zamknięte. Zacząłem próbować po kolei każde drzwi następnych wagonów. Dopiero ostatnie z nich były otwarte. Wskoczyłem do środka i przysiadłem się na ławeczce. Siedząc tam usłyszałem dźwięki polskiej mowy. Wdałem się z rozmową z jedną z osób i od niej dowiedziałem się, że w transporcie tym jest grupa Polaków z północnej Syberii w drodze na południe.

Około południa dojechałem do Łokietnaja i tam pożegnałem się z przypadkowo spotkaną grupą Polaków. Pociąg do Szemanajchy odchodził



dopiero nad rankiem następnego dnia. Musiałem przesiedzieć kilkanaście godzin w poczekalni. W tym dniu cała obsługa kolejowa miała dzień wolny i nie mogłem dostać niczego w restauracji do jedzenia. Zdrzemnąłem się w ciągu nocy na podłodze i obudziłem się dopiero wtedy, gdy otworzono kasę. Podróż do Szemanajchy była krótka. Dojechałem tam o wczesnych godzinach rannych Restauracja była już otwarta. Po odstaniu swego czasu w kolejce dostałem tam miskę zupy z kwaśnej kapusty. Tma zostałem wylegitymowany przez jednego z milicjantów, który zauważył mnie wcześniej i podejrzliwie spoglądał na mnie. Poczekałem jeszcze w poczekalni aż się rozwidni na dworze. Kiedy zrobiło się jasno wyszedłem nazewnątrz, aby zasięgnąć informacji jak się dostać do "Wtoraja Piatyletka", gdzie mieli mieszkać moi rodzice. Pytałem ludzi po drodze o to miejsce, ale nikt nie mógł dać mi konkretnej odpowiedzi.

Tuż przy tzw. centrali transportowej natknąłem się na starego Kazaka, szczupłego wysokiego człowieka z bródką, którego zapytałem o drogę do sowchozu. Jego mowa była trudna do zrozumienia, ale z ruchu jego rąk domyśliłem się, że słupy telefoniczne, które on wskazał palcem miały zaprowadzić mnie do celu. Również zrozumiałem tyle, że droga w stepie może być zawiana i można zabłądzić w stepie. Jego osobista rada była, abym zaczekał w Szemanjsze, aż do przyjscia sań z sowchozu, które przyjeżdżały conajmniej dwa razy w tygodniu. W tym dniu, jak on powiedział, sanie te nie przyjeżdżały. Mimo jego rad i ostrzeżeń zdecydowałem się wybrać w drogę na piechotę, biorac słupy telefoniczne jako mój kierunkowskaz.

Początkowa część drogi była już przetarta i łatwo rozpoznawalna. Dalsza jej część była zasypana śniegiem i tylko czasami jej koleiny ukazywały się w pustym stepie. Stupy telefoniczne były istotnie dobrym drogowskazem. Przede mną otwierał się szeroki step, lekko



falisty i pokryty jednolitym kolorem śnieżnej bieli. Step i śnieg, śnieg i step - były jedyną treścią krajobrazu, zaczynającego się i kończącego się niebem - niebem również zasłanym białą powłoką chmur. Step bez początku i końca, przytym zimny, chociaż na moje szczęście cichy i spokojny. Jednak ja, człowiek niedawno temu poddany torturom mrozów kołymskich, stepowego zimna nie odczuwałem. Wyższa temperatura w porównaniu z kołymską oraz podniecenie, wywołane nadzieją spotkania się z rodziną, utrzymywały mnie w stanie napięcia oraz ciepła.

Około południa spotkałem się z pierwszym znakiem życia ludzkiego na stepie. Przed sobą zobaczyłem sanie, jedno-konkę, idącą w odwrotnym kierunku. Zatrzymałem woźnicę i zapytałem go czy idę właściwą drogą. W trakcie krótkiej rozmowy dowiedziałem się, że woźnica należy do sowchozu położonego o kilka kilometrów od "Wtoraja Piatyletka". Okazało się, że on znał moich rodziców oraz innych Polaków na sowchozie i zapewnił mnie, że wszyscy żyją i pracują

Kilka godzin potem spotkałem następny znak życia. Tym razem sanie szły w tym samym kierunku w jakim ja szedłem. Prosiłem o podwiezienie mnie, ale woźnica odmówił, usprawiedliwiając się przepisem, który zabrania udzielania pomocy ludziom po drodze. Dopiero następny woźnica z sowchozu położonego o cztery kilometry od mego docelowego miejsca pozwolił mi usiąść na jego sanie. Ujechałem z nim conajmniej dziesięć kilometrów, do granic jego sowchozu. Przy rozstaniu wskazał mi drogę, którą miałem iść do miejscowości, gdzie mieszkali moi rodzice.

Szedłem ścieżką wydeptaną w śniegu i pod wieczór około godziny piątej zobaczyłem dymiące się kominy w stepowej kotlinie. Nie miałem najmniejszej wątpliwości, że była to "Wtoraja Piatyletka". Przy jednym z pierwszych domów spotkałem grupę Polaków. Wszyscy z nich znali mego

ojca, a jeden z nich chętnie zaofiarował się zaprowadzić mnie do jego domu. Doszedłem z nim do miejsca, gdzie dom był już widoczny. Przy wejściu do wioski również spotkałem młodą panne Stanecką, znaną mi z Jazłowca jako młodziutką dziewczynkę. Gdy zapytałem w którym baraku mieszkają moi rodzice, ona odpowiedziała, że są jej sąsiadami. Zaprowadziła mnie do samych drzwi i natychmiast pobiegła do miejsca pracy ojca, aby zawiadomić go o moim przybyciu.

Zapukałem do drzwi. Jakiś męski głos zaprosił mnie do środka. W mieszkaniu zastałem mego wuja Kurianskiego, burmistrza Jazłowca, oraz mego młodszego brata Tadeusza. Obaj rzucili mi się na szyję i zaczęli uściskać i całować. Niedługo potem przybiegł zadyszany ojciec i uściskając mnie rozplakał się ze wzruszenia. W kilka minut później całe mieszkanie zapełniło się Polakami. Witano mnie jak człowieka, który powrócił z drugiego świata. Każdy zadawał mi pytania, czy nie spotkałem ich mężów, ojców, braci, krewnych i znajomych. Miałem wiadomości dla Makowskiej i Pocztarowej, raczej ogólne i przedawnione, ale dla obu pań cenne, ponieważ utwierdzały je w przekonaniu, że najbliższe im osoby wciąż żyją.

Jedna z młodszych dziewczynek pobiegła szukać za moją matki, która nieco wcześniej przed moim przybyciem poszła do innej wioski po mleko. Dziewczynka spotkała ją po drodze powracającą do domu. Matka początkowo nie wierzyła w prawdę tej wiadomości, ale kiedy młode dziewczę powtórzyła jej kilkakrotnie, zaczęła biec do domu, mimo, że stan jej zdrowia na to jej nie pozwalał. Biegąc zaczęła płakać ze wzruszenia. Gdy wpadła do domu rzuciła mi się na szyję i długo, długo płakała.

Późnym wieczorem przyszli moi wujowstwo Kuriańscy razem z rodziną. Znalazłem się znowu po długiej przerwie w otoczeniu kuzynek Wisi,

Kazi i Franusi, ich braci, Mietka i Lusia, cioci Luwdini. Potem też przyszli stryowstwo Ignacowie Kowalscy razem z córkami. Wiadomość o moim przyjsciu obiegła w mig cały sowchoz. Nawet sam naczelnik przyszedł mnie odwiedzić i w przystępie dobrego humoru wypisał mi kartę na dwa kilogramy kaszy oraz litr roślinnego tłuszczu, uprzedzając mnie przytym, że za kilka dni powoła mnie do pracy.

Był to dzień 28go stycznia 1942 roku, - pamiętny dzień spotkania się z rodziną na dalekiej sybiryjskiej ziemi.

Następne dni były dla mnie dniami odpoczynku. Ojciec przekonał swego przełożonego, że moje ropiejące nogi nie pozwalają mi na podjęcie pracy, co zostało potwierdzone przez lokalnego lekarza, Niemca z nad Wołgi. Moje nogi istotnie były w fatalnym stanie. Naskutek szkorbutu /cyngi/ skóra przegniła w wielu miejscach do mięśni i duże rany nie chciały się wogóle goić. Matka przemywała je i bandażowała, co niewątpliwie mi ulżyło, ale do całkowitego wyleczenia potrzebowałem witamin i lepszego wyżywienia To niestety nie było osiągalne na posiołku. Całe dni leżałem na ławie i przyjmowałem gości.

W czasie tego zapoznawałem się z warunkami życia rodziców i innych Polaków wywiezionych do rejonu Semipałatyńskiej Obłasti. Moja rodzina miała do swojej dyspozycji jedną małą izdebkę w baraku. Inni Polacy, bez względu na wielkość rodziny mieli to samo. Umebrowanie składało się z jednego łóżka, stołu, ławki i kilku strzyń. W ciągu dnia leżałem na łóżku rodziców, a na noc przenosiłem się na ławkę. Mój brat Tadeusz spał na skrzyniach. Mieszkania innych Polaków nie wyglądały lepiej.

Ze swego łoża wstałem tylko kilka razy, aby odwiedzić wujostwa Kuriańskich, stryjostwa Kowalskich i kilku najbliższych sąsiadów. Moje pokazywanie się w sowchozie nie było wskazane, ponieważ mogło

sprowokować naczelnika do wezwania mnie do pracy. Wprawdzie raz widziała mnie jego córka i przy okazji powiedziała ojcu, że jestem "charoszyj baryń", ale to nie wywołało żadnej negatywnej reakcji z jego strony.

Długi barak, w którym mieszkali rodzice, mieścił też inne rodziny polskie, które często zaglądały do mnie. Najbliższą sąsiadką była p. Bielska z Zaleszczyk Wielkich. Naprzeciw, przez sień, mieszkała p. Pocztarowa z synem i córką - jej mąż był ze mną na celi w Czortkowie. Stryj Ignacy mieszkał w tym samym budynku, ale do jego mieszkania prowadziło inne wejście. W tym samym sowchozie była p. Makowska z synami, której mąż był moim długim współ-towarzyszem w więzieniach i łagrach. Częstymi moimi gośćmi byli Swaryczewscy ze Złotego Potoka, a zwłaszcza młoda pani Adela, która pracując w stołówce, zawsze przynosiła mi coś do jedzenia. Przez nią zaprzyjaźniłem się z jej bratem Tadeuszem, żonatym z Ukrainką. Osoba ta tak była w nim zakochana, że wyjechała z nim na Sybir, chociaż jej nazwiska nie było na liście ludzi skazanych na wywóz.

Ojciec mój pracował w stolarni, gdzie wyrobił sobie opinię dobrego pracownika i znawcę w tym zawodzie. Z tej racji cieszył się uznaniem u naczelnika sowchozu. Jeden z przyczyn było to, że ojciec zrobił mu kilka mebli do domu, które było trudno dostać. Za swoją pracę ojciec dostawał 240 rubli miesięcznie, za co mógł kupić ledwie pud mąki /16 kg/. Brat Tadeusz, jako woźnica, zarabiał tylko 80 rubli. Pieniądzy jednak nikomu nie brakowało. Każdy dostawał wynagrodzenie, ale za to niewiele mógł kupić, ponieważ w sklepiku poza racjonowanym towarem niczego nie było. Matka, jako osoba chora, nie pracowała. Naczelnik kilkakrotnie chciał ją wziąć do pracy, ale ona stanowczo odmówiła. Dlatego jej przydział dzienny chleba wynosił tylko 200 gr.



Zasadniczym wyżywieniem mojej rodziny i każdej innej wywiezionej polskiej rodziny były kartofle i kapusta, pochodzące z ich własnych ogródków. Za używanie kawałeczka ziemi musieli jednak płacić podatki w pieniądzach i naturze. Mięso w sowchozie było tylko wtedy osiągalne, kiedy na posiołku padła krowa, świnia czy owca. Mleko Polacy z reguły kupowali u Rosjan lub Kozaków, którym wolno było mieć krowy, za co też płacili podatki w pieniądzach, mięsie, maśle i mleku. Stryj Ignacy i wuj Kuriański też posiadali krowy, do dla nich, mających duże rodzeństwo, było wielką pomocą w wyżywieniu rodziny. Podatki również płaciło się od mieszkania, zarobków, kawalerstwa i w dodatku pewną część zarobków trzeba było inwestować w państwową pożyczkę. Innym podatkiem było oddawanie pewnej części chleba na suchary dla wojska.

W systemie w którym wszystko było ściśle racjonowane dobrodziejstwa, jakie obywatel otrzymywał, były znikome. Wszystkie z nich przechodziły przez państwowy sklepik, będący pod nadzorem naczelnika. Od niego zależał przydział każdego artykułu żywnościowego lub rzadkiego artykułu z ubrania. Jeśli coś z tej branży przyszło na posiołek, część towaru przeznaczano na wojska, a resztę przyznawano robotnikom, głównie Rosjanom. Polacy z reguły nosili tylko to odzienie, jaki przywieźli ze sobą z Polski.

Przywileje każdego z pracujących były minimalne i zasadniczo odnosiły się do wyżywienia, natomiast obowiązków i ograniczeń było wiele. Zasadniczym z ostatnich był zakaz opuszczania sowchozu. Nawet na krótki wyjazd do pobliskiej miejscowości trzeba było mieć specjalną przepustkę. Za przekroczenia przepisów a szczególnie za kradzież żywności kary były wysokie. Jedna Polka za ukradzenie świńskiego jedzenia dla głodnych dzieci została skazana na dwa lata więzienia.

Wuj Kuriański też niemal przepłacił wolnością, nawet nie za swoją winę. Ponieważ był budowniczym z zawodu jemu powierzono zbudowanie pieca w lokalnej świniań. W czasie zimy, ktoś z rosyjskich pracowników, paląc w piecu słomą, spowodował pożar, naskutek czego zginęło kilka świń. Wujka oskarżono o niedbałe zbudowanie pieca, a tym samym o spowodowanie pożaru. Specjalny urzędnik NKWD przyjechał do sowchozu celem przeprowadzenia śledztwa. Po przesłuchaniu oficer zabrał wujka ze sobą i razem wyjechali w step. Wszyscy Polacy byli przekonani, że Kuriańskiego już nie zobaczą. Po kilku godzinach oficer powrócił i kazał wujowi iść do domu. Tylko kilku zaufanym wuj zwierzył się z tego co miało miejsce w czasie jazdy z enkawudzistą w jego powozie. Oficer ten był polskiego pochodzenia, nazywał się Domański i chciał dowiedzieć się o życiu człowieka w Polsce. W czasie kilkugodzinnej jazdy człowiek ten chłonał z ciekawością dziecka wszelkie wiadomości o Polsce. Dla niego musiała to być wielka uczta duchowa.

W czasie pobytu na posiołku zspotkałem się też ze starszą generacją jazłowiecką. Pewnego dnia przyszła do mieszkania rodziców moja nauczycielka ze szkoły powszechnej p. Piwowarska. Już z lat przedwojennych pamiętałem ją jako starszą osobę chodzącą o lasce. Warunki syberyjskie jeszcze bardziej ją postarzały i niewątpliwie wpłynęły na jej stan psychiczny. Starąłem się wciągnąć ją w rozmowę, ale staruszka na nic nie reagowała. Nie pamiętała nawet tego, że byłem jej uczniem i nie przypominała sobie, aby mnie widziała w Jazłowcu. Innego dnia przyszedł do mnie Żyd Goldstaub, były właściciel sklepu tytoniowego i legionista z lej Wojny Światowej. On też bardzo podupadł na zdrowiu i obojętnie odnosił się do życia. Jego żona siedziała beczynnie w ich izbie i też powoli dogorywała. On ożywił się nieco kiedy rozmowa zeszała na tematy jazłowieckie. Jego oczy zajaśniały

i patrząc na mnie człowiek ten wyraził życzenie, aby powrócić do Jazłowca, chociażby na pięć minut i tam umrzeć.

Jednym z gości, przychodzących do rodziców, był stary, szczupły i wysoki Kazak. Matka rozumiała jego mowę, ale ja nie mogłem pojąć ani słowa. Jak mi powiadano, Kazacy niejednokrotnie udzielali pomocy Polakom. Przy pewnych okazjach zapraszali polskie dzieci i częstowali je szaszłykami z baraniny. Dla rosnącej a wygłodzonej młodzieży była to istotnie uczta. Czasami korzystali z takich zaproszeń moi dwaj kuzynowie, Miecio i Lusio Kuriańscy. Zasadniczo oni byli wciąż dzieciakami, bo żaden z nich jeszcze nie przekroczył dziesięciu lat życia.

Zupełnie niespodziewanie, dnia 8go lutego, przyszła telegraficzna wiadomość, że wszyscy Polacy w ieku poborowym mają się stawić do przeglądu lekarskiego w miejscowości Borodulicha. Na posiołku było dwunastu kandydatów do ewentualnej służby wojskowej. Wyjechaliśmy z sowchozu saniami jeszcze tego samego wieczoru. Podróż nocą w stepie nie należała do wielkich przyjemności. W ciemnościach straciliśmy drogę i znalezienie właściwej trasy zabrało nam dużo czasu. Rezę nocy przespaliśmy w jakiejś pośredniej miejscowości, a do Borodulichy dojechaliśmy dopiero następnego dnia wieczorem.

Miejscowi Polacy, wywiezieni ze Lwowa, przyjęli nas bardzo serdecznie i gościnnie. Poszczególne rodziny zabrały nas do swoich mieszkań, dzieląc się z nami jedzeniem. Tadzia Swaryczewskiego i mnie zaprosiła do siebie p. Rederowa, żona polskiego pułkownika. W jej domu poznaliśmy również jej córkę Zosię oraz matkę p. Teliczkową, właścicielkę znanej restauracji we Lwowie. Mieszkaliśmy u tej rodziny dwa całe dni, korzystając z ich wyżywienia, co z ich strony musiało być wielkim poświęceniem dla naszego dobra.

W czasie naszego pobytu w Borodulicha Lwowiacy przygotowali lwoski wieczorek z lwowskim bałakiem i znanymi na całą Polskę piosenkami lwowskimi. Potem odbyło się bardzo miłe spotkanie z bracią lwowską, która w nas Podolakach widziała swoich bliskich braci i traktowała nas jako bliskich i dobrych przyjaciół. Przegląd lekarski wypadł dla nas wszystkich pomyślnie. Nawet ja, mimo wprzodzonych nóg, dostałem kategorię "A". Następnego dnia opuściliśmy Baradulichę, serdecznie żegnani przez Lwowiaków. Dnia 12go lutego byliśmy z powrotem na "Wtoraja Piatyletka". Ale mój pobyt u rodziców miał się już ku końcowi.

Cztery dni potem dostałem oficjalne powołanie do wojska. Rodzice chcieli wyjechać ze mną w nadziei, że w innej części Syberii znajdą lepsze warunki życia. Być może, że kierowali się przeczuciem, że Polska Armia wkrótce opuści terytorium sowieckie. Dla mnie w owym czasie taka myśl była nierealnym marzeniem. Biorąc pod uwagę to, że na posiołku byli już usadowieni i ich życie było do pewnego stopnia zorganizowane, szczerze odradzałem im wyjazdu razem ze mną. Oczywiście nikt z nas nie mógł nawet przewidywać jakie mogło być stanowisko władz sowchozu w takim wypadku. Ponadto w swojej perswazji kierowałem się obawą przed epidemią tyfusu, jaka panowała w wielu rejonach Związku Sowieckiego.

Wieczorem dnia 16go lutego, żegnani przez rodziny i wszystkich Polaków w sowchozie patriotycznym piosenkami i szczerymi życzeniami, dziesięciu z nas opuściło "Wtoraja Piatyletka". Matka i ojciec całowali mnie setki razy, roniąc przytym łzy i powtarzając wiele razy "nie zapominaj o nas". Słowa te długo brzmiały mi w uszach i wielokrotnie później przychodziły mi na myśl. Ojciec i brat odprowadzili mnie do mostku i tam ich pożegnałem. Przy rozstaniu prosiłem ich,



aby uważali na matkę, której stan zdrowia nigdy nie był najlepszy, a w warunkach sowieckich mógł się pogorszyć. Przy ostatniej wymianie słów ojciec i brat płakali, a ja też z trudem powstrzymywałem się od łez. Kiedy sanie ruszyły odczułem wielką pustkę koło siebie i wtedy moim największym życzeniem było to, aby znowu zobaczyć się z nimi.

W Baradulicha znowu zostaliśmy przyjęci serdecznie przez Lwowiaków. Tadzio Swaryczewski i ja, jak poprzednio, zamieszkaliśmy u p. Rederowej. Przed naszym wyjazdem do wojska lwowska kolonia znowu zorganizowała lwowski wieczorek, na który złożyły się przemówienia, deklamacje i piosenki. Stacja kolejowa była jednak położona o kilkanaście kilometrów od miejscowości. Dlatego dano nam podwody konne, aby do niej dojechać. Nasza grupa powiększyła się o Lwowiaków i jednego z nich wyznaczono na naszego dowódcę. W czasie drogi było bardzo zimno i przemarzałem do kości. Przez cały czas szalała burza, zwana "buran", która w szarzyźnie nocy przesłaniała wszystko przed nami. Tylko dzięki koniom i woźnicom utrzymaliśmy właściwy kierunek i późną nocą dotarliśmy do stacji.

Nasz komendant tarnsportu zakupił dla nas bilety i nad ranem wyjechaliśmy w kierunku Ałma Ata. Pociąg był wypchany po brzegi pasażerami. W czasie drogi coraz więcej ludzi przybywało, a prawie nikt nie ubywał. Pierwszą noc Tadzik i ja przestaliśmy w przejściu -o siedzeniu lub położeniu się nie było mowy. Na pewnej stacji wyszło kilku pasażerów i wówczas dostaliśmy miejsca na górnych półkach, które też liczyły się jako miejsca w wagonie. Zatrzymywaliśmy się na główniejszych stacjach, gdzie nam wojskowym wydawano ciepłe obiady, głównie zupy z kapusty i kawałek chleba. Dopiero 23go lutego wieczorem dojechaliśmy do docelowej stacji, Ługowaja. Tam nikt nas nie witał i nikt się nami nie zajął. Widocznie polska organizacja była jeszcze w powijakach

i każdy nowo-przyjezdny musiał działać na własną rękę.

Na stacji znalazł się jednak ktoś w polskim mundurze i zaprowadził nas do jakiegoś domu. Wnętrze było całkowicie zavalone ludźmi. O znalezieniu miejsca nie było mowy. Gdzieś na uboczu miejscowości znaleźliśmy stóg siana i tam przespaliśmy naszą pierwszą noc w Ługowaja. W tych okolicach był już początek wiosny, powietrze było wilgotne, a drogi pokryte błotem. Jednak było dostatecznie ciepło, aby spać na świeżym powietrzu. Przyjęcie do wojska był prostą procedurą, ale to nie było równoznaczne z otrzymaniem munduru i przydziałem do jakiegoś oddziału.

Mimo przyjęcia do wojska, wciąż musieliśmy mieszkać prywatnie. Tadzik wystarał się o mieszkanie u jakiegoś Rosjanina i tam przespaliśmy kilka nocy. W czasie jednego z tych dni, stojąc przy kuchni wojskowej, spotkałem się z młodszym kolegą z gimnazjum buczackiego. Człowiek ten, pełniąc wówczas funkcję kucharza, dał mi dodatkową porcję zupy. Kolega ten nazywał się Kazimierz Iwachów. Po kilku dniach kazano nam przygodotwać się do umundurowania. Wpierw musieliśmy przejść konieczny proces kąpieli i odwszenia naszych osobistych ubrań. Tadzik załatwił to szybciej i wcześniej dostał swój polski mundur i przydział do oddziału.

Po otrzymaniu munduru zostałem przydzielony do 28go Pułku Piechoty, 10ej Dywizji Piechoty. Przydział otrzymałem w dniu 28go lutego. Po dwóch długich i ciężkich latach znowu wdziałem na siebie polski mundur i znowu stałem się polskim żołnierzem w randze podchorążego.

W Ługowaja spotkałem wielu z moich danych znajomych, kolegów i przyjaciół. Pierwszym z nich był Rysiek Łopacki, który dostał przydział do 27go Pułku Piechoty. W tym samym oddziale byli koledzy z podchorążówki tarnopolskiej Ingot i Mahorowski. W drużynie ostatniego

był Rysiek Łopacki, który nie czuł się tam najlepiej. Po mojej rozmowie z Mahorowskim, wosjkowe współżycie między nimi wybitnie się polepszyło. Również spotkałem się z Makowskim, współ-towarzyszem z więzienia i łagrów, który był porucznikiem w pułku artylerii. Podałem mu adres jego żony, co on natychmiast wykorzystał.

Umundurowanie, jakie otrzymaliśmy, było typu angielskiego, które w porównaniu z rosyjskim było o niebo lepsze. Wełniany mundur i płaszcz, ciepła bielizna, grube wełniane skarpetki i solidne skórzane buty - wszystko co do tego dnia było naszym marzeniem, stało się nagle naszym codziennym uposażeniem. Mundur tej klasy nosiło się z dumą, tym bardziej, że z nim łączyło się polskie imię. Życzyliśmy sobie, aby żywność i broń też były angielskiego pochodzenia, ale w ówczesnych warunkach to wychodziło poza granice naszej rzeczywistości. Zaraz po otrzymaniu munduru naszyłem podchorążackie naszywki i czułem się jak stu-procentowy polski wojak.

Dostałem przydział do czwartej kompanii, której dowódcą był starszy człowiek, rezerwista, bardzo zniszczony więzieniami i łagrami, znany nam jako kpt. Zieliński. Początkowo przydzielono mnie do jednej z drużyn kompanii, ale po kilku dniach szef kompanii, st.sierż. Snarski, wziął mnie do kancelarii. Ludzi było wprawdzie wiele, ale tych, którzy pamiętali rutynę wojskową było nie wielu. Jako młody podchorąży z ostatniej szkoły przed wojną, zachowałem w pamięci więcej wiadomości wojskowych od innych, dlatego moje usługi były poszukiwane.

Mieszkaliśmy w namiotach 4 x 4 metry po kilkunastu w każdym. Zasadniczo namiot stanowił tylko dach. Część mieszkalna była wykopana w ziemi na głębokość jednego metra. Środkiem przebiegał rów, po bokach były przyzby pokryte słomą, które służyły nam jako prycze do spania. Tak długo jak ziemia była zamarznięta, mieszkanie w takim

prowizorycznym pomieszczeniu było znośne. Kiedy zaczęły się wiosenne roztopy, co miało miejsce tuż po moim przybyciu, sytuacja wyglądała tragicznie. Każdy dół zamieniał się w jeziorko. Aby przeciwdziałać temu, codziennie wyznaczono dyżurnego, który dniem i nocą czerpał wodę - co nie bardzo pomagało. Ziemia była zawsze wilgotna, co przenikało do słomy i koców.

My młodzi i stosunkowo zdrowi byliśmy zdolni do znoszenia tych niewygód życia, ale dla ludzi chorych i zniszczonych sowiecką poniewierką to było dalsze niszczenie ich zdrowia. Jedyny szpital w miejscowości był przepełniony chorymi, głównie na tyfus, i dlatego wielu chorych gniło w namiotach na mokrej słomie. Widok ich przypominał "dochodiagów" z łagrów, którym się współczuło, ale którym nie można było pomóc. W naszym namiocie był jeden taki nieszczęśliwiec. Ile razy wchodziłem do namiotu widziałem go zwinętego w kłębek na mokrej pryczy, jakgdyby czekającego na swój koniec. Przypuszczam, że ostatecznie zabrano go do szpitala, bo pewnego dnia znikł z namiotu.

W kancelarii nie było lepiej. Woda podchodziła dość wysoko i musiałem trzymać nogi na podniesieniu, aby nie niszczyć butów. W owym czasie urządzono kurz dla oficerów i podchorążych dla odświeżenia wiadomości wojskowych. Szef kompanii wówczas zdecydował, że jako młody podchorąży powinienem dowodzić drużyną, a nie siedzieć w kancelarii. Dostałem pięta drużynę w kompanii, mając dwóch plutonowych i kilku kaprali jako moich podkomendnych. Innych stopni w kompanii było raczej niewiele.

Do rodziców pisałem listy niemal codziennie, ale od nich nie otrzymywałem żadnej odpowiedzi. Mój kolega, Tadzik Swaryczewski, otrzymał kilka listów od swojej żony, w których ona uskarżała się na brak wiadomości od niego. Z jej listów dowiedziałem się, że



rodzice otrzymali wiadomość ode mnie, co miało dla mnie duże znaczenie, bo wiedziałem, że mój kontakt listowny utrzymuje się przynajmniej w jednym kierunku. Kilka tygodni po nas przyjechała następna grupa polskich rekrutów z "Wtoraja Piatyletka". Przez jednego z nich otrzymałem list od matki. Wśród nich znalazł się starszy Swaryczewski, którego dla jakichś powodów nie przyjęto do wojsko. Przez niego przekazałem rodzicom pieniądze, jakie uzyskałem ze sprzedaży mego cywilnego ubrania.

W ostatnim tygodniu marca kazano nam zrobić spisy żołnierzy w języku polskim i rosyjskim. Równocześnie rozeszła się pogłoska, że mamy wyjechać do Persji. Natychmiast napisałem list do rodziców, aby jak najszybciej przyjechali do mnie. Gdybym był wiedział o wyjeździe Makowskiego do sowchozu, byłbym przekazał tą wiadomość przez niego. On, niestety, zachował swój wyjazd w tajemnicy przede mną. List był wolnym środkiem komunikacji i w istniejącej sytuacji absolutnie za wolnym, aby oni zdążyli przyjechać do mnie na czas. Ponadto mieliśmy zapewnienie od naszych przełożonych, że ostatecznie wszyscy Polacy zostaną wyewakuowani ze Związku Sowieckiego. Liczyłem na to, że wcześniej czy później na moją rodzinę też przyjdzie kolejka na wyjazd. W naszym oddziale pozwolono wyjechać po najbliższych tylko tym, których rodziny znajdowały się w niedalekiej odległości od Ługowaja.

Nasz wyjazd był zorganizowany w pośpiechu, ponieważ byliśmy pierwszą polską jednostką, jaka miała opuścić Związek Sowiecki. Danie nam pierwszeństwa było uzasadnione tym, że jako Polacy zwolnieni z łagrów w ostatniej fazie i najbardziej zniszczeni fizycznie, potrzebowaliśmy bardziej niż inne jednostki polepszenia warunków bytu. Jeszcze nie oswoiliśmy się z tą cudowną wiadomością, kiedy przyjazd rozkaz wyjazdu. Dnia 25go marca załadowano nas do wagonów towarowych i jeszcze tego

samego dnia opuściliśmy Ługowaja.

Znowu podróżowaliśmy w czerwonych towarowych wagonach, ale tym bez zakratowanych okien i bez strażników sowieckich sprawujących nadzór nad nami. Ponadto nie było tłoku, nie brakło nam wody i z jedzeniem nie było najgorzej. Co pewien czas zatrzymywaliśmy się na większych stacjach kolejowych, gdzie wydawano nam ciepłą strawę, chleb i konserwy. Dla wielu z nas żywność wciąż miała duże znaczenie, bo nasze głodne ciała potrzebowały jej, aby dojść do swojej przedwojennej normy.

Podróż na południe była dla nas niejako wycieczką krajoznawczą. Patrząc przez okienko podziwiałem piękne widoki kraju Kirgizów, Tadeków i innych mongolskich narodów, których dalecy przodkowie byli postrachem cywilizowanego świata. Dalekie góry wyrastające nagle na skraju rozległych równin karmiły nas swoim wspaniałym urokiem, miasta przez które przejeżdżaliśmy też zadziwiała nas swoim specyficznym mongolskim charakterem, a słoneczna pogoda w przeciwieństwie do zimnej i ponurej syberyjskiej północy ubierała wszystko wspólnym mianem pięknego krajobrazu, tym piękniejszego, że przez ten kraj prowadziła droga do wolności. Po trzech dniach podróży dojechaliśmy do Krasnowodska. Ostatniego dnia marca znaleźliśmy się o krok nowego świata, który był od nas odległy tylko o szerokość Morza Kaspijskiego.

W porcie czekał na nas towarowy okręt, a raczej cysfterna, o dziwnej rosyjskiej nazwie "Propintern". Załadowanie odbyło się szybko i bez żadnych kłopotów. Około południa opuściliśmy sowieckie wybrzeża, ale wciąż będąc w zasięgu sowieckiej władzy. Morze Kaspijskie było raczej niespokojne, ale dalekie od burzy jaką doświadczyłem kiedyś na wodach japońskich. Mimo tłoku na okręcie i ciągłego

kołysania, ale w naszych sercach panowała radość, bo nadzieja lepszego życia była już tak nas bliska. Jedyne myśli o rodzinie, pozostawionej w Kazakstanie, nie dawała mi spokoju. Robiłem sobie wyrzuty, że odradzałem im wyjazd z sowchozu razem ze mną. Byłem jednak pewny, że moi najbliżsi jednak do mnie dołączą. Przed wyjazdem z Krasnowodska napisałem do nich list i włożyłem do niego wszystkie ruble jakie posiadałem.

Patrząc na oddalający się ład sowiecki miałem w sobie to przyjemne uczucie, że za sobą pozostawiłem więzienia, łagry, nędzę, biedę, zimno tajgi i tundry, ciężką pracę w kopalni i lasach i ogólnie cały system nowoczesnego niewolnictwa. Pozostawiłem też poza sobą niewygody sowieckiej "wolności" jak namioty wypełnione wodą, szpitale pełne chorych, zabójczą epidemię tyfusu i tragedię tych, którzy nawet z wolną kartą w ręku umierali z głodu i nędzy na sowieckiej ziemi. Poza nami też pozostali nasi najbliżsi, ale w związku ze zmianą sytuacji politycznej nasze nadzieje też pozostały z nimi.

Przed nami zaś był inny świat, wprawdzie nieznan, ale napewno lepszy i bardziej ludzki. Przed nami też było inne życie, może wymagające od nas poświęcenia, ale zawierające w sobie wyższe cele i idee, niż marna śmierć w syberyjskich łagrach. Przed nami też otwierała się droga do wolnej Polski, może nie do takiej jaką mieliśmy kiedyś na myśli, ale zdecydowanie prowadząca do rodzinnego kraju.

### VIII. PRZEZ OBCE KRAJE I MORZA.

Przy porannym świetle wschodzącego słońca po raz pierwszy ujrzeliśmy przed sobą panoramę perskiego miasta Pahlevi. Na pierwszym planie, przed nami, ukazały się zabudowania i urządzenia portowe, a na dalszym widoki Orientu o wschodniej architekturze i wspaniałym krajobraz nadmorskich okolic Kaukazu. Już tylko chwile dzieliły nas od dotknięcia stopą perskiego lądu i znalezienia się w kraju poza zasięgiem stalinowskiego terroru. Ale istotą naszych głębszych myśli nie była ziemia starożytnych Persów i nocnych szachów, nie legendarny i mistyczny Orient i nie piękno górskich krajobrazów, lecz wolność od prześladowań, biedy i niepewności jutra. Jakby na pożegnanie tego co pozostawialiśmy poza sobą przypomniały mi się słowa z więziennego pociągu, że "Rosja to wielki kraj, ale taki durny". Każdy z nas mógł powtórzyć to tysiącrotnie, jako mądrość nabytą w kraju czerwonej gwiazdy, bez uciekania się do głębszych i szerszych reportaży ze swoich przeżyć w więzieniach, łagrach i sowchozach.

Jeszcze przed południem tego niezapomnianego dnia 1go kwietnia stanęliśmy nogą na twardym bruku portowym i niemal zaraz pomaszero- waliśmy ulicami miasta w kierunku plaży, obserwując po drodze życie bardziej ludzkie i wolne. Patrząc na budynki, ludzi, a zwłaszcza na



wystawy sklepowe pełne towaru, nasze oczy zgłodniałe tego widoku nie mogły nasycić się ich bogactwem. Po sowieckich pustkach wszystko wydawało się dziwne, nienaturalne a przy tym jak najbardziej cudowne. Mimo to, jak pamiętałem ze szkoły, w oczach Europejczyka Persja uchodziła za biedny kraj.

Jedynka musiała być dla nas szczęśliwą cyfrą w tym dniu, chociaż w ludzkich przesądach "prima aprilis" jest uznawany za żart, niewinne kłamstwo i ułudę. Nawet część plazy, którą nam oddano do użytku, miała swój porządkowy numer 1, w znaczeniu pierwszego obozu. W tym dniu dostałem pierwszy list od rodziców w kraju poza "żelazną kurtyną". Por. Makowski, który zdążył pojechać do "Wtoraja Piatyletka" i przywieźć swoją rodzinę do Ługowaja na czas przed ewakuacją, przywiózł mi wiadomość od rodziców i paczkę czekoladowych cukierków. Dla mnie było wielką zagadką jak matka wykombinowało to w tym kompletnym sowieckim pustkowiu. List ten przeczytałem wiele razy i przed długi czas nosiłem przy sobie, jako cenną pamiątkę od rodziców.

Noc przespaliśmy na piaskach. W porównaniu z zawszonymi i twardymi pryczami w łagrach, lub namiotami zalanymi wodą w Ługowaja, suche i ciepłe piaski były luksusem. Następnego dnia przeszliśmy przez łaźnię i odwszalnię, obsługiwane przez personel angielski. Stamtąd przeszliśmy wprost do innego obozu. Znowu, z powodu braku miejsca w namiotach, musieliśmy zamieszkać na piaskach. Akurat w tym czasie wypadły Święta Wielkanocne, które jakgdyby symbolizowały nasze wyzwolenie z niewoli. Urządziliśmy je wspólnie w takich granicach na jakie było nas stać. Wszystko było symboliczne, ale wszystko zawierało w sobie aspekt wolności.

Część pierwszego żołdu w perskiej walucie /osiem tumanów/ przekazaliśmy na urządzenie świąt. Uroczystość, tradycyjnie polsko-religijna,

była obchodzona przez nas skromnie, ponieważ nasze racje wojskowe były raczej skromnie. Prawdopodobnie Anglicy robili to celowo, aby obfitym jedzeniem nie spowodować w nas reakcję, która w wielu późniejszych wypadkach okazała się śmiertelną. Po wyjeździe pewnych grup z Pahlevi racje nieco się podniosły i od tej pory chyba nikt z nas nie doznawał głodu. Żywności już nam teraz nie brakło, bo poza racją wojskową można było dokupić wiele artykułów od perskich handlarzy, których wielu kręciło się po obozie. Warunki mieszkalne też uległy poprawie, ponieważ przeniesiono nas do namiotów, gdzie mieszkaliśmy aż do zlikwidowania obozu.

W międzyczasie nastąpiła reorganizacja pułku. W wyniku tego znalazłem się w 5ej kompanii, krórej dowódcą początkowo był pr. Baran, a później inny oficer, znajomy mi ze Starobielska. Dotychczasowy dowódca pułku został przeniesiony do innego oddziału, a na jego miejsce mianowano jego dotychczasowego zastępcę kpt. Trojanowskiego. W czasie pobytu w Pahlevi i przez okres podróży do Palestyny byłem żołnierzem 27go pułku piechoty, który był tylko przejściową jednostką wojskową.

Nasz wyjazd na południe nastąpił dopiero 25go kwietnia. Wyjechaliśmy z Pahlevi trzytonowymi ciężarówkami, prowadzonymi przez kierowców cywilnych. Wkrótce sprawa stała się jasną dlaczego podczas tego transportu nie użyto pojazdów i kierowców wojskowych. Droga prowadziła przez góry Kaukazu - dzikie, skaliste, strome i niedostępne. Najczęściej jednotorowa droga wiła się po niebezpiecznych zboczach i nad głębokimi przepaściami. Od krętych dróg i przerażających widoków kręciło mi się w głowie, a czasami byłem bliski wymiotowania. Niektórym z moich współ-towarzyszy to się przydarzyło. Byliśmy szczęśliwi, gdy dotarliśmy do miejscowości Kazwin, gdzie na noc ulokowano nas

w domu jakiegoś bogatego Persa. Miasto obejrzałem pobieżnie podczas przejazdu przez nie dnia następnego. Z jego widoków, poza meczetami i wschodnią architekturą, niewiele pozostało mi w pamięci.

Następna część podróży również prowadziła przez dzikie i strome góry. Musieliśmy znaleźć się na znacznej wysokości, ponieważ zaczęliśmy odczuwać zimno. Na noc zatrzymaliśmy się w obozie w pobliżu miasta Hamadan. Tutaj po raz pierwszy spotkaliśmy się z obozem zorganizowanym przez Anglików i pod ich zarządem. Prawdopodobnie wynikało to z faktu, że w kraju podzielonym na strefy angielską i sowiecką, znaleźliśmy się już po stronie angielskiej. Ja osobiście byłem poprostu oczarowany urządzeniami i organizacją obozu. Prysznice z ciepłą wodą, jadalnia ze stołami i ławkami, doskonałe wyżywienie i łóżka z materacami były poprostu cudem napotkanym na naszej drodze nowego życia. W takich warunkach można było wygodnie przeżyć wojnę - przynajmniej wtedy tak nam się wydawało.

W następnym dniu znowu podróżowaliśmy przez góry kaukaskie. Znowu zawrotne wąskie drogi, bezdenne przepaści i znaczna wysokość nad poziomem morza. Dróżki tak wąskie, że tylko jeden pojazd mógł przejechać je jednorazowo, a w wypadku dwustronnego ruchu trzeba było cofać się do szerszych miejsc wykutych w skale, aby przepuścić ruch idący w odwrotną stronę. W czasie podróży zauważyliśmy, że temperatura wybitnie się podniosła. Musieliśmy znaleźć się na niższym poziomie. Na to też wskazywały tradycje lokalnej ludności, która w tej porze roku udawała się w góry celem wypasania trzody. Kraj był piękny i zielony, pokryty bogatą roślinnością, a krajobrazy górskie były wprost cudowne.

Noc spędziliśmy w obozie położonym na rozległej, piaszczystej równinie u podnóża gór o bardzo stromych skałach. Na jednej z ich

od naszej strony ktoś wykuł w kamieniu stare rzeźby. Jeden z naszych oficerów tłumaczył nam, że były to groby starożytnych władców Persji. Żałowałem wtedy, że miałem podręcznika historii i geografii tego kraju, aby w nich doszukać się głębszej i bogatszej treści w tej mojej wojennej podróży. W tym obozie spotkałem się z moim przyjacielem z 10go OŁPu w Magadanie, Pawełkiem Januszewskim, Znowu zeszedliśmy się razem przypadkowo i przy tej okazji zagraliśmy w siatkówkę, jak za dobrych buczackich czasów.

Następny dzień - znowu podróż przez górskie okolice, ale o łagodniejszym ukształtowaniu. Był to też ostni dzień podróży cywilnymi ciężarówkami, prowadzonymi przez perskich kierowców. Jedną z większych dla nas uciech była możliwość nabycia włoskich orzechów. Persowie, w luźnych białych ubraniach i w turbanach na głowie, stali przy drogach i poprostu za bezcen sprzedawali je przejeżdżającym Polakom. Ja też uraczyłem się tym perskim specjałem niemal do przesytu.

Dowieziono nas do obozu, położonego na piaszczystej równinie i znowu u podnóża góry o stromych ścianach. Tutaj przejęli nas kierowcy wojskowi - Hindusi w służbie brytyjskiej. Podróż pojazdami wojskowymi raczej po równinnym terenie była zarówno bezpieczniejsza jak i bardziej wygodna. Wjechaliśmy jednak do strefy pustynnej i gorącej. W związku z tym staliśmy się ofiarami pustynnych upałów. Dla nas, niedawnych sybiraków, upał był poprostu nie do zniesienia.

Jednym z większych urozmaiceń podróży tego dnia było "zaczarowane" miasto Bagdad, znane nam z pięknych bajek oraz trochę z historii. Jednak, jadąc ciężarówką przykrytą budą dla ochrony przed słońcem, niewiele mogliśmy zobaczyć. Cudowne pałace wschodu, przepych dworu kalifów i bohaterowie mitycznego Ali Baby nawet nie dały nam znać o sobie. W tej wojennej podróży nie było miejsca na nasze turystyczne



pokusy. Wprawdzie jechaliśmy przez kraje o bogatej historii i starej kulturze, ale zapoznanie się z nimi nie było w programie naszych angielskich opiekunów. Zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że przejeżdżaliśmy przez Mezopotamię, gdzie rzeki Tygrys i Eufrat dały początek naszej rasie, a może tylko kulturze, bez możliwości sprawdzenia naszych wiadomości i przekonań.

Następnym naszym postojem był obóz wojskowy nad jeziorem Habanija. Jezioro to musiało być jednym z cudów natury, która przez stworzenie tej oazy na piaszczystym pustkowiu, pragnęła udogodnić życie człowiekowi. Zaraz po przybyciu doznaliśmy dobrodziejstwa tego cudu. Ciepła i czysta woda, piaszczyste dno i cudowna plaża - to był raj dla nas, turystów Sikorskiego. Odpoczywaliśmy tam kilka dni rozkoszując się ciepłem, kąpielą i dobrym jedzeniem. Tutaj wydano nam tropikalne umundurowanie, ale nie odebrano ciepłych wełnianych "battledresów", które tym samym stały się dla nas niepotrzebnym balastem. Nad tym jeziorem zapoznaliśmy się z pewnymi zwyczajami, obowiązującymi w gorących krajach, jak siedzenie w cieniu w gorącej porze dnia. Również spotkaliśmy się z niedostrzegalnym dla nas niebezpieczeństwem, jak skorpiony, które miały zwyczaj wchodzić do naszych ubrań w ciągu nocy.

Duży angielski obóz, gdzie mieszkało wiele tysięcy polskich żołnierzy, był też miejscem, gdzie wielu z nas niespodziewanie spotykało się ze swoimi dawnymi znajomymi. W moim wypadku, jednym z nich był Ludwik Rutkowski, brat mojej koleżanki z buczackiego gimnazjum, a drugim Jurek Turek, sun kapitana w Buczaczu. Było też kilku znanych mi z więzień i łagrów, z którymi odświeżyłem stare znajomości. Przy głębszym poszukiwaniu prawdopodobnie spotkałbym wielu innych, ale zasadniczo moje życie ograniczało się do małej grupy ludzi w moim namiocie. Stworzyliśmy czwórkę do bridga i klepaliśmy tą grę całymi dniami. Moimi

partnerami byli inni podchorążowie, jak Urbański i Janek Witkowski, nowi znajomi z bieżącej służby wojskowej.

Jedną z lepszych stron tego obozu była możliwość nabycia świeżych owoców. Był to okres dojrzewania brzoskwiń i sklepik obozowy był nimi przepełniony. Dla nas, pozbawionych witamin przez okres sowieckiej niewoli, był to następny cud wolnego świata. Na dodatek ludność lokalna przynosiła całe kosze brzoskwin na sprzedaż do obozu, robiąc tym konkurencję sklepikowi. Przy naszych jedzeniowych nigdy tego nie było za dużo. Wkrótce to nadmierne i nahalne odżywianie się miało swój efekt. Kiedy Anglicy wydali nam tropikalne ubrania, krojone na wymiar angielski, nasze rozepchane brzuszki nie mogły pomieścić się w cisanych spodniach. Dlatego często widziało się naszych rodaków z rozporkami nawpół otwartymi.

Nasze beztroskie życie i rozkoszowanie się żywnością ponad miarę nad brezgami jeziora Habanija skończyło się dnia 9go maja, kiedy kazano nam wsiąść do ciężarowych wozów wojskowych i kontynuować naszą podróż ku południowi. Tym razem jechaliśmy przez pustynię Arabską, której gorący klimat nie bardzo nam odpowiadał. Najbardziej dokuczało nam pragnienie. Manierka wody, którą każdy nabierał przed podróżą, nie wystarczała na długo, a na pustyni nie było możliwości do ponownego jej napełnienia. Często musieliśmy zatrzymywać się na gorących piaskach, bo woda grzała się w chłodnicach i trzeba było ją ochłodzić. Tym razem kierowcami byli wyłącznie Anglicy. Starałem porozumiewać się z nimi za pomocą rąk i kilku słówek, które poznałem od kogoś w Starobielsku. Na ogół zawsze potrafiłem im wyjaśnić o co mi chodziło i odwrotnie dociec sedna ich odpowiedzi.

Wieczorem dojechaliśmy do obozu, również położonego na pustyni. Tutaj też było krucho z wodą. Dowożono ją w beczkach raz dziennie

i zawsze w niedostatecznej ilości. Po zarezerwowaniu tego co było potrzebne do gotowania, niewiele zostało do podziału między spragnionych ludzi. W tym dniu jeden z naszych wozów naskutek defektu ugrzązł w pustyni i dołączył do nas dopiero nad ranem. Ponieważ wóz potrzebował większego remontu, cała grupa zmuszona była pozostać w obozie, aż do jego naprawy, co musiało nastąpić conajmniej dzień po naszym wyjeździe.

Dwa następne dni to znowu pustynia i podróż w podzwrotnikowym klimacie, przy falującym powietrzu i tylko okazyjnie pokazujących się mirażach roślinności. Dopiero drugiego dnia wieczorem dojechaliśmy do Transjordanii, gdzie zatrzymaliśmy się w obozie wojskowym obok jakiegoś osiedla. Tutaj spotkałem pierwszego polskiego Żyda w Palestynie, który mówił czystą polszczyzną i wydawał się być bardzo zadowolony ze spotkania się z nami. Człowiek ten miał mały sklepik z owocami i słodyczami. Dla mnie było to pierwsze spotkanie z takim luksusem jak czekolada, dlatego od razu kupiłem kilka tabliczek i zjadłem je jak głodny wilk. W tym obozie znowu spotkaliśmy się ze skorpionami. Jeden z podchorążych został ukąszony i oddany pod opiekę lekarską.

Ostatni dzień podróży można było zaliczyć do jednego z najprzyjemniejszych w czasie podróży. Wprawdzie wciąż było gorąco, ale kraj był pokryty bujną zieloną roślinnością i widziało się dużo ludzi na drogach. Większość z nich byli Arabowie w białych szatach, jadący na osiołkach. Ludzie w europejskich ubraniach też nie należeli do rzadkości. Wielu z nich było narodowości żydowskiej, których absolutna większość pochodziła z Polski. Na każdym postoju gromadziły się koło nas całe ich grupy, które wypytywały nas o Polskę i Rosję. W podarunku dawano nam pomarańcze i grejpfuty, za co odwiedzaliśmy się in papierosami.

W godzinach popołudniowych dojechaliśmy do Gedery - naszej docelowej stacji w Palestynie. Tam spotkaliśmy swoich rodaków z Brygady Karpackiej gen. Kopańskiego, będącej na odpoczynku po akcji w północnej Afryce. W dniu naszego przybycia trudno było wdać się z nimi w dłuższe rozmowy - prosto nie było okazji ku temu. Dla mnie żołnierze tego oddziału i ich obrona Tobruku oraz akcja pod Gazalą było nową wiadomością i dla tej przyczyny budzącą we mnie ciekawość. Narazie szczegóły tej akcji musiałem pozostawić na późniejsze czasy, ponieważ pozycja mego oddziału a tym samym moja nie była jeszcze ustalona.

W Gederze dostaliśmy posiłek i po krótkim odpoczynku zostaliśmy odtransportowani do obozu Ibna. Tutaj już od pierwszego dnia zaczęliśmy przechodzić różne organizacje i reorganizacje. Podzielono nas na różne grupy, jak grupa lotników i marynarzy. Pozostałości z naszych wcześniejszych oddziałów przekazywano do różnych pułków i batalionów karpackich, które z nowymi uzupełnieniami dały początek nowej jednostce polskiej, 3ciej Dywizji Karpackiej.

Załatwienie mego przydziału do jednego z oddziałów dywizji skomplikowało się wskutek cyngi czyli skorbutu, jaki przywiozłem ze sobą z Kołymy. Mimo lepszego odżywiania wrzody na moich nogach nie chciały ustąpić. W czasie pobytu w Pahlevi poszedłem ze swoimi ropiejącymi nogami do lekarza. Dostałem od niego pudełko maści, co mi wcale nie pomogło. W Ibnie, zaraz po przybyciu do obozu, ponownie poszedłem do lekarza. Natychmiast skierowano mnie do szpitala wojskowego w Serafand. Wreszcie po przeszło rocznym cierpieniu na skorbut, znalazłem odpowiednią opiekę lekarską.

W tym angielskim szpitalu byłem dwa tygodnie. W samym szpitalu było szereg atrakcji, o których kilka miesięcy wstecz nawet nie mogłem marzyć. Na terenie tej instytucji było kino, łazienka, jadalnia, bar,



łóżka z czystą białą pościelą oraz kantyna, w której było wszystko czego tylko żołnierz mógł sobie życzyć. Można też było wychodzić codziennie do miasta, aczkolwiek tam nie było nic godnego do oglądania. Na dodatek spotkałem się z przyjemną i uprzejmą obsługą angielskich pielęgniarek, co niewątpliwie miało dodatni wpływ na samopoczucie chorych żołnierzy.

Pod opieką lekarzy moje nogi zaczęły się goić. Po dwóch tygodniach rany wygoiły się całkowicie - pozostały tylko ciemne blizny, które w opinii lekarzy miały zniknąć dopiero po siedmiu latach. Zostałem zwolniony ze szpitala na własną prośbę i w myśl angielskich przepisów zostałem przeniesiony do obozu przejściowego. Poza mną na leczeniu było kilku Polaków oraz nieliczna grupa Anglików i Hindusów. W obozie przejściowym przespałem tylko jedną noc. Następnego dnia przyszedł wóz z Dywizji Karpackiej i zawiózł mnie do Ośrodka Zapasowego w Gederze. Chciałem powrócić do swego oddziału w Ibnej, ale lekarz na to się nie zgodził. Według regulaminu musiałem pozostać w Ośrodku kilka tygodni dla odpoczynku.

W czasie pobytu w Gederze często widywałem się z moimi kolegami z dawnego pułku piechoty. Wieczorami oni przyjeżdżali do kina, które mieściło się w pobliżu ośrodka. Pewnego razu spotkałem swego młodszego kolegę z gimnazjum, Władka Wąsika. Jego historia dostania się do polskich oddziałów na Bliskim Wschodzie była nieco inna niż moja. Będąc wywieziony do syberyjskiej okolicy w pobliżu granicy sowiecko-afganistańskiej, człowiek ten przeszedł nielegalnie granicę za co dostał się do więzienia w Afganistanie. Na skutek interwencji angielskich i polskich konsulatów, Władek wydostał się na wolność i zawędrował do Bombaju. Stamtąd przysłano go do Palestyny, gdzie czekał na wyjazd do Anglii, jako ochotnik do polskiego lotnictwa.

W Ośrodku Zapasowym spotykałem się codziennie z weteranami walk pustynnych w Tobruku i pod Gazalą. Z największą przyjemnością przysłuchiwałem się ich opowiadaniom. Od nich dowiedziałem się tyle nowych rzeczy - przyjazne stosunki z Australijczykami, walka pozycyjna, patrolowanie zaminowanego przedpola i ofenzywa wojsk alianckich, która zmusiła oddziały gen. Rommela do wycofania się daleko na zachód. Dla nas nowoprzybyłych wszystko to było pokarmem duchowym, który budził w nas dumę z polskich osiągnięć na polu walki. Ponadto świadomość tego, że było to pierwsze polskie zwycięstwo nad Niemcami w 2ej Wojnie Światowej jeszcze bardziej potęgowała nasze polskie uczucia. Ja przyjąłem to jako zwrotny punkt w wojnie, od którego mogła się rozpocząć cała seria naszych zwycięstw, zakończona ostatecznym powrotem do kraju.

W obozie tym miałem dużo czasu do własnej dyspozycji. Postanowiłem wykorzystać go dla lepszych celów niż siedzenie pod gorącą płachtą namiotową. W pobliskim kiosku cywilnym kupiłem podręcznik do nauki języka angielskiego McCalluma i na własną rękę zacząłem uczyć się słówek i gramatyki. W krótkce potem dowództwo oddziału zorganizowało kurs języka angielskiego. Chętnych było niewielu - może osiem osób. Naszym nauczycielem był młody Żyd z Polski. Jego polskie pochodzenie było dla nas dużym ułatwieniem w nauce, ponieważ mogliśmy porozumiewać się z nim po polsku w bardziej skomplikowanych sprawach.

Polskie oddziały na Bliskim Wschodzie przechodziły w międzyczasie gruntowną reorganizację. Jak wspominałem Brygada Karpacka rozwinęła się do wielkości dywizji, a łącznie z nowym przybyciem Polaków ze Związku Sowieckiego miała stworzyć 2gi Polski Korpus pod dowództwem gen. Andersa. W tym nowym systemie też znalazło się miejsce dla mnie. Ponieważ moja kompania z Rosji wyjechała już z Ibnej, mnie tymczasowo odkomenderowano do punktu zbornego, stacjonowanego w tym samym obozie.

Po kilku dniach dostałem przydział do przeciwpancernego plutonu Kompanii Dowodzenia w 3im Batalionie Brygady Karpackiej. Do nowego oddziału przyjął nas dowódca Brygady, płk. Peszek. Dnia 12go czerwca, po wojskowym przeglądzie, Pułkownik wygłosił powitalną mowę, której główną treścią była myśl służenia Polsce i utrzymania dobrego imienia Polaka zagranicą. W jego słowach druga myśl brzmiała następująco: "Mów dobrze o Polsce! Każdy z nas jest ambasadorem naszego kraju!". Ten dowódca, wyglądający jak poważny i dobroduszny starszy pan, dał nam do zrozumienia, że świat będzie sądził nas tak jak my przedstawimy siebie wobec niego słowem i czynem. Słowa ten wielokrotnie przychodziły mu na myśl przy różnych okazjach i wtedy widziałem w nich głęboką myśl wypowiedzianą przez mądrego Polaka.

Z chwilą mego przyjscia do nowego oddziału znowu zaczęło się spotkanie i poznawanie dawnych i nowych znajomych. Podczas mego przyjscia do oddziału spotkałem na ulicy Romka Tyśminowisz, mego kolegę ze szkoły powszechnej w Jazłowcu. Innym razem, również przypadkowo, spotkałem się z pchor. Józwą, kolegę z podchorążówki tarnopolskiej. Mój pobyt w tym obozie trwał tylko sześć dni. W tym czasie dowództwo Brygady zorganizowało 6-cio tygodniowy Kurs Walki Puścynnęj, którego zasadniczym celem było odświeżenie dawnych wiadomości ze szkoły podchorążackiej w zakresie regulaminu i metod walki.

Grupę podchorążych podzielono na drużyny i ulokowano w kilku oddzielnych namiotach. W ramach przeszkolenia pełniliśmy wszystkie funkcje od szefa kompanii począwszy. Początkowo obóz mieścił się w Gan Yawne, ale z chwilą przeniesienia batalionu do Izdudu, my też zmieniliśmy nasze miejsce pobytu. Bardzo często ćwiczenia odbywały się nad wybrzeżem Morza Srodziemnego w okolicy arabskich winnic. Przechodząc obok nic zrywaliśmy i jedliśmy winogrona, co nie uszło

uwagi właściciela. Po pewnym czasie w obozie zjawił się starszy Arab, który zarządał od kapitana, dowódcy kompanii, wynagrodzenia za skradzione winogrona. Kapitan wyciągnął z kieszeni jednego palestyńskiego funta i wręczył do Arabowi. Człowiek widocznie był tym bardzo uradowany, bo wiele razy kłaniał się przed naszym dowódcą.

Po tygodniu czy dwóch stanowiliśmy już zgraną grupą młodych ludzi, pełnych życia i werwy. Cwiczenia tylko częściowo pochłaniały naszą energię, która na normalnym wyżywieniu i w normalnych warunkach życia powróciła do naszej przedwojennej normy. W życiu poza służbowym treścią naszych poczynań była wesołość, śmiech, żarty i robienie sobie nawzajem niewinnych kawałów. Był to jeden z najbardziej bez troskich, a przyjemnych i miłych okresów w moich trzech ostatnich latach.

W drugiej połowie lipca wykorzystaliśmy nasz pobyt w Palestynie na zwiedzanie Ziemi Świętej. Oficer kulturalny oddziału zorganizował nam grupową wycieczkę do Jerozolimy i Morze Martwe. Zwiedzanie świętych miejsc naszej religii od miejsca urodzenia Chrystusa - Betlejem. Następnie, idąc krzyżową drogą, zwiedziliśmy stare miasto Jerozolimy, Bazylikę Grobu Chrystusa, kościół obok Grójca Oliwnego, kościół Zaśnięcia Matki Boskiej, miejsce Wieczecznika, obejrzeliśmy Dolinę Jozafata i przy końcu naszej tury przeszliśmy obok muzułmańskiego meczetu i zatrzymaliśmy się przy Murze Płaczu. Wszystko razem było częścią religijnej tradycji, w której wychowaliśmy się i dlatego widok każdego z zabytków był dla nas wielkim przeżyciem. Na pamiątkę pobytu w Jerozolimie kupiłem złoty jerozolimski krzyżyk i poświęciłem go na Grobie Chrystusa.

Po południu wujechaliśmy nad Morze Martwe. Jechaliśmy okolicą górzystą i niezbyt bogatą w roślinność. Był to niejako wstęp do martwych widoków nad morzem. W pewnym miejscu z daleka ujrzeliśmy



klasztor wykuty w stromej skale, gdzie zakonnicy w kompletnym odosobnieniu poświęcili się sprawom boskim. Przejechaliśmy też obok biblijnego Jerycho, gdzie zatrzymaliśmy się na kilka chwil, aby oglądnąć ruiny jakiegoś przedhistorycznego osiedla. Ostatnim naszym celem było słońce i gorące morze na dnie głębokiej doliny. Zatrzymaliśmy się na plaży. Piasek był tak gorący, że nie można było stanąć na nim bosą nogą. W kantorze wypożyczyliśmy kąpielówki i ostrożnie weszliśmy do wody. Próbowałem pływać na wznak. Ciało bez trudu utrzymywało się na powierzchni wody - jedynie głowa ciążyła do dołu. Ostatecznie nie znalazłem w tym wiele przyjemności - słona woda dostała mi się do oczu i musiałem wyjść na brzeg. Po kładce poszedłem pod specjalny prysznic, aby opłukać ciało ze słonej wody.

W drodze powrotnej zatrzymaliśmy się raz jeszcze w Jerozolimie. Tym razem dano nam wolną rękę - mogliśmy chodzić, gdzie chcieliśmy i oglądać co się nam podobało. Po całodziennym oglądaniu zabytków czułem się zbyt zmęczony, aby szukać dalszych wrażeń tego samego rodzaju. Dlatego wstąpiłem do kawiarni "Black Cat", gdzie spędziłem cały swój wolny czas na rozmowie z dwoma estońskimi Żydóweczkami, porozumiewając się z nimi po polsku i rosyjsku. Przy okazji zapoznałem się ze smakiem gęstej tureckiej kawy, a przytym bardzo słodkiej.

Zadowoleni i pełni wrażeń wróciliśmy do obozu dopiero o zmroku. Niedługo po tej wycieczce kurs walki pustynnej dobiegł końca. Zakończyłem go z wynikiem bardzo dobrym. Powróciłem więc do swego oddziału, gdzie jeszcze tego samego dnia odkomenderowano mnie do Kastyny na kurs broni przeciwpancernej. Dowódcą oddziału, złożonego z dwóch plutonów, był młody oficer, por. Maciejczyk. Był to człowiek spokojny, opanowany i z miejsca budzący zaufanie do siebie. Jego zastępcą był ppor. Mańkowski, człowiek niski, szczupły i raczej nie wyglądający

na osobę wojskową. Dowódcą mego plutonu był kapral podchorąży, weteran z Tobruka, który czuł żal do przełożonych, bo mimo otrzymania swego tytułu podchorążackiego 12 lat temu i swojej służby na froncie nie otrzymał nominacji na oficera. W jednej z rozmów dowiedziałem się, że był dobrym znajomym Marcelego Doleżala, naczelnika poczty w Jazłowcu, który mieszkał w domu mego ojca. Jednym z moich dobrych znajomych był pchor. Suchowski, weteran sowieckich łagrów i ówczesny zastępca lgo plutonu.

Początkowo odnosiłem wrażenie, że dowódca kursu wogóle mnie nie dostrzegał. Dopiero gdy w czasie ćwiczeń zabrałem kilkakrotnie głos, wówczas zaczął zwracać uwagę na mnie. Często w czasie szkolenia powierzał mi funkcję instruktora, co mi bardzo imponowało. Współżycie z moimi nowymi kolegami układało się jak najlepiej. Znowu w moim życiu wojskowym był to jeden z przyjemniejszych okresów. Ludzie wokół mnie byli przyjemni, mili i uczynni, co dodawało uroku mojemu nowemu życiu, z jakim zapoznałem się w kraju całkowicie odmiennym od Związku Sowieckiego.

Stąd po raz pierwszy wybrałem się na przepustkę do Tel Aviv i Jaffy. Miasto Tel Aviv zaimponowało mi swoim nowoczesnym wyglądem i czystością. Jaffa natomiast zrobiła na mnie wprost przeciwne wrażenie - stare arabskie miasto nieporządne i zaniedbane. Poza zwiedzeniem tych miast miałem jeszcze inny cel na względzie. Jeszcze przed wyjazdem z obozu dowiedziałem się, że przez Czerwony Krzyż można było wysyłać listy i paczki do rodzin w Rosji. W lokalnej polskiej placówce wprowadzono nie dano mi zapewnienia, że moje przesyłki dojdą do rodziców, ale przyjęli ode mnie pieniądze na paczkę. Dla mnie miało to duże moralne znaczenie. Od tego czasu zaglądałem częściej do tych miast, sam albo w towarzystwie kolegów, za każdym razem wysyłając list lub paczkę do rodziców.

Pewnego dnia, pełniąc służbę w kompanii, na drodze spostrzegłem trzech naszych wojaków. Jednego z nich od razu rozpoznałem - jego wygląd bardzo przypominał mego kuzyna Julka Kuriańskiego. Kiedy zawołałem go po imieniu on dopiero wtedy zwrócił uwagę na mnie. Nasze spotkanie było krótkie w czasie, podczas którego podałem mu z grubsza wiadomości o jego rodzinie w Kazakstanie. On odwrotnie podał mi adres swego oddziału i zaproponował mi, abym go kiedyś odwiedził. Odwiedziłem go dwukrotnie, ale nie zauważyłem w nim tych bliskich uczuć, jakie można było spodziewać się od krewnego i długoletniego kolegi ze szkoły oraz podchorążówki. Kiedy wyjeżdżałem z Kastyny do Izdudu, zaproponowałem mu, aby mnie kiedyś odwiedził. Dla jakichś przyczyn on tego nigdy nie uczynił. Widziałem go raz na ćwiczeniach w Latrum, gdzie na skrzyżowaniu kierował ruchej kołowym. Przy tej okazji zamieniliśmy kilka słów i to wszystko...

Wkrótce po powrocie do Izdudu obchodziliśmy tradycyjne Święto Żołnierza. Do obozu przyjechało dużo gości, zarówno polskiej kolonii w Palestynie, jak i dziewczynek z PSK i młodych junaków. Podczas Mszy Świętej z daleka widziałem buczackiego starostę Fedorowicza i jego rodzinę, ale nie miałem okazji podejść do nich. W obozie mieliśmy wspólny obiad, z udziałem gości. Mnie, jako gości, dano pod opiekę kilku junaków. Po południu mieliśmy koncert, zabawę i pokazy w kinie. Mnie wprzódzie wyznaczono do Komitetu Organizacyjnego, ale moje zadanie ograniczyło się tylko do przywiezienia i odwiezienia junaków, którzy podczas naszej uroczystości odtańczyli kilka narodowych tańców.

Z końcem sierpnia nadarzyła mi się okazja wyjazdu do Egiptu. Na sugestię pchor. Suchowskiego, dowódca kompanii wyznaczył mnie na wyjazd konwojem do angielskiego punktu zaopatrzenia, celem przywiezienia pojazdów i innego sprzętu wojskowego. Spodziewałem się, że przy tej

okazji będę mógł poznać Kair i Aleksandrię. Niestety front niemiecko-angielski przebiegał za blisko granic Egiptu i dla tej przyczyny oba miasta były objęte zakazem dla żołnierzy. Wybrałem się tylko z jednym kapralem do Ismaili. Przyjechaliśmy tam wieczorem i niewiele mogliśmy zobaczyć. Pozatym musieliśmy się śpieszyć, aby zdążyć do obozu w Tel el Kebir przed godziną policyjną. Na tym skończyło się moje zwiedzanie starożytnego Egiptu. Miałem jednak nadzieję, że w najbliższej przyszłości nadarzy mi się okazja ku temu.

W tym czasie zaczęły krążyć pogłoski w obozie, że cała polska armia na Bliskim Wschodzie zostanie przeniesiona do Iraku. Te ciche i pokątne wiadomości wkrótce stały się rzeczywistością. Jako pierwszy rzut z każdego oddziału wyjechało po kilka osób, aby przygotować zakwaterowanie na nowym miejscu. Wkrótce potem kazano nam związać namioty, pakować sprzęt oraz osobiste worki. Dnia 20go września załadowano nas na pociąg i wysłano do Suez. Sama podróż, głównie wzdłuż Kanału Suezkiego, nie miała w sobie nic specjalnego. Pustynne okolice południowej Palestyny nie obfitowały w szczególne widoki i krajobrazy, które chwytałyby ludzkie oko. Dojechaliśmy do obozu na pustyni koło Suez, gdzie stacjonowaliśmy bardzo krótko.

Dwa dni później, z osobistym uposażeniem na plecach, przemaszerowaliśmy około sześciu kilometrów do portu. Tam już czekał na nas towarowy okręt "Karoa", na który natychmiast nas załadowano. Nasza trasa w kierunku na Irak w pierwszym stadjum prowadziła przez Morze Czerwone. Siedząc na przodzie okrętu często obserwowałem morze napróżno starając się odkryć jego czerwony kolor. Natomiast widziałem stada latających rybek oraz grupy delfinów, ukazujących się co pewien czas na powierzchni wody. Samo morze było niezwykle spokojnie, co pozwalało nam na częste przebywanie na pokładzie.



Na jeden dzień zatrzymaliśmy się w Adenie, gdzie okręt nasz był stale i ciągle oblegany przez arabskich chłopców, popisujących się łowieniem monet wrzucanych przez nas do morza. Jeden z naszych żołnierzy zsunął się po linie do wody, ale na stanowczy rozkaz dowódcy powrócił z powrotem. Wyjaśnieniem było to, że w zatoce żerowały rekiny, które mogły być niebezpieczne dla niedoświadczonych pływaków.

W dalszej części podróży oddano nas pod opiekę brytyjskich okrętów wojennych. Konwój był konieczny, ponieważ przy wyjściu z Adenu operowały japońskie łodzie podwodne. Przez Ocen Indyjski i Zatokę Perską płynęliśmy bezpiecznie pod osłoną brytyjskich kontrtorpedowców. Morze było niezwykle spokojne i to przyczyniło się do monotonii podróży. Dla zabicia czasu oficerowie urządzali nam wykłady z regulaminu i nauki o broni. Bardziej interesującą stroną były wykłady na temat historii i geografii krajów, obok których przepływaliśmy. Innym codziennym zajęciem były apele na pokładzie w pasach ratunkowych, jako przygotowanie do wojennych morskich niespodzianek.

W końcowej fazie naszej podróży płynęliśmy w górę rzeki Tygrys. Na brzegach widzieliśmy dużo bogatej zielonej roślinności, a zwłaszcza sadów daktylowych. Wyładowano nas w porcie Basra i umieszczono w jednym z obozów wojskowych, gdzie czekaliśmy na dalszy transport. O zwiedzaniu miasta przy takiej ilości żołnierzy w jednym rejonie nie było nawet mowy. Następnym punktem naszego postoju był, stary i znany nam z historii Bagdad, do którego dojechaliśmy pociągiem. Miasto to też nie było osiągalne dla nas. Jedynym moim doświadczeniem była krótka wycieczka do żołnierskiej kantyny, obsługiwanej przez Polaków, gdzie zakupiłem kilka artykułów codziennego użytku. Następnego dnia znowu załadowano nas na pociąg, którym dowieziono nas do Julila, miejscowości pustynnej koło Khanakinu.

Tutaj, na pustyni, czekały już na nas roztawione namioty. Teren był absolutnie nagi, ale urozmaicony pagórkami i do tego w pobliżu większej rzeki, prawdopodobnie Eufratu lub Tygrysa. Woda na pustyni była istotnym dobrodziejstwem dla nas. Przedewszystkiem wykorzystywaliśmy ją jako wodę do gotowania i picia /po uprzednim oczyszczeniu/ oraz korzystaliśmy z kąpieli dla ochłodzenia się po południowych upałach. Mniej atrakcyjną stroną tej rzeki było to, że była zabrudzona żółtą ziemią, niesioną z pobliskich gór.

Mimo upałów i gorących piasków, życie w namiotach na pustyni było zupełnie znośne. Dla urozmaicenia życia odpowiednie komórki wojskowe urządzały dla nas różne imprezy rozrywkowe, jak występy, koncerty oraz zawody piłkarskie i lekkoatletyczne. Raz zorganizowano w naszym oddziale bieg z przeszkodami na wzór pamiętnych dla mnie ze szkoły biegów harcerskich. Moja drużyna przebiegła trasę w najlepszym czasie, ale straciła kilka punktów na rzucaniu granatów, wobec czego nie zajęliśmy pierwszego miejsca. Jednak dowódca, zadowolony z naszego osiągnięcia, poczęstował nas po butelce piwa. Innym razem ppor. Mańkowski zaprosił podchorążych i kilku podoficerów do swego namiotu, by uraczyć nas wódką, osiągalną tylko dla oficerów. Do tej pory, jako dawny harcerz, unikałem napojów alkoholowych. Na tym przyjęciu nie potrafiłem oprzeć się naleganiom moich towarzyszy. Piłem na równi z nimi i ku memu zdziwieniu przetrwałem ich wszystkich. Byłem ostatni z celebrujących, który wyszedł z namiotu ppor. Mańkowskiego. Po tej pierwszej próbie nie miałem jednak większych ciągotek do kontynuowania tego zwyczaju.

Prawie w każdą niedzielę odbywały się w Khanakinie zawody piłkarskie między drużynami poszczególnych dywizji. Jeździłem na mecze głównie dlatego, aby spotkać się z kuzynem Julkiem. Widziałem go

kilkakrotnie. On wciąż nie okazywał większych chęci praktykowania naszych bliskich stosunków rodzinnych i koleżeńskich. Na boisku piłki nożnej spotykałem się też z Pawełkiem Januszewskim i innymi znajomymi z przeszłości. Od nich dowiedziałem się, że w jednej z naszych bratnich dywizji służą moi koledzy szkolni, Bronek Hostyński i Romek Wójcicki. Chciałem się z nimi spotkać, ale nikt nie wiedział dokładnie jak i gdzie ich szukać.

Innym urozmaiceniem, raczej spodziewanym ale mniej atrakcyjnym, były wiatry pustynne i burze piaskowe. One zdarzały się rzadko, ale były dostatecznie silne i nieprzyjemne, aby obrzydzić nam życie. Podczas takich burz piasku było pełno w namiotach, ubraniu, wodzie, zupie, ustach, włosach i wszędzie, gdzie tylko mógł się dostać. Przed nim nie można było się ukryć. Siła wiatru czasami waliła namioty, zwłaszcza w nocy. W jednej z takich burz również runął nasz namiot, tylko sznury uwiązane do głęboko wbitych kołków utrzymały go na miejscu.

W końcu października ogłoszono w oddziałach ochotniczą rekrutację do lotnictwa w Anglii. Z zamiarem tego rodzaju nosiłem się już w początkach mego pobytu w Palestynie, kiedy wielu moich kolegów podjęło taką myśl. Wtedy takie pociągnięcie z mojej strony nie było możliwe ani realne ze względu na moje chore nogi. Teraz ta myśl odżyła we mnie ponownie. Zgłosiłem się jako jeden z pierwszych w batalionie i kilka dni później przeszedłem prowizoryczne badanie lekarskiej. Lekarz zakwalifikował mnie wówczas jako "najlepsze A dzisiejsze". Wkrótce potem wszystkich kandydatów do lotnictwa skoszarowano oddzielnie, a po kilku dniach przewieziono nas do innego obozu, gdzie przeszliśmy ponowne badania lekarskie.

Tam spotkałem się z Rysiem Łopackim. Jemu też zaimponowała służba w lotnictwie i nadarzająca się okazja zobaczenia świata. Podróż przez

Indie i dookoła Afryki z przystankami po drodze była dla każdego z kandydatów wielką atrakcją. Ponadto samo lotnictwo, jako najbardziej nowoczesna broń, miała dla nas młodych swój urok. Bardzo ucieszyłem się ze spotkania z Ryskiem, bo w całej grupie lotniczej on był jedyną znaną mi osobą z przeszłości.

Przygotowywany transport do Anglii składał się z około 70 oficerów, 50 podchorążych i 100 żołnierzy innych stopni. Dowódcą całości był por. Trojanowski, były zastępca dowódcy kompanii, w której służyłem. Dowódcą grupy podchorążych był ppor. Majcherowicz, człowiek energiczny i chętny do służenia pomocą każdemu ze swoich podległych, ale nieco za głośny. Ta ostatnia cecha nie zjednywała mu wielkiego uznania wśród podległych mu ludzi.

Pierwszy etap podróży przez Bagdad do Basry odbyliśmy pociągiem. Po raz wtóry przejeżdżałem obok miasta szałasów i nędzy w okolicy portowego miasta Basry. Bieda była ogólnym zjawiskiem w krajach arabskich, dlatego początkowo widok ludzkiej biedoty przyjąłem jako rzecz naturalną. Podczas ostatniej podróży dowiedziałem się, że ci biedni zniszczeni ludzie i nagie zbiedzone dzieciaki były ofiarą obalenia wielowiekowego niewolnictwa. Gdy w 1920 roku zniesiono niewolnictwo w Iraku, właściciele niewolników pozbyli się starych i chorych a zatrzymali na służbie tylko zdolnych do pracy. Dzięki czyjejs wielkiej i ludzkiej myśli, ludzie ci stali się żywym paradoksem hasła wolności. My mogliśmy im współczuć i jako niedawni nędzarze systemu sowieckiemu byliśmy pełni zrozumienia dla nich, ale poza tym współczuciem my nie byliśmy w stanie nic innego dla nich zrobić.

W porcie czekał na nas pasażerski statek "Devonshire". Już na pierwszy rzut oka określiłem tego morskiego liniowca miane luksusu. Tutaj spotkałem się po raz pierwszy z wygodami w jakie obfitowały



angielskie okręty, służące jako środki podróży morskich dla bogatej i wpływowej klasy ludzi. My podchorążowie zostaliśmy zakwaterowani w trzeciej klasie, ale z prawem stołowania się w pierwszej, razem z oficerami. Podróż trwała bardzo krótko. Wypłynęliśmy z Basry 26go listopada 1942 roku, a 1go grudnia zawinęliśmy do portu Karachi w Indiach. Woda w Zatoce Perskiej oraz w północnej części Oceanu Indyjskiego była jak najbardziej spokojna. W dodatku przy wygodach, jakie okręt nam oferował podróż przybrała charakter przyjemnej wycieczki morskiej po wodach Orientu.

Pierwszego dnia pobytu w Karachi wymieniłem kilka irackich funtów na hinduskie rupie. Będąc w posiadaniu pieniędzy wybrałem się razem z Klimaszewskim, Molem i Kempem na zwiady do zakazanej nam dzielnicy, zamieszkałej przez Hindusów. Dorożkarz, wiedząc o zakazie, początkowo nie chciał nas tam zawieść. Gdy wcisnęliśmy mu do ręki kilka dodatkowych rupii, podniósł budę w dorożce i zawiózł us do jakiegoś zaułku. Umówiliśmy się z nim, aby na nas poczekał i zawiózł nas potem do obozu. Idąc ulicą oddzieliłem się od swoich towarzyszy i dla bezpieczeństwa wróciłem pierwszy na umówione miejsce. Dorożkarza już tam nie zastałem - widocznie musiał się ulotnić. Niemal natychmiast obstała mnie grupa hinduskich chłopaków, wołając do mnie: "bakszysz, bakszysz!". Znając znaczenie tego popularnego słowa na Wschodzie, rzuciłem im drobne monety w nadziei, że pozostawią mnie w spokoju. To tylko dodało im impetu i stali się bardziej natarczywi. Znierało się ich coraz więcej i coraz natarczywiej żądali pieniędzy. W pewnym momencie odwróciłem się twarzą a do nich i zakląłem po polsku: "idźcie do cholery!". Na dźwięk polskich słów chłopaki stanęli jak wryci i przestali biec za mną. Po drodze spotkałem starszego Hindusa, który wskazał mi drogę i uścisnął moją rękę, kiedy powiedziałem, że jestem Polakiem.

Kilka dni potem angielski kasjer wymienił nam wszystkie posiadane przez nas pieniądze na rupie. Zaraz udałem się z Ryśkiem do miasta, do sklepów na King Street przepełnionych rozmaitym towarem. Kupiliśmy wiele artykułów, zwłaszcza z ubrania, które w tym kraju nie były racjonowane. Robienie zakupów stało się naszym zwyczajem w czasie postoju w Karachi. Po każdej wypłacie, którą otrzymywaliśmy co dziesięć dni, robiliśmy wycieczki do sklepów i kupowaliśmy co było nam potrzebne z myślą, że przydadzą się nam w Anglii, gdzie wszystko było racjonowane. Dlatego w tej samej proporcji nasze worki żołnierskie powiększały swoją objętość.

Zasadniczo, poza kinem i sklepami, nie było wiele rozrywek i nie wiele obiektów do zwiedzania. Ulice w hinduskiej części miasta były brudne i zapchane tłumami ludzi. W tym czasie dały mi znać o sobie sprawy dentystyczne, ponieważ jeden z zębów psujący się już od Rosji wymagał plomby. Z konieczności musiałem przejść tymi niezbyt atrakcyjnymi ulicami. Innym razem przypadkowo spotkałem na ulicy Rosjanina, przybyłego do Indii po Rewolucji, który przyszedł mi z pomocą, widząc mnie obleżonego przez tłum i wśród niego kręcące się "święte krowy". Zasadniczo tłum hinduski zachowywał się biernie wobec mnie. Ja natomiast dla ciekawości przyglądałem się bliżej ludziom siedzącym beczynnym na schodach domów oraz tym, którzy kręcili się bez celu po ulicy. Zastanawiałem się nad tych z czego ci ludzie żyli, bo ostatecznie każdy musi mieć jakiś dochód, aby utrzymać siebie i rodzinę przy życiu, nawet na najniższej stopie życiowej.

W czasie tego beczynnego czekania w Karachi ktoś przyniósł wiadomość, że niedaleko miasta znajduje się obóz polskiej ludności ewakuowanej ze Związku Sowieckiego. Każdy z nas pragnął jak najszybciej udać się tam w odwiedzinę w nadziei spotkania znajomych. Wkrótce każdym

autobusem, jadącym w tamtą stronę grupa za grupą naszych żołnierzy jechała tam jak na pielgrzymkę. Niektórzy doszukali się tam swoich krewnych i znajomych, inni znowu porobili nowe znajomości. Byłem tam kilka razy, wiedząc doskonale, że nie znajdę tam swojej rodziny, ale liczyłem się z możliwością spotkania kogoś z moich rodzinnych stron. Nikogo jednak nie spotkałem. Po pewnym czasie ograniczono przepustki do polskiego obozu i nasze wizyty stały się rzadsze.

Mniej więcej w tym samym czasie przybył do Karachi transport polskich Żydów ze Związku Sowieckiego, który w drodze do Palestyny zatrzymał się w polskim obozie. Pojechałem do obozu na wycieczkę, nie mając wielkiej nadziei na spotkanie kogoś z moich stron. Tuż po przekroczeniu bramy wśród młodych panien dojrzałem znajomą mi twarz. Osobą tą była Malcia Strauber z Potoka Złotego i moja koleżanka z buczackiego gimnazjum. Malcia, jak wielu innych w owym czasie, miała zmienione nazwisko na czysto polskie i nazywała siebie Marysią. Przy tej okazji wspomniałem o jej matce i siostrze, które odwiedziłem tuż przed moim aresztowaniem i które przysyłały mi jedzenie do aresztu w Złotym Potoku. Na to ona wyraziła wątpliwość, czy jej rodzina jeszcze żyje. Ona była bardzo zdziwiona, że ja nie byłem zorientowany w sytuacji na naszym Podolu i nic nie wiem o "ukraińskich rządach". Nie wiem skąd ona otrzymała taką wiadomość, ponieważ tego rodzaju informacje nie docierały do nas. Przed wyjazdem dała mi adres swego stryja w Tel Aviv i prosiła, abym utrzymywał z nią kontakt listowny.

Nasz pobyt w Karachi stale się przedłużał z powodu braku transportu morskiego do Anglii. W porozumieniu z oficerami angielskimi nasi dowódcy zorganizowali dla nas kurs języka angielskiego. Jako podręczniki służyły nam książki szkolne dla hinduskich dzieci. Wykładowcami byli wyłącznie Anglicy. Codziennie poświęcałem całe przedpołudnie

nauce języka. Dawałem sobie radę ze słówkami i gramatyką, ale z wymową było o wiele trudniej. Powoli jednak coś niecoś wsiąkało do mojej głowy.

Niemal każdego dnia popołudniu wybierałem się z Rysiem do miasta. Tam wypożyczaliśmy rowery i przy pomocy tego środka transportowego zwiedzaliśmy miasto i jego okolice. Pewnego razu wydarzył mi się wypadek wskutek kolizji z jakimś wozem ciężarowym. Wóz otarł się o mnie i przewrócił mnie do rowu. Na szczęście nie odniosłem żadnego obrażenia i rower też nie był uszkodzony. Zwiedzaliśmy wszystkie parki, ogrody, pałac maharadży, muzea i kościoły. Dla zadokumentowania tego kupiliśmy film, Rysiek wypożyczył aparat od jednego ze soich kolegów i robiliśmy fotografie ważniejszych obiektów miasta.

Podczas jednego z tych spacerów znowu spotkałem się z wcześniej wspomnianym Rosjaninem. On zaprosił nas na swoje /prawosławne/ Święta Bożego Narodzenia, z którego naturalnie skorzystaliśmy.

Wnętrze jego mieszkania miało wiele cech rosyjskich i wiele pamiątek z tego kraju. Co mnie najbardziej uderzyło była mała miniaturka szubienicy w rogu pokoju, na której na sznurku wisiała podobizna Stalina. Zarobkowym zajęciem tego rosyjskiego imigranta było nauczanie dzieci hinduskich języka angielskiego i francuskiego. Uciekinierów rosyjskich w Karachi było więcej. Bardzo interesowali się życiem i stosunkami, jakie panowały w ich rodzinnym kraju. Nasze opowiadania nie budziły w nich wiele zachwytu i niewątpliwie niewiele nadzieji powrotu do rodzinnych stron.

W obozie jakiś entuzjasta piłki nożnej zorganizował polską drużynę, w której było nawet kilku dobrych graczy z Dywizji Karpackiej. Prawie co tydzień odbywały się rozgrywki między Polakami i Anglikami. Nasza drużyna była jednak za słaba, aby podołać ludziom, dla których piłka



nożna była narodową grą. Władze angielskie odnosiły się do nas bardzo przychylnie i zawsze szły nam na rękę. Jednak z powodu braku znajomości języka angielskiego nasze kontakty z nimi były minimalne.

Od czasu do czasu dochodziły do nas pogłoski o możliwym wyjeździe w dalszą podróż, jednak żadne z nich nie sprawdziły się. Dopiero z końcem stycznia 1943 roku zawiadomiono nas oficjalnie o wyjeździe z Karachi. Z tą chwilą nie wolno nam było wychodzić do miasta lub rozmawiać z ludnością cywilną na ten temat. Zarządzenie to wynikało z przestrzeganej tajemnicy wojskowej. Podobno w portach pracowali szpiedzy japońscy, którzy szukali za informacjami o transportach morskich. Dnia 1go lutego załadowano nas na okręt oficerski "Nevasa". Podobnie jak na poprzednim okręcie podchorążowie dostali kajuty w drugiej klasie. Podróż była krótka, bo statek ten zawiozł nas tylko do Bombaju.

Przez następne dwa dni czekaliśmy na następny środek transportu - staliśmy w porcie, albo na redzie, jak mówili polscy marynarze, których mała grupka płynęła z nami. Drugiego dnia pozwolono nam wyjść na miasto, aby dać nam możliwość zwiedzenia ważniejszych punktów Bombaju. Jako przewodniczki dano nam dwie młode Hinduski, które oprowadziły nas po osobliwych i godnych widzenia punktach miasta. Widzieliśmy bramę Króla Edwarda VII, oglądaliśmy jeden ze wspaniałych hoteli i odwiedziliśmy świątynię, do której nie wolno nam było wejść w butach. Środek miasta był zapełniony masą ludzi, spacerujących w jedną i drugą stronę. Bagdad, podobnie jak inne oglądane przez nas miasta wschodnie nie wyglądał za czysto.

Następny okręt, na który nas załadowano, nosił bardzo szumną nazwę "City of Paris". Wewnętrznie, wygody, urządzenia i wyżywienie były wspaniałe. Jeśli Paryż był jednym z cudów świata to liniowiec

ten w pełni zasługiwał na swoją nazwę. Podchorążowie zostali ponownie zakwaterowani w drugiej klasie z prawem stołowania się w restauracji obsługiwanej przez kelnerów. Podróż była piękna i wygodna oraz nieco urozmaicona przez naturę, do czego przyczyniła się burza morska w okolicy Równika. Wielu z nas przeszło chorobę morską w czasie tego wydarzenia, a ja wśród nich. Najkrótszą dla nas trasą do Południowej Afryki byłaby cieśnina między wschodnim wybrzeżem Afryki a Madagaskarem. Podróż w tamtą stronę nie była jednak wskazana, ze względu na japońskie łodzie podwodne czatujące przy wejściu do cieśniny. Dlatego opłynęliśmy wyspę Madagaskaru daleko na wschód.

Na okręcie, przebywając w towarzystwie Anglików, łatwo robiliśmy z nimi znajomości. W czasie podróży zawarłem bliższą znajomość z Jimem Walkerem, rannym żołnierzem brytyjskim w Burmie, którego wysyłano z powrotem do kraju do życia cywilnego. Rozmawiając z nim codziennie i długo nabierałem wprawy w języku angielskim, a przede wszystkim przyswajałem sobie wymowę słów, które tak rzadko zgadzały się fonetycznie w piśmie i brzmieniu. Jeden z brytyjskich oficerów również zorganizował dla nas kurs swego języka. Wśród podchorążych znalazła się grupa kilkunastu ludzi, która codziennie po obiedzie uczęszczała na lekcje. Poza nauką języka były też inne zajęcia, jednym z których był sport bokserski. W tej dziedzinie celował pchor. Lintner ze Lwowa. Również ktoś zdobył się na zorganizowanie występów i koncertów w których rolę kobiet grali nasi koledzy. Najlepszym w tym wypadku był Jurek Pańko, też ze Lwowa, którego twarz i ruchy doskonale nadawały się do tej roli.

W takim nastroju dnia 22go lutego dopłynęliśmy do pięknego południowo-afrykańskiego portu Durban. Tutaj ulokowano nas w obozie poza miastem w rejonie zabudowań toru wyścigów konnych. Mieszkaliśmy w dużej

przestrzennej hali, a jadalni w kasynie oficerskim. Położenie obozu było conajmniej piękne. Podmiejski krajobraz, masa zieleni, domy z czerwonej cegły typu "bungalow" i pokryte czerwonymi dachami tworzyły wspaniały widok do oglądania i zachwycania się. W dalekim końcu tego rejonu znajdowała się mała stacyjka kolejowa, do której kilka razy dziennie przychodził pociąg. Jego widok był niejako uzupełnieniem tego pięknego zakątka.

Do miast nie mogliśmy wychodzić bez pozwolenia. Wydawano nam przepustki, których ilość była ograniczona ze względu na dużą ilość brytyjskich żołnierzy przebywających tam czasowo w swojej podróży na wschód lub zachód. Każdy z nas był upoważniony do jednej przepustki co trzy dni, ale one nigdy nie były całkowicie wykorzystane. Wielu rezygnowało ze swojej kolejki i dlatego chętni do wyjazdu nie mieli problemu z otrzymaniem przepustki. W mieście byłem kilkakrotnie, głównie dla obejrzenia filmów. Przy tej okazji zwiedziłem śródmieście, które było absolutnie nowoczesne i idealnie czyste. Największą jego ozdobą i najbardziej popularną była wspaniała promenada nad brzegiem morza, gdzie wiele południowo-afrykanek czarowało przybyszów w mundurach wojskowych.

Na tej promenadzie niektórzy z moich kolegów nawiązało bliższe i dalsze młode znajomości, a niektóre nawet dość poważne w swoich skutkach dla młodzieńców, podatnych na kobiece wdzięki. Jednym z takich amantów był wysoki, przystojny blondyn ze Lwowa, pchor. Pawłowski. W czasie jednego ze spacerów spotkał tam przystojną brunetkę, która od pierwszego spojrzenia stała się jego boginią. Wkrótce wszyscy wiedzieliśmy o jego miłości, ponieważ on nie omieszkał mówić o swej bogdanie długo i głośno przy każdej okazji. Inny z moich kolegów, pchor. Borejsza, też spotkał tam pannę, która już przy pierwszym

spotkaniu zaprosiła go do domu rodziców. On jednak nie znał języka angielskiego i dlatego poprosił mnie, abym mu towarzyszył. W najbliższą niedzielę wybraliśmy się obaj z wizytą do jej rodziny. Matka, bardzo przyjemna osoba w średnim wieku, przyjęła nas bardzo gościnnie. Podano nam obiad, wzięto nas na spacer wzdłuż morza, gdzie widoki były jeszcze piękniejsze niż w obozie, a w międzyczasie zabawialiśmy się rozmową. Ja zasadniczo rozmawiałem z matką przy pomocy znanych mi słów angielskich i gestykulacji, podczas gdy mój kolega zabawiał swoją pannę. Wieczorem matka w towarzystwie obu jej córek odprowadziła nas na stację i prosiła nas o złożenie jej ponownej wizyty. Do tego jednak nie doszło, ponieważ nasz pobyt w gościnnym Durbanie już dobiegał końca.

W czasie tego postoju dowiedzieliśmy się, że w jednym z hoteli przebywa grupa Polek, czekających na transport do Anglii. Hotel ten stał się naszą Mekką, gdzie codziennie wielu z nas składało wizyty znajomym i poznanym paniom. Ja też raz odbyłem tam swoją pielgrzymkę. Tam, ku memu zdziwieniu, spotkałem p. Rederową i jej córkę Zofię, które poznałem w Borodulicha, w Kazakstanie. Spędziliśmy razem kilka chwil na wspomnieniach o dawnych i trudnych czasach.

Najczęściej jednak przebywałem w obozie, rozkoszując się widokami, spokojem i słońcem. Takich jak ja było więcej wśród nas. Do tego typu ludzi należał szczupły wysoki Żyd ze Lwowa, student prawa na uniwersytecie Jana Kazimierza. Pewnego dnia wdałem się z nim w rozmowę i przy tej okazji powtórzyłem mu treść mojej rozmowy z Malcią Strauberówna, a zwłaszcza jej wiadomość o negatywnym ustosunkowaniu się Ukraińców do żydowskiej ludności. On jednak nie przykładał do tego większej wagi. Widocznie wtedy jego myśl nie przyjmowała możliwości masowych mordów, dokonanych przez Ukraińców na Polakach i Żydach.



My, wojenni turyści Sikorskiego, byliśmy całkowicie i w każdym wypadku podporządkowani władzom brytyjskim. Każda nasza poróż i każdy pobyt na lądzie był uzależniony od ich decyzji. Nasz wyjazd z Durbanu był również konsekwencją ich planowania i rozkazu. O wyjeździe zostaliśmy uprzedzeni o dzień wcześniej, nagle i niespodziewanie jak we wszystkich innych wypadkach. Do portu przewieziono nas autobusami rano dnia 1go marca. Tam załadowano nas na olbrzymi okręt pasażerski o nazwie "Empress of Canada". Ten transoceaniczny liniowiec był już przeładowany wojskowymi różnych narodowości, ale dla nas i dla czekających Polek miejsce jeszcze się znalazło. My podchorążowie musieliśmy ustąpić Polksom nasze kajuty i zadowolić się jadalnią obsługi okrętowej, mieszczącej się na poziomie morza. Nasza grupa, poza kilku dowódcami w stopniu oficerskim, składała się już wtedy tylko z podchorążych i żołnierzy innych stopni. Grupa oficerska dla braku miejsca pozostała w Durbanie i automatycznie stała się oddzielnym transportem.

Mieszane towarzystwo na pokładzie przyczyniło się wybitnie do urozmaicenia monotonii podróży morskiej. Znowu spotkałem p. Rederową i jej córkę, którym w czasie naszej wspólnej podróży często dotrzymałem towarzystwa. Przez nie poznałem poznałem kilka innych polskich panien, między innymi Marysię Przewłocką, córkę generała z Wilna. Młoda i przystojna panna cieszyła się ogólnym powodzeniem wśród płci męskiej - jeden z Anglików nawet starał się jej oświadczyć. Wśród Polaków też znalazł się godny adorator w osobie Staszka Gładycha, wysokiego i przystojnego bruneta ze Lwowa. Mój kontakt z Marysią był bardzo luźny i w efekcie ograniczył się do wypożyczenia od niej angielskiej książki, którą mi później podarowała. Inne polskie panny nie mniej cieszyły się powodzeniem i wiele z nich miały swoich adoratorów wśród Polaków i Anglików.

Byłem nieco zdziwiony tym, że okręt płynął sam bez eskorty okrętów marynarki wojennej. Później dowiedziałem się, że ten olbrzymi okręt o 35 tysiącach ton wyporności, dzięki swojej szybkości nie był łatwym celem dla łodzi podwodnych. Zaraz po wypłynięciu na pełne morze zastosowano jeszcze inną taktykę obronną - okręt przyjął wyprubowaną już metodę płynięcia zygzakami. Już na samym początku znaleźliśmy się w rejonie długiej fali na styku Oceanu Atlantyckiego i Pacyfiku, co powodowało stałe kołysanie się okrętu. Po wypłynięciu poza granice tego rejonu morze było spokojne i tym samym nasz tryb życia na pokładzie odpowiednio się unormalizował.

Na okręcie poza Anglikami i Polakami byli też Francuzi, Grecy, Holendrzy oraz conajmniej kompania włoskich jeńców, eskortowanych do Anglii. Tutaj też nastąpiło zbliżenie się między nami i Anglikami, którzy chętnie podjęli się zadania udzielania nam lekcji języka angielskiego. Rysiek Łopacki i ja znaleźlimy dodatkowe zajęcia dla siebie. W czasie pobytu w Durbanie on postarał się o podręcznik algebry, który przy mojej pomocy pilnie studiował. Do naszej dyspozycji było też kilka gier pokładowych, które nauczyliśmy się grać od towarzyszących nam Anglików. Wieczorami otwierano kantynę i wtedy raczyliśmy się lemoniadą, a ludzie z większym doświadczeniem w dziedzinie trunków nie szczędzili sobie przyjemności rozkoszowania się angielskim "bitter". Przy ładnej pogodzie, spokojnym morzu i w towarzystwie młodych Polek, podróż wydawała się być jednym z przyjemniejszych doświadczeń wojennych.

Luksusowy liniowiec trans-oceaniczny "Empress of Canada" płynął z najwyższą osiągalną szybkością, ponieważ od tego zależało bezpieczeństwo jego i jego pasażerów. W niedalekiej odległości przed nami, przynajmniej na mapie, istniała symboliczna linia Równika, a tuż

poza nią zachodnio-afrykański port Freetown, do którego mieliśmy zawinąć dla nabrania paliwa i zaopatrzenia. Potem przed nami była otwarta przestrzeń Atlantyku, strzeżona przez brytyjskie lotnictwo i marynarkę wojenną. U końcu tej trasy leżał słynny Liverpool, gdzie czekało na nas spokojne i bezpieczne życie oraz przeszkolenie w sztuce lotniczej.

Przed nami była też data nieszczęśliwej trzynastki, której nikt z podróżujących nie brał poważnie. Nawet w dniu tej daty, który wielu przesadnym ludziom mógł przerwać spanie, niektórzy wśród nas żartowali sobie z tego kalendarzowego przesądu. Po śniadaniu spotkałem się z p. Rederową i jak w wielu poprzednich dniach urządziliśmy sobie pogawędkę przy burcie. W pewnej chwili zauważyłem małe stworzonko z długim ogonem w chodzące do łodzi ratunkowej pod plandekę. Zaraz zawołałem "szczur, szczur". W odpowiedzi na to ktoś powiedział żartem znany frazes marynaski, że "każdy szczur ucieka z tonącego okrętu". Mały incydent tego poranka zamienił się w żart i jako taki rozwiął się w ogólnym śmiechu. Nikt też nie zwrócił uwagi na to, że trzynasty dzień miesiąca był również trzynastym dniem naszej morskiej podróży. W mojej najbliższej grupie przesadna trzynastka nie znalazła większego uznania.

Tego wieczoru, przed ułożeniem się na moim improwizowanym łożu na stole, czułem się dziwnie nieswojo. Moi towarzysze w wielu wypadkach zachowali się inaczej niż normalnie. Niektórzy z naszej grupy siedzieli do późna przy barze - nawet tacy, którzy dotychczas stronili od napojów alkoholowych. Byli tacy wśród nich, którzy wypili za dużo na swoje możliwości. Efekt tego był widoczny na sali. Przystojniak Pawłowski brał jeden ze słupów w objęcia i plótł niestworzone historyjki o swojej ukochanej południowo-afrykance, co wywoływało wybuchy

śmiechu na sali. Również upili się trzej mali podchorążowie, Klimaszewki, Mol i Kemp, którzy też robili ze siebie błaznów dla uciechy innych. W ich wypadku nie rozumiałem dlaczego ci ludzie nie mający doświadczenia w tej dziedzinie, tego wieczora pozwolili sobie na zapoznanie się ze smakiem alkoholu. Kiedy żartownisie wyładowali swoją energię i doszli do granic swoich pomysłów, na sali przygaszono światło i wszyscy ułożyli się do snu. Przez długi czas nie mogłem zamknąć oczu. Przewracałem się z boku na bok, kilkakrotnie zdrzemnąłem się i budziłem się z powrotem. W końcu sen mnie zmorzył i zasnąłem na mur.

W środku nocy obudził mnie silny wybuch, który wstrząsnął całym okrętem. Natychmiast każdy z nas zerwał się ze swego łóża. Zaczęły się domysły co mogło spowodować tak potężny wybuch. Jako jedyne logiczne wyjaśnienie przyjęliśmy to, że ktoś wystrzelił działo na przodzie okrętu. Wyczułem jednak, że okręt pochylił się lekko na prawą stronę. Pochylenie było nieznaczące, ale to dało nam wiele do myślenia. Teraz nie ulegało już wątpliwości, że okręt został trafiony torpedą łodzi podwodnej lub w najlepszym razie wjechał na morską minę. Światło na sali powoli zaczęło się ściemniać.

Szybko zerwałem się na nogi i zgodnie z instrukcją wciągnąłem na siebie ciepły battledress i buty, pozostawiając tropikalne ubranie na półce. W ubraniu tym pozostawiłem swoje dokumenty oraz pieniądze. Pobiegnęłam do wejścia i idąc śladem kolegów, ledwie widocznych przy słabym świetle żarówki elektrycznej, wciąż nie wierzyłem, że okręt został storpedowany. Przechodząc obok kotłowni widziałem kłęby pary wydobywającej się z wewnątrz. Na widok tego szybko nałożyłem na siebie pas ratowniczy. Na schodach spotkałem się z głównym prądem pasażerów. Ze względu na tłok przy wyjściu na pokład tłum ludzi posuwał się



powoli, ale w spokoju. Słyszałem tylko lekki szmer, który zwykle towarzyszy poruszającemu się tłumowi. W tym szmerze i spokoju ruchów wyczuwało się przerażenie i obawę, że stało się coś niezwykłego - coś zagrażającego naszemu bezpieczeństwu. Po drodze, widząc jakąś zdenerwowaną Polkę, pomogłem jej założyć pas ratunkowy na ramiona. Razem z nią wyszedłem na pokład.

Wtedy przyszła mi na myśl data dnia. Również wtedy, w grożącym nam niebezpieczeństwie, zacząłem zastanawiać się czy jest to jeszcze trzynasty marca, czy też dzień następny. Później dowiedziałem się, że okręt został storpedowany o godzinie 23.53 dnia 13go marca 1943 roku. Morska tragedia zdarzyła się więc w ostatnich minutach dogorywającej trzynastki. Kiedy znalazłem się na pokładzie musiało już być po północy, tak więc według czasu byliśmy już w następnym dniu. Po wyjściu na pokład żarzące żarówki zgasły zupełnie. Na zewnątrz nie było jednak całkowicie ciemno. Panował jakby głęboki półmrok, prawdopodobnie dzięki jaśniejszemu kolorowi nieba.

W szarzyźnie podzwrotnikowej nocy rozpoznawałem kontury ludzi i ich ruchy w w najbliższym moim otoczeniu. Przepchałem się przez tłum do wcześniej wyznaczonego mi miejsca. Znalazłem się w ostatnim rzędzie ludzi, czekających na swoją kolejną zejścia do łodzi.

Faktycznie nie widziałem łodzi zawieszonych z boku na wysokości pokładu. Wszystkie musiały już być na dole. Tłum ludzi powoli zaczynał się przeredzać. Widziałem jak pojedyncze osoby, często wspomagane przez marynarzy, przechodziły za burtę, aby po sznurowej drabince zejść do łodzi. Po pewnym czasie ludzie przede mną znikli. Stałem przy burcie, nie wiedząc co mam z sobą zrobić. Oglądałem się do tyłu - za mną też nie było nikogo. W takim momencie przyszła mi do głowy myśl ostateczna, że to jest mój koniec.

Żadnej łodzi nie było w moim pobliżu, a wiele osób kręciło się bezradnie po pokładzie. Na drugim końcu, gdzieś w tyle okrętu, słyszałem podniesione głosy i ciężkie uderzenia o jakiś stalowy przedmiot. Chciałem udać się w tamtym kierunku, ale coś mnie powstrzymało. Później dowiedziałem się, że była to grupa polskich podchorążych, próbująca spuścić tratwę na morze. Przy późniejszym rozliczeniu okazało się, że niewielu z nich zdołało się uratować. Tymczasem stojąc przy burcie przyszli mi na myśli rodzice i coś pchnęło mnie ku sznurowi zwisającemu ku dołowi. Szybko zsunąłem się do wody, zdzierając przytym skórę na dłoniach o szorstką powierzchnię sznura. Akurat w tej chwili obok mnie przepływała motorówka celem ratowania kobiet. Nagle poczułem jak kilka par ręk chwyciło za mój pas ratowniczy i wyciągnęło mnie z wody.

Łódź była wypełniona ludźmi po brzegi, ale jakimś cudem jeszcze znalazło się miejsce dla mnie między dwoma Polkami. Jedną z nich znałem z widzenia - nazywała się Krystyna. Druga Polka musiała być bardzo przejęta tym wypadkiem, bo ciągle płakała. Na naszej łodzi znalazło się jeszcze miejsce dla kilku innych kobiet, które po mnie wyłowiono z wody. W ciemności nocy trudno mi było rozpoznać ich twarze. Następnie łódź szybko oddaliła się od okrętu i wkrótce potem nad powierzchnią morza zobaczyłem kontury łodzi podwodnej. Smuga światła ich reflektorów przesunęła się po nas. Jakie to mogło mieć znaczenie dla jej dowódcy, można się było tylko domyśleć, że chciał sprawdzić wynik swojej bojowej akcji.

Kiedy znaleźliśmy się na wysokości innych łodzi ratunkowych usłyszałem drugi wybuch torpedy. Na okręcie musiała być jeszcze pewna ilość pasażerów, bo nagle usłyszałem przeraźliwe głosy dochodzące mnie z tamtej strony. Równocześnie na tle nieba widziałem jak okręt

powoli położył się na prawą stronę. Następnie zmienił pozycję, przyjmując pionowe położenie, dziobem na dół. Potem wśród szalonego szumu wody i rozpaczliwego krzyku ludzi szybko zanurzył się w wodzie. Na powierzchni morza pozostała tylko piana wzburzonej fali.

Podczas zanurzania się okrętu angielscy marynarze powstali na łodziach ratunkowych i zaczęli śpiewać wesołą i popularną wówczas piosenkę "Roll on the barrell". Nigdy nie doszukałem się znaczenia w tym morskim rytuale. Po zniknięciu okrętu, jeden z marynarzy powiedział poważnym głosem "she is gone". W ciągu nocy wyłowiono jeszcze kilka osób z wody i przywiązano do boków kilka mniejszych tratw również przepełnionych niedobitkami. Resztę nocy kołysaliśmy się na spokojnym oceanie, nie wiedząc gdzie jesteśmy, gdzie nas niesie fala i jaki może być nasz ostateczny los.

Ledwie rozjaśniło się na niebie nasza motorówka opłynęła cały rejon nocnej katastrofy. Po drodze zbierano pojedynczych ludzi na pasach ratunkowych i przekazywano innym łodziom. Również zbierano kobiety po tratwach, a na ich miejsca przekazywano mężczyzn z naszej łodzi. W ten sposób dostałem się na dużą tratwę o wymiarach 3 x 5 metrów. Wolnego miejsca na niej nie było wiele, ale znalazło się go na tyle, abym mógł usiąść na jej brzegu. Łącznie na tratwie było nas 55 osób, w tym kilku Polaków, trochę włoskich jeńców, niewielu Greków i Francuzów oraz poważna liczba Anglików. Wśród nas najstarszy stopniem był Kanadyjczyk, oficer lotnictwa, który z miejsca przejął komendę nad tratwą. Jego obowiązki zaczęły się od zorganizowania życia morskich rozbitków.

Wewnątrz tratwy, w skrzyniach, znalazł się prowiant, woda i plan-deki na ściany i dach. Marynarze natychmiast założyli boki, zaciągnęli dach i postawili maszt i żagiel. Do rozdzielania prowiantu i wody

wyznaczono jednego ze starszych marynarzy. Równocześnie wydano zarządzenie, że każdy z nas dostanie 5 gramów wody, dwa sucharki i łyżeczkę masy o smaku mięsa dziennie. W skrzyniach również znalazły się światła sygnałowe, które oddano jednemu z marynarzy pod opiekę. W ciągu rannych godzin przyłączyło się do nas kilka mniejszych tratw, tym samym powiększając stan naszej grupy. Po pewnym czasie niektórzy z nich wcisnęli się między nas.

Przy dziennym świetle mogłem dopiero przyglądać się pełnemu widowiskowi naszej nocnej tragedii. Przed sobą widziałem obraz rozbitków, jakgdyby wzięty z książki morskich przygód. Siedzieliśmy w ścisku, oparci jeden o drugiego, zarośnięci, brudni, zmęczeni i spragnieni wody. Niektórzy, jak ja, byli ubrani w ciepłe battledressy, inni w lekkie tropikalne stroje, a jeszcze inni byli wymazani ropą, która wyszła na wierzch po zatonięciu okrętu. Mimo podzwrotnikowego gorąca nie wszyscy z nas przyjmowali swoją porcję wody. Jedni zrzekali się na korzyść innych, drudzy oddawali do wspólnego użytku, a jeszcze inni tylko płukali usta. Robili to zwłaszcza marynarze, którzy twierdzili, że mała dawka wody potęguje pragnienie.

Dzień był pogodny i spokojny, ale niezwykle gorący. Siedząc w cieniu plandeki szczerze współczułem towarzyszom na innych tratwach i łodziach, które nie miały żadnej ochrony przed słońcem. Jednak nawet pod tą osłoną odczuwałem gorąco i dla ochłodzenia się opuściłem nogi do wody. Niemal natychmiast ktoś trącił mnie o ramię i głośno zawołał "shark, shark". Odwróciłem twarz do niego i zobaczyłem jak ręką pokazywał dużą zieloną rybę, krążącą wokół tratwy. Początkowo nie bardzo rozumiałem o co temu Anglikowi chodzi. Dopiero polski porucznik wyjaśnił mi, że ta duża ryba to rekin i dlatego należy być ostrożnym ze spuszczeniem nóg do wody. Przyjrzałem się tej rybie nieco bliżej i przez



zadawanie pytań dowiedziałem się nieco więcej szczegółów o niej. Naj jej głową widziałem kilka mniejszych rybek, które słuąc jej jako piloci prowadzą ją do żeru. Potem żywią się resztkami pokarmu, pozostałego między zębami rekina. Po tym ostrzeżeniu już nie wkładałem nóg do wody mimo palącego gorąca.

Po południu na niebie ukazał się samolot. Anglicy na naszej tratwie rozpoznali go jako samolot rozpoznawczy typu "Katalina". Kiedy znalazł się nad nami pilot obniżył jego wysokość i świetlnymi sygnałami podał nam wiadomość, której ja nie rozumiałem, ale nawet w naszej grupie znalazł się ktoś kto rozpoznał jej treść. Z łodzi w naszym pobliżu natychmiast mu odpowiedziano. Ukazanie się samolotu nie zmieniło naszej sytuacji, ale miało to moralny wpływ na nas, bo wiedzieliśmy, że ktoś nad nami czuwa i że wcześniej czy później ktoś przyjdzie nam z pomocą.

Noc minęła spokojnie na małym drzemaniu. Wychyliłem głowę nazewnątrz i w ten sposób doznałem trochę nocnego chłodu. Następnego dnia pogoda zmieniła się radykalnie. Na niebie ukazały się chmury a morze stało się bardzo niespokojne. Fala musiała być wysoka, bo często przewyższała tratwy i łodzie. Czasami byliśmy w dole i widzieliśmy góry wodne dookoła siebie, czasami byliśmy u jej szczytu i wtedy przed nami ukazywał się widok falującej powierzchni. Zadałem sobie trochę trudu i przy górnej pozycji policzyłem łodzie i tratwy rozbitków. Było ich około 38iu. W tym trudnym położeniu mogłem się przeliczyć lub niektórych nie zauważyć. Biorąc przeciętnie po 50 łodzi na każdą łódź i tratwę, łącznie mogło nas pływać około 2000 ludzi.

Rano dnia następnego i trzeciego z kolei dostaliśmy swoje racje wody i sucharków. Przez cały dzień wyglądaliśmy znaku jakiegoś okrętu na horyzoncie. Sledząc horyzont mieliśmy na myśli biały pióropusz dymu, który byłby zwiastunem nadchodzącej pomocy. Niestety przez cały

cały jasny dzień niczego nie dojrzeliliśmy. Horyzont był czysty, bez najmniejszej plamki na nim. Kiedy byliśmy już przygotowani na spędzenie następnej nocy na tratwie, ktoś nagle zawołał, że pomoc nadchodzi. Przy ostatnim świetle dziennym, na skraju horyzontu ukazał się mały dymek, który powoli rósł w wielkości. Z kolei ukazał się maszt i kominy. Wreszcie przy kończącym się dniu zobaczyliśmy pełne kontury okrętu. Radość nasza nie miała granic. W przystępie tej radości wypiliśmy wszystką wodę i zjedliśmy wszystkie suchary.

Okrętów było kilka. W szarzyźnie wieczora widzieliśmy tylko ich kontury, ale byliśmy pewni tego, że były to okręty wojenne. Pierwszy z nich dotarł do naszego rejonu około godziny 20.30. Nasza tratwa była bardzo blisko niego, ale za daleko, abyśmy mogli wejść na jego pokład. Probowaliśmy wiosłować, ale prostokątne kształty tratwy nie pozwoliły na jej manewrowanie. Niektórzy z nas wołali, aby zbliżyli się do nas, ale oni, będąc w tym czasie zajęci innymi grupami nie mogli zadośćuczynić naszym prośbom. Po pewnym czasie obok nas zjawił się jakiś kontrtorpedowiec. W szarym świetle końącego się dnia wyczytałem jego nazwę czy kryptonim "K 79". Natychmiast zrzucono nam sznurową drabinkę i każdy z nas jeden po drugim wdrapał się na jego pokład.

Było już zupełnie ciemno, kiedy znalazłem się na okręcie. Jego obsługa natychmiast dała nam herbatę do picia i coś do zjedzenia. Kiedy zaspokoilem pragnienie i głód oraz nieco umyłem się, udałem się do okrętowego lekarza z moimi bolejącymi dłońmi. Pod wpływem słonej wody zdarta skóra w czasie schodzenia po linie z "Empress of Canada" zaczęła już ropieć. Sanitariusz przemył mi rany i opatrzył je bandażem.

Na tym samym kontrtorpedowcu też znalazł się Rysiek Łopacki. Miałem wobec niego wyrzuty sumienia, ponieważ przed storpedowaniem

powierzył mi swoje pieniądze do przechowania. Kiedy w pośpiechu w czasie wychodzenia z sali okrętowej ubrałem battledress, jego i swoje pieniądze pozostawiłem w ubraniu tropikalnym. Stratę tę złożyliśmy wspólnie na winę morskiego wypadku. Znaleźliśmy jakiś kąt na pokładzie i owinięci kocami przespaliśmy spokojnie całą noc.

Rano niektórym młodym podchorążym kazano przenieść się po linowej kładce na lekki krążownik "Karyntia". Ja znalazłem się w tej grupie. Podobno okręt był towarowym statkiem do przewożenia węgla, a w czasie wojny przerobiono go na okręt wojenny. Cały dzień pływaliśmy w rejonie pustych już łodzi i tratw celem wyławiania luźno pływających ludzi. W ciągu rana i wczesnego popołudnia, aż do godziny 16ej, wciąż wyciągano żywych ludzi, niektórych w bardzo złym stanie. Wszyscy z nich byli pokryci w większej lub mniejszej mierze czarną lepłą ropą. Oni wymagali długiej operacji mycia skóry, co podobno było bolesnym zabiegiem. Po tym czasie widziało się tylko martwe ludzkie ciała poszarpane przez rekiny. Koło tego żeru kręciły się całe ich stada. Marynarze strzelali do nich z karabinów maszynowych, lecz to nie wyrządzało im żadnej szkody. Również przez cały dzień i następny ranek wyrzucano miny głębinowe, prawdopodobnie dla odstraszenia łodzi podwodnych.

Innym zajęciem obsługi okrętowej było zatapianie pustych łodzi i tratw. Widocznie, ze względu na tajemnice wojenne, nie było wskazanym pozostawianie śladów katastrofy na powierzchni morza. Dopiero gdy rejon został całkowicie oczyszczony z pozostałości storpedowanego okrętu, nasz okręt rozpoczął powrotną drogę do Freetown, portu położonego na zachodnim wybrzeżu Centralnej Afryki.

Do portu przybyliśmy wieczorem, dnia 19go marca, akurat w dzień św. Józefa, patrona mojej matki. Okręt stanął w zatoce, w pewnej odległości od brzegu, skąd przewieziono nas barką do prowizorycznego mola.

Tutaj lokalny pastor powitał nas papierosami, a panie Angielki z tamtejszej kolonii poczęstowały nas filiżankami ciepłego kakao. Stąd poprowadzono nas wprost do magazynu mundurowego, gdzie wydano nam świeże czyste ubrania oraz osobiste rzeczy do codziennego użytku. Było już zupełnie ciemni, kiedy dołączyliśmy do naszej polskiej grupy w lotniczym obozie RAF.

Do czasu naszego przybycia nikt nie wiedział dokładnie jakie straty polska grupa poniosła podczas katastrofy. Dopiero w następnym dniu rano zaczęto liczyć zaginionych. W ostatecznym rozliczeniu zabrakło 15tu mężczyzn oraz jednej kobiety. Do zaginionych, między innymi, należeli Pawłowski, Rozwadowski, Mol, Kemp, Klimaszewski, polski Żyd ze Lwowa oraz jedna Polka o nieznanym mi nazwisku. W czasie rozmów wyłoniło się kilka szczegółów śmierci tych, których zabrakło. Dowiedziałem się wtedy, że Pawłowski i zaginiona Polka wyszli cało z katastrofy i oboje znaleźli się na łodziach. Oboje dostali wstrząsu nerwowego i kilkakrotnie próbowali rzucić się do wody. W czasie dnia inni zdołali ich powstrzymać od tego kroku, w nocy jednak nie zdołano ich upilnować. Ktoś mówił mi, że większość zaginionych podchorążych straciła życie przy wodowaniu tratwy. Niektórzy zostali nią uderzeni w czasie jej spadania do wody, inni zostali wciągnięci przez wir tonącego okrętu w tamtym rejonie. Byli też tacy, którzy nie wyszli z dolnego pokładu. Do tych należeli Klimaszewki, Mol i Kemp.

Z racji przymusowego postoju w Freetown zapoznałem się nieco z historią i geografią tego kraju. Pierwszy widok jaki mnie uderzył następnego ranka był brązowy odcień wzgórz, jakgdyby pokrytych spaloną słońcem roślinnością. W tej części Afryki był to okres letni i dlatego flora poddana gorącu zmieniła kolor. Widok ten przypomniał mizamierającą jesienną naturę w moich rodzinnych okolicach.



Miasto Freetown, znaczone na mapie jako większa miejscowość portowa, raczej wyglądała jako większa murzyńska wioska. W samym centrum mogło być kilkadziesiąt murowanych domów, należących do zamożnych Syryjczyków, którzy stworzyli tam pierwszą białą kolonię wiele lat temu. Większość zabudowań składała się z małych, murzyńskich domków zbudowanych z gliny i przykrytych sitowiem. Ludność murzyńska wyglądała biednie i niezbyt atrakcyjnie. Nie widziałem tam żadnego przemysłu i nie widziałem pracującej ludności. Trudno było się domyśleć jakie było ich zarobkowe zajęcie. W moim mniemaniu musieli trudnić się rybołówstwem i pracowali na plantacjach bananowych lub kakaowych. W porcie widziałem młodych chłopaków, którzy podobnie jak chłopcy w Adanie, bawili podróżujących łowieniem monet rzucanych do wody.

Do czasów 2ej Wojny Światowej Freetown prawdopodobnie nie zaliczało się do ważniejszych portów w żegludze światowej. Do zatoki musiało zawijać bardzo mało okrętów, ponieważ nie zauważyłem tam żadnych urządzeń portowych. Dopiero zablokowanie Morza Śródziemnego i Suezkiego Kanału przez Niemców i Włochów, nadało tej afrykańskiej miejscowości więcej znaczenia. Aliancka żegluga handlowa była zmuszona do opływania Afryki i korzystania z portu w Freetownie. W czasie swego pobytu widziałem kilka ekip amerykańskich pracujących nad jego rozbudową. Oni trzymali się jako oddzielna grupa i dlatego nie nawiązaliśmy z nimi żadnego kontaktu.

Polki z naszego transportu zostały ulokowane w innym obozie, który mieścił się na jednym z okolicznych wzgórz, poza miastem. Miasto nie posiadało żadnej transportacji publicznej, wobec czego dla odwiedzenia ich trzeba było robić długie spacery przez miasto i pod stromą górę. W letniej porze i gorącej temperaturze takie wycieczki nie należały do wielkich przyjemności, chyba że ktoś miał w tym swój osobisty cel.

Wśród nas byli tacy, których bliższe znajomości między Polkami zobowiązywały ich do częstszych odwiedzin. Ja ograniczyłem się tylko do jednej wizyty. Spotkałem się ponownie z p. Rederową, jej córką Zosią oraz kilku innymi Polkami, które zapoznałem na okręcie.

Prawdopodobnie nikt z nas nie czuł żalu do władz angielskich, kiedy zawiadomiono nas, że musimy przygotować się do następnej podróży. W porcie czekał na nas olbrzymi francuski liniowiec "Mauretania". Rano, dnia 28go marca załadowano nas na jego pokładzie. Tym razem ulokowano nas, pochorążych, w trzeciej klasie z prawem stołowania się w drugiej. Naszym Polskom natomiast dano kajuty, które były bardziej wygodne niż ogólne sale nam wyznaczone.

W pierwszych dniach podróży pogoda była słoneczna i przyjemna, a morze lekko faliste i spokojne. Większość czasu spędzaliśmy na górnym pokładzie wiedząc, że nasze delektowanie się słońcem ma się już ku końcowi. W miarę oddalania się od Równika pogoda była coraz chłodniejsza i coraz bardziej mżysta i deszczowa. W końcu temperatura spadła do takiego poziomu, że bez ciepłego płaszcza nie można było pokazać się na pokładzie. Z braku cieplejszego ubrania musieliśmy ograniczyć nasze dzienne zajęcia i rozrywki do dolnego pokładu, częściowo zasłoniętego od wiatru. W tym czasie rzadko spotykałem się z Ryśkiem. Podejrzewałem go, że znalazł sobie jakiegos wspólnika do gry w szachy i w ciepłym miejscu dolnej luki użytecznie i mile spędzał swój wolny czas.

W ostatniej części naszej podróży nie spotkaliśmy się z żadną morską niespodzianką. Od czasu do czasu widzieliśmy zarysy lądu, ukazywającego się na horyzoncie, które niewątpliwie były częścią wysp brytyjskich. My jako zwykli podróżnicy, niedoświadczeni w żegludze morskiej nie byliśmy w stanie rozpoznać je geograficznie.

Dnia 8go kwietnia 1943 roku zobaczyliśmy zarysy portu Liverpool, naszego docelowego miejsca. Dzień był raczej szary i ponury, bardzo właściwy angielskiej pogodzie. Zabrało nam trochę czasu nim dobiliśmy do mola i nim pozwolono nam zejść na dół. W międzyczasie oglądaliśmy z pokładu szare, zakurzone budynki portu, które przy pochmurnej i mżyste pogodzie wyglądały jeszcze bardziej szaro. Pogoda jednak nie miała w tym czasie większego znaczenia dla nas. Przed nami była upragniona Anglia, gościnna i bezpieczna, gdzie czekał na nas następny okres wojennego życia i niewątpliwie okres nowych przygód.

## IX. NA GOSCINNEJ WYSPIE ALBIONU.

Mimo niezbyt wyraźnej pogody Liverpool przywitał na gościnnie, zgodnie z tradycją narodu angielskiego narodu. Częściowo gościnność ta wynikała z przysłowiowej organizacji tego narodu, której zasadniczą zasadą było dobro człowieka. Pod kierownictwem przewodników, z portu pomaszerowaliśmy ulicami do pobliskiej stacji kolejowej, gdzie na nas już czekał pociąg osobowy, idący do nieznanego nam jeszcze Blackpoolu. Wszystko było dla nas nowe i inne, ale przytym przyjemne i budzące ciepłe uczucia w przybytku.

Zaraz po wyjeździe z miasta otworzyły się przed nami miłe dla oka morskie okolice zielonej Anglii. Podróż w wygodnych wagonach nie trwała zbyt długo - może nie więcej niż dwie godziny. Czas jednak mijał szybko. Nasza uwaga była całkowicie pochłonięta otwierającymi się przed nami widokami kraju o którym tyle słyszeliśmy, a który obecnie poznawaliśmy naocznie. Po drodze podziwialiśmy schludne domki z czerwonej cegły, każdy z kawałkiem ogródka lub trawnika, a w nich dużo zieleni i kwiecica. Czasami ukazywały się strzeliste wieże starych kościołów, czasami kominy i zabudowania fabryczne, czasami zielone pola golfowe - wszystko czyste, schludne i przyjemne dla ludzkiego oka. Od czasu do czasu przydarzył się widok morskiego wybrzeża, piaszczystej plaży i falującego morza, co mimo doświadczenia na Atlantyku wciąż miało dla nas



pewną dozę atrakcji. Łądowa część tych widoków, ubrana w wiosenną zieleń jednolitego koloru, miała w sobie urok natury świeżo obudzonej do życia. Zieleń niewątpliwie była dominującą cechą krajobrazu tej części Anglii.

Na stacji w Blackpool czekali na nas polscy lotnicy, pełniące funkcje kwaterunkowych. Mimo angielskich mundurów oni byli łatwi do rozpoznania, ponieważ każdy z nich w górnej części rękawa miał napis "Poland" na czerwonym tle. Ich zadanie polegało na rozprowadzeniu nas po lokalnych prywatnych hotelikach, znanych tubylcom pod nazwą "biletting". Nadmorski Brackpool zrobił na nas nawet lepsze wrażenie niż okolice Liverpoolu. Nawet w tym pochmurnym dniu widziało się tutaj więcej koloru i więcej przyjemności życia. Blackpool, jako miejscowość, letniskowa z natury rzeczy musiał wyglądać lepiej. Stacja kolejowa, położona centralnie, była wprawdzie szara i ciemna, ale na zewnątrz jej było wiele do oglądania i podziwiania. Nawet w czasie krótkiej tury w drodze do hotelików z przyjemnością patrzyliśmy na czyste asfaltowe ulice, czerwieniejące się cegłą domy i budynki, wysoką wieżę "Tower", okazałą budowlę "Winter Gardens" i na mały skrawek promenady zapełnionej wakacjuszami. Anglicy, jako goście, nie mogli obrać dla nas lepszego miejsca na zakwaterowanie.

Grupa, do której należałem, została ulokowana w hoteliku pod adresem 87 Palatine Road, u bardzo miłej i przyjemnej starszej osoby, Miss Elsie Feeney. Stół w jadalni na dole już był nakryty i tzw. "high tea" czekało na nasze przybycie. Zaczęliśmy swój pobyt w tym domu od jedzenia. Miss Feeney, którą wkrótce zaczęliśmy nazywać "Mom", okazała nam dużo serca i dla każdego z nas była niezwykle uprzejma. Ja, jako jedyna osoba w tej grupie znająca nieco mowę angielską, z miejsca stałem się starszym tego polskiego zespołu. Z tej racji załatwiałem

wszystkie sprawy, jakie wynikały między gospodynią domu a nami. Stosunki między nami układały się jak najlepiej i wkrótce staliśmy się dobrymi przyjaciółmi.

Prawie każdego wieczora przebywaliśmy w jej pokoju i w miarę znajomości języka opowiadaliśmy nasze dzienne przygody -powodzenia i niepowodzenia z dziewczynkami. Od samego początku jej faworytem stał się Jurek Bojko, może dlatego, że wyglądał najmłodziej i był najrozmowniejszy. Pewnego dnia powstało małe nieporozumienie między nim a Zbyszkiem Hartem. Nie wiem co było przyczyną tego, ale pani Feeney natychmiast stanęła w obronie swego faworyta. Tak długo jak u niej mieszkaliśmy Hart nie cieszył się jej sympatią.

Blackpool nie byłby Blackpoolem, a Polacy nie byłiby Polakami, gdyby na promenadzie, na plażach, na dancingach i przy innych okazjach nie zawiązywałyby się mniejsze i większe polsko-angielskie przyjaźnie między płcią żeńską i męską. W czasie weekendów lub wakacji, przy stałej inwazji miasta przez młode Angielki z Preston, Manchester, Liverpool, Burnley i innych miejscowości, niemal każdy Polak miał okazję zapoznać nadobną pannę swego wyboru. Popularni w tym czasie polscy lotnicy nie mogli narzekać na brak wzięcia u lokalnych i przyjezdnych panienek. My, nowoprzybyli, mający już mundury lotnicze, począwszy od pierwszych dni zaczęliśmy wykorzystywać tę sytuację.

Moja pierwsza wyprawa na miasto ze Zbyszkiem Fisherem zakończyła się względnym powodzeniem. Spotkaliśmy dwie Waffki /lotnicza służba kobiet/ z którymi spędziliśmy wieczór na ćwiczeniu języka angielskiego i spacerowaniu po zielonym Stanley Parku. Moi inni koledzy też zawierali znajomości na plażach, dancingach i promenadzie, które w następnej fazie przekształcały się na zwyczaj pisania listów. Najczęściej byłem tłumaczem otrzymanych listów i redaktorem odpowiedzi. Nasza Mom często

była mi w tym pomocna przez przeprowadzanie korekty skomponowanych przeze mnie listów.

Kilka dni po naszym pierwszym wypadzie udałem się znowu ze Zbyszkciem na dancing do Tower, gdzie zawarliśmy nowe znajomości. Przystąpiliśmy do dwóch panien, które siadły na ławce w pobliżu nas, spróbowaliśmy z nimi naszych talentów na parkietowej podłodze i wieczorem wzięliśmy je na spacer. Moja panna nazywała się Helen, mieszkała niedaleko parku i raz zapoznała już polskiego lotnika o najbardziej polskim imieniu Stanisław. Lotnik ten niestety zginął w czasie jednego nalotu nad Niemcy. Takie przynajmniej były jej osobiste informacje z którymi ona otwarcie podzieliła się ze mną.

Począwszy od tego spotkania widywaliśmy się niemal codziennie, z wyjątkiem niektórych weekendów dla przyczyn rodzinnych. Po pewnym czasie wyszło na jaw, że Helen miała innego znajomego Polaka, bliskiego znajomego rodziny, który również był jej "friendem". Wtedy zaczęły dochodzić do mnie znaczenia takich pojęć angielskich jak "friend" i "boyfriend". Nie byłem jednak pewny jaką ja zajmuję pozycję w tym niejasnym trójkącie. Wiedziałem tylko tyle, że moja "green goddess", jak ją nazywały jej koleżanki z racji jej kształtów i zielonego płaszcza, chciała się ze mną widywać.

Jednej "wolnej" niedzieli nawet zaprosiła mnie do swego domu, aby poznać jej najbliższą rodzinę. Moja wizyta musiała musiała dojść do wiadomości jej przyjaciela, bo przez kilka dni z rzędu Helen nie była widzialna i osiągalna. Ale, gdy jej koleżanski spotkały mnie w Winter Gardens na dancingu z moją nową znajomą, zaraz na drugi dzień miałem list od Helen z propozycją ponownego spotkania. Znowu spotykaliśmy się co wieczora na dancingu i chodziliśmy do Stanley Parku, ale jej dobry polski znajomy nie przestawał być mi przeszkodą. Ten stan rzeczy

ostatecznie doprowadził do rozwiązania się naszej znajomości jeszcze przed moim wyjazdem z Blackpool.

Moje pierwsze znajomości z młodymi Angielkami dały mi dużo materiału do myślenia, co po pewnym rozważaniu stworzyło mi możliwość dostosowania się do pewnych praktykowanych zwyczajów wśród młodych ludzi. Praktyka ta zamykała się w idei robienia wielu znajomości, zbieraniu adresów oraz fotografii. Każda panna chciała mieć jak najwięcej "friendów" i "boyfriendów" oraz kartotekę adresów i album fotograficzny. Taki był wojenny zwyczaj, który widocznie sprawiał im zadowolenie. Wtedy zrodziła się we mnie myśl - "dlaczego się do tego nie zastosować?" W sytuacji Polaka na obczyźnie tego rodzaju rozwiązanie spraw towarzyskich i uczuciowych wydawało mi się jako rozsądne i racjonalne. Z takim postanowieniem zacząłem robić nowe znajomości bez najmniejszych wyrzutów sumienia, że komukolwiek wyrządzam krzywdę. W rezultacie sam stałem się zbieraczem adresów i fotografii.

W międzyczasie ponownie przeszedłem komisję lekarską, tym razem bardziej szczegółową i dokładną. Byłem absolutnie pewny, że przejdę ją bez najmniejszych trudności. Jednak podczas badania wzroku okazało się, że jestem częściowym daltonistą, wobec czego moje szanse dostania się do personelu latającego z miejsca odpadły. Przede mną była tylko możliwość szkolenia się w służbie naziemnej, co mi nie bardzo odpowiadało. Szukałem więc za innym rozwiązaniem. Chciałem dostać się na wyższe studia, ale ilość miejsc przyznawana Polakom była tak znikoma, że w tym zakresie nie mogłem liczyć na powodzenie.

Będąc w Blackpool, gdzie mieściło się centrum ewidencji polskiego lotnictwa, postanowiłem doszukać się moich kolegów gimnazjalnych, którzy w myśl mego mniemania mogli znaleźć się za granicą. Zacząłem szukać za nazwiskami Staszka Żeromskiego i Staszka Schmidta. W wypadku



pierwszego sprawa była krótka i smutna. Jako nawigator w 305ym dywizjonie bombowym mój dobry kolega zginął w jednym z nalotów na Niemcy. Dostałem z ewidencji tylko adres jego angielskich znajomych. Chciałem się z nimi skomunikować, ale w miarę upływu czasu myśl ta zagubiła się w nich innych sprawach i zainteresowaniach.

Wiadomość o drugim była bardziej pocieszająca. W dziale ewidencyjnym w hotelu Goodwood, doszukano się jego nazwiska w szkole pilotów w Hucknall koło Nottingham. Natychmiast skreśliłem list do niego. Odpowiedź przyszła niespodziewanie szybko, w której doniósł mi, że 5go maja przyjedzie do Blackpool, aby się spotkać ze mną. Dnia tego siedziałem kołkiem w domu. Staszek nie zjawił się - nie wiedziałem co o tym myśleć. Siedziałem w domu następnych kilka dni w nadziei, że sprawa się wyjaśni. Niedługo potem, idąc promenadą, niespodziewanie spotkałem się z dwoma buczackimi przyjacółmi, Chaśkiem Schandlerem i Tadziem Warszylewiczem. W trakcie rozmowy wspomniałem o niedoszłym spotkaniu ze Staszkiem Schmidtem. "Czy nie czytałeś w Dzienniku Polskim o jego śmierci?" - on mi odpowiedział na to. Staszek, mój dobry kolega z dalekich lat, w czasie próbnego lotu spadł z maszyną na ziemię, ponosząc śmierć na miejscu.

Od nich też dowiedziałem się o Zbyszku Warszylewiczu, do którego też niezwłocznie napisałem. W odpowiedzi on poinformował mnie, że w czasie ćwiczeń w tajnym oddziale "Cicho Ciemnych" przy skoku spadochronowym poniósł poważne wewnętrzne obrażenia. Z listu jego przebiegała obojętności i zniechęcenia, co świadczyło o jego stanie depresji. Zbyszek przyjechał, aby odwiedzić mnie, ale nie spotkaliśmy się, bo mnie w tym czasie nie było w hotelu.

Na kilka tygodni przed moim wyjazdem z Blackpool, zawarłem przyjemną znajomość z lokalną rodziną angielską, która okazała się

długotrwałą i miała szczególne znaczenie dla mnie w przyszłości. Na jednym z porannych apelów spotkałem się z moimi znajomymi z Buczacza, Romkiem Wójcickim i Józkiem Kamiński. Ten ostatni był zarządcą majątku w Potoku Złotym i nieco starszy wiekiem od nas obydwóch. Romek wiedząc, że znam język angielski w dostatecznym stopniu, aby porozumieć się z Anglikami, poprosił mnie o towarzyszenie mu w jego planowanej wizycie do domu przyjaciół jego brata Kazimierza, który przed tragiczną śmiercią lotnika tam pozostawił swoje osobiste rzeczy. Po południu udaliśmy się do pp. Hopley na Lytham Road. Tam zatrzymano nas na "high tea" i przyjęto niezwykle serdecznie. Już w tym dniu staliśmy się ich przyjaciółmi i dostaliśmy stałe zaproszenie do ich domu.

Rodzina moich nowych angielskich przyjaciół była składaną rodziną o dwóch nazwiskach. Razem z pp. Hopley mieszkała siostra pani domu, Laura Buxton, pani w średnim wieku i z zawodu dyrektorka szkoły. Już od pierwszego spotkania zacząłem ją wołać "Aunt Laura". Poza starszym pokoleniem było młodsze, składające się z dwóch sióstr, Margaret i Laury oraz brata Dawida. Wszyscy z nich byli szczerze zainteresowani sprawą polską, a ich dom był niejako klubem polskich lotników. Aunt Laura należała do Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Angielskiej i brała czynny udział w tej organizacji. W domu tym stałem się częstym bywalcem i od jego mieszkańców dowadywałem się o różnych szczegółach naszej sprawy, nie ogłaszanych w polskiej gazecie. Również ich adres służył mi jako stały adres w utrzymywaniu łączności z rodzicami w Związku Sowieckim.

W ostatnim tygodniu maja zawiadomiono mnie, że zostałem przydzielony do 300 Dywizjonu Bombowego w Hemswell, w hrabstwie Lincoln. Kilka dni później z dokumentami w kieszeni i biletem kolejowym w ręku wsiadłem do pociągu idącego do Manchester. Razem z kolegą Niesłuchowskim zająłem miejsce w przedziale, nieco zawiedziony, że nie jadę do

jednej ze szkół lotniczych. W przedziale było kilka cywilnych osób powracających do domu z urlopu lub weekendu. Po ujechaniu jednej czy dwóch stacji staliśmy się dobrymi znajomymi, a ja szczególnie z młodą brunetką siedzącą naprzeciw mnie. Przed przybyciem do Manchester, zgodnie z nowo nabytą przeze mnie tradycją, zanotowałem jej adres w moim kalendarzyku. Dowiedziałem się również, że nosi imię Winnie /zdrobniałe od Winifred/ i przytym dostałem zaproszenie na odwiedzania jej w Manchester podczas urlopu.

W Manchester musieliśmy przejechać tramwajem do stacji London Road, skąd odchodził pociąg do Lincoln. Zaraz po nas do naszego przedziału weszły dwie młode Angielki. Jedną zajął się mój towarzysz, a druga przystojna blondynka przypadła mnie w udziale. Znowu mieliśmy urozmaiconą podróż, która jak poprzednia zakończyła się wymianą imion, adresów i propozycją przyszłego spotkania się w Nottingham. Moja blondynka określiła dokładnie położenie "Church Hall", gdzie z reguły chodziła na zabawy. Do Nottingham jednak nigdy nie dojechałem, wobec czego nasza krótka i przygodna znajomość pozostawiła po sobie jedyny ślad w formie adresu w kalendarzyku.

Ze stacji kolejowej Lincoln do obozu 300 Dywizjonu w Hemswell dojechaliśmy autobusem, co przy dobrze rozwiniętej transportacji w Anglii nie sprawiło nam żadnej trudności. Jadąc szosą obok lotniska widziałem szereg samolotów stojących na otwartej, nieogrodzonej i niestrzeżonej przestrzeni. Domyśliłem się z tego, że Anglicy mieli doskonałą kontrolę nad swoim wybrzeżem, skoro nie przywiązywali większej wagi do strzeżenia samolotów przed możliwością szpiegowania lub akcji dywersyjnej. Samoloty, które tam widziałem niczego mi nie mówiły. W zakresie sprzętu lotniczego byłem kompletnym laikiem. Od biedy mogłem rozpoznać "Spitfire a, którego podobiznę widziałem kilkakrotnie w prasie, tym

a pozatym wszystko inne było dla mnie czarną magią. Teraz przejeżdżając obok nieznanym mi jeszcze "Wellingtonów" nie miałem najmniejszego pojęcia do jakiej klasy one należały i czy są nowym czy przestarzałym typem samolotu. Niemniej przyglądałem się im z ciekawością i na ich widok obudził się we mnie żal, że nie będzie mi danym pilotowanie tych maszyn.

Przy wjeździe do rejonu lotniska, obok kancelarii, spotkałem przypadkowo Józka Kamińskiego, znajomego mi z Blackpool. Mój krajan już był tutaj zadomowiony i chętnie służył mi za przewodnika. Zaczęliśmy od jadalni i kantyny, gdzie skorzystaliśmy z obfitego posiłku dla lotników. Następnie Józek zaprowadził mnie do do jednego z murowanych budynków, służących jako koszary dla personelu. Tutaj znalazło się dla mnie łóżko z przyjemną białą pościelą. Do kancelarii miałem się zameldować dopiero w następnym dniu, celem załatwienia oficjalnych spraw, związanych z moim przydziałem.

Moja znajomość historii naszego lotnictwa na Zachodzie była bardzo nikła i w zasadzie pochodziła z informacji wyczytanych w polskiej prasie. Najwięcej wiedziałem o wyczynach myśliwskiego dywizjonu 303, który odegrał wielką i zaszczytną rolę w Battle of Britain. O tym bohaterskim dywizjonie i jego lotnikach czytało się dużo, o innych mniej, a o dywizjonach bombowych prawie nic. Dlatego 300 Dywizjon Ziemi Mazowieckiej był dla mnie całkowitą niewiadomą.

Rano zameldowałem się u adjutanta dywizjonu i czasowo przydzielono mnie do Flightu "A". Według informacji podanych nam w Blackpool, Niesku-chowski i ja mieliśmy być odkomenderowani do szkoły na dział radio-location, czyli radaru. Już na początku wynikło pewne nieporozumienie, ponieważ oficer techniczny sprzeciwił się temu i musieliśmy pójść do maszyn. Początkowo oponowaliśmy temu, ale to nie odniosło skutku.



Po długim naleganiu jedynie ja zostałem przeniesiony do sekcji radiowej, co nie trwało długo i nie dało mi wiele. Po ciągłych przetrzuczeniach mnie z sekcji do sekcji, ostatecznie zdecydowałem się na złożenie podania o przeniesienie mnie do Armii Lądowej. List wysłałem bezpośrednio do dowódcy polskiego lotnictwa, gen. Ujejskiego, co nie było zgodne z obowiązującymi przepisami.

W czasie czekania na odpowiedź na lotnisku wykonywałem różne czynności, których rodzaj był zależny od przydziału do tej czy innej sekcji. Obsługiwanie maszyn było moim najczęstszym zajęciem. Praca nie była trudna i uciążliwa i przytym miała jedną dobrą stronę - od czasu do czasu pilot brał nas na przejażdżkę samolotem. Raz, gdy byłem na maszynie "N" jak "Nina", zrobiłem w niej turę aż do Doncaster, gdzie podobno mieszkała panna pilota. Inne tury były krótsze - tylko do oblatania maszyny po remoncie i oczyszczeniu. Pierwsze uczucie oderwania się od ziemi było dla mnie dziwne i nawet nieprzyjemne. Nagła utrata własnej ciężkości przy wznoszeniu się i jej nagły przybytek przy lądowaniu, były dla mnie nowym uczuciem do którego trzeba było przyzwyczać się. W sekcji radia było trochę teorii i żadnej praktyki. Czasowo przydzielono mnie do oficera oświatowego na okręgi święta dywizjonu i związanych z tym uroczystości. Dla mnie to wszystko wyglądało jak błąkanie się z kąta w kąt i beznadziejne czekanie na zakończenie się wojny Cała moja myśl wyjazdu z Bliskiego Wschodu opierała się na bardziej wzniosłych pobudkach. Dlatego czułem się rozczarowany tym układem rzeczy.

W tym okresie mojej służby zdarzył się wypadek, który wstrząsnął każdym Polakiem w kraju i na obczyźnie. Jednego z tych przyjemnych i słonecznych dni lata siedziałem pod ścianą budynku czytając gazetę i słuchając radia. Nagle wstrzymano program i podano niezwykle dla

smutną i tragiczną wiadomość o śmierci gen. Sikorskiego. Dzień 4go lipca 1943 roku, nagle przekreślił wiele naszych nadziei. Po zaognionej sprawie Mordu Katyńskiego i pogorszeniu się stosunków polsko-sowieckich, miałem wielkie obawy, czy moi rodzice kiedykolwiek wydostaną się z Sybiru. Z chwilą zgonu polskiego przewodcy wszystko się pogorszyło. Cała nasza sprawa stanęła wobec trudności, na które nasze rządy londyńskie miały wpływ, a nasi alianci nie wykazywali większej chęci ingerowania w nasze stosunki z sowietami.

Kilka dni później /9go lipca/ dostałem jedno-tygodniowy urlop. W pierwszym rzędzie pojechałem do Blackpool. Kochana Mom natychmiast dała mi pokój do dyspozycji i nie chciała wziąć za to ani grosza. Chciałem odwzajemnić się jej prezentem, ale w pustych sklepach nie było nic właściwego do kupienia. Przelotnie spotkałem się z Helen, co dla mnie było już bez większego znaczenia. Po południu następnego dnia złożyłem wizytę w domu Aunt Laura. Tak jak poprzednio, byłem przyjęty bardzo serdecznie przez całą rodzinę. Głównym tematem naszej rozmowy była sprawa tragicznego wypadku Gen. Sikorskiego i trudna sytuacja Polski. Oni mnie wsółczuli i pocieszali, ale w tym nie było nic konkretnego, co mogło wzbudzić nadzieję pomyślnego rozwiązania naszej sprawy.

Resztę urlopu spędziłem w Manchester. Tym razem zadomowiłem się u swego angielskiego przyjaciela z podróży morskiej, Jima Walkera. Wieczory spędzałem z Winnie, jako jej towarzysz do kina i na dancinгах. Przy jednej z takich okazji zostałem zaproszony do jej domu, gdzie poznałem rodzinę w osobach matki, ojca i młodszego brata. Starszy brat dziewczyny był w Burmie, co dla nich wszystkich było przyczyną trosk i obaw. Od tej pory zacząłem utrzymywać z Winnie stałą wymianę listów, niemal tygodniową.

Życie w dywizjonie płynęło bez zmian. Pracowałem w każdej sekcji do jakiej mnie przydzielono i czekałem na decyzję gen. Ujejskiego. Nauczyłem się obrabiać dur-aluminium i tworzyć z tego broszki o tematyce polskiej. Okazyjnie latałem z pilotami jako pasażer i rozkoszowałem się oglądaniem okolic z wysokości nieba. Co kilka wieczorów nasze Wellingtony wylatywały na zadania bojowe. Rano dochodziły nas słuchy o zaginięciu tej czy innej załogi. Dnia 21go czerwca nie wróciły dwie maszyny z nalotu nad Niemcami, dnia 27go zaginęła jedna maszyna, a 28go nasza "N for Nina" została strącona w drodze powrotnej. Podobnie wyglądała sytuacja polskich strat, gdy byłem przydzielony do innych sekcji.

W lipcu tego roku organizacja dywizjonu uległa zasadniczej zmianie. Przeniesiono nas do obozu Ingham, gdzie zaczęto ekwipować dywizjon w nowoczesne bombowce typu "Lancaster". Dla mnie pobyt na tym miejscu był poprostu wegetacją. Personel naziemny miał niewiele do roboty i zasadniczym urozmaiceniem były przepustki, które wydawano niemal na każdy weekend. W tym czasie przyjechał do mnie Rysiek Łopacki, jako uczeń szkoły pilotażu w Brighton, czego mu szczerze zazdrościłem.

Pod koniec sierpnia zostałem wezwany do kancelarii dywizjonu, gdzie adjutant podał mi do wiadomości, że z rozkazu Dowódcy Lotnictwa zostałem przeniesiony do Polskiej Armii w Szkocji. Miałem się stawić w Komendzie Uzupełnień w Kinghorn dnia 28go września. W czasie podróży pociągiem zatrzymałem się w stolicy Szkocji, Edingurgh, aby z grubsza obejrzeć to, co było godne widzenia. Moje zwiedzanie maista było bardzo powierzchowne - nawet nie dotarłem do wnętrza słynnego i bardzo widocznego zamku. Nie miałem na to czasu, ponieważ musiałem spieszyć się na pociąg odchodzący do Kinghorn. Przyjechałem tam po obiedzie. Wyznaczono mi kwaterę w górnym baraku, gdzie mieszkali podchorążowie

i starsi podoficerowie. Przez dłuższy czas nosiłem mundur lotniczy, ponieważ rozkaz o moim przeniesieniu nie dotął jeszcze do Komendy Uzupełnień i nie było podstawy do wydania mi zielonego ubioru armii lądowej.

Kinghorn było małą miejscowością letniskową, położoną na skalistym wybrzeżu wschodniej Szkocji. Położenie miasta nad przepaścią nagle urywającego się lądu, u podnóża której fale morskie nieustannie rozbijały się o potężna głazy, nadawało mu szczególnie malowniczego widoku. Według szkockiej historii ten urwisty brzeg stał się przyczyną śmierci jednego ze szkockich królów. Skrupulatny kronikarz nie omieszkał zanotować bliższe szczegóły wypadku, który zdarzył się w ciemnościach nocy, kiedy król Aleksander II, wracając do swojej rezydencji, spadł do przepaści i poniósł śmierć na miejscu. Kronikarz również zanotował, że czas i okoliczności śmierci zostały przepowiedziane o rok wcześniej, podczas jego zaślubin z jedną ze szkockich księżniczek.

Za czasów tego króla, małe szkockie osiedle w Kinghorn napewno w niczym nie przypominało nowoczesnej miejscowości letniskowej, w której miałem przyjemność spędzić niemal cały miesiąc. Kręte ścieżki na zboczu stromego brzegu, przytulne ławeczki w ukrytych kąciach oraz udogodnienia plażowe na samym dole były niewątpliwie tworem późniejszych pokoleń. Również schludnie utrzymane domki z czerwonej cegły i przyległe do nich ogródki, okazałe publiczne budynki oraz lokalne miejsca rozrywkowe jak kina, sale dancinowe i nieodzowne "puby" należały do bliższej nam cywilizacji. Twórcą tego był nowoczesny obywatel miasteczka, który dla interesu i dla wygody wakacjuszy z pobliskich centrów przemysłowych, tworzył lepsze życie i postęp. Budując to on napewno nigdy nie przypuszczał, że jego osiągnięcia staną się polem do popisu dla polskich wojennych turystów.



Czas mego pobytu w Kinghorn należał już do okresu pozasezonowego, ale to nie znaczyło, że życie rozrywkowe całkowicie zamarło. Lokalna ludność miała swoje prawa i przywileje, a młode pokolenie z pobliskich okolic też szukało miejsca do spędzenia przyjemnych chwil. Grupa czekających tu Polaków nie mogła narzekać na brak towarzystwa. Na salach dancinowych i na spacerach można było robić znajomości, umawiać się do kina oraz zbierać adresy i fotografie. Mój kalendarzyk powiększył się o kilka dodatkowych adresów, jak drobnej blondynki Iny z Kirkaldy, młodziutkiej Laury z Kinghorn pilnie strzeżonej przez matkę, nauczycielkę Kristin z Glasgowa, szczupłej i wysokiej Stelli, która jako Waffka musiała wyjechać do swego oddziału i drobniutkiej ciemnej brunetki Anny. Życie żołnierskie było urozmaicone i niewiążące.

Wielką niespodzianką dla mnie było niespodziewane spotkanie się w kantynie żołnierskiej z moim kolegą z lat dziecińczych, Tuśkiem /Piotrem/ Leszczukiem. Jako mali chłopcy bawiliśmy się razem, razem chodziliśmy na grzyby i poziomki do lasu i przez kilka lat uczęszczaliśmy do tego samego gimnazjum. Bardzo się ucieszyłem widokiem jego, ubranego w wojskowy mundur polskiego porucznika. Akurat w tym czasie Tusiek powrócił z kilkuletniego stażu w Zachodniej Afryce i w chwili naszego spotkania załatwiał sprawy swego urlopu. Widziałem się z nim kilkakrotnie przed jego wyjazdem na wakacje, do swojej znajomej Szkotki.

Cokolwiek przyswoiłem sobie z życia i zwyczajów naszych szkockich przyjaciół, nie było zbyt obszerne i głębokie. Opierając się na tym, co wiedziałem i słyszałem, wyrobiłem sobie pozytywny pogląd o tym narodzie tak przyjaźnie ustosunkowanym do nas Polaków. Widziałem w nich duszę dobrego człowieka, doświadczyłem ich uprzejmość i nie raz jeden spotkałem się z ich wyrozumiałością. To był charakter narodu,

który stworzył solidne podwaliny do szczerych uczuć przyjaźni między dwoma nieznającymi się przed wojną narodami. Na tym wzajemnym przyjaznym stosunku wyrobiłem sobie opinię, absolutnie pozytywną, o gościnnym kraju i jego niezwyklej ludności.

Ostatni dzień września był też ostatnim dniem mego pobytu w Kinghorn. W pochmurny i mżysty ranek załadowałem się wraz z bagażem na wojskowy pojazd z myślą dołączenia do polskiej jednostki, ale równocześnie z uczuciem żalu za tym zacisznym zakątkiem świata. W miarę zbliżania się do stacji coraz bardziej zdawałem sobie sprawę z tego, że spacerowanie nad morzem, tańce z młodymi Szkotkami oraz przesiadywanie na ławeczkach z Iną, Stellą czy Ann z każdą chwilą przechodziły w przeszłość. Równocześnie budziła się we mnie nostalgia za lekcjami języka angielskiego udzielanymi mi przez Kristin, za miłymi rozmowami z Laurą i równie miłymi spotkaniami z Jean. Moje rozważania na temat niedalekiej przeszłości były od czasu do czasu przerywane myślą o moim przydziale do 10go Batalionu Dragonów, którego nazwa była mi równie obca, jak kiedyś nazwa 300 Dywizjonu Bombowego.

Cokolwiek dotyczyło mego nowego oddziału w danej chwili było dla mnie tajemnicą. Jednak fantazja już zdążyła tworzyć pewne obrazy życia w tej jednostce w oparciu o moje przeszłe doświadczenia w służbie wojskowej. Moje wspomnienia przywołały do mojej świadomości obraz twardego życia w podchorążówce tarnopolskiej, który powoli przekształcał się w trudy w obozie Ługowaja, by przejść na swobodną i przyjemną egzystencję na piaskach palestyńskich oraz beztrudne istnienie na lotniczej stacji w Ingham. Życie przyszłe mogło pokrywać się z każdym z powyższych wypadków, ale w danej chwili najbardziej intrygowała mnie myśl o moim nowym oddziale.

W wagonie nie było miejsca na powyższe rozważania. Towarzyska

i otwarta natura Szkotów nie pozwoliła mi na zamknięcie się w sobie ze swoimi myślami. Na nasz widok w przedziale natychmiast zaczęły się rozmowy tematy polskie oraz wypowiedzi o znanych Szkotom Polaków. Z kolei trochę historii o Bridge of Forth, który ja pomyliłem z Bridge of Tay, który kiedyś wraz z pociągiem i pasażerami runął w czasie burzy do morza. Także nieco wiadomości o Edynburgu, gdzie miałem przesiąść się na pociąg idący do Galashiels. Jedna ze Szkotem w przedziale zrobiła mi krótki wykład o słynnym pisarzu, Walter Scott i poleciała mi, abym przy okazji wdrapał się na szczyt jego pomnika na Princess Street w Edynburgu.

Podróż ze stolicy Szkocji do miasta Walter Scotta miała dużo pobnych cech jak wcześniejsza trasa, która zaczęła się w Kinghorn. Przyjemni Szkoci i Szkotki i miłe rozmowy. W końcu pociąg wtoczył się na stację, gdzie z bagażem wyskoczyłem na peron. Okazało się, że w tym pociągu było więcej kandydatów do mojego nowego oddziału. Grupa kilkunastu Polaków znalazła się na peronie i skupiła się koło podoficera batalionu, który już czekał na nas z ciężarowym wozem na placu przed stacją. Przed wejściem na wóz, zdążyłem zauważyć na nim znany mi już znak dywizyjny o motywie skrzydeł husarskich oraz zanotować wzrokowo cyfrę "54", wymalowaną białą farbą na jego przodzie. Przypomniała mi się wtedy tarnopolska podchorążówka przy 54ym Pułku Biechoty. Wprawdzie cyfry były identyczne, ale byłem pewien, że to podobieństwo było tylko sprawą przypadku.

Oficjalne przyjęcie nowoprzybyłych odbyło się przy rannej zbiórce dnia następnego. Dowódca batalionu, płk. Ksawery Święcicki, stojąc przed oddziałem na placu zbiórki, powitał nas wzniosłą i patriotyczną mową. Z jej treści dowiedziałem się nieco o historii mego oddziału. Oddział ten, jako Dywizjon Rozpoznawczy brał udział w kampanii

wrześniowej w ramach 10 Brygady Pancерnej pod dowództwem Gen. Stanisława Maczka. W czasie tej kampanii Dywizjon poniósł ciężkie straty w walkach na Podkarpaciu i następnie z pod Lwowa wycofał się z innymi oddziałami do Węgier. We Francji w ramach nowo-sformowanej 10 Brygady Kawalerii Pancерnej, Dywizjon brał udział w bitwach pod Champaubert i Montbard, ponosząc ciężkie straty w zabitych i rannych. Część jego żołnierzy dostała się do niewoli, a część zdołała przedostać się do Anglii.

W czerwcu 1940 roku następuje ponowne odrodzenie oddziałów 10 Brygady Kawalerii, tym razem na ziemi szkockiej. Dywizjon Rozpoznawczy, stacjonujący w hrabstwie Lanark, przejął do swojej historii trochę tradycji szkockich i w dowód tego żołnierze jego nosili na ramieniu herb tego hrabstwa. W roku 1942 przy przeorganizowaniu brygady na dywizję pancerną, Dywizjon dostaje nową nazwę 10go Batalionu Dragonów. Taka była oficjalna nazwa oddziału w chwili, kiedy zostałem do niego przydzielony.

Zgodnie ze specjalnością wojskową, jaką nabyłem w Brygadzie Karpackiej, zostałem przydzielony do jednego z plutonów przeciwpancernych wchodzących w skład Szwadronu Wsparcia. Do mieszkania wyznaczono mi miejsce w jednym z baraków podchorążych. Tutaj od razu spotkałem się z nieznaną mi dotychczas gradacją na młodszych i starszych podchorążych. Jako jeden o niższej randze, musiałem zadowolić się miejscem w baraku o niższym określeniu. To jednak nie przeszkadzało mi na robienie znajomości wśród "starszych kolegów". Znajomości zaczęły się od pchor. Kazimierza Roźniatowskiego, który podobnie jak ja ukończył podchorążówkę tarnopolską i w czasie kampanii wrześniowej służył w moim 51ym Pułku Piechoty, stacjonowanym w znanym mnie podolskim mieście, Brzeżany.



Niedługo potem nasz "niższy barak" zaczął się wypełniać młodymi ludźmi ze srebrną opaską na rękawach i na ramiennikach. Pierwszymi, którzy do nas zawitali, byli dwaj świeżo mianowani podchorążowie, J.Kierzkowski i E.Rzechowski. Mniej więcej w tym samym czasie zakwaterował się w naszym baraku pchor. Warczygłowa, który uciekł z obozu jeńców i przedostał się do Anglii przez Francję i Hiszpanię. W połowie października zjawiło się w naszym baraku dwóch podchorążych z Buczacza. Jednym z nich był mój kolega gimnazjalny i przyjaciel Zbyszek Warszylewicz, a drugim nieznanym mi dotychczas pchor. Warchoł.

Niezależnie od służby w zakresie codziennych obowiązków zacząłem wchodzić w nowe życie towarzyskie. Wieczorne spacery i wycieczki do kina ze Zbyszkiem Warszylewiczem były tylko częścią tego. Niemal od samego początku mego pobytu w Galashiels zacząłem poznawać młode Szkotki na dancingi i umawiać się z nimi na spacery. Jedną z moich bardziej trwałych towarzyszek była młoda dziewczyna, o ładnej twarzyczce której na imię było Jesse. Mniej więcej w tym samym czasie oboje zachorowaliśmy na gripę, co przyczyniło się do rozluźnienia naszych stosunków. Po chorobie poznałem przystojną i zawsze elegancko ubraną Inę, która przez resztę mego pobytu w Galashiels była moją partnerką. Znajomość ta urwała się z chwilą przeniesienia oddziału na nowe miejsce postoju w Duns koło Berwick on Tyne.

Na nowym miejscu batalion przeszedł gruntowną reorganizację obsady oficerskiej. Najważniejszą była zmiana na szczeblu dowódcy - płk.Swięcicki został odkomenderowany na inne stanowisko, a jego funkcję powierzono mjr.Władysławowi Zgorzelskiemu. Dla niektórych dragonów oboba nowego dowódcy była już znana z okresu walk we Francji. Dla mnie był to człowiek nowy, którego dopiero z czasem mogłem rozpoznać. Jego szczupła postać niskiego wzrostu, z miejsca przypominała mi

sienkiewiczowskiego pułkownika Michała Wołodyjowskiego. Na mnie człowiek tej od samego początku zrobił pozytywne wrażenie

Miejsce zakwaterowania w Duns było odmienne od starych, szarych budynków fabrycznych w Galashiels. Nasz obóz był położony w dużym parku, którego stare i rozłożyste drzewa zupełnie przesłaniały półokrągłe metalowe baraki, będące naszym nowym miejscem zamieszkania. Obfitość zadrzewienia i podłoże wiecznie zielonej trawy robiły na mnie wrażenie cichego, spokojnego zakątka, służącego raczej pokojowym niż wojennym celom. Ujemną stroną obozu było jego odległe położenie od większego miasta, co izolowało nas od robienia znajomości ze szkocką ludnością.

W nowym miejscu podchorążowie mieszkali w oddzielnych barakach według ich przydziału do szwadronów. To przyczyniło się do zanikania różnic w stopniach. Współżycie między nami tworzyło się na zasadach koleżeńskich niż w oparciu o stopnie i funkcje. Naskutek tego podchorążowie naszego szwadronu wsparcia stworzyli swoją chociaż nie zawsze zgraną grupę. Podobnie, podchorążowie innych szwadronów żyli swoim oddzielnym życiem. Łączność między nami była minimalna i zdarzała się tylko w wyjątkowych wypadkach.

Nowy dowódca rozpoczął swoje urzędowanie od uregulowania pewnych zaległych spraw. W pierwszym rzędzie zarządził przyznanie 14-dniowego urlopu tym, którzy przybyli do Anglii ze Związku Sowieckiego. W myśl dawnego rozkazu Gen. Sikorskiego, każdemu z nas należał się jedno-miesięczny urlop. Ktoś z niższych dowódców miał inne zdanie w tej sprawie i zmniejszył ten przywilej do 14 dni. Będąc jednym z tych, którego ten rozkaz jak najbardziej dotyczył, nie omieszkałem wykorzystać urlopu co do jednego dnia.

Piękny i wesoły Blackpool był pierwszym przystankiem na mojej trasie urlopu. Miss Feeney /Mom/ dała mi znowu pokój do mojej dyspozycji

Winter Gardens i Tower stało otworem przede mną, a Aunt Laura i jej rodzina chętnie widzieli mnie u siebie. U tych moich blackpoolowskich przyjaciół byłem z wizytą już w pierwszym dniu. Drugiego dnia towarzyszyłem młodej Laurze, jej siostrze Margaret i polskiemu lotnikowi na urlopie w ich wycieczce do Morecombe. W końcowej fazie mojej tury udałem się do Manchester, tym razem mieszkając w domu rodziców Winnie. Wybrałem się też do Londynu, aby wstąpić do biura Red Cross i przesłać rodzicom paczkę oraz wiadomość o sobie. W drodze powrotnej znowu zatrzymałem się w Blackpool, będąc zaproszony wcześniej przez pp.Hopleyów na obiad do restauracji i herbatkę w ich domu.

Po powrocie do obozu zastałem duże zmiany zarówno w batalionie jak i w moim szwadronie. Tym razem zmiany dotyczyły pozycji oficerskich poniżej dowódcy batalionu. Na dowódców szwadronów mianowano następujących oficerów: rtm. Zbigniew Giera - 1szy Szwadron, rtm. Tadeusz Dudziński - 2gi Szwadron, rtm. Stanisław Smorokowski - 3ci Szwadron, rtm. Wacław Kownas - Szwadron Wsparcia i rtm. Pieńkowski - Szwadron Dowodzenia. Obsada działu gospodarczego, technicznego i administracyjnego wyglądała następująco: ks. A. Stopa - kapelan, rtm. Maliszewski - kwatermistrz, mjr. L. Szydłowski - oficer techniczny, por. Abraham Ginsburg - lekarz i por. Adam Jędrzejewicz - adjutant.

Oficerska obsada w naszym szwadronie też została ustalona. Zastępcą rtm. Kownasa został por. Zbigniew Bojanowski, na dwóch dowódców plutonów ckm wyznaczono ppor. Karcza i ppor. Siemieniucha, na dowódców plutonów ppanc wyznaczono ppor. Klimczaka, aspiranta Gustawa Kubita oraz pchor. Wierszyckiego. Na funkcji szefa szwadronu pozostał wachm. Szałkowski. Ja zostałem wyznaczony na funkcję działonowego w plutonie aspiranta Kubita, którego zastępcą był pchor Warczygłowa. W takim zestawie przygotowywaliśmy się do akcji bojowej.

Nieco później otrzymaliśmy sprzęt bojowy - ciężką broń maszynową dla plutonów ckm, sprzęt kołowy carriersy produkcji angielskiej, szescio-funtowe działa dla plutonów ppanc i sprzęt kołowy po dwa ciągniki kanadyjskie typy Lloyd na każdy działon. Organizacyjnie każdy pluton ckm i ppanc składał się z czterech działonów, pocztu dowódcy, w skład którego wchodził zastępca dowódcy, motocyklist, radiota oraz kierowca ciężarówki typu Fordson o nośności 3/4 tony. Zaraz po otrzymaniu sprzętu rozpoczęło się intensywne szkolenie nas na nowym uzbrojeniu. Codziennie robiliśmy musztrę z działem i poznawaliśmy je w detalu, rozbierając je na części i składając z powrotem. Również zaznajomiono nas ze sztuką prowadzenia pojazdów mechanicznych, a podchorążym i podoficerom dano możliwość zapoznania się z ich prowadzeniem.

Nsze przywileje rozrywkowe zostały poważnie zredukowane. Lokalne możliwości ograniczały się do jednej małej sali dancinowej i jednego kina. Dowództwo batalionu rozwiązało tą sprawę przez wydawanie przepustek ograniczonej ilości żołnierzy. na szwadron. na tydzień. Po kilku tygodniach pobytu w Duns ktoś rozpoznał okoliczny teren i zorganizował grupowy wyjazd do pobliskiej, nadmorskiej miejscowości Eyemouth. Ten ostatni przywilej był w dużej mierze zależny od dobrej woli i humoru dowódcy szwadronu, rtm. Kownasa. W jego wypadku dobra wola i humory były bardzo zmienne.

W małym miasteczku Eyemouth, położonym nad zatoką, wchodzącą głęboko w ląd, już w czasie pierwszej wizyty poznałem młodą, ładną i zawsze uśmiechniętą Szkotkę o imieniu Betty. Od tego czasu co sobotę spotykałem ją nad brzegiem zatoki. Najczęściej byłem pierwszy na umówionym miejscu i z daleka obserwowałem jej zgrabną figurkę, biegnącą w moim kierunku. Zabawa w sali dancinowej zawsze była pierwszym



punktem naszego programu wieczornego, po której szliśmy na długi spacer. Wśród wielu było kilka takich sobów, kiedy nie mogliśmy się spotkać. Na Nowy Rok 1944 roku dostałem znowu urlop i znowu odbyłem trasę Blackpool - Manchester i z powrotem. Z kołem stycznia przypadł mi inny urlop na siedem dni i znowu odbyłem swoją ustaloną już pielgrzymkę. W takich okolicznościach nie mogłem dotrzymywać towarzystwa Betty, z czego musiałem się mocno usprawiedliwiać.

Tuż po powrocie z ostatniego urlopu, za namową Aunt Laura, wysłałem telegram do rodziców, nie bardzo wierząc, że moja wiadomość do nich dojdzie. Jednak komunikowanie się z nimi uważałem za swój obowiązek. W najgorszym wypadku mogłem stracić kilka funtów, które ostatecznie nie byłyby największą stratą w moim dotychczasowym życiu. Nasza polska sprawa pogarszała się z dnia na dzień, czego widoczną przyczyną była zła wola przewodców Związku Sowieckiego. Po zerwaniu stosunków dyplomatycznych z polskim rządem w Londynie, Stalin stworzył inną armię polską i inny rząd, co stworzyło dla nas bardzo niewyraźną sytuację. W takich okolicznościach i przy wątpliwym poparciu aliantów, nasz powrót do Polski był pod znakiem zapytania. To też stworzyło niejasną pozycję naszych rodzin, przebywających na Syberii. Pozostała nam tylko wiara w jakąś zmianę międzynarodową, która nadałaby lepszy kierunek naszej sprawie.

W pierwszych dniach lutego odkomenderowano pchor. Warczygłową i mnie na kurs broni przeciwpancernej, do angielskiego ośrodka w Catterick. Wspólne mieszkanie w tym samym baraku, słuchanie tych samych wykładów i chodzenie razem do kina było przyczyną zbliżenia się między nami. Znając język angielski lepiej od niego, często służyłem mu za tłumacza w sprawach służbowych i poza służbowych. Do statnich należało załatwianie jemu przepustek do znajomej Angielki w Leeds.

Częściowo towarzyszyłem mu w jego podróży, bo sam wystarałem się o przepustkę dla siebie do Manchester. Kurs ten ukończyliśmy z identycznym wynikiem 100 punktów.

Po powrocie z kursu awansowano mnie o stopień wyżej, razem ze Zbyszkiem Warszylewiczem i pchor. Popiakiem. Kilka dni potem do baraku podchorążych zawitał por. Bojanowski. W przystępie dobrego humoru on zdradził nam tajemnicę ewidencyjną dotyczących naszych opinii. Byłem niezmiernie zdziwiony, gdy on poinformował mnie, że moja opinia jest lepsza niż dobra. Opinie tego rodzaju były wydawane przez dowódców szwadronów, a ja nie byłem pupilkiem rtm. Kownasa. Opinia ta prawdopodobnie wyszła ze Środkowego Wschodu i przez lotnictwo trafiła do naszego batalionu.

Wkrótce rozeszły się pogłoski o nominacjach oficerskich. Wśród kilku wymienionych podchorążych znalazło się także moje nazwisko, nie było natomiast nazwiska Warczygłowy. Z tą chwilą nasze koleżeńskie stosunki od razu się popsuły. Zazdrość jest silną pobudką u niektórych ludzi. Dla jakiegoś błahaego powodu doszło między nami do ostrej wymiany słów, konsekwencją czego było przeniesienie mnie do 2go plutonu ppanc.

W związku z tym moim bezpośrednim dowódcą stał się, znany mi wcześniej kolega z baraku, pchor Klimczak. Nasze stosunki były jak najbardziej poprawne. Liczyłem na to, że one utrzymają się na tym samym poziomie. Moje przypuszczenie okazało się jak najbardziej słuszne. Tak długo jak byłem pod jego komendą byliśmy w jak najlepszej komitywie i kiedy była potrzeba tego on zawsze szedł mi na rękę. Jego zastępca plut. Maryniak, człowiek solidnie zbudowany, do podległych mu dragonów odnosił się z pełną wyrozumiałością a mnie traktował z widocznym szacunkiem.

Moje polskie i angielsko-szkockie przyjaźnie nałożyły na mnie obowiązek prowadzenia dość obszernej korespondencji. Prawie codziennie

otrzymywałem kilka listów, na które skrupulatnie odpowiadałem. Pisanie do angielskich przyjaciół miało tą dobrą stronę, że nabierałem więcej praktyki w angielskiej pisowni. Natomiast polskie listy, szczególnie od moich kolegów z lotnictwa, sprawiały mi dużo zadowolenia, ponieważ były niejako dowodem wspólnego koleżeństwa i przyjaźni. Nawiązałem kontakt listowny z Tadziem Swaryczewskim, który służył w marynarce i z Mundkiem Schandlerem, kolegą gimnazjalnym, który znalazł się w lotnictwie. Z końcem lutego dostałem list od Tuśka Leszczuka zapraszający mnie na jego ślub z Doreen Thompson w Edynburgu.

W początkach marca stało się zadość życzeniom niektórych podchorążych. Długo oczekiwane nominacje oficerskie zostały oficjalnie ogłoszone w rozkazie batalionowym. Nowymi nominatami byli aspirant Kubit, pchor. Klimczak i pchor. Warczygłowa. Nominację ostatniego przypisywaniu poparciu mjr. Wejtki z racji ich przedwojennej służby w tym samym oddziale. W związku z tym nastąpiły pewne przesunięcia w obsadzie oficerskiej w naszym szwadronie. Warczygłowa, jako oficer, został przesunięty na pozycję dowódcy 1go plutonu ppanc.

W drugiej połowie marca moja osoba stała się przyczyną pewnego nieporozumienia urlopowego, która wynikła z przeniesienia mnie do 2go plutonu kilka tygodni wcześniej. Zasadniczą kwestią było to, czy ja, który już wykorzystał swój urlop w poprzednim plutonie mam prawo do urlopu, który otrzymał go w późniejszej kolejce. Ostatecznie ktoś tak załatwił moją sprawę, że pozwolono mi wziąć dodatkowy urlop. To mi było bardzo na rękę, bo mogłem wykorzystać zaproszenie Tuśka Leszczuka na jego ślub. Swoim ustalonym zwyczajem złożyłem wizytę w domu pp. Hopley, zatrzymałem się u Miss Feeney /Mom/, spędziłem kilka dni w Manchester i jak planowałem z końcem urlopu udałem się do Edynburga.

Zaraz po przyjeździe do stolicy Szkocji udałem się na adres, gdzie jakiś polski Żyd wynajmował pokoje dla polskich urlopowiczów. Ślub miał odbyć się w katolickiej katedrze, w godzinach popołudniowych tego dnia. Miałem trochę czasu na przespanie się i przygotowanie do ślubnej uroczystości. Kiedy Tusiek zobaczył mnie wchodzącego do katedry, natychmiast podszedł do mnie i zaprowadził do jednej z przednich ławek. Przy okazji poznałem jego pulchniutką Szkotkę, o ładnej i przyjemnej twarzyczce, którą później poznałem bliżej w lokalu, gdzie odbyło się przyjęcie. Przy bezpośrednim spotkaniu ona zyskiwała wiele na swoich osobistych zaletach, które wynikały ze sposobu bycia, wykształcenia i osobistych zainteresowań.

Po powrocie do szwadronu zastałem tam czekające na mnie specjalne zadanie. Zgodnie z rozkazem dowódcy miałem udać się wraz z całym sprzętem przeciwpancernym do dywizyjnej Kompanii Warsztatowej, celem przeprowadzenia jego dokumentacji, zgodnie z angielskimi przepisami. Wyjechałem do miejscowości Chirnside, gdzie zamieszkałem u bardzo miłych i serdecznych Szkotów o nazwisku Grey. Atmosfera w ich domu była tam przyjemna, że zamiast chodzić do kina i na zabawy wszystkie wieczory spędzałem w gronie tej rodziny. Przy odjeździe zapraszali mnie do siebie w odwiedziny, kiedykolwiek znajdę się w ich okolicy.

W oddziale zastałem nową zmianę organizacyjną. W czasie mojej nieobecności, dnia 18go marca 1944 roku, batalion dragonów został podniesiony do rangi pułków o nazwie 10ty Pułk Dragonów. Ta plastyczna operacja nie zmieniła w niczym wewnętrznej organizacji pułku czy szwadronów. Jedynym efektem tego było to, że nominalnie staliśmy się oddziałem równym innym pułkom w 10ej Brygadzie Kawalerii Pancerniej.

Zmiana nazwy oddziału była małym wydarzeniem w porównaniu z wojenną i polityczną akcją na świecie, wśród których nasza polska sprawa



stawała się coraz beznadziejna. Na wschodnim froncie armia sowiecka przejęła inicjatywę, a alianci rozpoczęli akcję na froncie włoskim. Do nas doszły słuchy o obecności 2go Korpusu, pod dowództwem Gen. Andersa, na ziemi włoskiej w okolicy Neapolu. Wszelkie działania tej jednostki były jednak utrzymywane w tajemnicy. Nawet Dziennik Polski wychodzący w Londynie, nie wspominał o niej w swoich artykułach i wiadomościach.

Po Świętach Wielkanocnych w całej dywizji rozpoczęły się intensywne ćwiczenia bojowe, co dla nas było zapowiedzią zbliżającego się otwarcia drugiego frontu. My nie mieliśmy najmniejszej wątpliwości, że nasza dywizja przygotowywała się do tej akcji. Innym wskaźnikiem tego były częste wizyty wyższych dowódców i przedstawicieli rządu w naszej jednostce. Pewnego dnia zjawił się u nas sam dowódca wojsk brytyjskich, Gen. Montgomery. Po nim witaliśmy Premiera Mikołajczyka i inne osobistości z Londynu, a niektóre nasze oddziały odwiedził głównie dowodzący alianckiej armii, Gen. Eisenhower. Słyszeliśmy dużo mów, wiele dwuznaczników, ale nikt nie powiedział nic konkretnego w naszej sprawie. Najwidoczniej przygotowywano nas moralnie do rozprawy z Niemcami dla dobra wszystkich poza nami.

Wielką niespodzianką dla mnie był telegram od rodziców wysłany na adres Laury Buxton, który otrzymałem 9go maja w odpowiedzi na paczkę wysłaną do nich rok wcześniej. Dla mnie była to dla mnie cudowna wiadomość, ponieważ dowiedziałem się bezpośrednio od rodziców, że żyją. Natychmiast wysłałem do Polskiego Czerwonego Krzyża pieniądze na następną paczkę. Odwrotnie dostałem zawiadomienie, że rząd sowiecki niechętnie przyjmuje przesyłki do jego kraju. Pieniądzy jednak nie zwrócono, co mogło wskazywać, że moja przesyłka ostatecznie została wysłana do rodziców.

Inną wielką wiadomością dla mnie i wszystkich Polaków była wiadomość o zwycięskiej akcji polskich oddziałów pod Monte Cassino. Pierwsze komunikaty były bardzo skromne w szczególności, ale sama świadomość powodzenia polskiego żołnierza miała dla nas duże moralne znaczenie. Wśród nas, żołnierzy lej Dywizji Pancерnej, zwycięstwo to budziło uczucie współzawodnictwa oraz chęć wypróbowania samych siebie w walce z Niemcami. Wkrótce potem, jakby dla potwierdzenia polskiego osiągnięcia, otrzymałem list od gimnazjalnego kolegi, Bronka Hostyńskiego, w którym donosił, że w czasie bitwy o Monte Cassino odniósł poważną ranę w nogę w wyniku czego lekarz skrócili jego nogę o półtora centymetra.

Przy końcu swego pobytu w Duns pojechałem na weekend do Eyemouth, aby odwiedzić ładniutką uśmiechniętą Betty. Dostałem pokój w hotelu w którym ona paracowała, co ułatwiło nam spędzanie czasu razem. Był to bardzo miły weekend dla mnie i przypuszczam, że dla niej też. W niedzielę popołudniu, kiedy deszcz przestał padać poszliśmy na długi spacer i długą pogawendkę. Musiałem przyznać, że mimo swoich młodych osiemnastu lat Betty była bardzo rozsądną panią. Gdy wyjeżdżałem towarzyszyła mi w autobusie do Berwick on Tyne i prosiła, abym utrzymywał z nią korespondencję. Żałowała przytym, że w tym czasie nie mogła dostać wakacji, aby spędzić je ze mną w Duns.

Wyjazd pułku ze stacji Duns nastąpił dnia 17go maja 1944 roku. W przeddzień wyjazdu załadowaliśmy sprzęt na pociąg, w czasie czego uszkodziliśmy drążkiem ścianę jednego z osobowych wagonów. Obawiałem się, że dowódca szwadronu, rtm. Kownas, wpadnie z tego powodu w szal wymyślan i krzyku. Wobec tego pokazałem uszkodzenie wagonu jednemu z konduktorów. On przyjrzał się temu bliżej i kiwnął ręką. Następnego dnia wieczorem byliśmy już w drodze, nie wiedząc jaka miała być nasza docelowa stacja. W czasie drogi nie byłem też świadomy tego, czy

jechaliśmy środkową linią przez Hewick, czy wschodnia na Newcastle, ale byłem pewny, że jedziemy na południe.

W chwili przejeżdżania garnicy Szkocji moje myśli były w kraju, z którym łączyło mnie wiele miłych wspomnień. Prawdopodobnie wielu z moich towarzyszy też błąkało się myślami po starym Edynburgu, po Aberdeen, Dunfermline, Kinghorn, Galashiels, Eyemouth oraz innych miejscowościach ich postojów. Niektórzy pozostawili tam swoje żony i narzeczone i ich uczucie żalu były bardziej głębokie niż moje. Mój stosunkowo krótki pobyt, mimo częstej chłodnej i deszczowej pogody, był jednym z najprzyjemniejszych przeżyć w mojej służbie wojskowej i dlatego uczucie nostalgii za krajem, który opuszczałem było absolutnie uzasadnione.

Następnego dnia rano byliśmy już w Anglii, w hrabstwie York, na pałej stacji w miejscowości Rudston, koło Bridlington. Nasz obóz co do konstrukcji i urządzeń był podobny do obozu w Duns. Mieszkaliśmy w beczkach /półokrągłych barakach/ rozłożonych w małym lasku. Było o tyle wygodniej, że mieliśmy więcej baraków do dyspozycji, a podchorążowie, jak poprzednio, mieszkali oddzielnie. Nasza liczba powiększyła się wówczas do 12 podchorążych w szwadronie wsparcia. Wśród nowoprzybyłych znalazł się pchor. Głazewski, syn właściciela majątku w Chmielowej niedaleko Jazłowca. Nie znając siebie przed wojną, teraz też nie bardzo zbliżyliśmy się do siebie, ale nasze współżycie układało się po linii dobrego koleżeństwa.

Już w czasie pobytu w Duns zacząłem wyrabiać sobie własne zdanie o dowódcy szwadromu, rtm. Kownasie. Między nami była duża różnica w stopniach i w autokratycznej instytucji jak wojsko, jak jako podkomendny, nie mogłem wypowiadać głośno swego zdania o przełożonych. Nikt jednak nie mógł zabronić mi obserwowania ich, analizowania ich

poczynañ i wyciągania odpowiednich wniosków. Niewątpliwie inni robili to samo i w oparciu o własne obserwacje budowali swoje opinie. Rotmistrz Kownas należał do tych oficerów, którego wielu poddawało swojej analizie i o którym wyrabiano różne zdania.

Jego ujemne cechy ujawniły się już wcześniej, ale w Rudston dały się zauważyć w pełni. Patrząc na niego z odległości czasu mogę szczerze powiedzieć, że człowiek ten nie miał ani wrodzonych zdolności ani właściwego przygotowania do dowodzenia ludźmi. Taki nawyk, jak delektowanie się alkoholem, stawiał go w pozycji człowieka o niezbyt wzniosłych cechach. Kiedy miał okazję zaspokoić swoje potrzeby alkoholowe, wówczas był ludzi i wyrozumiały - przebaczał usterki w służbie, dawał przepustki, a swoim pupilkom uchylałby nieba, gdyby mógł. Kiedy brakował mu alkoholowej pobudki, wówczas ze swego oddziału robił szwadron szkolny. Ja osobiście widziałem w nim wierną replikę por. Frankowa z tarnopolskiej podchorążówki.

W polskim wojsku w Anglii nikt z nas nie był prostym rekrutem i każdy z nas mając za sobą głębsze przeżycia wyrobił w sobie taką zasadniczą wartość człowieka, jak poczucie godności osobistej. Dlatego rekruckie raktowanie nas przez przełożonych wywoływało w nas negatywną reakcję. Pewnego razu, gdy szef szwadronu w przystępie złego humoru zaczął ubliżać 2mu plutonowi ppanc, dragoni zastosowali bierny opór i odmówili pobrania obiadu. Rtm. Kownas w odpowiedzi na to ukarał cały pluton meldowaniem się w pełnym oporządzeniu przez trzy dni. Nawet ppor. Klimczak musiał stać na placu zbiórki z pistoletem przy boku i z hełmem na głowie. Innym razem zabrakło kilku ludzi z 1go plutonu na zbiórce. Za karę cały pluton przez kilka dni meldował się w pełnym oporządzeniu. Jeszcze innym razem dla jakiegoś błahego powodu rotmistrz kazał nam stać na deszczu przez całą godzinę. Również zdarzyło się,



że ktoś z dragonów nie oddał oficerowi kart do gry, wtedy zrobiono całemu plutonowi w ciągu nocy i kazno przepisowo meldować się w pełnym oporządzeniu. Wiele razy dla byle jakiego powodu dowódca szwadronu wstrzymywał nam przepustki. Podczas gdy inne szwadrony wyjeżdżały do miasta, my siedzieliśmy w "beczkach śmiechu". Rezultat był taki, że wielu z nas jeździło na przepustki na lewo, a wielu celowo się spóźniało. Ich usprawiedliwieniem było to, że skoro musieli siedzieć w barakach za innych, to inni mogą siedzieć za nich. Niektórzy dragoni i podoficerowie, którzy nie mogli pogodzić się z panującymi stosunkami, "wylecieli" do innych szwadronów, gdzie jak twierdzili, ustosunkowanie się dowódców do żołnierzy było zupełnie inne.

Raz w przystępie dobrego humoru, rtm. Kownas dał nam wóz do pobliskiej miejscowości Driffield. Miasteczka tego jeszcze nie znałem, więc dołączyłem się do grupy chętnych z myślą pójścia do kina lub na zabawę. Na dancingu zauważyłem parę ciemnych oczu spoglądających na mnie w czasie tanca. W przerwie przystąpiłem do tej osoby i z miejsca zawarłem znajomość z młodą, szczupłą szatynką, o miłym uśmiechu i przyjemnej dyspozycji. Na imię miała Ann, ale zdrobniale nazywano ją Penny. Od tego wieczora spotykałem się z nią, kiedy ku temu była okazja. Podczas jednego z pierwszych spotkań zostałem zaproszony do jej domu, gdzie poznałem jej matkę niezwykle miłą i sympatyczną osobę. Często wdawałem się z nią w rozmowy na temat moich przeżyć w Sowietach oraz na inne tematy o polskiej treści. W jednej z takich rozmów matka zwierzyła się z tego, co Penny mówiła o naszym pierwszym spotkaniu. Po powrocie do domu ona powiedziała do matki: "I have met such a lovely Pole tonight". Po cichu musiałem przyznać, że moje zdanie o niej było niemal identyczne. Nie zawsze jednak mogłem się z nią spotykać. Po pierwsze z Rudston nie było komunikacji autobusowej do Drieffield,

a po drugie ta ładna dziewczynka miała angielskiego "boyfrienda", który służył w armii brytyjskiej. Dlatego w czasie jego urlopu nie mogłem widzieć ją przez dwa tygodnie. Zaraz po jego wyjeździe Penny zatelefonowała do kancelarii szwadronu i prosiła, abym ją odwiedził. Nie wiem jakim cudem ona dostała telefon, ponieważ wszystko związane z wojskiem było tajemnicą dla cywilów. W najbliższą sobotę spotkaliśmy się znowu.

Czasami inne okoliczności tak się układały, że nie mogłem widzieć się z Penny. Kiedy napisałem list do Winnie w Manchester, że zanoszę się na wyjazd na front, ona zdecydowała się przyjechać do mnie na kilka dni. Akurat w dzień jej przyjazdu byliśmy na ćwiczeniach, deszcz lał cały dzień i na dodatek nasz Kownas był w psim humorze. Gdy poprosiłem go o zwolnienie od zajęć, dostałem odmowną odpowiedź. Szczęśliwie Zbyszek Warszylewicz był w stanie zająć się moją panną i ulokować ją w jednym z domów w Rudston. Nieco później Winnie przyjechała na cały tydzień i znowu musiałem towarzyszyć jej zamiast Penny w Driffield.

Inwazja kontynentu już się zaczęła. Pogłoski o naszym bliskim wyjeździe na front powtarzały się coraz częściej. Nasze przygotowanie się do frontu polegało na ciągłym, intensywnym ćwiczeniu. Poznawanie sprzętu, czyszczenie sprzętu, ćwiczenia na polu i ostre strzelanie nad morzem - były stałym naszym zajęciem. Podczas jednego z ostrych strzelań przydarzył mi się nieprzyjemny i bolesny wypadek. Siatka maskownicza na dziale, w czasie strzelania spadła na mnie i zasłoniła widok celownicemu. Skoczyłem, aby ją poprawić. Celowniczy w tej chwili pociągnął za cyngiel. Potężny wybuch natychmiast ogłuszył mnie, pociemniało mi w prawym oku i poczułem piekący ból na policzku. Początkowo sądziłem, że straciłem wzrok w jednym oku i słuch całkowicie. Udałem się do dyżurnego Anglika na strzelnicę, który dał mi masć

i założył opatrunek. Podczas pory obiadowej Kownas zauważył mój bandaż i odesłał mnie do szwadronu. Poszedłem do pułkowego lekarza na ponowny opatrunek i dostałem kilka dni zwolnienia od zajęć. Po kilkakrotnym przepłukaniu oka poczułem się lepiej i powoli zacząłem słyszeć na prawe ucho. Kilka dni potem zeszła mi opalona skóra z twarzy i powróciłem do normalnego wyglądu.

Na następnych ćwiczeniach wynikła wielka awantura z Kownasem. Były to ćwiczenia dywizyjne, które można było nazwać manewrami. W czasie ćwiczeń lał ulewny deszcz i trudno było stosować się idealnie do wszystkich zasad sztuki wojσκowej. Po zajęciu przez nas stanowiska, Kownas przyszedł do nas i zauważył brak skrzynki z amunicją. Kiedy dragon Lipa, pełniący funkcję amunicyjnego, pokazał mu petardę, ten wyrwał mu ją z ręki i bił młodego dragona i ochotnika z Argentyny, po głowie. Patrzyłem na swego dowódcę jak na idiotę. W odpowiedzi na to musiałem wysłuchać całą epistołę dzikich krzyków i wrzasków. Widocznie deszcz i przygoda z nami tak go podenerwowały, że nawet po powrocie do obozu rzucał gromy na wszystkie strony.

W połowie lipca 1944 roku, przyczynki w Normandii były już ustabilizowane, co wskazywało, że w najbliższym czasie rozpocznie się następna faza walk, w której nasza dywizja weźmie udział. Przez ostatni tydzień pobytu w Rudston przygotowywaliśmy się do wyjazdu, czyszcząc i pakując sprzęt i w ostatnich dniach zdając Anglikom sprzęt kwatermistrzowski. Codziennie wieczorem byłem w Driffield. Trudno było mi odmówić sobie przyjemności spotkania się z Penny. Ponadto dom jej matki był tak gościnny i rodzinny, że czułem się jak u siebie w domu. Wiedząc, że są a to moje ostatnie dni przed pójściem do akcji, chciałem nasycić się ciepłem rodzinnym i obcowaniem z panną, która swoim wyglądem i miłym usposobieniem mogła nie jednemu takiemu

młodemu człowiekowi jak ja zakręcić w głowie.

Moja bliska znajomość czy przyjaźń nie skończyła się z chwilą mego wyjazdu z Rudston. Przez długi czas korespondowaliśmy ze sobą, wymieniając bardzo miłe i szczerze listy. Jednak nigdy później nie nadarzyła się okazja ponownego spotkania. Ta młoda i przystojna dziewczyna pozostała w moich wspomnieniach jako typowy przykład urody i wszystkich innych cech angielskiego charakteru. Swoją urodą Penny mogła zaimponować nie jednemu mężczyźnie, ale moje myśli w tym czasie i intencje nie wygochodziły poza granice stosunków - "girlfiend - boyfriend". W moich warunkach było to jedyne rozsądne i realne podejście do moich spraw uczuciowych.

Dnia 21go lipca byliśmy już w tzw. "marshalling area" w Aldershot., który był naszym ostatnim punktem postoju na lądzie angielskim przed pójściem do akcji. Na nowym miejscu plutony ppanc otrzymały nowy sprzęt kołowy w postaci ciągników Lloyd, produkcji kanadyjskiej. W czasie pobierania sprzętu i jazdy do obozu, jeden z moich kierowców, Nowacki, wjechał jakimś Anglikowi w róg jego domu, powodując uszkodzenia domu i ciągnika. Czpłówka naprawcza pułku LAD naprędce wyjęła części ze starego sprzętu i doprowadziła nowy pojazd do porządku. Wieczorem ppor. Klimczak kazał mi odstawić stary sprzęt do wojskowych magazynów angielskich. Tuż przed dojazdem do celu, wóz wiozący Lloyd'a miał - jakaś metalowa część z motoru przebiła chłodnicę. Z pobliskiego domu zatelefonowałem do oddziału, aby zameldować o wypadku i przysłać innego wozu.

Po wywieszeniu przepisowego światła czekaliśmy spokojnie na przybycie zastępczego pojazdu. Ledwie usadowiliśmy się w kabinie, poczuliśmy nagle silne uderzenie z tyłu i natychmiast usłyszeliśmy ludzkie krzyki i jęki. Wskoczyliśmy z kabiny, aby sprawdzić co się dzieje



na drodze za nami. Naskutek ciemności i ograniczonej widoczności amerykańska sanitarka wjechała w tył ciągnika. Zaraz pomogliśmy Amerykanom wyciągać ich rannych o pokaleczonych z wozu. Okazało się, że wszyscy byli piani, nie wyłączając kierowcy. Niedługo potem zjawił się inny wóz amerykański, prawdopodobnie policyjny. Jakiś sierżant spisał protokół, zatrzymał inny przejeżdżający wóz i kazał mu zabrać rannych z miejsca wypadku. Do nas nikt z Amerykanów nie miał najmniejszej pretensji. Tylko jeden sierżant ubolewał, że straci swój stopień, pokazując przytym ręką na naszywki.

W kabinie naszego wozu czekaliśmy do rana. Zaczynało już switać, kiedy przyjechała trzytonówka z naszego oddziału naprawczego. Przeładowaliśmy na nią najpotrzebniejsze rzeczy, zdjęliśmy Lloyda z wozu i wybraliśmy się w drogę powrotną. Kiedy przybyłem do oddziału wszyscy już siedzieli w swoich pojazdach, gotowi do wyjazdu z obozu. Zdążyłem tylko zaglądnąć do swojej kwatery, aby sprawdzić, czy wszystkie rzeczy zostały zabrane i ruszyliśmy w drogę.

Był to dzień 26go lipca 1944 roku. Na własnym sprzęcie dojechaliśmy do nowego miejsca postoju w okolicy portu Tilbury, zwanego przez Anglików "Marching Area". W moim mniemaniu był to obóz tymczasowy, ponieważ składał się z namiotów, rozbitych na otwartym miejscu. Tuż po przyjeździe pułk podzielono na oddziały bojowe. My jako 2gi pluton ppanc zostaliśmy przydzieleni do 2go szwadronu dragonów pod dowództwem rtm. Dudzińskiego.

W tym obozie widziałem po raz pierwszy tzw. latające bomby, które od dłuższego czasu bombardowały południowe rejony Anglii. Co pewien czas któraś z nich przelatywała nad obozem w kierunku Londynu. Czasem zdarzało się, że one spadały w okolicy naszego obozu. Taka rzecz zdarzyła się wieczorem w czasie naszego pobytu na nowym miejscu,

ale szczęśliwie dla nas spadła nieco na uboczu, nie wyrządzając naszym oddziałom żadnej krzywdy. Przyjęliśmy to jako zwiatuna akcji, którą wkrótce mieliśmy rozpocząć w Normandii.

Pobyt w "marching area" trwał niedługo. Prawdopodobnie czekaliśmy na naszą kolejkę załadowania się na okręty, stojące na morzu, które miały przewieźć nas przez krótki odcinek morza do Francji. Bezczyenne czekanie było dla nas bardzo denerwujące. Napewno każdy z nas myślał o tym, co go czeka za dzień, za dwa czy za tydzień. Napewno też każdy snuł w swojej wyobraźni moment naszego spotkania się z Niemcami. Człowiek nie byłby człowiekiem, gdyby nie zastanawiał się nad swoją najbliższą przyszłością, tembardziej, że ona zagrażała jego życiu.

Wreszcie przyszedł ten dzień, kiedy wozami transportowymi zawieziono nas do portu na okręt, do którego kierowcy już poprzednio załadowali nasz sprzęt. W porcie czekał na nas okręt towarowy "Poplar", na który kazano nam załadować się natychmiast. Wkrótce wypłynęliśmy z portu i dołączyliśmy do armady okrętów, stojących na morzu i gotowych do wypłynięcia na otwarte wody. Nie byłem w stanie ich policzyć, ani też ocenić ich ilości, ale musiałem przyznać, że było ich wiele. Przede mną widziałem całą masę czarnych kadłubów, kominów i masztów, które po pewnym czasie zaczęły się ruszać i płynąć z tą samą szybkością w jednym kierunku. Po bokach pojawiły się wojenne okręty - kontrtorpedowce, jako strażnicy poruszającej się masy okrętów. Od czasu do czasu jakiś a nich przepływał zwinnym i szybkim ruchem bokiem w jedną i drugą stronę. Podczas tego transportu jakaś zdradziecka mina wybuchła w pobliżu jednego z okrętów. Widziałem z daleka wysoki słup wody w powietrzu i dym zasłaniający statek. Podróż zasadniczo była spokojna, ale trudno byłoby powiedzieć, że była bez wrażeń i wewnętrznych emocji.

Ze wszystkich z nich największą był widok zarysu francuskiego lądu - ten szary ląd, gdzie w niedługim czasie mieliśmy się zapoznać ze słynnymi już plażami Normandii i z żywopłotami w głębi kraju, które utrudniały akcję alianckich oddziałów, które znalazły się tutaj na kilka tygodni przed nami.

Ze wszystkich z nich największą był widok zarysu francuskiego lądu - ten szary ląd, gdzie w niedługim czasie mieliśmy się zapoznać ze słynnymi już plażami Normandii i z żywopłotami w głębi kraju, które utrudniały akcję alianckich oddziałów, które znalazły się tutaj na kilka tygodni przed nami.



#### X. Z DRAGONAMI PRZEZ FRANCJE I BELGIE.

Zarówno dzień naszego lądowania /31 lipca, 1944 r./ oraz miejsce, gdzie nasza stopa miała stanąć na francuskiej ziemi niemal do ostatniej chwili były dla nas tajemnicą wojskową. Nazwa Arromanches, znana już do początku czerwca pierwszym oddziałom desantowym, dopiero teraz stała się wiadomym dla nas punktem na mapie francuskiego wybrzeża. Początkowy widok zatoki, stworzonej przez wojenną potrzebę, oraz wału ochronnego, zrobionego z zatopionych łodzi, nie mówił nam wiele. Szczegóły zawziętych walk, jakie miały miejsce w tym miejscu, jeszcze nie ujawniły się w pisany słowie, a nasze oczy nie mogły dojrzeć przeszłości, która częściowo została już stąd usunięta. Natomiast patrząc w stronę morza, wypełnionego masą statków tak daleko jak daleko wzrok ludzki mógł sięgnąć, widziałem zarys przyszłej walki - niewątpliwie wielkiej i krwawej.

Szare, głębokie barki desantowe o wysokich stalowych ścianach kursowały tam i z powrotem, przewożąc w sobie grupę za grupą dragonów wraz ze sprzętem i wyrzucając swoją zawartość na mieliźnie przybrzeżnej wody. Nasze ciągniki z armatami z tyłu jeden za drugim wjeżdżały na trasę pokrytą stalowymi siatkami, aby wydostać się do twardego gruntu poza garnicą piaszczystej plaży . Dopiero poza piaskami mogliśmy się zapoznać z widokiem pobojuwiska po niedawnej bitwie.

Na pierwszym planie rzuciły się nam w oczy betonowe bunkry, w większości porozbijane i powywracane. Na piaskach stało kilka zniszczonych i spalonych czołgów alianckich, wciąż świecących białymi gwiazdami na swoich osmolonych pancerzach. Wszędzie leżały masy armatnich i karabinowych łusek, wiele zniszczonego sprzętu wojennego i niezrozumiałych dla mnie pociętych blach. Był to raczej przygnębiający widok, który dawał nam pojęcie o niedalekiej przyszłości, jaka nas czekała. Za horyzontem wybrzeża ukazała się przed nami pierwsza francuska wioska, niemal całkowicie zniszczona i spalona.

Posuwaliśmy się szybko po polnych polach w tumanach kurzu, wyrzucanych w górę przez gąsienice naszych pojazdów. Pośpiech ten mógł wskazywać na to, że starano się nas usunąć jak najszybciej z rejonu lądowania, aby opróżnić miejsce dla tych, którzy jeszcze siedzieli na statkach. Po ujechaniu kilku kilometrów kazano nam zatrzymać się na jakiejś zielonej i zacisznej łące. Tam angielskie kuchnie wydały nam gorącą herbatę i po konserwie miesnej, jako kolację. Patrząc na ich działania, zazdrościłem im niezwykłego zmysłu organizacyjnego - wszystko u nich było robione z myślą, według uprzednio przygotowanego planu i we właściwym czasie.

Z miejsca tego wyjeżdżaliśmy po dwa plutony pod komendą wyznaczonych oficerów, niewątpliwie dla naszego bezpieczeństwa. Naszą kolumnę prowadził ppor. Karcz, dowódca I-go plutonu ckm. Po drodze usłyszeliśmy po raz pierwszy kanonadę artyleryjską oraz zapory przeciwlotnicze z ognia karabinów maszynowych. Zaczęło się ściemniać, kiedy dojechaliśmy do następnej wioski. Ludności cywilnej widziało się mało - przeważnie kobiety i dzieci. Tuż za wioską nasza kolumna się urwała. Karcz, którego pluton miał małe i szybkie carriersy, pojechał szybko bez oglądania się na nas z cięższym sprzętem. Klimczak mając też lekki

pojazd podążył za nimi. W ciemnościach nocy znalazłem się na czole kolumny i chcąc nie chcąc musiałem ją prowadzić. Pytając Anglików o drogę, późną nocą doprowadziłem pozostałą część kolumny do szwadronu. Nasi dowódcy czekali tam na nas i przy okazji musieli wysłuchać kilka nieprzyjemnych uwag od swoich podwładnych. Na otwartej łące znalazło się miejsce dla moich Lloydów i na namiot, który natychmiast postawiliśmy. Po tym dniu pełnym wrażeń położyliśmy się spać na już wolnej, ale nieco chłodnej ziemi francuskiej.

Z dniem pierwszego sierpnia rozpoczęliśmy nasz tygodniowy postój koło wioski bayeaux, w niedalekiej odległości od frontu. Tutaj nasze życie nie byłoby trudne i kłopotliwe, gdyby dowódca naszego szwadronu potrafił kontrolować okazyjne przejawy nerwowego napięcia. Obserwując jego poczynania w szwadronie, byłem przekonany, że człowiek ten na myśl o akcji i związanym z tym niebezpieczeństwem dostawał rozstroju nerwowego i robił rzeczy trudne do zrozumienia. Już pierwszego dnia /bardzo wcześnie rano/ zrobił zbiórkę i nakazał czyszczenie broni. Niektórzy z dragonów już wcześniej wzięli się do pietraszenia śniadań na kuchenkach polowych, które chcieli skończyć po zarządzanej zbiórce. Na widok kuchenek Kownas popadł w szał i biegając od dragona do dragona kopał menażki z jedzeniem i rozlewał na trawę. Tego rodzaju postępowanie wywołało ogólne oburzenie, nawet wśród niektórych oficerów.

Zasadniczą treścią zajęć w ciągu tygodnia było czyszczenie sprzętu. Z tym ostatecznie można było się pogodzić, ponieważ i tak siedzieliśmy beczynnie pod plandekami namiotów. Gorszą stroną było wyżywienie. Początkowo byliśmy głodni, ponieważ żywności nie wydawano za dużo. Po kilku dniach dowódca wreszcie wydał pozwolenie na wydanie zapasowej mąki z kuchni, którą używano do robienia placków. Z wodą też było krucho. We wiosce była tylko jedna studnia, z której brano wodę dla

całego pułku oraz dla oddziałów angielskich, stacjonujących w naszym rejonie.

W środku tygodnia otrzymałem pierwszą pocztę na europejskim kontynencie. Było w niej kilka listów od moich znajomych pań z Anglii. One napewno nie zdawały sobie sprawy z tego, ile przyjemności sprawiło mi czytanie ich listów. Na szerokiej francuskiej łące, niedaleko od frontu, wiadomości od Betty, Winnie czy Penny czytało się dokładniej, z większą a satysfakcją i z innym uczuciem. Być może, że one rozumiejąc sytuację żołnierza, daleko od domu i przyjaciół, wkładały więcej serca i uczuć w treść listów.

W ciągu jednego ciemnego wieczoru zrobiono nam prawdziwy alarm z ostrą strzelaniną. Podczas obchodzenia rejonu, wartownik szwadronu wziął ciemne kontury krzaku za postać człowieka. Kiedy domniemana osoba nie odpowiedziała na jego hasło, on natychmiast otworzył ogień. Inni powybiegali z namiotów ze stenami w rękę i pomagali mu w strzelaniu. Wypadek ten szczęśliwie zakończył się bez ofiar w ludziach. Faktycznie pierwszą stratę szwadronu pozostawiliśmy w Anglii. Ppor. Warczygłowa tuż przed wyjazdem z Rudston przewrócił się na motocyklu i wskutek odniesionych obrażeń nie wyjechał z nami do akcji.

W moim działaniu, zupełnie niespodziewanie, przeprowadzono małą zmianę w personelu. Na miejsce spokojnego i cichego kierowcy ciągnika amunicyjnego, Nowackiego, dostałem młodego zabijakę Zbigniewa Cwila, ochotnika z Francji. Wymiana z mego punktu widzenia nie była równa, ale ja temu nie mogłem przeciwdziałać. Podobne zmiany w moim działaniu miały miejsce w Anglii, w rezultacie czego dostawałem ludzi, których nikt nie chciał mieć w swojej grupie. Swego czasu przydzielono do mnie dwóch niezbyt zdyscyplinowanych młokosów - Niemca i Hermana, którzy jeszcze przed wyjazdem odeszli do lotnictwa. Potem dostałem



młodego ochotnika z Argentyny, Józefę Lipę, który dla jakichś przyczyn nie mógł zagrzać miejsca w innych działonach. Kierowca mojego ciągnika, Markowski, był raczej trudnym żołnierzem od samego początku. Jedyne Mitko, celowniczy, i Markus, ładowniczy, ludzie z armii niemieckiej nigdy mi nie sprawili kłopotu. Z czasem zżyliśmy się razem w rezultacie mój działon nie wyglądał gorzej od innych. Ogólnie dragoni czuli się dobrze w moim działonie, nawet misiowaty Kamiński, którego dostałem tuż przed wyjazdem na kontynent. Taki był skład mego działonu, kiedy poszliśmy do akcji.

Snia 7go sierpnia dostaliśmy rozkaz do wymarszu. Według ustalonego układu bojowego, nasz pluton przydzielono do 2go szwadronu dragonów, a całość do 2go Pułku Pancernego. W ciągu nocy, około drugiej rano, opuściliśmy miejsce postoju i do 11ej rano posuwaliśmy się wolno w kierunku frontu. Raniutko, przy budzącym się świetle, przejechaliśmy przez miasto Caen, a raczej jego ruiny. Wszystko leżało w gruzach - nie widziałem ani jednego stojącego domu lub budynku. Jedyne droga, oczyszczona buldozerem, nadawała się do użytku. Również nie widziałem ani jednego człowieka na ulicy - miasto było jakgdyby wymarłe. Zatrzymaliśmy się na jakimś pszenicznym polu, widocznym miejscem niedawnej bitwy. Wskazywały na to świeże doły i rowy oraz nieprzyjemna woń rozkładających się ciał ludzkich. Skorzystaliśmy z krótkiego postoju, aby zjeść śniadanie. Nie wszyscy jednak mieli wielki apetyt do tego.

Musieliśmy już być na zapleczu frontu, bo wyraźnie do nas dochodziły odgłosy ognia broni maszynowej. W pewnym momencie usłyszałem gwizd pocisku artyleryjskiego, który spadł w pobliżu działonu pchor. Kierzkowskiego, nie wyrządzając nikomu szkody. Mógł to być pocisk działa przeciwpancernego albo artyleryjski niewypał. Niedaleko od nas stał zniszczony Sherman. Musiał być trafiony niedawno, bo wciąż

od jego strony dolatywała spalenizna. Obok leżały rozrzucone rzeczy byłych okupantów tego czołga. Niektóre z nich były okryte krwią.

W końcu na rozkaz dowódcy grupy bojowej ruszyliśmy do natarcia. Przeszliśmy przez pozycje okopanej piechoty kanadyjskiej. Przed nimi nieco z boku paliła się jakaś wioska. Po przejściu kanadyjskiej linii znaleźliśmy się na świeżym terenie, jeszcze nietkniętym stopą alianckiego żołnierza. Ogień broni maszynowej naszych czołgów stawał się coraz częstszy i głośniejszy. Działa czołgowe też odzywały się w coraz przyspieszonym tempie. Rozpoznawania nieprzyjaciela za pomocą ognia, wkrótce odniosło swój skutek. Z krzaków zaczęli wychodzić pierwsi jeńcy niemieccy. Dragoni rewidowali ich na miejscu i odsyłali do tyłu. Linia szperających carriersów i nacirających czołgów często ginęła mi z oczu w gęstych krzakach. Niemiecki ogień przed nami już przyspożył nam pierwsze ofiary. Karetki sanitarne zaczęły kursować tam i z powrotem

Sporadyczne pociski niemieckiej artylerii gwizdały nad nami i z potężnym hukiem rozrywały się między masą stalowego sprzętu posuwającego się wolno do przodu. Powoli zacząłem przyzwyczajać się do wojennej kanonady i do niebezpieczeństwa grożącego nam od Niemców. Zakrzewiona i z lekka zalesiona przestrzeń nagle skończyła się przed nami. Weszliśmy w otwartą, dość głęboką dolinę o łagodnych zboczach. Czołgi nasze, ziejące ogniem, były prawie już u jej dołu. Reszta atakującego oddziału, rozrzucona po całym zboczach, posuwała się powoli w swoim sprzęcie ku przodowi.

Nagle nad nami i wśród nas wybuchło piekło. W tym momencie ujrzałem w dole palące się polskie czołgi i ludzi wyskakujących z nich w panice. Na zboczach powstało zamieszanie. Pociski niemieckiej artylerji, moździerzy i czołgów padały jak grad na nas. Posunęliśmy się nieco dalej. Zobaczyłem cofające się czołgi. Ppor. Klimczak zawołał do nas " do

tyłu, do tyłu". Natychmiast zawróciliśmy swoje ciągniki i każdy na własną rękę cofnął się aż do górnej linii krzewów. Dopiero tam zajęliśmy stanowiska z zamiarem prowadzenia ognia. Wśród dragonów byli ranni i zabici. Jednym z poległych był rtm. Dudziński, dowódca 2go szwadronu. W chwili wycofywania się widziałem obok niego pchor. Sawickiego - on też nie wyszedł z tej nawały ogniowej. W naszym plutonie było tylko czterech rannych, nikt nie zginął. Szkody w moim działaniu ograniczyły się do dziury w boku ciągnika i przestrzelonego pojemnika amunicyjnego.

Akcja tego dnia zamknęła się w jednym terminie wojskowym, znanym nam Polakom jako "chrzest bojowy". Największe ofiary w tym dniu poniósł pułk pancerny. W dole doliny i na zboczu pozostało 26 czołgów. Straty w zabitych i rannych nie były mi znane. Również nie znane były mi straty dragonów. W mojej pamięci pozostał widok doliny z palącymi się czołgami na dole oraz nazwa Cramesnil, gdzie po raz pierwszy spotkaliśmy się z wojenną rzeczywistością.

Po wycofaniu się z doliny zmieniliśmy stanowiska kilkakrotnie, ubezpieczając nasz oddział od strony nieprzyjaciela. Na jednym ze stanowisk znaleźliśmy się pod ogniem artylerii własnej i niemieckiej. Kiedy pociski zaczęły padać wokół nas, kazałem moim ludziom okopać się. Przed wieczorem znowu kazano mi zmienić stanowisko. Na nowym miejscu znalazłem się obok jakiegoś czołgu. Mną musiała kierować intuicja bo stanąłem obok czołgu Franka Gręsińskiego, dobrze znanej mi osoby z Jazłowca. Był w stopniu podporucznika i dowódcą plutonu czołgów. i był jednym z tych szczęśliwców, któremu udało się wydostać z zabójczego ognia .

W tym dniu straciłem z działonu mego kierowcę Markowskiego. W czasie zeskakiwania z ciągnika skręcił sobie nogę i następnego dnia rano

odstawiono go do lekarza, który odesłał go do szpitala. Kierowcą mego ciągnika został młody, spokojny i zrównoważony Ślązak, Jasio Markus. Na ostatnim stanowisku tego dnia przesiadaliśmy do następnego rana, od czasu do czasu ostrzeliwani przez artylerię lub moździerz niemieckie - szczęśliwie pociski padały za blisko i nie wyrządziły nam żadnej szkody.

Dnia 10go sierpnia, około południa, ruszyliśmy znowu do akcji. Zadaniem naszym było natarcie na wioskę La Croix. Znowu przeszliśmy przez stanowiska Kanadyjczyków i ich niedawne pobojowisko. Na polu pszenicy stało kilka zniszczonych Shermanów oraz kilka niemieckich czołgów. Nacierając z czołgami 24go Pułku Ułanów, bez trudu opanowaliśmy wioskę, która już leżała w ruinie. My dragoni zatrzymaliśmy się na skraju wioski - czołgi posuwały się dalej, aż do spotkania się z niemieckim ogniem. Jeden z czołgów powrócił o własnej sile z przestrzeloną wieżyczką, jednym zabitym i jednym rannym. Tutaj mimo ognia ugotowaliśmy kolację i rozłożyliśmy na nocny spoczynek.

Na drugi dzień dostaliśmy rozkaz przygotowania się do ataku na wioskę Estrees-la-Campagne. Dragoni spieszyli się i po nocnej bitwie opanowali wioskę ze stosunkowo małymi stratami. Nasz pluton dostał raczej spokojny odcinek na resztę nocy, ubezpieczając dragonów od prawej strony. Przez całą noc tylko kilka pocisków artyleryjskich i moździerzowych padło w naszym rejonie. W czasie kilkudniowej akcji nauczyliśmy się pociski artyleryjskie od moździerzowych po ich locie i gwizdzie. Dopiero w czasie zmiany stanowisk zostaliśmy solidnie obłożeni ogniem, ale szczęśliwie nasz pluton wyszedł z niego bez szwanku. W czasie tej akcji szwadrony dragonów poniosły straty w zabitych i rannych. Aktualna cyfra tych strat nie docierała do nas dragonów na froncie.



W ciągu tego dnia nasz dowódca, ppor. Klimczak, został draśnięty odłamkiem pocisku artyleryjskiego czy moździerzowego i zabrano go do punktu opatrunkowego. Jego miejsce zajął dotychczasowy jego zastępca, plut. Maryniak. Rano tego dnia zajęliśmy stanowiska na otwartym polu. Wykopałem sobie dół i zdrzemałem się w nim, aż do południa. Czując się wypoczęty i rzeźki usiadłem sobie przy moich dragonach, którzy pietrasili jakieś jedzenie na kuchence. Od strony wozu kancelarynego ktoś podał wiadomość, że przyszedł świeży chleb do pobrania. Będąc najbliżej tego wozu poszedłem, aby pobrać pierwszą tego rodzaju rację od rozpoczęcia akcji. Ledwie uszedłem kilka kroków usłyszałem gwizd artyleryjskiego pocisku i przykucnąłem za ciągnikiem. Kiedy wróciłem z chlebem zauważyłem, że Cwil siedzi bez buta i trzyma się za nogę. Okazało się, że rekoszet ppanc pośliznął się po jego nodze i odbił się o ziemię dokładnie w tym miejscu, gdzie ja poprzednio siedziałem. Nie wiem czy była to moja intyucja, że poszedłem po chleb, czy po prostu Opatrzność czuwała nade mną.

Wieczorem tego dnia wycofano nas z linii frontu, aby dać nam kilka dni odpoczynku. Kilka razy zmienialiśmy miejsca, ponieważ każde z nich było pod ostrzałem artylerii niemieckiej. W końcu wybraliśmy miejsce przy stanowiskach kanadyjskiej baterii AGRA /ciężka artyleria/. Tutaj spadło kilka pocisków bez szkody dla nas. Podczas tego odpoczynku znowu dostałem pocztę. Kilka miłych listów od moich Angielek i niespodziewany list od mego kuzyna, Julka Kuriańskiego, z 2go Korpusu. W liście tym wyjaśnił, że dostał mój adres od Bronka Hostyńskiego i zdecydował się napisać do mnie.

Walka dragonów była tylko skromną częścią akcji, jaką prowadziły wszystkie oddziały dywizji. Pułki czołgów naszej brygady /1szy Pułk Pancerny, 2gi Pułk pancerny i 24ty Pułk Ułanów, oraz brygada piechoty

w składzie 7go, 8go i 9go batalionu, plus niezależny 10ty Pułk Strzelców Konnych i cała brygada artylerii również prowadziły akcje uderzeniowe. Podczas gdy nam przyznano zdobycie miejscowości La Croix i Estrees-la-Campagne, inne oddziały czołgów i piechoty zapisały na swoim koncie miejscowości: Cauvicourt, Renemesnil, wzgórze 111, St Sylvain i St. Martin-des-Bois. Silna obrona niemiecka stworzyła z każdej wioski, każdego lasu i każdego wzgórza umocnione twierdze, które trzeba było zdobywać kosztem dużych strat w ludziach i sprzęcie. W tym czasie nikt z nas nie wiedział ile jeszcze takich obronnych linii mamy przed sobą i która z nich będzie ostatnią.

Dnia 11go sierpnia, po odpoczynku, zlurowaliśmy Kanadyjczyków na odcinku Langannerie. Niemcy położyli silny ogień moździerzy w czasie tej zmiany. Drugi szwadron i przydzielony do niego plutony ckm i ppanc, poniosły straty w ludziach. Nowacki, mój dawny kierowca, został ciężko ranny, szczęśliwie nie śmiertelnie. Zajęliśmy stanowisko na skraju sadu w żywopłocie. Przed nami rozciągało się równe i otwarte pole na odległość od jednego do dwóch kilometrów. Po drugiej stronie pola był las Quesney, broniony przez Niemców. Kanadyjczycy musieli prowadzić nieudaną akcję uderzeniową w tamtym kierunku, ponieważ na polu stało kilka spalonych czołgów typu Sherman. Nie ulegało wątpliwości, że to niedokończone zadanie przypadnie nam w udziale.

Akcja rozpoczęła się w porannych godzinach rozpoznaniem terenu przez trzy carriersy plutonu rozpoznawczego 9go Batalionu Piechoty. Na kilkaset metrów przed lasem Niemcy otworzyli ogień. Tylko jeden z polskich carriersów zdołał się wycofać, dwa inne pozostały na miejscu. Tylko kilku ludzi z ich załogi zdołało się uratować. Po południu podano nam do wiadomości, że las przed nami będzie poddany lotniczemu bombardowaniu przez tysiąc samolotów. Bombardowanie rozpoczęło

się dokładnie o godzinie drugiej popołudniu /14go sierpnia/. Pierwszy raz byłem świadkiem tak potężnego i ciągłego bombardowania obiektu wojskowego. Pierwsze samoloty, lecąc fala za falą, rzucały swój ładunek na właściwy cel. W lesie wszystko się gotowało. Powychodziliśmy ze swoich rowów i przyglądaliśmy się temu wojennemu widowisku. Wkrótce cały las pokrył się dymem, a bombowce wciąż przylatywały i zrzucały bomby.

W pewnej chwili jeden z bombowców zmienił kierunek i zrzucił swój ładunek na nasze zaplecze, tuż za nami. Za nim poszły inne. Bomby spadały gęsto w niedalekiej odległości od nas, na granicy następnego sadku. Mały samolot artyleryjski natychmiast ukazał się na niebie i kiwając skrzydłami dawał bombowcom znać, że zrobiły pomyłkę. To jednak nie odnosiło skutku. Widocznie raz zaprogramowane bombardowanie nie mogło być przerwane. W czasie tego siedziałem cicho w dziurze i czekałem kiedy bomby spadną na nasze stanowiska. Jeden z naszych sierżantów nie wytrzymał nerwowo - zaczął głośno nazywać i przeklinać lotników całym swoim zasobem wybranych słówek. Niektóre bomby musiały padać bardzo blisko, bo ziemia sypała się na mnie ze scian mojej dziury naskutek wstrząsów.

Po pół-godzinnym bombardowaniu nasze samoloty odleciały, napewno zadowolone z dobrze spełnionego zadania. Z naszego szwadronu największe straty poniósł 3ci pluton ppanc, ppor. Kubita, stojący w tym dniu w odwodzie. Rozbito mu ciągniki, działa, a niektórzy z jego ludzi znaleźli się później w kanadyjskich szpitalach. Również straty w ludziach i sprzecie poniosło nasze zaopatrzenie. Najcięższe szkody wyrządzono jednemu z kanadyjskich oddziałów, biwakującemu w rejonie dywizji.

Podczas tego bombardowania gościem w dywizji był dobry przyjaciel Polaków, kpt. Cunningham, -poseł do brytyjskiego parlamentu i bliski

współpracownik Premiera Churchilla. W czasie tego nalotu przyjaznego lotnictwa starał się telefonicznie interweniować w władz brytyjskich, ale ze względu na przepisy wojskowe i trudności komunikacyjne, jego starania nie odniosły skutku. Ostatecznie, dzięki małemu samolotowi obserwatora artyleryjskiego, ostatnia fala samolotów zrzuciła swój ładunek na właściwy cel. Do zapowiadanej akcji nasze oddziały w tym dniu nie poszły.

Noc minęła spokojnie. Po zbombardowaniu obu stron walczących, prawdopodobnie żadna z nich nie była zdolna do podjęcia akcji. W ciągu następnego dnia nasz odcinek ponownie przejęli Kanadyjczycy, a nas pchnięto do natarcia w kierunku miejscowości Sassy. Przeszliśmy przez rzeczkę uprzednio sforsowaną przez jeden z batalionów piechoty i przy użyciu wsparcia czołgów. W zdobywaniu miejscowości Sassy brał udział jeden z dragońskich szwadronów. Na noc przerzucono nasz pluton ppanc do odwodu, jako ubezpieczenie sprzętu.

Następnego dnia /15go sierpnia/ poszliśmy ponownie do natarcia z zadaniem zdobycia przeprawy na rzece Dives i opanowania miejscowości Jort. Drugi Szwadron dragonów i przydzielone do niego bronie ckm i ppanc weszły w skład grupy bojowej 10go Pułku Strzelców Konnych. W pierwszej fazie walki zdołano opanować część miasta po zachodniej stronie rzeki. Niemcy bronili się zaciekle, ale nie mogli podołać naszej broni pancernej. Przy wycofywaniu się zastosowali wobec miasta metodę zniszczenia, paląc i wysadzając w powietrze dony i budynki. Most na rzece został również zniszczony, co uniemożliwiło nam uchwycenie przyczółka w rejonie miasta. W czasie tej akcji wzięto do niewoli pewną ilość niemieckich jeńców, w tym kilku rosyjskich kałmuków. Ostatecznie bitwa o tą miejscowość zakończyła się naszym zwycięstwem.



Bitwa o Jort, którą później uznano jako jedną z największych i najważniejszych w historii dywizji, trwała cały dzień. Próby przekroczenia rzeki w okolicy mostu zakończyły się niepowodzeniem i stratą kilku czołgów z naszej strony. Przeprawę, mimo podmokłego terenu, sforsowano w rejonie brodu. Równocześnie, uderzenie na miasto było prowadzone z dwóch kierunków. Podczas gdy 10 PSK i dragoni atakowali od południa, 1szy Pułk Pancerny z innym szwadronem dragonów przeprowił się w górnej części rzeki i zaatakował miasto od północy. Przed zachodem słońca miasto znalazło się w rękach polskich, znowu za cenę życia polskiego i sprzętu.

Nasze zwycięstwo było większe niż je ocenialiśmy początkowo. Poważny wyłom w niemieckim systemie obrony otworzył drogę do dalszych działań dla dywizji polskiej i dla Korpusu kanadyjskiego. Jak się wyraził dowódca dywizji, gen Stanisław Maczek, dzięki przełamaniu obrony niemieckiej pod Jort przed aliantami otworzyła się możliwość zamknięcia odwrotu oddziałom nieprzyjaciela z Normandii. Dla nas małych żołnierzy stanowiło to zagadkę, bo plany operacyjne nie wchodziły w zakres naszego zainteresowania sprawami wojennymi.

Bitwa pod Jort była początkiem całej serii bitew, które w szybkim tempie następowały jedna po drugiej. W ciągu nocy saperzy zbudowali most na rzece, przez który we wczesnych godzinach rannych przeprowiliśmy się na drugą stronę. Przejeżdżając obok zdobytych bunkrów widziałem jeszcze nie zebrane ciała poległych Polaków. Był to przykry widok i nie zbyt budujący dla tych, którzy kontynuowali ich zadanie. Po ujechaniu kilku kilometrów poza miejscowość Jort, spotkaliśmy pierwszych cywilów od czasu wejścia do akcji. Niektórzy witali nas okrzykami "Vive la Pologne", inni zachowywali się milcząco i obojętnie. Widać było, że oni mieli już dość wojny, która niszczyła ich kraj

i osobiste życiowe dorobki. Można było im współczuć, ale prawo do wolności ma swoją cenę, a strata materialna nie była najwyższą ceną za to prawo ludzkie.

W godzinach porannych ugrupowaliśmy się do natarcia na szerokim otwartym polu po wschodniej stronie rzeki Dives w pobliżu miejscowości Barou. Po drugiej stronie na wyższym terenie ugrupowała się kanadyjska dywizja pancerna. Z układu mogłem wnioskować, że będzie to natarcie czołgów na większą skalę. Akcja trwała cały dzień, którą można byłoby określić jako klasyczny przykład broni pancernej. Czołgi 24go Pułku Ułanów atakowały tuż przed nami. My dragoni, w opancerzonych pojazdach, stanowiliśmy następny rzut ataku. Mimo otwartego terenu posuwaliśmy się wolno. Będąc na lewym skrzydle i na wzniesionej części zbocza, miałem całe natarcie na widoku. Po drugiej stronie rzeki czołgi Shermany prowadziły natarcie podobne do naszego.

Nasze czołgi nie oszczędzały amunicji - pozycje niemieckie rozpoznawano ogniem ckmów i dział. Nas dragonów to nie chroniło przed ogniem artylerii i moździerzy naszego przeciwnika. Prawdopodobnie byliśmy jego głównym celem. Co chwila nasze ambulanse podjeżdżały do naszej linii, aby zabierać rannych i zabitych. Tuż obok mnie zginął kpr. Sochacki, trafiony odłamkiem granatu w piersi. Działon pchor. Kierzkowskiego stracił dwóch ludzi, a jego ciągnik został solidnie podziurawiony. To co miało miejsce w moim najbliższym otoczeniu, dawło pewne pojęcie o wielkości naszych ogólnych strat w tym dniu. Dopiero przy zachodzie słońca osiągnęliśmy swój cel. Około godz. 21.00 miejscowość Barou została zdobyta przez jeden z polskich oddziałów. Tym samym główna trasa Jort-Trun została przez nas uchwycona.

Na noc zatrzymaliśmy się w jakimś zagajniku, gdzie pozostaliśmy jako ubezpieczenie. Czołgi w międzyczasie wycofały się do tyłu.

Podczas tego, jeden z cofających się czołgów niemal rozjechał mego dragona Kamińskiego, leżącego na stanowisku przy karabinie maszynowym. W ostatniej chwili zobaczyłem, że czołg jest prawie nad nim. Szybko podskoczyłem do Kamińskiego, chwyciłem za ramię i odciągnąłem go na bok. Czołg przejechał przez jego stanowisko niszcząc tylko nasz ręczny karabin maszynowy.

Rano dnia 17go sierpnia podjęliśmy następną akcję. Przez cały dzień oczyszczaliśmy teren, nie napotykając na większy opór ze strony Niemców. Od czasu do czasu trafiał się sniper, pozostawiony dla niszczenia dowódców, zwłaszcza czołgowych. Przy jednej z takich okazji widziałem jak czołg 24go Pułku Ułanów starał się przewrócić drzewo, aby strącić snipera. Przed zmrokiem dotarliśmy do wioski Vicquette i obok niej na polu zatrzymaliśmy się na noc. Było już ciemno, kiedy do naszej linii dowieziono zaopatrzenie - prowiant, benzynę i amunicję.

Niemcy musieli wiedzieć o naszej obecności w tym miejscu, ponieważ przez całą noc byliśmy pod nękającym ogniem jednego działła i jednego moździerza. Wprawdzie tego rodzaju bombardowanie nie było zbyt groźne, ale wybuch dwóch pocisków co kilka minut działał na nas deprymująco. Naskutek tej akcji Niemców straciliśmy w ciągu nocy jeden wóz, który przywiózł zaopatrzenie do czołgów, który palił się jak świeca w środku naszego ugrupowania. Niedługo potem nastąpiła druga eksplozja. Tym razem zapalił się ciągnik kpr. Augustyniaka. Po tym wypadku jego działon został bez sprzętu, ponieważ jego pierwszy ciągnik został zniszczony w jednym z pierwszych dni akcji. Oddano mu jeden z ciągników pchor. Kierzkowskiego, który wciąż miał dwa ciągniki, ale mały stan ludzi.

Rano nastąpiło przegrupowanie oddziałów, w rezultacie czego razem z 2gim szwadronem zostaliśmy przydzieleni do grupy bojowej 10 PSK.

Celem naszego natarcia miało być miasto czy miasteczko Trun. Przed dojściem do wzgórza dominującego nad miastem, staliśmy się świadkami krótkiej bitwy czołgów polskich i niemieckich. Z podóża wzgórza wyszło przeciwnatarcie niemieckich Mark IV, które nadziały się na Cromwelle 10 PSK, ukryte w polu pszenicy. W przeciągu minuty sześć niemieckich czołgów stanęło w ogniu bez strat po naszej stronie. W obawie przed następnym przeciwnatarciem wysunięto do przodu dwa plutony ppanc - nasz 2gi i 3ci ppor. Kubita. Zaraz po zajęciu stanowisk znaleźliśmy się pod ogniem moździerzy, prowadzonym z drugiego zbocza doliny.

Po tym ogniu wysłałem patrol na przedpole, który doniósł mi, że przy jednym ze zniszczonych czołgów jest ranny niemiecki żołnierz. Wzięliśmy koc i udaliśmy się w tamtym kierunku. W pszenicy leżał Niemiec z rozerwanym brzuchem, który jękliwym głosem powtarzał: "Schliess mich bitte". Położyliśmy go na koc i we czwórkę odnieśliśmy go do tyłu.

Przed nami rozciągała się dolina. Po jej prawej stronie było piękne miasteczko, jeszcze nie tknięte wojną. Tak mówili ludzie z partyzantki francuskiej, która wyszła na prawe nasze skrzydło, w okolicy plutonu ppor. Kubita. Według ich raportu miasto było wolne od Niemców. My jednak nie mieliśmy rozkazu do jego zajęcia, co stało się z wielką szkodą dla miasta. Po naszym odejściu w kierunku Chambois Niemcy weszli tam znowu i przy zdobywaniu jego przez Kanadyjczyków, to piękne miasto z czerwonymi dachami i białymi domami zamieniło się w ruinę.

Dla rozprawienia się z nękającym nas ogniem /na wzgórzu pod Trun/ otworzyliśmy nasz ogień na podejrzone cele. To musiało zwrócić na nas uwagę Niemców, bo niedługo potem odpowiedzieli masowym ogniem moździerzy sprzężonych. Dziki gwizd lecących pocisków i potężny ich wybuch mógł człowieka wykończyć nerwowo. Moi ludzie byli już wkopani



i dlatego w pewnym stopniu zabezpieczeniu przed niemieckim ogniem. Inne działony nie mogły znieść nawały ogniowej i zaczęły wycofywać się do tyłu. Wpierw cofnął się pluton trzeci na prawym skrzydle, za nim cofnął się działon pchor. Kierzkowskiego o kpr. Augustyniaka z naszego plutonu. Por. Bojanowski kazał ostatniemu wrócić ponownie na stanowisko, natomiast Kierzkowski był już poza zasięgiem jego głosu. Później dowiedzieliśmy się, że wycofujący się ciągnik Kierzkowskiego został trafiony pociskiem i z całej załogi pozostał tylko jeden człowiek. Naskutek tego ognia jeden z naszych działonów został kompletnie zlikwidowany.

Na tym wzgórzu zakończyliśmy pierwszą fazę naszej akcji, trwającą ledwie 10 dni, z większymi stratami niż ktoś mógł przewidzieć na jej początku. Mój działon, dzięki pomyślnemu układowi okoliczności, wyszedł z tego bez żadnej poważnej straty. Nasz stan wprawdzie zmniejszył się do pięciu osób, ale jedynie z powodu odejścia Markowskiego do szpitala i oddania Kamińskiego do innego działonu. W innych działonach sprawa przedstawiała się o wiele gorzej. Załoga pchor. Kierzkowskiego przestała istnieć - st dragon Skrzypczak był jedyną ocalałą osobą z tej grupy. Działon kpr. Augustyniaka pozostał tylko z jednym ciągnikiem i czterema ludźmi. Kpr. Sochacki zginął, a z jego działonu pozostało tylko trzech ludzi i wzięty ode mnie Kamiński. W ogólnym rozliczeniu z 28 ludzi w działonach pozostało tylko 14 zdolnych do akcji.

W późnych godzinach popołudniowych wyruszyliśmy z pod Trun do dalszej akcji. Nikt z nas nie dawał sobie sprawy z tego, że rozpoczęliśmy działania większe w rozmiarze i znaczeniu niż niedawna bitwa pod Jort. Tylko wyżsi dowódcy wiedzieli, że naszym celem było przedostanie się przez tereny pod niemiecką kontrolą i zamknięcie jedynej dla nich drogi wyjścia z "Kotła pod Falaise" Jeszcze przed naszym wyjściem z pod trun, grupa bojowa w składzie 2go Pułku Pancernego i 8go Batalionu

Piechoty rozpoczęła działania w kierunku na Chambois. Na skutek błędnej informacji otrzymanej od jakiegoś cywila, zamiast na Chambois grupa poszła na Champeaux. Niespodziewanie oni natknęli się na dowództwo niemieckie organizujące kontratak przeciwko naszej dywizji. Ta pomyłka i przypadkowe rozbitcie Niemców miało swoje dodatnie skutki i zaoszczędziło nam wiele niespodzianek bojowych..

Równocześnie z naszą grupą bojową, złożoną z 10go Pułku Dragonów i 24go Pułku Ułanów, wyszły dwie inne grupy z zadaniem zamknięcia "kotła", ale każda idąca w nieco innym kierunku. Zgrupowania w skład którego wchodził 1szy Pułk Pancerny oraz 7my i 9ty Batalion Piechoty miało opanować wzgórze Mont Ormel. 10ty Pułk Strzelców Konnych z dywizjonem ppanc dostał zadanie opanowania wzgórza 137 w okolicy Chambois. Nasz oddział, pod dowództwem mjr. Zgorzelskiego, miał zdobyć miejscowość Chambois i nawiązać kontakt z Amerykanami. Cały ten plan był tajemnicą dla nas małych żołnierzy, ale nie było dla nas tajemnicą, że mieliśmy go wykonać.

Po zorganizowaniu oddziałów bojowych natychmiast ruszyliśmy do akcji. W tym dniu nie pozostało nam wiele czasu do walki, bo wieczór już się zbliżał. Ujechaliśmy ledwie kilka kilometrów po terenie lekko zalesionym i pokrytym krzakami. Posuwaliśmy się prawie do oporu i przed nocą doszliśmy do wioski Hordouseaux. Na noc zatrzymaliśmy się w jakimś zagajniku. My wszyscy potrzebowaliśmy odpoczynku, bo nieustanna kilkudniowa akcja wyczerpała nas fizycznie i nerwowo. Każdy ze szwadronów wystawił strażę, ale czy one czuwały - na to trudno byłoby dać odpowiedź.

Następnego dnia ruszyliśmy dopiero w późnych godzinach porannych. Przyczyną opóźnienia było spóźnione przybycie wozów z zaopatrzeniem i do tego nie do wszystkich oddziałów. Wobec tego wydano nam

zmniejszone racje żywnościowe i mniej benzyny niż potrzebowaliśmy. Wody natomiast wogóle nie dostarczono. Jednak w myśl hasła rzuconego nam raz przez mjr. Zgorzelskiego "Dragoni Naprzód" ruszyliśmy do przodu. Hasło to miało swoje uzasadnienie i było dla nas niejako podniecią do działania bez względu na otaczające nas warunki. Ranny charakter akcji polegał na sporadycznych potyczkach z małymi i zdezorganizowanymi grupami Niemców. Nasza obecność w ich rejonie była dla nich kompletnym zaskoczeniem. Ich opór dlatego był minimalny. Trzeba było tylko strzec się przed sniperami, którzy terroryzowali nas ogniem z ukrycia i których trzeba było likwidować.

W późnych godzinach popołudniowych dotarliśmy do wzgórza 113, gdzie spotkaliśmy się z ugrupowaniem 10go Pułku Strzelców Konnych. Po rozpoznaniu terenu przez obu dowódców, płk. Maciejewskiego i mjr. Zgorzelskiego, wspólnie ustalono plan działania. W myśl tego planu polskie czołgi i dywizjon ppanc miały pozostać na wzgórzu z zadaniem wspierania natarcia dragonów na Chambois oraz interweniowania w wypadku niemieckiego przeciwnatarcia.

Natarcie dragonów na miejscowość wyszło z rejonu wzgórza we wczesnych godzinach wieczornych w następującym układzie: 1szy Szwadron, dowodzony przez rtm. Gierę, po prawej stronie szosy; 2gi Szwadron, dowodzony przez por. Burego, po lewej stronie szosy; 3ci Szwadron pod dowództwem por. Bielawskiego, miał ubezpieczać na parwym skrzydle natarcia; oraz plutony ppanc i ckm, pod komendą por. Bojanowskiego, miały działać po prawej stronie ugrupowania z zadaniem uderzenia od południa. W sparcie ogniowe atakującym miały udzielić własne moździerze.

Dla piechoty niemieckiej, operującej w rejonie miasta, uderzenie dragonów było całkowitym zaskoczeniem. Mimo to pojedyncze grupy broniły się zaciekle w rejonie przymiejskich sadów i ogrodów. Szwadrony

dragonów atakując nieustannie, zdołały zrolować pozycje Niemców jeszcze przed nastaniem nocy. Wejście do samego miasta okazało się niemożliwe ze względu na zatarasowanie ulic przez niemiecki, rozbity wcześniej przez działanie naszego lotnictwa. Samo miasto, jego domy i budynki, było kompletnie zniszczone i spalone - tylko wieża kościelna i kominy sterczały ponad masą gruzów.

Grupa por. Bojanowskiego, do której ja należałem, przebiła się przez zalesiony teren i zajęła stanowiska na linii żywopłotu, biegnącego na północ od miejscowego cmentarza. Moje stanowisko wypadło na lewym skrzydle tego ugrupowania, w pobliżu carriersów plutonu ckm i samego dowódcy plutonu, ppor Karcza. Mnie kazano ostrzeliwać cmentarz, widoczny przez mnie pod kątem 30 stopni na prawo. W momencie ustawiania działa, zobaczyłem po swojej lewej stronie trzy postacie żołnierskie w amerykańskich mundurach, idących w górę po lekkich pochyleniu terenowym w naszym kierunku. Najbliżsi im dragoni zdziałonu ckm pchor. Błaszkiwicz, podeszli do nich. Po drugiej stronie żywopłotu widziałem ppor. Karcza, jak krzątał się koło swego ciągnika, starając się zatamować krew ze skaleczonego palca. Sam nie mogłem podejść do Amerykanów, ponieważ prowadziłem wówczas ogień na cmentarz.

W punkcie tym nastąpiło historyczne spotkanie dwóch wyciągniętych członów pierścienia zamykającego siły niemieckie w "Kotle Falaise". Tym samym nastąpiło zrealizowanie planu Gen. Montgomery - okrążenia 7ej Armii Niemieckiej. W tej chwili prawdopodobnie nikt z nas nie przywiązywał wielkiej wagi do tego spotkania.

Dowódca grupy, powiadomiony drogą radiową przez ppor. Karcza o obecności Amerykanów w naszym rejonie, natychmiast udał się do amerykańskiego dowódcy, mjr. Dulla, celem ustalenia wspólnego działania polskiej grupy i 395 Batalionu Amerykańskiej Piechoty. Mjr. Zgorzelski



jako dowódca większej jednostki i o większym doświadczeniu bojowym przejął komendę nad całością.

W myśl naprędce ustalonego planu Amerykanie zajęli pozycje na południowo-wschodnim skraju miasta, mając przytym wsparcie jednego szwadronu polskich czołgów. Dragoni natomiast z resztą pułku ułanów stworzyli linię obronną na jego południowo-zachodniej stronie. 10ty PSK oraz Dyon Ppanc pozostały na wzgórzu 113, jako oddzielne ugrupowanie z zadaniem obrony tego strategicznego punktu.

Plutonem ckm i ppanc na noc kazano cofnąć się do tyłu i dołączyć do pułku. Znowu powtórzyła się ta sama historia, jaka miała miejsce tuż po lądowaniu w Arromanches. Małe i szybkie carriersy pod dowództwem ppor. Karcza "urwały się", a my z ciężkim sprzętem ppanc pozostaliśmy w tyle, nie znając drogi do pułku. Plut. Maryniak, dowódca naszego plutonu, zaprowadził nas do rejonu Amerykanów, którzy wskazali nam drogę do pułku przez miasto. Ledwie wjechaliśmy do pierwszych zniszczonych domów, stanęliśmy wobec barriery spalonego sprzętu niemieckiego. Przepychając się przez ulice dotarliśmy do rynku koło kościoła i tam skończyła się nam droga. Nawracanie sprzętu w ograniczonej przestrzeni zajęło nam dużo czasu. Ostatecznie późną nocą wydostaliśmy się stamtąd. Gонец zaprowadził nas do sadu, gdzie biwakował nasz szwadron.

Przy wieździe do sadu zleciała mi gąsienica z ciągnika. Przez kilka godzin pracowaliśmy razem z mechanikiem REPu nad jej założeniem, ale bez skutku. Naskutek ciemności praca była niemożliwa, wobec tego postanowiliśmy tam przenocować. Owinałem się kocem i celtą i przespałem obok ciągnika aż do dziennego światła.

Wcześniej, przed moją przeprawą z ciągnikiem. około godziny ósmej wieczorem, jakiś wycofujący się oddział Niemców niespodziewanie uderzył

na 2gi Szwadron dragonów. Naskutek tego wywiązała się gwałtowna walka. Niemcy wycofali się pozostawiając na polu rannych i zabitych. Większość tego niemieckiego oddziału ostatecznie poddała się dragonom. Ogólnie w tym dniu polskie oddziały wzięły ponad 1300 jeńców do niewoli, których oddano Amerykanom, ponieważ oni zajmowali rejon łatwiejszy do kontroli i dosteczny personel do tego celu.

Rano obudził mnie silny ogień maszynowej własnej i niemieckiej. Wśród nich górował gwizd niemieckich kul z ich karabinów maszynowych typu "Spandau". W miejscu, gdzie stałem kule przenosiły ponad nami i tylko strącały liście z drzew owocowych w sadzie. Przy dziennym świetle założyliśmy gąsienice i wzięliśmy się do gotowania śniadania. Plut. Maryniak przyszedł do nas z rozkazem, aby ubezpieczać pułk od północnej strony i przytym wypatrywać alianckich samolotów, które miały zrzuć w naszym rejonie zbiorniki z zaopatrzeniem i benzyną. Ledwie ustanowiłem działko na stanowisko, gdy Maryniak przybiegł do mnie z powrotem i kazał zająć stanowisko od strony atakujących Niemców. Kryjąc się przed kulkami w ciągniku dojechaliśmy do nakazanego nam miejsca.

Znaleźliśmy się na linii obronnych pozycji 1go Szwadronu, w plutonie rozpoznawczym ppor. Szczeniowskiego. Zajęliśmy stanowisko w przerwie żywopłotu przy drużynie kpr. Litwina. Jego grupa była pod silnym ogniem karabinów maszynowych. Miał już straty w ludziach i dziurę w swoim własnym helmie. Znając już ten teren, kpr. Litwin wskazywał nam cele, do których strzelaliśmy kruszącymi granatami. W pewnej chwili na naszym przedpolu ukazały się trzy niemieckie opancerzone działa. Już braliśmy je na cel, kiedy do nas przybiegł rtm. Kownas i zabronił nam do nich strzelać, ponieważ w jego przekonaniu były to amerykańskie czołgi. Człowiek ten powinien był przejść kurs przeciwpancerny przed

pójściem do akcji. Widocznie jemu to nie było udostępnione. Oczywiście sprzęt był niemiecki, który idąc na ukos przed naszymi pozycjami ostatecznie został zniszczony przez polskie czołgi w lewo od nas.

Podczas prowadzenia przez nas ognia przyszedł do mnie ppor. Szczeniowski i powiedział, że z pobliskiego domu na przedpolu Niemcy rzucają granatami i już zranili jednego dragona. Oddaliśmy do tego celu kilka strzałów, robiąc w nim kilka dziur. Mój dragon Lipa pobiegł tam ze stenem w rękę i z beczki wyciągnął jednego kryjącego się Niemca. Zaraz po przyprowadzeniu go ks. Stopa zaopiekował się jeńcem i odstawił go do grupy jeńców przy dowództwie pułku.

Ogień niemieckiej broni maszynowej i dział trwał cały czas z większym lub mniejszym natężeniem. Nasz odcinek niemal bez przerwy był pod niemieckim ostrzałem. Na przedpolu było dużo krzaków i dziur, które były osłoną dla Niemców a utrudnieniem dla nas. Markus, ładowniczy działa, ciągle ładował działą, a Mitko celował i odpalał. Któryś ze sniperów na przedpolu wykrył nasze stanowisko i co pewien czas puszczał serię z karabinu maszynowego na nasze działą. Po jednej z takich serii, Mitko zakrzyknął "jestem ranny". Natychmiast skoczyłem do niego i stwierdziłem, że jego kieszeń została przebita odłamkiem pocisku, który zatrzymał się na paybooku. Ciało jednak nie było tknięte. Kazałem mu odejść do ciągnika, a sam zająłem jego miejsce. Musiałem równocześnie ładować i strzelać, ponieważ Markus też odskoczył od działą. Przez pewien czas sam prowadziłem ogień na przedpole, aż ogień niemiecki nieco się uspokoił.

Na innych odcinkach Niemcy byli również czynni, atakując ciągle, w celu przebicia się przez polsko-amerykańską linię obrony. Każdy ich atak jednak załamywał się w naszym ogniu. W pewnej chwili grupa niemiecka "SS Grenadierów", wspierana przez ich broń pancerną uderzyła

na jeden z naszych szwadronów. W pierwszym impecie czołgi wdarły się na nasze pozycje, ale zostały zniszczone przez działa ułanów. Idące z nimi natarcie piechoty załamało się w polskim ogniu. Zdemoralizowani niemieccy żołnierze zaczęli oddawać się w niewolę.

Przerwa w strzelaniu na moim odcinku nie trwała długo. Po południu znaleźliśmy się pod silnym ogniem ciężkiej artylerii. Gdy pociski zaczęły eksplodować w moim rejonie wlażem pod najbliższy czołg ułanów i modliłem się, aby ta nawała jak najszybciej minęła. Później okazało się, że ten morderczy ogień był położony na nas przez artylerię kanadyjską na skutek pomyłki obserwatora. Największe straty poniosło dowództwo naszego pułku. W następnym sadku obok nas i nieco z tyłu za nami, gdzie poza dowództwem był punkt opatrunkowy, zginął zastępca dowódcy pułku, major Mincer, trzech dragonów i czternastu niemieckich jeńców. Było też wielu rannych, między innymi ppor. Herok, który później zmarł wskutek odniesionej rany. Szkody w moim działaniu ograniczyły się do małego uszkodzenia pancerza ciągnika amunicyjnego, który już poprzednio był przestrelony przez jakiś zabłąkany pocisk ppanc. . .

Po nawale artyleryjskiej nastąpiła krótka przerwa w strzelaniu. Nasze patrole zaczęły wychodzić na przedpole i przyprowadzać jeńców. Pierwszy patrol wyszedł z 1go Szwadronu, nieco w prawo ode mnie. Wkrótce widziałem tych dragonów powracających z grupą conajmniej pięćdziesięciu Niemców. Za nimi poszli inni i przyprowadzali grupami - po kilkunastu lub kilkudziesięciu jeńców. Dwóch moich młodych dragonów, Lipa i Cwil, też poszli na przedpole szukać przygody. Za pierwszym razem przyprowadzili grupę czternastu Niemców. Potem chodzili jeszcze kilkakrotnie. W czasie jednej z tych wycieczek przyprowadzili całą kompanię i jej dowódcę. Jeńcy szli z białą flagą, a Lipa i Cwil jechali za nimi



na niemieckim sztabowym samochodzie. Kilkakrotnie odradzałem ich od tych wypraw, w obawie, że mogą spotkać się z większą przygodą niż im to było potrzebne. Oni nie słuchali, aż sami doszli do tego, że mieli dość tej zabawy. W istocie rzeczy byłem dumny z tych swoich dragonów. Każdy z nich wykazał dużo poczucia obowiązku i odwagi żołnierskiej, chociaż obaj musieli zdawać sobie sprawę z tego, że szukanie za przygodną mogło zakończyć się tragicznie dla nich.

Sniperzy wciąż działali w naszym rejonie, wobec czego wzięłem się do kopania rowu. Widocznie zostałem zauważony przez jednego z nich, bo kiedy zjąłem się, by wziąć ziemię na łopatę, nagle coś jasnego mignęło mi przed oczyma i usłyszałem uderzenia pocisków karabinu maszynowego o tarczę działa. Od razu runąłem na ziemię jak długi i przeczekałem kilka minut. Kiedy podniosłem się zobaczyłem ba tarczy .lady po pociskach. Zdałem sobie wtedy sprawę z tego, że byłem tylko o włos od niebezpiecznej przygody, za którą nawet nie szukałem.

Zaopatrzenie w tym dniu do nas nie dotarło. Mogliśmy przypuszczać, że naskutek zamieszania wojennego gdzieś ugrzęzło w drodze. Później dowiedzieliśmy się, że cała nasza grupa została odcięta od swoich tyłów i dlatego, jak nas wcześniej ostrzeżono, mieliśmy je otrzymać drogą zrzutów spadochronowych. Kontenery z zaopatrzeniem zostały istotnie zrzucone na wzgórze 262, ale okazały się niecelne i dostały się w ręce Niemców. Wieczorem zaczął mżyć deszcz, jakby zamówiony w niebie dla odświeżenia powietrza przesiąkniętego swędem prochu i zgnilizną rozkładających się ciał. Wyzaczyłem dwóch dragonów do służby przy działku i jak zwykle ułożyłem się do spania przy ciągniku, owinięty kocem i plandeką.

Dnia następnego rano wybrałem się na przedpole. Teren przed nami był z rzadka pokryty drzewami i krzakami, a we wgłębieniu biegła droga

równoległe do naszych pozycji. Idąc w dół po lekkim pochyleniu terenowym, w kierunku drogi, stałem się świadkiem tragedii wojennej, która w swoim wymiarze przerastała wszystkie moje dotychczasowe doświadczenia wojenne. Wzdłuż mojej trasy śmierć była normalnym zjawiskiem, które nie robiło na mnie specjalnego wrażenia, ponieważ życie ludzkie od chwili wejścia do akcji w moim rozumowaniu straciło na wartości. Nieco dalej zobaczyłem drogę, osłoniętą przez przydrożne drzewa i krzaki, pod którymi kryło się piekło zniszczenia i śmierci. Zaduch rozkładających się ludzkich i zwierzęcych ciał w związku z nabytym już doświadczeniem nie był już dla mnie przykrym i odrażającym zjawiskiem. Natomiast widok piekła wojennego, jakie zobaczyłem na drodze, wprost przerażał mnie swoim okrucieństwem. Nasz udział w tym musiał być niewielki, bo głównym celem naszych działań i broni maszynowej było nieco dalsze przedpole. Przed nami było tu lotnictwo, które nie szczędziło ognia, by nie dopuścić do wycofania się niemieckiego sprzętu wojennego i taborów ze zrabowanym mieniem z już zamykającego się pierścienia wojsk alianckich. Wśród rozbitych i spalonych wozów i samochodów, artyleryjskich dział i moździerzy, ciężkiego sprzętu i taboru konnego leżały ludzkie trupy w stanie rozkładu i w pozycji w jakiej zastała ich śmiertelna kula, oraz również rozkładające się trupy konskie - niewinne ofiary ludzkiego konfliktu. Rozbity tabor musiał zawierać cenne bogactwa, jako łup wojenny uciekających Niemców, którzy w ostatniej chwili rabowali wszystko co im popadło w ręce. Nawet bezwartościowa waluta okupowanych krajów znalazła swoje miejsce na wozach i z kolei stała się łupem niektórych z naszych żołnierzy. Moim zyskiem stał się prosty aparat fotograficzny oraz mapnik niemieckiego oficera. Szukałem za bardziej cenną pamiątką jak niemiecki pistolet, ale tego nie ujrzałem wśród tego wojennego rumowiska.

Natomiast bardziej praktycznym łupem stały się konserwy z kury, znalezione przez jednego z dragonów, które w tym dniu bardzo się nam przydały jako uzupełnienie naszej racji.

Nasze zaopatrzenie, które nie było w stanie dotrzeć do nas, zalegało nam już conajmniej z dwudniową racją. Za zezwoleniem naszych dowódców korzystaliśmy z naszych żelaznych racji i przy okazji zapoznaliśmy się z zawartością paczek, które woziliśmy z sobą od chwili wyjazdu z Anglii. Nasze braki zaopatrzeniowe zostały częściowo uzupełnione przez Amerykanów, którzy czasowo też byli odcięci od swoich tyłów. Od nich dostaliśmy żywność, paliwo i środki medyczne - z amunicją było jednak gorzej ze względu na różnice w kalibrze między amerykańską i angielską bronią.

Dzień 21go sierpnia był raczej spokojny. Tylko sporadycznie dochodziło do wymiany ognia między nami i zdźorientowanymi grupami Niemców. Oni błakali się jak błędne owce po terenie, nie wiedząc co mają ze sobą zrobić. W terenie przed nami musiały być ich tysiące, które czekały, aby ktoś wziął ich do niewoli. Ci, których braliśmy, wyglądali zmęczeni, brudni, głodni, zdemoralizowanie i absolutnie nie wykazujący chęci do walki. Na naszych oczach bitwa powoli dogorywała w swojej bezwładności i obojętności pokonanego żołnierza. Tym samym nasze zwycięstwo stawało się dokonanym faktem.

Równolegle w czasie z najbliższym naszym sąsiedztwie rozgrywały się dwie wielkie bitwy innych polskich ugrupowań. Na wzgórzu 113, w niedalekiej odległości od dragonów, 10 Pułk Strzelców Konnych i Dywizjon Ppanc były w podobnym stopniu jak my poddane nieustannym atakom niemieckich oddziałów, starających wyrwać się z zamykającego się worka. W trzydniowej akcji ta grupa bojowa utrzymywała swoje pozycje biorąc wielu jeńców do niewoli, a wśród nich niemieckiego generała

i jego sztab, którzy do ostatniej chwili nie wierzyli w to, aby Polacy utrzymali się na swoich pozycjach. W czasie jednego z niemieckich ataków zginął dowódca tego oddziału, płk Maciejewski, trafiony kulą snipera.

Trzecia polska akcja miała miejsce na wzgórzu 262, znanym pod francuską nazwą Mont Ormel. W czasie tej akcji, jako jej kryptonim, użyto nazwę "Maczuga", którą zarówno Polacy jak i angielscy historycy przyswoili sobie w ich opisach bitwy. Trzydniowe walki o utrzymanie tej pozycji były bardziej zaciekle i krwawe niż akcje pod Chambois i na wzgórzu 113. Tam dwa pułki pancerne /1szy i 2gi/, oraz cała Brygada Piechoty walczyły nieustannie z nacierającymi oddziałami czołgów i piechoty wroga. Straty były poważne po obu stronach, ale mimo liczebnej przewagi wroga, atakującego ze wszystkich stron, Polacy utrzymali "Maczugę" i narównie z innymi polskimi grupami zamknęli Niemcom drogę do wyjścia z "Worka Falaise".

Po trzech dniach izolacji od wojsk brytyjskich, kanadyjskie oddziały pancerne dotarły do "Maczugi". Ich oczom przedstawił się widok niesamowitego zniszczenia. Bardzo obrazowo przedstawił je kanadyjski obserwator, Eddie Florentine, który spędził trzy dni akcji z Polakami, w swojej książce "The Falaise Gap". Jego kanadyjscy współtowarzysze po osiągnięciu rejonu polskich walk naznaczyli go napisem "Polish Battlefield". Jeden z angielskich korespondentów, wizytujący razem z brytyjskimi dowódcami pole polskiej bitwy, napisał w swoim artykule w piśmie "The Tank", że żadne pole bitwy w Normandii nie przedstawiało takiego obrazu piekła, śmierci i zniszczenia jak pobojowski na wzgórzu "Maczuga".

W ostatnim dniu walki nasza sytuacja zaopatrzeniowa uległa wybitnej poprawie. Przechodząca obok nas 11ta brytyjska Dywizja Pancerna



uzupełniła nasze braki amunicyjne. Następnego dnia dotarły do nas wozy naszych pułków z zaopatrzeniem. W owych dniach opływalismy w żywności, bo otrzymaliśmy zarówno bieżące jak i zaległe racje żywnościowe.

Największym wydarzeniem w rejonie Chambois było przybycie gen. Maczka do naszego pułku. W czasie wizyty Generał stojąc w otoczeniu wyższych wojskowych dygnitarzy wojskowych, złożył gratulacje mjr Zgorzelskiemu z racji odniesionego zwycięstwa. Później stojąc razem z nim na hitlerowskiej fladze wypił lampkę szampana przy melodii mariackiego hejnału, granego na trąbce pułkowej przez wachm. C. Zielińskiego. Było jakgdyby hejnał grany na zakończenie zwycięskiej akcji bojowej.

Następnego dnia popołudniu nasz rejon został przejęty przez oddział angielskiej piechoty, której zadaniem było oczyszczanie przedpola z Niemców zamkniętych w Kotle Falaise. W sadach Chambois pozostaliśmy jeszcze przez jedną noc i dopiero następnego dnia rano odeszliśmy do odwodu Kanadyjskiego Korpusu. W tym czasie nikt z nas nie rozumiał rozmiaru i znaczenia naszego zwycięstwa. Nikt z nas nie zdawał sobie sprawy z tego, że naskutek zamknięcia drogi wyjścia oddziałom niemieckim, ich tsu-tysięczna armia w Normandii przestała istnieć. Również nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, że Bitwa pod Falaise, jak ją ostatecznie nazwano w historii 2giej Wojny Swiatowej, została zaliczona narówni z Bitwą pod Stalingradem i El Alamein do rzędu trzech największych, które zadecydowały o zwycięstwie aliantów nad Niemcami.

Cztery dni przyznanego nam odpoczynku w myśl tradycji naszego szwadronu spędziliśmy na czyszczeniu sprzętu i broni. W naszym wypadku było w tym dużo przesady, co mogło różnie świadczyć o naszym dowódcy. Inne szwadrony też miały sprzęt i broń, ale ich czyszczenie odbywało

w granicach umiaru, Prawdopodobnie nikt z podwładnych rtm. Kownasa nie przyznawał mu z tej racji wybitnych kwalifikacji i zdolności dowódcy kompanii.

W ciągu jednego z tych dni do plutonu powrócił ppor. Klimczak z dowodami odniesionej rany we wcześniejszej akcji. Również w tym czasie ogłoszono nominacje, awanse i odznaczenia. W moim działonie Mitko dostał kaprała, a małemu Lipie dano stopień st.dragona. Plut. Maryniak, dowódca plutonu w czasie nieobecności ppor. Klimczaka, powiedział mi w zaufaniu, że przedstawił mnie do awansu i do odznaczenia ale dowódca szwadronu dla niego tylko znanych przyczyn nie uznał przedłożonych mu wniosków. W rezultacie czego nie dostałem niczego. Na skutek strat w sprzęcie i ludziach przeprowadzono reorganizację plutonu, w wyniku czego zmniejszono stan działonów do trzech. Po uzupełnieniu ciągników typu Lloyd z innych plutonów znowu mieliśmy po dwa ciągniki na działon.

Mimo tak ważnego zajęcia jak czyszczeni sprzętu i broni, zawsze miałem trochę wolnego czasu na rozmyślenia i refleksje. Wiele razy sięgałem myślą wstecz i przeżywałem niektóre obrazki z pola walki. Każdy z nich łączył się z akcją tego czy innego człowieka, z pewnym wojennym wydarzeniem i grożącym nam niebezpieczeństwem. W każdym z tych ludzi widziałem bohaterów, którzy narażali swoje zdrowie i życie, aby spełnić powierzone im zadanie. Kpr. Litwin, Mitko czy Markus - ludzie narażeni na nieprzyjacielski ogień, mimo ognia, trwali na swoim stanowisku. Albo Cwil i Lipa oraz wszyscy inni, którzy na ochotnika chodzili na patrole, to także ludzie pełni odwagi, obowiązku i patriotyzmu. Zastanawiałem się wówczas, czy ich wysiłek i żołnierska odwaga zostaną kiedyś docenione przez potomność i czy całe sześć tysięcy żołnierzy, walczących pod Chambois i na Mont Ormel spotkają

się z uznaniem przyszłych polskich pokoleń. Gdyby nasza sytuacja polityczna bardziej nam sprzyjała prawdopodobnie takie pytanie miałyby pozytywną odpowiedź. My, jako Polacy przeciwni ideologii komunizmu, nie mogliśmy liczyć na przyjęcie nas przez Polskę do grona bojowników o jej wolność.

Po czterech dniach odpoczynku, dnia 28go sierpnia, ruszyliśmy do dalszej akcji. Tym razem ryzyko wielkiej konfrontacji było minimalne. Działania nasze były niejako zbieraniem owoców z niedawno odniesionego zwycięstwa. Posuwaliśmy się szybko w kierunku północnym nie napotykając po drodze na opór ze strony Niemców. Natomiast na ulicach spotykaliśmy tysiące Francuzów, witających nas okrzykami "Vive La Pologne", częstujących nas owocami i butelkami wina, a najczęściej obrzucających nas kwiatami. Ich radość i wdzięczność były dla nas niejako nagrodą za nasz bojowy wysiłek. My też doznawaliśmy uczucie zadowolenia i razem z nimi cieszyliśmy się ich wyzwoleniem. W jednym z miasteczek doznałem osobiście niezwykłego przyjęcia. W miasteczku, które nazywało się Frequembes, zrobiono mi owację i obdarowano butelkami wina. Nie wiem dlaczego wybrano mnie jako przedmiot ich wdzięczności z pośród tylu dragonów wokół mnie - być może, że moja twarz wpadła komuś w oko. Mój kierowca Markus niezwłocznie schował butelki w bezpieczne miejsce, aby użyć je w bardziej odpowiednim czasie i miejscu.

Przyjemna strona wojny nie trwała jednak zbyt długo. W północnej Francji Niemcy zastosowali taktykę opóźniającą, w ramach której stawiali opór w pewnych miejscowościach o strategicznym znaczeniu. Z pierwszym oporem spotkaliśmy się pod nadmorską miejscowością, Abbeville. Jakby dla ironii miejscem naszej walki była okolica cmentarza Anglików, poległych w czasie ewakuacji Dunkierki w 1941 roku. Walka nie trwała długo, ale znowu musieliśmy zapłacić życiem naszych żołnierzy

za oswobodzenie miasta. Na moich oczach zginął por. Bury z 2go Szwadronu i jego kierowca. Pocisk moździerza wpadł w otwór "Scoutcara" zabijając obu na miejscu. W wyniku tego zwycięstwa osiągnęliśmy linię rzeki Sommy, ale nie mogliśmy przeprowić się przez nią ze względu na zniszczon mosty. Dopiero dnia następnego /3go września/ przeprowiliśmy się w miejscu zdobytym przez jeden z batalionów piechoty. Tego rana żołnierze tego batalionu doznali entuzjastycznego powitania ze strony ludności Abbeville. Dla okazania swojej wdzięczności i dla upamiętnienia dnia wyzwolenia Rada Miejska nadała honorowe obywatelstwo miasta wszystkim żołnierzom polskiej dywizji. Dla każdego z nas było to niezwykle uznanie i tym cenniejsze, że pochodziło z duszy wdzięcznego Francuza.

Tego rodzaju uznanie było dla nas zachętą do dalszej walki w myśl hasła naszych przodków, "za wolność naszą i waszą". Po przejściu rzeki Sommy po moście "Wilno", zbudowanym przez naszych saperów ruszyliśmy w dalszy pościg za uchodzącym nieprzyjacielem. Znowu przejeżdżaliśmy przez francuskie wioski, miasta i miasteczka, często obdarowywani owocami winem oraz zawsze obsypywani kwiatami. W całej dywizji chyba nie było pojazdu, który nie byłby ubrany wiązkami kwiatów, wszystko razem wyglądające niczym weselny orszak. Na innych kierunkach działały poszczególne polskie oddziały napotykały na sporadyczny opór Niemców. My natomiast posuwaliśmy się gładko i bez przygód po naszej osi marszu. Jedynym naszym kłopotem były okazyjne awarie sprzętu kołowego. Naskutek przegrzania silników niektóre pozostawały w tyle i z miejsca zabierane przez angielskie komórki naprawcze. Taka rzecz stała się z moim ciągnikiem amunicyjnym. W rezultacie tego pozostałem tylko z jednym pojazdem, obciążonym pięcioma osobami, ich bagażem, dodatkową amunicją oraz działem przyczepionym z tyłu. To skomasowanie ludzi, sprzętu i bagazu pozbawiło nas pewnych wygod, ale to nie umniejszało naszego samopoczucia.



Szybki, łatwy i bezsprzecznie przyjemny pościg za niewidocznym nieprzyjacielem miał swoje granice. Dnia 5go września natknęliśmy się na poważniejsze ugrupowanie niemieckie na wzgórzu Inverness, broniące dostępu do miasta St.Omer. Niemiecki oddział wzmocniony przez kilka dział przeciwlotniczych stał się zaporą w wykonaniu naszego zadania. Konieczność wymagała, aby zlikwidować ten punkt oporu. Zaraz po otrzymaniu ognia, 1szy Szwadron dragonów przyjął podstawę wyjściową za prawym skrzydle zorganizowanego ataku przez mjr. Zgorzelskiego. W szybki ataku zdobyto niemieckie bunkry i wzięto 120 jeńców do niewoli. Na lewym skrzydle natarcia ugrupował się 3ci Szwadron, który miał poważne trudności z opanowaniem wzgórza. Przyczyną tego był ogień niemieckich dział plot, prowadzony od strony domów na wzgórzu. Zlikwidowanie tego punktu oporu powierzono 2mu plutonowi ppanc. Ppor Klimczak wyznaczył mój działon do wykonania tego zadania. Razem z nim oraz ppor. Karczem, dowódcą plutonu ckm, udałem się w teren, gdzie obrałem miejsce do zajęcia stanowiska. Według pobieżnej oceny w tym miejscu nie powinno było zagrażać nam żadne niebezpieczeństwo. Podciągnąłem ciągnik pod górę, zająłem stanowisko w obranym rejonie i kazałem Cwilowi odprowadzić pojazd do terenowego wgłębienia w pobliżu. W chwili, kiedy Mitko, Markus i ja ustawialiśmy działo usłyszałem przenikliwy zgrzyt niemieckiego karabinu maszynowego i świst kul nad nami. Natychmiast padliśmy na ziemię. W chwilę potem rzuciłem okiem na moich ludzi przy ciągniku. Widziałem jak Lipa zatoczył się i zawołał "jestem ranny". Cwil natomiast spadł bezwładnie z ciągnika głową na dół.

Szybko podskoczyłem do nich. Cwil nie dawał znaku życia, Lipa jeszcze oddychał. Postanowiłem go ratować. Widok krwi na mundurze w okolicy piersi wiedziałem gdzie szukać za raną. Kieszonkowym nożem rozciąłem mundur i koszulę i wziąłem się do bandażowania rany.

Kiedy lekko uniosłem jego ciało, Lipa wyzionął ducha na moich rękach. Widok umierającego towarzysza broni wstrząsnął mną do głębi. W pierwszej chwili nie wiedziałem co mam robić. Patrząc na dwa nieruchome ciała młodych chłopaków ogarnęło mną silne uczucie żalu za ludźmi bardzo mi bliskimi. Następną moją myślą była zemsta za stracone życie. W ziałem do ręki karabim maszynowy i strzelałem do każdego podejrzanego obiektu na przedpolu. Strzelałem nieustannie, aż wystrzelałem całą skrzynkę z amunicją.

W tym czasie ktoś z mego działonu przekazał wiadomość o wypadku do plutonu ckm, będącego na stanowiskach tuż na moim zapleczu. Wkrótce zjawił się ppor Klimczak. Wspólnie zdecydowaliśmy usunąć ciała zabitych i wyprowadzić ciągnik z zagrożonego miejsca. Przy pomocy dragonów z plutonu ckm wydostaliśmy Cwila i Lipę poza obręb niebezpiecznego miejsca. Jeden z ciągników tego plutonu odstawił obu do tyłu. Mój celowniczy Markus podczołgał się do mego ciągnika, zapalił go i szybko wyjechał z terenowego zagłębienia i zjechał w dół po zboczu wzgórza. Pojazd z przestrzeloną chłodnicą zaraz odstawiono do pułkowej czołówki naprawczej, gdzie miano go naprawić jeszcze przed nastaniem wieczora.

Na wzgórzu wciąż operował sniper, sląc co chwilę serię pocisków w kierunku na główną drogę. Podczas gdy my byliśmy zajęci na naszym odcinku sprawą niespodziewanej straty, pluton rozpoznawczy ppor Szczeniowskiego, działając na prawym skrzydle, zdobył klasztor Mal Assise i wziął 60 Niemców do niewoli. Jego patrol też rozpozna, że siły niemieckie w mieście są nieznaczne. Dowódca 1go Szwadronu, rtm Giera, zdecydował się na zaatakowanie samego miasta. W tym czasie przyszedł rozkaz od dowódcy brygady do dowódcy pułku w słowach nie bardzo wojskowych ale wiele znaczących - "Władziu, w dzień święta Twego pułku oddaję Ci miasto St. Omer". Zgodnie z rozkazem miasto zostało zdobyte

i znowu kilkudziesięciu Niemców dostało się do niewoli. Jego zdobyciem uczciliśmy święto naszego pułku, chociaż dla mnie był to dzień bardzo przykry i smutny.

Miasto było już w naszych rękach, ale moje działo było wciąż na stanowisku pod ostrzałem snipera. Przed wieczorem ciągnął powrócił z naprawy. Teraz należało sciągnąć działo ze stanowiska. Do pomocy mnie zgłosił się radio-operator ppor Klimczaka - drg Krem. Razem podczołgaliśmy się do działa, na leżącó złożyliśmy ogony i powoli cofaliśmy je do tyłu. Po cofnięciu się na odległość kilkunastu metrów podnieśliśmy się równocześnie na nogi i silnym ruchem puściliśmy działko na dół. Po zaczepieniu go do ciągnika, odjechaliśmy z tego nieszczęsnego miejsca na odpoczynek do pobliskiej miejscowości.

Dwaj moi pozostali ludzie, Mitko i Markus, oraz ja byliśmy przejęci utratą naszych współtowarzyszy. Nikt z nas nie tknął kolacji tego wieczora. Położyłem się spać koło ciągnika, ale długo nie mogłem usnąć. Strata dwóch młodych ludzi, ochotników z Argentyny i Francji, była dla mnie bolesnym przeżyciem - trudno mi było otrząsnąć się z tego wrażenia. Rano wszyscy trzej poszliśmy odwiedzić ich grób. Obaj byli pochowani we wspólnym grobie, jakby dla podkreślenia, że zginęli razem. Trzej inni dragoni, którzy zginęli w tym samym dniu, mieli oddzielne groby. Cywilna ludność już zdążyła ubrać je kwiatami. Kiedy powróciliśmy do oddziału szwadron był już gotów do wymarszu.

Przejeżdżając przez St.Omer widziałem mury starego miasta francuskiego odświętnie przystrojone i jego ludność wciąż celebrującą swoje oswobodzenie. Tym razem nie podzielałem razem z nimi ich radosnego nastroju. Lipa i Cwil oraz ostatni obrazek ich śmierci był wciąż ze mną. Myśl o tym odsuwała wszystko inne na drugi plan. Tego dnia przejechaliśmy przez kilka miejscowości, wszędzie witani entuzjastycznie

przez szczęśliwą i uradowaną ludność. W żadnej z tych miejscowości nie napotkaliśmy oporu od wycofujących się Niemców.

Około godziny 1szej popołudniu, tego dnia, przekroczyliśmy granicę francusko-belgijską, znowu witani przez uszczęśliwioną i uradowaną ludność. Naskutek szybkiej jazdy oraz obciążenia ponad normę mój ciągnik zaczął się grzać po drodze. Co pewien czas musieliśmy stawać n boku szosy, aby ochłodzić motor. Potem z konieczności musieliśmy doganiać kolumnę, co zmuszało nas do zwiększania szybkości. W rezultacie tego na jakimś zakręcie wpadliśmy do rowu i tylko przy pomocy czołówki naprawczej zdołaliśmy się z niego wydostać. Przed wieczorem dotarliśmy do znanej mi z historii 1szej Wojny Światowej miejscowości Ypres. Przejeżdżając obok olbrzymich cmentarzy wojskowych widziałem niekończące się rzędy białych krzyży i w perspektywie tego widziałem miejsca spoczynku naszych poległych żołnierzy na francuskiej ziemi.

Samo miasto było bronione przez nieliczną załogę niemiecką, niezdolną do stawiania większego oporu. Wyglądało na to, że Niemcy czekali na nasze przyjsście, aby się oddać do niewoli. Zaraz po wejściu do pierwszych domów miasta dostałem rozkaz dostałem rozkaz zajęcia stanowiska na jednej z bocznych ulic. Ledwie zajęliśmy stanowisko, ni stąd ni zowąd, cały tłum ludzi zaczął biec w naszym kierunku, kiwając do nas rękami i kwiatami na powitanie. Pierwszy z nich podbiegł do mnie, wziął mnie w objęcia i długo uściskał powtarzając łamaną angielszczyzną, że na ten moment czekał całe cztery lata. Inni przynieśli wino i koniak i proponowali, abyśmy razem z nimi uczcili ich dzień wyzwolenia. Wszyscy trzej z nas, Mitko, Markus i ja, byliśmy przedmiotem ich adoracji i zachwytu. Na nasze działo nikt nie zwracał uwagi, natomiast ciągnik cieszył się wielkim powodzeniem. Do wnętrza nasypano masę owoców i kwiatów, a ktoś ozdobił go bukietem wspaniałych czerwonych



róż, które długo jeździły z nami, aż do zupełnego wyschnięcia. Ktoś zrobił fotografię w czasie biegu do nas i wziął ode mnie mój wojskowy adres. Później istotnie otrzymałem od niego pamiątkowe zdjęcie i przez pewien czas korespondowałem z tym człowiekiem. Wieczór się zbliżał i na rozkaz naszych dowódców musieliśmy opuścić to tak przyjemne towarzystwo i przenieśliśmy się kilka kilometrów za miasto, aby tam pozostać na noc.

Naszym zadaniem w następnym dniu /7my września/ było dalsze oczyszczanie terenu z oddziałów niemieckich. Przed wieczorem dotarliśmy do miejscowości Dixmude w okolicy Roulers. Załoga niemiecka, złożona z kilkuset żołnierzy, poddała się prawie bez oporu. W tym samym czasie inne oddziały dywizji działały na innych osiach marszu. Większym osiągnięciem dywizji było zdobycie miejscowości Roulers, Hooglede i Gits. 9ty Batalion Piechoty za bohaterską walkę w tym rejonie otrzymał od Regenta Belgii nazwę Strzelców Flandryjskich, które przyjęło się szybko i towarzyszyło im przez okres pozostałej akcji.

Dnia 8go września napotkaliśmy na zorganizowany opór oddziałów niemieckich w rejonie Aeltre. Zjechaliśmy na boczne drogi, aby dostać się do kanału Grand i uchwycić na nim przyczółek. Jeden z dragonskich szwadronów doszedł do kanału, ale wskutek silnego ognia z drugiej strony nie mógł przeprowić się przez kanał. W zaciętej walce o most zginęło kilku dragonów, wśród nich pchor. Dębicki, będący poprzednio w załodze technicznej naszego szwadronu. Stanowisko dla mego działonu wyznaczono koło nasypu w stosunkowo bezpiecznym miejscu. Od czasu śmierci Lipy i Cwila ppor Klimczak wyraźnie oszczędzał mój działon. Przede mną, w rejonie kanału, było słycać silny ogień nasz i niemiecki, ale ja sam byłem za daleko od celu, aby strzelać do Niemców po drugiej stronie.

W czasie tego obok mego stanowiska przeszedł płk Zgorzelski w towarzystwie wachm. Osowicza z widocznym zamiarem zbadania sytuacji na kanale. Po kilku minutach kilku dragonów niosło pułkownika z powrotem do tyłu. Jak się okazało nasz dowódca został ranny w udo i zabrany do szpitala. Komendę nad pułkiem objął najstarszy służbą i rangą oficer, rtm Kownas. Jego funkcję dowódcy 4go Szwadronu objął por. Szłamas. Zastępca dowódcy 4go Szwadronu, por Bojanowski, został przeniesiony na stanowisko dowódcy 2go Szwadronu. Tego samego dnia zostaliśmy wycofani z nad kanału, a nasze miejsce przejął jeden z batalionów piechoty. Odbiliśmy krótki marsz wzdłuż Kanału Grand i zatrzymaliśmy się na dwa dni na odpoczynek w miejscowości Maria Aeltre.

Nasz postój w tej wiosce nie był jednak odpoczynkiem w pełnym znaczeniu tego słowa. Niemcy po drugiej stronie kanału okazywali niezwykłą agresywność bojową. Co pewien czas byliśmy alarmowani przez cywilną ludność, ponieważ niemieckie patrole przeprowadzały się na naszą stronę, atakując okoliczne wioski, rabując żywność i rozstrzeliwując tych, którzy odmawiali współpracy z nimi. Kilka razy na dzień plutony rozpoznawcze ruszały w teren i ciągle było słychać strzelaninę w niedalekiej okolicy. W czasie tego postaju poznałem bliżej nowego dowódcę szwadronu, por Szłamasa. Wprawdzie już na samym początku wyglądał na człowieka wymagającego i stanowczego, ale w mojej pierwszej ocenie wydawał się być osobą sprawiedliwą i łatwiejszą w codziennym współżyciu niż jego poprzednik.

Nasza następna akcja polegała na ubezpieczeniu ugrupowań dywizji w rejonie miasta St.Nicholas. Sama miejscowość została zajęta wcześniej przez Kanadyjczyków. Kiedy weszliśmy do tego belgijskiego miasta, zastaliśmy tam czołgi naszych wojennych aliantów na rynku otoczone rozradowaną i entuzjastycznie szczęśliwą ludnością. Przy tej okazji

my dragoni staliśmy się przedmiotem ich uwagi. Grupa młodych dziewczynek z kwiatami w ręku otoczyła nasz ciągnik i z miejsca rozpoczęła się miła i serdeczna rozmowa w mieszanym języku belgijsko-niemiecko-angielskim. Jedna z nich miała aparat fotograficzny przy sobie i zrobiła nam pamiątkowe zdjęcie. Kilka tygodni potem otrzymałem je pocztą razem z osobistą fotografią młodej angielskiej panny. Samo zadanie ubezpieczania terenu było jakgdyby przedłużeniem odpoczynku. Zajęliśmy stanowisko na przedmieściu miasta koło domu jakiejś starszej pary belgijskiej, która chętnie pozwoliła nam na używanie wygód ich mieszkania.

Przed zapadnięciem zmroku ściągnięto nas do rejonu Kemzeke - do miejscowości zdobytej w tym dniu przez jeden ze szwadronów naszego pułku. W następnym dniu, w miarę posuwania się w kierunku północnym do granicy holenderskiej Zelandji, opór niemiecki zaczął coraz bardziej sztywnieć. Często dochodziło do wymiany ognia i znowu zaczęliśmy się krwawić w codziennych walkach. Jedną z większych konfliktów była walka o Gandawę, która trwała całe trzy dni. W czasie tego nawet wezwano lotnictwo celem wsparcia ataku czołgów 24go Pułku Ułanów. Nasz pułk, działając samodzielnie, dotarł do rejonu kanału Axel-Huilst po stronie holenderskiej, gdzie spotkaliśmy się z silnym oporem Niemców.

Do brzegów kanału dotarliśmy rankiem, dnia 16go września. Naszym zadaniem było opanowanie przeprawy na kanale oraz uchwycenie przyczółka wśród zabudowań po drugiej stronie. Wykonanie tego zadania nie było łatwe i proste. Niemcy powysadzali w powietrze wszystkie mosty i zapory wodne, powodując zalanie wodą wszystkich niżej położonych terenów. Natarcie pułku mogło pójść tylko po jedynej szosie idącej w tamtym kierunku, będącej pod ogniem niemieckim. Akcja rozpoczęła się we wczesnych godzinach rannych. Trzy szwadrony dragonów przeprawiły się na drugą

stronę kanału i po całodziennym natarciu opanowały nakazany rejon. Dalsze posuwanie się pułku nie było ani bezpieczne, ani wskazane, ze względu na niemieckie czołgi operujące na przedpolu. Zbudowanie mostu i przeprowadzenie naszej broni pancernej wybitnie ułatwiłoby zadanie dragonów. Dla jakichś przyczyn tego nie zrobiono. Zbudowano jedynie kładkę, która miała małe znaczenie dla szwadronów wysuniętych daleko do przodu.

Moim zadaniem tego dnia było ostrzeliwanie pozycji niemieckich pośrednim ogniem ze stanowiska na małym wzniesieniu terenowym, które dawało mi dobry wgląd w rejon akcji. Początkowo strzelałem granatami na każdy podejrzany punkt kanału, a tym samym wspierając przeprawę dragonów. Później, współpracując z por. Bojanowskim strzelałem do celów wskazanych przez niego na odcinku 2go Szwadronu. Po południu moje stanowisko zostało wykryte przez niemieckiego obserwatora i w rezultacie tego znalazłem się pod silnym ogniem artyleryjskim. Szczęśliwie ogień nie był celny i nie ponieśliśmy żadnych strat. Przesunąłem swoje stanowisko nieco w lewo, blisko jakiejś farmy. Z tego stanowiska niemal do wieczora prowadziłem ogień na pozycje niemieckie.

Przed wieczorem dostałem rozkaz zmiany stanowiska i zajęcia miejsca na wprost drogi prowadzącej do szwadronów na przyczółku. Zanim dojechałem na wskazaną pozycję zatrzymał mnie rtm. Kownas i kazał mi cofnąć się do tyłu, aby ubezpieczać dowództwo pułku. Kwatera dowódcy mieściła się w zamożnym domu farmerskim u bardzo uprzejmych Holedrów. W rejonie tej farmy spędziliśmy noc na odpoczynku.

Nad ranem zaczęły dochodzić do nas odgłosy wzmagającego się ognia w rejonie przyczółka. Silny ogień broni maszynowej, dział czołgowych i artylerii wskazywał na to, że nasze szwadrony zaangażowały się w silną akcję z niemieckimi oddziałami. Początkowo nie zdawałem sobie



sprawę z tego kto był atakującym i kto atakował. Nasz pluton dostał rozkaz zajęcia pozycji w rejonie kanału, na wysokim wale. Mojemu działonowi, jako pierwszemu w plutonie, kazano zająć stanowisko na wale i prowadzić ogień na szosę. Jednak na rozkaz por. Siemieniuch musiałem zmienić miejsce i przesunąć się nieco w prawo. Do wykonania tego musiałem użyć ciągnika z innego działonu, ponieważ mój ugrzązł w błocie w trakcie zajmowania poprzedniego stanowiska.

Z nowego miejsca miałem idealny wgląd na szosę, po której jeździł niemiecki czołg i strzelał do rowów wzdłuż drogi, w których kryli się wycofujący się dragoni. Mimo pomocy całej grupy dragonów nie mogłem ustawić działa dostatecznie solidnie, aby utrzymać się na grzbiecie wału w czasie strzelania. Po oddaniu pierwszego strzału do czołgu, razem z działem zjechałem po zboczu, aż do samego dołu. Celu jednak nie trafiłem, ponieważ celownik jeszcze nastawiony na wczorajsze cele był uregulowany za wysoko. Moj celowniczy był wciąż pod wrażeniem naszej działonowej tragedii pod St.Omer i dlatego zastąpiłem go przy działach. Znowu przy pomocy kilkudziesięciu dragonów ustawiłem dział na wale z jednym ogonem wiszącym w powietrzu. Podobnie jak poprzednio zjechałem razem z działem na dół po oddaniu strzału. Kiedy zająłem stanowisko po raz trzeci, tym razem lepiej okopane, niemiecki czołg znikł z szosy. Ostrzeliwałem wobec tego granatami każdy obiekt na przedpolu wskazany mi przez dragonów. W odpowiedzi na to artyleria niemiecka obłożyła nasz rejon silnym ogniem. Po drugiej stronie słyszeliśmy ciągły ogień niemieckiej broni maszynowej i sniperów. Nie było wątpliwości, że celem tego ognia byli dragoni po drugiej stronie kanału.

W czasie prowadzenia przeze mnie ognia przybiegł do mnie ppor Kilmczak, kazał pozostawić jednego dragona przy działach, a z resztą

obsługi dołączyć do organizującej się grupy dragonów dla udzielenia naszym towarzyszom za kanałem. W tym czasie nikt nie wiedział, gdzie oni są i jaką pomoc należy im udzielić. Dowództwo pułku straciło łączność ze szwadronami wcześniej tego rana. Według ostatniej informacji otrzymanej z drugiej strony, ich pozycje były atakowane przez czołgi i piechotę niemiecką. Brak broni przeciwpancernej po drugiej stronie stawiał ich w bardzo trudnej i niebezpiecznej pozycji, dlatego przypuszczaliśmy, że nasze straty będą znaczne. Na rozkaz rtm Kownasa zebraliśmy się za wałem z zamiarem przeciuderzenia - czekaliśmy tylko na resztę dragonów ze Szwadronu Wsparcia i Dowodzenia. Nasze zgrupowanie znalazło się ponownie pod silnym ogniem artylerii niemieckiej. Ktoś zdecydował, aby sprzęt odstawić do tyłu - mnie wyznaczono na dowódcę. Przejeżdżając obok pojazdu dowodcy widziałem przy nim rtm. Kownasa, który zachowywał się jakgdyby stracił kontrolę nad sytuacją. Również widziałem obok por. Jędrzejewicza w Scoutcarze prowadzącego z kimś rozmowę radiową.

Sprzęt odprowadziłem do rejonu farmy, gdzie podczas nocy mieściło się dowództwo pułku. Tam zastałem już grupę dragonów, którzy zdołali wydostać się z przeprawy za kanałem. Ich mundury były wciąż mokre od wody, a w ich zachowaniu wyczuwałem zawód z niepowodzenia, jakie ich spotkało. Od nich dowiedziałem się, że o świcie zostali zaatakowani przez piechotę i czołgi niemieckie. Będąc dobrze wkopani z piechotą mogli sobie dać radę, ale wobec czołgów byli bezradni. Według ich relacji wielu zginęło w czasie walki i wielu dostało się do niemieckiej niewoli. Takie sprawozdanie było dla mnie przerażające. Mając to na myśli obawiałem się, że podobny los może spotkać tych, którzy mieli przeciuderzyć na Niemców za kanałem. Wśród nich było moich dwóch ludzi, którzy mogli być rzućni na pastwę losu.

Na szczęście moje obawy nie spełniły się. Niedługo po moich przybyciu na farmę ci, których pozostawiłem nad kanałem też dołączyli do nas. Według ogólnej informacji, jaka kursowała w pułku, por Jędrzejewicz, adjutant pułku, przekonał rtm Kownasa, że jego planowane przeciwuderzenie byłoby tylko niepotrzebną stratą ludzi. Przeprawa przez kanał została zaniechana, a naszą grupę cofnięto do tyłu. Na nasze miejsce przyszedł jeden z batalionów piechoty wzmocniony szwadronem czołgów.

Zaraz po zebraniu się resztek pułku cofnęliśmy się do jakiejś wioski, gdzie przez dwa dni zbieraliśmy się do kupy. Stan pułku nie wyglądał imponująco. Straty były duże - w każdym szwadronie było wielu zabitych, rannych i zaginionych. Niektórzy z dragonów utonęli w kanale próbując przeprowić się na bezpieczną stronę. Z moich bliskich znajomych zginął pchor. Janusz Pobudkowski, a pchor. Józef Giba został ciężko ranny. Jedną z lepszych wiadomości w tym czasie było ogłoszenie następnej serii nominacji - podporucznikami zostali pchor. Popiak i Błaszkiwicz.

W rezultacie tej tragicznej i krwawej bitwy, zapisanej w historii Dywizji jako Bitwa pod Axel, pozostały w nas tylko refleksje o bohaterstwie tych, którzy walczyli za kanałem z przeważającą siłą lepiej uzbrojonego wroga. Imponującą stroną tej akcji była sama przeprawa przez kanał, zajęcie przyczółka, rozbicie samochodu niemieckiego z trzema oficerami i wysadzenie wozu z amunicją artyleryjską. Za tym kanałem musiało pozostać wiele epizodów godnych zanotowania w historii pułku, które zostały pochowane razem z ich bohaterami w żołnierskich grobach. Z nami pozostały dane statystyczne, wyrażone w następujących cyfrach: 25ciu zabitych, 25ciu rannych oraz 51en zaginionych. Odnośnie ostatniej pozycji nierozwiązaną sprawą jest ilość tych, którzy

utonęli w kanale i tych, którzy dostali się do niemieckiej niewoli.

Samo miasto Axel zostało zdobyte dnia 19go września przez Batalion Strzelców Flandryjskich, mający wsparcie czołgów. Nasze zadanie byłoby niewątpliwie łatwiejsze i napewno udane, gdybyśmy mieli podobną pomoc w czasie naszej akcji. Dowódca Batalionu Flandryjskiego był witany przez ludność miasta jako bohater bitwy, a jego żołnierze zdobyli sobie sławę jego oswobodzicieli. W konsekwencji naszej akcji w tamtejszym rejonie, cała prowincja Zealand została oczyszczona z nieprzyjaciela, a tym samym dostęp do ujścia rzeki Skaldy oraz ważnego portu Antwerpii został otwarty.

Po akcji pod Axel nasz pułk został odkomenderowany do miejscowości Clinge na pograniczu belgijsko-holenderskim dla dłuższego odpoczynku i koniecznej reorganizacji. W tej wojennej przerwie dostaliśmy nowego dowódcę w osobie mjr.dypl. Bohdana Mincera, oraz jego zastępcę mjr. Jana Zbroskiego, powszechnie przezywanego Kantym. Nasz poprzedni dowódca rtm. Kownas został przeniesiony do jednego z pułków pancernych na dowódcę szwadronu. Szwadron Wsparcia przeszedł radykalną reorganizację. Rozwiązano nasz pluton /2gi ppanc/, a na jego miejsce stworzono dodatkowy pluton moździerzy. Mnie przydzielono do plutonu ckm ppor. Popiaka. Jednak ze względu na brak sprzętu pozostawiono mnie jako instruktora w Kompanii Szkolnej przy Ośrodku Zapasowym. W tym miejscu rozstałem się z moją armatą "Barbarą" oraz z moimi dragonami, Mitką i Markusem.

Miejscowość Clinge była jakgdyby stworzona do odpoczynku dla frontowych żołnierzy. Było tu wiele barów, sala dancinowa oraz wiele młodych panienek, które chętnie zawierały z nami znajomości. Na jednej z zabaw poznałem młodą przystojną Belgijkę o imieniu Charget. Spotkałem się z nią kilkakrotnie mimo opozycji ojca, który patrzył niechętnie



na jej bratanie się z żołnierzami. Podobno miała narzeczonego, co prawdopodobnie było główną przyczyną szczególnej troski ojca o młodą córkę.

Błogie czasy w Clinge skończyły się dnia 27go września, kiedy nasz pułk ruszył do akcji w rejonie na wschód od Antwerpii, kierując się na holenderskie miasto Tilburg. Ośrodek Zapasowy razem ze Szwadronem Szkolnym został odkomenderowany do rzutu A2 w belgijskiej miejscowości Overmere. Nasz pobyt na tym miejscu trwał tylko kilka dni. Już 1go października dostaliśmy rozkaz przeniesienia się do wioski Schilde, będącym jakgdyby przedmieściem Antwerpii na północnej stronie rzeki Skaldy. Dowódca. W nowym miejscu Szwadron Szkolny ulokowano w opuszczony domu jakiegoś pro-niemieckiego Belga. Ja natomiast zamieszkałem na prywatnej kwaterze przez drogę od zakwaterowania dragonów.

Kwaterę dostałem w domu pobożnej rodziny katolickiej. Najmłodszy syn odstąpił mi swój pokój, a reszta rodziny dzieliła się ze mną gościnnym pokojem w dolnej części domu. W rodzinie Luikens było aż czternaścioro dzieci. Tylko czworo jeszcze mieszkało w domu rodziców - dwóch synów i dwie córki. Z pozostałych czterech było księżami, a czterech wywieziono na przymusowe roboty w Niemczech. Wszyscy domownicy byli jak najbardziej uprzejmi i gościnni wobec mnie. Często wieczorami przesiadywałem z nimi i niemal za każdym razem musiałem uczestniczyć we wspólnej modlitwie, która nigdy nie trwała mniej niż godzinę.

Na samym początku pełniłem funkcję instruktora ppanc, ale po kilku dniach także powierzono mi sprawy gospodarczo-kancelaryjne, ponieważ szef, plut. Zemelka, niemógł dać sobie radę z kancelarią.

Co pewien czas ktoś przyjeżdżał z frontu i przywoził wiadomości o działaniach pułku. Od nich dowiedzieliśmy się, że dywizja walczyła na pograniczu holenderskim w rejonie miejscowości Merxplas, Noord Bosch

oraz Veinhede. Ostatnie natarcie osiągnęło rejon Baarle Nassau i rejon lasku Alphen, gdzie powierzono dywizji zorganizowanie przejściowej obrony zajętych terenów, ponieważ Polacy wysunęli się daleko do przodu w stosunku do innych dywizji alianckich. Pułk Dragonów po osiągnięciu lasku Alphen zatrzymał się na miejscu i dozorował tamtejszy odcinek frontu.

Siedmio-dniowa akcja na pograniczu Holandii uszczupliła stan ludzi w szwadronach i z konieczności dowódcy żądali uzupełnień z Ośrodka Zapasowego. Brak oficerów przyczynił się do tego, że dowódca Szwadronu Szkolnego został powołany na front, a na jego miejsce mianowano ppor. Sokołowskiego. Miejscowość Schilde wkrótce znalazła się w rejonie bombardowania przez latające bomby, których zasadniczym celem było miasto i port Antwerpii. Ten stan rzeczy zmusił nas do szukania za bezpieczniejszym miejscem. Na nowym miejscu, we wiosce Leedijk, większość dragonów spała po stodołach. Kwatery prywatne, do których byliśmy upoważnieni z racji rangi i funkcji też nie były zbyt wygodne. Wobec tego ppor. Sokołowski zdecydował się na przeniesienie szwadronu do większego miasta Rurnout. Tam znaleźliśmy nieczynną fabrykę kart do gry i zajęliśmy ją na kwatery dla dragonów.

W większym mieście było też łatwiej o prywatne kwatery. Dla ppor. Sokołowskiego i starszych podoficerów znalazłem mieszkania w prywatnych domach. Sam wzięłem pokój u bardzo uprzejmych i niewątpliwie bogatych belgijskich staruszków. Między nimi i mną szybko zawiązały się bliskie i przyjazne stosunki. Często przynosiłem im herbatę, czekoladę i papierosy, a oni częstowali mnie jeszcze przedwojenną kawą i ciastkami. Przebywając z nimi nie tylko w towarzyskich rozmowach i raczyłem się ich smakołykami, ale też przy okazji podziwiałem ich wspaniały dom pełen luster, książek i obrazów.

Czasami w towarzystwie ppor. Sokołowskiego wybierałem się do pobliskiego baru, gdzie usługiwały młode i przystojne Belgijki. Co pewien czas spotykaliśmy tam oficerów i podchorążych z frontu. Dla nich takie wypadki były urozmaiceniem monotonnego życia na froncie. Oni też nie szczędzili pieniędzy na alkohol. My z reguły korzystaliśmy z ich hojności. Podczas gdy nasze kieszenie opróżniały się szybko z racji pobytu w mieści, oni nie mając wielkich możliwości rozrywkowych składali swoje żoły na przyszłe okazje.

Częstym gościem w szwadronie bywał ppor. Tomasz Gabryjelewski, przyjaciel Sokołowskiego i jego dowódca z plutonu moździerzy. Podczas jednych z jego wizyt obaj zaproponowali mi, abym przyjął funkcję zastępcy dowódcy plutonu u Sokołowskiego, który był wciąż w stanie organizacji. Chętnie zgodziłem się na tą propozycję, bo przewidywana a nieznana dla mnie funkcja u ppor. Popiaka nie bardzo przemawiała mi do przekonania. Mój przydział do plutonu moździerzy miał nastąpić z chwilą odkomenderowania mnie na front. W międzyczasie siedziałem w Szwadronie Szkolnym, gdzie zapoznawałem się z nową bronią i uczyłem się prowadzenia samochodu.

W tym czasie poznałem polskiego przedwojennego imigranta. Człowiek ten, średniego wieku nazwiskiem Tabisz, mieszkał w Antwerpii, gdzie przed wojną dostarczał zaopatrzenie polskim statkom zawijającym do portu. Raz nawet odwiedziłem go w jego skromnym domu. W czasie tej wizyty słyszałem kilka wybuchów latających bomb, co budziło we mnie obawę, że przy niefortunnym układzie rzeczy mogłem się stać ich ofiarą. Taka rzecz nie przydarzyła się mnie w czasie tego pobytu i cało oraz zdrowo powróciłem do Turnaut.

Jednak mój spokojny i beztroski żywot w tym miłym belgijskim mieście miał się już ku końcowi. Faktycznie zdarzyło się to nagle

i niespodziewanie. Pewnego dnia ppor. Gabryjelewski przyjechał do nas z frontu i zabrał mnie z całym moim bagażem do oddziału. Rano dnia 26go października, czule żegnany przez moich staruszków, opuściłem ich gościnny dom i ich rodzinne miasto, szczęśliwie nie tknięte przez zniszczenia wojenne. Przede mną była następna faza moich przygód wojennych z chwilą przekroczenia granicy belgijsko-holenderskiej, wprawdzie znaczonej przedwojennymi budkami, ale stojąca otworem dla pojazdów wojskowych.



## XI. W PRZYJAZNEJ HOLANDII.

Granica holenderska dała mi znać o sobie, kiedy przejechałem przez otwartą rampę, której wojna nadała nominalne i symboliczne znaczenie. Teren płaski, z lekka zadrzewiony, ale gęsto zabudowany, prawie w niczym nie różnił się od belgijskich okolic, pozostawionych za niewidoczną, lecz uznawaną przez ludzi linią granicy. Jedyną i zasadniczą różnicą między dwoma oddzielnymi krajami było to, że w Belgii już panował spokój, podczas gdy w Holandii wojna była jeszcze w pełnym toku. Siedząc w Fordsonie .75 jechałem w kierunku rejonów objętych akcją pozycyjną, gdzie czekał na mnie wykopany dołek, kilka luf moździerzowych oraz seria nowych przygód wojennych.

Po dołączeniu do dragonów moja funkcja przewidywana wcześniej uległa pewnej zmianie na moją korzyść. Ponieważ ppor. Sokołowski pozostał w Turnout na tymczasowej funkcji dowódcy Szwadronu Szkolnego, ja, jako jego zastępca, do czasu jego powrotu do oddziału miałem przejąć obowiązki dowódcy plutonu. Na samym początku wynikło małe nieporozumienie między mną a szefem plutonu, który niebardzo chciał podporządkować się podchorążemu. Ostatecznie dla dobra spokoju w plutonie tak ułożyliśmy swoją wojskową zależność, aby sobie nawzajem nie przeszkadzać. Pewien wpływ na to miało wejście do ponownej akcji następnego dnia rano.

Działanie naszej grupy bojowej złożonej z Pułku Dragonów oraz 24go Pułku Ułanów rozpoczęło się dnia 27go października we wczesnych godzinach porannych. Dla ułatwienia nam zadania saperzy zrobili przejścia w polach minowych. Rejon przedpoła musiał być solidnie zaminowany, bo na naszych oczach miny wybuchwały co chwila pod ciężkimi łańcuchami czołgów typu Churchill. Jeden z naszych motocyklistów, który odważył się zjechać nieznacznie z oczyszczonej linii zapłacił za to utratą tylnego koła - sam wyszedł cało z tej opresji. Nasze natarcie przez lasek Alphen było skierowane na miejscowość Gilze, która po ciężkiej walce jeszcze przed wieczorem została opanowana przez dragonów. Nasz postój w tej wiosce trwał bardzo krótko - o zmierzchu kazano nam ruszyć dalej.

Przy świetle dogorywającego dnia weszliśmy w rejon byłego niemieckiego lotniska, solidnie zbombardowanego przez alianckie lotnictwo. Prawdopodobnie zasadniczą przyczyną tak gruntownego zniszczenia były wyrzutnie rakietowe, zbudowane w tym rejonie. Tutaj widziałem z daleka oryginalne latające bomby /V1 lub V2/, leżące bezużytecznie obok zniszczonych wyrzutni. Chętnie byłbym się przyglądał im bliżej, ale w czasie natarcia na to nie było czasu. Po przejściu przez lotnisko znaleźliśmy się na szosie prowadzącej do Tilburg w rejonie wioski Rijen. Wisoka, podobnie jak lotnisko, musiała być przedmiotem ciężkiego lotniczego bombardowania, bo tylko niewiele domów wciąż nadawało się do użytku.

Nasze plutony moździerzowe zatrzymały się obok kilku jeszcze stojących domów, przy skrzyżowaniu dróg. Noc była ciemna, a jesienne zimno przenikało nas do kości. Po wyznaczeniu posterunków udałem się do jednego z domów, aby się nieco ogrzać i dostać gorącej wody na herbatę. Wewnątrz zastałem dwóch dorosłych mężczyzn, którzy chętnie spełnili

moją prośbę. W toku rozmowy dowiedziałem się, że ich rodziny dla bezpieczeństwa siedzą w zewnętrznym schronie. Gorąca herbata była dla nas zbawieniem. Prznikliwe zimno stało się mniej dokuczliwe, a ciało zaczęło funkcjonować normalnie. W ciągu nocy okoliczności wojenne urządziły nam niespodziewaną pobudkę. Pierwszy pluton pod dowództwem pchor. Cesia Przespolewskiego dostał rozkaz prowadzenia ognia na cele niemieckie. Nasz ogień okazał się niecelny, naskutek czego rozkaz został odwołany.

Około godz 9ej dnia następnego ruszyliśmy do dalszej akcji. Posuwaliśmy się powoli po lewej stronie szosy w kierunku północnym. Po pewnym czasie wjechaliśmy ponownie na lotnisko i dojechaliśmy do jakiejś wioski, gdzie zajęliśmy stanowiska i krótko prowadziliśmy ogień. W tym rejonie znaleźliśmy się w zasięgu niemieckich działek piechoty "Infanterie-geschutze". Na skutek tego ognia dwóch naszych dragonów zostało rannych. Przed wieczorem wreszcie dostaliśmy gorącą strawę z kuchni szwadronowej. Razem z konwojem zaopatrzenia dołączyły do nas dwa carriersy ze sprzętem i załogami, jako uzupełnienie mego plutonu.

O zmierzchu opuściliśmy wioskę, kierując się na miejscowość Dorst. Patrząc na mapę i na nasz kierunek mogłem przypuszczać, że naszych ostatecznym celem mogło być miasto Breda, stolica holenderskiej prowincji Nord Brabant. Dla mnie, małego dowódcy plutonu, wyższe plany wyższych dowódców nie były udostępnione. Moim obowiązkiem było podporządkowanie się rozkazom i posuwać się do przodu bez pytania o cel i przyczynę. Dlatego ani ja, ani ludzie mego pokroju, nie wiedzieliśmy, że strategia gen. Maczka polegała na otoczeniu Bredy i zmuszeniu Niemców do wycofania się z miasta. W tym planie też mieścił się drugi cel, które polegał na zaoszczędzeniu miastu niepotrzebnego zniszczenia.

My, mali żołnierze, byliśmy w tym wszystkim małymi pionkami, którymi nasi dowódcy poruszali na terenowej szachownicy w zależności od potrzeby prowadzonej akcji.

Zaraz po wyjeździe z wioski zgubiłem dwa carriersy, którym na zakręcie pozlatywały gąsienice. Gdy one nie dołączyły do nas w przewidywanym czasie wysłałem do nich swego gońca, drg. Ludygę. Goniec powrócił z niczym, wobec czego ppor. Gabryjelewski wysłał swego motocyklistę, który też powrócił bez oczekiwanego rezultatu. Noc znowu była ciemna i zimna. Jedyne palące się zabudowania na przedpolu oświecały nam nieco drogę. W czasie jazdy znowu zmarzłem jak kołymski łagiernik. Moim marzeniem był kubek gorącej herbaty, co w warunkach tej nocy nie było możliwe do zrealizowania. W ciemności nocy jechaliśmy polnymi drogami po nierównym terenie, co powodowało zlatywanie gąsienic. Z konieczności musieliśmy się zatrzymywać w polu, aby naprawiać nasze pojazdy. W niedalekiej odległości przed nami polskie czołgi prowadziły silny ogień na pozycje niemieckie, co wskazywało na ich zaciekły opór na tym odcinku frontu.

Późną nocą dotarliśmy do wioski Dorst. W niedalekiej odległości od wejścia na szosę Breda-Tilburg, zatrzymaliśmy się wśród zabudowań na jej skraju. Dygotając z zimna zapukałem do jednego z domów z zamiarem dostania gorącej wody na herbatę. Drzwi otworzyła jakaś staruszka. Przy świetle świecy na stole zobaczyłem jej rodzinę, patrzącą na mnie oczyma przestraszonych ludzi. Zwykle byliśmy witani słowem radości i uczuciem zadowolenia - tym razem przyjęto nas milczeniem. Wprawdzie ich zachowanie nie wydawało się być naturalnym, ale w tym czasie nie bardzo zastanawiałem się nad tym. Staruszka zagrzała nam kubek wody i na tym zakończyliśmy wizytę w jej domu. Oczywiście gorąca herbata była dla nas znowu cudownym napojem, który pozwolił nam na rozruszanie naszych zmarzniętych mięśni.



Wkrótce potem znaleźliśmy się na głównej szosie i skręciliśmy w kierunku na Brede. Po ujechaniu około dwóch kilometrów, szwadrony dragonów spieszyły się i rozpoczęły akcję po obu stronach szosy. Nasz szwadron /Wsparcia/ dostał swój odcinek w niedalekiej odległości od miasta, po lewej stronie szosy, gdzie natychmiast ustawiliśmy moździerze na stanowiskach.

Na niebie zaczynało się już rozwidniać. Sam widok okolicznych domów miasta ukazał się przed nami dopiero po uniesieniu się rannych oparów. Moje pole widzenia było wybitnie ograniczone rzędami krzewów i drzew przecinających przedpole w każdym kierunku. Ponad nimi widziałem w dali szare rzędy dachów i strzelistą wieżę najbliższego kościoła. Główna część tego starożytnego holenderskiego miasta była wciąż zakryta przede mną.

Niemal do całkowitego rozjaśnienia się na szosie było słychać ruch wojskowych pojazdów. Dragoni zajmowali stanowiska w naszym rejonie po prawej i lewej stronie od nas. Ta aktywność naszych oddziałów widocznie nie uszła uwagi niemieckich obserwatorów, bo oklica szosy były stale okładane ogniem ich działek piechoty. Z rozkazu gen. Maczka nam nie wolno było odpowiadać na nie, aby nie niszczyć miasta. W moim bezpośrednim rejonie było stosunkowo spokojnie. Jednak ten spokój nie trwał długo. Po rozjaśnieniu się, szrapnele niemieckie też zaczęły rozrywać się nad nami.

Rano ppor. Gabryjelewski wysłał patrol do wioski Dorst, aby sprowdzić Fordson, który ugrzązł tam w ciągu nocy. Patrol powrócił z niczym, ponieważ przed dojściem do wioski Niemcy otworzyli na nich ogień z broni maszynowej. Wniosek z tego był wyraźny, że po naszym przejściu przez miejscowość Dorst zostało opanowane przez nich ponownie. To też wskazywało na to, że zostaliśmy odcięci od naszych tyłów. Wtedy

przypomniałem sobie niewyraźne twarze Holendrów w domu, do którego wstąpiłem w ciągu nocy. Czyżby Niemcy siedzieli w tych zabudowaniach, kiedy my przechodziliśmy przez wioskę? Mając to na uwadze zacząłem niepokoić się losem dwóch moich carriersów pozostałych z tyłu w czasie naszego nocnego marszu. Razem z nimi miał też być mój goniec, który dotychczas nie dołączył do plutonu.

W pewnym okresie dnia niemiecki ogień zaczął słabnąć. Co ogólnie wpłynęło na lepsze samopoczucie wśród dragonów. Ppor. Gabryjelewski przeszedł się wzdłuż pozycji swego oddziału i zatrzymał się przy mnie, aby swoim zwyczajem opowiedzieć mi jakiś kawał. Niemcy musieli zauważyć ruch na naszym odcinku, bo ponownie otworzyli ogień na nas. Po kilku seriach z dzizek piechoty w naszym rejonie znów zapanował spokój. Wyszedłem z rowu, aby sprawdzić, czy w plutonie wszystko jest w porządku.

Ledwie wyszedłem nazewnątrz zobaczyłem grupę dragonów stojących przy stanowisku ppor. Gabryjelewskiego. Podeszedłem bliżej do nich. Okazało się, że on i jego radio-operator zostali ranni. Pośpiesznie opatrzyliśmy ich rany i wszyscy wspólnie odnieśliśmy obu do punktu opatrunkowego na szosie. Później okazało się, że w naszej grupie moździerzy było trzech rannych, w tym dwóch z mego plutonu. Odprowadziłem jednego z nich do punktu opatrunkowego i w drodze powrotnej zatrzymałem się u ppor. Kubita. Od niego dowiedziałem się, że mój przyjaciel pchor. Edzio Rzechowski i cała jego obsługa zostali ranni. Pocisk niemiecki wpadł do jego ciągnika, zabijając jednego dragona i raniąc pozostałych.

Złe wiadomości zdawały się nie mieć końca tego dnia. Przed wieczorem przybył do naszego oddziału moździerzy plut Lipiński. On przyniósł wiadomość o losie moich dragonów, którzy pozostali z tyłu w ciągu nocy.

Według jego relacji mój motocyklista, drg. Ludyga zginął na miejscu przy wjeździe do Dorst. Załoga pierwszego carriersu zniknęła, co mogło świadczyć, że dostali się do niewoli. Załogi pozostałego carriersa i samochodu naprawczego zdołały wycofać się do tyłu i uniknąć losu swoich kolegów, dzięki szwadronowi czołgów 10go PSK, który przypadkowo znalazł się w tamtym rejonie i zaatakował Niemców. Jeden z uratowanych, kpr. Woźniczko, opowiedział mi, że przed wjazdem do wioski pytali jakiegoś Holendra gdzie są Polacy. On wskazał im wioskę Dorst. Niemal natychmiast po wjeździe do niej spotkali się z ogniem niemieckim. Pierwszy padł motocyklista. Los zaginionych dragonów z pierwszego carriersa nie był mu znany. On sam zdołał się wycofać do tyłu, pozostawiając wóz na miejscu, który został spalony, podobnie jak drugi carriers.

Odejście ppor. Gabryjelewskiego do szpitala stworzyło lukę na szczelb dowódcy oddziału mózdzierzy, do wypełnienia której było dwóch podchorążych. Z racji dłuższej służby w mózdzierzach komendę nad oddziałem przejął Cesio Przespolewski, którą miał sprawować aż do przybycia ppor. Sokołowskiego. Dla Cesia miałem szczególne uznanie, chociaż w czasie akcji rzadko się spotykaliśmy. Ten młody człowiek, ochotnik z Francji, cichy, spokojny i fotograf z zamiłowania miał tą ludzką cechą w sobie, że potrafił zjednywać sobie przyjaciół. Nie wiem jakie on miał zdanie o mnie, ale spodziewałem się z jego strony wzajemnych uczuć. Przykład naszego oddziału świadczył o braku oficerów w naszym pułku, ale to nie miało większego wpływu na ich uzupełnienie drogą nominacji.

Późnym popołudniem ogień niemiecki nagle umilkł. Jak się później dowiedziałem przyczyną tego było wycofanie się niemieckich oddziałów z miasta w obawie przed ich okrążeniem przez polskie oddziały. Nasze

bataliony piechoty i pułki pancerne przez zajęcie miejscowości Ginneken i Princenhagen otoczyły miasto od strony zachodniej i północnej. Inny oddział czołgów zamknął Niemcom drogę od strony południowo-zachodniej przez zdobycie miejscowości Oranienboom. Nasz pułk dragonów trzymał odcinek południowy na przedmieściach Bredy. W tej sytuacji oddziałom niemieckim groziło kompletne okrążenie, wobec czego ich dowódca zdecydował się na wycofanie swoich oddziałów w kierunku rzeki Mozy.

Wieczorem tego dnia, jeszcze nie wiedząc, że Niemcy opuścili miasto, uformowaliśmy kolumnę na szosie do ponownego marszu. Podczas tego mój kierowca drg. Konieczny zapalił papierosa i rzucił zapalniczkę na podłogę. Carriers momentalnie stanął w płomieniach. Dzięki gaśnicy i przytomności umysłu moich ludzi ogień zdołano ugasić. Wkrótce potem wyruszyliśmy w kierunku miasta. W ciemnościach nocy początek kolumny urwał się przede mną. Kiedy dojechałem do skrzyżowania dwóch głównych ulic nie wiedziałem w jakim kierunku mam jechać. Skręciłem w prawo i dojechałem do jakiejś dragońskiej placówki. Tam poinformowano mnie, że przez nich nie przejeżdżał żaden oddział. Cofnąłem się z powrotem do skrzyżowania, gdzie już na mnie czekał goniec, wysłany przez Cesia Przespolewskiego.

Jadąc za gońcem dotarliśmy do dużego murowanego budynku, otoczonego rowem z wodą, gdzie mieliśmy pozostać na noc. Po ulokowaniu ludzi na kwaterze, a sprzętu na podwórku, poszedłem pobrać mój pierwszy gorący posiłek w tym dniu. W godzinę potem do oddziału dołączył ppor. Sokołowski. Zaraz po jego przybyciu uzgodniliśmy, że Sokołowski zajmie miejsce Gabryjelewskiego, Cesio Przespolewski pozostanie jako dowódca pierwszego plutonu, a ja obejmę dowództwo 2go. W ciągu nocy jeden z wartowników urządził nam niespodziewany alarm. W ciemności



nocy jemu wydało się, że ktoś przekrada się przez rów. On z miejsca otworzył ogień na urojonego nieprzyjaciela, stawiając cały nasz oddział na nogi.

Rano, dnia 30go października, weszliśmy do południowej części Bredy w rejonie Teteringsche Dijk. Mój pluton zajął placówkę na skrzyżowaniu dróg Breda-Tilburg-Osterhout. Na placówce pozostawiłem swego zastępcę, kpr. Jana Bienka, a sam z drugą drużyną poszedłem na patrol do pobliskich zabudowań. W jednym z nich znaleźliśmy ubrania i osobiste rzeczy pozostawione przez Niemców. Inny budynek był zamknięty, którego solidne drzwi i zamek nie pozwoliły nam wejść do środka. Kiedy przechodziliśmy obok pompy benzynowej, zobaczyłem kilka młodych dziewczynek idących w naszym kierunku. Zacząłem rozmawiać z nimi po angielsku, ale one nie wiele z tego rozumiały. Wkrótce zjawił się kilkunastoletni chłopak, znający nieco język angielski. Zaraz za nim przysła młoda dorastająca panienska, również znająca mowę angielską na tyle, że mogłem z nią swobodnie rozmawiać.

Dowiedziałem się od niej, że ona i młody chłopak są rodzeństwem i mieszkają w domu, przy głównej szosie. Zanim mój pluton odszedł z placówki, młoda Holenderka, Cherry, i ja staliśmy się dobrymi znajomymi. W myśl angielskiej wojennej tradycji wymieniliśmy między sobą adresy i dostałem od niej jej fotografię. Prz odjeździe, kiedy siedziałem już w carriersie, Cherry przyniosła mi szklankę mleka i kilka owoców, za co zrewanżowałem się jej czekoladą i angielskimi sucharkami. Pożegnaliśmy się długim uściskiem i całusem, jak dwoje młodych dobrych znajomych.

Moim zadaniem było przejechać na południową stronę Bredy, aby w poza miejskiej okolicy zająć placówkę na noc. Akurat był tam mały domek, gdzie pomieściłem pluton. Miejsca tam jednak nie było wiele.

Dlatego noc spędziłem pod plandeką nazewnątrz. Następnego dzień był dla nas jakby dniem odpoczynku. Wprawdzie mieliśmy moździerz na stanowisku, ale nie prowadziliśmy ognia. Przed południem wdałem się w rozmowę z jakimś Holendrem, który przechodził obok placówki. Okazało się, że on był w drodze do tej części Bredy, gdzie mieszkała Cherry. Skreśliłem krótki list do niej i poprosiłem o doręczenie do niej mego pisma. Odpowiedź otrzymałem jeszcze w tym samym dniu. W krótkim liście dziewczyna prosiła, abym odwiedził ją i jej rodzinę, kiedykolwiek ku temu nadarzy się okazja.

Okazja nadarzyła się jeszcze tego samego dnia. Po południu wróciliśmy z placówki na południową stronę Bredy. Po ulokowaniu się na kwaterze poszedłem pod znany mi już adres, gdzie przed domem spotkałem Cherry i całą jej rodzinę. Rodzice zaprosili mnie do domu, gdzie przy kawie i na rozmowie przesiedziałem do wieczora. Wszyscy w domu, poza matką, znali angielski język, co pozwoliło mi rozmawiać swobodnie na różne tematy, jakie ich i mnie interesowały. Zanim opuściłem ich dom byliśmy wszyscy razem dobrymi przyjaciółmi. Znowu dostałem zaproszenie do ich domu, które odnosiło się do każdej mojej wizyty w Bredzie.

Następnego dnia rano /2go listopada/ wyruszyliśmy ponownie do akcji. Tym razem zadaniem polskich oddziałów było zdobycie przyczółka na kanale Mark, silnie bronionego przez Niemców. Ich celem było niedopuszczenie nas do rzeki Mozy. Akcja nad kanałem trwała cały dzień i zakończyła się uchwyceniem dwóch przyczółków przez Batalion Strzelców Podhalańskich w Ter Aalst i przez 9ty Batalion Strzelców w miejscowości Vraggelen. Zadanie moździerzowe polegało na ostrzeliwaniu pozycji niemieckich za kanałem. W trakcie tego strzelania znaleźliśmy się kilkakrotnie pod ogniem nieprzyjacielskiej artylerii. Noc spędziliśmy w rowach, wykopanych w miękkiej piaszczystej ziemi.

Rankiem dnia następnego przeprawiliśmy się na drugą stronę kanału przez most zbudowany w ciągu nocy przez naszych saperów. Po drugiej stronie zajmowaliśmy stanowiska kilkakrotnie, ale nie strzelaliśmy wiele. Zadaniem pułku w tym dniu było pogłębienie przyczółka w kierunku na Den Houte i Made. We wiosce Den Hout zatrzymaliśmy krótko, tylko na tyle aby zjeść przywiezioną nam gorącą kolację. O zmierzchu przenieśliśmy się do wioski Made, zdobytej wcześniej przez jeden z dragońskich szwadronów.

Obydwa nasze plutony moździerzy zostały ulokowane na noc w dwóch małych chałupkach. Wieczorem, kiedy sprawdzałem rejon plutonu, zajrzałem do jednego z małych domków stojących na uboczu. Na moje pukanie ktoś raptownie otworzył drzwi i zawłał "Hande hoch!" Szczęśliwie nie miałem Stena przy sobie, bo w innym wypadku mogłbym odpowiedzieć ogniem. W domku tym było dwóch naszych żołnierzy, którzy dla żartu mogli stworzyć przykrą i tragiczną sytuację. Noc minęła spokojnie, tylko od strony Moerdijk dochodziły do nas odgłosy broni maszynowej.

W Szwadronie Wsparcia, do którego należały moździerze, w czasie akcji na Brede nastąpiła jedna zasadnicza zmiana, o czym dowiedziałem się kilka dni później. Tymczasowy dowódca naszego szwadronu, por. Lolek Szlamas, odszedł na zastępcę 2go Szwadronu, a dowództwo nad naszym objął rtm. Zbigniew Giera. Oficera tego znałem już wcześniej, ale tylko z widzenia. Wiedziałem, że był zawodowym oficerem kawalerii, że lubił lepsze rzeczy w życiu i że z natury był pogodnym i wyrozumiałym człowiekiem. W tym czasie on był jedynym dowódcą szwadronu z początkowej obsady oficerskiej, który jeszcze uchował się w pułku.

Moje pierwsze spotkanie z nowym dowódcą miało miejsce dopiero w Dorst, dokąd przeniesiono nas po akcji w Made. Na tym postoju memu plutonowi wyznaczono najgorsze kwatery. Natychmiast interweniowałem

w tej sprawie u rtm. Giery. Ku memu zdziwieniu nowy dowódca przyznał mi rację i pozwolił na zajęcie kwater w jednym z większych domów przy głównej szosie. Byliśmy wprawdzie oddzieleni od reszty oddziału, ale mieliśmy stosunkowo wygodne mieszkania. Ponadto dom ten leżał niemal na granicy Bredy, co bardzo sprzyjało moim skrytym planom. Podczas tego postoju, który trwał aż do 11go listopada, byłem częstym gościem u moich nowych holenderskich przyjaciół, gdzie w towarzystwie tej rodziny i młodej Cherry spędziłem kilka przyjemnych wieczorów.

W czasie, kiedy zażywaliśmy dobrodziejstw dłuższego odpoczynku, inne oddziały dywizji prowadziły dalszą akcję bojową w rejonie Moerdijk. Walka nie była łatwa, ponieważ Niemcy umocnili swoje pozycje betonowymi bunkrami i zaporami, a pozatem podmokły i bagnisty teren utrudniał prowadzenie akcji. Ostatecznie, dnia 8go listopada, 8my Batalion Piechoty przy wsparciu czołgów 24go Pułku Ułanów dotarł do brzegów rzeki Mozy i opanował miejscowość Moerdijk. Tym samym prawa strona dostępu do rzeki Skaldy oraz Antwerpii znalazła się w rękach wojsk alianckich.

Następnym naszym miejscem postoju była największa wioska holenderska Oosterhout, licząca wówczas 100,000 mieszkańców. Prawdopodobnie mieszkańcy tej miejscowości kierując się tradycją nie dążyli do zmiany stanu politycznego i byli nawet dumni z tego, że mieszkają we wiosce. Do Oosterhout nie mogliśmy dojechać bezpośrednią szosą z Bredy most na kanale nie był jeszcze naprawiony. Dlatego musieliśmy objechać okrężną drogą przez Tilburg. Oosterhout był przewidziany na nasze zimowe zakwaterowanie, a naszym jedynym zadaniem miało ograniczać się do pozycyjnej akcji na Mozie.

Oosterhout nie zrobiło na mnie wrażenia wioski. Przeciwnie była to duża miejscowość z wszystkimi cechami starożytności oraz



z wszystkimi miejskimi urządzeniami i budynkami, jak rynek, ratusz, kościoły i zabudowania fabryczne. Nigdy nie oglądałem tej miejscowości w szczegółach, ale byłem pewny, że przeszłe lata zachowały tam wiele historycznych artefaktów, godnych oglądania. Jednak już od pierwszego dnia spotkaliśmy się z uprzejmością i gościnnością Holendrów i to dla nas było najważniejszą ich cechą, na której można było budować przyjaźń i miłe znajomości.

Kwatermistrze szwadronu wyznaczili mi miejsce w domu starszego Holendra, gdzie dzieliłem pokój z pchor. Iwanickim, plut. Zemelką oraz kpr. Bienkiem. Mieszkanie było dość ciasne, ale każdy z nas miał własne łóżko oraz inne wygody prywatnego mieszkania. Domem zajmowała się jego córka, osoba w średnim wieku, którą nasi dragoni nazywali "Tante Pitie", czyli "Ciocia Petronela". Do dziadka bardzo często zaglądała jego wnuczka Lina, młoda i ładna panna, aby pomagać ciotce w domowej pracy. Między mną a młodą panną wkrótce zawiązała się dobra i bliska znajomość, mimo że Lina miała już narzeczonego.

Tuż po ulokowaniu się na kwaterze, dowiedziałem się, że rtm. Giera wybiera się na przepustkę do Antwerpii. Skorzystałem z tej okazji i pojechałem razem z nim, aby odwiedzić stare kąty w Schilde i Turnout. Wszędzie byłem witany jak stary przyjaciel. Rodzina Luikens zrobiła mi uroczysty obiad z racji święta mego patrona, Sw. Stanisława, i jako prezent imieninowy dała mi torbę ładnych czerwonych jabłek. Do Antwerpii powróciłem na czas, aby zdążyć na odjazd do oddziału.

Następne kilka tygodni układało się według normalnej rutyny wojskowej - ranne apele, wart, służby, okazyjne czyszczenie sprzętu oraz w wypadku moździerzy częste wyjazdy na Mozę, aby ostrzeliwać niemieckie pozycje. Moje prywatne życie zamykało się w granicach znajomości z Liną, wyjazdów do Bredy do Cherry i jej rodziny, oraz odpisywania

na listy moich przyjaciół i przyjaciółek w Anglii. Kilkakrotnie wybrałem się z Liną na zabawę żołnierską. W czasie jednej z nich dziewczyna zgubiła złoty zegarek, co wprowadziło dużo konsternacji na salę. Ostatecznie wszystko zakończyło się dobrze, bo ktoś znalazł zegarek i zwrócił tak cenną dla niej rzecz. Przy jednej z okazji poznałem jej rodziców, bardzo miłych i uprzejmych ludzi, z którymi się zaprzyjaźniłem, i odtąd byłem częstym gościem w ich małym ale przytulnym domku.

W dzień wizytacji Marsz. Montgomeryego w Bredzie /25ty listopada/ wyjechałem na przepustkę do Antwerpii. O przepustki nie było trudno, ponieważ niewielu żołnierzy z nich korzystało i dla chętnych zawsze znalazły się miejsca. Wyjazd ten był dla mnie szczególnie pamiętny z racji wielkiej a niespodziewanej przygody, jaka mi się przydarzyła i która mogła zakończyć się dla mnie tragicznie.

Antwerpia w owym czasie była bombardowana przez latające bomby dniami i nocami. Jej port, jako największy punkt zaopatrzeniowy, stał się głównym celem ataków niemieckich, ponieważ zniszczenie tego bardzo utrudniłoby przyszłą aliancką akcję. Wiedziałem o tym przed wyjazdem, ale wierząc w swoje szczęście byłem pewny, że nic mi się tam nie stanie. Jednak dla pewności na nocleg udawałem się do moich przyjaciół w Schilde. Dnie spędzałem w Antwerpii zarówno dla rozrywek jak dla odwiedzenia mego dawnego znajomego Polaka Tabisza. Kiedyś pozostawiłem tam swoje prywatne rzeczy i poszedłem do niego, aby je zabrać. Razem z nimi również zwiedziłem niektóre części miasta godne widzenia. Tuż przed powrotem odwiedziłem go ponownie, aby się z nim pożegnać. Po wyjściu od niego, gdy znalazłem się obok Głównego Dworca, usłyszałem potężny wybuch za sobą i niemal natychmiast różne metalowe części zaczęły spadać wokół mnie. Wielu przechodniów wojskowych i cywilnym padło na ulicę, by

w rysztoku szukać schronienia przed odłamkami. Dla mnie, wojaka z frontu, ukrywanie się w otwartej przestrzeni po fakcie wyglądało dość zabawnie ale zrozumiałe, bo każdy na swój sposób chce uchronić się przez niebezpieczeństwem.

Do odejścia wozu pozostało mi jeszcze dość dużo czasu. Na rogu dwóch ulic, w półsuterynie dużego budynku była angielska kantyna NAAFI. Postanowiłem tam wstąpić na herbatę i ciastko. Przed wejściem rzuciłem okiem na niedaleki bulwar, krzyżujący się z ulcą, którą szedłem. Na skrzyżowaniu widziałem dwóch angielskich policjantów regulujących ruch kołowy oraz masę ludzi idących w każdym kierunku, a wśród nich szkockiego oficera w stroju galowym swego pułku. Mimo niedawnego wybuchu bomby w niedalekiej odległości, życie biegło swoim torem, a to co miało miejsce kilka minut temu należało już do przeszłości.

Wewnątrz lokalu, po zakupieniu herbaty i ciasta, przysiadłem się do cywila, Belga, który wdał się ze mną w rozmowę na temat niedawnego wybuchu bomby. Jego ostatnim zdaniem, wypowiedzianym do mnie, była absolutna decyzja, że po powrocie do domu wywiezie rodzinę za miasto. Ledwie Belg skończył ostatnie zdanie, cały budynek zatrzęsł się od podwójnego wybuchu. Tynk zaczął spadać z sufitu, woda lać się z popękanych rur, a kawałki szkła z okien zasypały całe pomieszczenie. Belgowi i mnie wybuch i szkło nie wyrządziły szkody, ponieważ siedzieliśmy za filarem, który zasłaniał nas od okien. Na sali powstała panika - każdy starał się opuścić lokal jak najszybciej.

Wstrząśnięty tym wybuchem w takim samym stopniu jak inni, szybko udałem się do szatni, aby zabrać swoje rzeczy. Po oglądnięciu się doszedłem do wniosku, że powybijane okna były najlepszą i najłatwiejszą drogą wyjścia. Ledwie wyskoczyłem na chodnik bulewaru zobaczyłem

przed sobą straszliwy obraz zniszczenia. Na jezdni leżało wiele ciał ludzkich, zmasakrowanych przez wybuch bomby - prawie wszyscy nieżywi. Wiele ciał było bez nóg i rąk. Po twarzy wielu żyjących spływała krew naskutek skaleczeń od od szkła, inni dostali nerwowego szoku. Na dalszym planie tego widoku paliło się szereg wozów wojskowych, które w tym czasie przejeżdżały przez miasto. Niedaleko okna przez które wyszedłem leżało ciało szkockiego oficera w pięknym wielo-kolorowym stroju galowym.

Tuż obok jakiś żołnierz angielski opatrywał kobietę raną kawałkiem szkła w głowę. Wziąłem bandaż z jego trzesącej się ręki zaopatrzyłem ranę i odprowadziłem kobietę do pobliskiego schronu, gdzie mieścił się punkt opatrunkowy. Kiedy wyszedłem na zewnątrz miejsce wybuchu bomby latającej było już otoczone żółtą taśmą. Na ulicy stało wiele ludzi przyglądających się miejscu niedawnej tragedii. Stojąc między nimi nie wiedziałem co mam zrobić, gdzie iść i gdzie szukać schronienia. Na jednej z bocznych ulic ukazał się polski pojazd wojskowy. Przyśiadłem się do moich wojennych towarzyszy i razem z nimi wyjechałem do jednej z pobliskich wiosek.

Zatrzymaliśmy się przed jakimś barem, aby wypić coś dla uspokojenia nerwów. W barze było kilka młodych Belgijek, które zajęły się nami. Jedna zaprosiła mnie do swego mieszkania. Przy kawie i koniaku przesiadziałem u niej godzinę lub dwie, aż uspokoiłem się nerwowo. Kiedy przyszedłem do siebie, udałem się na umówione miejsce w Antwerpii, skąd pułkowy wóz miał zabrać mnie do oddziału. Czekałem dość długo na przybycie wozu, cały czas żyjąc obawą, że następna bomba spadnie w moim rejonie. Ostatecznie pojazd przyjechał i zawiozł wszystkich wycieczkowiczów cało i bezpiecznie do spokojnego holenderskiego miejsca Oosterhout.



Przygoda w Antwerpii nie miała większego wpływu na moje dalsze wycieczki do Belgii. Dwa tygodnie potem /10go grudnia/ znowu wyjechałem na przepustkę, tym razem do mało znanej mi miejscowości St.Nicholas. Do tego miasta bomby latające nie dochodziły, wojna była już daleko poza nim, a rozrywek jak w każdym większym belgijskim mieście nie brakło.

Po moim powrocie do pułku ogłoszono nominacje oficerskie. Wśród dziesięciu promowanych podchorążych znalazło się też moje nazwisko. Ważność awansu sięgała wstecz do 1go grudnia 1944 roku. Byłem pewien, że do mojego awansu przyczynił się tymczasowy dowódca pułku mjr. Szajowski, który rozumiał niewyraźną pozycję podchorążych w pułku oraz zdawał sobie sprawę z braku oficerów w szwadronach. Pozatym człowiek ten był lwowiakiem, a ja zaliczałem sobie do grona ludzi pochodzących z rejonu tego kresowego polskiego miasta. Tego samego dnia odbył się raport nowomianowanych oficerów u dowódcy pułku, oraz oficjalne przyjęcie w kasynie oficerskiej. Początkowo czułem się nieswojo w nowym towarzystwie, ale po kilku kieliszkach nabrałem pewności siebie. Przy okazji wypiliśmy "bruderschaft" z Sokołowskim, Kubitem, Przespolewskim, Mundkien Haffnerem i Kostkiem Głazewskim. Ten ostatni był moim krajanem z Podola - pochodził z Chmielowej nad Dniestrem, gdzie jego ojciec był właścicielem dóbr. Po kilku dniach oswoiłem się ze swoją nową pozycją i bez trudu wszedłem w tryb oficerskiego życia.

Miesiąc grudzień był bardzo hojny dla mnie pod względem pozytywnej oceny moich zasług bojowych. Dnia 18go tego miesiąca rozkazem pułkowym przyznano mi Krzyż Walecznych. Według nieoficjalnych wiadomości odznaczenie przyznano mi na wniosek ppor. Klimczaka za akcję na kanale Axel-Huilst. On sam nie mógł złożyć mi gratulacji, ponieważ w jednej z poprzednich akcji został ciężko ranny w szczękę. Gratulowali mi

natomiast moi dawni dragoni, kpr. Mitko i st.drg. Markus, którzy doskonale pamiętali nasz wspólny wysiłek na polu walki. Markus, mimo mego stopnia oficerskiego, wciąż nazywał mnie "swoim podchorążym", co ja uważałem sobie za przyjemne uznanie od mego dawnego podwładnego. Jednego dnia, kiedy pełniłem obowiązki oficera służbowego pułku, Markus na mój widok na sali żołnierskiej, stanął na stole i głośił peany na moją cześć.

Tuż przed Bożym Narodzeniem /20ty grudnia/ nastąpiło przegrupowanie oddziałów Dywizji na linii rzeki Mozy. Nasz szwadron odszedł do wioski Rosemalen jako ubezpieczenie dla dowództwa pułku. Inne szwadrony zostały odkomenderowane na Mozę dla wzmocnienia dywizyjnego odcinka. Wszystko to pozostawało w związku z ofensywą gen. Rundtstedta w Ardenach na odcinku amerykańskiego frontu. W związku z tym spodziewano się bardziej aktywnej działalności oddziałów niemieckich na Mozie. Byliśmy przygotowani do ewentualnego lądowania spadochroniarzy i na akcję dywersyjną z ich strony. Skoro ofensywa w Ardenach miała na celu odbicie aliantom Antwerpii, musieliśmy liczyć się z tym, że w wypadku powodzenia Niemców oddziały polskie i kanadyjskie w południowej Holandii mogły być odcięte od głównych sił alianckich.

Nasze kwatery na nowym miejscu nie były zbyt wygodne. Miejscowość była w dużym stopniu zniszczona przez akcję wojenną, a niewielka ilość domów nadających się do użytku z trudem mogła pomieścić nasz szwadron. Skład oficerski zdobył się na jedno-pokojowe kasyno, gdzie w wolnych chwilach klepaliśmy grę w karty.

Na dzień przed Wigilią rtm. Giera wezwał mnie do siebie i zaproponował mi wyjazd do Ghent /Gandawy/ na okres świąt. Taka propozycja była mi bardzo na rękę. Wiedziałem, że w szwadronie święta będą obchodzone bardzo skromnie, a przy złym układzie rzeczy mogłem je

spędzić na placówce nad Mozą. Wóz do naszej dyspozycji dostaliśmy w kompanii dowodzenia, która pozostała w Oosterhout. Przed nocą dojechaliśmy do Ghent, które kiedyś zdobyliśmy i w którym był już hotel oficerskie, gdzie dostałem pokój dla siebie. Zamiast kolacji wigilijnej zjadłem normalny obiad w kasynie oficerskim razem z oficerami różnych narodowości. W czasie swego pobytu w Ghent spotkałem młodego podporucznika z Igo Pułku Pancernego, który stał się moim towarzyszem na okres świąt. Razem chodziliśmy od lokalu do lokalu, od kabaretu do kabaretu, używając sobie życia w mieście, gdzie wielu wojaków szukało za rozrywkami w wojennej przerwie.

W pobliżu Gandawy stacjonował jeden z polskich dywizjonów myśliwskich, w którym służył mój znajomu, Józek Kamiński ze Złotego Potoka. Będąc w pobliżu tej lotniczej jednostki udałem się na lotnisko, ale Józka nie zastałem, ponieważ zachorował przed świętami i odesłano go do szpitala polowego. Zostawiłem dla niego wiadomość w nadzieji, że spotkamy się przy innej okazji. Nie wiedziałem wtedy o tym, że w tym dywizjonie służyło dwóch innych Buczaczan, Tadzik Warszylewicz i Tadzik Pyzik, którzy niewątpliwie latali nad nami w czasie naszej akcji nad Mozą. W czasie jednego patrolu Pyzik został strącony przez niemiecką artylerię i zginął na miejscu. Z Tadzikiem Warszylewiczem spotkałem się dopiero po wojnie.

W następnym dniu dołączyło kilku innych Polaków do naszej skromnej polskiej grupki w kasynie. Słyszac polską mowę, jakiś polski Kanadyjczyk też przyłączył się do nas. Razem urzędowaliśmy w barze, aż do jego zamknięcia. Byłem nawet zadowolony z tego, bo wódki w tym dniu miałem za dużo. Tak spędziłem jedyne Święta Bożego Narodzenia, jakie wypadły w czasie mojej służby wojennej na froncie. Wprawdzie w nich nie było nic religijnego i tradycyjnego, ale urozmaicenia było dużo.

W dniu wyjazdu przyjechał po mnie Kostek Głażewski, który używał pojazd dla swoich osobistych celów w czasie naszego urlopu. Mój towarzysz, jako kwalifikowany kierowca, prowadził wóz w drodze powrotnej. Jednak mimo znajomości sprzętu Kostek zapomniał nalać oleju do motoru i kiedy dojechaliśmy do Oosterhout panewki wytopiły się w cylindrach. Wprawdzie dojechaliśmy do miejsca, ale wóz nie nadawał się już do użytku. Na noc zatrzymałem się w Oosterhout i przy okazji spędziłem przyjemny wieczór z Liną i jej rodziną. Ten ostatni dzień był niejako zakończeniem moich świątecznych wakacji.

Szwadronu Wsparcia nie zastałem już na miejscu dawnego postoju. Nasz oddział został przeniesiony do wioski Haren. Przez cały pobyt w tej miejscowości nasze obowiązki polegały na pełnieniu służby i na konserwacji sprzętu. Podobnie jak w Rosemalen urządziliśmy kasyno oficerskie w jednym z zarekwirowanych domów. Kwatery były lepsze i wygodniejsze, co stwarzało lepsze nastroje wśród nas. Jednak na Sylwestra zdobyliśmy się tylko na skromny obiad z wódką. W każdym razie znalazła się butelka wina i nią powitaliśmy Nowy Rok, aby stało się zadość polskiej i oficerskiej tradycji.

Nowy Rok - 1945 - tradycyjnie dzień wielkiego święta musiał podporządkować się prawom wojna, czego ja stałem się ofiarą. Po południu dostałem rozkaz zameldowania się u dowódcy 8go Batalionu Piechoty, płk. Nowaczyńskiego, aby zapoznać się z planem przeprawy jego oddziałów przez Mozę. Ja miałem w tym współdziałać w roli plutonu moździerzy wspierającego akcję. Sama przejażdżka po terenie lekko przypruszonym śniegiem miała swój urok dla mnie. Zimowy widok w tym wypadku raczej budził we mnie wspomnienia z Podola niż z zimnej Kołymy. Jadąc wozem małymi drózkami, aby objechać kilka rozwalonych mostów na szosach, szczerze rozkoszowałem się zimowym widokiem nad Mozą.



Do dowództwa batalionu dotarłem prawie o zmroku. Tam powiedziano mi, że nie należało śpieszyć się z przyjazdem, ponieważ planowana przeprawa miała nastąpić dopiero za kilka dni. Dla mnie szczegóły tej akcji były jeszcze tajemnicą, ale nasi wyżsi dowódcy napewno wiedzieli, że w ramach operacji "Trojan" patrole Dywizji miały przeprowić się przez rzekę w dwóch miejscach, aby sprawdzić siły nieprzyjacielskie po drugiej stronie. Skontaktowałem się ze swoim dowódcą szwadronu i powiadomiłem go, że jeszcze tego wieczoru powrócę do oddziału.

Przed wyjazdem wstąpiłem do dowódcy 2giej Kompanii, aby zapoznać się z planem stanowisk i kwater dla mego plutonu. Kiedy opuszczałem jego miejsce mój Fordson nie chciał zapalić. Znowu telefonowałem do szwadronu, aby mi przysłano wóz naprawczy. W czasie czekania na pomoc wstąpiłem na kwaterę ppor. Załęskiego, który miał być dowódcą jednego z przeprowiających się patrolów. Tam wspominaliśmy nasze dobre czasy w Kinghorn, gdzie spotkaliśmy się przeszło rok temu w Ośrodku Zapasowym. Oczekiwana pomoc nie przyszła w oczekiwanym czasie, wobec czego postanowiłem przespąć się na jednej z kwater w rejonie batalionu. W ciągu nocy zbudziło mnie głośne pukanie do drzwi. Późną nocą przyjechał po mnie dowódca REPu naszego szwadronu, plut. Leszczyński, aby jeszcze tej nocy zawieźć mnie do oddziału. Mego zepsutego Fordsona przyczepiono do halftrucka i po długiej i powolnej jeździe dotarliśmy do Haren. W kancelarii czekał na mnie Cesio Przespolewski, który miał natychmiast dowódcę o moim przyjeździe. Rtm. Giera był już w łóżku, ale zaraz wstał i przyjął raport z mego wyjazdu do Walwijk.

Następnego dnia wyjechałem do 8go Batalionu z całym plutonem. W ciągu dnia było łatwiej zorientować się w terenie i rozplanować plan stanowisk dla moich moździerzy. Rozłożyliśmy je na stanowiskach przy zburzonym moście na kanale w odległości jednego kilometra od

jego ujścia do rzeki Mozy. Kwatery dostaliśmy w pobliżu tego samego mostu na głównej ulicy miejscowości. Do stanowisk było jednak było dość daleko, co było wielkim kłopotem i ciężarem dla dragonów, ponieważ trzeba było tam donosić pojemniki z amunicją. Postanowiłem dostarczyć je w ciągu nocy na carriersach po niezbadanej dróżce. Dostarczenie ich na stanowiska odbyło się bez wypadku, ale w drodze powrotnej jeden z carriersów wpadł do rowu. Próbowaliśmy wydostać go o własnych siłach, ale bezskutecznie. Pożyczyłem halftruck od saperów, ale to też nie pomogło. Dopiero przysłany nam wóz ratowniczy z Brygady Piechoty wyciągnął carriers na szosę.

Problem z carriersem zabrał mi cały dzień i dlatego w następnym dniu mogłem udać się na placówkę, aby zbadać punkt obserwacyjny z którego miałem prowadzić ogień. Placówka piechoty mieściła się w małym pomieszczeniu w rodzaju szopy przy połączeniu rzeki i kanału. Nieco z tyłu stała wysoka szopa, solidnie porozbijana, która mogła być idealnym punktem obserwacyjnym, ponieważ jej podziurawiony dach wystawał ponad wał nad rzeką. Mój łącznościowiec założył linię telefoniczną do stanowisk moździerzy i według moździerzowego rytuału wstrzelałem się w kilka punktów na przedpolu.

Przeprawa przez Mozę, planowana na dzień 4go stycznia, została odwołana dla przyczyn znanych tylko wyższym dowódcom. Zamiast tego mieliśmy przeprowadzić ogniową demonstrację w dniu następnym. W dniu planowanej przeprawy udałem się jednak na placówkę, aby sprawdzić mój punkt obserwacyjny i wstrzelać się ponownie w podejrzane stanowiska niemieckie. Od dowódcy placówki dowiedziałem się, że po moim odejściu w dniu poprzednim, w rejonie mego punktu obserwacyjnego padło około 20 pocisków niemieckich moździerzy. Jeden z nich wpadł w dziurę, gdzie miałem stanowisko i porwał druty mojej linii telefo-

nicznej. Wobec tego zdecydowałem się na zajęcie stanowiska pod dachem szopy. Stamtąd przez dziury, zrobione przez niemieckie pociski, miałem doskonały wgląd za Mozę.

Podobno odłożenie przeprawy pozostawało w związku z brzydką pogodą zimową., która nie sprzyjała akcji na odcinku na wschód od nas, w rejonie Kapelsche Veer. Pogoda poprawiła się nieco w dniu następnym, co spowodowało wzmożenie się akcji po obu stronach. Będąc na Mozie wielokrotnie widziałem latające bomby, wyrzucone w północnej Holandii i skierowane na Antwerpię. W tym dniu leciała ich cała masa - albo po kilka razem, albo jedna co kilka minut. Mogłem się domyślać, że w związku z ich ofensywą w Ardenach, Niemcy zdecydowali się na intensywne bombardowanie portu. Jeśli ich bomby były celne, życie w tym belgijskim mieście musiało być piekłem.

Nasza demonstracja ogniowa rozpoczęła się 5go stycznia o 2giej godzinie popołudniu. Podczas, gdy nasza artyleria kładła nawałę za nawałą na niemieckie pozycje, moje moździerze zadymiały drugą stronę Mozy na całym odcinku 8go Batalionu. Niemcy nie odpowiadali na nasz ogień. Po krótkiej przerwie rozpoczęła się następna nawała ogniowa, która trwała aż do czwartej godziny. Na drugiej stronie, aż gotowało się od naszego ognia. Ze swego stanowiska pod dachem szopy widziałem doskonale jak Niemcy wyskakiwali z dziur i wzdłuż wału uciekali do tyłu. Dla mnie oni byli zadalekim celem - moje moździerze nie donosiły tak daleko. Płk. Nowaczyński, który obserwował niemiecką stronę z drugiej drabiny, widząc uciekających Niemców zacierał ręce z radości i żałował, że niema rozkazu na przeprowadzenie się na drugi brzeg. Kilka razy zwracał się do mnie, aby w dalszym ciągu zadymiać drugi brzeg. W końcowej fazie nie mogłem spełnić jego życzenia, bo mój zapas amunicji moździerzowej już się wyczerpał.

Dowódca 2giej Kompani piechoty, który był ze mną na punkcie obserwacyjnym, kilkakrotnie wyraził się z uznaniem o moim plutonie, twierdząc, że jedynie my wykonaliśmy należycie swoje zadanie. Prawdopodobnie on porównywał nasz ogień z ogniem artylerii i innego oddziału moździerzy, który prowadził ogień z innej pozycji. W czasie tej demonstracji ogniowej ktoś z artelerzystów miał źle ustawioną odległość i co pewien czas kładł serię na naszą placówkę. Początkowo płk. Nowaczyński miał do mnie pretensje o to. Kiedy schodziliśmy ze stanowisk, seria pocisków znów padła na placówkę. Nikomu nic się nie stało, tylko pułkownik zgubił lornetkę. W drodze powrotnej dowódca 8go Batalionu przeprosił mnie za posądzanie dragonów o bombardowanie jego placówki.

Na tym bombardowaniu zakończyła się nasza jedno-dniowa akcja na Mozie. Inny batalion, 9ty Strzelców Flandryjskich, wciąż prowadził akcję w rejonie wysepki Kapelsche Veer. Walki na tym odcinku trwały do 7go stycznia i zakończyły się opanowaniem wysepki przez Polaków. Straty w ludziach były duże i napewno za duże w porównaniu z powierzchnią zajętego terenu oraz jego strategicznym położeniem. Przatem wyspa, będąc otoczona z trzech stron przez Niemców była trudna do obrony.

Wkrótce po powrocie do szwadronu powierzono mi następne zadanie. Tym razem z rozkazu mjr. Zbroskiego, zastępcy dowódcy pólku, miałem być przewodnikiem w przeprowadzeniu pułku przez miasto Tilburg. W przeddzień tego zadania wzięłem humberetkę /lekki opancerzony pojazd/, aby rozglądnąć w mieście za odpowiednią trasą. Miałem się trzymać z daleka od trasy 200, przeznaczonej przez Anglików do innych celów. Po kilku próbach znalazłem doszukałem się bocznych ulic, które pozwoliłyby pułkowi przejechać przez miasto.

Na drugi dzień, jako przewodnik, jechałem na czele kolumny. Jechaliśmy powoli, ponieważ w ciągu nocy spadł deszcz, który przy niskiej



temperaturze w pewnych miejscach zamienił się w lód. Przez przejeździe przez Tilburg nie skorzystaliśmy z obranej przeze mnie trasy. Anglicy przepuścili nas szosą 200, co było dużym ułatwieniem mego zadania. Do Oosterhout dojechaliśmy jeszcze przed południem. Tuż po przybyciu wszystkie szwadrony dragonów i lszy pluton moździerzy wyjechały na placówki nad Mozą. W samym Oosterhout pozostał tylko Szwadron Dowodzenia i niekompletny Szwadron Wsparcia. Skorzystałem z tego rozluźnienia się dragonów we wiosce i znalazłem lepszą kwaterę dla siebie. Mieszkanie dostałem w obszernym domu na rynku, którego właścicielem był lokalny złotnik i zegarmistrz. Pokój miałem duży i wygodny, ale nieco za zimny dla mnie, mimo mego kołymskiego treningu.

Dwa dni potem resztę Szwadronu Wsparcia wyjechało nad Mozę. Mój pluton zajął poprzednie pozycje plutonu Cesia Przespolewskiego, któremu kazano przesunąć się w lewo, w kierunku kościoła w miejscowości Laan. Ppor. Sokołowski i ja pozostaliśmy na placówce, która mieściła się w na w pół zniszczonym domu, położonym conajmniej kilometr od Mozy. Rejon placówki otoczyliśmy "flarami" /ostrzegawczymi światłami/ i postawiliśmy kilka posterónków na ulicy. Nasz sprzęt ustawiliśmy na stanowiskach - na wszelki wypadek, chociaż zasadniczo nie liczyliśmy się z prowadzeniem ognia. W ciągu nocy prawdopodobnie przebiegający zając eksplodował jedną "flare", co wywołało nocny alarm oraz strzelaninę. Mój pobyt na tej placówce trwał bardzo krótko - kilka dni potem dostałem inne polecenie.

Dowódca pułku, mjr. Szajowski, wezwał mnie do siebie i zapronował mi wyjazd na angielski kurs minerski w Belgii. Same miny nie były zbytnią atrakcją dla mnie, ale jedno-tygodniowy pobyt w wesołej Belgii był sam w sobie pokusą. Pozatym podczas podróży w jedną i drugą stronę mogłem odwiedzić Cherry w Bredzie, albo Linę w Oosterhout. Szczupła

i przystojna Lina, którą zaniedbywałem z racji obowiązków służbowych, podejrzewała, że mam jakiegoś wroga w dowództwie, który celeowo znajduje specjalne obowiązki dla mnie, aby mnie trzymać z daleka od Oosterhout. Kiedy tłumaczyłem dziewczynie, że przyczyną tego jest wojna, ona nie bardzo chciała wierzyć temu. W drodze na kurs zatrzymałem się u niej, gdzie jak zawsze przyjęto mnie kawą i ciastkiem i gdzie zawsze czekała na mnie świeża bielizna.

Pójazd dostałem ze Szwadronu Dowodzenia i po dość długiej podróży zgłosiłem się w dowództwie kursu, w słynnej belgijskiej miejscowości letniskowej Knocke Sur Meer. Kurs mieścił się w jednym dobrze utrzymanym hotelu, wyposażonym we wszystkie wygody jakie uczestnicy mogli sobie życzyć, poza jedną - nie wolno było nam wychodzić do miasta. Knocke Sur Meer będąc położone na wybrzeżu, zostało zaminowane przez Niemcą z całą ich przysłowiową dokładnością. Nawet łazienki i meble w poszczególnych domach mogły być pułapką dla nieostrożnego alianckiego żołnierza. Oprócz mnie z dywizji przyjechało dwóch polskich oficerów z Kompanii Saperów. Łatwo rozpoznałem ich po znakach dywizyjnych i przy barze szybko znaleźliśmy wspólny język.

Znajomość min była dla mnie zupełnie nową nauką wojskową, dlatego poznawanie nowych terminów w dwóch językach i zrozumienie działania skomplikowanych części nie przychodziło mi zbyt łatwo. W pierwszych dniach nie rozumiałem wiele z tego, co mi instruktorzy wkładali do głowy. Dopiero w trzecim dniu zacząłem chwytać poszczególne znaczenia i tworzyć z tego logiczną całość. Pomocni mi w tym dziale byli moi polscy towarzysze, którzy z racji swojej specjalności byli już otrzaskani z minami. Przed zakończeniem kursu urządzono nam egzamin, który polegał na rozpoznawaniu min przez dotyk. Również zdawaliśmy egzamin pisemny, nieco łatwiejszy dla mnie, ponieważ pytania na papierku

były dla mnie łatwiejszym problemem do rozwiązania. Jednak w późniejszej akcji moje przygotowanie minowe nigdy nie znalazło zastosowania.

Wóz z pułku przyjechał po mnie w umówionym dniu 20go stycznia, chociaż dość późno, bo dopiero wieczorem. Kierując się zdrowym rozsądkiem nie chciałem wyjeżdżać na noc, ponieważ było ciemno i pruszyło śniegiem. Mój uparty kierowca chciał jednak dojechać do Gandawy i tam zatrzymać się na nocleg. Zaraz po wyjeździe z miast pomyliliśmy trasę, ale dzięki mapie zdołałem zorientować się w terenie i wyprowadzić kierowcę na właściwą drogę. Jadąc powoli i z wielki trudem dotarliśmy do Brugges, gdzie zaczął padać solidny śnieg. Nawet przy zapalonych reflektorach nie można było widzieć dalej niż kilkanaście metrów przed sobą. Ciągle powtarzałem kierowcy, aby jechał wolno, ale jemu bardzo śpieszyło się do Gandawy.

W pewnej chwili zobaczyłem coś ciemnego przed sobą i poczułem, że nasz wóz uderzył o jakiś przedmiot. Wpadliśmy w poślig i w wyniku tego obróciliśmy się o 180 stopni, ale nie wpadliśmy do przydrożnego rowu. Wsiadłem z wozu, aby sprawdzić czy kilku pasażerom z tyłu nie stało się nic złego. Nikt nie odniósł żadnych obrażeń poza moim ordynansem, który został uderzony czymś po głowie. Z kierowcą było gorzej. Podczas obrotu wozu został uderzony lusterkiem w twarz i wskutek tego stracił kilka zębów. Okazało się, że zdrzyliśmy się z cywilnym wozem stojącym na szosie bez tylnych świateł.

Do Gandawy dojechaliśmy dopiero o 10ej godzinie wieczorem. W urzędzie zarządu miasta /Town Mayor/ dostałem mieszkanie dla siebie, kierowcy i ordynansa. Kierowcę z opuchniętą twarzą zaprowadziłem do punktu opatrunkowego, gdzie mu natychmiast opatrzone ranę. Oczywiście, przy takiej pogodzie nie było mowy o odwiedzeniu starych kątów, znanych mi ze Świąt Bożego Narodzenia. Pozatym byłem za bardzo zmęczony, aby

szukać za rozrywkami. Przespałem noc wygodnie na kwaterze i następnego dnia rano wyruszyliśmy w dalszą drogę do oddziału.

W pułku znalazłem się w porze obiadowej i poszedłem wprost do kasyna oficerskiego. Zostałem tam dowódcę pułku, mjr. Szajowskiego, któremu natychmiast zdałem raport z mego pobytu na kursie oraz z wypadku w drodze powrotnej. Zawsze miałem dobre zdanie o tym człowieku, ale tym razem on mi szczególnie zaimponował swoją wyrozumiałością. Po wysłuchaniu mego raportu usłyszałem od niego słowa: "dobrze, że nie stało się gorzej". Dla mnie była to wypowiedź lwowiaka, który potrafił ocenić sytuację należycie i dać właściwą odpowiedź.

Wieczorem wstąpiłem do Liny. Na samym wstępie dziewczyna powiedziała mi, że zerwała ze swoim holenderskim narzeczoną. O tym zamiarze wspominała mi wcześniej, co ja jej szczerze odradzałem. Ale uparta panna mówiła, że wie czego chce i musi to osiągnąć. Odtąd widywałem się z nią częściej, , ale bez wdawania się w głębsze uczucia lub rozmowy na temat jej ukrytych planów.

Od czasu powrotu z kursu minerskiego zacząłem cierpieć na silne bóle głowy. Przy każdym wyjeździe na Mozę, jako obserwator ogniowy, stan ten się pogarszał. Ostatecznie udałem się do pułkowego lekarza, Dr. Ginsburga, On po powierzchownym zbadaniu skierował mnie do polowego szpitala. Tam zbadano mnie ponownie i odesłano do oddziału bez rozpoznania przyczyny moich bólów. One szczególnie dokuczały mi w nocy - dla tego powodu nie spałem wiele, ale mając orzeczenie lekarskie za względnie cierpliwie znosiłem moje bóle.

W ciągu miesiąca stycznia oddziały polskie, kanadyjskie i nawet angielscy komnadosi prowadzili dalszą walkę o zdobycie wysepki Kapelsche Veer. W tej akcji nawet korzystano ze wsparcia lotniczego. Pierwsze próby były bardzo krwawe i niezbyt udane. Dopiero natarcie kanadyjskie



przeprowadzone dnia 26go stycznia opanowało wyspę i zlikwidowało niemiecką załogę. W osiągnięciu tym było dużo bohaterstwa po stronie alianckiej, ale nigdy nie było wiadome jaki był cel opanowania tej wysepki, bo w przyszłych walkach ona nie odegrała żadnej roli.

Do następnej akcji nad Mozą wyszliśmy dnia 2go lutego. Cały pułk wyjechał do Ramdonksveer, gdzie pozostało dowództwo pułku, a plutony poszczególnych szwadronów pełniły służbę na placówkach. Ze Szwadronu Wsparcia na pierwszą zmianę poszedł ppor. Sokołowski z 1szym plutonem moździerzy. W tym czasie mój pluton patrolował Ramdonksveer i pełnił służbę wartowniczą w rejonie dowództwa pułku. Pierwszej nocy, na nowym miejscu, dostałem rozkaz pójścia na czele patrolu w kierunku Mozy. Zadaniem moim było naprawienie linni telefonicznej prowadzącej do placówki ppor. Sokołowskiego, która z niewiadomych przyczyn została przerwana. Zachodziła obawa, że Niemcy przekradli się przez zburzony most i przecięli druty.

Wziąłem ze sobą kilku dragonów, jednego podoficera, a z dowództwa pułku dodano mi dwóch łącznościowców. Noc była ciemna i zimna, z przytym padał drobny mżysty deszcz. Drogę do mostu znałem już z moich poprzednich wycieczek nad Mozę. Sprawdzenie linii nie było trudne i skomplikowane, ale na trasie mogłem spotkać się z niespodziankami. Na tym pustym terenie /no man s land/ mogłem się natknąć na nieprzyjacielski ptrol z przykrymi skutkami dla mnie i moich ludzi. W niemal całkowitej ciemności posuwaliśmy się wolno po szosie, trzymając się drutów linii telefonicznej. Ona ostatecznie zaprowadziła nas do do zburzonego niemieckiego bunkru nad rzeką. W tym miejscu znaleźliśmy przecięcie, które wyglądało, jakgdyby było zrobione nożycami. Nawiązaliśmy kontakt z placówką i mokrzy oraz zmęczeni dołączyliśmy nad ranem do naszego oddziału.

W początkach lutego do pułku powrócił nasz dawny dowódca, płk. Władysław Zgorzelski, z którym rozstaliśmy się w Belgii, gdzie został ranny w czasie akcji pod Aeltre. Siłą rzeczy sympatyczny i wyrozumiały mjr. Szajowski musiał mu ustąpić miejsca. Oficjalne spotkanie z danym dowódcą miało miejsce w kasynie oficerskim, ale moje bezpośrednie zetknięcie się z nim nastąpiło dopiero kilka dni później.

Dnia 6go lutego wypadła na mnie i na mój pluton kolejka na placówkę nad Mozą. W dzień poprzedzający moje nowe zadanie w wieczornych godzinach udałem się nad rzekę w towarzystwie płk. Zgorzelskiego, mjr. Szajowskiego oraz rtm. Giery. Ich celem było zapoznanie się z warunkami pozycyjnej służby nad Mozą, a moim było zapoznanie się ze szczegółami związanymi z przejęciem placówki. Byliśmy tam conajmniej godzinę i idąc tą samą drogą po wałach między zalanymi polami i w dodatku niemal kompletnej ciemności powróciliśmy do pułku.

Wieczorem następnego dnia dowieziono nas do umówionego punktu, gdzie miał czekać na nas przewodnik z placówki na Mozie. Jeszcze nie dojechałem na umówione miejsce, gdy seria pocisków moździerzowych rąbnęła tuż przede mną. Niemcy musieli być dobrze wsłuchani i zorientowani o naszych ruchach, ale w moim wypadku działali trochę za wcześnie. Pociski padły na skrzyżowaniu szosy ze ścieżką prowadzącą do placówki. Nikomu z moich ludzi nic się nie stało, a wozy szybko cofnęły się do tyłu. Aby dostać się nad Mozę trzeba było przejść wałem w prawo, a następnie prostopadłym wałem, prowadzącym wprost na miejsce. W wałach było wiele przekopów, ale pobudowane na nich mostki, pozwoliły nam dotrzeć do placówki bez żadnej wodnej przygody.

Zaraz po przybyciu na miejsce obsadziłem posterunki swoimi ludźmi, a pozostałą część plutonu rozmieściłem w trzech zburzonych domach. W żadnym z nich był ledwie jeden pokój nadający się do zamieszkania.

Jednak w każdym z nich była piwnica, co powiększało przestrzeń do naszego użytku. Posterunki były wystawione nazewnątrz w najbardziej czułych miejscach. Jedno z nich było szczególnie nieprzyjemne, gdzie wystawiałem dwóch ludzi tylko w nocy. Posterunek ten mieścił się w szopie blisko rzeki, conajmniej 300 metrów od placówki. Luźne blachy na dachu, robiące hałas przy każdym powiewie wiatru, szum wody u dołu oraz okazyjna strzelanina musiały mieć deprymujący wpływ na ludzi tam postawionych. Tym razem rozprawianie ludzi wziąłem na siebie, bo mój zastępca, kpr. Bieniek, nie był jeszcze zorientowany w terenie. Najmniej kłopotu miałem z drużyną kpr. Grabowskiego, która miała kwatery na prawo ode mnie i w czasie dnia jakgdyby odcięta od nas przez niemiecki ogień. Do pewnego stopnia ta grupa dragonów działała samodzielnie, bo nasz kontakt był ograniczony tylko do nocnych ciemności.

Pierwszą noc prawie nie spałem. Ból głowy dokuczał mi bardziej niż kiedykolwiek poprzednio. Siedziałem w fotelu i patrzyłem na zegarek, aby przeprowadzać zmiany posterunków. Do pewnej godziny w tym siedzeniu towarzyszył mi obserwator artyleryjski, który przybył na placówkę razem ze mną. Na wpół drzemaniu i dozorowaniu posterunków i czujek przetrwałem aż do rana.

Dopiero rano, przy świetle dziennym, z wysokości podziurawionego dachu mogłem przyjrzeć się rozkładowi placówki. Dom, w którym miałem swoją kwaterę był położony co najmniej 200 metrów od Mozy; drużyna kpr. Stankiewicza kwaterowała w następnym domu w lewo w niewielkiej odległości ode mnie; drużyna kpr. Grabowskiego była jakie 200 metrów ode mnie na wschód. Przez dziury w dachu widziałem zburzony most na Mozie oraz potężny bunkier betowony, do którego doszedłem kilka dni temu podczas nocnego patrolu. Pozatym w lewo od mojej placówki był pusty i niestrzeżony rejon.

Druga strona Mozy pod wielu względami dominowała nad nami. Niemcy mieli swoją placówkę w zabudowaniach wielkiej fabryki z wysokim czerwonym kominem sterczącym do góry. Ten obiekt niewątpliwie służył im jako punkt obserwacyjny. Stamtąd mieli doskonały wgląd w nasz rejon, aż do granic wioski Ramsdonksveer. Natomiast nasz wgląd w ich teren był wybitnie ograniczony przez fabryczne zabudowania. Cokolwiek mogłem dostrzec poza linią fabryki, były tylko urywki krajobrazu po drugiej stronie.

Dominującą pozycję Niemcy zaczęło wykorzystywać od wczesnego rana. Ledwie rozjaśniło się pierwsza seria ich pocisków moździerzowych spadła na naszą placówkę. Potem szereg serii leciało jedna za drugą. Nasz artylerzysta, który chciał zrewanżować się za ten ogień stracił telefoniczną łączność ze swoją baterią. W przerwie ogniowej przeskoczyłem wał za domem i znalazłem miejsce przecięcia artyleryjskich drutów. Natychmiast połączyłem przerwane końce i połączyłem go z baterią. Mój telefon też przestał działać i dlatego przez artylerzystę łączyłem się z pułkiem.

My nie pozostaliśmy dłużni Niemcom. Artylerzysta wystrzelał cały swój dzienny przydział 250 pocisków. Na linii Ramdonksveer ustawiły się nasze czołgi i prowadziły pośredni ogień do pory obiadowej. Również moździerze ppor. Sokołowskiego ustawione w mniej więcej tym samym rejonie jak czołgi, kładły ogień na pozycje niemieckie, w czym ja pośredniczyłem jako obserwator. Po południu Niemcy znowu obłożyli moją placówkę ogniem moździerzy - razem w moim rejonie padło 108 pocisków. Przed wieczorem wysłałem patrol w kierunku dowództwa celem sprawdzenia i naprawienia mojej linii telefonicznej. Tuż przed dojściem do wioski moi ludzie spotkali się z patrolem pułkowym z takim samym zadaniem, ale z przeciwnej strony. Okazało się, że linia była



przerwana przed samą wioską, co wskazywało wyraźnie, że uszkodzenie nastąpiło naskutek ruchu czołgów w tym rejonie, wcześniej rano.

Tej nocy zmieniłem układ stanowisk na placówce. Ściągnąłem podsłuch z pod szopy, a wzmocniłem posterunek na zachodniej stronie Ponadto posłałem stojący patrol do bunkru nad Mozą. Tej nocy przywieziono mi kolczasty drut, który miałem zaciągnąć po zachodniej stronie placówki. Nie mogłem wykonać tego natychmiast, bo miałem za mało ludzi do dyspozycji. W dzień też tego nie można było zrobić, ponieważ byliśmy pod stałą obserwacją Niemców.

W drugim dniu druga strona też okładała nas przez dłuższy czas ogniem. Tym razem artylerzysta nie żałował im swego ognia, co powstrzymało ich niemieckie zapędy. Nieco później na placówkę przybył inny obserwator artyleryjski ze swoim nowym przydziałem pocisków. On strzelał wolniej i ostrożniej, ale też wystrzelał całą swoją dzienną dawkę. Od strony Niemców często otrzymywaliśmy ogień karabinów maszynowych. Ilekroć ktoś z moich dragonów ukazał się w przejściu między domami, zaraz witała go seria zs Spandau. Na skutek tego ognia daszek nad studnią, między domami, był postrzelany jak rzeszoto, ale ogień ten nie wyrządził krzywdy nikomu z moich ludzi.

W ciągu dnia, zgodnie z poleceniem rtm. Giery, kazałem swoim ludziom przekopać przerwę w tylnym wale, aby można było przejść bezpiecznie z jednego domu do drugiego. W czasie tego kopania Niemcy położyli na nas ogień swoich moździerzy. Kazałem kpr. Bienkowi natychmiast ściągnąć ludzi do domów. Lecz nim oni zdążyli zejść, nowa seria pocisków spadła w rejonie ich pracy. Usłyszałem szereg wybuchów nazewnątrz i przez okno zobaczyłem kłęby dymu - byłem przekonany, że straty w moich ludziach będą poważne. W myśli już liczyłem zabitych i rannych. Natychmiast wybiegłem nazewnątrz, aby sprawdzić i ratować.

Bóg musiał czuwać nad moimi ludźmi, bo w tej nawale ogniowej tylko drg. Milczyński był lekko ranny w rękę. Wieczorem odesłałem go do szwadronu dla opatrzenia rany, która nie okazała się niebezpieczną.

Na noc przysłano mi dodatkową ilość dragonów, aby wystawić nocny patrol w bunkrze przy moście. Razem z nimi przyszedł ich dowódca, plut. Bogacz, znany mi jeszcze z mojej służby w plutonie ppanc. Kpr. Bieniek zaprowadził ich do bunkru, a mój łącznościowiec przeprowadził im oddzielną linię telefoniczną do placówki. Mając więcej ludzi do dyspozycji, w ciągu nocy zaciągnąłem drut kolczasty po prawej stronie. W czasie tego ktoś zerwał "flarę", o której nie wiedzieliśmy i przez to zdradziliśmy naszą obecność nad rzeką. Niemcy widocznie nie byli przygotowani do tego, bo nie posłali ani jednej serii broni maszynowej w naszym kierunku.

Trzeciego dnia rano znowu zaczęła się silna strzelanina. Niemcy nie żałowali pocisków, ale jak w poprzednich dniach ich ogień nie wyrządził nam żadnej krzywdy. Nasz nowy artylerzysta natomiast używał sobie na nich do rozmiaru swojej dziennej normy. Tej nocy wybrałem się z patrolem do kilku zniszczonych domów w pobliżu stanowisk Grabowskiego. Holenderskie zapasy węgla na zimę, które oni wcześniej przygotowali, bardzo przydały się mojej placówce. Mając węgiel mogliśmy utrzymać domy w ciepłej i przyjemnej temperaturze. W czasie grzebania za węglem Grabowski znalazł w jakiejś dziurze zagrzebany aparat radiowy, który dla jego drużyny służył jako urozmaicenie czasu.

Czwarty dzień minał spokojnie. Wyglądało na to, że na moim odcinku wojna już się skończyła. Natomiast w tym dniu mózdzierze niemieckie używały sobie na placówce na wschód ode mnie. Był to ostatni dzień mego pobytu nad Mozą. Wieczorem przyszedł jeden z plutonów ppanc i przejął od nas placówkę. Swoich ludzi wysyłałem partiami do tyłu

dla ich bezpieczeństwa. Niepotrzebny ruch i hałas mógł spowodować niemiecki ogień, co nie było nam potrzebne. Według planu miałem wyjść ostatni. Przez omyłkę nikt z nowo-przybyłego plutonu nie zmienił kpr. Stankiewicza i jedo dwóch ludzi. Czekałem na nich dość długo naskrzyżowaniu szosy i wału - ostatecznie oni dołączyli do plut. Lipińskiego, którego pozostawiłem, aby na nich zaczekał.

Po powrocie do Ramsdonksveer wstąpiłem do dowództwa pułku, aby zameldować zdanie placówki. Stamtąd pojechałem wprost do Oosterhout. Przez cztery noce spędzone na Mozie spałem bardzo niewiele - spodziewałem się nadrobić to po powrocie na kwaterę. Niestety ból głowy stale mi dokuczał i znowu spędziłem kilka bezsennych nocy. Myślałem o ponownej wizycie u lekarza, ale obawiałem się, że znowu odeślą mnie z kwitkiew jako zdrowego człowieka.

Przez pewien czas życie płynęło spokojnie, ubrane tylko w małe obowiązki służbowe na froncie. Co kilka dni jeździłem jako obsewator na strzelanie nad Mozę i dwukrotnie wspierałem przeprawę patroli dragonskich na drugą stronę. Akcje dragonskie nie były zbyt udane. Jedna z nich zakończyła się przewróceniem łodzi, ale szczęśliwie nikt nie utonął. Przeprawy odbywały się w rozpoznanym miejscu, gdzie nie było niemieckich pozycji. Dlatego nie było strat od nieprzyjacielskiego ognia.

Moje spotkanie z Józkiem Kamińskim wreszcie doszło do skutku w połowie lutego, kiedy on zupełnie niespodziewanie zjawił się w Oosterhout. Mając pojazd do dyspozycji, on zadał sobie trochę trudu, aby odnaleźć miejsce postoju Pułku Dragonów i doszukać się mojej kwatery. Nasze wspólne pochodzenia z Podola, nasze wspólne znajomości w kraju oraz przyjaciele z Anglii byli przyjemnym tematem naszej niemal półdniowej rozmowy. Kilka dni potem, będąc na przepustce w Brukseli,

odwzajemniłem się jemu wizytą. Jego dywizjon lotniczy stał w pobliżu belgijskiej stolicy - znalezienie jego nie sprawiło mi dużo trudności. Przez dwa następne dni zwiedzałem Brukselę - tym razem nie szukając za rozrywkami, ponieważ ból głowy stale mi dokuczał. Jednak przebywanie w takim lokalu jak Palm Court w Atlanta Hotel samo w sobie było rozrywką.

Po powrocie z Brukseli /22gi lutego/ zostałem odkomenderowany wraz z plutonem do 3go Szwadronu, którego dowódcą był rtm. Jacek Bielawski. Dołączyłem do tego oddziału w znanej mi już miejscowości Walwijk. Mój pluton został zakwaterowany w szkolnym budynku, a ja dostałem kwaterę u rodziny nauczycielskiej. Oboje gospodarze byli bardzo uprzejmi i gościnni wobec mnie. Często zapraszali mnie na kolacje mimo, że sami żyli ze skromnych racji żywnościowych.

Dnia 26go lutego przejąłem placówkę od ppor. Gucia Kubita w miejscu znanym mi z mego poprzedniego odkomenderowania do 8go Batalion Piechoty. Położenie jej było na wysokości Walwijk, przy styku kanału i Mozy. Zakwaterowaliśmy w dwóch małych budynkach, których pokojowego zastosowania nie mogłem się wcale domyśleć. Pobliski zapas węgla w niedużej przybudówce oraz szereg szereg instalacji rurociągowych mogły wskazywać, że kiedyś służyły jako stacja do pompowania wody. Stara, wysoka szopa wciąż stała na swoim miejscu, ale jej dach miał więcej dziur niż za mojej pierwszej bytności.

Placówka należała do jednych z bardziej spokojnych i bezpiecznych. W tym miejscu Moza była dość szeroka, dlatego odległość od pozycji niemieckich była dość duża. Poza tym, na tym odcinku Niemcy nie mieli większej broni niż broń maszynowa. My do swojej dyspozycji też nie mieliśmy nic większego niż ręczne karabiny maszynowa. Wymiana ognia z obu stron była rzadka i tylko na prowokacje z drugiej strony. Wzdłuż



Mozy ciągnął się długi i wysoki wał ochronny, a wzdłuż niego, po naszej stronie, biegła wąska droga. Dzięki temu dostęp do naszej placówki był bezpieczny nawet dla pojazdów wojskowych. Codziennie przyjeżdżało kilka carriersów, by korzystać z zapasów węglowych, jakie znajdowały się na placówce. Za ich pośrednictwem posłałem kilka worków dla nauczycieli w Walwijk oraz dla rodziców Liny w Oosterhout.

Największym niebezpieczeństwem dla nas były nasze własne miny rozłożone kiedyś dla bezpieczeństwa wokół placówki. Już na samym początku ostrzegłem przed tym moich dragonów. W czasie mego poprzedniego pobytu w tym miejscu widziałem dokładne mapy pól minowych. Kiedy przyszedłem tam ponownie taka mapa już nie istniała. Dlatego zalecałem moim ludziom szczególną ostrożność w poruszaniu się w tym rejonie. Ostrzegając ich musiałem być powodowany przecuciem.

Moje obawy spełniły się w ostatnim dniu pobytu na placówce. Rano usłyszałem potężny wybuch w pobliżu nas. W pierwszej chwili byłem przekonany, że znowu znalazłem się pod ogniem niemieckich moździerzy. Szybko wybiegłem z szopy i rozglądałem się w terenie placówki. Po drugiej stronie kanału, wpadającego do Mozy, zobaczyłem moich dwóch dragonów leących nieruchomo na brzegu oraz trzeciego, stojącego bezradnie nad nimi. Czwarty w łódce wiosłował zawzięcie, widocznie pływając im z pomocą. Zawołałem na ludzi i razem pobiegliśmy ich ratować. Wszyscy czterej byli ranni. Wyciągnęliśmy ich na bezpieczny brzeg i opatrzyliśmy rany. Najstarszy z nich stopniem, kapral, miał urwane palce u ręki, drugi miał zakrwawioną twarz, trzeci był ranny w pierś, a czwarty w łódce był ranny w pierś i głowę. Z miejsca odstawiliśmy ich carriersem do punktu opatrunkowego w Walwijk. Niefortunny wybuch był spowodowany ludzką miną, a więc nie bardzo silną. Bohaterska czwórka moich ludzi chciała ją rozbroić, która w czasie tego wybuchła

im w rękach. Gdyby była to mina czołgowa, prawdopodobnie bylibyśmy zbierali ich szczątki po całej placówce.

W ostatni dzień lutego na nasze miejsce przyszedł oddział angielski z jakiegoś Batalionu Morskiego, który niedawno przybył z Anglii. Dzień ten był ich pierwszym dniem pobytu na froncie. Służyłem im za tłumacza i jako znawca służby na froncie dawałem im odpowiednie rady i wskazówki. Kiedy powiedziałem im o wybuchu "przyjaznej" miny, widziałem po ich minach, że ta informacja bardzo ich zaniepokoiła. Idąc ze mną do placówki i w czasie przeglądu jej pozycji mieli bardzo poważne miny i trzymali się dokładnie naznaczonej ścieżki, aby przypadkiem nie trafić na ukrytą minę.

Przed wieczorem byliśmy gotowi do wyjazdu, ale z rozkazu por. Rocha Ozdowskiego, który zastępował rtm. Bielawskiego, pozostaliśmy jeszcze jeden dzień w Walwijk. Na drugi dzień rano mieliśmy zdać kwatery Anglikom. Na tym tle wynikło nieporozumienie między mną a majorem angielskim. Przy zdawaniu kwater, oficer angielski zażądał aby zdać jemu wszystkie kwatery w idealnym porządku. Żądanie to skierował pod moim adresem. Odpowiedziałem mu, że sala, gdzie mieszkał mój pluton jest w jak najlepszym porządku, a za inne sale nie jestem odpowiedzialny. Za chwilę oficer ten przystąpił do mnie ponownie z takim samym żądaniem. Na to odpowiedziałem mu odmownie. W dalszym przebiegu tej sprzeczki zażądał widzenia się z dowódcą szwadronu. Odwiozłem go do por. Ozdowskiego, który nie znając języka angielskiego mógł tylko wysłuchać moją stronę. Poczciwy i spokojny Roch zwrócił się do szefa szwadronu i kazał mu zająć się sprawą porządków.

Pierwszego dnia marca byłem z powrotem w Randonksveer, gdzie cały pułk z wyjątkiem Szwadronu Dowodzenia i Wsparcia pełnił służbę na placówkach nad Mozą. Gdyby nie sprawa strat w ludziach, jakie mój

pluton poniósł pod Dorst przed wejściem do Bredy, byłym miał kilka dni spokojnego odpoczynku. W tym czasie powrócił do pułku jeden z moich zaginionych żołnierzy. Od niego dowiedziałem się, że jego samego jako rannego Niemcy pozostawili w holenderskim szpitalu. Jakiś oddział aliancki /napewno kanadyjski/ po zajęciu miejscowości odesłał go do szpitala polowego. Po wyleczeniu się z ran powrócił do oddziału i przyniósł wiadomość o jego kolegach. Według jego zeznań, w samym Ramsdonksveer miał być pochowany kierowca carriers, drg. Filipczyk. Natychmiast udałem się z nim i kilku innymi dragonami do szpitala przy żeńskim zakonie katolickim. Od sióstr dowiedziałem się, że na lokalnym cmentarzu istotnie znajduje się grób Filipczyka. Jego ciało zostało wykopane z grobu i przeniesione do innego. Sama uroczystość pogrzebowa miała miejsce dopiero dnia następnego przy udziale całego szwadronu, dowódców i ks. kapelana Stopy. Przede mną pozostała zagadka dwóch pozostałych ludzi zaginionych w akcji, która dla mnie i dla ewidencji pułku mogła na zawsze pozostać tajemnicą.

Wkrótce potem powróciliśmy do Oostrhout. Był to znowu spokojny okres życia w przyfrontowej miejscowości. Moim głównym zadaniem było wyjeżdżanie co pewien czas nad Mozę i prowadzenie ognia moździerzy na pozycje niemieckie. W tym czasie również uczęszczałem na kurs radiowy, kurs prowadzenia samochodu oraz kurs miotaczy płomieni. Broń ta bardzo mi zaimponowała - widziałem jej niezwykłą skuteczność w zdobywaniu bunkrów i umocnionych pozycji. Jej użycie mogło zaoszczędzić wiele naszych strat w poprzednich akcjach.

Święta Wielkanocne były niejako zakończeniem naszego zimowego pobytu w gościnnym Oosterhout. Ochodziliśmy je bardziej uroczyście i huczniej niż Święta Bożego Narodzenia. Tym razem cały pułk stał razem i z tej racji można było pomyśleć o przygotowaniu tradycyjnego

jajka i obiadu. Poza jajkiem też znalazły się alkohole, wprowadzicie w niewielkiej ilości, ale dostatecznie, aby zachować naszą polską i wojskową tradycję. Oba dni, poza oficjalną częścią, spędziłem w domu Liny. Pogoda była wiosenna, chociaż niezbyt pogodna, ale dostatecznie ciepła, aby wybrać się z panną na dłuższy spacer. W czasie spaceru Lina stale powracała do niewygodnego dla mnie tematu, powtarzając przy tym, że wie co chce i musi to osiągnąć. W odpowiedzi na to tłumaczyłem jej, że to ona ma na myśli nie jest logiczne ani praktyczne z jej i mego punktu widzenia. Ona powoływała się na przykłady innych dragonów, którzy porobili bliższe znajomości z pannami w Oosterhout i mieli już gotowe plany na przyszłość. W pułku była pewna ilość dragonów, którzy zdecydowali się na stworzenia swego życia w tej przyjaznej i gościnnej holenderskiej miejscowości - ja wtedy nie byłem jeszcze gotów do podjęcia takiej decyzji.

Wkrótce po świętach nastąpiła następna reorganizacja pułku, co najbardziej dotyczyło Szwadronu Wsparcia. Mój pluton - 2gi moździerzy - został rozwiązany, a ja z moimi dragonami zostałem wcielony do 3go Szwadronu. Równocześnie w tym czasie nastąpiły pewne zmiany w obsadzie oficerskiej. Niektórzy oficerowie, jak mjr. Szajowski i ppor. Przespolewski, zostali odkomenderowani do Szkocji, do nowo-organizowanych oddziałów 1go Korpusu, a innych przeniesiono na inne funkcje. Moje przeniesienie należało do tych z ostatniej kategorii.

W 3cim Szwadronie dostałem drugi pluton dragonów. Dowódcą szwadronu był rtm. Jacek Bielawski, jego zastępcą por. Roch Ozdowski, dowódcami plutonów byli: ppor. Kolbe, ppor. Popiak, wachm. Osowicz i ja. Do mego plutonu przyszło na ochotnika wielu z moich poprzednich dragonów, między innymi moi drużynowi, kpr. Grabowski i kpr. Stankiewicz. Jednak ze wszystkich ochotników najbardziej mi zaimponował mały i niepokaźny



drg. Błoto. Chłopaczek ten, którego ktoś z litości wyznaczył do bezpiecznej pracy w kuchni, po moim przyjsciu do szwadronu stanął do raportu u rtm. Bielawskiego i prosił o przydział do mego plutonu. Plut. Zienkiewicz, mój zastępca, dał mu przeciwpancerny sprzęt "bazooka" pod opiekę. Ten młody i fizycznie jeszcze nie rozwinięty chłopak musiał być bardzo zadowolony z tego wyboru, bo kiedykolwiek go spotkałem zawsze miał uśmiech na twarzy.

Nasz wyjazd z gościnnego Oosterhout nastąpił dnia 6go kwietnia przy pochmurnej, ale nie deszczowej pogodzie. Pożegnałem dobrych holenderskich znajomych, a przede wszystkim Linę, której smutek i łzy w oczach świadczyły, że nasze rozstanie się było dnia niej conajmniej przykre. Kiedy ruszyliśmy w drogę długo biegła chodnikiem i kiwała do mnie chusteczką. Minęliśmy ostatnie domy, pozostawiając za sobą wszystko poza wspomnieniami wojennego pobytu w holenderskiej miejscowości, dla wielu przyjemnymi i trwałymi.

Marsz trwał bez przerwy dwa dni i dwie noce. Kierowcy pojazdów już w pierwszym dniu zaczęli odczuwać zmęczenie, co przynajmniej w jednym wypadku doprowadziło tragicznej konkluzji. W ciągu pierwszej nocy kierowca halftrucku kancelaryjnego nie zauważył skrętu i wjechał do kanału. W tym wypadku utonął jeden kancelista - reszta załogi zdołała się uratować. Drugiej nocy nasza kolumna przerwała się na zakręcie, czy skrzyżowaniu. Naskutek tego pojechaliśmy w niewłaściwym kierunku. Po pewnym czasie pierwszy kierowca zorientował się, że przed nim niema nikogo. Zawróciliśmy wozy i pojechaliśmy w odwrotnym kierunku. Na skrzyżowaniu czekał na nas motocyklista, który doprowadził nas do głównej kolumny.

Ledwie ujechaliśmy kilkanaście kilometrów, kiedy nam też przydarzyła się nocna przygoda. Mój kierowca, ochotnik z Argentyny, zasnął przy

kierownicy i na jednym z zakrętów znaleźliśmy się w rowie. Nasz pojazd nie był w stanie wydostać się stamtąd o własnej sile. Zatrzymałem kilka pojazdów, aby uzyskać ich pomoc. Chętnych nie znalazłem. Pozostawiłem swój zafruck z załogą na miejscu, a sam przysiadłem się do pojazdu z innego szwadronu, aby dołączyć do mego plutonu. Nad ranem dojechałem do miejscowości Coeverden, gdzie pułk zatrzymał się na noc. Próbowałem znaleźć wóz ratowniczy Repu, ale w ciemności i ogólnym zamieszaniu nie mogłem się jego doszukać. Po tym nie było kogo pytać, bo wszystko spało kamiennym snem. Wobec tego poszedłem w ich ślady i w jakiejś szopie przespałem się na deskach do rana.

Rano wziąłem Fordsona ze szwadronu i udałem się do tyłu, aby odszukać zagubionego pojazdu. Na samym początku jazdy pomyliłem kierunek i pojechałem do niewłaściwej miejscowości. Zorientowałem się, że jestem na złej drodze, kiedy na ulicach zobaczyłem ludzi patrzących ze zdziwieniem na mnie i kierowcę. Od nich dowiedziałem się, że tą drogą jeszcze nie przejeżdżały żadne alianckie oddziały. Wobec tego wróciłem do Coeverden i pojechałem inną drogą. Mniej więcej w połowie odległości spotkałem mój halftruck jadący w kierunku nowego postoju pułku. Moi ludzie byli bardziej praktyczni niż ja. W nocy zajęli kwaterę w domu niemieckiego farmera, rano kazali sobie zrobić śniadanie, a potem po odkopaniu wozu wyjechali w naszym kierunku.

Był to już dzień 9go kwietnia. Akcja szwadronu rozpoczęła się od wysłania oficcerskiego patrolu pod komendą ppor. Kolpego do pobliskiej wioski z zadaniem sprawdzenia, czy tam są niemieckie oddziały. Za godzinę powrócił jeden z carriersów plutonu rozpoznawczego z trzema niemieckimi żołnierzami wziętymi do niewoli. W czasie potyczki, jaka wynikła, dowódca patrolu został ranny w nogę, co równało się stracie jednego oficera w szwadronie. Komendę nad plutonem rozpoznawczym

objął wachm. Józef Baraniak, bardzo solidny i ogólnie lubiany podoficer. Bezpośrednio potem wyruszyliśmy z Coeverden i dojechaliśmy do wioski Dalen. Jeden z plutonów został wyznaczony na placówkę, a trzy pozostałe ubezpieczały wioskę. Noc minęła spokojnie, co pozwoliło nam doznać odpoczynku po długiej podróży.

Następnego dnia szwadron dostał zadanie opanowania przeprawy na kanale Oranie, w miejscowości Nordbarge. Wcześniej wysłana do przodu drużyna plutonu rozpoznawczego stwierdziła, że most na głównej szosie został przez Niemców wysadzony w powietrze. Wkrótce potem uformowaliśmy linię i ruszyliśmy do natarcia. Główną szosą nacierał pluton ppor. Popiaka, wspierany przez kompanię czołgów 24go Pułku Ułanów. Po prawej stronie szosy był mały, młody lasek. Moim zadaniem było nacieranie wzdłuż tego lasku, uchwycenie bocznego mostu na kanale i uchwycenie przyczółka na drugiej stronie.

Dzień nie był słoneczny, ale w powietrzu czuć było ciepło i świeżość wiosny. Idąc młodym laskiem po zeszlórocznych zeschniętych liściach i przechodząc obok drzewek puszczających świeże pęki, odnosiłem wrażenie, że jestem w jazłowieckim lesie w okresie budzącej się wiosny. Od czasu do czasu spoglądałem w jedną i drugą stronę dla sprawdzenia swoich ludzi. Oni też wydawali się odczuwać świeżość wiosennej natury. Mały Błoto, idący tuż obok, co chwila podrzucał "bazookę" na ramieniu i z każdym spojrzeniem w moją stronę uśmiechał się do mnie. Plut. Zienkiewicz szedł po mojej drugiej stronie i tak jak ja rzucał okiem w prawo i lewo. Inni byli widziani przeze mnie w urywkach przez luki w drzewach lasku oraz rozpoznawani po trzaskających suchych gałęziach, które łamały się pod ich stopami.

Nasza akcja była wstępnym działaniem w ramach większej operacji, której zadaniem było nawiązanie łączności z oddziałem francuskich

spadochroniarzy, zrzuconych w okolicy miejscowości Drenthe, na północ od miasta Emmen. Po uchwyceniu przez nas przyczółka na kanale oraz zajęciu Emmen, Oddział Wydzielony w składzie 10go Pułku Strzelców Konnych i szwadronu dragonów miał wykonać ostateczne zadanie. Według meldunku spadochroniarze znaleźli się w trudnej sytuacji i dlatego natychmiastowe przeprowadzenie tej akcji było jak najbardziej wskazane.

Lasek zaczął się przeredzać i wkrótce przez drzewa zaczął przebijać widok kanału i zabudowań położonych w kotlinie. Po naszej stronie kanału, na wzniesieniu, stał tylko jeden mały domek, który wykorzystaliśmy jako ochronę przed niemieckim ogniem, jaki odezwał się z drugiej strony. Dom był zamknięty, oglądnałem się w koło i w ogródku dostrzegłem schron wkopany w ziemię. Otworzyłem drzwi - znalazłem tam całą rodzinę holenderską z tego domu. W następnym skoku drużyna Grabowskiego i ja znaleźliśmy się na wale. Reszta plutonu razem z plut. Zienkiewiczem wkrótce dołączyła do nas. Przez przerwę w wale widzieliśmy zburzony most na kanale, ale zbliżenie się do niego ze względu na silny ogień niemiecki było ryzykowne.

Przez radio zażądałem wsparcia czołgów. Wkrótce po drodze wzdłuż kanału przybył pluton czołgów 24go Pułku Ułanów i zaczął ogniem karabinów maszynowych i dział okładać niemieckie pozycje. Kilka domów po drugiej stronie stanęło w płomieniach. Niemieckie karabiny maszynowe zamilkły. Plut. Zienkiewicz wziął kilku ludzi i razem z nimi rzucił luźno leżące deski na przesłania mostu. Patrol kpr. Grabowskiego przeprawił się na drugą stronę. Zaraz za nimi przeskoczyłem na drugą stronę z resztą plutonu.

Niemcy zaczęli wychodzić z dziur i poddawać się moim dragonom. Poddało się ich kilkunastu, prawdopodobnie większość uszła w przerwie ogniowej. Jednego z nich wziął drg. Błoto. Widziałem go jak z dumą



zwycięzcy rewidował kieszenie masywnie zbudowanego Niemca. Jego zdobyczą, prawdopodobnie pierwszą a w tej wojnie, był francuski srebrny zegarek. St.drg.Maleszewski wziął do niewoli młodego Polaka z Pomorza, który mieszkał w tej samej wiosce i był jego bliskim sąsiadem. Widziałem wtedy niezwykły obrazek wojenny, jan na holenderskim podwórku polski żołnierz uściskał się z niemieckim. Faktycznie przyczołek był już uchwycony i tylko należało go zorganizować.

Plut. Zienkiewicz rozstawił posterunki po lewej stronie, a drużynę kpr. Grabowskiego posłałem na prawo celem ubezpieczania skrzydła. Jeden z moich ludzi zauważył, że na przedpolu ktoś podnosi się i chowa. Zaczęto wołać, aby ten ktoś wyszedł z ukrycia i podszedł do nas. Z tamtej strony nie było odpowiedzi. Ktoś z dragonów niepotrzebnie strzelił w tamtym kierunku. Kazałem mu powstrzymać ogień i posłałem patrol celem sprawdzenia sytuacji w tym punkcie. Patrol powrócił i zameldował, że w rowie leży kilku Holendrów i wśród nich jedna ranna dziewczyna.

Wziąłem ze sobą jednego dragona i udałem się w tamtym kierunku, aby zorganizować akcję ewakuacyjną. Poszedłem dróżką pod górkę i na wysokości pierwszych domów skręciłem w prawo. Kiedy dochodziłem do pierwszego z nich zobaczyłem trzy niemieckie hełmy nad żywo płótem posuwające się na ukos w moim kierunku. Schowałem się za róg domu a memu dragonowi kazałem stanąć za drugim. Miałem zamiar wziąć Niemców do niewoli, jak tylko ukażą się na otwartej przestrzeni. Kiedy zobaczyłem pierwszego krzyknąłem "Hande hoch!", będąc przekonany, że Niemcy się poddadzą. Zamiast tego otrzymałem ogień z trzech Schmeßserów /automatycznych pistoletów/. Po tej serii Niemcy skoczyli za następne zabudowania i zniknęli z mego widoku. Powiedziałem wtedy do siebie w parafrazie słów mjr. Szajowskiego: "dobrze, że tylko tak

się skończyło, bo mogłoby być gorzej". Jeszcze nie doszedłem do Holendrów, kiedy przyszedł do mnie goniec od rtm. Bielawskiego z rozkazem, abym wysunął swój pluton na horyzont i obserwował na miasto Emmen. Zostawiłem dziewczynę pod opieką jednego dragona, a sam z plutonem wysunąłem się na najwyższy punkt kotliny. Moje miejsce nad wałem zajął inny szwadron pułku.

W międzyczasie saperzy pośpiesznie budowali most na kanale na głównej szosie. Kiedy wysunąłem się do przodu most jeszcze nie był gotów. Z wysokości wzniesienia terenowego otworzył się przede mną rozległy widok następnego wgłębienia w stosunkowo płaskim terenie. Na jego przeciwległym zboczu widziałem szosę, którą wycofywały się nieliczne pojazdy niemieckie. Moi dragoni otworzyli ogień z Bizy /karabin maszynowy wymontowany z czołga/, ale ich kule nie donosiły tak daleko. Niedługo po naszym krótkim ogniu, okoliczni Holendrzy zaczęli wychodzić ze swoich dziur i schronów i przychodzili do nas, aby powitać nas jako ich oswobodzicieli. Na ich twarzach widziałem radość ludzi, dla których wojna i związane z nią niebezpieczeństwo było już kwestią przeszłości.

Było już ciemni, kiedy przysłano do nas pierwszy gorący posiłek od rana. Tuż po tej polnej wieczerzy dostałem rozkaz wejścia do Emmen. Zeszliśmy ze stanowisk na główną, brukowaną szosę i w ustalonym szyku bojowym weszliśmy do pierwszych domów. Noc była ciemna i dlatego z trudem rozpoznawałem zarysy budynków po obu stronach ulicy. Miasto było jakby wymarłe - żadnego znaku życia czy najmniejszego głosu. Mimo to byłem przekonany, że z ciemnych okiem patrzyło wiele par oczu, nie zdających sobie sprawę z tego, kto w danej chwili maszerował ich ulicą. Człowiek podświadomie wyczuwa, kiedy jest obserwowany i takie uczucie odnosiłem w czasie tego marszu.

Ciemność i cisza nocy, świadomość wojennej akcji i obca nam okolica oddziaływały nastrojowo na mnie i niewątpliwie na moich dragonów. Prawdopodobieństwo spotkania się z ogniem niemieckim było znikome, ale w takiej sytuacji w człowieku istnieje obawa spotkania się z nieprzewidzianą przygodą. Idąc drogą, widziałem przed sobą szare i niewyraźne kontury dwóch dragonów na szpicy. Obok siebie wyczuwałem obecność mego pocztu i słyszałem odbicia kroków reszty plutonu, maszerującego po obu stronach drogi na mojej wysokości. W każdym z nas było dużo tej pewności, jaką żołnierz odczuwa po udanej akcji.

Taki stan psychiczny był wynikiem niedawnej bitwy nad kanałem z której mój pluton wyszedł bez szwanku. Ponadto wkroczenie do holenderskiego miasta w roli oswobodzicieli musiało powodować w nas takie same uczucie, jakie doznawaliśmy przejeżdżając przez francuskie, belgijskie i holenderskie miejscowości, witani przez rozentuzjasmowaną ludność. Tym razem nie witano nas kwiatami i okrzykami, bo warunki wojenne nie pozwalały na to, ale nasze uczucia zwycięzców i oswobodzicieli na tym nie ucierpiały.

Zadaniem naszym było zaciągnięcie placówki w mieście, na skrzyżowaniu dróg, oraz rozesłanie patroli do przodu. Z tym wiązała się potrzeba znalezienia kwatery i ulokowanie plutonu na noc. Po dojściu do centrum plut. Zienkiewicz zapukał do jednego z domów, wyglądającego na niski i szeroki dom farmerski. Za chwilę doszły do mnie odgłosy ostrej sprzeczki prowadzonej w języku holenderskim i niemieckim. Udałem się w tamtą stronę. Przed domem zobaczyłem niskiego, starszego człowieka, gestykułującego rękami i zabraniającego moim dragonom dostępu do domu.

Ni stąd ni zowąd w ciemnościach nocy ukazał się szczupły, wysoki policjant holenderski. Gdy dowiedział się od nas, że chodzi nam

o kwaterę, człowiek odpowiedział spokojnie: "Dlaczego nie zajmiecie hotelu po drugiej stronie ulicy?" Dla nas ta propozycja była idealnym rozwiązaniem nocnego problemu. Natychmiast udaliśmy się w tamtym kierunku i każdy z nas według swego wyboru zajął wygodne łóżko do zasłużonego snu. „Pod tym względem Emmen przywitało nas rzadko spotykaną na wojnie wygodą.

Zgodnie z poleceniem mego dowódcy wysłałem patrol do przodu dla upewnienia się czy w najbliższym rejonie niema Niemców. W czasie patrolu jeden z moich dragonów został ranny w plecy przez swego kolegę. Incydent ten wyniknął przypadkowo, kiedy zamykające się drzwi w jednym ze sprawdzanych domów uderzyły go w ramię i naskutek czego pistolet odpalił, Sprawą tą zajął się plut. Zienkiewicz, który po przybyciu plutonu rozpoznawczego nad ranem, odstawił go do tyłu. Ja zaś położyłem się na wygodnym łóżku i spałem jak zabity do samego rana.

Rano obudziły mnie okrzyki i wołania, dochocące z ulicy. Popatrzyłem przez okno i zobaczyłem tłum ludzi - wszyscy w radosnym nastroju i wielu udekorowanych w pomarańczowe kolory. Okrzykom "Oranie bowen" nie było końca. Z okien i dachów spadały kolorowe flagi, a nasze carriersy rozpoznawcze były oblegane przez tłumy Holendrów. Zoientowałem się wówczas, że oni a nie my byliśmy uznani przez ludność jako oswobodziciele miast. Wtedy ta sprawa była dla nas nieistotna, ponieważ byłem przekonany, że dokumentacj pułkowa zapisze to wydarzenie w pełnym słowie parwdy. Później okazało się, że ktoś w pułku przeoczył naszą akcję zupełnie.

Po jednodniowym odpoczynku / dnia 12go kwietnia/ ruszyliśmy do dalszej akcji. Nasza trasa prowadziła na Ezlo i Buinen. W pierwszej miejscowości spotkałem dwóch polskich żołnierzy z Batalionu Piechoty. Oni mówili mi, że wioząc żywność do swojej kompanii, pomylili drogę



i spotkali się z niemieckim ogniem. Ich szef został ciężko ranny, a pojazd spalony. Z tymi Niemcami spotkałem się w miejscowości Buinen, w czasie natarcia naszego szwadronu na ich pozycje położone na skraju wioski.

Mój pluton, wsparty czołgami, nacierał na prawym skrzydle, po prawej stronie głównej szosy. Na skrzyżowaniu dróg spotkałem się z ogniem niemieckiego działka plot. Naskutek tego ognia zginął drg. Szmit, kierowca carriersa z plutonu rozpoznawczego. Nacierając w kierunku dużego białego domu, nieco na uboczu, wszedłem na to działko, już opuszczone przez swoją załogę. Moi dragoni skierowali się w kierunku domu. Ja sam udałem się do ogrodu, gdzie zauważyłem wzniesienie, wyglądające na bunkier lub schron. Podeszedłem do wejścia i spotkałem się z pistoletem skierowanym na mnie. Zawołałem "Hande hoch!" Dwaj niemieccy żołnierze wyszli na zewnątrz z podniesionymi rękami. Jeden z nich był Polakiem - obu kazałem iść do tyłu. Reszta szwadronu opanowała pozostałe części wioski. Na tym zakończyła się akcja tego ranka.

Na obiad powróciliśmy do Ezlo, gdzie według pierwszego rozkazu mieliśmy pozostać na noc. Wkrótce decyzja ta uległa zmianie. Moj pluton otrzymał zadanie zająć ponownie wioskę Buinen i ubezpieczyć most na tamtejszym kanale. Dowództwo pułku nie przewidując akcji niemieckiej z tamtej strony, uznało, że placówka wielkości jednego plutonu będzie dostatecznym ubezpieczeniem. Kiedy przyjechałem do miejscowości zastałem tam nasze czołgi, które po naszym przyjsciu wycofały się do tyłu. Od cywilów dowiedziałem się, że Niemcy opuścili miejscowość we wczesnych godzinach popołudniowych. Dla pewności odesłałem drużynę kpr. Grabowskiego w rejon śluzy wodnej, aby ubezpieczał tamtą stronę. Sam z resztą plutonu zająłem pozycje przy drewnianym moście na głównej trasie. Noc minęła spokojnie i bez przygód.

Po spokojnej nocy nastąpił dzień przygód, niespodziewanych i wyjątkowych. Wcześniej rano kompania naszych czołgów przeszła przez moją placówkę. Przejazd przez drewniany most okazał się niemożliwy, ze względu na jego słabą strukturę. Dowódca czołgów zdecydował się na przeprawę przez mały betonowy most, położony na uboczu. W czasie skręcania na mostek jeden z czołgów ugrzązł w błocie. Kiedy załoga starała się go wydostać, jedna z gąsienic urwała się i uderzyła jednego z nich w głowę zabijając go na miejscu. Ostatecznie szwadron czołgów i towarzyszący mu szwadron dragonów przeprawili się na drugą stronę. Po południu przez moją placówkę przejechał korowód wozów ciężarowych. Nikt nie zatrzymał się przy nas i nikt nam nie powiedział jaka była przyczyna zjawienia się trzy-tonówek na linii frontowej. O przyczynie tej dowiedziałem się nieco później.

Korzystając ze względnego spokoju położyłem się spać na moim łóżku polowym w jednym z pobliskich domów. W czasie tego spania zostałem nagle obudzony przez plut. Zienkiewicza, który wołał głośno, że cały pluton leży na trawie kompletnie pijany. Wszedłem z domu i zobaczyłem moich dragonów, leżących jak kłody na zielonej trawie. Dopiero wtedy dowiedziałem się, że dywizyjne ciężarówki zostały wysłane do zdobytych magazynów niemieckich po zdobycz w postaci prowiantów i wódki. W drodze powrotnej "dobrzy koledzy" rzucali na placówkę całe skrzynki alkoholu, z czego moi ludzie nie omieszkali skorzystać. Na dodatek kilku z moich dragonów wybrało się na własną rękę po wojenną zdobycz - między innymi mój kierowca.

Tylko drużyna Grabowskiego ocalała z tego pijaństwa, co było dla mnie zbawieniem. Akurat w najgorszym momencie przyszedł rozkaz do rtm. Bielawskiego, aby dołączyć do szwadronu. Wśród trzeźwych znalazłem kilku mających nikłe pojęcie o prowadzeniu pojazdu. Jednym z nich

byłem ja, drugim mój zastępca, a dwaj pozostali z drużyny Grabowskiego. W pół godziny potem dołączyłem do szwadronu bez wypadku. Na miejscu wypożyczyłem lepszych kierowców z innych plutonów, by przygotować się do długiego nocnego marszu. Buinen opuściliśmy o wieczornym zmroku i dotarliśmy do Haren, gdzie zatrzymaliśmy się na noc. W ciągu marszu przekroczyliśmy granicę holendersko-niemiecką i znaleźliśmy się na terytorium Trzeciej Rzeszy. Ludność tych okolic była już przygotowana na wkroczenie wojsk alianckich, bo w wielu oknach powiewały białe flagi.

Następnego dnia rano wydarzyła się największa tragedia "wódczana", jaka kiedykolwiek miała miejsce w pułku dragonów. Dowódca oddziału, płk Zgorzelski, zorientował się wcześniej o poważnej ilości alkoholu, znajdującego się w posiadaniu dragonów, wydał rozkaz zniszczenia wszystkich zapasów niemieckiego "Steinhageru". Nie ulega wątpliwości, że był to najmniej popularny rozkaz, jaki on wydał w swoim życiu. Jednak w sytuacji, jaka zaistniała, zniszczenie alkoholu było jedynym racjonalnym rozwiązaniem. Szefowie szwadronów, chodząc z pałką od pojazdu do pojazdu, z zawzięciem tłukli wszystkie znalezione butelki. Ostatecznie ten wypadek został potraktowany jako żart i popularność dowódcy pułku na tym nie ucierpiała.

Następnym naszym zadaniem było oczyszczanie terenu wzdłuż kanału Ems, w kierunku północnym. W jednej z napotkanych miejscowości zająłem obóz niemieckich dezertersów. Obóz był już pusty - jego okupanci ulotnili się nieco wcześniej przed moim przybyciem. Równocześnie od strony północnej na obóz skierował się inny szwadron pułku. Kiedy jego pluton rozpoznawczy znalazł się w naszym pobliżu, jeden z jego dragonów otworzył ogień ze zdobytego niemieckiego karabinu maszynowego. Znowu przez czyjąś bezmyślność mogło dojść do wzajemnego strzelania i niepotrzebnych strat w ludziach. Byłem tak podenerwowany tym wypadkiem,

że podniosłem głos do tego dragona. Chyba nic człowieka bardziej nie denerwuje, niż ludzka głupota.

Podczas, gdy ja mogłem poszczycić się zdobyciem obozu dezertrów, jeden ze szwadronów 2go Pułku Pancernego wpisał na swoje konto o wiele większe osiągnięcie, które wkrótce nabrało rozgłosu w całej dywizji. W trakcie oczyszczania terenu szwadron czołgów dotarł do obozu w Oberlangen, gdzie mieściły się Polski wzięte do niewoli w czasie Powstania Warszawskiego. Wiadomość o tym szybko rozeszła się po linii, ale w czasie ciągłych działań tylko wybrani mogli korzystać z przywileju odwiedzania obozu i robienia znajomości z Polkami.

Oczyszczanie terenu nie napotykało na opór ze strony Niemców, przynajmniej tak się miała sprawa w wypadku naszego szwadronu. Innym szwadronom szło nieco trudniej, ale w zasadzie walki ograniczały się do małych potyczek z małymi oddziałami Niemców. W większości były to lokalne grupki Hitlerjugend, które do ostatniej chwili i ostatniego tchu pozostawali wierni rozkazom swego wodza. Bez walki doszliśmy do wioski Rhede, ale nie weszliśmy do niej. Na otwartym polu urządziliśmy sobie biwak, jako ubezpieczenie przy dowództwie pułku.

Dnia następnego, po oczyszczeniu rejonów okolicznych, znaleźliśmy się ponownie w Rhede. Wisoka była pusta, domu najczęściej pootwierane, a bydło pozostawione na łaskę losu. Na jednym podwórku biegał byk, luźno puszczony, który szalał na widok naszych dragonów. Ktoś w końcu strzelił do niego i położył go trupem. Przez dłuższy czas siedzieliśmy w wiosce, rozkoszując się ciepłym wiosennym powietrzem. Po południu zjawił się u nas wóz z dowództwa dywizji, którym przyjechał do nas korespondent polskiej gazety z Londynu. Przy tej okazji człowiek ten zrobił kpr. Grabowskiemu i mnie fotografię przed wiatrakiem, stojącym na skraju wioski. Fotografię tą dostałem dopiero po wojnie.



Późnym popołudniem dostaliśmy rozkaz do podjęcia dalszych działań. Naszym zadaniem było oczyszczenie lasu widniejącego na horyzoncie oraz zajęcie wioski Borsum, położonej za nim. Wysłany patrol plutonu rozpoznawczego spotkał się z silnym ogniem nieprzyjacielskich karabinów maszynowych. Równocześnie z rejonu lasu posypały się na nas szrapnele działek piechoty. Naskutek tego kilka domów stanęło w płomieniach. Z naszych dragonów nikt jednak nie ucierpiał. Tym razem wyglądało, że mamy poważniejszego nieprzyjaciela przed sobą.

Popołudniu, około godziny 3ciej, przybył dowódca pułku, aby kierować akcją. Według planu działania, natarcie na wzgórze i lasek miało przeprowadzić trzy plutony wsparte przez moździerz ppor. Sokołowskiego i działa panc ppor. Kubita. Mój pluton miał nacierać na głównej osi, mając za kierunek biały dom z czerwonym dachem, znajdującym się tuż przed zalesionym wzniesieniem. Na moim lewym skrzydle miał nacierać pluton wachm. Osowicza, a z prawej strony miał mnie ubezpieczać pluton rozpoznawczy wachm. Baraniaka. Moździerze miały położyć zasłonę dymną w momencie mego dochodzenia do celu, a pluton panc miał prowadzić ogień na brzeg lasu.

Na rozkaz płk. Zgorzelskiego ruszyliśmy do natarcia. Przed nami rozciągała się równina o dwu-kilometrowej otwartej przestrzeni, często poprzecinana odwadniającymi rowami. W wielu miejscach widziało się poletka i łąki ogrodzone drutami. Początkowo posuwanie się do przodu szło gładko i spokojnie. Tylko od czasu do czasu odzywały się niemieckie działka piechoty i rozrzucały szrapnele na przedpolu. Ich ogień był jednak niecelny. Bez strat dotarliśmy na odległość 200-300 metrów przed lasem. Dopiero wtedy Niemcy otworzyli ogień z broni maszynowej i odezwali się ich snipery. Nasze moździerze położyły zasłonę dymną, która okazała się nieskuteczną, ponieważ ich pociski padały za nami.

Nasze działka ppanc też otworzyły ogień. Ich pociski zaczęły rozrywać się na skraju lasu. Moi dragoni rozwinięci w tyralierę nadal posuwali się do przodu.

Dla sprawdzenia moich ludzi popatrzyłem na boki i do tyłu. W tyle nieco z mną zobaczyłem dwóch Ślązaków, którzy nam nie bardzo dotrzymywali kroku. Kiwnąłem ręką i zawołałem na nich, aby się pośpieszyli. W tej chwili poczułem uderzenie w lewy policzek. Początkowo sądziłem, że wlażłem w jakiś krzak i zostałem uderzony gałązką. Dotknąłem policzek ręką i zobaczyłem krew na ręce i mundurze. Zrozumiałem wtedy, że zostałem trafiony kulą. Nie wiedziałem jednak jak kula przeszła przez moją głowę. Zwróciłem się do kpr. Grabowskiego, który był tuż obok, aby mi dał swój bandaż. On widocznie widział krew, ale nie bardzo zdawał sobie sprawę z tego o co proszę. Poczułem straszliwy ból w jamie ustnej, a przy wypowiedaniu słów nie mogłem utrzymać powietrza w moich ustach. Zakryłem ranę chusteczką do nosa i zdecydowałem się wzdłuż linii natarcia do najbliższych carriersów po prawej stronie.

Biegąc równiną poprzecinaną rowami, często wpadałem do wody. Od czasu do czasu słyszałem swist kuli - widocznie sniper, który mnie postrzelił nie chciał dać za wygraną. Zdyszany i wyczerpany dobiegłem do pierwszego carriersa. Kiedy kładziono mnie na pojazd czułem, że tracę przytomność. Odzyskałem ją dopiero na punkcie opatrunkowym, kiedy pchor. Szlaga zdejmował mi krawat. Na widok mojej okrwawionej głowy musiano mnie wziąć za śmiertelnie rannego, bo ks. Stopa udzielił mi ostatniego rozgrzeszenia, o czym wtedy nie wiedziałem. Ta wiadomość doszła do mnie wiele lat później. Niewątpliwie dla tej samej przyczyny nie opatrzonej mojej rany, tylko natychmiast włożono mnie do karetki sanitarnej. Ja jednak zdawałem sobie sprawę z tego, że żyję, ale nie wiedziałem jak poważna jest moja rana.

Wkrótce po mnie z frontu przywiezion drg. Lamperta rannego w pierś. Jego włożono do tej samej karetki i natychmiast ruszyliśmy w stronę Nijmegen do najbliższego szpitala polowego. W czasie drogi odczuwałem silne bóle w okolicy jamy ustnej i przednich zębów. Wtedy zdałem sobie sprawę, że moje białe, zdrowe i regularne zęby poszły w proszek. Mój współtowarzysz też musiał cierpieć, bo co chwila słyszałem jego jęki. Dopiero w nocy dotarliśmy do szpitala. Kiedy wynoszono nas z karetki Lampert był nieprzytomny, ale jeszcze żył. Jak się później dowiedziałem, ten młody człowiek zmarł w szpitalu bez odzyskania przytomności.

Szpital polowy mieścił się w obszernej hali, niewątpliwie zamienionej na ten cel z jakiegoś dużego budynku publicznego. Pierwszy mój widok, jaki zapamiętałem, to rzędy łóżek i noszy, a na nich rzędy ludzkich ciał. W małym kącie tego przepełnionego miejsca znalazło się miejsce dla mnie, pomiędzy dwoma rannymi Anglikami czy Kanadyjczykami. Mimo szalonego i nieustającego bólu w jamie ustnej byłem w lepszej sytuacji od wielu współrannych towarzyszy na sali. Przedewszystkim byłem przytomny. Miałem też zdolność poruszania się o własnych siłach. Kiedy porównywałem siebie z poparzonymi czołgistami, obandarzowanymi od nóg do szyji, na nieprzytomnych i na cierpiących i jęczących zdawałem sobie sprawę z tego, że ja wyszedłem stosunkowo nieźle z mojej wojennej przygody. Znowu przyszły mi na myśl słowa mjr. Szjowskiego, że "mogłoby być gorzej". Jeden centymetr lub dwa w jedną czy drugą stronę i byłbym pozostał na pobojuwisku.

Leżałem długo na noszach w Nijmegen, cierpiąc i czekając aż się ktoś zajmnie moją osobą. Takich czekających na sali musiało być wielu. Po dwóch dniach załadowano nas do sanitarnego pociągu i wysłano do 113 General British Hospital w Belgii. W czasie podróży każdy ruch pociągu, każde poruszenie się z miejsca i każde zatrzymanie się

powodowało szalony ból w okolicy mojej rany - każdy otwarty nerw ustrzelonego zęba dwał znać o sobie. Nie mogłem znaleźć miejsca na język, który w każdym położeniu dotykał jakąś bolesną część ust. Przez trzy dni nie mogłem przyjąć żadnego solidnego jedzenia, a herbata, którą mi dawano uciekała nazewnątrz przez spuchnięte wargi. W późnych popołudniowych godzinach pociąg zatrzymał się na stacji Ronso, gdzie po kolei wagonami rozładowywano nas i przenoszono na ogólne sale.

Na dużej ogólnej sali oficerskiej byłem jedynym Polakiem. Dla mnie to nie robiło różnicy w tym czasie, ponieważ nie było mowy o prowadzeniu konwersacji z kimkolwiek w jakimkolwiek języku. Leżałem spokojnie na łóżku i czekałem aż się ktoś mną zajmie. Koło każdego z nas zjawiały się pielęgnarki i usługiwały nas w razie potrzeby, ale ja czekałem na lekarza, którzy usmierzyłyby mój ból.

Jakiś lekarz szpitala musiał mnie mieć na liście swoich pacjentów, W drugim dniu mego pobytu w szpitalu przyszedł do mnie dentysta i kazał mi iść razem z nim. Idąc jego śladami doszedłem do gabinetu dentystycznego. Siadłem na wskazanym krzeselku i czekałem aż się zacznie bolesna operacja, która nawet w normalnych czasach nie byłaby dla mnie przyjemną. Czułem ból dziąseł przy znieczulaniu, a potem liczyłem tylko wrywane korzenie. Przy wrywaniu jedenastego zęba korzeń się złamał, a ja przytym zemdlałem. Po powrocie na salę natychmiast zasnąłem. Kiedy obudziłem się czułem się o wiele lepiej - niemal bez bólu mogłem przyjmować pokarm i płyn. Operacja pozostałych dwóch zębów miała miejsce dopiero kilka dni później. Miałem wprawdzie dużą dziurę w zębach, ale ból już mi nie dokuczał.

Pewnego dnia wniesiono na salę rannego lotnika. Kiedy następnego dnia rano nastawiałem radio na polską stację radiową w Londynie, nowoprzybyły poprosił przez sanitariuszkę, abym do niego przyszedł.



Ranny lotnik nazywał się mjr. Dąbrowski i był dowódcą jednego z polskich dywizjonów. Sanitariuszka przeniosła go na jego prośbę do mojej części sali i odtąd staliśmy się sąsiadami, zawzięcie grając remika albo w garibaldkę. Kiedy obu nam pozwolono wstać i wyjść nazewnątrz urządzaliśmy sobie spacery do miasta Ronso. Jego rana nie była zbyt skomplikowana, wobec czego on opuścił szpital wcześniej niż ja.

W czasie mego pobytu w szpitalu otrzymywałem dużo listów od moich polskich i angielskich przyjaciół oraz znajomych. Ci, do których napisałem o moim wypadku wojennym odpisali mi natychmiast. Oni też powiadomili innych o moim pobycie w szpitalu. Młode panny, Laura, Betty, Winnie i Penny pisały do mnie często. Mom Feeney i Aunt Laura też o mnie pamiętały. Nawet moi koledzy z lotnictwa dali też znać o sobie. Również otrzymałem listy od Bronka Hostyńskiego i Zbyszka Warszylewicza, a przez nich odezwał się Julek Kuriański i Mundek Schandler. W związku z tym doznawałem dużo przyjemności w czytaniu tych listów, a pozatym dużo zajęcia z odpisywaniem na nie.

W początkach maja dentysta ponownie wezwał mnie do swego gabinetu. Tam wzięto mi odcisk na dolną i górną protezę. Kilka dni potem moja dziura w ustach została wypełniona białymi, równymi zębami. Byłem przekonany, że na tym zakończy się mój pobyt w szpitalu i że w najbliższym czasie powróce do Pułku. Jeden z lekarzy, dla pewności, kazał zrobić prześwietlenie moich warg. Zdjęcie wykazało, że w wargach utkwiało wiele małych kawałków kości. Musiałem poddać się następnej operacji, którą zrobiono mi dopiero w połowie maja.

Jeszcze przed operacją /dnia 5go maja/ ogłoszono na sali wielką wiadomość, na którą każdy bez wyjątku czekał z wielkim upragnieniem. "The war is over" wołała jedna z sanitariuszek, biegając po sali. Cała sala zaczęła szaleć - Anglicy i Kanadyjczycy nie posiadali się z radości

Sanitariuszki przyniosły kilka butelek whisky i szampana i nalewały każdemu każdemu dożę do szpitalnego kubka. Dla mnie zakończenie wojny nie przyniosło tego o co walczyliśmy, dlatego odmówiłem przyjęcia alkoholu. Za usilną namową sióstr ostatecznie wypilem lampkę wina, wyłącznie dlatego, aby im nie sprawić zawodu.

Po operacji warg i po ich wyleczeniu nie widziałem dalszej potrzeby pozostania w szpitalu. Wkrótce moim życzeniom i prośbom stało się zadość. Dnia 27go maja dostałem konieczne papiery i wyjechałem z Ronso w kierunku północno-zachodniej części Niemiec, gdzie spodziewałem się zastać swój oddział.

Dla mnie wojna zakończyła się z chwilą odniesienia rany i odstawienia mnie do szpitala. Dla reszty dragonów i innych oddziałów dywizji akcja wojenna wciąż trwała. Poszczególne oddziały i grupy niemieckie stawiały zawzięty opór, broniąc swego kraju. W następnym dniu po moim odejściu z frontu, /18ty kwietnia/, 3ci Szwadron Dragonów oraz kompania czołgów z 2go Pułku Pancernego zaatakowała Borsum od północy, bronionego przez batalion "Hitlerjugend". Po całodziennym natarciu polskiego oddziału Borsum został zdobyte, a niemiecki batalion przestał istnieć.

Dalsze działania oddziałów Dywizji prowadziły różnymi drogami do wielu niemieckich miejscowości, z których największą było miasto Papenburg. Jednym z ważniejszych działań dragonów było uchwycenie przyczółka na kanale Kusten. W dalszej fazie działań Pułk Dragonów zapisał na swoim koncie zdobycie miasta Posthausen i opanowanie przeprawy na rzece Leda. W tym rejonie Niemcy zdobyli się nawet na przeciwuderzenie, które zostało odparte z wielkimi stratami dla nich. Posuwając się dalej w kierunku północno-zachodnim polskie oddziały stoczyły szereg bitew w takich miejscowościach jak Moorburg, Westerstede i Astrefelde.

Dnia 5go maja o godz 7.59 działania Dywizji zostały przerwane na rozkaz Głównego Dowódcy Alianckich Sił Zbrojnych. Podczas, gdy polskie oddziały zatrzymały się na miejscu, niemieckie walczące grupy cofnęły się na ich odcinku na wysokość Jade Kanal. Zakończenie wojny ogłoszono dopiero 6go maja. W tym dniu polskie oddziały posunęły się dalej, aż do brzegów Północnego Morza. W rezultacie tego zajęto miejscowości Jemel, Neuenburg i Zetel oraz największy port marynarki wojennej Niemców, Wilhelmshafen. Dowódca 10tej Brygady Pancerniej, płk. A. Grudzińskiego mianowano polskim komendantem tej niemieckiej twierdzy.

Obchód z wycięstwa oraz defilada polskich oddziałów przed nowym dowódcą dywizji, gen. K. Rudnickim, odbyła się z taką pompą, na jaką ówczesne warunki pozwoliły. Przez ulice niemieckiego miasta, udekorowane polskimi flagami, przemaszerowały polskie oddziały w pełnym ich uzbrojeniu. Po raz pierwszy w naszej historii Polacy walczyli z Niemcami w ich kraju i po raz pierwszy na ich ziemi odnieśli zwycięstwo. W tym było dużo dumy narodowej i może zadowolenia z odwetu wziętego na wrogu, ale to w niczym nie rozwiązywało naszego położenia politycznego, a przede wszystkim tych, którzy walczyli zagranicą.

Wkrótce po deliladzie zwycięstwa port Wilhelmshafen został przejęty przez władze brytyjskiej marynarki wojennej. Polskie oddziały cofnęły się na południe i ulokowały się na przestrzeni między Cloppenburgiem, na północy, i Meppen /przezwanym Maczkowem/ na południu. Wracając ze szpitala w tym rejonie spotkałem się ponownie z polskimi i dywizyjnymi znakami. Tutaj też odnalazłem swój szwadron i swój pułk, stacjonujące w rejonie Cloppenburg.

Kiedy zawitałem do kasyna oficerskiego we wiosce Sevelten, gdzie kwaterował 3ci Szwadron, rtm. Bielawski i moi koledzy zrobili wielkie

oczy na mój widok. Nikt nie spodziewał się mego powrotu do oddziału. W ich mniemaniu odniosłem ciężką ranę, z której po długim leczeniu mogłem wyjść ze zniekształconą twarzą. Każdy pokolei dotykał moje policzki, aby wyczuć dołek po zagojonej ranie - rana zagoiła się do tego stopnia, że nawet blizna nie była bardzo rozpoznawalna.

Jeszcze tego wieczoru poszedłem odwiedzić moich dragonów. Mimo, że byłem ich dowódcą bardzo krótko, widziałem na ich twarzy szczerą radość z mego powrotu. Przy tej okazji musiałem wypić z nimi kieliszek wódki, której wydawało się być więcej niż potrzeba tego wymagała. W kasynie oficerskim znowu zaczęło się od picia, do czego w myśl przyjętych tradycji kawalerskich zmuszano takiego pacjenta jak ja. Tego wieczora ledwie zawlokłem się do łóżka na swojej kwaterze.

Powrót do pułku, celbracja z tej okazji oraz stosunkowo wygodna kwatera były dalszym kontynuowaniem wojskowego trybu życia. W tym jednak nie było żadnej konkretnej, twórczej myśli, która wskazałaby na kierunek, jaki należało obrać w najbliższej przyszłości. Przed nami stał mur niepewności, za którym kryło się tajemnicze jutro - tajemnica miejsca i warunków życia w cywilu. Wojna przyniosła nam wielkie rozczarowanie, tym większe, że staliśmy się politycznym ciężarem dla naszych aliantów. Z konieczności byliśmy zdani na ich łaskę i niełaskę i absolutnie podporządkowani ich decyzji. Jakie były wówczas ich plany wobec nas i jak mogła być ich decyzja, nikt z nas wtedy nie wiedział. Mieliśmy tylko nadzieję, że władze brytyjskie nie zastosują wobec nas żadnych drastycznych środków. Ponadto, nawet w wypadku ludzkiego załatwienia naszej sprawy, każdego z nas nurtowała myśl, czy na obcej ziemi będziemy zdolni do dostosowania się do innego trybu życia w warunkach innych niż polskie.

Jedyną satysfakcją dla nas była duma z naszej bogatej przeszłości



wojennej, na długiej trasie, od brzegów Normandii do niemieckiego Wilhelmshafen. Innym czynnikiem, który budził w nas uczucie dumy była świadomość, że w krajach Europy Zachodniej pozostawiliśmy po sobie Imię Polaka i zaskarbiliśmy sobie uczucia sympatii i przyjaźni wśród wyzwolonych narodów. Zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że ich wpływy nie wiele znaczą na międzynarodowej arenie politycznej, ale byliśmy przekonani, że indywidualnie czy grupowo mogliśmy liczyć na ich wdzięczność za krew przelaną na ich ziemi. Mogliśmy też liczyć na ich uznanie za nasz trud i wysiłek wojenny. Ostatecznie także nasze polskie uczucia mogły znaleźć uzasadnienie dla naszego poświęcenia w sprawie wojennej w polskim haśle "Za Wolność Naszą I Waszą". W każdym wypadku moralna strona naszych wojennych osiągnięć była jedyną nagrodą dla nas, która miała swoje znaczenie dla Polaków walczących na Zachodzie i która swoją treścią mogła w przyszłości służyć nowym polskim pokoleniom.